

Matthew Reilly

Świątynia

Temple

Przełożył Piotr Roman

Dla mojego brata Stephena

Podziękowania

Moje podziękowania należą się wielu osobom.

Dziękuję Natalie Freer - zawsze jest pierwszą osobą, która czyta moje teksty, a robi to w porcjach po czterdzieści stron. Natalie, dziękuję Ci za niezwykłą cierpliwość, wielkoduszność i wsparcie. Dziękuję też mojemu bratu, Stephenowi Reilly'emu - za lojalność i ostre jak brzytwa komentarze do tekstu. (Czy wspominałem już kiedyś, że napisał najlepszy scenariusz, jaki w życiu czytałem?).

Rodzicom dziękuję jak zawsze za miłość, zaangażowanie i wsparcie. Mojemu dobremu przyjacielowi Johnowi Schrootenowi za to, że po raz trzeci zgodził się być królikiem doświadczalnym. (John jest pierwszą osobą, która czyta moje książki in toto - wciąż pamiętam, jak czytał Stację lodową podczas meczu krykieta na Sydney Cricket Ground). Dziękuję także Nik Kozlinie za komentarze we wczesnej fazie powstawania tekstu i Simonowi Kozlinie za to, że pozwolił mi dać bohaterowi tej książki swoją twarz.

Na koniec należy też wspomnieć o wspaniałych ludziach z Pan Macmillan. O Cate Paterson, moim wydawcy, która sprawiła, że to wszystko stało się możliwe. Jej starania dotyczące publikacji powieści sensacyjnych, przeznaczonych na masowy rynek, zasługują na najwyższe uznanie. O Annie McFarlane, mojej redaktorce, która potrafiła wydobyć ze mnie wszystko to, co we mnie najlepsze. O przedstawicielach handlowych Pan - to oni krążą dzień w dzień po kraju i walczą na pierwszej linii frontu, w księgarniach całego kraju. Szczególne podziękowanie należy się Jane Novak, zajmującej się w Pan moimi książkami - za opiekowanie się mną oraz właściwe zinterpretowanie ironii mojej rozmowy na jej temat z Richardem Stubbsem - naszym wspólnym marketingowcem - w ogólnokrajowym programie radiowym.

To by było na tyle. Zaczynamy przedstawienie...

WSTĘP

Autor: Mark J. Holsten
Utracona cywilizacja - podbój Inków
(Advantage Press, Nowy Jork, 1996)

ROZDZIAŁ I: KONSEKWENCJE KONKWISTY

(...) Należy tu przede wszystkim podkreślić, że podbój Inków, dokonany przez hiszpańskich konkwistadorów, był prawdopodobnie największym i najsilniejszym starciem dwóch kultur w historii rozwoju ludzkości.

Dominujący podówczas na świecie naród marynarzy - Hiszpanie - przybył na zajmowane przez Inków terytorium z Europy wraz z najnowszą technologią i stał się z najpotężniejszym imperium, jakie kiedykolwiek istniało w obu Amerykach.

Niestety dla historyków - w znacznej mierze z powodu nienasyconego głodu złota Francisca Pizarra oraz jego żądnych krwi konkwistadorów - to największe imperium obu ówczesnych Ameryk jest także jednym z tych, o których najmniej wiemy.

Splądrowanie imperium Inków przez Pizarra i jego armię w 1532 roku można z pewnością uznać za jedno z najbrutalniejszych działań w historii ludzkości. Cytując słowa dwudziestowiecznego historyka, Hiszpanie - wyposażeni w najgroźniejszą broń kolonizatorów, proch strzelniczy - szli przez inkaskie wsie i miasta, rozprawiając się z ich mieszkańcami „z brakiem zasad, przed którym wzdrygnąłby się nawet Machiavelli”.

Inkaskie kobiety były gwałcone we własnych domach i zmuszane do pracy w ohydnych, prymitywnych burdelach. Mężczyzn torturowano - wypalano im oczy rozżarzonymi węglami albo przecinano ścięgna. Dzieci zwożono setkami na wybrzeże, po czym ładowano je na niewolnicze galeony i zabierano do Europy.

W miastach ogoławano świątynie, złote tace i święte figury przetapiano na sztaby, nie zastanawiając się nad ich znaczeniem kulturowym.

Najbardziej chyba znana historia mówiąca o poszukiwaniu skarbów Inków dotyczy Hernanda Pizarra - brata Francisca - i jego wielkiej wyprawy do leżącego na wybrzeżu miasteczka Pachacamac, mającej na celu odnalezienie posążka mitycznego inkaskiego bożka. Francisco de Jerez w swojej znanej powszechnie pracy Verdadera relación de la conquista del Peru napisał, że podczas marszu do świątyni-krypty w Pachacamac Hernando zgromadził niewyobrażalne bogactwa.

Na podstawie nielicznych pozostałości po imperium Inków - budowli, których Hiszpanie nie zniszczyli, lub złotych przedmiotów kultowych, które Inkowie zdołali ukryć - współczesnym historykom udało się uzyskać nieco wiadomości o tej tak

niegdyś wspaniałej cywilizacji.

Jest to jednak wiedza na tyle wystarczająca, by stwierdzić, że było to imperium paradoksów.

Inkowie nie mieli koła, a jednak zbudowali najbardziej rozwinięty system dróg, jaki znały oba kontynenty amerykańskie. Nie umieli przetapiać rudy żelaza, a mimo to ich wyroby z innych metali - zwłaszcza złota i srebra - były wspaniałe i niepowtarzalne. Nie znali pisma, ale ich numeryczny system zapisu, zwany quipu - węzły wiązane na wielokolorowych sznurkach - był niezwykle dokładny. Tak samo dokładni byli podobno quipu-camayoc, siejący postrach poborcy podatkowi, którzy potrafili doliczyć się braku nawet czegoś tak małego jak sandał.

Najdokładniejszy zapis codziennego życia Inków pochodzi od Hiszpanów. Tak jak zrobił to dwadzieścia lat wcześniej Cortez na terenie dzisiejszego Meksyku, konkwistadorzy sprowadzili ze sobą na teren obecnego Peru mnichów, którzy mieli wśród pogańskich tubylców głosić Słowo. Wielu z tych mnichów i księży wróciło po latach do Hiszpanii i zapisało to, co widziało, a sporządzone przez nich manuskrypty można znaleźć w europejskich klasztorach - są opatrzone datami i kompletne (...).

Autor: Francisco de Jerez

Verdadera relación de la conquista del Peru

(Sewilla, 1534)

Kapitan Hernando Pizarro poszedł razem ze swoimi ludźmi mieszkać w jakichś wielkich izbach w jednej z dzielnic miasta. Oznajmił, że przybył na rozkaz Gubernatora Francisca Pizarra po złoto świątyni, zamierza je więc zebrać i przekazać, komu trzeba.

Zgromadzili się wszyscy zwierzchnicy miasta oraz kapłani Idola i powiedzieli, że je wydadzą, ale wyraźnie grali na zwłokę, wynajdując coraz to nowe trudności. W końcu coś przynieśli, bardzo jednak niewiele, twierdząc, że więcej nie mają.

Kapitan oświadczył, że życzy sobie obejrzeć Idola, więc zaprowadzili go do domu, w którym miał się znajdować. Był to piękny dom - niedawno pomalowany i udekorowany w tradycyjnym indiańskim stylu. Jego wejścia pilnowały kamienne posągi jaguarów, a ściany zdobiły płaskorzeźby, przedstawiające demoniczne, podobne do kotów stwory. Wewnątrz była jednak tylko ciemna, śmierdząca komnata, pośrodku której stał nagi kamienny ołtarz. W trakcie podróży wiele słyszeliśmy o legendarnym Duchu Ludzi, który mieszkał we wnętrzu świątyni-krypty w Pachacamac. Indianie twierdzili, że jest to bóg, który ich stworzył, pozwala im trwać i jest źródłem ich siły.

Ale w Pachacamac nie znaleźliśmy Idola. Był tam jedynie nagi ołtarz

w śmierdzącej komnacie.

Kapitan rozkazał, aby dom, w którym rzekomo miał się znajdować posąg pogańskiego bożka, został zburzony, a zwierzchnicy miasta natychmiast straceni za oszustwo. Ten sam los miał spotkać kapłanów Idola. Kiedy rozkaz ten został wykonany, kapitan opowiedział wieśniakom o naszej Świętej Wierze Katolickiej i nauczył ich żegnać się krzyżem...

Źródło: „New York Times”

31 grudnia 1998, str. 12

Naukowcy dostają fioła z powodu rzadkich manuskryptów

TULUZA, FRANCJA: Naukowcom, specjalizującym się w historii średniowiecznej, zaprezentowano dziś rzadki skarb - mnisi z opactwa San Sebastian, odizolowanego od świata klasztoru jezuitów w Pirenejach, po raz pierwszy od 300 lat otworzyli swą wspaniałą średniowieczną bibliotekę dla grupy laickich ekspertów.

Naukowców interesowała głównie możliwość obejrzenia zbiorów średniowiecznych rękopisów, zwłaszcza tych sporządzonych przez świętego Ignacego Loyolę, założyciela Towarzystwa Jezusowego.

Ale najgłośniejsze okrzyki zachwytu grupki historyków, którym pozwolono wejść do przypominającej labirynt biblioteki opactwa, wywołało odkrycie w niej innych rękopisów - od dawna uważanych za zaginione.

Chodziło o kodeks świętego Alojzego Gonzagi, napisany ponoć przez świętego Franciszka Ksawerego, oraz - co było jeszcze wspanialszym odkryciem - oryginał legendarnego Manuskryptu Santiago.

Dzieło to, napisane w 1565 roku przez hiszpańskiego mnicha Alberta Luisa Santiaga, zajmuje u historyków średniowiecza szczególne miejsce - przede wszystkim dlatego, że do tej pory sądzono, iż zostało zniszczone podczas Rewolucji Francuskiej.

Przypuszcza się, że rękopis ujawnia najbardziej brutalne szczegóły dokonanego w latach 1531-35 przez hiszpańskich konkwistadorów podboju Peru. Prawdopodobnie zawarta jest w nim też jedyna istniejąca pisemna relacja (sporządzona na podstawie bezpośrednich obserwacji) o prowadzonym w dżunglach i górach Peru obsesyjnym polowaniu krwiożerczego hiszpańskiego kapitana na cenną figurkę inkaskiego bożka.

Prezentacja w klasztorze należała jednak do tych w rodzaju „patrzmy, ale nie dotykamy”. Kiedy ostatni naukowiec został (wbrew swojej woli) wyprowadzony z biblioteki, potężne dębowe drzwi dokładnie zamknięto.

Można jedynie mieć nadzieję, że do chwili ich ponownego otwarcia minie nieco

mniej niż 300 lat.

PROLOG

Opactwo San Sebastian

Pireneje Francuskie

Piątek, 1 stycznia 1999 roku, godzina 3.23

Gdy młodemu mnichowi przyciśnięto zimną lufę do skroni, zadrżały mu ramiona, a po policzkach popłynęły łzy.

- Na Boga, Philippe... jeżeli wiesz, gdzie on jest, powiedz im! - wy szlochał.

Brat Philippe de Villiers klęczał na podłodze jadalni opactwa ze splecionymi na karku dłońmi. Po jego lewej stronie klęczał brat Maurice Dupont, któremu przystawiono pistolet do skroni, a po jego prawej pozostałych szesnastu jezuickich mnichów, mieszkających w opactwie San Sebastian. Cała osiemnastka klęczała w równym szeregu.

Przed de Villiersem - nieco na lewo - stał mężczyzna w czarnym kombinezonie bojowym, uzbrojony w pistolet samopowtarzalny Glock 18 i karabinek szturmowy Heckler& Koch G-11 - najnowocześniejszy karabin, jaki do tej pory skonstruowano. Lufa glocka ubranego na czarno żołnierza dotykała skroni Maurice'a Duponta.

W wielkiej sali znajdowało się jeszcze kilkunastu podobnie ubranych i uzbrojonych mężczyzn. Każdy z nich miał twarz zakrytą czarną maską narciarską i wszyscy czekali na odpowiedź Philippe'a de Villiersa na zadane przed chwilą pytanie.

- Nie wiem, gdzie on jest... - wykrztusił w końcu de Villiers.

- Philippe... - jęknął Maurice Dupont.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia broń przy skroni młodego mnicha wystrzeliła, huk zadudnił echem po niemal pustym opactwie. Głowa Duponta eksplodowała jak arbuz, a fontanna krwi trysnęła na twarz de Villiersa.

Nikt poza murami klasztoru nie słyszał wystrzału.

Opactwo San Sebastian przycupnęło na szczycie góry, mniej więcej dwa tysiące metrów nad poziomem morza, i było dobrze ukryte wśród ośnieżonych wierzchołków Pirenejów Francuskich. Jak lubił powtarzać jeden ze starszych mnichów, bardziej już zbliżyć się do Boga nie było można. Najbliższy sąsiad opactwa - platforma teleskopu obserwatorium Pic du Midi - była oddalona od klasztoru jakieś dwadzieścia kilometrów.

Mężczyzna z glockiem podszedł do mnicha po prawej stronie de Villiersa i przystawił mu lufę do głowy.

- Gdzie jest manuskrypt? - spytał po raz drugi. Miał wyraźny bawarski akcent.

- Już powiedziałem, że nie wiem. BAM!

Drugi mnich poleciał do tyłu i po chwili jego ciało upadło na podłogę, a z rany w głowie zaczęła się wylewać krew, tworząc czerwoną kałużę na posadzce. Przez kilka sekund ciało drgało w konwulsjach i trzepało o kamienne płyty niczym wyrzucona na brzeg ryba, po czym znieruchomiało.

De Villiers zamknął oczy i zaczął się modlić.

- Gdzie jest manuskrypt? - ponownie spytał Niemiec.

- Nie... BAM!

Zginał następny mnich.

- Gdzie on jest?!

- Nie wiem! BAM!

Kolejny zastrzelony mnich.

Nagle lufa glocka zmieniła kierunek: tym razem Niemiec skierował ją między oczy de Villiersa.

- Pytam po raz ostatni, bracie de Villiers. Gdzie jest Manuskrypt Santiaga De Villiers mocno zaciskał powieki i nadal powtarzał słowa modlitwy:

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się... Niemiec zaczął naciskać spust.

- Zaczekaj! - krzyknął w tym momencie ktoś z drugiego końca sali.

Mężczyzna z glockiem odwrócił się i zobaczył, że z szeregu klęczących braciszków wychodzi starszy mnich.

- Proszę! Proszę... skończ z tym... skończ. Jeśli obiecasz, że już nikogo nie zabijesz, powiem ci, gdzie jest manuskrypt.

- Gdzie jest?!

- Tutaj - powiedział stary mnich i ruszył w kierunku biblioteki.

Zabójca poszedł za nim.

Po kilku chwilach obaj wrócili - Niemiec trzymał pod pachą wielką, oprawną w skórę księgę.

Choć de Villiers nie mógł widzieć jego twarzy, było oczywiste, że pod czarną narciarską maską uśmiecha się z satysfakcją.

- Teraz idźcie i zostawcie nas w spokoju - powiedział stary jezuita. - Pozwólcie nam pochować zabitych.

Przez chwilę zabójca zdawał się zastanawiać nad tymi słowami. Potem odwrócił się do swoich ludzi i kiwnął głową.

Mężczyźni w czarnych maskach natychmiast unieśli swoje G-11 i otworzyli ogień do klęczących mnichów.

Seria pocisków z broni maszynowej poszarpała klęczących ludzi na strzępy. Ich głowy eksplodowały, a z ciał kule powyrywały wielkie kawały mięsa.

W ciągu kilku sekund wszyscy mnisi nie żyli - z wyjątkiem jednego: starego jezuita, który dał Niemcom manuskrypt. Zakonnik stał samotnie w kałuży krwi

swoich współbraci i patrzył na morderców.

Dowódca niemieckiego oddziału zrobił krok naprzód i skierował lufę glocka w głowę starca.

- Kim jesteście? - buntowniczo spytał mnich.
- Schutzstajfeln Totenkopferband. Oczy starego zakonnika rozszerzyły się.
- Dobry Boże... Niemiec uśmiechnął się.
- Nawet On cię teraz nie uratuje - warknął. BAM!

Kiedy glock wystrzelił po raz ostatni, niemieccy skrytobójcy wyszli z opactwa w objęcia nocy.

Minęła minuta, potem następna.

Opactwo spowijała cisza.

Ciała osiemnastu jezuitów leżały porzucane na podłodze, skąpane we krwi.

Skrytobójcy nigdy nie dowiedzieli się, że był ktoś, kto przez cały czas ich obserwował.

Wysoko nad ich głowami, nad sufitem ogromnej jadalni, znajdował się pokój, właściwie maleńka komórka, zasłonięta od dołu drewnianym panelem - tak starym, że szpary między deskami miały po kilka milimetrów.

Gdyby mu się dobrze przyjrzeni, z pewnością dostrzegliby tkwiące w jednej ze szpar szeroko otwarte, mrugające z przerażenia ludzkie oko.

North Fairfax Drive 3701

Arlington w stanie Wirginia Biura

DARPA - Agencji Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych Stanów Zjednoczonych.

Poniedziałek, 4 stycznia 1999, godzina 5.50

Uzbrojeni intruzi poruszali się bardzo szybko - doskonale wiedzieli, dokąd idą.

Wybrali optymalny czas na atak. Za dziesięć szósta. Dziesięć minut przed zejściem nocnej zmiany wartowników. Dziesięć minut przed objęciem służby przez zmianę dzienną. Nocna zmiana jest wtedy zmęczona, strażnicy co chwila spoglądają na zegarki, sprawdzając, kiedy będą mogli iść już do domu. To właśnie najlepszy moment, żeby zaatakować.

Budynek przy North Fairl'ax Drive 3701, siedmiopiętrowa konstrukcja z cegły w Arlington w stanie Wirginia, znajduje się dokładnie po drugiej stronie stacji metra Virginia Square. Mieszczą się w nim biura DARPA - ośrodka Ministerstwa Obrony Stanów Zjednoczonych, w którym prowadzone są różnego rodzaju badania, i w którym konstruuje się prototypy najbardziej skutecznych urządzeń bojowych.

Zamaskowani mężczyźni biegli jasno oświetlonym korytarzem. Trzymali wysoko

uniesione - w stylu SEAL - zaopatrzone w tłumiki pistolety maszynowe MP-5SD3, mocno przyciskając do ramion ich kolby i patrząc uważnie wzdłuż luf.

TAT-TAT-TAT-TAT!

Cichy grad kul spadł na kolejnego wartownika - numer 17. Nie zatrzymując się nawet na ułamek sekundy, intruzi przeskoczyli przez ciało i skierowali się ku Skarbcowi. Jeden z nich włożył do zamka kartę magnetyczną, drugi pociągnął wielkie, hydraulicznie blokowane drzwi.

Znajdowali się na drugim piętrze budynku i przeszli już przez siedem punktów kontrolnych piątego stopnia zabezpieczenia - potrzebowali do tego czterech różnych kart magnetycznych i sześciu kodów alfanumerycznych. Wtargnęli do budynku poprzez podziemny wjazd towarowy - w furgonetce, której przyjazdu się spodziewano. Wartownicy przy podziemnej bramie zginęli pierwsi, zaraz po nich przysłała kolej na kierowców furgonetki.

Także i tu, na drugim piętrze, uzbrojeni mężczyźni nie zatrzymali się ani na sekundę - natychmiast jeden po drugim zaczęli wchodzić do Skarbca - gigantycznego laboratorium, otoczonego ze wszystkich stron ścianami z piętnastocentymetrowej warstwy porcelany. Na zewnątrz porcelanowej warstwy był kolejny kokon - trzydziestocentymetrowej grubości, wykładany ołowiem. Pracownicy DARPA mieli uzasadniony powód, by określać to laboratorium mianem „Skarbca”. Żadne fale radiowe nie były w stanie pokonać jego ścian, nic tu nie mogły zdziałać nawet najnowocześniejsze kierunkowe aparaty podsłuchowe - było to najbezpieczniejsze miejsce w całym budynku.

Było - do tej chwili.

Zamaskowani mężczyźni błyskawicznie rozbiegli się po sali.

Wokół panowała absolutna cisza.

Jak w łonie.

Nagle wszyscy znieruchomieli - ich cel stał na wyciągnięcie ręki, na samym środku laboratorium.

Choć mógł zdziałać tak wiele, nie był zbyt duży.

Miał może metr osiemdziesiąt wysokości i wyglądał jak klepsydra: górny stożek był skierowany czubkiem do dołu, dolny - ku górze, a oba szpice rozdzielała niewielka komora z tytanu, zawierająca rdzeń.

Z tytanowej komory pośrodku wychodziły liczne kolorowe przewody, z których większość znikwała w obudowie leżącego przed aparaturą laptopa.

Tytanowa komora była w tej chwili pusta.

W tej chwili.

Intruzi nie marnowali czasu. Zdjęli urządzenie z generatora i umieścili je w pętli ze specjalnego materiału, po czym natychmiast opuścili Skarbiec. Drzwi. Korytarzem

w głąb. W lewo, a potem w prawo. Błyskawicznie pokonali jasno oświetlony labirynt korytarzy, przeskakując nad ciałami ludzi, których wcześniej zabili. W ciągu półtorej minuty wrócili do podziemnego garażu i wsiedli do furgonetki - razem ze swoją zdobyczą. Ledwie stopa ostatniego z nich dotknęła podłogi samochodu, opony zabuksowały na betonie i pojazd wyprysnął w noc.

Dowódca oddziału popatrzył na zegarek.

5.59.

Cała operacja zajęła im dziewięć minut.

Nie więcej. Nie mniej.

PIERWSZA INTRYGA

PONIEDZIAŁEK, 4 STYCZNIA, GODZINA 9.10

William Race spóźnił się do pracy. Po raz kolejny.

Zaspał, potem odwołano jeden skład metra, zrobiło się dziesięć po dziewiątej i już był spóźniony na poranny wykład. Jego gabinet mieścił się na drugim piętrze Delaware Building New York University. Budynek miał antyczną, zdobioną kutym żelazem windę, która poruszała się z prędkością ślimaka. Szybciej wchodziło się po schodach.

Race ukończył trzydzieści jeden lat i był jednym z najmłodszych wykładowców wydziału języków starożytnych NYU. Był średniego wzrostu - mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć - i dość przystojny. Miał jasnobrązowe włosy i szczupłą sylwetkę. Zza okularów w drucianych oprawkach patrzyły błękitne oczy, a tuż pod lewym okiem widniało niezwykle znamię: brązowy trójkąt.

Kiedy biegł schodami do góry, przez głowę przebiegały mu tysiące myśli - o wykładzie na temat dzieł rzymskiego historyka Liwiusza, o mandacie z zeszłego miesiąca, którego jeszcze nie zapłacił, o artykule, który czytał rano w „New York Timesie” i w którym informowano, że ponieważ osiemdziesiąt pięć procent ludzi programuje swoje numery bankomatowe na bazie ważnych dla nich dat - na przykład daty urodzin - kradnący im portfele złodzieje, którzy nie tylko zdobywają w ten sposób ich karty, ale także prawa jazdy z datami urodzin, mają znacznie ułatwione dobranie się do ich kont bankowych. Cholera, będę musiał zmienić swój PIN, pomyślał.

Dotarł do szczytu schodów i skręcił w korytarz.

Nagle zatrzymał się.

Przed nim stało dwóch mężczyzn.

Żołnierzy.

Byli w kompletnym rynsztunku bojowym - z hełmami, opancerzeniem, M-16. Jeden stał w połowie korytarza, bliżej Race'a, drugi, bardziej w głębi, prężył się na baczność przed drzwiami jego gabinetu. Nigdzie chyba nie mogli wyglądać bardziej nie na miejscu - żołnierze na uniwersytecie.

Kiedy Race wyszedł na korytarz, natychmiast się do niego odwrócili. Z jakiegoś powodu poczuł się w ich obecności jakby mniej wartościowy i... niezdyscyplinowany. Pomyślał, że wygląda głupio w swojej sportowej marynarce, dzinsach i krawacie, ze starą torbą na ramieniu, do której wepchnął ciuchy na południowy mecz koszykówki.

Podszedł do pierwszego żołnierza i zlustrował go od stóp do głów. Przyjrzał się jego karabinkowi szturmowemu z czernionej stali, przekrzywionemu zielonemu beretowi na głowie i półksiężycowatej naszywce na ramieniu z napisem: SIŁY

SPECJALNE.

- Eee... cześć - wymamrotał. - Nazywam się William Race. Chciałbym...

- Dzień dobry, profesorze - powiedział żołnierz. - Proszę iść dalej. Czekają na pana.

Race po chwili wahania podszedł do drugiego żołnierza, znacznie wyższego i potężniejszego od pierwszego. Można by go właściwie nazwać olbrzymem - był wielki jak góra. Miał przeszło metr dziewięćdziesiąt wzrostu, przystojną twarz, ciemne włosy i blisko siebie osadzone ciemnobrązowe oczy. Naszywka na kieszonce bluzy przedstawiała go z nazwiska: VAN LEWEN. Trzy paski na ramieniu informowały, że jest sierżantem.

Wzrok Race'a podążył ku M-16. Na lufie karabinu zamontowany był celownik laserowy PAC-4C, a od spodem granatnik M-203. Sprzęt nie od parady, pomyślał.

Żołnierz odsunął się na bok, pozwalając Race'owi wejść do gabinetu.

Na stojącym za biurkiem wyłożonym skórą fotelu z wysokim oparciem siedział doktor John Bernstein. Wyglądał jak siedem nieszczęść. Miał pięćdziesiąt lat i był dziekanem wydziału języków starożytnych NYU - szefem Race'a.

W pokoju znajdowało się jeszcze trzech mężczyzn.

Dwóch żołnierzy, jeden cywil.

Obaj wojskowi wyglądali podobnie jak wartownicy na korytarzu - byli ubrani w mundury połowe, na głowach mieli hełmy, a w rękach M-16 z celownikami laserowymi - i sprawiali wrażenie bardzo sprawnych fizycznie, choć różnili się dość mocno wiekiem. Starszy trzymał hełm zgodnie z wymogami regulaminu, wciśnięty między łokieć a żebra, i miał mocno cofnięte do góry, przyszczyżone tuż przy skórze włosy. Race'owi włosy stale spadały na oczy.

Trzeci obcy - cywil - siedział na krześle dla gości naprzeciwko Bernsteina. Jego klatka piersiowa przypominała małą beczkę i był w samej koszuli - bez krawata i marynarki. Miał spłaszczony, bokserski nos i wystrzone przez wiek i odpowiedzialność rysy. Emanowała z niego spokojna pewność siebie człowieka, który przywykł do tego, że go słuchano.

Race odniósł wrażenie, że wszyscy ci ludzie czekają tu już od dłuższego czasu.

Na niego.

- Will... - zaczął Bernstein. Obszedł biurko i podał Race'owi rękę - Dzień dobry. Wchodź. Chciałbym, żebyś kogoś poznał. Profesor William Race - pułkownik Frank Nash.

Cywil z beczkowatą klatką piersiową wyciągnął dłoń. Miał mocny uścisk.

- W stanie spoczynku - uściślił. - Miło mi pana poznać - powiedział i uważnie przyjrzał się Race'owi. Wskazał na obu wojskowych. - Kapitan Scott i szeregowy Cochrane z Grupy Sił Specjalnych Wojsk Lądowych USA.

- Zielone Berety... - szepnął Bernstein Race'owi do ucha, po czym odchrząknął. - Pułkownik... to znaczy doktor Nash... pracuje dla Biura Technologii Taktycznych w Agencji Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych. Przybył poprosić nas o pomoc.

Frank Nash podał Race'owi identyfikator. Znajdowało się na nim niewyraźne zdjęcie, przypominające fotki z listów gończych, na górze czerwone logo DARPA, a pod spodem mnóstwo cyferek i kodów. Z tyłu wzdłuż karty biegł pasek magnetyczny. Napis pod zdjęciem brzmiał: FRANCIS K. NASH, SIŁY LĄDOWE USA, PŁK (ST. SPOCZ). Karta mogła zrobić wrażenie. Aż krzyczała: UWAGA, WAŻNA PERSONA!

No, no, pomyślał Race.

Oczywiście słyszał o DARPA. Była to główna jednostka badawczo-rozwojowa Ministerstwa Obrony, agencja, która stworzyła Arpanet - wojskowy poprzednik Internetu. DARPA wślawiła się także uczestnictwem w latach siedemdziesiątych w projekcie HAVE BLUE, supertajnym programie Sił Powietrznych, którego efektem była konstrukcja „niewidzialnego” myśliwca F-117.

Tak naprawdę Race wiedział o DARPA znacznie więcej niż zwykły obywatel, ponieważ jego brat pracował tam jako projektant.

Generalnie biorąc, DARPA współpracowała ze wszystkimi trzema największymi formacjami armii amerykańskiej - Siłami Lądowymi, Marynarką Wojenną i Siłami Powietrznymi - tworząc najnowocześniejsze technologie i konstrukcje, przystosowane do potrzeb każdego rodzaju wojsk, takie jak „niewidzialne” samoloty dla lotnictwa czy superwytrzymałe opancerzenie osobiste dla Sił Lądowych. O jej dokonaniach często krążyły legendy. Na przykład opowiadano, że ostatnio udoskonaliła J-7, plecak raketowy, który miał zastąpić spadochron - nie zostało to jednak potwierdzone.

Biuro Technologii Taktycznych było ostrzem arsenału DARPA, klejnotem w jej koronie. Dział ten zajmował się tworzeniem „wielkich” broni - broni strategicznej wysokiego ryzyka z zysku.

Race zastanawiał się, czego Biuro Technologii Taktycznych DARPA może chcieć od wydziału języków starożytnych NYU.

- Poprosić nas o pomoc...? - powtórzył ze zdziwieniem po obejrzeniu identyfikatora Nasha.

- Hmm... tak naprawdę to konkretnie pana.

Poprosić mnie o pomoc, pomyślał Race. Wykładał języki starożytne - głównie klasyczną i średniowieczną łacinę - a także francuski, hiszpański i niemiecki. Nie przychodziło mu do głowy kompletnie nic, w czym mógłby być pomocny DARPA.

- O jaką pomoc by chodziło? - zapytał.

- Tłumaczenie. Chodzi o przetłumaczenie manuskryptu. Czterystuletniego

łacińskiego rękopisu.

- Rękopisu... - Tego rodzaju prośba nie była niczym niezwykłym. Często proszono go o tłumaczenie średniowiecznych dokumentów. Niezwykłe było jednak, że proszono go o to w obecności uzbrojonych komandosów.

- Profesorze Race, przetłumaczenie tego rękopisu jest sprawą najwyższej wagi - powiedział Nash. - Ale dokument ten nie znajduje się jeszcze na terenie Stanów Zjednoczonych. W tej właśnie chwili do nas jedzie. Chcielibyśmy przekazać panu ten manuskrypt w Newark i poprosić pana o przetłumaczenie go w trakcie podróży do miejsca przeznaczenia.

- Podróży? Dokąd?

- Obawiam się, że w tej chwili nie mogę tego panu powiedzieć. Race zamierzał zacząć się spierać, ale w tym momencie do gabinetu wszedł kolejny komandos z Zielonych Beretów, z nadajnikiem radiowym na plecach. Podeszedł szybkim krokiem do Nasha i szepnął mu coś do ucha. Race wychwycił słowa:

- ...rozkaz... mobilizacji.

- Kiedy? - spytał Nash.

- Dziesięć minut temu, pułkownik - odszepnął żołnierz. Nash popatrzył na zegarek.

- Cholera... - mruknął i odwrócił się ponownie do Race'a. - Profesorze, nie mamy wiele czasu, powiem więc wprost: to bardzo ważna misja, mająca wielkie znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych. Musimy natychmiast zacząć działać, potrzebuję jednak do tego tłumacza. Specjalisty z zakresu średniowiecznej łaciny. Pana.

- Jak bardzo to pilne?

- Przed budynkiem czeka na nas samochód. Race przełknął ślinę.

- Nie wiem, czy...

Czuł na sobie wzrok wszystkich obecnych. Perspektywa wyprawy w nieznanym kierunku z Frankiem Nashem i oddziałem uzbrojonych po zęby Zielonych Beretów sprawiła, że poczuł się nieswojo. Miał wrażenie, jakby zaraz miał go przejechać pociąg.

- A co z Edem Devereux z Harvardu? - zapytał. - Jest znacznie lepszy ode mnie w średniowiecznej łacinie. Byłby szybszy.

- Nie potrzebuję najlepszego fachowca i nie mam czasu na podróż do Bostonu - odparł Nash. - Pański brat wspomniał o panu. Powiedział, że jest pan dobry i jest pan w Nowym Jorku, a więcej mi nie trzeba. Potrzebuję kogoś, kto jest blisko i może zrobić to natychmiast.

Race zagryzł wargę.

- Na czas trwania całej misji będzie pan miał przydzieloną ochronę - dodał Nash.

- Za mniej więcej pół godziny odbierzemy manuskrypt w Newark i zaraz potem wsiądziemy do samolotu. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, przetłumaczy pan dokument, zanim wylądujemy, i nie będzie musiał pan nawet wysiadać z samolotu. Gdyby okazało się to jednak konieczne, będzie o pana dbał oddział Zielonych Beretów.

Race zmarszczył czoło.

- Profesorze, nie będzie pan jedynym naukowcem, biorącym udział w tej misji. Lecą z nami także Walter Chambers ze Stanfordu, Gabriela Lopez z Princeton i Lauren O'Connor z...

Lauren O'Connor, Jezu...

Nie słyszał o niej od lat.

Znali się ze studiów na USC. On studiował lingwistykę, ona robiła magisterium z fizyki teoretycznej. Chadzali na randki, ale źle się to skończyło. Kiedy słyszał o niej po raz ostatni, pracowała w Laboratoriach Livermore - w dziale fizyki jądrowej.

Popatrzył na Nasha. Zastanawiał się, co pułkownik wie o nim i Lauren - i czy nie wymienił jej nazwiska z rozmysłem.

Jeżeli była to zaplanowana sztuczka, doskonale zadziałała, pomyślał.

Gdyby ktoś go poprosił, by w paru słowach określił Lauren, powiedziała, że ma „uliczny spryt”. Nie zgodziłaby się na udział w tego typu misji, gdyby nie była przekonana o jej celowości. To, że powiedziała „tak”, sprawiało, że cała sprawa nabierała wiarygodności.

- Profesorze, zostanie pan szczerze wynagrodzony za swój czas...

- Nie o to...

- Pański brat też uczestniczy w tej misji. Nie bezpośrednio - nie polecą z nami - ale będzie pracował w ekipie technicznej w naszych biurach w Wirginii.

Marty... Race nie widział go od długiego czasu - od rozwodu rodziców przed dziewięcioma laty. Jeżeli Marty również brał w tym udział, to może...

- Profesorze Race, przykro mi, ale czas nagli. Potrzebuję pańskiej decyzji.

Natychmiast.

- Will, posłuchaj... - wtrącił Bernstein - to mogłaby być znakomita reklama dla uniwersytetu...

Race popatrzył na niego z niechęcią.

- Mówi pan, że to sprawa bezpieczeństwa narodowego? - spytał, odwracając się do Nasha.

- Zgadza się.

- I nie może mi pan powiedzieć, dokąd się udajemy?

- Będę mógł to zrobić dopiero w samolocie. Wtedy o wszystkim panu powiem.

Przydzielą mi osobistą ochronę, pomyślał Race. Ochroniarz jest zazwyczaj

potrzebny, kiedy ktoś chce cię zabić...

Było cicho jak makiem zasiał.

Race czuł, że wszyscy czekają na jego odpowiedź. Nash. Bernstein. Zielone Berety.

Westchnął. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę chce powiedzieć to, co zamierzał powiedzieć.

- W porządku - oświadczył. - Wchodzę w to.

Szedł korytarzem za Nashem - wciąż w marynarce i krawacie.

W Nowym Jorku był zimny i mokry zimowy dzień i kiedy szli labiryntem korytarzy w kierunku zachodniej bramy uniwersytetu, Race widział padający za oknami gęsty deszcz.

Dwaj komandos, którzy byli w jego gabinecie, szli przodem, pozostała dwójka - Zielone Berety z korytarza - zamykała pochód. Szli tak szybko, że Race miał wrażenie, jakby ciągnął go silny prąd.

- Czy będę mógł się przebrać w coś mniej oficjalnego? - spytał Nasha. Na ramieniu miał swoją sportową torbę ze zmianą ubrania.

- Może w samolocie - odparł pułkownik. - Teraz niech mnie pan uważnie posłucha. Proszę się przyjrzeć żołnierzowi, który idzie za panem. To sierżant Leo Van Lewen. Od tej chwili będzie pana ochraniał.

Race odwrócił głowę i przyjrzał się wielkiemu jak góra komandosowi. Van Lewen. Mężczyzna kiwnął mu głową i dalej uważnie rozglądał się po korytarzu.

- Od tej chwili jest pan bardzo ważną osobą, co czyni z pana cel ataku - wyjaśnił Nash. - Gdziekolwiek pan pójdzie, sierżant pójdzie za panem. Proszę to wziąć - dodał i wręczył Race'owi zestaw złożony ze słuchawek i laryngofonu.

Race widział coś takiego tylko raz - w programie telewizyjnym o pracy SWAT. Pasek z mikrofonem, który owija się wokół szyi, odbierający powstające przy mówieniu wibracje krtani.

- Proszę to założyć, gdy tylko wsiądziemy do samochodu - powiedział Nash. - To urządzenie jest aktywizowane głosem i gdy tylko zacznie pan cokolwiek mówić, na pewno to usłyszymy. Jeżeli będzie miał pan jakiegokolwiek kłopoty, wystarczy, że powie pan jedno słowo, i Van Lewen zjawi się u pana boku w kilka sekund. Jasne?

- Jasne.

Doszli do zachodniego wejścia uniwersytetu, gdzie na warcie stało dwóch kolejnych komandosów. Minęli ich i wyszli na deszcz.

W tym momencie Race zobaczył czekający na nich „samochód”.

Na zwirowym podjeździe stał zmotoryzowany konwój, który otwierały i zamykały po dwa policyjne motocykle. Składał się z sześciu anonimowo wyglądających, oliwkowych samochodów osobowych, a w samym środku stały dwa

opancerzone pojazdy - humvee. Oba były czarne i miały przyciemniane szyby.

Kolumnę samochodów otaczało kilkunastu komandosów z Zielonych Beretów, każdy trzymał w rękach M-16. Deszcz bębnił o ich hełmy, ale oni zdawali się tego nie zauważać.

Nash szybko podszedł do drugiego humvee i otworzył Race'owi drzwi. Kiedy wsiedli, podał mu grubą kartonową teczkę z dokumentami.

- Niech pan rzuci na to okiem. Powiem więcej w samolocie.

Kawalkada samochodów pędziła przez ulice Nowego Jorku.

Było wczesne przedpołudnie, ale ośmiosamochodowa kolumna mknęła po mokrych ulicach bez zatrzymywania się, mijając skrzyżowanie po skrzyżowaniu, cały czas na zielonym świetle.

Race uznał, że musiano im ustawić „zieloną falę” - tak, jak się to robi, gdy do miasta przyjeżdża prezydent.

Nie byli jednak kolumną prezydencką. W kawalkadzie samochodów jadących przez miasto nie było limuzyn ani łopoczących nad pojazdami proporczyków. Były tylko dwa opancerzone humvee, otoczone niepozornymi samochodami osobowymi.

Race założył laryngofon i słuchawki. Obok niego siedział jego anioł stróż i wyglądał przez okno pędzącego humvee.

Race był przekonany, że niewiele osób w tak gładki sposób przejechało w przedpołudniowym tłoku ulicami Nowego Jorku. Było to dziwne doświadczenie. Pomyślał, że misja, w której uczestniczy, musi być rzeczywiście bardzo ważna dla całego kraju.

Otworzył teczkę, którą dostał od Nasha. Na wierzchu leżała lista z nazwiskami.

ZESPÓŁ BADAWCZY CUZCO CYWILE

1. NASH, Francis K. - DARPA, kierownik projektu, fizyk jądrowy
2. COPELAND, Troy B. - DARPA, fizyk jądrowy
3. O'Connor, Lauren M. - DARPA, fizyk teoretyczny
4. CHAMBERS, Walter J. - Stanford, antropolog
5. LOPEZ, Gabriela S. - Princeton, archeolog
6. RACE, William H. - NYU, lingwista

PRZEDSTAWICIELE SIŁ ZBROJNYCH

1. SCOTT, Dwayne T. - Siły Lądowe Stanów Zjednoczonych (ZB), kapitan
2. VAN LEWEN, Leonardo M. - Siły Lądowe Stanów Zjednoczonych (ZB), sierżant
3. COCHRANE, Jacob R. - Siły Lądowe Stanów Zjednoczonych (ZB), kapral
4. REICH ART, George P. - Siły Lądowe Stanów Zjednoczonych (ZB), kapral
5. WILSON, Charles T. - Siły Lądowe Stanów Zjednoczonych (ZB), kapral

6. KENNEDY, Douglas K. - Siły Lądowe Stanów Zjednoczonych (ZB), kapral

Race odwrócił kartkę z nazwiskami i zobaczył kserokopię wycinka prasowego. Tytuł był po francusku: MASSACRES DES MOINES AU MONASTERE DU HAUT DE LA MONTAGNE.

Przetłumaczył: „Mnisi zmasakrowani w klasztorze w górach”.

Przeczytał artykuł. Miał datę 3 stycznia 1999 roku - był to poprzedni dzień - i opisywał bestialski mord, dokonany na grupie jezuickich mnichów, zastrzelonych z najbliższej odległości w zamieszkiwanym przez nich klasztorze, położonym wysoko w Pirenejach Francuskich.

Władze francuskie uważały, że jest to dzieło islamskich fundamentalistów, protestujących w ten sposób przeciwko francuskiej ingerencji w Algierii. Zamordowano osiemnastu mnichów i wszyscy zginęli od strzałów z bliskiej odległości - tak samo dokonywane były wcześniejsze masowe morderstwa, których sprawcami byli islamiści.

Race zajął się następnym wycinkiem.

„Los Angeles Times” z datą z zeszłego roku. Tytuł artykułu krzychał:

W ROCKIES ZNALEZIONO CIAŁA URZĘDNIKÓW FEDERALNYCH!

Pisano w nim o odnalezieniu w górach, na północ od Heleny w stanie Montana, zwłok dwóch pracowników Służby Rybackiej i Leśnej USA. Oba trupy były obdarte ze skóry. Wezwano FBI. Agenci podejrzewali, że jest to robota którejś z lokalnych grup „milicji ludowej”, zazwyczaj wrogo nastawionej wobec pracowników służb państwowych. Podejrzewano, że strażnicy leśni przyłapali milicjantów na kłusowaniu i zostali przez nich zamordowani, a potem obdarci ze skóry - zamiast zwierząt, w których zabiciu im przeszkadzili.

Race jęknął i przewrócił kartkę.

Następny dokument był fotokopią artykułu z jakiejś publikacji uniwersyteckiej. Napisano go po niemiecku, opublikowano w listopadzie 1998 roku, a jego autor nazywał się Albert L. Müller.

Race przejrzał tekst. Chodziło o krater po meteorycie, znaleziony w peruwiańskiej dżungli.

Do artykułu dołączono raport patologa policyjnego - także po niemiecku. W miejscu, gdzie wpisuje się dane ofiary, umieszczono nazwisko i imię autora artykułu o kraterze: ALBERT LUDWIG MULLER.

Kolejne kartki były ostemplowane różnymi czerwonymi pieczętkami: TOP SECRET; TYLKO DO CZYTANIA; TYLKO DO WGLĄDU DLA PERSONELU ARMII USA. Race przerzucił je - były zapełnione skomplikowanymi wzorami matematycznymi, które nic mu nie mówiły.

Potem były notatki, adresowane do ludzi, których nazwisk nie znał. Ale na jednej z kartek ujrzał swoje nazwisko. Tekst brzmiał następująco:

3 STY. 1999, 22.01, SIEĆ WEWN. SIŁ ŁĄDOWYCH USA 617 5544 88211-05
NR 139

Od: Nash, Frank

Do: wszyscy członkowie Zespołu Cuzco

Temat: MISJA SUPERNOWA

Kontakt z Raceem zostanie nawiązany cito.

Jego udział ma zasadnicze znaczenie dla sukcesu misji.

Oczekuję przybycia pakunku jutro 4 stycznia w Newark, godz. 09.45. Wszyscy członkowie mają mieć sprzęt załadowany godz. 09.00.

Kawalkada samochodów dotarła do lotniska w Newark, przemknęła przez bramę i szybko ruszyła w kierunku prywatnych pasów startowych.

Czekał tam na nich ogromny samolot transportowy w kamuflujących barwach. Z tyłu kadłuba była opuszczona rampa załadunkowa. Kiedy kolumna samochodów zatrzymała się za wielką maszyną, Race zauważył wjeżdżającą do ładowni dużą wojskową ciężarówkę.

Poprzedzany przez sierżanta Van Lewena, wysiadł z humvee na deszcz. Natychmiast usłyszał dolatujący z dużej wysokości głośny warkot.

Z nieba ponad nimi spływał niemal pionowo w dół pomalowany w zielone i brązowe maskujące plamy stary F-15C Eagle z jasnymi literami na ogonie, tworzącymi napis: SIŁY ŁĄDOWE. Po chwili z wyciem wylądował na mokrym betonie.

Kiedy zatoczył koło na pasie do lądowania i zaczął zbliżać się do nich, Race poczuł, że ktoś łapie go za łokieć. Był to Nash.

- Chodźmy - powiedział i popchnął Race'a w kierunku samolotu transportowego.
- Wszyscy już czekają na pokładzie.

Gdy podchodzili do maszyny, w luku wejściowym pojawiła się kobieta. Race natychmiast ją rozpoznał.

- Cześć, Will - powiedziała Lauren O'Connor.

- Cześć, Lauren.

Lauren O'Connor była tuż po trzydziestce, ale nie wyglądała na więcej jak dwadzieścia pięć lat. Obcięła włosy. Na uniwersytecie miała długie, układające się w fale i ciemnobrązowe, teraz były krótkie, proste i rudawe. Cóż, późne lata dziewięćdziesiąte...

Ale jej wielkie brązowe oczy wcale się nie zmieniły, tak samo nie zmieniła się jej gładka, śliczna skóra. Choć opierała się niedbale o framugę luku wejściowego wielkiego transportowego samolotu - ze splecionymi na piersi ramionami

i załamanymi biodrami, ubrana w gruby strój do chodzenia po górach - wyglądała tak jak zawsze: seksownie i zgrabnie.

- Kopa lat... - dodała z uśmiechem.

- O, tak... - odparł Race.

- Proszę, proszę... William Race. Spec od języków. Konsultant Agencji Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych. Ciągle jeszcze grasz w piłkę, Will?

- Tylko rekreacyjnie. - Na uczelni grał w reprezentacji futbolowej. Był najniższy w drużynie, ale najszybszy, i nawet zdobył dyplom sportowy. - A co u ciebie? - spytał. Zauważył na jej palcu obrączkę. Ciekawe, za kogo wyszła.

- Na początek można powiedzieć, że jestem bardzo podekscytowana tą misją - powiedziała z błyskiem w oku. - Nie co dzień uczestniczy się w poszukiwaniach skarbu.

- Czy tym właśnie będziemy się zajmować?

Zanim Lauren zdążyła odpowiedzieć, tuż obok rozległo się przenikliwe wycie.

F-15 zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów od samolotu transportowego i ledwie otworzyła się owiewka kabiny, pilot zeskoczył na mokry beton i ruszył biegiem w ich kierunku, kuląc się przed deszczem. Niósł aktówkę.

Podbiegł do Nasha i podał mu ją.

- Doktorze Nash, manuskrypt - powiedział.. Nash wziął teczkę i podszedł do Lauren i Race'a.

- Mamy już wszystko, co trzeba - oświadczył i dał im znak, by wsiadali do transportowca. - Czas zaczynać przedstawienie.

Ogromny samolot transportowy popędził z łoskotem po pasie startowym i po chwili wzbił się w pokryte deszczowymi chmurami niebo.

Był to Lockheed C-130E Hercules, z wnętrzem podzielonym na dwie części - na dole były ładownie, na górze część pasażerska. Race siedział na górze z pięcioma pozostałymi naukowcami, którzy brali udział w wyprawie. Szóstka towarzyszących im Zielonych Beretów zeszła do ładowni, by posprawdzać i spakować sprzęt.

Z piątki cywilów Race znał tylko dwoje: Franka Nasha i Lauren O'Connor.

- Czas na przedstawianie się będzie potem - oświadczył Nash, po czym usiadł obok Race'a i położył sobie aktówkę na kolanach. - Teraz najważniejsze, żeby zabrał się pan do pracy.

Zaczął rozpinać sprzączki teczeki.

- Może mi pan powiedzieć, dokąd lecimy? - spytał Race.

- Oczywiście. Przepraszam, że nie zrobiłem tego przedtem, ale pański gabinet nie spełnia wymogów bezpieczeństwa. Można było zlaserować okna.

- Zlaserować...?

- Podслуhać prowadzoną w środku rozmowę za pomocą naprowadzanego laserem urządzenia. Kiedy rozmawia się w zwykłym pomieszczeniu - na przykład takim jak pański gabinet - głosy sprawiają, że szyby lekko drżą. Większość nowoczesnych biurowców jest tak wyposażonych, że nie ma to znaczenia - przez szyby w oknach przechodzi zakłócający drgania impuls elektryczny - ale starsze budynki nie są odpowiednio przygotowane. Podслуhanie prowadzonych w nich rozmów jest bardzo łatwe.

- Więc dokąd lecimy?

- Do peruwiańskiego Cuzco, które było stolicą imperium Inków przed przybyciem hiszpańskich konkwistadorów w tysiąc pięćset trzydziestym drugim roku. Teraz jest to wielka wioska z kilkoma inkaskimi ruinami, przyciągającymi turystów - przynajmniej tak mi powiedziano. Będziemy lecieć non stop, z kilkoma tankowaniami w powietrzu.

Otworzył aktówkę i wyjął z niej plik luźnych kartek formatu A3 - w sumie było ich może ze czterdzieści. Race zauważył, że pierwsza z nich jest kserokopia ilustrowanej okładki.

Musiał to być manuskrypt, o którym Nash mówił - a przynajmniej jego fotokopia.

Nash podał mu kartki i uśmiechnął się.

- Oto powód pańskiej obecności tutaj - oświadczył. Race wziął skserowany tekst i odwrócił pierwszą stronę. Wielokrotnie widywał średniowieczne manuskrypty - księgi kopiowane ręcznie przez mnichów w czasach, gdy nie znano jeszcze druku. Pismo takich manuskryptów było bardzo skomplikowane i ozdobne, a najbardziej skomplikowane były inicjały - pierwsze litery każdego rozdziału. Miały też stylizowane rysunki na marginesach, mające określać charakter tekstu, jego nastrój. Księgi przyjemne, o lżejszej treści, miały na marginesach pogodne i wesołe rysunki, poważne lub ponure - posępne i przerażające. Wszystko to musiało być wykonane z takim pietyzmem i dbałością o szczegóły, że - jeśli wierzyć przekazom - często mnich kopista poświęcał całe życie przepisywaniu jednej księgi.

Ale to, co Race miał teraz przed sobą, nie przypominało niczego, co dotychczas widział.

Przerzucił kilka kartek.

Pismo było bardzo zawile, a marginesy pokrywały rysunki przedstawiające rozgałęzioną, splątaną winorośl. Dolne rogi każdej strony zdobiły rysunki wielkich, pokrytych mchem kamieni. Emanowało z nich coś tchnącego grozą, były jakby zapowiedzią wykluwającego się zła.

Race wrócił do pierwszej strony. Znajdował się na niej tylko tytuł, który brzmiał:

NARRATIO VERUS PRIESTO IN RURIS INCARIIS:

OPERIS ALBERTO LUIS SANTIAGO ANNO DOMINI MDLXV

Przetłumaczył: „Prawdziwa relacja mnicha w kraju Inków: rękopis sporządzony przez Alberta Luisa Santiaga”. Jak wskazywała umieszczona pod tytułem data, tekst powstał w 1565 roku.

Odwrócił się do Nasha.

- No dobrze. Myślę, że nadszedł czas, by mi pan zdradził, jaki cel ma ta misja.

Nash wyjaśnił mu to bardzo szczegółowo.

Brat Alberto Santiago był młodym franciszkaninem, którego w 1532 roku wysłano do Peru, by działał u boku konkwistadorów. Podczas gdy żołnierze grabili kraj, mordowali i gwałcili, mnisi mieli nawracać tubylców na wiarę Świętego Kościoła Rzymskokatolickiego.

- Choć tekst ten powstał dopiero w tysiąc pięćset sześćdziesiątym piątym roku, wiele lat po powrocie Santiaga do Europy, uważa się, że opisuje wydarzenia, które miały miejsce około roku tysiąc pięćset trzydziestego piątego, podczas podboju Peru przez Francisca Pizarra i jego żołnierzy - powiedział pułkownik. - Według średniowiecznych mnichów, którzy twierdzili, że czytali Manuskrypt Santiaga, przedstawia on dość niesamowitą historię: dzieje wściekłego pościgu Hernanda Pizarra za inkaskim księciem, któremu podczas oblężenia Cuzco udało się zabrać z miasta figurkę najbardziej czczonego bożka Inków i uciec z nią do dżungli na wschodzie Peru. - Nash obrócił się wraz z fotelem. - Walterze, pomóż mi - powiedział do mężczyzny w okularach, siedzącego po drugiej stronie przejścia. - Opowiadam właśnie profesorowi Race'owi o Idolu.

Walter Chambers wstał, podszedł i usiadł naprzeciwko Race'a. Był drobnym, myszowatym człowieczkiem, prawie kompletnie łysym i sztywnym jak typowy profesor. Wyglądał na faceta, który chodzi do pracy w muszce.

- William Race - Walter Chambers - powiedział Nash. - Walter jest antropologiem ze Stanfordu. Ekspertem z zakresu kultur Ameryki Południowej i Środkowej - Majów, Azteków, Olmeków i - zwłaszcza - Inków.

Chambers uśmiechnął się.

- A więc chce pan dowiedzieć się czegoś o Idolu?

- Owszem - odparł Race.

- Inkowie nazywali go Duchem Ludzi. Był to kamienny bożek, wyrzeźbiony z niezwyklego materiału - błyszczącego czarnego, pożyłkowanego czerwono kamienia. Inkowie uważali, że jest ich sercem i duszą. Był czymś więcej niż zwykłym symbolem ich potęgi, stanowił źródło ich siły. O jego magicznej mocy krążyły legendy - podobno potrafił uspokoić najgroźniejsze zwierzęta, kiedy zanurzony w wodzie zaczynał śpiewać.

- Śpiewać? - zdumiał się Race.

- Zgadza się.

- Hmm... a jak wyglądał?

- Opisano go w wielu tekstach, w tym także w dwóch najpełniejszych relacjach o peruwiańskiej konkwiście - Relacion Jereza i Uwagach prawdziwych Vegi. Ale te opisy bardzo się różnią. Jedne mówią, że bożek miał ponad trzydzieści centymetrów wysokości, inne, że tylko piętnaście, jedne mówią, że był pięknie wyrzeźbiony i gładki w dotyku, inne, że miał surowe, ostre kandy. Wspólne jest jedno: był łbem szczerzącego kły jaguara. - Chambers pochylił się do przodu. - Kiedy Hernando Pizarro o nim usłyszał, zapragnął go mieć. Jeszcze bardziej, gdy strażnicy grobowca w Pachacamac zabrali mu go sprzed nosa. Musi pan wiedzieć, że Hernando Pizarro był najprawdopodobniej najbardziej bezwzględny ze wszystkich braci Pizarro, którzy przybyli do Peru. Podejrzewam, że dziś nazwalibyśmy go psychopatą. Niektóre doniesienia mówią, że torturował całe wsie dla sportu. Polowanie na bożka stało się jego obsesją. Gdziekolwiek dotarł, wieś po wsi, żądał ujawnienia mu miejsca, w którym przechowywano posązek. Bez względu jednak na to, ilu tubylców torturował, ile wsi spalił, Inkowie nie chcieli mu powiedzieć, gdzie znajduje się ich cenny Idol. Nagle - nie wiadomo dokładnie jak - w tysiąc pięćset trzydziestym piątym roku dowiedział się, gdzie jest bożek. Trzymano go w potężnej kamiennej krypcie w Coricancha, słynnej Świątyni Słońca, znajdującej się w samym środku obleganego przez Hiszpanów Cuzco. Niestety, Hernando dostał się do Cuzco w chwili, gdy właśnie uciekał stamtąd młody inkaski książę, Renco Capac - z Idolem pod pachą, przebijając się przez hiszpańskie szeregi. Manuskrypt Santiaga szczegółowo opisuje pogoń Hernanda za Renkiem - przez Andy i amazoński las deszczowy, test tam także podobno opisane miejsce, gdzie Duch Ludzi został ostatecznie ukryty.

A więc tego szukają, pomyślał Race, nic jednak nie powiedział. Cała ta opowieść nie układała się nijak w logiczną całość.

W dziewięćdziesiątym dziewiątym roku - trzydzieści lat po śmierci Santiaga - inny mnich zaczął przepisywać rękopis, tworząc bardziej kunsztowny tekst. Niestety mnich kopista zmarł po kilku latach, pozostawiając po sobie niedokończoną wersję Manuskryptu Santiaga, która również była przechowywana w opactwie San Sebastian. To, co mamy, jest jej fotokopia. Race podniósł rękę.

- No dobrze, ale po co tyle zabójstw i intryg z powodu jednej zagubionej figurki inkaskiego bożka? - zapytał. - Co rządy USA i Niemiec zamierzają zrobić z czterystuletnim kawałkiem kamienia?

Nash uśmiechnął się.

- Profesorze, nie chodzi nam o bożka, ale o materiał, z którego zrobiony jest posązek.

- To znaczy?

- Uważamy, że Idol został wyrzeźbiony z meteorytu.

- Artykuł z gazety... - przypomniał sobie Race.

- Zgadza się - odparł Nash. - Autorstwa Alberta Müllera z uniwersytetu w Bonn.

Przed swoją dość przedwczesną śmiercią Müller badał znajdujący się w dżungli południowo-wschodniego Peru, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na wschód od Cuzco, półtorakilometrowej średnicy krater meteorytowy. Na podstawie jego rozmiarów i oceny prędkości rośnięcia dżungli Müller uznał, że między rokiem tysiąc czterysta sześćdziesiątym i tysiąc czterysta siedemdziesiątym spadł tam meteoryt z materiału o dużej gęstości, o średnicy nieco ponad pół metra.

- Co zbiega się ze wzrostem potęgi Inków w Ameryce Południowej - wtrącił Walter Chambers.

- Znacznie ważniejsze jest dla nas to, co Müller znalazł w ścianach krateru - powiedział Nash. - Znajdowały się tam śladowe ilości pierwiastka, znanego jako tyr dwieście sześćdziesiąt jeden.

- Tyr dwieście sześćdziesiąt jeden...?

- To rzadki izotop zwykłego tyru, który nie występuje na Ziemi - wyjaśnił Nash. - Jak na razie znaleziono go jedynie w postaci skamieliny, prawdopodobnie dostał się na naszą planetę w wyniku uderzeń asteroidów w dalekiej przeszłości. Występuje w sporych ilościach na Plejadach, gromadzie gwiazd podwójnych położonej niezbyt daleko od nas. Ponieważ gwiazdy te są podwójne, tyr ma znacznie większą gęstość od najcięższego pierwiastka ziemskiego.

Race pomyślał, że wszystko zaczyna się powoli klarować. Już wiadomo, dlaczego Siły Łądowe wysyłają do dżungli zespół fizyków.

- No dobrze, a co można zrobić, mając ten tyr? - spytał.

- Pułkowniku! - usłyszeli nagle jakiś głos.

Odwrócili się i ujrzeli Troya Copelanda, jednego z naukowców, idącego ku nim szybkim krokiem z kokpitu. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o chudej, jastrzębiej twarzy i przenikliwie patrzących, blisko siebie osadzonych oczach. Race przypomniał sobie, że Copeland jest fizykiem jądrowym i pracuje dla DARPA. Sprawiał wrażenie człowieka całkowicie pozbawionego poczucia humoru.

- Pułkowniku, mamy problem.

- Co się stało?

- Właśnie dostaliśmy alarm priorytetowy z Fairfax Drive. Race znał tę nazwę. Był to skrót od: „North Fairfax Drive 3701, Arlington w stanie Wirginia”. Kwatera główna DARPA.

- O co chodzi? - spytał Nash. Fizyk wziął głęboki wdech.

- Dziś rano dokonano tam włamania. Zginęło siedemnastu ludzi ochrony. Zabito całą nocną zmianę.

Twarz Nasha pobladła.

- Chyba nie...

Copeland skinął głową z ponurą miną.

- Ukradli Supernową.

Nash przez sekundę patrzył tępo w przestrzeń.

- Nic więcej nie zabrali - dodał Copeland. - Dokładnie wiedzieli, gdzie jest. Mieli kody do Skarbca i karty do zamków. Musimy zakładać, że znają także kody do zamka tytanowego na samym urządzeniu i może również wiedzą, jak je zdetonować.

- Wiadomo, kto to był?

- Na miejscu jest teraz NCIS. Pierwsze oględziny wskazują na to, że mogła to być robota grupy paramilitarnej w rodzaju Bojowników Wolności.

- Cholera! Cholera jasna! Muszą wiedzieć o figurce bożka - To bardzo prawdopodobne.

- W takim razie musimy się pospieszyć, by nie znaleźli jej przed nami.

- Oczywiście - zgodził się z nim Copeland.

Race przysłuchiwał się temu, nie bardzo rozumiejąc, o czym mowa. Włamało się do kwatery DARPA, ale nie miał zielonego pojęcia, co tak naprawdę skradziono. Coś, co nazywało się „Supernowa”. Kim poza tym byli ci Bojownicy Wolności?

Nash wstał.

- Jaką mamy przewagę? - spytał.

- Może ze trzy godziny.

- No to musimy się sprężyć - stwierdził pułkownik i odwrócił się do Race'a. - Profesorsze, przykro mi, ale stawka w tej grze właśnie została podniesiona. Nie wolno nam zmarnować ani chwili. Sprawą zasadniczej wagi jest teraz, aby manuskrypt był w momencie naszego przylotu do Cuzco przetłumaczony, bo kiedy tylko wylądujemy, zaczniemy ostro biec.

Nash, Copeland i Chambers rozeszli się i zostawili Race'a samego - z manuskrytem.

Znów popatrzył na pierwszą stronę, przyjrzał się nieco zamazanej kopii. Potem wziął głęboki wdech i przewrócił kartkę.

Miał przed sobą pierwszą linijkę tekstu, napisanego średniowieczną łaciną.

MEUS NOMINUS EST ALBERTO LUIS SANTIAGO ET ILLE EST MEUM REM...

Przetłumaczył:

„Nazywam się Alberto Luis Santiago i oto moja opowieść...”.

PIERWSZE CZYTANIE

Pierwszego dnia dziewiątego miesiąca Roku Pańskiego 1535 zostałem zdrajcą mego kraju.

Pomogłem pewnemu człowiekowi uciec z więzienia, z rąk moich rodaków.

Nazywał się Renco Capac i twierdził, że jest księciem Inków, młodszym bratem ich najwyższego władcy, Manca Capaca, którego zwali Sapa Inka.

Był przystojnym mężczyzną o gładkiej oliwkowej skórze i długich czarnych włosach. Jego charakterystycznym znakiem było wyraźne znamię tuż pod lewym okiem. Wyglądało jak odwrócony szczyt górski - trójkąt brązowej skóry, jakby przyklejony do jego gładkiej twarzy.

Po raz pierwszy ujrzałem Renca na pokładzie „San Vicente”, galeonu więziennego, zakotwiczonego na rzece Urubamba, piętnaście kilometrów na północ od stolicy Inków, Cuzco.

„San Vicente” był najgorszym ze wszystkich statków więziennych, zakotwiczonych na rzekach Nowej Hiszpanii - był starą, nie nadającą się do pokonywania oceanu krypą, której ścięto maszty, wciągnięto rzeką w głąb ładu, by zamykać pod jej pokładem wrogo nastawionych tubylców.

Uzbrojony jak zwykle w moją ceną, oprawną w skórę Biblię, trzystustronicową, pisaną ręcznie wersję Wielkiej Księgi, którą „Ostałem w prezencie od rodziców, gdy otrzymałem święcenia kapłańskie, przybyłem do kadłuba więziennego galeonu, by nauczać pogan Słowa Naszego Pana.

Zetknąłem się z młodym księciem Renco jako reprezentant Wiary. W odróżnieniu od innych, wtrąconych do tego wraka nieszczęśników - śmierdzących, paskudnych kreatur, które z powodu warunków, w jakich musiały żyć, przypominały bardziej psy niż ludzi - był zgrabny w mowie i edukowany. Cechowała go także wrażliwość, jakiej nigdy przedtem nie spotkałem u żadnego człowieka. Były w nim łagodność i wyrozumiałość, a jego spojrzenie wnikało aż do głębi mojej duszy.

Był także niezwykle inteligentny. Moi rodacy od trzech lat przebywali w Nowej Hiszpanii i zdążył poznać nasz język. Bardzo zależało mu także na poznaniu naszej Wiary i zrozumieniu naszych ludzi oraz poznaniu ich zwyczajów i z radością go uczyłem. W każdym razie wkrótce się zaprzyjaźniliśmy i często go odwiedzałem.

Pewnego dnia opowiedział mi o swojej misji.

Twierdził, że został pojmany podczas podróży do Cuzco, skąd miał zabrać posążek inkaskiego bożka. Nie chodziło przy tym o jakiegoś tam zwykłego bożka, a o bardzo czczony, być może najbardziej czczony bożka Inków. Bożka, który ich zdaniem ucieleśniał ich ducha.

Renco wpadł jednak w zasadzkę, którą Gubernator zastawił razem z Chankami, plemieniem z północnych obszarów dżungli, które jakiś czas temu Inkowie sobie podporządkowali.

Jak wiele innych plemion z tamtego regionu, Chankowie uznali, że przybycie moich rodaków to dla nich szansa uwolnienia się spod tyranii Inków. Chętnie oferowali Gubernatorowi swe usługi jako informatorzy i przewodnicy, a w zamian

dostawali muszkiety i stalowe rapiery, które były cenną zdobyczą, ponieważ plemiona Nowej Hiszpanii nie znały brązu ani żelaza.

Gdy Renco opowiadał mi o swej misji i pojmaniu przez ludzi Gubernatora, za jego plecami dostrzegłem Indianina z plemienia Chanków, którego także więziono we wnętrzu „San Vicente”.

Nazywał się Castino i był bardzo brutalnym człowiekiem. Wysoki, zarośnięty i niedomyty, stanowił całkowite przeciwieństwo elokwentnego i wrażliwego Renca. Był odpychającą kreaturą, najbardziej odrażającą ludzką istotą, jaką miałem nieszczęście widzieć na oczy. Lewy policzek miał przekłuty zaostrowym kawałkiem zbielałej kości - był to znak charakterystyczny Chanków. Za każdym razem, kiedy przychodziłem z wizytą do młodego księcia. Castino z wściekłością wpatrywał się w plecy mojego przyjaciela.

Kiedy Renco opowiadał mi o figurce bożka, bardzo cierpiał. Przedmiot jego poszukiwań był zamknięty w krypcie, znajdującej się w Cuzco, we wnętrzu Świątyni Słońca - Coricancha. Tego właśnie dnia Renco, podsłuchując rozmowę dwóch strażników, dowiedział się, że Cuzco niedawno padło, a Hiszpanie weszli w obręb murów i zaczęli grabić i plądrować miasto.

Ja również słyszałem o wzięciu Cuzco. Krążyły wieści, że dokonywane tam grabieże są najgwałtowniejsze i najbrutalniejsze z całej konkwisty. Mnożyły się plotki o Hiszpanach, mordujących nawet swoich towarzyszy broni z żądzy zawładnięcia złotem, ukrytym w mieście.

Tego rodzaju opowieści napełniały mnie odrazą. Przybyłem do Nowej Hiszpanii pół roku wcześniej, ze wszystkimi niemądrymi ideałami początku - pragnieniem nawrócenia miejscowych pogan na naszą szlachetną Wiarę, marzeniami o prowadzeniu kolumny żołnierzy z krucyfikami w rękach i projektami budowy kościołów z wznoszącymi się w niebo iglicami, których zazdrościłaby nam Europa. Ideały te szybko jednak rozwiął widok aktów okrucieństwa i chciwości, jakich każdego dnia dopuszczali się moi rodacy.

Mord, grabież i gwałt - nie były to czyny ludzi, walczących w imię Boga. Były to czyny łajdaków i złoczyńców i w chwilach największego rozczarowania - gdy byłem na przykład świadkiem, jak jeden z naszych żołnierzy odrąbuje głowę kobiecie, by zdobyć jej złoty naszyjnik - zastanawiałem się, czy walczę po dobrej stronie. To, że hiszpańscy żołnierze posunęli się podczas plądrowania Cuzco do mordowania własnych towarzyszy, wcale mnie nie zaskakiwało.

Powiniennem dodać w tym momencie, że już wcześniej słyszałem pogłoski o świętym bożku Renca, powszechnie wiadome bowiem było, że Hernando Pizarro, brat Gubernatora i naczelny dowódca naszych wojsk, wyznaczył ogromną nagrodę za informację, która pozwoli znaleźć figurkę bożka. Moim skromnym zdaniem wielką

oznaką szacunku i poświęcenia Inków wobec ich bożka było to, że żaden z nich - ani jeden przedstawiciel ich narodu - nawet za bajeczną nagrodę Hernanda nie zdradził miejsca, gdzie jest ukrywany posążek. Ze wstydem muszę przyznać, że nie wierzę, by moi rodacy potrafili tak postąpić w podobnych okolicznościach.

Ale wśród licznych opowieści o grabieżach w Cuzco nie było żadnej o odkryciu cennego posążka. Gdyby go odnaleziono, wieść o tym rozpowszechniłaby się szybciej od wiatru. Prosty żołnierz, który odkryłby kryjówkę Idola, zostałby natychmiast uszlachcony, Gubernator natychmiast nadałby mu tytuł markiza i człowiek ten mógłby do końca swoich dni żyć w Hiszpanii w wielkim luksusie.

Mogłem stąd wnioskować, że Hiszpanie nie znaleźli posążka w Cuzco.

- Bracie Alberto - powiedział Renco, patrząc na mnie błagalnie - pomóż mi. Pomóż mi uciec z tej pływającej klatki, abym mógł wykonać moje zadanie. Tylko ja mogę odzyskać Idola. Skoro Hiszpanie zajęli Cuzco, prędzej czy później go znajdą, jeśli ich nie ubiegnę.

No cóż...

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Nie mogłem czegoś podobnego zrobić. Nie wolno mi było pomóc nikomu w ucieczce. Gdybym się na to zdecydował, stałbym się zdrajcą mojego kraju. Gdyby mnie złapano, też zostałbym wtrącony do tego piekielnego pływającego lochu.

Opuściłem okręt bez słowa.

Wróciłem jednak. Wróciłem i znów rozmawiałem z młodym księciem - i znów spokojnym głosem prosił mnie o pomoc, patrząc na mnie jednocześnie błagalnym wzrokiem.

Za każdym razem, kiedy bliżej rozpatrywałem tę całą sprawę, moje myśli krążyły wokół dwóch wątków: całkowitej utraty moich złudzeń, spowodowanej godnymi pogardy czynami ludzi, których nazywałem swoimi rodakami - i podziwem wobec ludzi z narodu Inków, którzy nawet w obliczu przeważających sił wroga w tak stoicki sposób odmawiali ujawnienia miejsca przechowywania świętej figurki.

Nigdy w życiu nie widziałem tak wielkiego poświęcenia i zazdrościłem tym ludziom ich niezłomnej wiary. Opowiadano mi, jak Hernando, ogarnięty obsesyjnym pragnieniem znalezienia posążka, torturował całe wsie, docierały do mnie informacje o straszliwych, bestialskich czynach, jakich się dopuszczał. Zastanawiałem się, jak sam bym się zachował, będąc świadkiem torturowania i mordowania moich bliskich. Czy poddany takiej próbie ujawniłbym, gdzie znajduje się Jerozolima?

Doszedłem do wniosku, że tak - i podwójnie się zawstydzilem.

Tak więc, wbrew mej Wierze i lojalności wobec własnego kraju, postanowiłem pomóc Rencowi.

Opuściłem więzienny galeon, ale wróciłem późnym wieczorem i tak jak kazał mi

Renco, przyprowadziłem ze sobą młodego chłopca - Inkę o imieniu Tupac. Było zimno, więc obaj skrywaliśmy twarze pod kapturami, a dłonie pochowaliśmy w rękawach.

Stanęliśmy przy wartowni na brzegu rzeki. Ponieważ większość moich rodaków uczestniczyła w grabieży w Cuzco, w namiotach przy więziennym okręcie pozostało niewielu żołnierzy. Okazało się, że o tej porze prowadzącego do więzienia mostka pilnuje tylko jeden wartownik - tłusty, niechlujny drab z Madrytu, śmierdzący wódką i brudny jak nieszczęście.

Strażnik rzucił jedynie okiem na młodego Inkę (w owych czasach mnisi często miewali tubylczych służących), głośno beknął i kazał nam wpisać się do rejestru.

Wpisałem nasze nazwiska, po czym weszliśmy na wąską kładkę, biegnącą od brzegu do drzwi osadzonych w burcie stojącego na środku rzeki okrętu.

Kiedy minęliśmy niechlujnego strażnika, Tupac odwrócił się błyskawicznie, złapał go od tyłu za głowę i szarpnął nią, skręcając mu kark. Ciało wartownika opadło ciężko na krzesło, na którym spędzał wartę. Choć wszystko się we mnie ścisnęło na widok gwałtowności tego czynu, uświadomiłem sobie ze zdziwieniem, że odczuwam niewielkie współczucie dla wartownika. Podjąłem decyzję - sprzymierzyłem się z wrogiem - i nie było już odwrotu.

Mój młody towarzysz zabrał wartownikowi muszkiet i jego pistallo - czy „pistolet”, jak niektórzy moi rodacy zaczęli nazywać tę broń - i klucze. Potem przywiązał do nóg zabitego kamień i wrzucił ciało do rzeki.

W bladobłękitnym świetle księżyca pokonaliśmy niepewną kładkę i weszliśmy do wnętrza okrętu.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, pilnujący wejścia strażnik skoczył na równe nogi, ale Tupac okazał się szybszy. Nie zatrzymując się, strzelił z pistoletu. Odgłos strzału w zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający. Więźniowie, zamknięci w otaczających nas ze wszystkich stron klatkach, natychmiast pobudzili się od huk.

Gdy doszliśmy do klatki Renca, już na nas czekał.

Jeden z kluczy wartownika doskonale pasował do zamka jego klatki i drzwi otworzyły się bez trudu. Więźniowie wrzeszczeli i walili w pręty krat, prosząc o uwolnienie. Mój wzrok biegał we Wszystkich kierunkach i nagle pośrodku tego całego tumultu dostrzegłem coś, co zmroziło mi krew w żyłach.

W jednej z klatek stał Castino z plemienia Chanków - całkowicie bez ruchu - i wpatrywał się we mnie.

Renco wyskoczył ze swojej otwartej klatki, podbiegł do zabitego wartownika, zabrał mu broń i podał mi ją.

- Chodź! - rzucił, budząc mnie z odrętwienia, w jakie wprawił mnie wzrok Castina.

Ubranie mojego młodego przyjaciela było w strzępach, zaczął więc ściągać ze strażnika mundur. Szybko włożył na siebie jego grubą kurtę, pantalon i buty.

Zaraz potem zaczął otwierać niektóre z klatek. Zauważyłem, że uwalniał jedynie wojowników Inków - nie wypuścił ani jednego więźnia z podporządkowanych przez Inków plemion, takich jak Chankowie.

Po chwili Renco - z muszkietem w dłoniach - ignorując błagania pozostałych więźniów, krzyknął, bym za nim podążał, i wybiegł na zewnątrz.

Ruszył szybko chwiejną kładką, prowadząc za sobą dużą grupę uwolnionych więźniów. Niestety w obozie usłyszano już tumult na okręcie i gdy zeskakiwaliśmy z kładki na brzeg, pojawili się czterej konni Hiszpanie i natychmiast zaczęły strzelać do nas z muszkietów. Huk broni zadudnił w nocnym powietrzu jak gromy.

Renco odpowiedział ogniem, a ponieważ obchodził się z muszkietem nie gorzej od doświadczonego hiszpańskiego piechura, zwałił z siodła jednego z konnych. Pozostali Inkowie wybiegli przed nas i w mgnieniu oka pokonali dwóch następnych żołnierzy. Ostatni konny obrócił wierzchowca tak, że stanął prosto przede mną. W jego oczach pojawił się złowrogi, gniewny błysk - widziałem, że mimo ciemności rozpoznał we mnie Europejczyka, pomagającego poganom - po czym podniósł pistolet.

Nie mając wyjścia, również szybko uniosłem pistolet, który trzymałem w dłoni, i wypaliłem. Zadudniło w mojej ręce i jestem gotów przysiąc na Biblię, że siła odrzutu niemal wyrwała mi ramię. Jeździec przede mną szarpnął ciałem do tyłu i jeszcze nim spadł na ziemię, był martwy.

Stałem nieruchomo, trzymałem pistolet w dłoni i wpatrywałem się w martwe ciało, próbując sam siebie przekonać, że nie uczyniłem nic złego. Ten człowiek chciał mnie przecież zabić...

- Bracie Alberto! - zawołał Renco.

Odwrociłem się i ujrzałem go siedzącego na hiszpańskim koniu - Chodź! - krzyknął. - Weź jego konia! Musimy się dostać do Cuzco!

Cuzco leży na początku długiej doliny, biegnącej z północy na południe. Jest otoczone murem i po obu jego stronach płyną rzeki - Huatanay i Tullumayo - które służą mu jako fosy.

Na wzgórzu na północ od miasta, wznosząc się wysoko nad nim, stoi najbardziej dominująca budowla doliny Cuzco. Z góry, niczym bóg, patrzy na miasto kamienna forteca Sacsayhuaman.

Nie przypomina ona niczego, co kiedykolwiek w życiu widziałem. Nic w Hiszpanii ani nawet w całej Europie nie może się z nią równać wielkością i potęgą.

Jest to przerażająca, czworokątna w podstawie cytadela - i ma trzy ogromne piętra, z których każde ma co najmniej dziesięć metrów wysokości, a są one

zbudowane z ogromnych bloków kamienia, ważących przynajmniej po sto ton każdy.

Inkowie nie znają zaprawy murarskiej, ale brak ten nadrabiają z nawiązką niezwykłym kunsztem kamieniarskim. Zamiast łączyć kamienie zaprawą, budują wszystkie swoje fortece, świątynie pałace, tnąc wielkie głązy w regularne kształty i układając je jeden na drugim tak, by każdy doskonale pasował do poprzedniego. Szczeliny między monumentalnymi kamieniami są tak wąskie, że nie da się między nie wsunąć ostrza noża.

W tej scenerii miało miejsce oblężenie Cuzco, które należy uznać za jedno z najdziwniejszych, najbardziej niezwykłych oblężeń w całej historii wojen współczesnych.

Jego niezwykłość wynika z następującego faktu: najeźdźcy - moi rodacy, Hiszpanie - znajdowali się wewnątrz murów, a mieszkańcy miasta, Inkowie - stali pod murami.

Innymi słowy, Inkowie oblegali własne miasto.

Trzeba tu oczywiście dodać, że sytuacja ta była wynikiem długiego i skomplikowanego łańcucha wydarzeń. W 1533 roku moi rodacy wkroczyli do Cuzco, nie napotykając żadnego oporu, i z początku zachowywali się przyjaźnie wobec mieszkańców. Kiedy jednak uświadomili sobie, jakie bogactwa kryją mury miasta, zniknęły wszelkie pozory uprzejmości.

Żołnierze zaczęli grabić Cuzco, bezlitośnie łamiąc wszelki opór. Miejscowi mężczyźni byli brani do niewoli, kobiety gwałcono, a wszystkie zrabowane złote przedmioty przetapiano. Wkrótce Inkowie zaczęli nazywać Hiszpan „zjadaczami złota”, być może uważając, że ich nienasycony głód złota wynika z potrzeby jego jedzenia.

W 1535 roku Sapa Inka - brat Renca, Manco Capac - który do tego czasu zachowywał się wobec moich rodaków pojednawczo, uciekł ze stolicy w góry i zebrał wielką armię, z którą zamierzał odzyskać miasto.

Armia ta, składająca się ze stu tysięcy ludzi - uzbrojonych jedynie w kije, pałki i łuki - z furją spadła na Cuzco i w ciągu jednego dnia wzięła Sacsayhuaman, potężną, górującą nad całą doliną cytadelę. Hiszpanie schowali się w murach miasta.

I tak zaczęło się oblężenie.

Trwało trzy miesiące.

Nic nie mogłoby mnie przygotować na widok, jaki ujrzałem, przejeżdżając przez ogromne bramy rogatek na północnym krańcu doliny Cuzco.

Była noc, ale wokół było tak jasno, że równie dobrze mógłby to być dzień. Wszędzie płonęły ogniska - zarówno wewnątrz murów, jak i na zewnątrz. Krajobraz przypominał Piekło.

Dolinę przede mną wypełniał największy tłum, jaki kiedykolwiek widziałem.

Z cytadeli na wzgórzu w kierunku miasta płynął falujący strumień ludzi - sto tysięcy maszerujących na piechotę Inków, krzyczących i wściekle wyjących, wywijających pochodniami i machających bronią. Otoczyli całe miasto. Budynki wewnątrz murów trawiły pożary.

Renco wjechał prosto w kipiącą masę ludzką, która zaczęła rozdzielać się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Kiedy ruszyłem za nim w tę wyrwę, usłyszałem niesamowity ryk, wydobywający się z gardeł otaczających nas Inków. Był to wrzask radości, krzyk tak pełen zapału i świętego uniesienia, że aż włosy stanęły mi na karku.

Choć Renco ubrany był w strój hiszpański, ludzie zdawali się go rozpoznawać i natychmiast odsuwali się na bok, aby zrobić mu miejsce. Zachowywali się tak, jakby każdy wiedział o jego misji i był gotów zrobić wszystko co w jego mocy, by pomóc mu ją wypełnić.

Pędziliśmy przez drgający tłum z ogromną prędkością, a ludzie rozstępowali się i witali nas entuzjastycznymi okrzykami.

Zsiedliśmy z koni niedaleko potężnej fortecy Sacsayhuaman i podążyliśmy szybkim krokiem przez szeregi indiańskich wojowników.

Idąc, zauważyłem powbijane w ziemię drągi, na których tkwiły krwawe głowy hiszpańskich żołnierzy. Niektóre drągi były bardzo grube, a na ich szczytach tkwiły całe ciała - bez głów i rąk. Nie zwalniałem kroku, starając się trzymać blisko Renca.

Nagle tłum przed nami ostatecznie się rozdzielił i ujrzałem stojącego przed jednym z wejść do gigantycznej kamiennej fortecy Indianina, ubranego w ceremonialny strój. Miał na sobie jaskrawoczerwony płaszcz, na piersi pectorał ze złotych płytek, a na głowie wspaniałą, wysadzaną klejnotami koronę. Otaczało go co najmniej dwudziestu żołnierzy.

Był to Manco. Sapa Inka.

Objął Renca i zaczęli rozmawiać w języku keczua, którym posługują się Inkowie. Później Renco przetłumaczył mi tę rozmowę:

- Bracie - zaczął Sapa Inka - baliśmy się o ciebie. Słyszeliśmy, że zostałeś pojmany, a nawet krążyły wieści, że zginąłeś. Jesteś jedynym człowiekiem, który ma prawo wejść do krypty i uratować...

- Tak, bracie, wiem - przerwał mu Renco. - Nie mamy czasu. Muszę natychmiast wejść do miasta. Użyto już wejścia od rzeki?

- Nie. Tak jak sobie tego życzyłeś, powstrzymaliśmy się od tego, aby nie zdradzić zjadaczom złota jego istnienia.

- To dobrze. Mam jeszcze jedno pytanie.

- Jakież?

- Bassario. Jest w mieście?

- Bassario? - Manco zmarszczył czoło. - Nie wiem...
- Był w mieście, kiedy padło?
- Oczywiście.
- Gdzie?
- W więzieniu dla wieśniaków. Tam gdzie znajdował się od roku. Tam gdzie jego miejsce. Dlaczego pytasz? Po co ci ktoś taki jak Bassario?
- Później ci to wytłumaczę, bracie. Ale jeżeli nie znajdę Idola, nie będzie to miało znaczenia.

Nagle za naszymi plecami powstało jakieś zamieszanie i odwróciliśmy się.

Moje serce przepełniło przerażenie: przez północne bramy rogatek wchodziła do doliny, strzelając z muszkietów, kolumna złożona z co najmniej trzystu Hiszpanów w srebrnych pancerzach i spiczastych hełmach. Ich konie chroniły ciężkie płyty ze srebra, dzięki czemu mogli bez trudu przebijać się przez szeregi inkaskich wojowników.

Kiedy patrzyłem na kolumnę konkwistadorów, tratujących zagrządzających im drogę ludzi, moją uwagę zwróciło dwóch jeźdźców na czele. Pierwszym był kapitan Hernando Pizarro, brat Gubernatora i niezwykle okrutny człowiek. Jego charakterystyczne czarne wąsy i zmechacona broda były widoczne nawet z miejsca, w którym stałem - z odległości czterystu kroków.

Drugim jeźdźcą był osobnik, którego widok napełnił moje serce jeszcze większym przerażeniem. Aby się upewnić, musiałem dokładniej mu się przyjrzeć. Niestety moje obawy zostały potwierdzone.

Był to Castino. Chanka, który siedział w więziennym galeonie „San Vicente” razem z moim przyjacielem Renco. Ale teraz był wolny - i przybywał razem z Hernandem.

Nagle wszystko zrozumiałem.

Castino musiał podsłuchać moją rozmowę z młodym księciem.

Prowadził Hernanda do krypty, znajdującej się w Coricancha Renco również się tego domyślił.

- O bogowie... - jęknął i odwrócił się gwałtownie do brata. - Muszę iść.
Natychmiast.

- Niech cię nogi prędko niosą, bracie.

Renco skłonił się Sapa Ince, a potem popatrzył na mnie i powiedział po hiszpańsku:

- Chodź. Musimy się spieszyć.

Zostawiliśmy Sapa Inkę i pospieszyliśmy na południe miasta, części najbardziej oddalonej od fortecy Sacsayhuaman. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że Hernando i jego ludzie wjeżdżają do miasta północną bramą.

- Dokąd idziemy? - spytałem, kiedy szliśmy szybko przez rozwścieczony tłum.
- Do dolnej rzeki - odparł mój towarzysz, nie wyjaśniając mi nic więcej.

Wkrótce doszliśmy do rzeki, otaczającej południowe mury miasta. Po blankach murów za rzeką chodzili uzbrojeni w rapiery i muszkiety hiszpańscy żołnierze, oświetlani od tyłu pomarańczowym światłem płonących w mieście ogni.

Młody książę szedł prosto ku rzece i po chwili, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, w butach i ubraniu wszedł do wody.

- Zaczekaj! - zawołałem. - Dokąd idziesz?!
- Tutaj - odparł, wskazując na wodę.
- Ale... ja nie mogę. Nie mogę wejść z tobą do rzeki. Renco złapał mnie za ramię.
- Alberto, mój przyjacielu... dziękuję ci z całego serca za to, co zrobiłeś, by

pomóc mi wypełnić moją misję, jeśli jednak mam ją dokończyć, muszę się teraz spieszyć. Dołącz do mnie, Alberto. Zostań ze mną. Popatrz na tych wszystkich ludzi - jesteś dla nich bohaterem, ponieważ jesteś przy mnie. Ale kiedy się ze mną rozstanieś, będziesz dla nich kolejnym zjadaczem złota, którego należy zabić. Muszę teraz iść, nie mogę z tobą zostać. Jeżeli ze mną nie pójdziesz, nie będę w stanie ci pomóc. Chodź, Alberto. Odważ się żyć.

Popatrzyłem na inkaskich wojowników za nami. Nawet uzbrojeni jedynie w prymitywne pałki, wyglądali groźnie. Na wbitej niedaleko tyce tkwiła głowa hiszpańskiego żołnierza, szczerząca zęby w groteskowym ziewnięciu.

- Chyba pójde z tobą - oświadczyłem i wszedłem za moim młodym przyjacielem po pas w wodę.

- Doskonale. Weź głęboki wdech i trzymaj się blisko mnie. Powiedziawszy to, wciągnął powietrze w płuca i zniknął pod wodą. Pokręciłem głową i wbrew własnej woli zrobiłem to samo.

Otoczyła nas cisza.

Śpiewy i krzyki inkaskich wojowników umilkły.

W ciemnościach mrocznej wody podążyłem za stopami Renca w kierunku kamiennego tunelu, biegnącego w podwodnej części miejskich murów.

Wypełniony wodą tunel był tak wąski, że ledwie się w niego wcisnąłem. Przedostawanie się przez niego zdawało się trwać wieczność, ale w chwili gdy miałem wrażenie, że zaraz pękną mi płuca, dostrzegłem koniec tunelu i mocniej pociągnąłem rękami przez wodę.

Wypłynąłem w jakimś zbiorniku burzowym, oświetlonym osadzonymi na ścianach pochodniami. Stałem po pas w wodzie, otaczały mnie mokre kamienie. Od komory odchodziły we wszystkie strony kamienne tunele o prostokątnym przekroju. Powietrze wypełniał smród ludzkich ekskrementów.

Renco szedł przez wodę w kierunku jednego z odchodzących w bok kanałów.

Podążyłem za nim.

Zaczęliśmy krążyć labiryntem tuneli - w prawo, potem w lewo, następnie znów w prawo. Renco ani razu się nie zawahał - za każdym razem skręcał z wielką pewnością siebie, dokładnie wiedząc, gdzie iść.

Nagle zatrzymał się i popatrzył w górę.

Stanąłem za nim zaskoczony. Nie widziałem żadnej różnicy między tunelem, w którym się znajdowaliśmy, a którymkolwiek z kilku innych, które już przeszliśmy.

Renco zanurzył się pod smrodliwą wodę. Kilka chwil później wynurzył się z powrotem - z kamieniem wielkości pięści w dłoniach. Wszedł z wody na wąską półkę, która biegła wzdłuż tunelu, i zaczął wydobywać z dna kanału kamieniem walić w jeden z głazów, tworzących sufit tunelu.

BANG-BANG. BANG.

Chwilę zaczekał, a potem powtórzył tę samą sekwencję.

BANG-BANG. BANG.

Musiał to być jakiś kod. Renco wszedł z powrotem do wody i obaj w milczeniu wpatrywaliśmy się w mokry sufit, czekając, aż coś się wydarzy.

Nic się jednak nie działo.

Czekaliśmy dalej. Zauważyłem, że kamienna płyta, w którą walił Renco, ma w rogu wyryty znak: koło z podwójnym V w środku.

Nagle zza kamieni doleciała seria stłumionych tapnięć. BUM-BUM. BUM. Ktoś powtarzał kod Renca.

Mój towarzysz odetchnął z ulgą. Znów wszedł na półkę i znów załomotał - w nowym rytmie.

Chwilę potem, ze zgrzytem trących o siebie kamieni, odsunął się cały kawał sufitu, ukazując nad naszymi głowami czarną otchłań.

Renco natychmiast wszedł z wody i zniknął w dziurze w suficie. Podążyłem za nim.

Znalazłem się we wspaniałym pomieszczeniu - ogromnej, przypominającej kryptę sali, której ściany zdobiły złote posągi. Ściany tego wielkiego pomieszczenia wykonane były z potężnych kamiennych bloków, szerokich i wysokich na trzy metry - i prawdopodobnie tak samo grubych. Nie było tu drzwi, jedynym wyjściem mogło być miejsce zasłonięte mniejszym kamieniem - o średnicy nie większej niż dwa metry.

Byłem w skarbcu Coricancha.

Wielką salę rozświetlała pojedyncza pochodnia, którą trzymał inkaski wojownik. Za jego plecami stało trzech kolejnych Inków, patrzących na mnie z zaciekawieniem.

W skarbcu znajdowała się jeszcze jedna osoba: stara kobieta. Dla niej istniał tylko Renco.

Była siwa i pomarszczona, ale widać było, że w młodości Musiała być niezwykle

piękna. Miała na sobie białą tunikę - a na głowie diadem ze złota i szmaragdów. Prosta biała suknia sprawiała, że wyglądała jak kapłanka jakiegoś...

BUM!

Aż podskoczyłem. Renco odwrócił się w stronę, skąd zdawał się dochodzić odgłos.

BUM!

Ktoś walił w kamienne drzwi.

Zamarłem w przerażeniu.

Hiszpanie!

Hernando.

Próbowali dostać się do środka.

Stara kapłanka powiedziała coś do Renca po keczuańsku. Kiedy jej odpowiadał, wskazał na mnie.

BUM! BUM!

Kobieta odwróciła się do kamiennego postumentu za jej plecami. Stało na nim coś przykrytego purpurowym materiałem, przypominającym z wyglądu jedwab.

Kapłanka wzięła okryty materiałem przedmiot i - mimo walenia w mury - powoli i uroczyście podała go Rencowi. Choć tajemniczy przedmiot był ukryty pod purpurową tkaniną, dało się zauważyć, że jest kulisty i ma wielkość ludzkiej czaszki.

Renco z szacunkiem przyjął dar.

BUM! BUM!

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego młody książę porusza się tak straszliwie powoli. Ściany wokół nas drżały od nieustannych uderzeń. Po chwili Renco zdjął okrywający kulisty przedmiot materiał. Wreszcie zobaczyłem, co to takiego.

Miałem przed sobą figurkę najpiękniejszego, ale zarazem najstraszliwszego bożka, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Był całkowicie czarny, wyrzeźbiono go z jednego bloku jakiegoś dziwnego, niespotykanego kamienia. Krawędzie były ostre i poszarpane, jakby je nierówno przycięto, a pośrodku bloku wyrzeźbiono pysk górskiego kota z wyszczerzonymi kłami. Wyglądało to tak, jakby kot - oszalały z wściekłości - wypychał łeb ze środka kamienia.

Po pysku zwierzęcia spływały cienkie, wijące się pasma jasnej purpury - skazy w kamieniu - sprawiając, że rzeźba wydawała się jeszcze bardziej przerażająca.

Renco zakrył figurkę bożka. Stara kapłanka podeszła do niego i włożyła mu coś na szyję. Był to cienki skórzany rzemień z ogromnym zielonym klejnotem - wspaniałym, błyszczącym szmaragdem wielkości ucha mężczyzny. Młody książę przyjął ten dar z pełnym powagi skinieniem głową i odwrócił się do mnie.

- Musimy iść - oświadczył.

Trzymając bożka pod pachą, ruszył ku dziurze w podłodze. Pospieszyłem za nim. Czwórka inkaskich wojowników trzymała kamienną płytę, która miała zakryć drogę naszej ucieczki. Stara kobieta stała nieruchomo, patrząc, jak odchodzimy.

Renco wszedł do kanału. Gdy zacząłem się za nim spuszczać, coś mnie nagle uderzyło.

Wokół panowała kompletna cisza.

Dudnienie z zewnątrz umilkło.

Po chwili uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nie było go już słyhać od dłuższego czasu.

W tym momencie wejście do skarbcza eksplodowało.

Wokół krawędzi zasłaniającej wejście kamiennej płyty błysnęły jaskrawobiały płomień, a w chwilę później dwumetrowy głąz rozprysnął się na kawałki, obsypując wnętrze komnaty gradem wielkich jak pięść kamieni.

Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Żaden taran nie mógł tak szybko rozbić tego potężnego kamienia...

Kiedy jednak dym i pył w otworze opadły, w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą były kamienne drzwi, ujrzałem wielką czarną lufę armatnią.

Zakręciło mi się w głowie.

Moi rodacy wdarli się do komnaty, strzelając z haubicy!

- Chodź! - zawołał Renco z dołu.

Natychmiast zacząłem się zanurzać w dziurę - w tym samym momencie z chmury opadającego pyłu wypadli pierwsi hiszpańscy żołnierze, strzelając we wszystkie strony z muszkietów.

Gdy spuszczałem się do dziury w podłodze, ujrzałem kapitana - Hernanda Pizarra - wbiegającego do komnaty z pistoletem w dłoni. Wściekle błyskał oczami i rozglądał się gorączkowo, szukając bożka, którego tak bardzo pożądał.

Nagle skierował wzrok w dół i przez przerażającą chwilę obaj patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

Pędziłem po pas w wodzie niczym szalenciec, starając się dorównać Rencowi. Za sobą słyszałem wrzaski żołnierzy, odbijające się od kamiennych ścian tuneli, i widziałem długie, złowieszcze cienie, wypadające za naszymi plecami zza rogów.

Renco w milczeniu parł przez brudną wodę, ściskając pod pachą figurkę bożka.

Biegliśmy ile sił tunelami, skręcając to w prawo, to w lewo, podążając ciemnym, kamiennym labiryntem w kierunku wejścia od strony rzeki i wolności.

W pewnym momencie zauważyłem, że nie biegniemy tą samą drogą, którą tu przyszliśmy.

Renco wcale nie zdążył ku wyjściu od strony rzeki.

- Dokąd idziemy?! - krzyknąłem do niego.

- Nie zatrzymuj się! - odkrzyknął tylko.

Ledwie skręciłem za róg, jedna z wiszących na ścianie pochodni została zdmuchnięta strzałem z muszkietu. Odwróciłem się i ujrzałem prących za nami przez wodę sześciu konkwistadorów. Światło pochodni tańczyło na ich błyszczących hełmach.

- Są tuż za nami! - zawołałem.

- Więc biegnij szybciej!

Rozległy się kolejne strzały z muszkietów, głośnie jak grzmoty, ogłuszające. Pociski wyrwały ze ścian nad naszymi głowami kawałki kamienia.

W pewnym momencie Renco wskoczył na skalną półkę i pchnął ramieniem jeden z kamieni w suficie - miał on w rogu wykuty taki sam tajemniczy znak, jaki widziałem przedtem: kółko z podwójnym V. Wskoczyłem na półkę za moim towarzyszem i pomogłem mu pchać kamień do góry. Nad naszymi głowami ukazało się rozgwieżdżone nocne niebo.

Renco wyszedł na górę pierwszy, ja zaraz za nim. Staliśmy w wąskim, brukowanym zaułku. Po obu stronach uliczki biegły wysokie kamienne mury.

Kiedy z pośpiechem wstawiałem kamień na miejsce, z dołu wystrzelono z muszkietu i pocisk z wizgiem trafił w skraj otworu, mijając o włos moje palce.

- Nie przejmuj się - powiedział uspokajająco Renco. - Chodź, tędy - dodał i pociągnął mnie w głąb uliczki.

Gdy bieглиśmy krętymi uliczkami Cuzco, mając cały czas na karku żołnierzy Hernanda, mury po obu stronach powoli zaczęły zamieniać się w rozmazane połacie szarości. Od czasu do czasu widzieliśmy grupki Hiszpanów, spieszących na blanki.

Ze wstydem muszę przyznać, że również i tutaj było mnóstwo pali i wysokich tyk, takich samych jak te pod murami miasta. Stały na każdym placu, szereg za szeregiem, a na nich tkwiły straszliwie okaleczone ciała pojmanych inkaskich wojowników. Wszystkie trupy miały poobcinane głowy, ręce i genitalia.

Na jednym z placyków Renco zauważył, że ze zwłok któregoś z Inków zwisa łuk. Natychmiast go wziął, podniósł leżący na ziemi kołczan ze strzałami, po czym znów skryliśmy się w labiryncie uliczek. Biegłem tuż za nim, nie mogłem pozwolić na to, aby zniknął mi choć na chwilę z oczu.

Nagle mój towarzysz skręcił i wszedł do jednego z budynków. Była to konstrukcja przypominająca w kształcie sześcian, bardzo masywna. Tak masywna, że od razu przychodziła do głowy myśl, że jest specjalnie umocniona.

Przeszliśmy przez szereg zewnętrznych pomieszczeń i zeszliśmy kamiennymi schodami do ogromnego podziemnego holu.

Podzielono go na dwa poziomy - większy dolny i mały górny, który właściwie był jedynie biegnącą wokół całego pomieszczenia galerijką.

Moją uwagę przyciągnął jednak poziom dolny.

W podłodze znajdowało się przynajmniej sto dziur, nad którymi biegła płatanina krzyżujących się ze sobą kamiennych kładek. Teraz zrozumiałem, gdzie jesteśmy.

Były to inkaskie lochy.

Uświadomiłem sobie, że ponieważ Inkowie nie znali metalurgii, nie mogli robić krat ani klatek. Problem z więźniami rozwiążali więc, budując lochy.

Jasne teraz było, czemu służy górna galeria: przebywali tam strażnicy pilnujący więźniów - mogli stąd obserwować ich z bezpiecznej odległości.

Renco nie zatrzymał się nawet na chwilę. Wszedł na krzyżujące się ze sobą kamienne kładki i zaczął zaglądać do dziur w dole. Buchnęły stamtąd wrzaski i lamenty - wszędzie siedzieli wynędzniali, konający z głodu więźniowie, pozostawieni swemu losowi, kiedy zaczęło się oblężenie miasta.

Renco zatrzymał się nad jedną z dziur. Poszedłem za nim i spojrzałem w dół.

Dziura w podłodze była głęboka przynajmniej na pięć kroków i miała pionowe, gładkie ściany. Ucieczka z tego miejsca była niemożliwa. Na dnie śmierdzącego dołu siedział brudny, obdarty mężczyzna. Choć był wychudzony, nie sprawiał wrażenia wycieńczonego, nie krzyczał też jak reszta zamkniętych tu nieszczęśników. Siedział oparty plecami o ścianę i wyglądał na rozluźnionego i spokojnego. Ta jego postawa - arogancki spokój, cechujący wszystkich zbrodniarzy świata - sprawiła, że poczułem ciarki na plecach. Byłem ciekaw, czego Renco chce od tej kreatury.

- Bassario! - zawołał cicho. Więzień uśmiechnął się.

- A niech mnie, jeśli to nie dobry książę Renco...

- Potrzebuję twojej pomocy.

Siedzący w dole mężczyzna najwyraźniej uznał to za dobry dowcip.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, z jakich moich umiejętności chciałbyś skorzystać, mój dobry książę. - Roześmiał się. - O co chodzi, Renco? Może teraz, gdy twoje królestwo się wali, zamierzasz wejść na drogę przestępstwa?

Mój młody towarzysz spojrzał za siebie, ku wejściu, by sprawdzić, czy nie zjawili się Hiszpanie. Martwiłem się nie mniej od niego. Byliśmy tu już o wiele za długo.

- Poproszę tylko raz, Bassario - powiedział Renco. - Jeżeli postanowisz mi pomóc, wydobędę cię stąd. Jeśli nie, zostawię cię, abyś tu zgnił.

- Ciekawy wybór...

- Jak brzmi twoja odpowiedź? Bassario wstał.

- Wyciągnij mnie z tej dziury.

Coraz bardziej martwił mnie Hernando i jego ludzie. Mogli się w każdej chwili zjawić, a Renco targował się ze skazańcem! Podbiegłem do drzwi wejściowych, wyrzuciłem ostrożnie na schody, którymi tu zeszedliśmy, i... ...ujrzałem czarną jak demon postać Hernanda Pizarra, zbiegającego w dół!

Widok ten sprawił, że krew zastygła mi w żyłach. Dzikie oczy, długie, zwisające wąsy, niechlujna czarna broda, niegolona od tygodni - przerażające!

Okręciłem się na pięcie, odskoczyłem od drzwi i rzuciłem się do ucieczki.

- Renco! - krzyknąłem.

Mój młody przyjaciel właśnie spuszczał drabinę do lochu Bassaria, ale wystarczyło mu jedno spojrzenie, by zorientować się, co się dzieje. Kiedy do środka wpadał pierwszy hiszpański żołnierz, jego ręce już napinały łuk. Puścił cięciwę i strzała pomknęła prosto w kierunku mojej głowy. Schyliłem się szybko i grot wbił się w czoło żołnierza za moimi plecami. Padł ciężko na ziemię, jakby jakaś siła podcięła mu stopy od tyłu.

Popędziłem w kierunku kamiennych kładek i zacząłem biec nad śmierdzącymi dziurami w ziemi.

Do holu wpadli kolejni konkwistadorzy - wśród nich Hernando - i zaczęli wściekle strzelać z muszkietów.

Bassario wyprysnął ze swego więzienia i ruszył razem z księciem Renco do części hali więziennej, znajdującej się za lochami.

- Alberto! Tędy! - zawołał Renco, wskazując szerokie wejście, wycięte w kamiennych płytach przeciwległej ściany wielkiej hali.

Zobaczyłem otwór i zawieszoną nad nim na czymś w rodzaju wyciągu kamienną płytę. Nie była duża - nie wyższa od dorosłego mężczyzny - i miała taki sam kształt, jak znajdujący się pod nią otwór. Trzymały ją w górze dwie liny, naciągnięte przeciwwagami, tak umieszczonymi, by otwór można było zasłaniać i odsłaniać z galerii na górze.

Biegłem z całych sił.

Nagle na plecy spadł mi jakiś potworny ciężar i pociągnął mnie w dół. Uderzyłem ciężko o kamienną kładkę i stwierdziłem ku swemu zaskoczeniu, że przyciska mnie do niej hiszpański żołdak!

Kłęcząc na mnie, wyciągnął z pochwy sztylet i właśnie zamierzał mnie zabić, ale w tym momencie strzała przeszła mu pierś.

Uderzyła go z taką siłą, że zgubił hełm, stoczył się z kładki i spadł prosto do jednego z lochów.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, jak rzuca się na niego czterech obszarpańców. Zniknął mi z oczu, a po chwili powietrze przeszył straszliwy wrzask przerażenia i bólu. Umierający z głodu więźniowie musieli zacząć pożerać go żywcem.

Kiedy podniosłem wzrok, był przy mnie Renco.

- Chodź! - złapał mnie za rękę i postawił na nogi.

Bassario dotarł już do otworu wyjściowego w głębi hali.

Wszędzie wokół rozlegały się strzały z muszkietów, a w miejscach, gdzie pociski

odbijały się od kamiennych kładek, tryskały garście pomarańczowych iskier.

Nagle jakaś zabłąkana kula uderzyła w jedną z lin podtrzymujących kamienną płytę nad drzwiami.

Lina pękła z głośnym trzaskiem i... ..kamienna płyta zaczęła opadać.

Bassario spojrzął z przerażeniem w górę, a potem odwrócił się do Renca.

- O, nie... - jęknął młody książę.

Znajdujące się czterdzieści kroków od nas wyjście - jedyna droga ucieczki - zaczęło się zamykać!

Oszacowałem odległość i prędkość, z jaką płyta się opuszczała.

Nie mieliśmy szansy zdążyć.

Wyjście znajdowało się zbyt daleko, płyta opadała za szybko. Jeszcze kilka chwil i będziemy zamknięci w tej wielkiej hali, skazani na łaskę i niełaskę moich żądnych krwi rodaków, którzy właśnie wbiegali na kamienne kładki za naszymi plecami, strzelając przez cały czas z muszkietów.

Nic nie mogło nas uratować.

Renco najwyraźniej był jednak innego zdania.

Szybko rozejrzał się wokół i jego wzrok zatrzymał się na spiczastym hełmie żołnierza, który spadając z moich pleców, stoczył się do lochu.

Sięgnął po hełm, podniósł go i rzucił silnym ruchem ramienia tak, że stalowy czerep zaczął mknąć w kierunku zamykających się drzwi, ślizgając się po zapyłonej podłodze.

Sunąc po ziemi, hełm wirował, a jego szpic migotał w płomieniach pochodni.

Kamienna płyta nadal opadała, przesuając się z chrzęstem wzdłuż boków otworu.

Metr, pół metra.

Ćwierć.

Wirujący jak bąk hełm wślizgnął się w szparę między opadającą płytą a ziemią i zablokował kamień. Płyta zatrzymała się niespełna pół metra nad podłogą, balansując na stalowym szpicu hełmu.

Popatrzyłem z podziwem na Renca.

- Jak to zrobiłeś?

- Nieważne. Chodź!

Zbiegliśmy razem z kładki i popędziliśmy ku nie do końca zamkniętemu otworowi wyjściowemu, przy którym czekał Bassario. Zastanawiałem się, dlaczego po prostu nie uciekł, wykorzystując to, że młody książę był zajęty ratowaniem mnie z opresji. Może uznał, że razem z nim ma większą szansę na przeżycie? A może był jakiś inny powód...

Przy wtórze ogłuszającego huku wystrzałów z muszkietów Renco padł na plecy

i stopami do przodu wślizgnął się w wąską szparę pod kamienną płytą. Mnie nie udało się zrobić tego tak gładko. Zanurkowałem głową naprzód na zapyloną ziemię, po czym przepełzłem na drugą stronę jak nieporadna żaba.

Nie zdążyłem jeszcze wstać, gdy Renco wytrącił nogą hełm ze szczeliny i wielka prostokątna płyta domknęła się z głośnym WUMP!

Odetchnąłem z ulgą.

Byliśmy bezpieczni. Przynajmniej przez chwilę.

- Chodźcie, musimy się pospieszyć - powiedział Renco. - Czas pożegnać to nieszczęsne miasto.

Znów znaleźliśmy się na wąskich uliczkach Cuzco. Pędziliśmy co sił.

Renco prowadził, Bassario biegł drugi, ja zamykałem pochód. W którymś momencie natknęliśmy się na stertę hiszpańskiej broni i Bassario wziął sobie łuk oraz kołczan ze strzałami, a Renco kołczan pełen strzał, skórzaną sakwę, do której schował figurkę bożka, i szablę. Ja również wziąłem szablę. Choć jestem skromnym mnichem, pochodzę z rodziny, która wydała kilku najlepszych europejskich szermierzy.

- Tędy! - rzucił Renco i wbiegł na długie schody.

Dotarliśmy nimi do ciągu nierównych dachów. Renco wbiegł na pierwszy z nich i zaczął przeskakiwać nad niskimi murkami, oddzielającymi poszczególne domy i wiodące między nimi wąziutkie ścieżki.

Biegliśmy za nim, dopóki się nie zatrzymał. Padł za niskim murkiem i przez chwilę oddychał ciężko, jego pierś gwałtownie unosiła się i opadała.

Wyjrzał zza murku. Ja zrobiłem to samo.

Zobaczyliśmy przed sobą plac, a na nim dwudziestoosobowy oddział Hiszpanów i konie. Niektóre zwierzęta stały luzem, inne były zaprzężone do różnego rodzaju wozów.

Po drugiej stronie placu, w zewnętrznych murach miasta, znajdowała się wielka, drewniana brama. Nie należała do pierwotnego wyposażenia Cuzco, była ohydny dodatkum, dobudowanym do kamiennej bramy przez moich rodaków po zajęciu miasta.

Na wprost ogromnych drewnianych wrót stała platforma, zaprzężona w dwa konie, ustawiona tak, jakby zaraz miała wjechać do miasta. Z tyłu wozu ulokowano wielką armatę, której lufa była skierowana na bramę.

Bliżej nas, u podstawy budynku, na którego dachu się zatrzymaliśmy, stało około trzydziestu wynędzniałych inkaskich więźniów. Przez żelazne okowy, które każdy z nich miał wokół nadgarstków, przebiegała czarna lina, łącząc wszystkich w jeden długi, przygnębiający szereg.

- Co teraz zrobimy? - spytałem Renca.

- Wyjdziemy stąd.

- Jak?

- Tamtędy - odparł i wskazał na bramę po drugiej stronie placu.

- A co z wejściem przez kanał? - spytałem, przekonany, że jest to najbardziej oczywista droga ucieczki.

- Złodziej nigdy nie używa tej samej drogi dwa razy - oświadczył Bassario. - Przynajmniej nie wtedy, gdy go odkryto. Zgadza się, książę?

- Zgadza się.

Popatrzyłem na Bassaria. Mimo ponurego wyglądu był nawet dość przystojny. Uśmiechał się szeroko, jego oczy błyszczały - wyraźnie się cieszył, że może uczestniczyć w tej przygodzie. Nie powiedziałbym, abym podzielał jego radość.

Renco zaczął grzebać w kołczanie. Wyjął kilka strzał, których groty były owinięte szmatami, tworzącymi pękate kule.

- Doskonale - mruknął i rozejrzał się. Kiedy dostrzegł niedaleko zapaloną pochodnię, ucieszył się jeszcze bardziej. - Bardzo dobrze.

- Co zamierzasz? - spytałem.

Zdawał się mnie nie słyszeć. Wpatrywał się w trzy konie, stojące z boku placu bez nadzoru.

- Renco... co zamierzasz? - spytałem ponownie. Odwrócił się do mnie i na jego ustach pojawił się chytry uśmieszek.

Wyszedłem na duży plac z dłońmi wetkniętymi w rękawy mojego przemoczonego habitu, z głęboko naciągniętym na oczy kapturem.

Przechodząc przez plac, nisko pochylałem głowę, schodziłem z drogi przebiegającym w pobliżu grupom żołnierzy i kuliłem się, gdy przejeżdżali obok mnie konni. Rozpaczliwie próbowałem nie zwracać na siebie uwagi.

Renco podejrzewał, że żołnierze na placu jeszcze nie wiedzą o tym, że mnich-renegat pomagał Inkom, którzy dostali się do miasta. Gdyby tak było, to jeśli nikt nie zauważy, że mój habit jest przemoczony, powinienem bez trudu dostać się w pobliże trzech niepilnowanych koni i odprowadzić je do pobliskiego zaułka, gdzie mieli na mnie czekać Renco i Bassario.

Najpierw jednak musiałem oczyścić drogę prowadzącą do bramy, co oznaczało, że musiałem usunąć wóz z armatą. To będzie znacznie trudniejsze zadanie. Aby tego dokonać, należało „przypadkiem” przestraszyć zaprzężone do wozu konie. W rękawie miałem jedną ze strzał Renca, by przechodząc - Boże, przebac mi - ukradkiem dźgnąć nią jedno z biednych zwierząt.

Szedłem powoli przez plac, nie odważając się krzyżować z nikim spojrzenia.

Tak samo jak na innych placach w mieście, także i tu wszędzie były powbijane pale i tyki, na które ponadziewano obcięte głowy. Krew na nich była jeszcze świeża i skapywała po drzewcach na ziemię. Kiedy je mijałem, czułem, jak ogarnia mnie

coraz większe przerażenie - było jasne, że jeżeli wkrótce nie wydostanę się z Cuzco, skończę tak samo.

Wreszcie ujrzałem bramę i stojący przed nią wóz. Na widok koni zacisnąłem dłoń na strzale w rękawie. Jeszcze dwa kroki i...

- Hej, ty!!! - wrzasnął jakiś zachrypnięty głos. Zamarłem. Po chwili ostrożnie uniosłem głowę.

Przede mną stanął wielki żołdak z potężnym brzuszykiem - tak że znalazł się między mną a końmi. Na głowie miał hełm, a jego głos brzmiał bardzo władczo. Był to najwyraźniej oficer.

- Co tu robisz? - spytał.

- Przepraszam, że przeszkadzam... - wyjąkałem - ale utknąłem w mieście i...

- Wracaj do swojej kwatery, mnichu. Tu nie jest bezpiecznie. W Cuzco są Inkowie. Prawdopodobnie szukają Idola kapitana.

Poczułem, że ogarnia mnie rozpacz. Byłem już tak blisko celu i kazano mi zawrócić! Powoli zacząłem zbierać się do odejścia, ale nagle na moim ramieniu wylądowało ciężkie łapsko.

- Chwileczkę, mnichu... - zaczął żołnierz, kiedy jednak poczuł, że mam mokry habit, natychmiast przerwał. - Co to ma...

W tym momencie powietrze przeszył ostry świst - TRRRRAK! - i w gębę żołdaka wbiła się strzała, a wokół rozprysnęła się fontanna krwi, która zalała mi pół twarzy.

Oficer padł jak wór na ziemię. Widząc to, inni żołnierze zaczęli się rozglądać, szukając źródła zagrożenia.

Po chwili powietrze przeszył kolejny świst - tym razem z któregoś z ciemnych dachów otaczających plac domów nadleciała płonąca strzała. Przeleciała nad stojącym przede mną wozem z armatą i wbiła się w bramę przed moimi oczami.

Buchnęły wrzaski i Hiszpanie otworzyli ogień do kryjącego się w ciemnościach łucznika.

Ale ja patrzyłem na coś całkiem innego.

Obserwowałem stojącą na wozie armatę - a raczej wystający z tylnej części działa lont.

Prochowy sznur zapalił się.

Płonąca strzała - wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, potem jednak Renco powiedział mi, że wystrzelił ją Bassario - była tak doskonale wycelowana, że zapaliła wystający z armaty lont!

Nie czekałem, natychmiast rzuciłem się biegiem w kierunku trzech niepilnowanych koni. Ledwie do nich dobiegłem, działo wypaliło.

Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem tak głośniego i potężnego wybuchu. Poczułem, że ziemia pod moimi stopami zadygotała.

Z lufy wyprysnęła chmura dymu i gigantyczna brama pękła jak cienka deska. Kiedy dym się rozwiął, okazało się, że w jej dolnej części jest okrągła dziura, w której mogłoby stanąć dwóch ludzi.

W momencie wybuchu konie zaprzężone do platformy z armatą poniosły. Stały na tylnych nogach i po chwili pomknęły przed siebie uliczkami Cuzco, pozostawiając za sobą rozwaloną bramę.

Trzy konie, do których właśnie podszedłem, także stanęły dęba. Jeden uciekł, ale pozostałe dwa się uspokoiły, gdy je mocno przytrzymałem.

Hiszpanie strzelali na oślep po ciemnych dachach. Rozglądałem się, nigdzie jednak nie było widać ani Renca, ani Bassaria.

- Mnichu! - usłyszałem nagle za sobą cichy, zduszony krzyk. Odwróciłem się - to nadbiegał Bassario, wymachując łukiem.

- Nie mogłeś tego bardziej zepsuć, co, mnichu? - zapytał ze złośliwym uśmiechem i wskoczył na konia. - Wystarczyło tylko przestraszyć zwierzęta.

- Gdzie Renco?

- Zaraz tu będzie.

W tym momencie na placu rozległy się wściekłe wrzaski i kiedy odwróciłem się w ich kierunku, ujrzałem, że trzydziestu skutych wcześniej razem inkaskich więźniów rusza na Hiszpanów. Byli wolni, czarny sznur już ich nie łączył ze sobą.

Nagle przez tumult przebił się krzyk umierającego człowieka i na jednym z dachów dostrzegłem Renca - stał nad zabitym przed chwilą konkwistadorem i zabierał mu pistolet, podczas gdy sześciu innych Hiszpanów gnało w górę schodów, by się z nim rozprawić.

Młody książę popatrzył na mnie i zawołał:

- Alberto! Bassario! Brama! Idźcie do bramy!

- A co z tobą?! - odkrzyknąłem.

- Zaraz za wami przyjdę! - wrzasnął i uchylił się przed strzałem z muszkietu. - Idźcie! Szybciej!

Skoczyłem na drugiego konia.

- Ruszamy! - zawołał Bassario, spinając swojego wierzchowca ostrogami.

Zrobiłem to samo i ruszyliśmy z kopyta. Szarpnąłem mocno wodze, aby zwierzę pognało prosto ku bramie.

Kiedy na moment odwróciłem się w siodle, moim oczom ukazał się niezwykle widok.

Z jednego z dachów mknęła przez plac strzała - zwykła, nie płonąca. Za strzałą, podskakując jak wijące się ciało węża, ciągnął się sznur. Długi, czarny sznur - ten sam, którym wcześniej połączeni byli inkascy więźniowie.

Strzała przemknęła nad moją głową i z głośnym trzaskiem wbiła się w górną

część drewnianej bramy. Lina natychmiast się napięła.

Renco stał szeroko rozkraczony na dachu, przy drugim końcu sznura, z sakwą z posążkiem na prawym ramieniu, i zarzucał na linę pas wyjęty z hiszpańskich pantalonów, które miał na sobie. Przerzuciwszy pas, złapał oba jego końce jedną ręką, zeskoczył z dachu i zaczął się ześlizgiwać po linie nad placem, zwisając z niej na jednej ręce.

Kilku Hiszpanów otworzyło do niego ogień, ale Renco drugą ręką wyciągnął pistolet i mknąc w dół po czarnym sznurze, również wystrzelił do przeciwnika.

Spiąłem konia ostrogami, zmusiłem go do przyspieszenia i w pełnym galopie wprowadziłem pod linę, po której zsuwał się Renco. Kiedy dotarł do jej końca, puścił pas i spadł dokładnie na zad mojego rumaka.

Bassario przeskakiwał właśnie przez wielką dziurę we wrotach. Podążyliśmy wraz z młodym księciem za nim, lawirując między padającymi gęsto pociskami.

Wyprysnęliśmy w zimną noc i pogналиśmy przez potężną kamienną płytę, służącą jako most, przechodzący przez otaczającą miasto od północy rzekę. Pędząc przez most, usłyszałem ryk ogromnej radości, jaki wydały z siebie tłumy inkaskich wojowników, zgromadzonych w dolinie.

- Jak idzie? - zapytał nagle jakiś głos.

Race podniósł wzrok znad manuskryptu i przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Wyrztał przez okienko po prawej stronie i ujrzał pokryte śniegiem górskie szczyty, a nad nimi nieskończone, błękitne, kryształowo czyste niebo.

Pokreślił głową zdumiony. To, co czytał, pochłonęło go bez reszty. Zupełnie zapomniał, że jest na pokładzie amerykańskiego transportowca.

Przed nim stał Troy Copeland - fizyk jądrowy DARPA z haczykowatym nosem, jeden z ludzi Nasha.

- Jak idzie? - powtórzył Copeland, wskazując głową w kierunku pliku papieru w dłoniach Race'a.

- No cóż, znalazłem Idola - odparł Race, przerzucając pozostałe kartki. Przeczytał mniej więcej dwie trzecie tekstu. - Chyba zaraz się dowiem, dokąd go zabrano.

- To świetnie. Proszę informować nas na bieżąco - powiedział fizyk i odwrócił się, zamierzając odejść.

- Chwileczkę! - zatrzymał go Race. - Mogę o coś zapytać?

- Jasne.

- Do czego używa się tyru dwieście sześćdziesiąt jeden? Copeland zmarszczył czoło.

- Chyba mam prawo wiedzieć - oświadczył Race. Fizyk powoli skinął głową.

- No tak... tak... chyba pan ma - przyznał. - Jak już z pewnością panu mówiono, tyr dwieście sześćdziesiąt jeden nie występuje na Ziemi. Pochodzi z systemu gwiazd

podwójnych, zwanego Plejadami, znajdującego się niedaleko Układu Słonecznego. Jak prawdopodobnie pan wie, gwiazdy w układach podwójnych są z powodu obecności podwójnych słońc poddawane działaniom zwiększonych sił różnego rodzaju - podwojona jest fotosynteza, zwiększone działanie sił grawitacyjnych, znacznie większa jest też odporność na grawitację. Z tego powodu występujące w układach podwójnych pierwiastki mają zazwyczaj większy ciężar atomowy i większą gęstość niż pierwiastki ziemskie. Tyr dwieście sześćdziesiąt jeden jest właśnie tego typu pierwiastkiem. Po raz pierwszy znaleziono go w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku w Arizonie - w postaci skamieniałej, w ścianach krateru, wybitego przez meteoryt. Choć znaleziona tam próbka była unieruchomiona przez miliony lat, kryjący się w niej potencjał sprawił, że w środowisku fizyków aż się zagotowało.

- Dlaczego?

- Na poziomie molekularnym tyr jest bardzo podobny do uranu i plutonu, ale ma większy ciężar atomowy. Jest gęstszy od kombinacji obu naszych najpotężniejszych pierwiastków jądrowych, a to oznacza, że kryje się w nim znacznie większy potencjał wybuchowy.

Race poczuł, że w górę kręgosłupa zaczyna mu pełznąć dreszcz przerażenia. Do czego zmierzał Copeland?

- Jak jednak powiedziałem, tyr znaleziono na Ziemi jedynie w postaci skamieniałej. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku odkryto dwie dalsze próbki, ale podobnie jak i pierwsza, obie miały ponad czterdzieści milionów lat. Nic nam to nie dawało, bo skamieniały tyr jest nieczyny, martwy chemicznie. Od dwudziestu lat czekaliśmy na odkrycie próbki „żywego” tyru, aktywnego na poziomie molekularnym. Jesteśmy przekonani, że odkrycie takie zostało już dokonane - sądzimy, że pierwiastek ten znajdował się w meteorycie, który uderzył o powierzchnię Ziemi pięćset lat temu w peruwiańskiej dżungli.

- Więc co ten tyr może zrobić?

- Sporo. Naprawdę dużo. Po pierwsze, ma ogromny astronomiczny potencjał jako źródło energii. Ostrożne szacunki wskazują, że odpowiednio zbudowany reaktor tyrowy produkowałby sześćset razy więcej energii elektrycznej niż wszystkie obecnie istniejące w Stanach Zjednoczonych elektrownie atomowe. Ale to Jeszcze nie wszystko. W odróżnieniu od ziemskich pierwiastków radioaktywnych, tyr użyty jako materiał rdzenia w reaktorze wykorzystującym syntezę jądrową rozpadałby się w stu procentach. Innymi słowy - nie pozostawiałby żadnych szkodliwych odpadów. Czyni go to czymś całkiem odmiennym od wszystkich istniejących na Ziemi źródeł energii. Odpadów z uranu trzeba się pozbywać w prętach radioaktywnych. Nawet spalanie benzyny powoduje zanieczyszczenie powietrza tlenkiem węgla. Tyr natomiast jest

czysty - tak czysty, że na podstawie sporządzonych przez nas modeli można zakładać, iż jako surowy pierwiastek emitowałby jedynie mikroskopijne ilości promieniowania słabego. Jest więc idealnym źródłem energii. Race podniósł rękę.

- Świetnie, bardzo dobrze, brzmi to znakomicie, ale z tego, co wiem, DARPA nie zajmuje się dostarczaniem Ameryce elektrowni atomowych. Co jeszcze może tyr?

Copeland uśmiechnął się.

- Profesorze, przez ostatnie dziesięć lat Biuro Technologu Taktycznych DARPA pracowało nad nową bronią, niepodobną do czegokolwiek, co dotychczas istniało. Chodzi o urządzenie o nazwie kodowej „Supernowa”.

Na dźwięk tej nazwy gdzieś w głowie Race’a zapaliła się lampka. Przypomniał sobie rozmowę Copelanda i Nasha, którą podsłuchał zaraz po wejściu na pokład samolotu. Mówili wtedy o włamaniu się do Fairfax Drive i kradzieży urządzenia o nazwie Supernowa.

- Co to dokładnie jest?

- Mówiąc najprościej, to najsilniejsza broń, jaką kiedykolwiek stworzono - w całej historii ludzkości. Nazywamy ją „zabójcą planet”.

- Słucham...?

- Zabójcą planet. To bomba atomowa o takiej sile, że jej detonacja zniszczyłaby mniej więcej jedną trzecią Ziemi. Gdyby do tego doszło, zmieniłoby to orbitę naszej planety wokół Słońca, Ziemia zaczęłaby w niekontrolowany sposób wirować i oddalać się gwałtownie od niego. W ciągu kilku minut powierzchnia Ziemi - to, co by z niej pozostało - stałaby się zbyt zimna, by mogło się na niej utrzymać jakiegokolwiek życie. Profesorze Race - Supernowa to pierwsze urządzenie będące dziełem człowieka, które byłoby w stanie zniszczyć wszelkie istniejące na Ziemi formy życia. Stąd jego nazwa - tak określamy eksplodującą gwiazdę.

Race przełknął ślinę. Czuł się tak, jakby miał zaraz zemdleć.

Przez głowę przemykały mu setki pytań.

Dlaczego ktoś miałby konstruować tego typu urządzenie? Jaki sens miałyby tworzenie broni, która może zabić wszystko, co istnieje na Ziemi - z twórcami tej broni włącznie? Dlaczego jego kraj konstruował taką bombę?

Copeland kontynuował:

- Profesorze Race, sprawa polega na tym, że Supernowa, jaką w tej chwili dysponujemy, to tylko prototyp, pusta skorupa. Urządzenie, które zeszłej nocy skradziono z kwatery głównej DARPA, jest bezużyteczne. Aby działało, należy dodać jedną rzecz: tyr.

Wspaniale... - pomyślał Race.

- Pod pewnym względem Supernowa jest dość podobna do bomby neutronowej - powiedział Copeland. - Tak samo jak ona działa na bazie rozszczepienia jądra

atomowego, czyli wymaga rozbicia atomu tyru. Kiedy dwie konwencjonalne głowice termojądrowe rozszczepią subkrytyczną masę tyru, wyzwalają megaeksplozję.

- Chwileczkę - wtrącił Race. - Ustalmy jedno. Zbudowaliście broń, zdolną zniszczyć planetę, mogącą działać dopiero wtedy, gdy znajdzie się w niej pierwiastek, którego jeszcze nie macie?

- Zgadza się.

- Ale dlaczego? Dlaczego Ameryka konstruuje tego typu broń? Copeland pokręcił głową.

- Na takie pytanie zawsze trudno odpowiedzieć. Moim zdaniem...

- Są dwa powody - odezwał się basowy głos za plecami Race'a.

Frank Nash.

Pułkownik skinął głową w kierunku manuskryptu na kolanach Race'a.

- Odkrył pan lokalizację Idola?

- Jeszcze nie.

- W takim razie będę się skracał, aby mógł pan wrócić do Pracy. Po pierwsze, wszystko to, co za chwilę powiem, jest sprawą najwyższej tajności. Wie o tym szesnastu ludzi w kraju, a pięciu z nich jest teraz z nami, na pokładzie tego samolotu. Jeżeli po kończeniu tej misji przekaze pan komukolwiek to, co pan tu usłyszysz, spędzi pan następne siedemdziesiąt pięć lat w więzieniu. Rozumiemy się, profesorze?

- Tak.

- To świetnie. No cóż, uzasadnienia budowy Supernowej są dwa. Po pierwsze, półtora roku temu odkryto, że naukowcy niemieccy zaczęli potajemnie konstruować tego rodzaju broń. Nasza reakcja była oczywista: jeżeli oni budują Supernową, to my też musimy to zrobić.

- Rewelacyjna logika - mruknął Race.

- Taka sama, jak ta, którą posłużył się Oppenheimer, konstruując bombę atomową.

- Rany boskie, pułkowniku, jeździ pan na wielkich nazwiskach - kostycznie stwierdził Race. - A drugi powód?

- Słyszał pan kiedyś o Dietrichu von Choltitzu?

- Nie.

- W czasie wycofywania się hitlerowców z Francji w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku generał Dietrich von Choltitz był głównodowodzącym niemieckiego korpusu, okupującego Francję. Kiedy stało się jasne, że alianci odzyskają Paryż, Hitler rozkazał von Choltitzowi założyć przed wyjściem z miasta tysiące ładunków i zdetonować je z bezpiecznej odległości, by Paryż wyleciał w powietrze. Należy von Choltitzowi przyznać, że miał odwagę zignorować ten rozkaz. Nie chciał przejść do historii jako człowiek, który zniszczył stolicę Francji.

Ale najistotniejsza w tym wszystkim jest logika, kryjąca się za rozkazem Hitlera: jeżeli on nie może mieć Paryża, nikt nie może go mieć.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał Race.

- Profesorze, Supernowa jest jedynie kolejnym krokiem w rozbudowywaniu planu strategicznego, obecnego od pięćdziesięciu lat w amerykańskiej polityce zagranicznej. Nazywa się on Planem Choltitza.

- Co to znaczy?

- Wie pan zapewne, że amerykańska Marynarka Wojenna przez cały czas trwania zimnej wojny miała rozkaz utrzymywania w określonych punktach świata pewnej stałej liczby okrętów podwodnych, uzbrojonych w rakiety balistyczne. Wie pan, czemu miało to służyć?

- Nie.

- Rozkazy były jednoznaczne. Gdyby Związek Radziecki w jakikolwiek sposób pokonał Stany Zjednoczone w niespodziewanym starciu, okręty te miały wystrzelić rakiety z głowicami jądrowymi nie tylko na cele na terenie ZSRR, ale także na każde duże miasto w Europie i na kontynencie północnoamerykańskim!

- Słucham...?

- Plan Choltitza, profesorze. Jeżeli my nie możemy czegoś mieć, nikt nie może tego mieć.

- I to w skali globalnej... - jęknął Race.

- Zgadza się. Zgadza się w stu procentach. Stąd konieczność stworzenia Supernowej. Stany Zjednoczone są dominującym krajem na świecie. Gdyby jakikolwiek kraj próbował to zmienić, poinformowalibyśmy go, że posiadamy Supernową. Gdyby doszło do światowego konfliktu i Stany Zjednoczone zostałyby pobite - albo jeszcze gorzej: sparaliżowane - zdetonujemy ją.

Race poczuł, jak żołądek zwija mu się w węzeł.

Czy to wszystko mogło być prawdą? Tak wygląda polityka? Czy nie mogą panować nad światem, Ameryka naprawdę zdecydowała się go zniszczyć?

- Jak można planować coś takiego?

- Profesorze Race... a co by było, gdyby Chiny postanowiły wypowiedzieć Ameryce wojnę? Gdyby ją wygrały? Chciałby pan, by Amerykanami rządili Chińczycy?

- Pan wolałby wtedy raczej umrzeć?

- Oczywiście.

- I zniszczyć przy tym cały świat... Jesteście chyba najgorszymi palantami w historii...

- Tak się jednak składa - mówił dalej Nash, ignorując uwagę Race'a - że zadziałało tu prawo niezamierzonych konsekwencji. Wiadomość o skonstruowaniu

urządzenia zdolnego zniszczyć całą planetę sprawiła, że z krzaków powychodzili przedstawiciele różnych ugrupowań, które uważają tego typu broń za silną kartę przetargową w prowadzonych przez siebie krucjatach.

- O kogo chodzi?

- O wszelkiego rodzaju terrorystów. Ludzi, którzy chcieliby zdobyć Supernową, aby móc zażądać okupu od całego świata.

- A teraz ukradziono wam tę bombę i prawdopodobnie dokonali tego właśnie terroryści.

- Prawdopodobnie tak.

- Otworzyliście puszkę Pandory, doktorze Nash, prawda?

- Ma pan rację, obawiam się, że tak się stało. Ale właśnie z tego powodu tak ważne jest, abyśmy przejęli Idola, zanim zrobi to ktokolwiek inny.

Nash i Copeland odeszli, znów zostawiając Race'a sam na sam z manuskryptem.

Potrzebował chwili, aby zebrać myśli. Kręciło mu się w głowie. Supernowa. Globalne zniszczenie. Ugrupowania terrorystyczne. Nie mógł się skoncentrować.

Po chwili jednak odsunął wszystkie te myśli, zmusił się do skupienia i odnalazł miejsce w tekście, do którego doszedł: gdzie Renco i Alberto Santiago otworzyli sobie drogę ucieczki i umknęli z obleżonego Cuzco.

Wziął głęboki wdech, poprawił okulary na nosie i ponownie wszedł do świata Inków.

DRUGIE CZYTANIE

Gnaliśmy we trzech przez noc, spinając konie ostrogami, by galopowały najszybciej, jak tylko mogły. Tuż za nami byli Hiszpanie - Hernando i jego oddział konnych. Ścigali nas jak wściekłe psy.

Po minięciu północnej bramy, zamykającej dolinę Cuzco, skręciliśmy w prawo, na północny wschód. Wkrótce znaleźliśmy się nad Urubambą - rzeką, na której stał statek więzienny, w którym przetrzymywano Renca - i przekroczyliśmy ją niedaleko miejscowości Pisac.

W tym momencie rozpoczęła się nasza wielka wędrówka - rozpaczliwa ucieczka przez dziką dżunglę.

Nie chcę zanudzać Cię, Drogi Czytelniku, opisem każdego drobnego incydentu, jaki miał miejsce w trakcie tej żmudnej podróży, trwała ona bowiem wiele dni. Wspomnę jedynie o tych wydarzeniach, które mają bezpośredni związek z całą historią.

Kierowaliśmy się ku miejscowości o nazwie Vilcafor, gdzie wuj Renca był wodzem. Znajdowała się ona u stóp wysokich gór na północy, w miejscu, w którym łańcuchy górskie spotykały się z wielkimi lasami deszczowymi wschodu.

Vilcafor było tajną ufortyfikowaną osadą zbudowaną przez inkaską szlachtę na wypadek nastania trudnych czasów. Jej lokalizacja była utrzymywana w ścisłej tajemnicy i można ją było odnaleźć, jedynie podążając za kamiennymi totemami, umieszczonymi w lesie deszczowym w określonych odstępach, w dodatku tylko wtedy, gdy znało się sposób odnajdywania posążków. Żeby dostać się do lasu deszczowego, musieliśmy najpierw pognać góry.

Tak więc wjechaliśmy w nie - były to ogromne skalne monolity, dominujące nad Nową Hiszpanią. Brak mi słów, które mogłyby w pełni oddać wspaniałość tych gór. Ich strome skaliste urwiska i wysokie, ostre szczyty - pokryte przez cały rok śniegiem - widać było z odległości setek kilometrów, nawet z gęstego lasu deszczowego na nizinach.

Po kilku dniach podróży zrezygnowaliśmy z koni, uznając, iż szybciej będziemy poruszać się po górskich szlakach pieszo. Szliśmy ostrożnie po śliskich, wąskich ścieżkach, wyrąbanych w ścianach pionowych górskich ścian i pokonywaliśmy długie, opadające łukiem mosty ze sznurów, zawieszane wysoko nad kipiącymi górskimi strumieniami.

Od czasu do czasu w płataninie wąskich wąwozów za nami rozlegały się wrzaski i słyszeliśmy odgłos kroków maszerujących za nami Hiszpanów.

Przechodziliśmy przez wioski Inków, leżące pośrodku przepięknych górskich dolin. Każda z tych osad nosiła nazwę po inkaskim wodzu: Rumac, Sipo, Huanco.

Zaopatrywano nas tam w jedzenie, dawano przewodników i lamy. Szczodrość tutejszych ludzi była niesamowita. Wydawało się, że każdy wieśniak słyszał o Rencu i jego misji i wszyscy robili, co mogli, by nam ułatwić podróż. Gdy tylko mieliśmy na to czas, Renco pokazywał im czarnego kamiennego bożka i wszyscy w milczeniu skłaniali przed nim głowy.

Rzadko jednak mogliśmy sobie pozwolić na dłuższy wypoczynek.

Hiszpanie wciąż ścigali nas nieubłaganie.

Pewnego razu - właśnie wyszliśmy z Ocuyu, miejscowości leżącej u podstawy szerokiej górskiej doliny - ledwie doszliśmy do grani najbliższego wzgórza, zza naszych pleców doleciała zmasowana palba z muszkietów. Odwróciłem się, by spojrzeć w dolinę.

To, co zobaczyłem, zmroziło mi krew w żyłach.

Hernando i jego ludzie - długa kolumna, składająca się co najmniej ze stu ludzi - maszerowała wzdłuż przeciwległej strony doliny. Konni, flankujący boki kolumny piechurów, wjeżdżali jako pierwsi do wioski, którą właśnie opuściliśmy, i strzelali z muszkietów do nieuzbrojonych Inków.

W trakcie dalszego pościgu Hernando podzielił swoją sotnię na trzydziestoosobowe grupy i rozkazał, by jeden pododdział maszerował, a pozostałe

dwa odpoczywały. Potem wypoczęte oddziały wyprzedzały pierwszy, który mógł teraz odpocząć, i cały cykl powtarzano od początku. Efektem tego była stale maszerująca masa ludzka, sunąca bez przerwy naprzód i nieustannie się do nas zbliżająca.

Nasza trójka musiała bez chwili wytchnienia iść dalej, przebijając się z trudem przez skalisty, dziki teren i bez przerwy walcząc ze zmęczeniem.

Byłem przekonany, że Hiszpanie prędzej czy później nas złapią.

Na razie jednak ciągle jeszcze byliśmy przed nimi.

Któregoś dnia - moi rodacy byli wtedy tak blisko za nami, że słyszeliśmy ich głosy, odbijające się od ścian kanionów - zatrzymaliśmy się we wsi Colco, leżącej na brzegu górskiej rzeki Paucartambo.

Znajduje się tu kamieniołom, od którego wioska wzięła swoją nazwę, a jak już mówiłem, Inkowie są mistrzami kamieniarstwa. Wszystkie ich budynki są zbudowane z doskonale przyciętych kamiennych bloków, niekiedy wysokich jak sześciu mężczyzn i ważących ponad sto ton. Bloki te są wydobywane w wielkich kamieniołomach, obok których powstają takie osady jak Colco.

Po krótkiej rozmowie z wodzem wsi Renco został zaprowadzony do kamieniołomu - ogromnej dziury, wydłubanej w górskim zboczu. Po jakimś czasie wrócił, niosąc sakwę z koziej skóry. Od środka wypychały ją ostre, kanciaste kształty. Podał sakwę Bassariowi i ruszyliśmy dalej.

Zastanawiałem się, co w niej jest. Kiedy zatrzymaliśmy się na nocny popas, Bassario wymykał się poza obóz i rozpałał własne ognisko, a potem siedział ze skrzyżowanymi nogami i coś robił pochylony nad sakwą, odwrócony do mnie i Renca plecami.

Po jedenastu dniach tej niezwykle uciążliwej podróży znaleźliśmy się po drugiej stronie gór. Przed nami rozpościerał się niesamowity widok - jednolity dywan zieleni, sięgający aż po daleki horyzont. Był to las deszczowy, zaczynający się u podnóża łańcucha górskiego, który właśnie przekroczyliśmy. Rozległą zieloną płaszczyznę przecinały jedynie tarasy - schodkowate zapory, zaznaczające stopniowe przechodzenie terenów wyżynnych w nizinę, oraz zielone koryta mniejszych rzek i szerokie, brązowe pasma potężnych rzek deszczowego lasu.

Po chwili zanurzyliśmy się w dżungłę.

Było to piekło na ziemi.

Przez wiele dni wędrowaliśmy w wiecznym mroku lasu. Było mokro, parno i - na Boga! - jakże niebezpiecznie. Z drzew zwisały obrzydliwe tłuste węże, spod naszych nóg wypryskiwały małe gryzonie, a którejś nocy - dam za to głowę! - ujrzałem na pobliskiej gałęzi ukrytą za liśćmi sylwetkę pantery, odcinającą się wyraźnie na ciemniejszym tle.

Ale w rzekach czyhało na nas jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Aligatory.

Już sam widok ich wielkich trójkątnych łbów mógł zmrozić krew w żyłach, a co dopiero mówić o całych ich potężnych cielskach - długości przynajmniej sześciu kroków, czarnych i opancerzonych. Ich ślepia stale nas obserwowały - nieruchome, groźne, odpychające.

Płynęliśmy rzekami kanu z trzciny - łódkami otrzymywanymi od mieszkańców nadrzecznych wsi o nazwach Paxu, Tupra i Roya - które w porównaniu z pływającymi wokół monstrualnymi gadami wydawały się żałośnie małe - i schodziliśmy po stromych urwiskach z pomocą indiańskich przewodników.

Wieczorami, w świetle ogniska, Renco uczył mnie swego języka - keczua. W zamian demonstrowałem mu zawziętości walki na broń białą - wykorzystywaliśmy do tego celu dwie hiszpańskie szable, zabrane podczas ucieczki z Cuzco.

Podczas gdy ja i Renco fechtowaliśmy się, Bassario zaszywał się w jakimś kącie obozu albo ćwiczył strzelanie z łuku. Najwyraźniej, zanim go uwięziono (nie mam pojęcia za co), był jednym z najlepszych łuczników w państwie Inków. Celność jego strzałów była zdumiewająca. Pewnego wieczoru rzucił wysoko w powietrze owoc i w chwilę później przeszył go strzałą - tak wspaniały był jego kunszt!

Po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że dziki teren spowolni naszych prześladowców. Głosy żołnierzy, torujących sobie drogę przez las, stawały się coraz cichsze i w pewnym momencie pomyślałem nawet, że Hemando zrezygnował z pogoni.

Niestety nie było to prawdą. Co dzień doganiali nas posłańcy z kolejnych wiosek, które minęliśmy, informując o ich splądrowaniu. Hiszpanie nieustannie posuwali się do przodu.

Tak więc i my nie marnowaliśmy czasu.

Kiedy któregoś dnia, wkrótce po opuszczeniu przez nas osady Roya, szedłem na czele pochodu i odsunąłem na bok wielką gałąź, nagle stanąłem oko w oko z warczącym, przypominającym kota stworem.

Z wrzaskiem skoczyłem do tyłu i z głośnym plaśnięciem padłem na tyłek w błoto.

Za mną rozległ się cichy śmiech Bassaria.

Popatrzyłem w górę i zobaczyłem, że odsuwając gałąź, odsłoniłem wielki kamienny totem. Warczący kot był jedynie kamienną rzeźbą, po której spływała cienka warstwa wody, stwarzając wrażenie, że zwierzę żyje.

Gdy przyjrzałem się bliżej posążkowi, stwierdziłem, że przypomina bożka, który był przyczyną naszej piekielnej wyprawy. Był to chyba jaguar - z wielkimi, wyszczerzonymi kłami, zdający się warczeć na nieostrożnego wędrowca, który się na niego natknął.

Kolejny raz zastanowiła mnie fascynacja Inków tymi wielkimi zwierzętami.

Czynili z nich przedmioty kultu i traktowali je jak pozaziemskie istoty. Również wojownicy o kocich ruchach i kociej zręczności byli w ich armii najbardziej cenieni - jeżeli ktoś umiał wylądować po skoku na nogach i natychmiast wrócić do walki, uważany był za doskonałego żołnierza. Twierdzono, że wojownik taki posiada jinget.

Zanim natknąłem się w tak żenujący sposób na kamienny totem, Renco opowiedział mi, że najbardziej przerażającą istotą w mitologii Inków jest wielki czarny kot, nazywany w języku ajmara titi, a w języku kiczua rapa. Stwór ten jest całkowicie czarny, a kiedy stoi na czterech łapach, niemal dorównuje wysokością dorosłemu mężczyźnie - i zabija z niewyobrażalną brutalnością. Renco twierdził, że jest to zwierzę, którego Inkowie najbardziej się boją, ponieważ zabija dla samej przyjemności zabijania.

- Dobra robota, bracie Alberto - powiedział, kiedy wylądowałem tyłkiem w błocie. - Znalazłeś pierwszy totem z tych, które mają nas zaprowadzić do Vilcafor.

- W jakiż to sposób mają nas tam zaprowadzić? - spytałem zdziwiony.

- Istnieje pewien tajny kod, znany jedynie najwyższym rangą arystokratom Inków... - zaczął Renco.

- ...a jeśli któryś z nich ci go zdradzi, będzie musiał cię potem zabić - dodał Bassario ze złośliwym uśmiechem.

Młody książę popatrzył na niego.

- To prawda - przyznał. - Ale cóż... gdybym na przykład zginął, inny człowiek powinien kontynuować moją misję. Z tego powodu ktoś jeszcze musi poznać kod totემów. - Odwrócił się do mnie. - Miałem nadzieję, że zechcesz wziąć na siebie tę odpowiedzialność, Alberto.

- Ja?

- Tak, ty. Widzę w tobie cechy bohatera, choć ty sam ich nie dostrzegasz. Jesteś honorowy i znacznie odważniejszy niż przeciętny człowiek. Jeżeli się na to zgodzisz, nie zawaham się powierzyć ci losu mojego narodu, gdyby zdarzyło mi się coś złego.

Skłoniłem głowę na znak, że się zgadzam.

- To wspaniale - powiedział Renco i uśmiechnął się. - Twoja kandydatura - dodał po chwili, zwracając się do Bassaria - byłaby dla mnie bardzo wątpliwa. Odejdź teraz na bok.

Kiedy Bassario spełnił to życzenie, młody książę przysunął się blisko mnie i wskazał na stojącą przed nami rzeźbę rapa.

- Kod jest prosty: podążaj za ogonem rapa...

- Podążaj za ogonem rapa... - powtórzyłem i dokładniej przyjrzałem się rzeźbie.

Rzeczywiście, z tyłu totemu wychodził cienki, wijący się koci ogon, który wskazywał na północ.

- Ale... - dodał Renco, unosząc palec - nie należy tego robić w przypadku każdego totemu. Tę zasadę znają jedynie najstarsi. Poznałem ją z ust najwyższej kapłanki Coricancha dopiero wtedy, gdy przyszedliśmy po Idola.

- I jak ta zasada brzmi?

- Po pierwszym totemie należy pomijać wskazówkę co drugiego totemu. W tych przypadkach należy kierować się wskazaniem Znaku Słońca.

- Znaku Słońca?

- Znaku podobnego do tego - powiedział Renco, wskazując na niewielkie trójkątne znamię pod swoim lewym okiem - ciemny trójkącik skóry, wyglądający jak odwrócony górski szczyt. - Przy każdym drugim totemie po pierwszym mamy iść nie za wskazaniem ogona, ale Znaku Słońca.

- A co by się stało, gdyby ktoś podążył za wskazaniem ogona? Czy nasi wrogowie nie domyśliliby się w końcu, że idą w złym kierunku, bo totemy się skończyły?

Renco uśmiechnął się.

- Nie, Alberto. Znajdowaliby totemy, nawet idąc w złym kierunku. Odwiodłyby ich one jedynie od cytadeli.

Powędrowaliśmy dalej, kierując się wskazaniem totემów.

Były rozmieszczone w różnych odległościach - jedne znajdowały się kilkaset kroków od siebie, inne w odstępach kilku kilometrów, musieliśmy więc dbać o to, by zawsze maszerować po linii prostej. Często pomagały nam w tym rzeki, ponieważ wiele totემów stało blisko wody.

Przez cały czas podążaliśmy na północ. Przecieliśmy rozległy las deszczowy i wkrótce dotarliśmy do kolejnego przedgórza.

Ciągnęło się ono z północy na południe aż po horyzont. Gigantyczny, porośnięty dżunglą płaskowyż był jak wielki, pojedynczy stopień, który nasz Pan zbudował sobie, by łatwiej wejść z lasu na podstawę gór. Z krawędzi płaskowyżu na całej jej długości spadały wodospady - widok był naprawdę wspaniały.

Wspinaliśmy się na wschodnią ścianę, wciągając za sobą trzciniowe kanu i wiosła. Tam odnaleźliśmy ostatni totem, który skierował nas w górę rzeki, ku potężnym, pokrytym śniegiem górcom, dominującym nad lasem.

Popłynęliśmy pod łagodny prąd rzeki, oblewani gęstym przedwieczornym deszczem. Wkrótce jednak przestało padać i w powstałej po deszczu mgłę dżungla nabrała upiornego wyglądu. Świat stał się dziwnie milczący i nie wiadomo dlaczego wszystkie odgłosy lasu deszczowego umilkły.

Nie śpiewały ptaki. W poszyciu nie szurgotały gryzonie.

Poczułem, że ogarnia mnie paralizujący strach.

Coś było nie tak.

Renco i Bassario też musieli to wyczuć, bo zaczęli wolniej wiosłować, niemal

bezszelestnie zanurzając pióra wiosł w szklistą wodę, jakby nie mieli odwagi przerwać panującej wokół ciszy.

Kiedy wypłynęliśmy zza zakrętu, nagle przed naszymi oczami ukazała się rozłożona na brzegu osada, przytulona do podnóża ogromnego górskiego pasma. Pośrodku zbiorowiska niewielkich domów, otoczonego szeroką fosą, stała imponująca kamienna budowla.

Cytadela Vilcafor.

Nie zainteresował nas jednak jej widok. Tak samo nie mieliśmy ochoty oglądać otaczającej jej osady, zamienionej niemal w całości w dymiące ruiny.

Patrzyliśmy tylko na ciała - dziesiątki poskręcanych, pokrytych zasychającą krwią ciał, leżących na głównej ulicy.

DRUGA INTRYGA

PONIEDZIAŁEK, 4 STYCZNIA, GODZINA 15.40

Race odwrócił kartkę, zamierzając zacząć czytać kolejny rozdział, nie było go jednak. Dotarł do ostatniej strony manuskryptu.

Cholera...

Wyrzał przez okienko herculesa. Zobaczył zamontowane na zielonym skrzydle silniki i przesuujące się pod nimi ośnieżone szczyty Andów.

Popatrzył na pułkownika, siedzącego po drugiej stronie przejścia i pracującego przy laptopie.

- To wszystko? - spytał.
- Słucham? - Nash zmarszczył czoło.
- Manuskrypt. To wszystko, co mamy?
- Chce pan powiedzieć, że skończył pan czytać?
- Właśnie.
- Dowiedział się pan, gdzie ukryto Idola?
- Tak jakby - odparł Race i popatrzył na notatki, które robił podczas czytania.

Wyglądały one następująco:

CUZCO - GÓRY WSIE: RUMAC, SIPO, HUANCO, OCUYU COLCO -
RZKA PAUCARTAMBO - KAMIENIOŁOM 11 DNI - LAS DESZCZOWY
WSIE NADRZECZNE: PAXU, TUPRA, ROYA KAMIENNE TOTEMY -
WYRZEŻBIONE KOTY - DROGA DO CYTADELI VILCAFOR KOD
TOTEMÓW: PIERWSZY - IŚĆ ZA OGONEM CO DRUGI - IŚĆ ZA ZNAKIEM
SŁOŃCA WĘDRÓWKA ZA TOTEMAMI NA PÓŁNOC PRZEZ DORZECZE
LASU DESZCZOWEGO - DO PŁASKOWYŻU PROWADZĄCEGO NA
PODNÓŻE GÓR. OSTATNI TOTEM: KIERUNEK W GÓRĘ RZEKI KU GÓROM
- DO RUIN CYTADELI

- Co ma pan na myśli, mówiąc: „tak jakby”?

- No cóż... - mruknął Race. - Rzecz w tym, że rękopis kończy się prawie w pół zdania, kiedy dotarli do Vilcafor. Najwyraźniej jest jeszcze po tym jakiś tekst, ale my go nie mamy. - Nie dodał, że cała ta historia bardzo go zainteresowała i chętnie przeczytałby ciąg dalszy. - To na pewno wszystko, co można było zdobyć?

- Obawiam się, że tak. Niech pan nie zapomina, że to niedokończona wersja, sporządzona wiele lat po napisaniu oryginału. Więcej nie posiadamy, bo tylko tyle mnich kopista zdążył przepisać. - Nash pokręcił głową. - Miałem nadzieję, że na podstawie tego materiału uda nam się zlokalizować Idola, jeśli jednak to niemożliwe, potrzebuję choćby ogólnych wskazówek - w którym miejscu zacząć szukać i gdzie się rozglądać. Jeżeli będziemy wiedzieć, gdzie zacząć, znajdziemy ten posążek. Sądząc

po pańskich notatkach, ma pan do powiedzenia wystarczająco dużo, by wystartować. Proszę zaczynać.

Race pokazał swoje notatki, opowiedział o Rencu Capacu i jego ucieczce z Cuzco. Powiedział, że z tekstu wynika, iż Renco dotarł tam, gdzie zamierzał - do osady z cytadelą u podnóży Andów, znanej podówczas jako Vilcafor. Dodał także, że manuskrypt prawdopodobnie pozwoliłby im odnaleźć miejsce ukrycia Idola, gdyby udało im się dowiedzieć jeszcze jednej rzeczy...

- Jakiej? - zapytał Nash.

- Zakładając, że kamienne totemy jeszcze stoją tam, gdzie stały, trzeba by odkryć, co symbolizuje Znak Słońca. Gdybyśmy to wiedzieli, moglibyśmy ponownie „odczytać” totemy.

Nash zmarszczył czoło i zwrócił się do Waltera Chambersa, antropologa i eksperta od kultury Inków, siedzącego kilka foteli dalej:

- Walterze... słyszałeś o Znaku Słońca?

- O Znaku Słońca? Oczywiście.

- Co to takiego?

Chambers wzruszył ramionami i podszedł do nich.

- Tak naprawdę to tylko małe znamię na skórze. Podobne do tego, jakie ma profesor Race. - Wskazał podbródkiem w kierunku okularów Race'a, na ciemne, trójkątne znamię pod jego lewym okiem. Race mimowolnie się skulił. Od dzieciństwa nienawidził tego znaku na skórze. Według niego wyglądało jak rozmazana na policzku kawa. - Inkowie wierzyli, że znamiona, z jakimi rodzą się ludzie, świadczą o ich wyjątkowości. Uważali, że to znaki od bogów. Znak Słońca był znamieniem na skórze tuż pod lewym okiem. Odnoszono się do niego ze szczególnym szacunkiem, ponieważ Inkowie wierzyli, że jest to znak przesłany przez ich najpotężniejszego boga - Boga Słońca. Posiadanie potomka ze Znakiem Słońca uważane było za wielki zaszczyt - wskazywał on, że to dziecko wybrane, przeznaczone do wielkich czynów.

- Czy to znaczy, że jeżeli ktoś powiedziałby nam, że mamy podążać za posązkami w kierunku Znaku Słońca, powinniśmy skierować się w lewo od posązka?

- Tak należałoby to interpretować - odparł Chambers. - Przynajmniej tak sędzę.

- Jak to: „tak sędzę”?

- Cóż... w ostatnim dziesięcioleciu antropologowie zaczęli mieć poważne wątpliwości, czy Znak Słońca znajdował się po lewej stronie twarzy. Inkaskie piktogramy umieszczają Znak Słońca - czy są to obrazy ludzi, czy zwierząt - pod lewym okiem płaskorzeźby. Jednak kiedy zacznie się czytać hiszpańskie teksty, takie jak Relación albo Uwagi prawdziwe, w których jest mowa o ludziach urodzonych ze Znakiem Słońca, jak Renco Capac czy Tupac Amaru, pojawiają się problemy. Chodzi o to, że obie książki mówią, że ten znak zawsze występował pod prawym okiem.

Kiedy pojawia się tego typu kontrowersja, zaczyna panować zamęt.

- A jak pan sądzi?

- Zdecydowanie pod lewym okiem.

- Więc myśli pan, że uda nam się znaleźć drogę do cytadeli - spytał niecierpliwie Nash.

- Jestem przekonany, że tak, pułkowniku - odparł Chambers - Jeżeli przy każdym co drugim posążku, licząc od pierwszego, pójdziemy w lewo, znajdziemy ją.

Nagle gdzieś w pobliżu coś się rozdzwoniło. Race odwrócił się - dźwięk dolatywał z laptopa Nasha. Właśnie musiał przyjść e-mail. Nash poszedł odebrać wiadomość. Chambers popatrzył na Race'a.

- Podniecające, co? - spytał.

- Nie użyłbym akurat słowa „podniecające” - odparł Race. Był zadowolony, że udało mu się przeczytać manuskrypt przed wylądowaniem w Cuzco. Jeżeli Nash zamierzał ganiać po dżungli za Idolem, to jego sprawa - on nie miał najmniejszej ochoty w tym uczestniczyć.

Popatrzył na zegarek.

Była 16.35. Robiło się późno.

W tym momencie podszedł do niego Nash.

- Profesorze - powiedział - jeżeli uważa pan, że podoła temu zadaniu, chciałbym, by udał się pan z nami do Vilcafor.

W jego głosie było coś, co sprawiło, że Race zeszywniał. To nie była prośba, ale polecenie.

- O ile dobrze pamiętam, powiedział pan, że jeśli przetłumaczę manuskrypt przed lądowaniem, nie będę musiał nawet wysiadać z samolotu.

- Powiedziałem, że tak może się zdarzyć. Ale z pewnością pamięta pan, iż powiedziałem również, że jeśli będzie pan musiał opuścić samolot, oddział Zielonych Beretów nie odstąpi pana na krok... i właśnie doszedłem do wniosku, że powinien pan nam towarzyszyć.

- Dlaczego?

- Sądziłem, że manuskrypt będzie bardziej precyzyjny i dokładniej poda lokalizację Idola, w tej sytuacji jednak potrzebujemy pana w drodze do Vilcafor - na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś rozbieżności między wskazówkami tekstu a terenem. Wydałem już polecenie, by w Cuzco czekały na nas dwa helikoptery. Podążymy trasą podaną przez Santiaga górą, drogą powietrzną.

Race'owi wcale się to nie podobało. Uważał, że wypełnił swoje zadanie, a perspektywa wędrowki przez amazoński las deszczowy zdecydowanie go nie zachwycała.

Jeszcze bardziej niepokojący był ton głosu Nasha. Race podejrzewał, że skoro

pułkownikowi udało się wsadzić go do herculesa lecącego w kierunku Cuzco - możliwość powiedzenia „nie” raczej nie wchodzi w rachubę. Czuł, że tkwi w pułapce. Został zmuszony do udania się gdzieś, gdzie wcale nie miał ochoty się udawać. Nie tak się umawiali.

- Nie mógłbym zostać w Cuzco i stamtąd utrzymywać z wami kontakt?

- Nie. Zdecydowanie nie. Nadlatujemy przez Cuzco, ale nie będziemy tamtędy odlatywać. Samolot i czekający tam na nas żołnierze Sił Lądowych USA opuszczają miasto zaraz po tym, jak wyruszymy helikopterami do dżungli. Przykro mi, profesorze, ale potrzebuję pana. Musi mi pan pomóc dostać się do Vilcafor.

Race zagryzł wargę. Jezu...

- No cóż... zgoda... - powiedział z wahaniem.

- To świetnie. - Nash wstał. - Doskonale. Czy dobrze przedtem słyszałem, że ma pan w torbie mniej oficjalny strój?

- Owszem.

- Proponuję więc, żeby się pan przebrał. Niedługo znajdziemy się w dżungli.

Hercules leciał nad górami.

Race wyszedł z toalety na dolnym pokładzie, ubrany w biały podkoszulek, dzinsy i czarne buty sportowe - strój, który spakował na mecz koszykówki. Na głowie miał czapkę - zniszczoną granatową bejsbolówkę z logo New York Yankees.

Znajdujący się na tym samym pokładzie komandosi przygotowywali i czyścili broń. Jeden z Zielonych Beretów - starszy rudy kapral, Jake „Buzz” Cochrane - bez przerwy miał ozorem.

- Mówię wam, chłopaki, waliłem ją w cycki. W cycki! Rżnięcie jak z Chin z taniutką Doreen! Panowie, zapamiętajcie moje słowa: to bez dwóch słów najlepsza za ten szmal kurwa w Karolinie Południowej... - urwał w pół zdania, kiedy zauważył stojącego przy toalecie Race'a.

Wszyscy komandosi gwałtownie się odwrócili i Race poczuł się jak na talerzu.

Miał przemożne uczucie, że jest autsajderem. Kimś spoza bractwa. Człowiekiem nie na miejscu.

Jego anioł stróż - wysoki sierżant Van Lewen - stał nieco z boku. Race uśmiechnął się do niego.

- Hej! - powiedział.

Van Lewen odwzajemnił uśmiech.

- Jak leci? - zapytał.

- Świetnie. Doskonale - odparł bez przekonania Race. Minął milczących komandosów i skierował się do schodów prowadzących na pokład pasażerski.

Gdy nimi wchodził, Cochrane mruknął za nim:

- Pierdolona ciota...

Race zdawał sobie sprawę, że miał tego nie usłyszeć, ale jednak usłyszał.

Kiedy szedł między rzędami foteli, z głośnika rozległ się komunikat:

- Rozpoczynamy podejście do lądowania. Planowany czas dotarcia do Cuzco: dwadzieścia minut.

Gdy Race mijał Waltera Chambersa, naukowiec studiował jego notatki, co chwila spoglądając na leżącą obok kartkę papieru. Była to pozaznaczana flamastrem mapa.

Chambers popatrzył na Race'a.

- Och, profesorze... Właśnie się za panem rozglądałem. Może mi pan coś wyjaśnić? Pańskie notatki wymieniają: „Paxu, Tupra, Roya”. - Wskazał na notatki Race'a. - Czy właśnie w takiej kolejności Renco przechodził przez te wioski?

- Taka kolejność podana jest w manuskrypcie.

- Rozumiem.

- Walterze... - zaczął Race i usiadł obok Chambersa - chciałbym pana o coś zapytać.

- Tak?

- W manuskrypcie Renco wspomina o stworze, zwanym titi albo rapa. Co to dokładnie jest?

- Ach, rapa...- mruknął Chambers. - Hmm... no tak, tak... nie jest to w zasadzie moja dziedzina, ale co nieco o tym wiem.

- Więc?

- Jak wiele innych ludów południowoamerykańskich, Inkowie byli zafascynowani wielkimi kotami. Stawiali im pomniki, zarówno małe, jak i duże, czasem nawet wykuwali w zboczach gór przedstawiające je ogromne płaskorzeźby. Plan Cuzco ma kształt pumy. Ta fascynacja wielkimi kotami jest bardzo dziwna, bo w Ameryce Południowej właściwie ich nie ma. Jedyne rdzenne koty tego kontynentu to jaguar - czyli pantera - i puma, ale oba te gatunki nawet nie mają się co równać wielkością z tygrysem, największym z dużych kotów. - Chambers poprawił się na fotelu. - Myślę, że rapa to całkiem inna historia. To jakby południowoamerykańska wersja yeti albo potwora z Loch Ness. Legendarny stwór - nadnaturalnej wielkości czarny kot. Tak jak w przypadku yeti albo Nessie, co kilka lat słyszy się, że ktoś widział takiego ogromnego kota - brazylijscy rolnicy narzekają na okaleczenia bydła, turyści „na szlaku Inków” w Peru twierdzą, że w nocy po lesie biegają wielkie czarne koty, a na kolumbijskich nizinach od czasu do czasu znajdowane są zwłoki zabitych przez jakiegoś zwierzęta wieśniaków. Nikt nie dostarczył jednak jeszcze nigdy jednoznacznego dowodu na istnienie takiego monstrualnego kota. Wszystkie zdjęcia, jakie kiedykolwiek zrobiono, zakwestionowano - są zbyt zamazane, nieostre i mogą przedstawiać wszystko: od zwykłej pantery po niedźwiedzia.

- A więc to tylko mit. Legenda o gigantycznym kocie.

- Niech pan tak od razu nie odrzuca mitów o wielkich kotach profesorze. Są dość powszechne na całym świecie. Znane są w Indiach, w Afryce Południowej, na Syberii. Może zaskoczy pana, ale wiara w istnienie wielkich kotów przetrwała także w Anglii.

- W Anglii...?

- Bestia z Exmoor, Bestia z Bahn. Nadnaturalnej wielkości koty, krążące nocami po bagnach. Nigdy nie złapane i nigdy nie sfotografowane, często jednak znajduje się w błocie odciski ich łap. Jeżeli jest w tym choć ziarno prawdy, to bestia z Psa Baskerville'ów mogła wcale nie być psem, ale kotem!

Race pokręcił niedowierzająco głową, zostawił Chambersa z jego zajęciem i wrócił na swój fotel. Ledwie usiadł, ktoś do niego dołączył. Lauren.

- Szczęśliwa czapka - powiedziała, patrząc na zniszczoną bejsbolówkę Race'a. - Nie wiem, czy ci kiedykolwiek o tym mówiłam, ale zawsze jej nienawidziłam.

- Mówiłaś.

- Ale ty dalej ją nosiłeś.

- To dobra czapka.

Oczy Lauren powędrowały oceniająco po podkoszulku, spodniach i butach Race'a. Sama była ubrana w grubą bawełnianą koszulkę khaki z krótkimi, podwiniętymi rękawami, spodnie w tym samym kolorze i solidnie wyglądające buty do chodzenia po górach.

- Ładny strój - powiedziała, zanim zdążył powiedzieć dokładnie to samo o jej ubiorze.

- Co mam ci odpowiedzieć? - mruknął. - Kiedy rano pakowałem torbę, nie planowałem wyprawy do dżungli.

Lauren odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Pamiętał ten śmiech z dawnych czasów - był w stu procentach udawany i nieszczerzy.

- Zapomniałam, jaki czasem potrafisz być kostyczny - twierdziła.

Uśmiechnął się słabo.

- Jak ci się wiodło, Will? - spytała po chwili.

- Dobrze - skłamał. - A tobie? Najwyraźniej świetnie.

- Życie jest piękne - oświadczyła z entuzjazmem. - Po Prostu wspaniałe. - Po chwili dodała już innym tonem: - Wiesz co, Will? Chciałam porozmawiać z tobą przed wylądowaniem... - Zawsze umiała przechodzić wprost do sedna sprawy. - Chciałam Powiedzieć, że nie byłoby dobrze, gdyby to, co kiedyś działo się między nami, przeszkodziło nam robić to, co mamy tu robić Nigdy nie zamierzałam cię zranić...

- Nie zraniłaś mnie - odparł nieco zbyt szybko. Popatrzył na swoje buty i dodał: - Przynajmniej nie tak, by nie udało mi się dość szybko wrócić do normy.

Nie była to do końca prawda.

Dochodzenie do równowagi po rozstaniu z Lauren O'Connor trwało bardzo długo.

Ich związek był klasyczny: byli jedną z źle dobranych par, jakie tworzą się w Stanach na wszystkich wyższych uczelniach. Race był inteligentny, ale nie śmierdział groszem. Lauren była bystra i błyskotliwa, a jej rodzina miała forsy jak lodu. Race studiował w USC, dostając połowę stypendium za sport - drugą połowę uskrobywał, stojąc za barem miejscowego klubu nocnego. Rodzice Lauren opłacili całe jej studia z góry. Byli ze sobą dwa lata. Futbolista z niezłymi, choć nie rewelacyjnymi ocenami z języków i wysoka studentka fizyki, która przodowała we wszystkim, do czego się zabrała. Race uwielbiał ją i podziwiał. Lauren miała w sobie wszystko, czego oczekiwał od towarzyszki życia - była inteligentna, otwarta, umiała być ironicznie dowcipna. Na prywatkach futbolistów wybijała się jak słońce wyglądające spoza chmur w deszczowy dzień, a kiedy się do niego uśmiechała, gdy wyłowiła go wzrokiem w tłumie kolegów, cały się rozplątywał. Zakochał się w niej po uszy.

Potem Lauren otrzymała roczne stypendium w MIT - na wydziale fizyki teoretycznej czy coś w tym rodzaju. Wyjechała, a on czekał. Był to klasyczny związek na odległość. Miłość przez telefon. Ale Race był wierny Lauren i żył od jej cotygodniowego telefonu do następnego. W końcu wróciła.

Czekał na nią na lotnisku. Z pierścionkiem w kieszeni. Swoją przemowę przećwiczył z tysiąc razy - tak aby paść na kolana w idealnym momencie i poprosić ją o rękę.

Kiedy przeszła przez bramkę, od razu zauważył na jej palcu pierścionek z brylantem.

- Will, przepraszam, ale... no wiesz, poznałam kogoś innego. - Nie zdążył nawet wyjąć swojego pierścionka z kieszeni.

Resztę studiów spędził zagrzebany w książkach, przez cały czas niewyobrażalnie cierpiąc.

Zrobił dyplom z języków starożytnych z czwartą lokatą i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu dostał propozycję pracy na NYU jako wykładowca. Ponieważ nie miał pomysłu, co zrobić ze swoim dalszym życiem - może poza podcięciem sobie żył - od razu się zgodził.

Teraz był skromnym profesorem lingwistyki i pracował w starym, źle wyposażonym gabinecie w Nowym Jorku, podczas gdy ona była fizykiem teoretycznym i pracowała w najważniejszym dziale najbardziej liczącego się w Stanach Zjednoczonych ośrodka, zajmującego się najnowocześniejszą bronią. Hmmm...

Nie spodziewał się jej jeszcze kiedykolwiek ujrzeć. Zapytany, czy chciałby ją

spotkać, odpowiedziałaby pewnie, że wcale nie ma na to ochoty, kiedy jednak Frank Nash wymienił rano jej nazwisko, pomyślał, że może warto zobaczyć, jak sobą pokierowała.

Teraz już wiedział: osiągnęła o niebo więcej od niego.

Zamrugał, by oderwać się od wspomnień. Wrócił do rzeczywistości i uświadomił sobie, że wpatruje się w jej obrączkę. Człowieku, weź się w garść, pomyślał.

- Frank mówił, że świetnie sobie poradziłeś z manuskrypcją - powiedziała Lauren.

Race zakaszłał, próbując oczyścić zarówno gardło, jak i umysł.

- Na tyle, na ile się dało - odparł. - Nie jest to fizyka teoretyczna, ale cóż... właśnie tym się zajmuję.

- Możesz być dumny z tego, co robisz. - Uśmiechnęła się. - Will, naprawdę miło znów cię widzieć.

Race odpowiedział jej słabym uśmiechem. Lauren wstała i rozejrzała się.

- Chyba już muszę wrócić do siebie - oświadczyła. - Wygląda na to, że zaraz będziemy lądować.

Kiedy hercules ciężko opadł na zapylony prywatny pas do lądowania na skraju doliny Cuzco, było późne popołudnie.

Cała ekipa opuściła samolot w wojskowej ciężarówce, która przyleciała do Ameryki Południowej we wnętrzu ogromnego samolotu. Gdy tylko wielki pojazd zjechał po rampie wyładunkowej, natychmiast skierował się na północ i ruszył źle wyasfaltowaną drogą, prowadzącą ku rzece Urubamba.

Podróż była wyboista. Race siedział na pace, a obok jego ochroniarz - Van Lewen.

Pozostali członkowie ekipy - trójka ludzi z DARPA, Nash. Lauren i fizyk o orlej twarzy, Copeland, antropolog Chambers i Gaby Lopez, piękna młoda Latynoska, która miała być ich archeologiem - również mieli przydzielonych komandosów-ochroniarzy.

W którymś momencie ciężarówka wjechała na szczyt wzniesienia i Race spojrzął w dół, w dolinę Cuzco.

Po lewej stronie, na porośniętym trawą wzgórzu, znajdowały się ruiny Sacsayhuaman, potężnej fortecy, o której niedawno czytał. Do dziś można było rozróżnić trzy gigantyczne kondygnacje, ale czas i niszczące działanie wpływów atmosferycznych odebrały im cały majestat. To, co przed czterystu laty było potężną i wspaniałą fortecą, godną oczu królów, stało się ruiną, w której tylko turyści mogli dostrzec coś interesującego.

Z prawej widać było morze terakotowych dachów - współczesne Cuzco, już

dawno pozbawione otaczającego niegdyś miasto muru. Za dachami sterczały nagie szczyty gór południowego Peru - brązowe i surowe, tak różne od pokrytych śniegiem szczytów Andów na północy.

Po dziesięciu minutach ciężarówka dojechała do rzeki Urubamba, gdzie czekał na nich mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna w białym płóciennym garniturze i panamie na głowie. Nazywał się Jonathan Sebastian i był porucznikiem Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych.

Za porucznikiem widać było dwa unoszące się leniwie na wodzie wojskowe helikoptery, zacumowane do pontonowego nabrzeża.

Były to Bell Textrony UH-1N, zwane „hueyami”, ale obie maszyny nieco zmodyfikowano. Ich długie, cienkie płozy do lądowania zastąpiono podobnymi do grubych kiełbas pontonami, a jedna z nich pod przypominającym żabi pysk przodem kabiny miała mnóstwo skomplikowane wyglądających urządzeń elektronicznych.

Ciężarówka, którą przyjechali, zatrzymała się z dygotem przy nabrzeżu i zaczęli wysiadać.

Porucznik Sebastian podszedł prosto do Nasha.

- Pułkowniku, helikoptery gotowe, wszystko, jak pan sobie zażyczył.

- Dobra robota, poruczniku. A jak tam nasza konkurencja?

- Skaning SAT-SN był robiony dziesięć minut temu. Romano i jego oddział znajdują się w tej chwili nad Kolumbią i kierują się na Cuzco.

- Jezu, już są nad Kolumbią... - mruknął Nash i zagryzł wargę. - Doganiają nas.

- Ich przewidywany czas przylotu do Cuzco za trzy godziny, sir. Nash popatrzył na zegarek. Była dokładnie 17.00.

- W takim razie nie mamy zbyt wiele czasu. Ładujmy helikoptery i lećmy.

Zielone Berety nie czekały na rozkaz - komandosi wsuwali już do hueyów sześć wielkich podłużnych skrzyń. Kiedy znalazły się w środku, dwunastka uczestników wyprawy podzieliła się na dwie grupy po sześć osób i każda szóstka wsiadła do innej maszyny.

Helikoptery wystartowały, pozostawiając Nathana Sebastiana na pontonowym pomoście, trzymającego w ręku kapelusz.

Hueye mknęły nad ośnieżonymi górskimi szczytami. Race siedział z tyłu drugiego helikoptera i z zachwytem patrzył w głębokie wąwozy, które pod nimi przemykały.

- Wszyscy słuchać - rozległ się nagle w hełmofonach głos Nasha. - Zostały nam jakieś dwie godziny dnia. Chciałbym jak najwięcej zrobić, póki jeszcze jest widno. Naszym najważniejszym zadaniem jest znalezienie pierwszego totemu. Walter? Gaby?

Chambers i Gaby Lopez lecieli razem z Nashem, w pierwszym helikopterze, który kierował się na rzekę Puacartambo. Po przelecieciu nad nią mieli kierować się na trzy

wymienione w Manuskrypcie Santiago wsie: Paxu, Tuprę i Royę.

Z manuskryptu wynikało, że pierwszy totem znajduje się w okolicy Royi. Chambers i Lopez, antropolog i archeolożka, mieli na podstawie tekstu wydedukować dokładną współczesną lokalizację tej nadrzecznej osady.

Race pomyślał, że to, co zajęło młodemu Ince i mnichowi jedenaście dni, oni załatwili w pięćdziesiąt minut. Po mniej więcej godzinnym locie nad poszarpanymi, spiczastymi szczytami Andów góry nagle odpłynęły w tył i aż po horyzont rozpostarł się płaski dywan zieleni. Był to niezwykle widok. Zaczynało się ogromne dorzecze Amazonki.

Lecieli na północny wschód, nisko nad lasem, dudnienie łopat wirników obu maszyn niesło się daleko w spokojnym powietrzu.

Przelecieli nad kilkoma rzekami - długimi, grubymi, brązowymi liniami, wijącymi się przez nieprzebyte las. Od czasu do czasu widzieli na brzegach rzek pozostałości po starych wioskach - jedne niemal całkowicie zarośnięte chwastami, w innych można było dostrzec stojące pośrodku kamienne ruiny.

W którymś momencie Race zauważył na ciemniejącym horyzoncie pomarańczowe migotanie elektrycznego światła.

- To kopalnia złota Madre de Dios - wyjaśniła Lauren, przechylając się przez jego ramię, by popatrzeć na światła. - Jedna z największych i najbardziej oddalonych od dużych zbiorowisk ludzkich kopalń odkrywkowych na świecie. I jedyna placówka cywilizacji w tym rejonie. Słyszałam, że w zeszłym roku tę kopalnię zamknięto, ale wygląda na to, że znów ją...

W tym momencie z radia buchnęła kakofonia głosów. To Chambers i Lopez spierali się na temat wioski, znajdującej się w tym momencie pod helikopterami.

Do rozmowy włączył się Frank Nash i kazał lądować.

Wylądowali na pustej polance nad brzegiem rzeki. Warstwa powietrza, pchana w dół przez opadające maszyny, spłaszczyła trawę. Nash, Chambers i Lopez wysiedli pierwsi.

Pośrodku polany stały omszałe kamienne monumenty. Po kilkuminutowych oględzinach i porównaniu ich z rysunkami w swoich notesach Chambers i Lopez uznali, że niemal na pewno są w dawnej Royi.

Kiedy po krótkiej dyskusji uznano, że znaleźli się w planowanym miejscu, wszyscy członkowie ekipy wysiedli z helikopterów i w otaczającej resztki osady dżungli zaczęły się poszukiwania. Po dziesięciu minutach Lauren znalazła pierwszy totem - jakieś pięćset metrów na północny wschód od osady.

Race przyglądał się wielkiej rzeźbie z pełnym szacunku podziwem.

Była znacznie bardziej przerażająca, niż sobie wyobrażał.

Miała jakieś dwa metry siedemdziesiąt wysokości i zrobiono ją z jednej bryły

kamienia. Cała była pokryta licznymi znakami krzyża i innymi chrześcijańskimi symbolami, które czterysta lat temu wyryli na niej bogobojni konkwistadorzy.

Mimo to wyglądała wspaniale. Była niesamowita - Race jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

Powierzchnia kamienia była pokryta cienką warstewką wody, która sprawiała, iż wyrzeźbiony w nim przerażający stwór wyglądał jak żywy.

Race przełknął ślinę.

Jezu...

Po znalezieniu pierwszego totemu pobiegli do helikopterów, które po chwili wystartowały.

Maszyna Nasha prowadziła - leciała nisko nad dżunglą, kierunku wskazanym przez ogon rapa.

W słuchawkach rozległ się głos Nasha:

- ...włącz magnetometr. Kiedy będziemy mieli zamiar następnego totemu, wracamy na szperacze...

- Zrozumiałem.

Race zmarszczył czoło. Chętnie spytałby kogoś, co to jest Magnetometr, nie chciał jednak wypaść w oczach Lauren na większego ignoranta, niż już jej się wydawał.

- To urządzenie, stosowane przez archeologów do lokalizacji znajdujących się pod ziemią artefaktów - wyjaśniła, uśmiechając się niewinnie.

Cholera jasna, zaklął w myślach.

- Są także używane do celów komercyjnych przez firmy poszukujące surowców naturalnych do określania lokalizacji podziemnych zasobów ropy naftowej i rudy uranu.

- Jak to działa?

- Magnetometr cezowy, którym się teraz posługujemy, mierzy mikroskopijne wahania w polu magnetycznym Ziemi, spowodowane przez znajdujące się w nim obiekty. W Meksyku archeolodzy od lat używają tych urządzeń do odnajdywania ukrytych pod ziemią ruin azteckich miast, a my zastosujemy go do odnalezienia następnego totemu.

- Ale przecież totemy znajdują się na powierzchni. A czy drzewa i zwierzęta nie zakłócą odczytu magnetometru?

- Normalnie mogłoby to być problemem, ale nie w tym przypadku. Nash na pewno ustawił czytnik na detekcję obiektów o określonej gęstości. Drzewa mają gęstość rzędu kilku tysięcy megabarów, a zwierzęta jeszcze mniejszą. Inkaskie kamienie są przynajmniej kilka razy mniej przenikliwe od najgrubszego drzewa w lesie...

- Uwaga, drużyna - przerwał jej nagle głos Nasha. - Mam odczyt. Prosto przed nami. Kapralu - szperacz.

I tak to szło.

Przez następną godzinę - światło dzienne coraz bardziej słabło, a cienie gór wydłużały się i stawały coraz zimniejsze - Race obserwował, jak Nash, Chambers i Lopez odkrywają totem po totemie. Po zlokalizowaniu rzeźby przez magnetometr helikopter opuszczał się nad nią i oświetlał figurę jaskrawobiałym światłem. Potem lecieli dalej - albo w kierunku wskazanym przez ogon rapa, albo w lewo, jak nakazywał Znak Słońca.

Droga przez cały czas wiodła na północ, wzdłuż krawędzi potężnego płaskowyżu, oddzielającego las deszczowy od gór.

Gdy zapadł zmrok, Nash odezwał się ponownie:

- W porządku, nadlatuj nad płaskowyż. Widzę ogromny wodospad.

Race wstał z fotela i podszedł do przodu, by wyjrzeć przez przednią szybę helikoptera. Huey Nasha zawisł nad wspaniałym wodospadem, znaczącym krawędź płaskowyżu.

- Doskonale... leć teraz wzdłuż rzeki...

Robiło się coraz ciemniej i po chwili Race mógł dostrzec jedynie światła pozycyjne na ogonie helikoptera Nasha, zakręcającego i kładącego się na boki. Lecieli dokładnie nad czarną nitką rzeki w dole. Snop światła ze szperacza przemykał po uderzających w brzegi falkach - kierowali się teraz na zachód, ku ścianie gór, wznoszących się nad lasem deszczowym.

Nagle helikopter Nasha skręcił ostro w prawo - rzeka była tak obrośnięta drzewami, że dopiero w ostatniej chwili pilot dostrzegł, że skręca niemal o sto osiemdziesiąt stopni.

- Zaczekaj chwilą... - powiedział głos Nasha.

Race wpatrywał się w ciemność przed helikopterem. Prowadząca maszyna zawisała nad brzegiem po prawej.

- Zaczekaj... - powtórzył Nash. - Widzą polanę. Wygląda na porośniętą trawą i mchem, ale... zaczekaj - jest. Ludzie, chyba mamy nasz cel. Widzę ruiny wielkiej piramidy... wygląda jak cytadela. W porządku - przygotować się. Przygotować się do lądowania.

W chwili gdy hueye Nasha lądowały w Vilcafor, na lotnisko w Cuzco przybyły trzy następne maszyny wojskowe - znacznie większe.

Były to samoloty - ogromny transportowiec C-17 Globemaster III i dwa eskortujące go myśliwce F-14. Samoloty szybko dokołowały do końca pasa i zatrzymały się przy grupce innych maszyn, które przybyły do Cuzco kilka minut wcześniej.

Na końcu pasa startowego stały trzy wielkie helikoptery CH-53E Super Stallion i czekały na globemastera. Stalliony wyglądają imponująco - nie tylko są potężne i emanują siłą, ale są też najszybszymi i najsilniejszymi na świecie helikopterami przeznaczonymi do przenoszenia dużych, ciężkich ładunków.

Z transportowca błyskawicznie przeniesiono na ich pokład cały ładunek, a potem z globemastera wyskoczyły trzy ciemne postacie i pobiegły po betonie do helikopterów. Jeden z biegnących mężczyzn - wyraźnie niższy od pozostałych i czarnoskóry, w okularach w złotej drucianej oprawce - niósł pod pachą coś, co wyglądało na dużą, oprawną w skórę księgę.

Cała trójka wskoczyła do tego samego superstalliona. Ledwie znaleźli się w środku, wszystkie trzy helikoptery wystartowały i pomknęły na północ.

Ich odlot nie pozostał jednak niezauważony.

W pewnej odległości od lotniska, obserwując odbywające się tam wydarzenia przez silną lornetkę, stał mężczyzna w białym płóciennym garniturze i kremowej panamie na głowie.

Porucznik Nathan Sebastian.

Oba hueye Franka Nasha wylądowały łagodnie na rzece na wysokości ruin Vilcator. Było już niemal całkowicie ciemno i lało jak z cebra.

Gdy maszyny trochę się uspokoiły, piloci skierowali je do brzegu. Pontony helikopterów zatrzymały się w miękkim mule.

Zielone Berety wyskoczyły pierwsze - z podniesionymi i gotowymi do strzału M-16. Kiedy komandosi się rozejrzeli, zhueyów wyszli cywilni członkowie ekipy. Race wysiadł ostatni, stanął na brzegu rzeki i zapatrzył się z zachwytem na ruiny cytadeli.

Cała osada składała się właściwie tylko z jednej zarośniętej trawą ulicy, odchodzącej od samego brzegu rzeki i mającej jakieś sto metrów długości. Po obu jej stronach stały chaty bez dachów, porośnięte zielskiem i mchem. Wyglądało to, jakby otaczający ludzkie siedziby las deszczowy ożył i pożarł Vilcafor.

U wylotu ulicy do rzeki pozostały tylko resztki drewnianego nabrzeża, a przy jej drugim końcu - spoglądając na osadę z góry niczym chroniący ją bóg - sterczały ruiny wielkiej cytadeli.

W rzeczywistości nie była ona wyższa od współczesnego piętrowego domku na przedmieściach, zbudowano ją jednak z masywnych bloków skalnych, dzięki czemu sprawiała wrażenie znacznie większej. Race stwierdził, że chyba jeszcze nigdy nie widział budowli z tak potężnych kamiennych płyt. O kamieniarskim kunszcie Inków często wspominał w swoim manuskrypcie Alberto Santiago. Rzemieślnicy przycięli gigantyczne głązy w regularne kształty, a potem ułożono je dokładnie jeden obok drugiego. Zaprawa była zbędna, więc jej nie użyto.

Cytadela była okrągła i miała dwie kondygnacje - górne piętro, niczym mniejsze

koło, było położone na dolnym, większym.

Budowla była jednak zwietrzała i zniszczona, mocno nadszarpnięta zębem czasu. Niegdyś imponujące ściany pokrywała teraz winorośl i sieć rozgałęziających się pęknięć. Całe górne piętro Pękało i kruszyło się. Dolna część była jeszcze kompletna, ale niemal zupełnie niewidoczna, tak bujnie rozrosło się na niej dzikie wino. Kamienna płyta, chroniąca dostępu przez główne wejście, zwisała przekrzywiona na bok.

Oprócz cytadeli jeszcze jedna rzecz w osadzie zwracała uwagę.

Vilcafor było ze wszystkich stron otoczone wielką, wyschniętą fosą - głębokim, okrążającym całą osadę rowem, którego jeden koniec odchodził od rzeki, a drugi do niej dochodził. Dwie kamienne śluzy odcinały dopływ wody.

Fosa musiała mieć co najmniej pięć metrów szerokości i tyle samo głębokości. Po jej wyschniętym dnie pełży splątane, kolczaste krzaki. Z obu stron osady nad fosą przechodziły stare, drewniane mosty. Tak samo jak cała osada, również i one zostały opanowane przez roślinność - zmurszałe belki gęsto pokrywała winorośl.

Race stał bez ruchu na końcu starej inkaskiej ulicy, nie zwracając uwagi na deszcz, spływający z daszka jego czapki.

Czuł się, jakby wszedł do innego świata.

Starożytnego świata.

Niebezpiecznego świata.

- Nie stój za blisko przy brzegu - powiedziała Lauren, mijając go.

- Dlaczego? - zdziwił się i odwrócił ku wodzie. Lauren zapaliła latarkę i skierowała snop światła na rzekę. Efekt był taki, jakby ktoś nagle zapalił mnóstwo światełek. Race natychmiast je dostrzegł. Błyszczały w świetle latarki jak małe żarówki.

Oczy.

Co najmniej pięćdziesiąt par oczu wystawało z atramentowo-czarnej rzeki i wpatrywało się w niego ze smaganej deszczem powierzchni wody.

- Aligatory? - spytał.

- Nie - odparł za Lauren Walter Chambers. - Melanosuchus niger. Kajmany czarne. Największe krokodyle na kontynencie, niektórzy twierdzą nawet, że największe na świecie. Są znacznie większe od aligatorów, ale budową przypominają krokodyle. Tak naprawdę kajman czarny jest bliskim kuzynem *Crocodylus porosus*, ogromnego australijskiego krokodyla morskiego.

- Jak bardzo są duże? - Race widział jedynie upiorne ślepie, nie można było na tej podstawie określić wielkości zwierzęcia.

- Około sześciu i pół metra - powiedział Chambers.

- Sześć i pół... metra... A ile ważą?

- Nieco ponad tonę. Tona. Tysiąc kilogramów. Cudownie...

Kajmany zaczęły się unosić w ciemniejszej wodzie. Race dostrzegł opancerzone grzbiety i spiczaste płytki na ogonach.

Wyglądały jak pływające w wodzie ciemne góry. Wielkie, potężne góry.

- Ale nie wyjdą z wody? - spytał.

- Mogą wychodzić, choć robią to niechętnie - odparł Chambers. - Większość krokodyli woli dopadać ofiary na skraju rzeki, wyskakując nagle spod wody. Kajmany czarne są wprawdzie nocnymi łowcami, ale rzadko opuszczają wieczorem rzekę, bo jest im wtedy za zimno. Tak jak wszystkie gady, muszą dbać o utrzymanie odpowiedniej temperatury ciała.

Race odsunął się od brzegu.

- Czarne kajmany... - mruknął. - Wspaniale.

Frank Nash stał na końcu jedynej ulicy Vilcafor. Był sam. Splótł ramiona na klatce piersiowej i wpatrywał się w leżącą przed nim zniszczoną osadę.

Po chwili podszedł do niego Troy Copeland.

- Sebastian właśnie dzwonił z Cuzco. Romano był niedawno na lotnisku. Przyleciał globemasterem, w eskorcie tomcatów. Przesiadł się na helikoptery i poleciał w naszym kierunku.

- Jakie helikoptery?

- Superstalliony. Trzy.

- Boże.. - jęknął Nash.

Jeden CH-53E Super Stallion mógł wziąć na pokład pięćdziesięciu pięciu w pełni uzbrojonych żołnierzy. A oni mieli trzy sztuki! Tak więc Romano wiezie ze sobą małą armię, pomyślał.

- Ile zajął nam lot z Cuzco? - spytał.

- Mniej więcej dwie godziny i czterdzieści minut. Nash popatrzył na zegarek.

Była 19.45.

- Stallionami zjawiają się tu szybciej - mruknął. - Jeżeli właściwie odczytają wskazówki totemów. Musimy się szybko ruszać. Powiedziałbym, że mamy do ich przybycia dwie godziny.

Szóstka Zielonych Beretów wyciągnęła z helikoptera skrzynie i postawiła je na ulicy.

Nash, Lauren i Copeland zaczęli je otwierać. W środku były Zestawy supernowoczesnego sprzętu - laptopy Hexium, teleskopy na podczerwień i futurystycznie wyglądające pojemniki z niepewnej stali.

Chambers i Lopez udali się do osady. Dokładnie oglądali Wadele i otaczające ją budynki.

Race - ubrany w wojskowy ocieplany płaszcz, mający chronić go przed deszczem

- podszedł do komandosów, by pomóc im wylądowywać helikoptery.

Buzz Cochrane znącał się właśnie nad najmłodszym członkiem oddziału, gładkolicym kapralem, Douglasem Kennedym. Nie było z nimi sierżanta Van Lewena ani dowódcy Zielonych Beretów, kapitana Scotta.

- Doogie, a może ona wcale nie jest nie z twojej ligi? - mówił Cochrane.

- Nie mam pojęcia, Buzz - odpowiedział mu zamiast Doogiego któryś z pozostałych komandosów. - Myślę, że on sam powinien ją o to zapytać.

- Świetny pomysł - stwierdził Cochrane i znów odwrócił się do Kennedy'ego.

- Zamknijcie się, chłopaki - burknął Kennedy z ciężkim południowym akcentem.

- Poważnie, Doogs, dlaczego do niej nie podejdziesz i nie spytasz?

- Powiedziałem, że macie się zamknąć - powtórzył Kennedy i wyciągnął z helikoptera kolejną skrzynię.

Douglas Kennedy miał dwadzieścia trzy lata i poważne zielone oczy, był szczupły, ostrzyżony na zapałkę i po chłopięcemu przystojny. Był też kompletnie zielony. Jego przydomek - „Doogie” - wziął się od imienia zawsze gładko ogolonego i niezłomnie uczciwego głównego bohatera starego serialu telewizyjnego pod tytułem Doktor Doogie Howser, bo koledzy uważali, że Douglas ma wiele podobnych do niego cech charakteru. Przydomek ten sugerował też pewną niewinność i „niezdarność” - i rzeczywiście pasował do młodego kaprała, który był bardzo nieśmiały i nie dobrze sobie radził w kontaktach z kobietami.

- Co się dzieje? - spytał Race, podchodząc do nich. Cochrane odwrócił się, zlustrował Race'a od stóp do głów i odwrócił się, mówiąc:

- Nic, tylko przyłapaliśmy Doogiego na wpatrywaniu się w naszą ładną panią archeolog i trochę się z nim przekomarzamy Race odwrócił się i ujrzał Gaby Lopez - stała przy cytadeli z Walterem Chambersem.

Była rzeczywiście bardzo ładna. Miała ciemne włosy, piękną latynoską cerę i kształtne, pełne odpowiednich krzywizn ciało. Była najmłodszym profesorem nadzwyczajnym na wydziale Archeologii w Princeton - miała zaledwie dwadzieścia siedem lat. Była bez wątpienia bardzo inteligentną młodą kobietą.

Race pomyślał, że Doogie Kennedy mógł mieć gorszy gust.

Cochrane klepnął Kennedy'ego po plecach i wypluł kawałek przeżutego tytoniu - Nie martw się, synu. Zrobimy jeszcze z ciebie mężczyznę. Popatrz na Chucka - wskazał na drugiego najmłodszego po Kennedym członka oddziału, byczkowatego dwudziestotrzyletniego kaprała o twarzy okrągłej jak księżyc, Charlesa „Chucky'ego” Wilsona. - Tydzień temu Chucky został pełnoprawnym członkiem Klubu Osiemdziesiąt.

- A co to jest? - spytał zdziwiony Doogie.

- Coś pysznego, mały - odparł Cochrane, oblizując się. - Zgadza się, Chucky?

- Jasne, Buzz.

- Sam miód, stary - dodał Cochrane i uśmiechnął się.

- Sam miód - powtórzył Chucky.

Żołnierze się roześmiali, a Race przyjrzał się Cochrane'owi. Doskonale pamiętał, co kapral powiedział, sądząc, że słyszą go tylko jego kumple.

Buzz Cochrane wyglądał na prawie czterdzieści lat, miał rude włosy i brwi, mocno poraną zmarszczkami twarz i nieogolony podbródek. Był potężny - miał klatkę piersiową jak dzwon i szerokie, muskularne bary.

Race nie lubił go już za sam wygląd.

Był to typ niezbyt inteligentnego szkolnego osiłka, który przez same swoje rozmiary ma przewagę nad innymi dziećmi. Brutal, który wstępuje do wojska, ponieważ tacy jak on doskonale tam sobie radzą. Nic dziwnego, że z czterdziestką na karku ciągle jest kapralem.

- Powiedz mi, Doogie - zaczął znowu Cochrane - co byś zrobił, gdybym podszedł do naszej śliczniutkiej pani archeolog. Powiedział jej, że mamy u nas głupiego żołnierzyka, który chciałby ją zaprosić na hamburgera i do kina...

- Nie! - wrzasnął przestraszony Doogie. Pozostali komandos wybuchnęli śmiechem. Doogie poczerwieniał jak burak.

- I nie mów na mnie głupi... - mruknął. - Nie jestem głupi. W tym momencie podeszli do nich Van Lewen i Scott. Śmiech żołnierzy natychmiast zamarł. - Mamy info o zbliżaniu się w tej właśnie chwili do miejsca naszego pobytu wrogich sił. Niech jak najszybciej przyślą pełny oddział ochronny w celu zabezpieczenia substancji. - Popatrzył na resztę swoich ludzi. - W porządku, chłopaki. Siodłać konie - przejmijmy tego bożka.

Wszyscy zaczęli się szykować.

Komandos po raz ostatni sprawdzili swoje M-16. Naukowcy DARPA pakowali kompas i różne urządzenia komputerowe.

Lauren i Troy Copeland poszli do jednego z helikopterów, prawdopodobnie po jakiś specjalistyczny sprzęt. Race pospieszył za nimi, by zobaczyć, czy może być w czymś pomocny - i może przy okazji spytać, co Nash miał na myśli, mówiąc, że do Vilcafor zbliżają się wrogie siły.

- Przepraszam... - zaczął, kiedy znalazł się przy helikopterze. - Och... - wymamrotał.

Przyłapał ich w klinczu - całowali się jak para nastolatków, wbijając sobie nawzajem palce we włosy i wpychając języki do ust. Niecierpliwi jak rozgrzane koty.

Kiedy go zobaczyli, natychmiast przestali. Lauren spąsowiła, Copeland jęknął.

- Naprawdę... bardzo przepraszam... - wyjąkał Race. - Nie chciałem...

- Nie ma sprawy - odparła Lauren. - To po prostu dla nas bardzo podniecająca

chwila.

Race kiwnął głową, odwrócił się i ruszył tam, skąd przyszedł. Nie mógł przestać myśleć o palcach Lauren we włosach Copelanda. Wyraźnie widział jej obrączkę. Copeland nie miał na palcu obrączki.

Cała grupa maszerowała błotnistą ścieżką, biegnącą wzdłuż rzeki. Szli w kierunku podstawy skalnego płaskowyżu. Odgłosy życia nocnego lasu były wszechobecne, otaczające ich morze liści drżało pod ciężarem kropel nieustannego deszczu.

Było ciemno i wszędzie wokół skakały snopy światła latarek. W ciemnych burzowych chmurach nad ich głowami robiły się dziury, przez które płynącą obok rzekę oświetlało niezwykle, jasnoniebieskie światło księżyca. Od czasu do czasu w oddali błyskało. Nadchodziła burza.

Lauren i Copeland prowadzili. Lauren trzymała przed sobą cyfrowy kompas; obok niej szedł jej ochroniarz, Buzz Cochrane, z przyciśniętym do piersi M-16.

Nash, Chambers, Lopez i Race szli tuż za nimi, pochód zamykali Scott, Van Lewen i następny komandos - przysadzisty Chucky Wilson.

Pozostali dwaj żołnierze - Doogie Kennedy i George Tex Reichart - zostali w osadzie jako straż tylna.

Race zauważył, że idzie tuż obok Nasha.

- Dlaczego Siły Lądowe nie przysłały tu od razu pełnego oddziału osłonowego? - zapytał. - Jeżeli Idol jest tak ważny, dlaczego przysłano tylko oddział pierwszego rzutu?

Nash wzruszył ramionami.

- Kilku ludzi z dość wysokich stołków uznało, że ta misja to zbyt duża niewiadoma - odparł. - Ich zdaniem szukanie figurki z tyru na podstawie czterystuletniego rękopisu to głupota. Zablokowali więc przyznanie nam pełnego oddziału ofensywnego i nadali misji status ekspedycji rozpoznawczej. Teraz jednak, kiedy mamy pewność, że Idol tu jest, przysłał kawalerię. Przepraszam na chwilę - powiedział, po czym ruszył szybciej do przodu i dołączył do Lauren i Copelanda.

Race został sam z tyłu, bardziej niż kiedykolwiek czując się jak piąte koło u wozu - człowiek, który nie wiadomo po co się tu znalazł. Intruz.

Kątem oka obserwował rzekę. Niektóre kajmany płynęły wzdłuż ścieżki, utrzymując takie tempo, by stale być na wysokości przybyszy.

Wkrótce Lauren i Copeland doszli do podstawy płaskowyżu - wysokiej jak wieżowiec, pionowej ściany, ciągnącej się daleko na północ i na południe. Race ocenił, że oddalili się od osady jakieś sześćset metrów.

Po lewej - po drugiej stronie rzeki - z lica ściany wypływał kipiący wodospad, którego wody wpadały prosto do koryta w dole.

Po ich stronie rzeki masywną skalną ścianę przecinało wąskie, pionowe pęknięcie.

Miało niecałe dwa i pół metra szerokości, ale było bardzo wysokie - musiało mieć co najmniej sto metrów - a jego ściany były idealnie pionowe. Rozstęp zniknął gdzieś w głębi skały. Z pęknięcia wyciekał wąski, sięgający mniej więcej do kostek strumyk, który wpadał do kamienistego jeziorka, przelewającego się prosto do rzeki.

Pęknięcie tworzyło naturalne przejście przez fasadę skalną. Race podejrzewał, że był to efekt niewielkiego trzęsienia ziemi, które nawiedziło tę okolicę kiedyś w przeszłości i lekko przesunęło biegnący z północy na południe klif w kierunku wschód-zachód.

Lauren, Copeland i Nash weszli do jeziorka u stóp urwiska.

Race odwrócił się i zobaczył, że towarzyszące im przez cały czas kajmany zatrzymały się pięćdziesiąt metrów dalej, w głębszej wodzie.

Mnie to odpowiada, pomyślał.

Nagle jakiś wewnętrzny impuls kazał mu się rozejrzeć.

Coś tu było nie tak...

Zmieniło się nie tylko zachowanie kajmanów. Coś jakby zawisło nad całą okolicą...

Po chwili zrozumiał, co go uderzyło.

Las zamilkł.

Jeśli nie liczyć plaskania kropli deszczu o liście, wokół było kompletnie cicho. Umilkły cykady, ptaki przestały śpiewać, nawet gałęzie nie szumiały.

Wszystko zamarło.

Jakby weszli do strefy, do której leśne zwierzęta bały się wkraczać. Lauren, Copeland i Nash najwyraźniej tego nie zauważyli. Świecili latarkami w pęknięcie skalne i zagłądali w nie.

- Wygląda na to, że przechodzi przez cały płaskowyż - powiedział Copeland.

Lauren popatrzyła na Nasha.

- Biegnie w odpowiednim kierunku - stwierdziła.

- No to chodźmy.

Dziesiątka łowców przygód szła wąskim skalnym przejściem, ich buty plaskały w sięgającej do kostek wodzie. Szli gęsiego - prowadził Buzz Cochrane, latarka na lufie jego M-16 rozświetlała drogę w przodzie.

Przejście niemal przez cały czas prowadziło prosto, jedynie w środkowej części biegło lekkim zygakiem. Wchodziło w płaskowyż przynajmniej na głębokość siedemdziesięciu metrów.

Idący na końcu Race zadarł głowę w górę. Skalne ściany po obu stronach wąskiego przesmyku były niewiarygodnie wysokie. Race poczuł na twarzy krople

drobnego deszczu.

Nagle wyszli z „korytarzyka” na rozległą przestrzeń.

To, co zobaczyli, zaparło im dech w piersiach.

Stali u podstawy potężnej rozpadliny skalnej - szerokiego, cylindrycznego krateru o średnicy co najmniej trzystu metrów.

Przed nimi migotała tafla wody, połyskująca srebrzyście w promieniach księżycowego światła, przecinanego po obu stronach ścianami krateru. Wyglądało na to, że skalne pęknięcie, którym tu dotarli, jest jedynym wejściem do tego gigantycznego cylindrycznego tworu. Ze ściany po przeciwległej stronie wypływał wąski wodospad, a jego woda spadała pionowo przynajmniej sto dwadzieścia metrów i wpadała do niewielkiego jeziora, wypełniającego dno krateru.

Ale uwagę wszystkich przykuło to, co stało na środku jeziora.

Prosto z wody - dokładnie pośrodku - wyrastała wielka skalna formacja.

Miała mniej więcej dwadzieścia pięć metrów średnicy i co najmniej sto metrów wysokości. Ta gigantyczna naturalna skalna wieża - równa średniej wielkości drapaczowi chmur - zdawała się wystrzeliwać z migoczącego, oświetlonego przez księżyc jeziora prosto w nocne niebo. Na tle wciąż padającego drobnego deszczu czarny monolit wyglądał absolutnie wspaniale. Cała dziesiątka zamarła i patrzyła na niego z zachwytem.

- Jezu Chryste... - sapnął Buzz Cochrane. Lauren pokazała Nashowi odczyt kompasu.

- Oddaliliśmy się sześćset metrów od osady. Jeżeli uwzględnimy przypuszczalną wysokość tej wieży, powiedziałabym, że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż nasz Idol znajduje się dokładnie na jej szczycie.

- Patrzcie! - zawołał nagle Copeland, który odszedł parę kroków w lewo.

Wszyscy się odwrócili. Naukowiec stał przed ścieżką wyciętą w ścianie krateru.

Wznosiła się dość stromo i wiła spiralnie po wewnętrznej ścianie gigantycznego cylindra. Wspinając się w górę, okrążała wieżę pośrodku jeziora, cały czas jednak była oddalona od niej przynajmniej o trzydzieści metrów.

Lauren i Nash pierwsi weszli na ścieżkę.

Zaczęli piąć się w górę.

Deszcz osłabł, a chmury się przeredziły i przepuszczały coraz więcej księżycowego światła.

Szli coraz wyżej i wyżej wąską, wijącą się ścieżką i wpatrywali się z zachwytem w skalną wieżę, wznoszącą się pośrodku krateru.

Była gigantyczna, miała jednak dziwny kształt: na górze była nieco szersza niż na dole. Cała formacja lekko zwężała się ku dołowi, aż do miejsca, gdzie skała wchodziła do jeziora.

Po kilku minutach wspinaczki Race mógł już dokładniej przyjrzeć się szczytowi skalnej wieży. Był zaokrąglony - niemal kopulasty - i całkowicie pokryty gęstą roślinnością. Poskręcane, nasączone wodą gałęzie sterczały nad stumetrową przepaścią.

Kiedy członkowie grupy zbliżali się do szczytu krateru, tuż pod jego krawędzią, niedaleko wąskiego wodospadu, zobaczyli most - czy może raczej jego resztki - łączący niegdyś biegnącą po wewnętrznej ścianie krateru ścieżkę ze skalną wieżą.

Po obu stronach przepaści znajdowały się kamienne przyczółki oddalone od siebie o mniej więcej trzydzieści metrów. Na każdym z nich zamocowane były po dwie kamienne przypory - na nich właśnie musiał wisieć upleciony z lin most.

Przypory po ich stronie były podziobane i zwietrzałe, ale mimo to sprawiały wrażenie dość solidnych. Były też bardzo stare. Naprawdę stare. Nie było wątpliwości, że pochodzą z czasów Inków.

Po chwili Race dostrzegł linowy most.

Zwisał z przyczółka po przeciwległej stronie przepaści, przy skalnej wieży. Do jego dolnej części przymocowana była długa, postrzępiona żółta lina, biegnąca mocno wygiętym łukiem nad przepaścią i dochodząca do przyczółka po ich stronie, do jednej z przypór.

Walter Chambers przyjrzał się jej.

- Została zrobiona z suszonej trawy - oświadczył. - Zazębający się warkocz. Klasyczny inkaski splot linowy. Podobno jeśli zabrała się do tego cała wieś, potrafili upleść most linowy w trzy dni. Kobiety zbierały trawę i splatały ją w długie, cienkie sznurki. Potem mężczyźni splatali te sznurki w grubsze, bardziej wytrzymałe - i w ten sposób powstawały liny, takie jak ta.

- Ale przecież most z takich lin nie przetrzymałby czterystu lat wpływów atmosferycznych! - zawołał Race.

- Nie. Nie przetrzymałby - przyznał Chambers.

- Co oznacza, że most musiał zrobić ktoś inny - stwierdziła Lauren. - I to całkiem niedawno.

- Ale po co cała ta skomplikowana aranżacja? - spytał Race. - Po co przywiązywać linę do jednego końca i zrzucić wszystko w przepaść?

- Nie mam pojęcia - odparł Chambers. - Może chciano uwięzić kogoś na tej wieży...

Nash popatrzył na Lauren.

- Co o tym sądzisz? Lauren spojrzała na wieżę.

- Jest wystarczająco wysoka, by pasować do kąta z zamiaru NRI - powiedziała i popatrzyła na kompas. - Jesteśmy dokładnie sześćset trzydzieści dwa metry od osady, licząc w poziomie. Jeśli uwzględnimy wysokość tej formacji, można stawiać

na to, że Idol tam jest.

Van Lewen i Cochrane podciągnęli most i zamocowali go na Przyporach znajdujących się po ich stronie. Wielki linowy most łączył teraz oba brzegi przepaści.

Nadal padało.

Niebo zaczęły rozświetlać poszarpane błyskawice.

- Sierzancie - powiedział Scott. - Lina zabezpieczająca. Van Lewen natychmiast wyjął z plecaka niewielki, błyszczący hak z czterema zębami, do którego przywiązany był zwój czarnej nylonowej liny. Włożył trzon haka do granatnika M-203, zamontowanego pod lufą jego M-16, wycelował przez przepaść i strzelił.

Hak wyprysnął z granatnika z sykiem rozprężającego się gazu i poleciał eleganckim łukiem nad przepaścią. Cztery zęby rozłożyły się w locie, czarna linka zgrabnie się rozwijała.

Kiedy hak wylądował na szczycie skalnej wieży i wbił się w podstawę rosnącego tam grubego drzewa, Van Lewen przywiązał koniec linki zabezpieczającej do jednej z kamiennych przypór. Biegła teraz nad linowym mostem.

- Przygotować się - polecił Scott. - Kiedy będziecie przechodzić przez most, trzymajcie się jedną ręką linki zabezpieczającej. Jeśli most się zarwie, linka was utrzyma.

Van Lewen musiał zauważyć, że Race blednie, bo powiedział uspokajająco:

- Nic się panu nie stanie. Wystarczy, że będzie się pan trzymał linki, a przejdzie pan bez problemu.

Pierwsi zaczęli przechodzić komandosi - pojedynczo.

Wąski linowy mostek bujał się i podskakiwał pod ich ciężarem, ale wytrzymał. Reszta grupy ruszyła za żołnierzami. Każdy mocno trzymał się nylonowego zabezpieczenia.

Deszcz padał bez przerwy.

Race przeszedł jako ostatni, trzymając linkę z taką siłą, aż pobielaty mu kostki dłoni. Ponieważ przechodził najdłużej, w chwili, gdy znalazł się na przyczółku po drugiej stronie, nikogo już tam nie było. Zobaczył przed sobą prowadzące w gęste zarośla mokre kamienne schodki i niewiele myśląc, wszedł na nie.

Z obu stron otoczyły go liście, z których skapywała woda. Wchodząc na kolejne mokre stopnie, czuł, jak smagają go po twarzy. Po jakiejś minucie wspinaczki przebił się przez gęstą ścianę gałęzi i stwierdził, że stoi na niedużej polanie.

Wszyscy inni członkowie grupy już tu byli i stali jak sparaliżowani. Z początku Race nie mógł się zorientować, co sprawiło, że się tak nagle zatrzymali, po chwili jednak zauważył, że światła wszystkich latarek skierowane są w lewo.

Podążył za nimi wzrokiem.

- Jezu miłosierny... - wymamrotał.

W najwyższym punkcie skalnej wieży - pokryta ubitym błotem i mchem, otoczona gęstym zielskiem i połyskująca wilgocią w bez przerwy padającym deszczu - stała złowieszczo wyglądająca kamienna konstrukcja.

Teraz kryła się w ciemnościach i deszczu, ale widać było, że stworzono ją po to, aby emanowała grozą i potęgą. Miała na celu wzbudzanie strachu i umacnianie wiary w przedmiot kultu.

Była to Świątynia.

Race wpatrywał się w ciemną kamienną budowlę, nerwowo przetykając ślinę.

Wyglądała zimno, okrutnie i groźnie.

Nie była to wielka budowla. Była nie wyższa od współczesnego parterowego domu, ale nie o to chodziło.

Race podejrzewał zresztą, że widzą jedynie szczyt Świątyni - czubek góry lodowej - bo zrujnowana kamienna konstrukcja, którą mieli przed sobą, zbyt gwałtownie się urywała. Po prostu znikła w błocie.

Uznał, że reszta budowli znajduje się pod ich stopami - pochłonięta przez zbierające się przez czterysta lat błoto.

Ale to, co widzieli, było wystarczająco przerażające.

Świątynia przypominała kształtem piramidę - dwa szerokie kamienne stopnie prowadziły do niewielkiej sześcienniej nadbudówki, nie większej od przeciętnego współczesnego garażu. Nietrudno było się domyślić, czym jest ten sześciennik: tabernakulum, świętą komnatą w rodzaju tych, jakie znajdują się na szczytach piramid Azteków i Majów.

Na ścianach nadbudówki, pokrytych siatką pęknięć, wyrzeźbione były liczne piktogramy - przedstawione na nich szczyzące kły, kotowate potwory wyciągały łapy o pazurach jak kosy, umierający ludzie wrzeszczeli w agonii. Tropikalny deszcz ściekał strumykami po rzeźbionych ścianach, ożywiając przedstawione w przerażających scenach postacie - wywołując ten sam efekt jak woda spływająca po pierwszym kamiennym totemie.

Pośrodku frontowej ściany znajdował się najbardziej intrygujący element: wejście. Prostokątny portal. Wejście zostało jednak zabarykadowane. Kiedyś w przeszłości ktoś wtoczył w portal wielki głaz i zablokował go. Głaz był ogromny. Aby umieścić go tam, gdzie się znajdował, potrzeba było przynajmniej dziesięciu mężczyzn.

- Zdecydowanie preinkaskie - stwierdził Chambers po obejrzeniu płaskorzeźb.
- Bez dwóch zdań - zgodziła się z nim Lopez.
- Skąd wiecie? - spytał Nash.
- Piktogramy są umieszczone zbyt gęsto - wyjaśnił Chambers.
- I są zbyt szczegółowe - dodała Lopez.

Nash odwrócił się do kapitana Scotta i powiedział:

- Sprawdź, co słychać u Reicharta.

- Tak jest, sir - odparł słuźbiście Scott, po czym odszedł kawałek na bok i wyjął z plecaka przenośne radio.

Lopez i Chambers ciągle wpatrywali się w piktogramy na ścianach.

- Co to według pana jest? - spytała Lopez. - Chachapoyas?

- Możliwe. Może też być Moche. Popatrz na wizerunki kotów. Gaby Lopez z powątpiewaniem pokręciła głową.

- Może i tak, ale to by znaczyło, że obiekt ma prawie tysiąc lat...

- W takim razie co powiesz o ścieżce, wspinającej się spiralnie po ścianie krateru, i schodach na wieży?

- No tak... oczywiście. Trochę to dziwne... Nash odwrócił się do nich.

- Cieszę się, że tak bardzo was to fascynuje, ale o czym, do cholery, gadacie?

- No cóż, pułkowniku... wygląda na to, że mamy do czynienia z pewną anomalią.

- Co masz na myśli, Walterze?

- Spiralna ścieżka wokół krateru i schody na tej wieży zostały bez wątpienia zaprojektowane przez inkaskich inżynierów. Inkowie budowali w Andach różne rodzaje dróg i ścieżek i ich metody są dobrze udokumentowane. Te dwa przykłady mają wszystkie cechy typowo inkaskich konstrukcji transportowych.

- To znaczy...?

To znaczy, że ścieżka i schody powstały jakieś czterysta lat temu. Ale sama Świątynia została zbudowana znacznie wcześniej.

- I co z tego wynika? - spytał z irytacją Nash.

- To właśnie ta anomalia - wyjaśnił Chambers. - Dlaczego Inkowie mieliby robić drogę do Świątyni, której nie zbudowali?

- Nie zapominajmy też o linowym moście - dodała Lopez.

- Oczywiście - potwierdził Chambers. - Jak najbardziej. - Spojrzał z niepokojem na krawędź krateru. - Proponuję, abyśmy się pośpieszyli.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest bardzo prawdopodobne, że w okolicy żyje tubylcze plemię, które nie będzie zbyt zachwycone naszym wtargnięciem do ich świętego miejsca.

- Skąd wiadomo, że w okolicy są jacyś tubylcy? - spytał Nash.

- Ponieważ to oni zbudowali ten most.

- Jak zauważył profesor Race, splecione z lin mosty wiszące szybko niszczejają - mówił Chambers. - Taki most ulega zniszczeniu w ciągu kilku lat. Ten, po którym przechodziliśmy, nie może mieć czterystu lat. Zrobiono go niedawno, a zrobił to ktoś znający inkaskie techniki konstrukcji mostów - prawdopodobnie jakieś prymitywne tubylcze plemię, w którym przekazywano tę wiedzę z pokolenia na pokolenie.

Nash jęknął.

- Prymitywne plemię? - zdziwił się Race. - Tutaj? Teraz?

- To wcale nie aż tak nieprawdopodobne - odparła Gaby Lopez. - W dorzeczu Amazonki wciąż odkrywa się zaginione plemiona. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku w brazylijskim lesie deszczowym bracia Villas Boas odnaleźli zaginione plemię Kreen Akrore. Rząd brazylijski ma specjalny program wysyłania badaczy do dżungli w celu nawiązywania kontaktów nawet z plemionami z epoki kamiennej. Jak się z pewnością domyślicie, większość tych plemion jest bardzo wrogo nastawiona wobec Europejczyków. Bywa, że finansowani przez agencje państwowe badacze wracają do domu w kawałkach. Niektórzy nie wracają wcale - podobnie jak sławny peruwiański antropolog doktor Miguel Moros Marquez...

- Hej! - zawołała nagle stojąca przy portalu Lauren. Wszyscy się odwrócili. Lauren przyglądała się uważnie wepchniętemu w prostokątny portal głazowi. - Tu jest coś napisane!

Podeszli do niej. Lauren zgarnęła z kamienia grudki błota i Race zobaczył, co zwróciło jej uwagę.

W powierzchni wielkiego głazu coś było wyryte.

Lauren zdrapała jeszcze trochę błota, odsłaniając coś, co przypominało literę alfabetu.

Było to „N”.

- Co to ma... - zaczął Nash.

Kolejne odsłanianie litery powoli układały się w słowa. No entrare... Race przetłumaczył to.

No entrare oznaczało po hiszpańsku: „Nie wchodzić”. Lauren zeskrobała więcej błota i pośrodku głazu ukazało się całe zdanie, topornie wyciosane w kamieniu.

Brzmiało ono:

No entrare absoluto.

Muerte asomarse dentro.

A.S.

Race przetłumaczył napis w myśli i nerwowo przełknął ślinę.

- Co to znaczy? - niecierpliwił się Nash.

Race odwrócił się do pułkownika. Przez chwilę się nie odzywał. W końcu powiedział:

- Napis brzmi: „Nie wchodzić pod żadnym pozorem. W środku czyha śmierć”.

- A to „A.S.”? - spytała Lauren.

- Moim zdaniem to inicjały autora manuskryptu, Alberta Santiaga - odparł Race.

Czekający w osadzie Doogie Kennedy z nudów kopał kamień. Była już ciemna noc, deszcz ciągle padał, a on był wkurzony, że zostawiono go tutaj, choć znacznie

bardziej wolałby być w górach z pozostałymi.

- Co jest, Doogs? - spytał kapral George Tex Reichart, stojący na warcie przy wschodniej fosie. Reichart był wysoki i chudy jak fasolowa tyka. Pochodził z Austin i był prawdziwym, żującym trawę kowbojem - i dlatego nadano mu taki przydomek. - Za mało się dzieje?

- Wszystko w porządku, ale wolałbym łączyć z nimi po górach i szukać tego, po co tu przyjechaliśmy, a nie pilnować tej zapyziałej wiochy.

Reichart zaśmiał się cicho i pomyślał, że może Doogie jest trochę nierozgarnięty, ale ostry - ostry jak żyłeta.

Nie wiedział, że pod małomiasteczkowym południowym akcentem kryje się wyjątkowo bystry młody człowiek.

Wstępne badanie w Fort Benning wykazało, że Kennedy ma iloraz inteligencji sto sześćdziesiąt jeden, co było dość dziwne, bo ledwo udało mu się ukończyć szkołę średnią.

Wkrótce jednak odkryto, że przez cały czas nauki w szkole, do której Douglas chodził w Little Rock w stanie Arkansas, jego cichy, bogobojny ojciec, z zawodu księgowy, co wieczór bił go do utraty przytomności skórzanym pasem.

Kennedy senior nie kupował także synowi książek szkolnych i bardzo często kazał mu stać całą noc w ciemnej, ciasnej szafie - karząc go w ten sposób za takie wykroczenia jak zbyt głośne trzaśnięcie drzwiami czy przypalenie tatusiowi steku. Młody Doogie nigdy nie odrabiał lekcji w domu i skończył szkołę jedynie dzięki niezwyklej zdolności zapamiętywania wszystkiego, o czym mówiono na lekcjach.

Wstąpił do wojska tego samego dnia, w którym skończył szkołę, i od tej pory ani razu nie był w domu. W młodym człowieku, którego nauczyciele uważali za niezbyt rozgarniętego, nieśmiałego dzieciaka, z trudem przebijającego się przez kolejne klasy, stary bystry sierżant od rekrutacji dostrzegł chłonny, błyskotliwy umysł.

Doogie ciągle jeszcze był nieśmiały, ale biorąc pod uwagę jego inteligencję, siłę woli oraz oferowane przez Siły Lądowe możliwości doksztalcania się, należało się spodziewać, że wkrótce zostanie doskonałym żołnierzem. Bez problemu uzyskał stopień rangera, specjalizując się w strzelaniu snajperskim. Wkrótce potem znalazł się w Zielonych Beretach i Fort Bragg.

- Chyba po prostu palce mnie swędzą, by coś podziałać - stwierdził, kiedy podszedł do Reicharta, zakładającego właśnie przy wschodniej fosie czujnik AC-7V „Orle oko”.

- Nie robiłbym sobie wielkich nadziei - mruknął Reichart, włączając aktywowany ruchem system obrazowania cieplnego „Orlego oka”. - Nie sądzę, żeby na tej wycieczce wiele się działo.

W tym momencie detektor ruchu głośno zapiszczał.

Doogie i Reichart wymienili szybko spojrzenia.

Po sekundzie obaj odwrócili się i zaczęli przepatrywać gęsty las przed strefą namierzaną przez czujnik.

Niczego tam jednak nie było.

Tylko drzewa i splątane paprocie. Gdzieś zagwizdał ptak.

Doogie złapał M-16 i ostrożnie przeszedł przez most nad wschodnią częścią fosy. Szedł powoli w kierunku podejrzanego fragmentu dżungli.

Doszedł do skraju lasu, zapalił zamontowaną na lufie latarkę i...

...w tym momencie zobaczył, co było przyczyną alarmu.

Ujrzał błyszczące, nakrapiane cielsko największego węża, jakiego widział w życiu. Był to wąż-monstrum, dziesięciometrowa anakonda, leniwie prześlizgująca się po poskręcanych gałęziach grubego drzewa.

Była tak wielka, że jej ruch musiał uruchomić czujnik ruchu.

- Co jest? - spytał Reichart, podchodząc do Kennedy'ego.

- Nic. To tylko wiel... - zaczął wyjaśniać Doogie, ale nagle urwał i odwrócił się, by znów popatrzeć na gada.

Zwierzę nie mogło zaktywizować czujnika, ponieważ było zimnokrwiste, a sensor obrazował na podstawie bodźców cieplnych. Tworzył termogramy...

Doogie ponownie skierował karabinek na las i zaczął wodzić po nim promieniem latarki.

Nagle zamarł.

W mokrym poszyciu przed nim leżał człowiek.

Leżał płasko na brzuchu i obserwował Doogiego zza czarnej, porcelanowej maski hokejowej. Znajdował się w odległości nie większej niż dziesięć metrów, ale był tak dobrze zakamuflowany, że ledwie dało się go odróżnić od ciemnych liści, na których leżał.

Doogie nie zwracał jednak uwagi na jego kamuflaż.

Patrzył na pistolet maszynowy MP5SD3 z tłumikiem, wycelowany prosto w jego głowę.

Mężczyzna w kamuflującym stroju powoli podniósł palec wskazujący i przyłożył go do maski w miejscu ust. Kiedy dawał znak, by Amerykanin milczał, Doogie zauważył leżącego obok intruza drugiego człowieka - tak samo ubranego. Potem dostrzegł trzeciego, czwartego, piątego...

Wokół leżał cały oddział czarnych duchów.

- Co to kur... - zaczął Reichart i urwał, kiedy zobaczył leżących przed nimi komandosów. Błyskawicznie sięgnął po broń, ale seria głośnych trzaśnień - odgłos odbezpieczania kilkunastu pistoletów maszynowych - sprawiła, że cofnął rękę.

Doogie skrzywił się i zamknął oczy.

W krzakach za fosą musiało kryć się przynajmniej dwudziestu ludzi.

Pokręcił głową z rozgoryczeniem.

Właśnie oddali osadę przeciwnikowi.

- „W środku czeka śmierć”... - Nash zmarszczył czoło i przyglądał się wepchniętemu w portal głazowi.

Race stał obok i przyglądał się płaskorzeźbom na ścianach Świątyni - przerażającym scenom, przedstawiającym monstrualne koty i umierających ludzi.

- Tak naprawdę brzmi to trochę inaczej - powiedział. - Asomarse oznacza „czyhać”. W środku czyha śmierć.

- I napisał to Santiago? - spytał Nash.

- Na to wygląda. Podszedł do nich kapitan Scott.

- Sir, mamy problem. Nie mogę połączyć się z Reichartem.

- Interferencje z powodu gór?

- Nie, sygnał jest silny, sir. Reichart nie odbiera. Coś jest nie tak.

Czoło Nasha znów przecięły zmarszczki.

- Zjawili się... - mruknął.

- Romano? - spytał Scott.

- Cholera jasna! Jak udało im się tak szybko przylecieć?!

- Co robimy?

- Jeżeli są w osadzie, to wiedzą, że tu jesteśmy. - Nash popatrzył na Scotta. - Zawiadom bazę w Panamie. Przekaż, że zaczynamy realizować plan B i musimy iść w góry. Niech zawiadomią oddział wsparcia i poinstruują pilotów, by lecieli na sygnały z naszych namierników osobistych. Pospiesz się, bo zaraz musimy się zwijać.

Lauren, Copeland i dwóch komandosów zaczęli zakładać na głaz w portalu kostki materiału wybuchowego composition-2.

Jest to łagodnie detonujący materiał, używany na całym świecie przez archeologów do usuwania niepotrzebnego materiału, nagromadzonego na starożytnych budowlach, bez niszczenia właściwej konstrukcji.

Nash w tym czasie postanowił zbadać teren za Świątynią - chciał sprawdzić, czy nie ma tam drugiego wejścia. Nie mając nic innego do roboty, Race poszedł za nim.

Obeszli kubiczną budowlę płaską, kamienną półką, obiegającą tabernakulum niczym balkon bez poręczy.

Z tyłu budowli półka opadała ostro w kierunku górnej krawędzi kamiennej wieży, na której się znajdowali. Race popatrzył pod nogi, na ułożone ciasno obok siebie prostokątne kamienne płyty, tworzące chodnik.

Po chwili między równo ułożonymi prostokątami dostrzegł inny kształt.

Okrągły kamień.

Nash również go zauważył i obaj pochylili się nad nim, by mu się dokładniej przyjrzeć.

Miał mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów średnicy - tyle co dobrze zbudowany mężczyzna w barach - i był ułożony równo z powierzchnią ścieżki. Race pomyślał, że prawdopodobnie zakrywa okrągły otwór, wykuty w jednej z płyt, tworzących ścieżkę.

- Ciekawe, do czego służył - mruknął Nash.

- Kto to jest Romano? - spytał nieoczekiwanie Race. Przypomniawszy pułkownikowi, jak opowiadał mu o oddziale niemieckich skrytobójców, którzy zamordowali mnichów w pirenejskim klasztorze, i o zdjęciu dowódcy oddziału, które mu pokazywał - Heinrichu Anistaze.

Nigdy jednak nic nie wspominał o jakimkolwiek Romano. Kto to więc był i co robił w osadzie na dole? Dlaczego musieli przed nim uciekać?

Nash popatrzył na Race'a. Jego twarz spochmurniała.

- Profesorze, proszę...

- Kto to jest?

- Przykro mi - powiedział Nash, po czym odsunął Race'a na bok i ruszył z powrotem w kierunku przedniej części budowli. Race pokręcił głową i poszedł za nim. Kiedy wrócił przed Świątynię, usiadł na jej szerokich stopniach.

Czuł, że jest straszliwie zmęczony, jego mózg zamienił się w papkę. Właśnie minęła dziewiąta, a miał za sobą dwanaście godzin podróży i był wykończony.

Oparł się plecami o schody Świątyni i owinał ciasno wojskową kurtkę. Nagle ogarnęła go senność. Oparł potylicę o kamień za sobą i zamknął oczy.

Ledwie to zrobił, usłyszał jakiś dziwny dźwięk.

Ostry, zgrzytający odgłos.

Coś drapało szybkimi ruchami, jakby z niecierpliwością, ale odgłos tego drapania był mocno stłumiony. Zdawał się dobiegać z wnętrza kamiennych schodów.

Brzmiało to jak drapiące o skałę pazury.

Race natychmiast się wyprostował i popatrzył na Nasha i pozostałych.

Zamierzał coś powiedzieć, ale dokładnie w tym momencie zza zasłony deszczu, wiszącej nad skalną wieżą, wyprysnęły dwa podobne do jastrzębi helikoptery szturmowe. Ich silniki ryczały, lufy karabinów maszynowych pluły ogniem, a potężne snopy światła z reflektorów oświetlały górną część skalnej wieży.

Wokół dudnił ogłuszający łoskot broni maszynowej i o skałę tuż nad głową Race'a załomotała seria pocisków.

Kiedy zanurkował za róg Świątyni, kątem oka dostrzegł wypadające zza drzew na skraju polany ciemne postacie. Z luf trzymanej przez czarne upiory nocy broni wystrzeliwały długie jęczory ognia.

TRZECIA INTRYGA

PONIEDZIAŁEK, 4 STYCZNIA, GODZINA 21.10

VILCAFOR I OTOCZENIE VILCAFOR LAS DESZCZOWY RZEKA
WODOSPAD DO AMAZOŃSKIEGO LASU DESZCZOWEGO

Kiedy kolejna salwa z broni maszynowej załomotła o skalną ścianę obok niego, Race padł na ziemię i osłonił głowę rękami.

Nagle - gdzieś z prawej strony - odezwał się kolejny karabin maszynowy. Blisko, bardzo blisko.

Race otworzył oczy i stwierdził, że patrzy prosto w szperacz jednego z helikopterów. Zacisnął powieki, ale światło było oślepiające i przed jego oczami zaczęły wirować czarne plamy.

Zasłonił oczy przedramieniem i powoli odzyskiwał wzrok. Po chwili zorientował się, że nowy odgłos strzelaniny dolatuje tuż znad niego, a ogień jest kierowany prosto w źródło światła.

Był to Van Lewen. Jego ochroniarz.

Bronił go, strzelając z M-16.

W tym momencie jeden z atakujących helikopterów zawisł z rykiem nad ich głowami - łopaty wirnika młóciły wściekle powietrze, snop światła szperacza płaszał po szczycie kamiennej wieży - i po chwili błoto przed Van Lewenem zostało zasypane gradem ołowiu z lotniczego działka. Niesamowity hałas zagłuszył klekot palby z karabinków szturmowych.

W słuchawkach Race'a rozlegały się gorączkowe okrzyki:

- ...nie widzę, gdzie...

- ...ich za dużo!

Nagle usłyszał głos Nasha:

- Van Lewen! Przerwać ogień! Przerwać ogień!

Chwilę potem Van Lewen przestał strzelać i natychmiast odgłosy walki umilkły. W upiornej ciszy, która nastąpiła - w jaskrawym świetle reflektorów wiszących nad ich głowami helikopterów - Race zobaczył, że są otoczeni przez co najmniej dwudziestu ubranych na czarno i uzbrojonych w broń maszynową ludzi.

Oba helikoptery szturmowe zaczęły krążyć nad polaną przed Świątynią, oświetlając ją potężnymi reflektorami. Były to amerykańskiej produkcji AH-64 Apache - smukłe, groźnie wyglądające drapieżne ptaki.

Spomiędzy drzew na skraju polany zaczęły wychodzić czarne postacie.

Każdy żołnierz był ciężko uzbrojony. Niektórzy mieli niemieckie MP-5, inni nowoczesne karabinki szturmowe Steyr-AUG.

Race był zaskoczony, że tak dobrze rozpoznaje obserwowaną broń.

Była to oczywiście wina Marty'ego.

Brat Race'a nie tylko pracował jako projektant dla DARPA i był najbardziej irytującym fanem Elvisa Presleya na świecie (wszystkie jego PIN-y i hasła komputerowe wyglądały tak samo: 53310761 - wojskowy numer seryjny Króla), ale był także chodzącą encyklopedią broni.

Od dzieciństwa aż do chwili, gdy widzieli się po raz ostatni (dziewięć lat temu), zawsze kiedy chodzili do sklepu ze sprzętem sportowym, Marty szczegółowo opisywał bratu każdy model i podawał producenta każdej sztuki broni w dziale strzeleckim. Najdziwniejsze w tym okazało się to, że teraz Race też wszystko rozpoznawał.

Zamrugnął, powrócił do rzeczywistości i ponownie spojrzął na stojących przed nim uzbrojonych komandosów.

Wszyscy mieli na sobie czarne - krucoczarne - mundury polowe, pasy, buty i rękawice.

Oprócz tego każdy komandos miał na twarzy czarną jak węgiel hokejową maskę z porcelany - masywny, bezkształtny twór zakrywający wszystko poza oczami. Maski sprawiały, że napastnicy wyglądali zimno, nieludzko - niemal jak roboty.

Jeden z nich podszedł do Van Lewena, wyrwał mu M-16 i zabrał pozostałe uzbrojenie.

Potem pochylił się do leżącego Race'a i uśmiechnął się z pod czarnej maski.

- Guten Abend - powiedział drwiąco i jednym szarpnięciem postawił Race'a na nogi.

Deszcz ciągle padał.

Nash, Copeland i Lauren stali przy portalu, z dłońmi splecionymi na karku. Żołnierze Zielonych Beretów stali obok - rozbrojeni.

Walter Chambers wpatrywał się szeroko otwartymi oczami, kompletnie zdezorientowany, w otaczający ich zamaskowany oddział. Gaby Lopez chłodno lustrowała napastników.

Podprowadzono do nich Van Lewena i Race'a.

Race z niepokojem spoglądał na ubranych na czarno komandosów, na ich czarne hokejowe maski. Już kiedyś widział coś takiego - specjalne oddziały policji południowoafrykańskiej, wyszkolone w zwalczaniu rozruchów, nosiły coś takiego podczas szczególnie gwałtownych starć ulicznych, dla ochrony twarzy przed kamieniami i innymi rzucanymi przez ludzi przedmiotami.

Doliczył się dwudziestu żołnierzy.

Za kręgiem komandosów stała grupa cywilów - mężczyźni i kobiety. Nie mieli na twarzach masek i byli ubrani w stroje do chodzenia po górach - podobne do tego, jaki miała na sobie Lauren. Naukowcy, pomyślał Race. Niemieccy naukowcy, którzy

przybyli tu, by odnaleźć figurkę bożka z tyru.

Popatrzył na portal i na wepchnięty do niego wielki głaz. Ze wszystkich jego stron wystawały druty, popodłączane do kostek C-2.

Jeden z komandosów wystąpił naprzód i uniósł rękę, zamierzając zdjąć maskę.

Race stęzał w oczekiwaniu - spodziewał się ujrzeć twarz Heinricha Anistaze, byłego agenta Stasi, dowodzącego oddziałem niemieckich skrytobójców, którzy dokonali krwawej rzezi we francuskim klasztorze.

Komandos zdjął maskę.

Race zmarszczył czoło. Nie znał tego człowieka.

Na pewno nie był to Anistaze.

Mężczyzna był krępy, znacznie starszy od tamtego, miał owalną, pomarszczoną twarz i krzaczaste siwe wąsy.

Race nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy jeszcze bardziej się bać.

Niemiecki dowódca bez słowa przeszedł obok niego i ukląkł przed portalem.

Zbadał druty i mruknął coś pod nosem, po czym wstał i podszedł do Franka Nasha.

Przez chwilę patrzył władczo na amerykańskiego pułkownika w stanie spoczynku. Oceniał go, szacował.

Nagle odwrócił się na pięcie i wywarczał w kierunku swoich ludzi:

- Feldwebel Dietrich, bringen Sie sie in das Dorfund sperren Sie Sie ein!

Hauptmann von Dirksen - bereiten Sie alles vor, um den Tempel zu offnen!

Race przetłumaczył w myśli: „Sierżancie Dietrich, zaprowadźcie ich do osady i zamknijcie! Kapitanie von Dirksen - przygotować wszystko do otwarcia Świątyni!”.

Dziesiątka Amerykanów, prowadzona przez sierżanta Dietricha i otoczona przez sześciu zamaskowanych niemieckich komandosów, została przeprowadzona przez linowy most, a potem spiralną ścieżką w dół.

Na dole kazano im przejść wąskim pęknięciem w skale, którym przyszli z osady. Znalezli się w niej po mniej więcej dwudziestu minutach.

Osada wyglądała teraz zupełnie inaczej.

Główną ulicę oświetlały dwa silne halogenowe reflektory, a na samym jej środku wylądowały dwa helikoptery Apache, które wcześniej atakowały skalną wieżę. Nad brzegiem rzeki stało kilkunastu niemieckich żołnierzy i patrzyło w kierunku nurtu.

Race podążył za ich wzrokiem i zobaczył poobijane hueye którymi przyleciał tu razem z resztą Amerykanów - stały oparte o krawędź brzegu rzeki. W porównaniu ze smukłymi apache wyglądały bardzo mizernie.

Ale Niemcy nie patrzyli na amerykańskie maszyny.

Obiekt znajdował się za hueyami i kołysał się na wodzie, otulony padającym nieustannie nocnym deszczem.

Wodnopłat.

Nie był to jednak zwykły wodnopłat. Rozpiętość jego skrzydeł wynosiła ponad siedemdziesiąt metrów, a spoczywający na wodzie kadłub był gigantyczny - z pewnością znacznie większy od kadłuba herculesa, którym Race i reszta przylecieli do Peru. Pod potężnymi skrzydłami zamocowane były cztery silniki turboodrzutowe, a z końca każdego skrzydła zwisał pękaty ponton stabilizujący.

Był to Antonow An-111 Albatros, największy latający wodnopłat świata.

W chwili gdy prowadzeni przez sierżanta Dietricha jeńcy doszli do rzeki, potężna maszyna właśnie powoli obracała się na rzece. Kierowała się ogonem ku brzegowi.

Po paru minutach wodnopłat zatrzymał się na miękkim mule i z tyłu zaczęła się opuszczać rampa rozładunkowa.

Kiedy platforma dotknęła suchego lądu, z giganta wyjechały z łoskotem dwa pojazdy - ośmiokołowy pojazd terenowy, wyglądający jak czołg na kołach, i humvee ze zdejmowanym dachem.

Oba opancerzone pojazdy zatrzymały się na środku głównej ulicy osady. Poprowadzono ku nim Race'a i resztę jeńców. Gdy znaleźli się przy samochodach, Race zobaczył, że dwóch innych niemieckich komandosów popycha w ich kierunku Texa Reicharta i Douglasa Kennedy'ego.

- Panowie - powiedział Dietrich po niemiecku do swoich towarzyszy. - Proszę umieścić żołnierzy i pracowników rządowych w transporterze i ograniczyć im swobodę ruchów. Resztę Wsadzić do humvee. Zamknąć ich w środku i unieruchomić pojazdy.

Nash, Copeland i szóstka Zielonych Beretów zostali wepchnięci do środka przypominającego czołg pojazdu terenowego. Race'a, Lauren, Lopez i Chambersa umieszczono w humvee.

Humvee to coś w rodzaju dżipa - ale jest znacznie szerszy i ma wzmacniany dach. Ma także szyby z lexanu, które w tej chwili wszystkie były pozamykane.

Po umieszczeniu jeńców w humvee jeden z Niemców podniósł maskę i pochylił się nad silnikiem. Przełączył znajdujący się pod chłodnicą klawisz i natychmiast - TRAK! - wszystkie drzwi i okna zostały zaryglowane.

Mobilne więzienie.

Wspaniale.

W tym czasie na szczycie skalnej wieży wrzała praca.

Znajdujący się tu niemieccy żołnierze byli członkami Falschinnjeiger - elitarniej jednostki szybkiego reagowania Bundeswehry - i rzeczywiście działali bardzo szybko i skutecznie.

Dowódca - generał Günther C. Kolb, mężczyzna z siwymi wąsami, który niedawno tak uważnie przyglądał się Frankowi Nashowi - wykrzykiwał rozkazy:

- Ruszać się! Tempo! Tempo! Nie mamy czasu!

Jego ludzie rozbiegli się we wszystkie strony, a Kolb zaczął się rozglądać po wnętrzu.

Kiedy usunięto pozakładane przez Amerykanów ładunki z C-4 i owinięto głaz linami, przed portalem umieszczono kamerę wideo, by udokumentować otwarcie Świątyni.

Kolb, zadowolony, skinął głową.

Byli gotowi.

Czas wchodzić do środka.

Deszcz walił głośno w dach hunwee.

Race opadł ciężko na fotel kierowcy. Walter Chambers usiadł obok niego, Lauren i Gaby Lopez zostały z tyłu.

Widział przez szybę, że niemieccy żołnierze zebrali się wokół monitora i uważnie obserwują jego ekran.

Zmarszczył czoło.

Na środku deski rozdzielczej był mały ekranik - w miejscu, gdzie w normalnym samochodzie byłoby radio. Race był ciekaw, jaki wpływ na elektrykę samochodu mogło mieć wyłączenie silnika. Aby się tego dowiedzieć, wcisnął klawisz pod ekranem.

Powoli zaczął się pojawiać obraz.

Ukazywał zebranych przed Świątynią Niemców, a z głośników pod ekranem dolatywał przekazywany przez laryngofon głos:

- Ich kann nicht glauben, dass sie Sprengstoff verwenden wollten. Es konnte das gesamte Gebäude zum Einsturz gebracht haben. Machen Sie die Seile fest...

- Co oni mówią? - spytała Lauren.

- Usuwasją materiał wybuchowy, który umieściliście wokół głazu - powiedział Race. - Uważają, że C-2 mógłby zniszczyć całą budowlę. Zamiast tego użyją lin.

Z głośników doleciał kobiecy głos. Mówił coś bardzo szybko po niemiecku. Race przetłumaczył:

- „Sprawdź, czy możesz nawiązać kontakt ze sztabem. Przekaż, że jesteśmy przy Świątyni, natknęliśmy się na przedstawicieli armii amerykańskiej i wzięliśmy ich do niewoli. Czekamy na instrukcje”.

Kobieta dodała coś jeszcze:

Wensz mit detn anderen amerikanischen Team? Wo sind die jetz.

A to co ma znaczyć? - zdumiał się Race. Vem anderen amerikanischen Team? Z początku sądził, że źle zrozumiał. Niemożliwe. Na pewno tak powiedziała. Nie przetłumaczył jednak tego zdania.

Na ekranie widać było, jak komandosi obwiązują głaz linami.

- Alles klar, rnacht euch fertig...

- „Wszystko gotowe, szykować się...”. Mężczyźni na ekranie chwycili liny.

- Zieht ani - „Ciągnąć!”.

Liny się naprężyły, wciśnięty w portal głaz drgnął i z głośnym chrobotem zaczął się powoli przesuwać po kamiennej podłodze.

Głaz ciągnęło ośmiu niemieckich komandosów, wrywając go z czterystuletniego spoczynku.

Powoli - bardzo powoli - kamień oddzielił się od portalu i ukazała się atramentowo-czarna czeluść.

Kiedy wejście zostało otwarte, generał Kolb podeszedł i zajrzał w ciemne wnętrze Świątyni.

W dół, ku trzewiom wielkiej podziemnej budowli, prowadziły szerokie kamienne schody.

- W porządku - powiedział generał po niemiecku. - Oddział zwiadowczy. Wasza kolej.

Race odwrócił się do Lauren.

- Wchodzą.

Na szczycie skalnej wieży pojawiło się pięciu obładowanych sprzętem komandosów. Zwiadowcy.

Prowadził ich młody kapitan, Kurt von Dirksen. Z przygotowaną do strzału bronią podeszli do czekającego przy wejściu Kolba.

- Załatwcie to szybko - powiedział generał. - Znajdźcie tego bożka i wypieprzaj...

Nagle powietrze wokół przeszła seria ostrych świsnięć.

TWAK-TWAK-TWAK-TWAK-TWAK-TWAK!

PRASK! - coś długiego i ostrego wbiło się w rosnącą na ścianie kępę mchu, tuż przy głowie Kolba.

Generał ze zdziwieniem przyjrzał się temu przedmiotowi.

Była to strzała.

Kiedy na zgromadzonych wokół Świątyni Niemców spadł grad strzał, z telewizorka w hunwee buchnęły chaotyczne wrzaski.

- Was zum Teufel?!

- Duckt euch! Duckt euch!

- Co się dzieje? - spytała Lauren, przechylając się przez oparcie przednich foteli.

Race odwrócił się do niej.

- Wygląda na to, że zostali zaatakowani.

Niemcy unieśli swoje MP-5 i Steyr-AUGi na szczycie wieży znów rozległa się ogłuszająca kanonada z broni maszynowej.

Stali wokół otwartego portalu Świątyni i celowali w kierunku, skąd nadlatywały

śmiercionośne strzały - zza krawędzi krateru.

Kryjąc się za występami portalu, Günther Kolb wpatrywał się w ciemność i szukał wzrokiem wroga.

Po chwili dostrzegł go.

Na krawędzi krateru stała grupa mrocznych postaci.

Było ich w sumie może pięćdziesiąt - patykowate kontury ludzików, zarzucających niemieckich komandosów gradem prymitywnych strzał.

- Co to ma do cholery... - zdumiał się Kolb.

Race w osłupieniu słuchał niemieckich rozmów, dolatujących z głośników małego telewizorka. - Oddział w Świątyni! Co tam się dzieje?

- Jesteśmy atakowani! Powtarzam: jesteśmy atakowani!

- Przez kogo?

- Wyglądają jak Indianie! Powtarzam: Indianie. Tubylcy, strzelają do nas z górnej krawędzi krateru! Chyba ich odpieramy... Zaczekaj. Nie, poczekaj jeszcze chwilę... wycofują się. Wycofują się!

Zaraz potem ryk broni maszynowej umilkł i zapadła cisza. Nic się nie działo.

Niemcy na ekranie rozejrzeli się ostrożnie, z luf ich karabinów unosił się dym.

Siedzący w humvee Race i Chambers wymienili się spojrzeniami.

- Tubylcze plemię... - mruknął Race.

Günther Kolb wykrzykiwał rozkazy.

- Horgen! Vell! Weźcie tam ludzi i zabezpieczcie krawędź! - Zwrócił się do grupy von Dirksena: - W porządku, kapitanie, możecie wchodzić do Świątyni.

Pięciu członków oddziału zwiadowczego stanęło w szyku przed portalem.

Otwór przed nimi ział czernią - groźny i odpychający.

Kapitan von Dirksen ruszył ostrożnie naprzód. Stał w samym wejściu, u szczytu szerokich schodów, prowadzących do wnętrza Świątyni.

- Zaczynamy - powiedział i zrobił pierwszy krok w dół. - Widzę przed sobą schody. Zaczynam zejście...

- ...schody teraz... - mówił głos von Dirksena z głośników monitora w humvee.

Race wpatrywał się w sylwetki pięciu komandosów, wchodzących powoli w portal. Wkrótce ostatnia głowa zniknęła pod linią progu i widać było już tylko puste wejście.

- Kapitanie, raportujcie - powiedział głos Kolba w słuchawkach hełmu von Dirksena, kiedy młody dowódca oddziału zwiadowczego doszedł do końca wilgotnych kamiennych schodów. Promień światła jego latarki ciął ciemność.

Znajdowali się teraz w wąskim, kamiennym tunelu, który prowadził dalej, łagodnie skręcając w prawo, a potem opadał stromo w dół, schodząc spiralnie do wnętrza Świątyni. Co kilka metrów w ścianach znajdowały się niewielkie nisze.

- Doszliśmy do podnóża schodów. Widzę przed sobą zakrzywiony tunel. Idę w jego kierunku - mówił von Dirksen.

Oddział zwiadowczy rozciągnął się i cała piątka zaczęła schodzić tunelem w dół. Światła latarek przemykały po błyszczących, mokrych ścianach. Gdzieś z głębi Świątyni dolatywało odbijające się głośnym echem kapanie.

- Oddział, tu Jeden. Zgłaszać się - powiedział von Dirksen. Natychmiast mu odpowiedziano:

- Dwa.

- Trzy.

- Cztery.

- Pięć. Ruszyli dalej.

Race i reszta w pełnym napięcia milczeniu obserwowali ekran monitora w humvee i słuchali ściszonych głosów Niemców. Race tłumaczył:

- „...strasznie tu mokro, wszędzie woda...”.

- „...uważaj. Patrz, gdzie stawiasz nogi...”.

Nagle z głośników telewizorka buchnęły głośnie zakłócenia.

- „Co to było?” - To von Dirksen. - „Oddział, zgłaszać się”.

- „Dwa”.

- „Trzy”.

- „Cztery”. Koniec.

Race czekał na zgłoszenie się ostatniego żołnierza. „Pięć” nie nastąpiło.

Von Dirksen odwrócił się gwałtownie.

- Friedrich... - mruknął i zaczął wracać, mijając swoich ludzi. Przed chwilą przeszli krótki, mocno stromy odcinek tunelu i stali teraz w niemal kompletnej ciemności, rozświetlanej jedynie ich latarkami.

Nieco w górze, zza łagodnego zakrętu, płynęło słabe światło księżyca, wskazując, którądy należy wracać na powierzchnię.

Kapitan wbił wzrok w tunel.

- Friedrich! - zawołał cicho. - Friedrich! Gdzie jesteś? W tym momencie usłyszał za swoimi plecami głośnie tąpnięcie. Natychmiast się odwrócił.

Stało przed nim tylko dwóch żołnierzy. Trzeci zniknął.

Von Dirksen znów odwrócił się w kierunku, z którego przyszli, i właśnie zamierzał coś powiedzieć, gdy nagle ujrzał wielki cień, wysuwający się zza zakrętu nad nimi, i znieruchomiał.

Padające z tyłu światło księżyca wyraźnie ukazywało ogromny kontur.

Łagodne światło odbijało się od potężnie umięśnionych czarnych boków. Snop światła latarki von Dirksena ukazywał długie, ostre jak brzytwa kły.

Był to niesamowity widok.

Niemiecki kapitan z przerażeniem wpatrywał się w wielkiego stwora przed sobą. Nagle dołączył do niego drugi, taki sam, który wyszedł zza pierwszego. Muszą się ukrywać w niszach, pomyślał von Dirksen. Leżą tam i czekają. Czekają, aż ktoś przejdzie, by odciąć mu drogę ucieczki. Stwór skoczył. Von Dirksen nie miał najmniejszej szansy. Jak na zwierzę tej wielkości, poruszał się z nieprawdopodobną prędkością. W ciągu sekundy cały świat kapitana von Dirksena wypełniły pełne ostrych jak szable kłów szczęki i pozostało mu jedynie krzyżeć.

Z głośników monitora buchnęły wrzaski i lamenty.

Amerykane z przerażeniem patrzyli na ekran.

Krzyki ostatnich trzech zaatakowanych członków oddziału zwiadowczego gnały po falach eteru. Przez chwilę słychać było strzały, potwały jednak tylko kilka sekund, a potem zarówno kanonada, jak i wrzaski gwałtownie się urwały i zapadła cisza.

Długa cisza.

Race wpatrywał się w ekran, ukazujący otwarte wejście do Świątyni.

- Von Dirksen, Friedrich, Nielson. Raportować. Mężczyźni z wnętrza Świątyni nie odpowiadali. Race popatrzył na Lauren.

Nagle z głośników doleciał czyjś zdyszany, przepełniony przerażeniem głos:

- Generale, tu Nielson! Powtarzam - tu Nielson! O Boże... ooże, dopomóż nam.

Uciekajcie stąd, generale. Uciekajcie, dopóki...

KLAP!

Zabrzmiało to jak zderzenie.

Jakby w Nielsona uderzył duży przedmiot.

Coś zaszurało, a potem rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, przez który przebił się inny dźwięk. Był jeszcze bardziej porażający.

Był to ryk - wściekły ryk - basowy i grzmiący jak ryk lwa.

Tyle tylko, że dźwięczniejszy, bardziej rezonujący - bardziej wściekły i zawzięty.

Race popatrzył na ekran i zamarł.

Kamera zarejestrowała źródło dźwięku.

Zwierzę wychodziło właśnie z mroku portalu.

Widząc gigantycznego czarnego stwora, Race poczuł w dole brzucha ostry ból.

Zrozumiał, że mimo technologii, jaką dysponują, mimo broni i egoistycznego planu znalezienia nowego, fantastycznego źródła energii, ludzie na szczycie skały złamali właśnie jedną z zasad ewolucji.

Niektóre drzwi powinny na zawsze pozostać zamknięte.

Günther Kolb i kilkunastu pozostałych Niemców w bezruchu wpatrywało się w stojące w portalu zwierzę.

Było wspaniałe.

Stojąc na czterech łapach miało metr pięćdziesiąt wysokości i było całkowicie czarne - od czubka nosa po koniec ogona było kruczoczarne.

Przypominało nieco jaguara.

Gigantycznego czarnego jaguara.

Oczy wielkiego kota świeciły żółto w świetle księżyca, a gęste brwi, skośnie ułożone umięśnione łopatki i długie, przypominające sztylety kły sprawiały, że stwór wyglądał jak wcielenie diabła.

Nagle łagodne błękitne światło księżyca, które oświetlało portal, rozjaśnił jaskrawy, migoczący stroboskopowo błysk pioruna i w ogłuszającym trzasku grzmotu, który po nim nastąpił, wielkie zwierzę ryknęło.

Wyglądało to na sygnał, bo w tej samej chwili - w jednym ułamku sekundy - z ciemnego wnętrza Świątyni wyprysnął tuzin takich samych gigantycznych kotów i rzucił się na niemieckich żołnierzy.

Choć członkowie niemieckiej ekspedycji byli uzbrojeni w karabinki szturmowe i pistolety maszynowe, nie mieli nawet cienia szansy.

Koty były za szybkie i zbyt ruchliwe. Błyskawicznie wpadły w grupkę zamartwych z przerażenia żołnierzy i naukowców. Przewracały ludzi, kładły się na nich i pożerały ich żywcem.

Paru żołnierzom udało się oddać po kilka strzałów i jeden z kotów padł z łoskotem na ziemię, ciskając się w gwałtownych drgawkach.

Nie miało to jednak żadnego znaczenia - reszta zwierząt zdawała się nawet nie zauważać przelatujących im koło łbów pocisków i po kilku sekundach opadły także strzelających. Wgryzały się w ludzkie ciała, wbijały im kły w gardła, dusiły potężnymi, podobnymi do imadeł szczękami.

Noc wypełniły przerażające krzyki.

Generał Günther Kolb biegł.

Mokre paprocie smagały mu twarz, kiedy gnał w dół kamiennych schodków, prowadzących w kierunku wiszącego mostu.

Miał nadzieję, że uda mu się do niego dotrzeć, przejść na drugą stronę i odwiązać liny podtrzymujące konstrukcję - wtedy ogromne koty zostałyby uwięzione na skalnej wieży.

Pędził po mokrych kamiennych płytach, własny oddech dudnił mu głośno w uszach, znacznie głośniejszy był jednak trzask krzaków za jego plecami, przez które przeciskało się coś wielkiego. Następne paprocie smagnęły mu twarz, ale nie zwracał na to uwagi. Był niemal...

...u celu!

Ujrzał go.

Wiszący most!

Widział kilku swoich ludzi, bujających się na moście, uciekających z rzezi wokół Świątyni.

Niemal przefrunął po ostatnich stopniach i wbiegł na przyczółek mostu.

Udało się!

W tym momencie od tyłu uderzył w niego potworny ciężar i niemiecki generał padł na ziemię, rozplaszczając się jak żaba.

Wylądował twarzą na mokrej, zimnej powierzchni drewnianej belki. Zaczął rozpaczliwie drapać palcami wokół siebie, próbując wstać, nagle jednak powietrze przecięła ogromna czarna łapa, stanęła mu na nadgarstku i przyszpiliła go do gruntu.

Kolb odwrócił głowę i z przerażeniem popatrzył na napastnika. Był to jeden z kotów.

Stał na nim!

Demoniczny czarny kot wpatrywał się w Niemca, z zaciekawieniem lustrował tego dziwnego małego stwora, który był na tyle głupi, że próbował mu uciec.

Kolb patrzył w żółte ślepie i czuł, jak ogarnia go strach. Nagle łeb wielkiego zwierzęcia z głośnym, mrozącym krew w żyłach rykiem wystrzelił ku niemu i generał zamknął oczy. Czekał na koniec.

W osadzie panowała cisza.

Dwunastu zebranych wokół monitora niemieckich komandosów spoglądało ze zdziwieniem na to, co się działo na ekranie. Ich znajdujący się na szczycie skalnej wieży towarzysze biegali we wszystkich kierunkach. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy otwierał ogień z MP-5, ale natychmiast był gwałtownie wyrzucany poza kadr wielką kocią łapą.

- Hasseldorf, Krieger - powiedział ostro sierżant Dietrich. - Podnieść zachodni most na fosie.

Dwóch żołnierzy szybko odeszło. Dietrich popatrzył na młodego radiooperatora.

- Udało ci się do nich przebić?

- Sygnał przechodzi, Herr Feldwebel, ale nikt nie odpowiada.

- Próbuj dalej.

Kiedy Race, wyglądający przez zalewaną deszczem boczną szybę humvee, obserwował zebranych wokół monitora niemieckich komandosów, nagle z boku doleciał jakiś krzyk.

Odwrócił się natychmiast w jego kierunku.

Od strony biegnącej nad rzeką ścieżki gnał jeden z niemieckich komandosów, któremu udało się uciec z wieży.

Machał dziko rękami i krzyczał:

- Schnell, zum Flugzeug! Schnell zum Flugzeug! Sie kommen!

Oznaczało to: „Szybko do samolotu! Szybko do samolotu! Zbliżają się!”.

W tym momencie ścieżkę za plecami biegnącego oświetliła błyskawica i Race zobaczył, że coś go dogania.

- O mój Boże... - wymamrotał.

To jeden z kotów - taki sam jak ten, który kilka minut przedtem wyszedł ze Świątyni.

To, co ukazywał maleńki monitor w hunwee, nie oddawało zwierzęciu sprawiedliwości.

Stwór był przerażający.

Biegł z nisko opuszczonym łbem i położonymi płasko uszami, jego potężne łapy uginały się miękko, błyskawicznie sunąc w kierunku uciekającego łupu.

Poruszał się ze wspaniałą, płynną kocią gracją - zadziwiającym połączeniem równowagi, siły i prędkości, tak charakterystycznym dla wszystkich kotów tego świata.

Niemiecki komandos robił, co mógł, nie było jednak mowy, by udało mu się uciec przed wielkim zwierzęciem. Próbował biec zakosami, chować się za drzewami, ale kot był zbyt zwinny. Wyglądał jak ogromny pędzący gepard - jego mocne nogi doskonale dostosowywały się do podłoża, naśladował ruchy ściganego, to skoczył w lewo, to skręcił w prawo, ani na chwilę nie tracąc rytmu.

Coraz bardziej zbliżał się do nieszczęsnego Niemca i kiedy znalazł się wystarczająco blisko, skoczył do przodu i...

Nagle światło pioruna zgasło i ścieżka pogrzażyła się w ciemnościach.

Mrok.

Cisza.

A potem rozległ się przerażający krzyk.

Strzeliła następna błyskawica, rozświetlając brzeg rzeki, i kiedy do mózgu Race'a dotarł zarejestrowany przez oczy obraz, krew zastygła mu w żyłach.

Kot-olbrzym stał nad ciałem komandosa, jego potężny łeb pochylał się nad twarzą ofiary. Po chwili zwierzę szarpnęło łbem i z dźwiękiem, od którego robiło się niedobrze, rozerwało gardło martwego Niemca.

Kolejna błyskawica rozświetliła niebo i wielki czarny kot triumfalnie zaryczał.

Przez dłuższy czas w hunwee nikt się nie odzywał. Ciszę przerwał w końcu Walter Chambers. - Mamy poważne kłopoty - stwierdził. W tym momencie z krzaków nad rzeką wyprysnęły pozostałe czarne koty i zaatakowały osadę.

Koty rzuciły się na Vilcafor ze wszystkich stron. Kompletnie zaskoczyły Dietricha i jego ludzi, nadal stojących wokół monitora na środku osady.

Zwierzęta wpadły na główną ulicę jak demony z piekła rodem - i natychmiast zaatakowały Niemców. Przewracały żołnierzy, zanim którykolwiek zdążył sięgnąć po

broń, ciskały nimi o ziemię, wgryzały im się w gardła.

Race nie był pewien, ile zwierząt jest w osadzie. Najpierw naliczył dziesięć, potem dwanaście, na koniec piętnaście sztuk.

Jezu...

Nagle usłyszał strzały i kiedy się odwrócił, zobaczył, że dwaj komandosi, którym Dietrich polecił podnieść most na fosie - Hasseldorf i Krieger - strzelają do szturmujących kotów.

Udało im się trafić kilka zwierząt - poszarpane kulami, skoczyły wściekle do przodu, ale zaraz grzmotnęły bezwładnie w błoto - pozostałe koty przeskoczyły jednak nieruchome ciała swoich towarzyszy i natychmiast rozprawiły się z obydwojema żołnierzami.

Jeden z kotów skoczył Hasseldorfowi na plecy i wyrwał mu kręgosłup. Inny po prostu zacisnął potężne szczęki wokół szyi Kriegera i z obrzydliwym CHCHRRRUMP! - złamał mu kark.

Cała osada wyglądała jak strefa działań wojennych. Niemcy rozbiegli się we wszystkie strony - do helikopterów, do chat, - rozpaczliwie próbując uciec przed szalejącymi kotami.

- Do helikopterów! - krzyknął ktoś.

Po chwili łopaty wirnika obu szturmowych apache'ów zaczęły się powoli obracać.

Niemieccy żołnierze desperacko próbowali wcisnąć się do helikopterów, apache były jednak za małe - miały miejsce tylko dla pilota i jednego strzelca.

Kiedy pierwszy helikopter zaczął się wznosić, jeden z żołnierzy skoczył na jego płozy do lądowania i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwiczki. Ale zanim zdążył wpełznąć do kabiny, jeden z kotów wskoczył za nim na płozy, błyskawicznie go z nich zepchnął i zgrabnie wślizgnął się do środka maszyny. Jego długi ogon wystawał na zewnątrz i smagał jak bicz.

Sekundę później przednia szyba apache'a została od środka zbryzgana krwią, a maszyna - unosząca się trzy metry nad ziemią - oszalała.

Przechyliła się gwałtownie w prawo i łopaty wirnika, obracające się w takim tempie, że widać było jedynie krąg rozmazanej szarości, zaczęły się niebezpiecznie zbliżać do drugiego apache'a. Zaraz potem ożyło nagle sześciolufowe działo pod jej kadłubem i zaczęło rzygać ogniem na osadę.

Wszędzie pomknęły pociski smugowe.

Kiedy kule załomotały o przednią szybę humvee, eksplodowała siatką pęknięć.

Race skulił się odruchowo. Kątem oka spostrzegł, że spod ogona jednego z zacumowanych niedaleko na rzece hueyów wylatuje snop pomarańczowych iskier.

Z wyrzutni apache'a wystrzeliły w niebo dwie rakiety typu Hellfire, jak fajerwerki

na Czwartego Lipca.

Jedna z nich trafiła w pobliski dom z kamienia i rozwalila go, a druga pomknęła wzdłuż głównej ulicy Vilcafor, kierując się prosto na zacumowany na rzece wielki transportowiec. Przez otwarty luk towarowy wpadła z wizgiem do jego wnętrza.

Przez sekundę nic się nie działo.

Potem olbrzym eksplodował. Wybuch miał niewyobrażalną siłę. Boki antonowa po prostu wydmuchało od środka. Kadłub natychmiast przechylił się na bok i zaczął płynąć w dół rzeki, równocześnie tonąc.

Helikopter, który spowodował te zniszczenia, przez cały czas przesuwał się w kierunku swojego bliźniaka. Drugi helikopter rozpaczliwie próbował umknąć, ale pilot zareagował niedostatek nie szybko i łopaty wirników obu maszyn wpadły na siebie. Powietrze wypełnił przeraźliwy zgrzyt metalu drapiącego o metal. Zaraz potem łopaty wirnika pierwszego apache'a rozerwały zbiorniki paliwa drugiego i oba helikoptery eksplodowały w wielkiej kuli ognia, która spadła na główną ulicę Vilcafor.

Race odwrócił się od tej okropnej sceny i popatrzył na siedzącego obok niego Waltera Chambersa.

- Jezus, Maria! Walter... widziałeś to? Chambers nie odpowiedział.

- Walterze! Co się... GRRRRR.

Race przyjrzał się uważniej Chambersowi. Oczy antropologa były wielkie jak spodki i wyglądało na to, że wstrzymuje oddech.

Patrzył dokładnie nad ramieniem Race'a.

Powoli - bardzo, bardzo powoli - Race się odwrócił.

Jeden z ogromnych kotów stał przy oknie ich samochodu.

Przy samym oknie!

Czarny łeb zwierzęcia był niewyobrażalnie wielki. Jego obrys wypełniał całe okno. Stwór nieruchomo wpatrywał się w Race'a żółtymi ślepiami.

Znów zawarczał. Basowo, z rezonansem.

GRRRRR.

Pierś ogromnego kota unosiła się i opadała, zza dolnej wargi wystawały długie, białe kły. Kiedy zwierzę gwałtownie prychnęło, Race o mało nie wyskoczył ze skóry. Nagle rozległo się ogłuszające DUMP! - i humvee cały się zatrzęsł.

Race spojrzał w przód.

Na maskę samochodu wskoczył właśnie drugi kot.

Potężne przednie łapy rozłożył szeroko na masce, a jego wściekle żółte ślepia wpatrywały się w Race'a i Chambersa, wwiercając się w ich dusze.

Race dotknął laryngofonu.

- Eee... Van Lewen... jesteś gdzieś tam?

Nie było odpowiedzi. Kot na masce zrobił krok naprzód i długie pazury drapnęły dach. Równocześnie kot stojący przy lewym oknie mocno szturchną nosem drzwiczki humvee - sprawdzał je. Race zaczął raz za razem stukać w laryngofon.

- Van Lewen!

Po chwili w jego słuchawkach rozległ się głos sierżanta:

- Widzę pana, profesorze. Widzę pana.

Race rozejrzał się i zatrzymał wzrok na stojącym niedaleko humvee pojeździe terenowym.

- Najwyższy czas, żebyś popisał się jakimiś ochroniarskimi sztuczkami - powiedział.

- Spokojnie, profesorze. W humvee jest pan bezpieczny. Ledwie Van Lewen skończył mówić, rozparty na masce humvee kot przebił pazurami splekaną przednią szybę samochodu.

Wokół rozprysnęło się szkło i ogromna, wielka jak pięść mężczyzny łapa kota wpadła do środka, zatrzymując się pięć centymetrów od bejsbolówki Race'a.

- Van Lewen! - krzyknął Race.

- Spokojnie! Wszystko w porządku! Szybko, niech pan zajrzy pod deskę rozdzielczą! Tuż przy pedale gazu. Czarny gumowy przycisk przy kolumnie kierowniczej!

Race zrobił, co mu kazano. Znalazł przycisk.

- Co to jest?

- Niech pan go naciśnie!

Race nacisnął i silnik humvee natychmiast ożył.

Pojazd już nie był unieruchomiony! Race'a nie obchodziło jednak, jak to możliwe. Najważniejsze, że silnik działał.

Race wypełził spod deski - kot na masce patrzył mu prosto w oczy!

Zwierzę zawarczało wściekle. Było tak blisko, że Race poczuł na twarzy jego gorący, śmierzący oddech. Kot wił się i wiercił, próbując wcisnąć się w dziurę, którą wybił w szybie, by dostać się do swojej ofiary.

Race odchylił się w fotelu najdalej jak mógł od żądnych krwi kłów i przyciśnięty do bocznej szyby, zaczął podciągać ciało ku górze. Kiedy odwrócił się w lewo, zobaczył wielkie szczęki następnego kota tuż przy bocznym oknie.

Po chwili łeb drugiego zwierzęcia huknął o szybę. Humvee zabujał się na resorach, impet uderzenia kota niemal uniósł go dwoma kołami w powietrze. Na bocznej szybie natychmiast powstała siatka przypominających rozgałęzioną błyskawicę pęknięć. Ale silnik przez cały czas pracował i tylko to się liczyło. Race złapał dźwignię zmiany biegów i zaczął nią szarpać, aż znalazł jakieś położenie - nieważne jakie - i wcisnął pedał gazu do podłogi.

Humvee wyprysnął do tyłu i pomknął błotnistą ulicą.

Cholera jasna! Wrzucił wsteczny!

Kot na masce zdawał się nie zwracać uwagi na pęd wielkiego, ponadwymiarowego dżipa, podskakującego na nierównej ulicy - wyciągnął jedynie łeb z otworu w szybie i wetknął do niego łapę, by szybciej dostać się do swego łupu.

Race siedział maksymalnie odchyłony do tyłu - pozwalało mu to zachować bezpieczną odległość od zwierzęcia - i z całej siły wciskał pedał gazu.

Humvee wpadł w jakąś dziurę, na sekundę wyprysnął w powietrze, po czym załomotał o ziemię. Kot ciągle siedział na masce i wściekle machał Race'owi łapą przed nosem. Samochód pędził, całkowicie poza kontrolą.

- Will, uważaj! - wrzasnęła nagle Lauren.

- Co jest?!

- Za nami!

Race nie mógł jednak spojrzeć do tyłu.

Patrzył jak zahipnotyzowany na wielkiego kota z piekła rodem, który coraz głębiej wsadzał łapę do samochodu i próbował rozpruć mu klatkę piersiową.

- Will! Zatrzymaj się! Zbliżamy się do rzeki! Race oprzytomniał.

Powiedziała: „rzeki”?

Spojrzał we wsteczne lusterko i ujrzał czarną wodę. Zbliżali się do niej szybko. A na ich drodze leżały resztki apache'a!

Złapał kierownicę, ale nie miało to żadnego sensu - próbując pozbyć się kota z maski, dawno już stracił panowanie nad gnającym do tyłu pojazdem.

Szarpnął gwałtownie kierownicą i z całej siły wcisnął hamulec, co spowodowało, że koła się zablokowały i wielki pojazd natychmiast stracił wszelką przyczepność. Przez chwilę sunął po mule, rozrzucając go na boki, a potem, zanim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje, wyprysnął nad skraj brzegu i wyleciał w powietrze, frunąc daleko nad wodę.

Leciał wysokim, eleganckim łukiem, pozostawiając brzeg daleko za sobą, a potem huknął - mocno, tyłem - w szklany bąbel zacumowanego na płyciźnie hueya.

Uderzenie było tak silne, że helikopter zerwał się z cum i szczipione ze sobą pojazdy znalazły się w nurcie rzeki. Siedzący na masce humvee kot wystrzelił w powietrze, przeleciał nad rzeką do samochodu i z wielkim pluskiem wylądował na środku. Niemal natychmiast opadły go kajmany.

Wściekle wyjąc, kot podjął walkę, musiał jednak przegrać z przeważającym liczebnie wrogiem i wkrótce zniknął w głębinie.

Dziesięć metrów od brzegu, w połowie zanurzony pod wodą, tkwił absurdalny twór, składający się z białego w hueya humvee.

Pękata kabina helikoptera została wbita do środka i przednia połowa szerokiego

dżipa w groteskowy sposób z niej wystawała. Ale przedział silnikowy helikoptera i jego ogon nie zostały zniszczone. Nad przypominającą nowoczesną rzeźbę konstrukcją wysoko wznosiły się łopaty wirnika - nieruchome, ale całe.

Siedzący w humvee Race rozpaczliwie próbował zachować spokój.

O szybę okna po jego lewej stronie uderzała zgniłozielona woda, a przez sieć pęknięć w przedniej szybie wpadały do wnętrza malutkie wodospady. Patrzenie przez zamknięte okno samochodu przypominało patrzenie przez szybę specjalnego akwarium, pozwalającą obserwować zarówno to, co się dzieje pod wodą, jak i nad wodą.

Tyle że ich „akwarium” było piekielnym akwarium.

Przez szybę widać było brzuchy przynajmniej pięciu gigantycznych kajmanów, płynących prosto na humvee. Wściekle młóciły potężnymi ogonami, by znaleźć się jak najszybciej przy uwięzionych ludziach.

Co gorsza, przez wybitą w przedniej szybie wielką dziurę wpadała teraz silny strumień wody. Leciała prosto na Race'a, rozlewając się wokół jego nóg w szeroką kałużę.

Walter Chambers zaczął hiperwentylować.

- O Boże! O Boże! O mój Boże! - jęczał.

Gaby Lopez miała nad okiem głębokie rozcięcie. Musiała się o coś uderzyć, kiedy humvee wpadł na helikopter.

- Musimy się stąd wydostać! - zawyła Lauren.

- Ale jak?! - odkrzyknął Race.

Przez dziurę w przedniej szybie wleciała do środka duża srebrna ryba, lądując mu prosto na kolanach.

W tym samym momencie z lewej strony rozległo się głośne tąpnięcie i humvee gwałtownie się zachybotał, a Race omal nie został wyrzucony z fotela.

Odwrócił się w lewo i ujrzał unoszącego się na wysokości lewego okna czarnego kajmana, który wpatrywał się w niego chciwie przez spękane szkło, niemal pożerał go wygłodniałymi ślepiami.

- Rany... - jęknął.

Potężny gad zaczął odpływać tyłem.

- No to pięknie... - wymamrotał Race.

- Co jest? Co się stało?! - zawołał Walter Chambers.

- Chce nas staranować! - odkrzyknął Race i zaczął przelażać przez oparcie fotela na tył samochodu. - Rusz się, Walterze! Szybciej!

Chambers natychmiast zaczął gramolić się na tył - a kajman ruszył naprzód. Dwie sekundy później boczna szyba humvee eksplodowała, rozpryskując wielką fontannę szkła.

Z gradu szklanych okruchów wychynęło potężne, pokryte łuską cielsko i kajman wjechał do przedniej części samochodu na strumieniu wody, która zaczęła wpływać do środka.

Wylądował na przednich fotelach, wypełniając swoim potężnym ciałem całą niewielką przestrzeń. Race cofnął nogi na ułamek sekundy przed tym, zanim zdążyły je capnąć potężne szczęki.

Walter Chambers nie miał tyle szczęścia. Nie zdążył na czas z nogami i kajman uderzył w nie przodem paszczy, przycisnął je do bocznych drzwi.

Naukowiec zawył. Kajman wił się i prychał, próbując mocniej uchwycić swoją zdobycz.

Race widział z tylnego siedzenia potężny, opancerzony grzbiet i wściekle majtający na boki, pokryty kostnymi płytami ogon.

Nagle kajman z ogromną siłą - i tak szybko, że Race zdążył jedynie jęknąć - wyszarpnął Chambersa przez okno, którym przed chwilą sam wpłynął do środka.

- NNNIIIEEE! - wył wyciągany do rzeki antropolog. Race z przerażeniem popatrzył na nie mniej przerażoną Lauren.

- Co... zro...bimy? - wyjąkała.

Skąd mam to wiedzieć? - pomyślał, rozglądając się jednocześnie.

Przedni lewy fotel szybko nasiąkał wodą, sprawiając, że pojazd gwałtownie pochylał się na lewo i zanurzał coraz głębiej pod wodę.

- Musimy się stąd wydostać, zanim humvee zatonie! - krzyknął. - Szybko! Otwórz swoje okno! Powinno dać się teraz otworzyć!

Kiedy Lauren otwierała okno, woda zaczęła się przelewać przez oparcie przedniego fotela. Po jej stronie samochód był uniesiony wyżej i kiedy udało jej się opuścić szybę, za oknem ukazało się zimne nocne niebo.

Nagle przez okno od strony kierowcy wpłynął do środka kolejny kajman i plasnął w kałużę wody w przedniej części pojazdu.

- Ruszajcie się! - krzyknął Race. - Wejdźcie na dach! Lauren w ciągu paru sekund znalazła się na zewnątrz i zaczęła wspinać się na dach. Oszołomiona Gaby ruszyła za nią - przesunęła się po tylnej kanapie i wyciągnęła ręce przez okno. Lauren zaczęła ją wyciągać, a Race pchać od dołu.

Kajman na przednim siedzeniu rzucał się i wił, szukał należnego mu łupu.

Woda przelewała się teraz przez przednie siedzenie nieustającym, szybkim strumieniem. Z tyłu sięgała im już niemal do pasa Lewe tylne okno zaatakował następny gad. Uderzył w samochód, który cały się zatrzęsł. Kiedy Race odwrócił się w jego kierunku, stwierdził, że lewa strona humvee jest pod wodą.

Gaby Lopez udało się już do połowy wydostać. W środku pozostał tylko Race.

Pchał stopy Gaby, gdy nagle usłyszał dolatujący gdzieś z wnętrza humvee mogący przyprawić o mdłości metaliczny jęk.

Zaraz potem cały pojazd gwałtownie runął w prawo.

Z początku Race sądził, że zostali staranowani przez kolejnego kajmana, nie mogło to być jednak powodem tak gwałtownego przechyłu. Nie - tym razem cały samochód przesunął się w bok. Poruszał się. Płynął...

W dół rzeki.

O Boże...

Pochwylił ich prąd rzeki!

- Nie... O Boże, nie... - jęknął Race.

Poczuł następny znajomy wstrząs: kajman ponownie staranował lewe tylne okno.

- Szybciej, Gaby! - wrzasnął do stóp Lopez, zwisających do środka przez okno.

Kajman na przednich siedzeniach musiał się zorientować, gdzie uciekły jego ofiary, bo zaczął się niezgrabnie przekręcać, szykując się do przeprawy na tylne siedzenie.

Race kątem oka zauważył ten ruch.

- Gaby! - krzyknął.

- Już prawie jestem! - odkrzyknęła Lopez.

- Pospiesz się!

Stopy Gaby zniknęły z okna.

- Jest na górze, Will! - zawołała Lauren.

Race skoczył ku oknu, wysunął przez nie głowę i ujrzał stojące na dachu Gaby i Lauren.

Obie kobiety sięgnęły po niego, złapały go za ręce i wyciągnęły na dach na chwilę przedtem, zanim kajman przetoczył się z frontowego siedzenia na tył i kłapnął zębiskami, by złapać go za nogi. Minał się z celem o milimetry.

Nash, Copeland i szóstka amerykańskich żołnierzy - wszyscy skuci kajdankami - siedzieli we wnętrzu pojazdu terenowego, z przerażeniem patrząc na rozgrywający się na zewnątrz koszmar. Nagle przesuwne drzwi ich opancerzonego więzienia się otworzyły i do środka wpadła fala deszczu wraz z potężnym podmuchem wiatru.

Do samochodu wepchnęło się dwóch przemoczonych niemieckich komandosów, ich zabłocone buciory zaklekotały o podłogę pojazdu. Zatrzasnęli za sobą wielkie stalowe drzwi i w środku pojazdu natychmiast znów zapadła cisza.

Nash i reszta bez słowa wpatrywali się w przybyszy.

Byli to mężczyzna i kobieta.

Oboje byli przemoczeni do suchej nitki i cali oblepieni błotem. Mieli cywilne stroje - dzinsy i białe podkoszulki - ale w cudacznej wersji: oboje mieli u pasa kabury

z goretexu z tkwiącymi w nich kompaktowymi pistoletami Glock 18. Mieli także na sobie granatowe kamizelki kuloodporne. Ich wygląd ogłaszał wszem i wobec:

TAJNIACY.

Mężczyzna był krępy i sprawiał wrażenie bardzo silnego. Kobieta była niska, choć mocno zbudowana, i miała krótkie, tlenione włosy. Niemiec podszedł do Amerykanów i zaczął im rozpinąć kajdanki - Nie jesteście już więźniami - powiedział po angielsku. - Tkwimy w tym razem. Musimy uratować tylu z pozostałych, ilu się da.

Race, Lauren i Lopez stali na dachu humvee, a cała konstrukcja helikopterowo-samochodowa dryfowała w dół rzeki.

Jakieś dziesięć metrów dalej Race zauważył rozpadające się drewniane nabrzeże. Wyglądało na to, że przepłyną tuż obok. Była to ich szansa.

Płataniną żelastwa znów szarpnęło i zanurzyła się głębiej w wodzie. Dach humvee wystawał już tylko jakieś trzydzieści centymetrów nad powierzchnię, helikopter utrzymywał się jeszcze nieco wyżej. Z każdym metrem splątane pojazdy zdawały się opadać kilka centymetrów w dół.

Robiło się bardzo niemiło.

Przepłynęli kolejny metr.

Kajmany zaczęły zacieśniać krąg.

Kiedy zostało im jeszcze osiem metrów do nabrzeża, woda zaczęła zalewać dach humvee. Cała trójka weszła na szczyt kabiny helikoptera.

Jeszcze pięć metrów.

Konstrukcja helikopterowo-samochodowa tonęła.

Race obserwował skapaną w świetle reflektorów osadę.

Wyglądała na opuszczoną, czasem tylko po głównej ulicy przemknął cień wielkiego kota. Nie było ani śladu człowieka.

Nigdzie nie było też widać ośmiokołowego transportera, w którym uwięziono Nasha, Copelanda i pozostałych amerykańskich komandosów.

- Van Lewen! - krzyknął Race, stukając w laryngofon. - Gdzie jesteście?!

- W osadzie, profesorze.

- Gdzie?

- Dwójka Niemców otworzyła transporter i uwolniła nas. Objeżdżamy teraz cały teren i zbieramy, kogo się da.

- Może w takim razie byście podjechali do nabrzeża?

- Załatwione, profesorze. Zaraz tam będziemy.

Zostały im jeszcze trzy metry do nabrzeża, a dach humvee cały schował się pod wodą.

Race zagryzł wargę.

Stali na wznoszącej się wysoko obudowie wirnika, ale aby dostać się na nabrzeże, będą musieli przejść po zanurzonej pod wodą dachu humvee.

- Trzymaj się, mały, nie toń... - wymamrotał Race. Dwa metry.

Dach humvee był już piętnaście centymetrów pod wodą.

Metr.

Trzydzieści centymetrów pod wodą.

Lauren wsunęła rękę pod pachę oszołomionej Lopez.

- W porządku, dzieciaki - powiedziała. - Zabieram Gaby. Ty, Will, kryjesz tyły.

Jasne?

- Jasne.

Połączony z humvee helikopter znalazł się na wysokości nabrzeża.

Lauren i Gaby zeskoczyły z obudowy wirnika i z pluskiem wylądowały na zapadającym się coraz niżej dachu humvee. Wylądowały po kolana w wodzie.

Zrobiły dwa kroki i Lauren dosłownie wrzuciła Gaby na nabrzeże. Potem sama na nie wskoczyła, podciągając stopy w tym samym momencie, gdy z wody wyprysnęły dwa wielkie gadzie pyski i gwałtownie zakłapały szczękami.

- Will! Chodź!

Race przygotował się do skoku. Wyobrażał sobie, jaki prezentuje widok: ubrany w dżinsy, podkoszulek i bejsbolówkę facet stoi na zanurzonej do połowy amerykańskim helikopterze wojskowym, płynącym pośrodku pełnej kajmanów amazońskiej rzeki.

Jak ja się w to wpakowałem? - zastanawiał się ze zdumieniem.

Zanim dokończył tę myśl, płataniną żelastwa pod jego stopami znów szarpnęło i zapadła się kolejne trzydzieści centymetrów niżej.

Stracił równowagę i omal nie spadł, szybko się jednak pozbierał. Ale kiedy się rozejrzył, stwierdził, że jego sytuacja poważnie się pogorszyła.

Dach humvee był jakiś metr pod wodą.

Gdyby na niego skoczył, kajmany natychmiast by go dorwały.

Sytuacja helikoptera nie była wiele lepsza.

Nawet wystającą wysoko obudowę wirnika przykrywała już dwucentymetrowa warstwa wody.

Race rozejrzył się gorączkowo - jedynymi częściami helikoptera, jakie jeszcze wystawały nad wodę, były łopaty wirnika.

Popatrzył na nabrzeże i ujrzał zatrzymujący się tuż obok transporter. Szerokie przesuwne drzwi otworzyły się i ukazali się w nich Van Lewen oraz Scott.

- Will! Chodź! Skacz! - krzyczała Lauren, ciągnąc jednocześnie Gaby w kierunku pojazdu.

Hueyem znów szarpnęło i stopy Race'a znalazły się pod wodą. Popatrzył pod

nogi, popatrzył na unoszące się nad nim łopaty wirnika. Łopaty... Może mógłby... Nie. Był zbyt ciężki, opadłyby pod jego ciężarem.

Znów popatrzył na nabrzeże. Trzy potężne kajmany unosiły się - zanurzone do połowy w wodzie - między nim a brzegiem.

A może...

Szybkim ruchem wyciągnął ręce do góry i złapał jedną z łopat. Podciągnął się jak najwyżej i odepchnął nogami - tak by wprawić łopaty w ruch obrotowy.

Tonący helikopter powoli płynął z prądem w dół rzeki.

Łopaty obróciły się i koniec jednej z nich niemal dotknął nabrzeża, tworząc coś w rodzaju wążutkiej kładki.

Hueyem znów szarpnęło i zanurzył się kolejne pięć centymetrów. Z wody tuż obok Race'a wyprysnął potężny czarny kształt i Race odruchowo rozkraczył nogi. Kajman przeleciał między nimi i pisał w wodę za helikopterem.

Prędej! - wyło w głowie Race'a. Ruszaj się!

Jeszcze raz popatrzył na prowadzącą ku wolności drogę - dwudziestocentymetrowej szerokości pasek metalu, wiszący jakieś trzydzieści centymetrów nad powierzchnią wody.

Ruszaj się!

Wskoczył na łopatę wirnika i zaczął po niej iść.

Zrobił trzy kroki - nabrzeże było oddalone o mniej więcej siedem metrów. Nabrzeże, bezpieczeństwo, ratunek... ...w połowie drogi zauważył, że metal zapada się pod nim, zbliża do wody i... ...zatrzymuje na grzbietach trzech kajmanów, unoszących się w wodzie między helikopterem a brzegiem.

Balansował na kładeczce, podpieranej przez trzy bestie!

Biegiem dotarł do końca łopaty, odbił się z całej siły, pofrunął w powietrze i po chwili huknął klatką piersiową w krawędź nabrzeża.

Wyciągnij nogi z wody! - zawyło w jego głowie, gdy poczuł, że jego stopy wpadają z pluskiem do czarnej wody.

Ciało natychmiast posłuchało rozkazu i Race wyszarpnął nogi, Po czym wtoczył się na nabrzeże.

Przełknął ślinę; nie był w stanie oddychać. To było niewiarygodne.

Udało mu się...

- Profesorze! Niech pan się rusza! - odezwał się głos Van Lewena w jego słuchawkach.

Transporter stał przy nabrzeżu, przesuwne drzwi czekały otwarte.

Nagle uwagę Race'a zwrócił jakiś ruch i kiedy skupił wzrok, zobaczył potężnego kota - skakał właśnie przez transporter, wyciągając łapy daleko do przodu i szeroko otwierając paszczę.

Ogromne zwierzę wylądowało na nabrzeżu, jakieś półtora metra przed Race'em. Stało na mocno przygiętych nogach, cofnęło uszy, uniosło wargi i napięło mięśnie przed ostatecznym atakiem... ..i w tym momencie nabrzeże gwałtownie się zapadło.

Bez jednego trzasku. Bez ostrzeżenia.

Stare drewno po prostu ustąpiło pod ciężarem zwierzęcia i potężny czarny stwór wpadł do wody.

- Czas mieć trochę szczęścia - mruknął Race.

Kajmany natychmiast ruszyły do ataku i po sekundzie woda zamieniła się w kipiące, spienione kłębowisko.

Race dostrzegł swoją szansę. Przeskoczył dziurę w nabrzeżu i pognął do transportera.

Kiedy wsiadł do niego i Van Lewen zasunął za nim drzwi, wyrztał przez wąską szparę na zewnątrz.

Ujrzał zaskakujący widok.

Kot - ten sam, który przed chwilą zamierzał go zaatakować - powoli wychodził z wody na nabrzeże. Z jego kłów zwisały poszarpane kawałki mięsa, z błyszczących boków kapała woda.

Żył.

Zwyciężył.

Pokonał dwa potężne kajmany.

Race ciężko opadł na podłogę transportera. Był kompletnie wyczerpany. Oparł głowę o zimną ścianę i pozwolił opaść powiekom.

Znajdujące się na zewnątrz koty powarkiwały i prychały - blisko, głośno, groźnie.

Ich łapy plaskały w kałużach. Kiedy pożerały resztki zabitych niemieckich żołnierzy, rozlegał się głośny chrzęst miażdżonych kości. Do środka transporter przedostał się nawet agonalny jęk dobijanego człowieka.

Race już zasypiał, ale w głowie przez cały czas kotłowała mu się jedna myśl.

Jak, do cholery, wydostać się z tego żywym?

CZWARTA INTRYGA

WTOREK, 5 STYCZNIA, GODZINA 9.30

Agent specjalny John-Paul Demonaco szedł powoli jasno oświetlonym korytarzem, starając się nie nadebrać na żaden worek z ciałem.

Był 5 stycznia, 9.30 rano i Demonaco właśnie przyjechał na North Fairfax Drive 3701, wykonując osobiste polecenie dyrektora FBI.

Jak i reszta świata, nie miał pojęcia o dokonany dzień wcześniej włamaniu do centrali DARPA. Wiedział jedynie tyle, że o godzinie 3.30 nad ranem dyrektor otrzymał telefon od czterogwiazdkowego generała, który dzwonił z Gabinetu Ovalnego z prośbą o przysłanie mu jak najszybciej się da najlepszego agenta, specjalizującego się w działaniach antyterrorystycznych na terenie USA.

Wybór padł na Johna-Paula Demonaco.

„J.P.” Demonaco miał pięćdziesiąt dwa lata, był rozwiedziony, a wokół brzucha robiła mu się powoli oponka. Jego brązowe włosy zaczynały już się przerzedzać i nosił okulary w rogowych oprawkach. Wymięty szary poliestrowy garnitur kupił za sto dolarów w 1994 roku u J.C. Penneya, a krawat od Versace, który kosztował trzysta, miał od roku. Dostał go w prezencie od najmłodszej córki - najwyraźniej był modny.

Demonaco był agentem specjalnym, odpowiedzialnym za kierowanie Jednostką Antyterrorystyczną FBI (Kraj). Stanowisko piastował od czterech lat, a uzyskał je głównie dlatego, że wiedział o amerykańskim terroryzmie więcej niż ktokolwiek inny. Po kilku następnych krokach jasno oświetlonym korytarzem ujrzał kolejny worek na zwłoki. Ścianę powyżej plamił gwiazdzisty rozbryzg krwi. Demonaco dodał ten worek do poprzednich - razem było ich dziesięć.

Co się tu, na Boga, działo?

Skreślił za róg i ujrzał grupkę ludzi, stojących wokół znajdującego się na końcu korytarza wejścia do laboratorium.

Większość z nich miała na sobie granatowe mundury Marynarki Wojennej.

Naprzeciw niemu wyszedł dwudziestoparoletni porucznik.

- Agent specjalny Demonaco? Demonaco w odpowiedzi pokazał legitymację.

- Tędy, proszę. Komandor Mitchell czeka na pana. Młody porucznik zaprowadził go do laboratorium. Kiedy weszli, Demonaco dyskretnie przyjrzał się zamontowanym na ścianach kamerom, grubym hydraulicznym drzwiom, zamkom alfanumerycznym.

Jezu, to cały pieprzony skarbiec... - pomyślał.

- Agent specjalny Demonaco? - odezwał się ktoś za jego plecami.

Demonaco odwrócił się i ujrzał przystojnego młodego oficera. Mężczyzna miał jakieś trzydzieści pięć lat, krótkie płowe włosy, był wysoki i niebieskooki - chłopak

z plakatu Marynarki Wojennej. Choć Demonaco nie umiał określić dlaczego, wydał mu się znajomy.

- Tak, to ja.

- Komandor Tom Mitchell. Naval Criminal Investigative Service.

NCIS, pomyślał Demonaco. Ciekawe.

Po przyjeździe na Fairfax Drive Demonaco zauważył żołnierzy marynarki, pilnujących wejść do budynku, ale nie zwrócił na nich specjalnej uwagi.

W Dystrykcie Kolumbii nikogo nie dziwiło, że budynków federalnych pilnowali przedstawiciele różnych rodzajów broni. Fort Meade, mieszczący kwaterę główną NSA*, był na przykład pod pieczęcią Sił Lądowych.

* [National Security Agency - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (przyp. tłum.).]

Biały Dom chronili żołnierze Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Demonaco wcale by nie był zaskoczony, gdyby się dowiedział, że DARPA pilnuje marynarka. Wyjaśniałoby to obecność granatowych mundurów*.

* [Kryminalna Służba Śledcza Marynarki Wojennej (przyp. tłum.).]

Nie. Jeżeli pojawiła się NCIS, oznaczało to całkiem coś innego. Coś wykraczającego poza nieskuteczną ochronę budynku federalnego. Coś wewnętrznego...

- Nie wiem, czy mnie pan pamięta - powiedział Mitchell - ale mniej więcej pół roku temu uczestniczyłem w szkoleniu w Quantico, które pan prowadził. Druga Poprawka a pojawienie się ugrupowań milicji.

A więc to stamtąd go znał.

Co trzy miesiące Demonaco prowadził w Quantico wykłady na temat działających na terenie USA „krajowych” ugrupowań terrorystycznych. Przedstawiał organizację, metody działania oraz „filozofię” lepiej zorganizowanych ugrupowań - takich jak Patrioci, Opór Białych Arian czy Teksaska Armia Republikańska.

Po zamachu bombowym w Oklahoma City i krwawym oblężeniu magazynu broni jądrowej Coltex w Amarillo w stanie Teksas wykłady Demonaco zaczęły się cieszyć ogromną popularnością. Dotyczyło to zwłaszcza sił zbrojnych, ponieważ ich bazy - oraz chronione przez nich budynki - często bywały obiektami terrorystycznych ataków.

- W czym panu pomóc, komandorze? - spytał Demonaco.

- No cóż, po pierwsze - co pan z pewnością doskonale rozumie - wszystko, co zobaczy pan i usłyszy w tym pomieszczeniu, jest ściśle...

- Co mam dla was zrobić? - Demonaco znany był z tego, że nie lubił, gdy ktoś pieprzył bez sensu.

Mitchell wziął głęboki wdech.

- Jak pan widzi, mieliśmy tu coś w rodzaju... incydentu... Wczoraj rano. Zabito siedemnastu ludzi ochrony i ukradziono broń o wielkim znaczeniu. Mamy podstawy sądzić, że zamieszana jest w to krajowa organizacja terrorystyczna, i dlatego właśnie pana wezwaliśmy...

- To on? Czy to naprawdę on?! - rozległ się gdzieś w pobliżu chropawy głos.

Demonaco odwrócił się i zobaczył idącego w ich kierunku kapitana o surowym wyglądzie. Miał siwe wąsy i tak samo siwe, ostrzyżone po wojskowemu włosy.

Oficer podszedł do nich i wbił wzrok w Mitchella.

Tom, mówiłem panu, że to pomyłka. To wewnętrzna sprawa. Nie trzeba mieszać do tego FBI.

- Agent specjalny Demonaco - kapitan Vernon Aaronson - przedstawił ich sobie Mitchell. - Kapitan Aaronson nadzoruje to śledztwo.

- Wygląda jednak na to, że komandor Mitchell chętniej słucha tych, którzy chcieliby, aby ta zagadka została rozwiązana później, niż powinna - zauważył złośliwie Aaronson.

Demonaco uznał, że Vernon Aaronson jest przynajmniej o dziesięć lat bardziej zgorzkniały od swojego podwładnego - komandora Mitchella.

- Nie miałem wyboru, sir - odparł Mitchell. - Prezydent nalegał...

- Prezydent nalegał! - prychnął Aaronson.

- Nie chciał powtórki sprawy incydentu z autostrady w Baltimore.

Aha, o to więc chodzi, pomyślał Demonaco.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1997 roku na obwodnicy baltimorskiej porwana została jadąca z Nowego Jorku do Wirginii nieoznakowana ciężarówka DARPA. Razem z pojazdem skradziono szesnaście plecaków odrzutowych J-7 i czterdzieści osiem prototypowych ładunków wybuchowych - niewielkich rurek z plastiku i chromowanej stali, wyglądających jak próbki laboratoryjne.

Nie były to jednak zwykłe ładunki wybuchowe. Oficjalnie nazywały się ładunkami izotopowymi M-22, ale w DARPA nazywano je „kieszonkowym dynamem”.

Najprościej mówiąc, „kieszonkowe dynamo” było kolejnym krokiem naprzód w rozwoju technologii wysokotemperaturowych płynnych związków chemicznych. W wyniku trzynastoletnich badań, prowadzonych przez Armię Stanów Zjednoczonych oraz Wydział Sprzętu Zaawansowanego DARPA, udało się skonstruować urządzenie, wykorzystujące laboratoryjnie wytworzone izotopy chloru w taki sposób, że dochodziło do skoncentrowanej eksplozji o takiej sile uderzeniowej, że w promieniu dwustu metrów od punktu wybuchu wszystko dosłownie wyparowywało. Broń tę stworzono dla niewielkich oddziałów, prowadzących akcje

sabotażowe albo misje typu „znaleźć i zniszczyć” - kiedy celem operacji jest zniszczenie wszelkich obiektów materialnych w strefie działania. Od izotopowej eksplozji ładunku M-22 silniejszy jest tylko wybuch termojądrowy, ale w przypadku M-22 nie powstaje skażenie radioaktywne.

Śledztwo w sprawie incydentu na obwodnicy baltimorskiej prowadziło wojsko.

Dwa dni po rabunku inspektorzy wojskowi dostali poufną informację o miejscu przetrzymywania skradzionej broni i nie konsultując się z FBI ani CIA, wezwali oddział Zielonych Beretów, by zaatakował zlokalizowaną na północy Idaho kwaterę dowództwa podziemnego ugrupowania milicji. Podczas strzelaniny zginęło dziesięć osób, dwanaście zostało rannych. Okazało się, że zaatakowano nie tę grupę, co trzeba. Była ona tylko jedną z nieszkodliwych grup paramilitarnych - nie komórką terrorystyczną, a klubem strzeleckim. W posiadłości nie znaleziono żadnych izotopowych materiałów wybuchowych. ACLU i NRA * miały używanie.

* [ACLU (American Civil Liberties Union) - Amerykański Związek Wolności Obywatelskich; NRA (National Rifle Association) - Narodowe Stowarzyszenie Broni Palnej (przyp. tłum.).]

Plecaki odrzutowe oraz M-22 nie zostały nigdy odnalezione.

Dla Demonaco było oczywiste, że prezydent nie chce kolejnej wpadki. Dlatego wezwano właśnie jego.

- Więc na co mam rzucić okiem? - spytał.

- Na to - odparł Mitchell i wyjął coś z kieszeni. Podał to Demonaco.

Była to przezroczysta torebeczka do przechowywania dowodów materialnych. W środku znajdował się zakrwawiony pocisk.

Demonaco usiadł przy stojącym obok stole, by przyjrzeć się pociskowi.

- Skąd została wyjęta? Z ciała któregoś z zabitych ochroniarzy?

- Nie - odparł Mitchell. - Z ciała kierowcy, którego furgonetką wjechali. Jako jedyny został zabity z pistoletu.

- Kiedy pomógł im przejść przez strażę w garażu, strzelili mu w głowę - dodał Aaronson.

- Wizytówka - mruknął Demonaco. - Właśnie.

- Wygląda na to, że ma rdzeń z tungstenu - oświadczył Demonaco, przyglądając się wystrzelonemu pociskowi.

- Też nam się tak wydawało - powiedział Aaronson. - O ile wiemy, amunicji tungstenowej używa tylko jedna organizacja terrorystyczna w USA. Bojownicy Wolności z Oklahomy.

Nie podnosząc wzroku znad badanego obiektu, Demonaco mruknął:

- To prawda, tyle że metody działania Bojowników Wolności...

- ...są powszechnie znane. Wejście w stylu Sił Specjalnych, podwójne strzały ofiarom w głowę, kradzież najnowocześniejszej technologii wojskowej - dokończył Aaronson.

- Najwyraźniej bywał pan na moich wykładach, kapitanie - stwierdził Demonaco.

- Tak, bywałem, ale również uważam się za specjalistę w tej dziedzinie. Badałem te grupy w ramach modernizacji systemów zabezpieczenia Marynarki Wojennej. My też musimy mieć oko na tych ludzi.

- W takim razie z pewnością wie pan, że Bojownicy Wolności są właśnie w trakcie walki z teksańczykami o strefy wpływów.

Aaronson zagryzł wargę i zmarszczył czoło. O tym nie wiedział. Wbił w Demonaco wzrok, ukłuty zawołowanym przytykiem.

Agent popatrzył na stojących przed nim oficerów. Coś przed nim ukrywali.

- Panowie... co tu się naprawdę stało? - zapytał w końcu. Aaronson i Mitchell wymienili spojrzenia.

- Co ma pan na myśli? - spytał Mitchell.

- Nie będę w stanie wam pomóc, jeśli nie poznam pełnej wersji wydarzeń. Może na początek powiecie, co tu ukradziono?

Aaronson skrzywił się. Po chwili zdecydował się jednak odkryć karty.

- Szukali urządzenia zwanego Supernową. Wiedzieli, gdzie jest i jak się do niego dostać. Znali wszystkie kody i mieli wszystkie karty magnetyczne do otwierania zamków. Działali szybko i precyzyjnie, jak doskonale wyszkolona jednostka komandosów.

- Oddział szturmowy Bojowników Wolności jest dobrze wyszkolony, ale za mały, aby porwać się na taką akcję. Składa się z dwóch, góra trzech ludzi. Dlatego napadają jedynie na niewielkie obiekty - laboratoria komputerowe, mało ważne biura agencji rządowych - miejsca, z których można ukraść schematy elektroniczne albo informacje o czasach przelotu satelitów. Poza tym napadają jedynie na cele słabo chronione. Nie na takie fortece jak ta. Mają świra na punkcie technologii, nie potrafiliby jednak przeprowadzić tego typu akcji.

- Ale jako jedyni w kraju używają amunicji tungstenowej - powtórzył Aaronson.

- To prawda - przyznał Demonaco.

- Mogli przejść na nowy poziom działania - powiedział Aaronson. - Może próbują wejść do pierwszej ligi?

- To możliwe.

- To możliwe! - prychnął Aaronson. - Agencje specjalne Demonaco, może nie wyraziłem się do końca jasno. Urządzenie, które zostało ukradzione z tej instytucji, ma najwyższe znaczenie dla obronności Stanów Zjednoczonych. Użycie go przez nieodpowiednie osoby może mieć katastrofalne skutki. W tej właśnie chwili oddziały

SEAL znajdują się w pobliżu trzech siedzib Bojowników Wolności, gotowe je zająć. Moi szefowie chcą jednak wiedzieć, czy sprawa jest pewna - nie chcą kolejnego Baltimore. Wszystko, czego od pana potrzebujemy, to stwierdzenie, że ten napad mógł zostać przeprowadzony jedynie przez nich.

- No cóż... - zaczął Demonaco.

Tak naprawdę tungstenowe pociski miały decydujące znaczenie, ale z jakiegoś powodu Demonaco coś tu nie pasowało, zastosowanie tych pocisków w takim miejscu niepokoiło go.

- Agencie Demonaco, proszę pozwolić mi ułatwić sobie sprawę - powiedział Aaronson. - Czy z posiadanych przez pana informacji wynika, że istnieje jakakolwiek grupa paramilitarna w Stanach Zjednoczonych poza Bojownikami Wolności z Oklahomy, która używa amunicji tungstenowej?

- Nie.

- To świetnie. Dziękuję bardzo.

Powiedziawszy to, Aaronson ruszył do pobliskiego telefonu. Wykręcił krótki numer.

- Tu Aaronson. Rozpocząć szturm. Powtarzam: rozpocząć szturm. Zdejmujcie drani.

Nad lasem deszczowym wstawał świt.

Race obudził się i stwierdził, że siedzi oparty o ścianę samochodu. Bolała go głowa, a jego ubranie ciągle jeszcze było wilgotne.

Przesuwne drzwi auta były otwarte. Z zewnątrz dolatywały głosy.

- Co tu robicie? - zapytał głos Nasha.

- Nazywam się Marc Graf i jestem porucznikiem Fallschirmjager...

Race wstał i wyszedł na zewnątrz.

Było już widno i nad osadą wisiała mgła. Samochód stał na środku głównej ulicy. Race potrzebował chwili, aby jego oczy przyzwyczyły się do otaczającej go szarej ściany. Powoli otoczenie zaczynało nabierać kształtów.

Ulica była kompletnie pusta.

Wszystkie ciała zniknęły. Pozostały jedynie wielkie kałuże błota, których powierzchnie siekły krople padającego deszczu.

Koty również zniknęły.

Z lewej strony, przy cytadeli, ujrzał Nasha, Lauren i Copelanda, a obok nich sześciu amerykańskich komandosów i Gaby Lopez.

Przed nimi stało pięciu ludzi.

Czterech mężczyzn i kobieta.

Race podejrzewał, że są to Niemcy, którzy przeżyli.

Zauważył, że tylko dwoje z nich ma na sobie mundury. Pozostali byli ubrani w cywilne stroje - w tym także dwójka, która wyglądała na agentów - mężczyzna i kobieta. Wszyscy zostali rozbrojeni. Ujrzawszy Race'a, sierżant Van Lewen podszedł do niego.

- Jak pańska głowa? - spytał.

- Okropnie. Co tu się dzieje? Van Lewen wskazał na Niemców.

- To jedyni, którzy przeżyli noc. Dwoje z nich wskoczyło podczas walki do naszego samochodu i rozkuło nas. Pozostałych trzech udało nam się przechwycić, zanim przejeżdżaliśmy na nabrzeżu.

Race skinął głową, po czym odwrócił się w stronę swojego anioła stróża.

- Mogę zadać pytanie?

- Słucham.

- Skąd pan wiedział o gumowym przycisku w kabinie humvee - tym, który pozwolił uruchomić samochód, choć Niemcy go unieruchomili?

Van Lewen uśmiechnął się.

- Jeśli powiem, będę musiał pana zabić...

- Niech pan mówi. Sierżant znów się uśmiechnął.

- Wykorzystywanie takich pojazdów jak humvee czy transporter jako mobilnych więzień jest dość powszechną praktyką na całym świecie. Zamyka się ludzi w środku i unieruchamia pojazd. Stany Zjednoczone są największym na świecie dostawcą wojskowych pojazdów terenowych - na przykład humvee robi AM General Company w South Bend w Indianie. Sprawa polega na tym - a nie wszyscy o tym wiedzą - że amerykańskie pojazdy polowe są wyposażone w przycisk pozwalający w takiej sytuacji ponownie uruchomić pojazd. Chodzi o to, aby żaden amerykański Pojazd nie mógł zostać nigdy wykorzystany jako więzienie do przetrzymywania amerykańskiego personelu wojskowego. Wiedzą o tym jedynie członkowie amerykańskich sił zbrojnych. To takie Ubezpieczenie, znane wyłącznie amerykańskim żołnierzom.

Powiedziawszy to, Van Lewen ruszył do stojących przy cytadeli ludzi. Race pospieszył za nim.

Frank Nash przesłuchiwał właśnie jednego z rozbrojonych niemieckich komandosów - tego, który przedstawił się jako Marc - porucznik Fallschirmidger.

- Jesteście tu po to, żeby zdobyć Idola? Niemiec pokręcił głową.

- Nie znam szczegółów - odparł po angielsku. - Jestem tylko porucznikiem i nie mam pełnych informacji o celu misji. - Skinął w kierunku jednego z pozostałych Niemców, krępego mężczyzny w dżinsach. - Sądzę, że lepiej będzie, jeśli spyta pan o to pana Karla Schroedera. Pan Schroeder jest oficerem Bundes kriminalamt. Bundeswehra współpracuje w tej sprawie z BKA*.

* [BKA (Bundeskriminalamt) - Federalny Urząd Policji Kryminalni (przyp.

tłum.).]

- Czemu właśnie z BKA? - spytał zdziwiony Nash. Race domyślał się, co jest tego powodem. Bundeskriminalamt to niemiecki odpowiednik FBI. Jego reputacja jest legendarna, często twierdzi się nawet, że jest to najlepszy urząd śledczy świata. Była to jednak organizacja policyjna - i nie istniał żaden logiczny powód, aby miała zajmować się poszukiwaniem w Peru zaginionego bożka.

- Co BKA ma wspólnego z zagubionym inkaskim bożkiem? - spytał Nash.

Schroeder przez chwilę się wahał, jakby zastanawiał się nad tym, ile może ujawnić Nashowi. W końcu westchnął - nie miało to żadnego znaczenia w obliczu rzezi z minionego wieczoru.

- Wcale nie chodzi o to, o czym pan myśli - powiedział w końcu.

- Nie rozumiem.

- Nie chcemy zrobić z Idola broni - wyjaśnił Schroeder. - Tak naprawdę, wbrew temu, co pan prawdopodobnie sądzi, nasz kraj nie posiada nawet Supernowej.

- Więc po co wam Idol?

- Chcemy go zdobyć, zanim wpadnie w niepowołane ręce.

- To znaczy?

- Chodzi o tych samych ludzi, którzy są odpowiedzialni za masakrę mnichów w Pirenejach - odparł Schroeder. - Tych samych, którzy porwali i zabili Alberta Müllera po tym, jak opublikował w zeszłym roku artykuł o kraterze meteorytowym w Peru.

- Co to za ludzie?

- Organizacja terrorystyczna o nazwie Schutzstaffeln Tatentopfrerband - Oddziały Trupiej Czaszki SS. Nazwali się tak samo jak najbardziej brutalne jednostki hitlerowskiego SS, odpowiedzialne za prowadzenie obozów koncentracyjnych. W skrócie mówią o sobie szturmowcy.

- Szturmowcy? - powtórzyła Lauren.

- Są elitarną jednostką paramilitarną, składającą się z potomków niemieckich emigrantów, i mają bazę w Chile, w silnie ufortyfikowanej warowni, zwanej Colonia Alemania, w której ukryło się wielu hitlerowców. Organizacja została założona pod koniec drugiej wojny światowej przez byłego podporucznika z Oświęcimia, Otto Ehrhardta. Ludzie, którzy przeżyli Oświęcim, mówili, że to psychopata, człowiek rozkoszujący się samym aktem zabijania. Podobno komendant obozu, Rudolf Hoss, polubił Ehrhardta i protegował go w późniejszych latach wojny. W wieku dwudziestu dwóch lat Ehrhardt został awansowany na Obersturmführera SS, co odpowiadało rangą porucznikowi. Wystarczyło, by Hoss wskazał kogoś palcem, a w sekundę później człowiek ten patrzył w wylot lufy P-38 Ehrhardta.

Race przełknął ślinę. Schroeder kontynuował:

- Z posiadanych przez nas dokumentów wynika, że Ehrhardt ma teraz siedemdziesiąt pięć lat, ale dla szturmców jego słowo jest prawem. Ma tam najwyższy stopień w hierarchii SS - Oberstgruppenführer. Odpowiada to generałowi armii. Szturmcowie to wyjątkowo odrażająca banda. Opowiadają się za dyskryminacją - i eksterminacją - Murzynów i Żydów, zniszczeniem Wszystkich demokratycznych struktur władzy na całym świecie i co najważniejsze - za wprowadzeniem w zjednoczonych Niemczech rządu faszystowskiego i ustanowieniem Herrenvolku - rasy panów - jako rządzącej elity.

- Wprowadzenie w Niemczech rządów faszystowskich? Ustanowienie rasy panów jako rządzącej elity? - powtórzył z niedowierzaniem Copeland.

- Sekundkę - wtrącił Race. - Mówi pan o nazistach. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku...

- Zgadza się. Mówię o nazistach. O współczesnych hitlerowcach.

- Od dawna uważano, że Colonia Alemania to bezpieczne Schronienie dla byłych hitlerowskich oficerów - powiedział Frank Nash. - W latach sześćdziesiątych przebywał tam przez krótki czas Eisler. Eichmann też. Schroeder skinął głową.

- Colonia Alemania to łąki, jeziora i domy w bawarskim stylu, a cały teren jest otoczony zasiekami z drutu kolczastego i wieżami strażniczymi i jest przez dwadzieścia cztery godziny na dobę patrolowany przez uzbrojonych strażników z dobermanami. Krążyły pogłoski, że w czasie rządów Pinocheta, w zamian za ochronę przez rząd, Ehrhardt pozwolił wykorzystywać dyktatorowi Colonia Alemania jako potajemny ośrodek tortur. Wysyłano tam ludzi, by „zniknęli”. Mając ochronę dyktatury wojskowej, Ehrhardt i jego hitlerowska kolonia nie musieli obawiać się infiltracji przez takie agencje jak BKA.

- No dobrze - mruknął Nash. - A jak oni pasują do naszego równania?

- Są jego główną składową. To szturmcowie mają Supernową.

- Szturmcowie mają Supernową?

- Tak.

- Boże drogi...

- Panie Nash, niech pan zrozumie jedno: w czasie dwudziestu lat walki z terrorystami nie spotkałem takiej grupy jak szturmcowie. Mają znakomite finansowanie, są bardzo dobrze zorganizowani i bezwzględni. W ich skład wchodzi żołnierze i naukowcy. Szturmcowie rekrutują zazwyczaj doświadczonych żołnierzy, często takich, którzy zostali wyrzuceni z armii byłej NRD albo z Bundeswehry za skłonności do nadużywania przemocy. Ludzi w rodzaju Heinricha Anistaze, wyszkolonych w stosowaniu terroru, torturowaniu i zabijaniu.

- Anistaze jest szturmcowcem? - zdziwił się Nash. - Miałem wrażenie, że pracuje

dla niemieckiego wywia...

- Już nie - odparł Schroeder z goryczą. - Po rozpadzie bloku wschodniego był zatrudniany przez rząd niemiecki jedynie na kontrakty - aby usuwać określone „problemy”. Wygląda jednak na to, że nasza smycz nie była wystarczająco krótka. Anistaze to najemnik, zabójca do wynajęcia. Kiedy ktoś zaoferował mu więcej niż my, zdradził dwóch oficerów prowadzących sprawy, w których uczestniczył, i przekazał ich w ręce wroga. Nie było dla nas zaskoczeniem, gdy niedługo potem jego dość łatwe do przewidzenia metody przekonywania zaczęły się pojawiać gdzie dziej - w incydentach, w które zamieszani byli szturmowcy. Prawdopodobnie szybko awansował w ich hierarchii. Sądzymy, że obecnie jest Obergruppenführerem. To odpowiednik generała broni. Wyżej jest tylko Ehrhardt.

- A to skurwiel...

- Tę samą zasadę rekrutacji szturmowcy stosują wobec naukowców. Zatrudniają ich potem przy projektach, które nie bardzo są w zgodzie ze współczesnym niemieckim kolektywnym poczuciem winy. Kiedy zburzono Mur Berliński, wielu wschodnio-niemieckich naukowców, pracujących nad granatami KA - bronią z kwasem azotowym, powodującą straszliwe uszkodzenia ciała, ale niezabijającą - straciło pracę. Szturmowcy zawsze szukają tego typu ludzi i dobrze im płacą.

- Jak mogą sobie na to pozwolić? - spytał Copeland. - Skąd biorą pieniądze?

- Doktorze Copeland, współczesny ruch nazistowski nigdy nie narzekał na brak pieniędzy. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku BKA przeprowadziło tajną, nieoficjalną operację, w trakcie której zbadano konto w szwajcarskim banku, należące według nas do nazistów. Oszacowano, że rezerwy finansowe szturmowców wynoszą pół miliarda dolarów. Pieniądze te pochodzą ze sprzedaży bezcennych dzieł sztuki, zrabowanych podczas drugiej wojny światowej.

- Pół miliarda dolarów... - jęknął Race.

- Szturmowcy nie porywają samolotów - dodał Schroeder. - Nie mordują pracowników agencji federalnych ani nie wysadzają w powietrze budynków rządowych. Dążą do większych celów - takich, które przewrócą do góry nogami cały dotychczasowy porządek świata.

- I uważacie, że mają Supernową? - spytał Nash.

- Jeszcze trzy dni temu mieliśmy tylko niesprawdzone podejrzenia, teraz jednak jesteśmy tego pewni. Pół roku temu tajni agenci BKA, działający w Chile, sfotografowali mężczyznę, spacerującego po terenie Colonia Alemania z samym Otto Ehrhardtem. Został on potem zidentyfikowany jako doktor Fritz Weber. Panie Nash - z pewnością pan wie, kto to jest.

- Tak, ale... - Nash zmarszczył czoło. Fritz Weber był niemieckim naukowcem, pracującym w czasie drugiej wojny światowej dla hitlerowców. Był fizykiem

jądrowym, któremu tak samo niewiele brakowało do geniuszu, jak i do kompletnej socjopatii. Jako jeden z pierwszych stwierdził, że możliwe jest skonstruowanie urządzenia zdolnego zniszczyć całą planetę. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, mając dopiero trzydzieści lat, pracował nad bombą atomową dla Niemiec. Przedtem podobno pracował nad niesławnym hitlerowskim programem torturowania, w trakcie którego wsadzano człowieka do lodowatej wody i obserwowano, jak długo trwa, aż umrze. - Zdawało mi się, że po wojnie wykonano na nim wyrok śmierci... Schroeder skinął głową.

- To prawda. W październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku doktor Fritz Weber był sądzony w Norymberdze za zbrodnie przeciwko ludzkości, uznano go za winnego i skazano na śmierć. Oficjalnie wyrok wykonano dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku w więzieniu w Karlsburgu. Ale potem przez wiele lat się zastanawiano, czy rzeczywiście zginął tam Weber. W następnych latach pojawiały się informacje, że widywano go w Irlandii, w Brazylii, w Rosji - a pochodziły one od ludzi, których torturował. Sądzimy, że w nocy przed wykonaniem wyroku Rosjanie wyciągnęli Webera z Karlsburga i zastąpili kimś innym. Za darowanie mu życia Weber oddał swoją wiedzę do dyspozycji Rosjan i pomagał im w ich pracach nad bombą atomową. Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku Związek Radziecki się rozpadł, BKA zaczął go szukać - niestety bezskutecznie. Zniknął z powierzchni Ziemi.

- Aby osiem lat później pojawić się w siedzibie hitlerowskiej organizacji terrorystycznej - mruknął Nash.

- Właśnie. Szturmowcy napadli na francuskie opactwo, gdy cały świat się dowiedział, że przechowywany jest tam legendarny Manuskrypt Santiago. Kiedy połączyliśmy zamordowanie Alberta Müllera, odkrycie przez niego krateru meteorytowego w Peru i to, że w manuskrypcie jest ponoć opowiedziana historia Idola - figurki o dość dziwnych właściwościach - pomyśleliśmy, że może szturmowcy pod kierownictwem Webera wcale nie budują zwykłej bomby atomowej. Może udało im się skonstruować Supernową i szukali tyru? Trzy dni temu - w dniu napaści na opactwo - nasz oddział śledczy w Chile przejął to... - Schroeder wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał ją Nashowi. - To transkrypt rozmowy telefonicznej, przeprowadzonej trzy dni temu z telefonu komórkowego, gdzieś w Peru, z głównym laboratorium w Colonia Alemania.

Nash podał transkrypt Race'owi, który zaczął głośno czytać, równocześnie tłumacząc.

GŁOS 1:...iśmy...azę operacji... reszta zos... nie... alni...

GŁOS 2:...urządzeniem?... gotowe?

GŁOS 1:...zastosowaliśmy układ klepsydrowy, oparty na amerykańskim... dwa zapalniki termojądrowe, zamontowane nad i pod komorą z tytanowego stopu. Próby wskazują że... urządzenie...ałać. Teraz potrzebujemy... tyru.

GŁOS 2:...martw się. Anistaze się tym zajmie.

GŁOS 1: Co z komunikatem?

GŁOS 2:...nadany zaraz po tym, jak zdobędziemy Idola... każdego premiera i prezydenta w Unii.. denta Stanów Zjednoczonych przez międzynarodową gorącą linię... okup sto miliardów dolarów... albo zdetonujemy urządzenie...

Pułkownik z przerażeniem wpatrywał się w kartkę. Pozostali milczeli.

Race gapił się na słowa: „okup sto miliardów dolarów... albo zdetonujemy urządzenie...”. Boże drogi... Nash popatrzył na Schroedera.

- I co z tym fantem zrobiliście?

- Stworzyliśmy dwutorowy plan. Wysłane zostały dwie ekipy - tak aby w przypadku niepowodzenia którejs z nich, druga ją wsparła. Grupa pierwsza miała zdobyć Idola przed nazistami. Aby tego dokonać, zdobyliśmy kopię Manuskryptu Santiaga i posłużyliśmy się nią, by się tu dostać. Nigdy jednak nie spodziewaliśmy się, że w Świątyni natkniemy się na te... stwory.

Coś zastanowiło Race'a w słowach Niemca. Coś było nie tak w jego wywodzie...

Odsunął jednak te wątpliwości na bok, spróbował o nich zapomnieć.

- Co miało być potem? - spytał Nash.

- Przeczesanie Colonia Alemania. Po przejęciu tej rozmowy telefonicznej zaczęliśmy zabiegać w rządzie chilijskim o nakaz pozwalający nam przeszukać Colonia Alemania we współdziałaniu z władzami Chile.

- I co?

- Dostaliśmy go. Jeżeli wszystko poszło zgodnie z planem - w tej właśnie chwili agenci BKA i Chilijska Gwardia Narodowa szturmują Colonia Alemania i przejmują Supernową. Powinienem lada moment dostać przez radio potwierdzenie.

W tej właśnie chwili tysiąc kilometrów dalej w bramę terenu Colonia Alemania wbiła się taranem dziesięcotonowa ciężarówka Chilijskiej Gwardii Narodowej.

Za pojazdem przez wyważoną bramę wlał się na teren posiadłości strumień smagłoliczych chilijskich żołnierzy. Za nimi do środka wbiegło kilkunastu niemieckich agentów w błękitnych szturmowych hełmach i strojach typowych dla wyposażenia jednostek specjalnych.

Colonia Alemania była ogromną posiadłością - zajmowała przynajmniej 20 hektarów. Trawiaste łąki ostro kontrastowały z nagimi, brązowymi wzgórzami chilijskimi. Bawarskie domy i idylliczne błękitne jeziora stanowiły dziwny widok na tle surowego i nieurodzajnego terenu.

Wyważano drzwi i wybijano okna - gwardziści wchodzili do każdego budynku po kolei. Ich głównym celem były jednak „koszary” - wielki, przypominający hangar budynek, znajdujący się w centrum posiadłości.

Kiedy wysadzono wejścia do „koszar”, gwardziści wraz z agentami BKA wbiegli do środka.

Nagle się zatrzymali.

Przed ich oczami, przez całą długość budynku ciągnęły się szeregi piętrowych łóżek. Wszystkie stały w idealnie prostej linii i każde było nienagannie posłane. Wnętrze wyglądało jak barak wojskowy. Problem polegał na tym, że w środku nikogo nie było.

Wkrótce zaczęły spływać raporty z innych miejsc posiadłości.

Cały teren był opustoszały.

W Colonia Alemania nie było żywej duszy.

W jednym z laboratoriów, graniczących z „koszarami”, dwóch niemieckich agentów machało przed sobą licznikiem Geigera-Mullera, mierząc poziom radioaktywności w powietrzu. Niewielkie urządzenie wydawało z siebie głośny trzask.

Kiedy agenci weszli do głównego laboratorium, wskaźnik licznika natychmiast skoczył do strefy czerwonej.

- Wszystkie jednostki, tu grupa laboratoryjna. W głównym laboratorium stwierdzamy duże ilości uranu i plutonu...

Jeden z agentów podszedł do drzwi, które prowadziły do gabinetu o oszklonych ścianach.

Skierował czujnik na zamknięte drzwi i...

...jego licznik oszalał.

Agent wymienił szybkie spojrzenie ze swoim partnerem, a potem pchnął drzwi, przerywając rozciągnięty za nimi drucik.

Wybuch, który wstrząsnął Colonia Alemania, był potworny.

Świat zadrżał w posadach.

Z głównego laboratorium wystrzeliła fala oślepiająco białego światła, zrównując z ziemią wszystko, co stało jej na drodze. W ułamku sekundy drewniane baraki zamieniły się w miliony drewniek wielkości zapałki, betonowe ściany rozsypały się w pył, po czym wszystko w promieniu pięciuset metrów od „koszar” wyparowało - razem ze stu pięćdziesięcioma żołnierzami Chilijskiej Gwardii Narodowej i dwunastoma agentami BKA.

Mieszkańcy okolicznych wsi mówili potem, że wyglądało to, jakby na horyzoncie nagle rozbłysnął piorun i po chwili w niebo wzbija się wielka chmura dymu w kształcie grzyba.

Naoczni świadkowie byli jednak tylko prostymi wieśniakami. Nie wiedzieli, że opisują wybuch termojądrowy.

W Vilcafor Nash wydał Zielonym Beretom polecenie, by wynieśli na główną ulicę sprzęt radiosatelitamy Niemców.

- Zobaczmy, co mają do powiedzenia wasi ludzie w Chile - powiedział do Schroedera.

Niemiec otworzył klapkę, zakrywającą konsolę, i zaczął szybko pisać na odpornej na warunki pogodowe klawiaturze. Nash, Scolt i reszta komandosów otoczyła go, wpatrując się uważnie w ekran.

Race stał poza kręgiem - znowu go wykluczono.

- Jak się czujesz? - odezwał się nagle kobiecy głos za jego plecami.

Odrzucił się, spodziewając się ujrzeć Lauren, spojrzał jednak w jasnoniebieską oczy niemieckiej agentki.

Była niska, drobna i naprawdę ładna. Dłonie swobodnie oparła na biodrach i uśmiechała się. Ten uśmiech całkowicie rozbroił Race'a.

Miała nosek jak mały guziczek i krótkie blond włosy, a jej twarz, biały T-shirt i dżinsy pokrywały grudy szczerze nachlapanego błota. Na podkoszulek miała nałożoną kamizelkę kuloodporną, a wokół bioder pas z kaburą z czarnego goretexu - taką samą, jaką miał Schroeder. Tak samo jak i jego, jej kabura była pusta.

- Jak głowa? - spytała ponownie z lekkim niemieckim akcentem, który bardzo się Race'owi podobał.

- Boli.

- Chyba powinna - stwierdziła i podeszła do Race'a. Dotknęła jego czoła. - Moim zdaniem w chwili, gdy wasz humvee wbił się w helikopter, doznałeś lekkiego wstrząsu mózgu. Wszystkie wariactwa, które robiłeś potem na szczycie maszyny, musiały być dziełem adrenaliny.

- Uważa pani, że działała za mnie adrenalina? Uśmiechnęła się.

- Zaczekaj tutaj - powiedziała. - Mam w apteczce trochę kodeiny. Pomoże na ból głowy.

Ruszyła w stronę samochodu terenowego.

- Jak ma pani... jak masz na imię? - spytał Race. Znów się do niego uśmiechnęła.

- Nazywam się Renee Becker i jestem agentką BKA.

- Mam ich! - zawołał nagle Schroeder znad radia. Race podeszedł do zgromadzonej wokół konsoli grupy. Spojrzał Nashowi przez ramię i ujrzął na ekranie sporządzony po niemiecku wykaz. Szybko przetłumaczył tekst w myśli.

TRANSMISJA SATELITARNA LOG 44-76zBKA32

NR DATA GODZ. ZRODŁO

STRESZCZ.

14.	1.99	19.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
24.	1.99	19.50	ŹR. ZEWN.	SYGNAŁ UHF
34.	1.99	22.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
45.	1.99	01.30	KG BAK ODDZ. PERU	RAPORT STANU
55.	1.99	04.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
65.	1.99	07.16	TEREN(CHILE)PRZYLOT SANTIAGO, WYLOT COLONIA ALEMANIA	
75.	1.99	07.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
85.	1.99	09.58	TEREN(CHILE)PRZYLOT COLONIA ALEMANIA, ROZPOCZĘCIE OBSERWACJI	
95.	1.99	10.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
105.	1.99	10.37	TEREN (CHILE)ODDZ. CHILE	PILNY SYGNAŁ ODDZ. CHILE PILNY SYGNAŁ
115.	1.99	10.51	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT NATYCHMIAST

Zmarszczył czoło.

Była to lista wszystkich sygnałów, odebranych przez znajdujący się na terenie Peru oddział BKA.

Wyglądało na to, że od 19.30 poprzedniego dnia co trzy godziny odbierali z kwatery głównej BKA wezwanie do złożenia raportu na temat aktualnej sytuacji. Do tego dochodziło kilka wiadomości, wysłanych przez oddział znajdujący się w Chile.

Uwagę Race'a zwróciła wiadomość dziesiąta - od oddziału w Chile. Krzyczało z niej słowo DRINGEND - „pilne”.

Schroeder też to dostrzegł.

Szybko najechał kursorem na dziesiątą linijkę i wcisnął ENTER.

Ekran wypełnił pełny tekst wiadomości. I ten tekst Race szybko przetłumaczył w głowie.

NR WIAD.: 050199-010 DATA: 5 STYCZNIA 1999

OTRZYMANA: 10.37 (CZAS LOKALNY) OD: ODDZIAŁ CHILE TEMAT:
ODDZ. CHILE PILNY SYGNAŁ ODDZ. CHILE PILNY SYGNAŁ TREŚĆ:

UWAGA ODDZIAŁ PERU, UWAGA ODDZIAŁ PERU TU DRUGI ODDZIAŁ CHILE. POWTARZAM. TU DRUGI ODDZIAŁ CHILE. PIERWSZY ODDZIAŁ ZLIKWIDOWANY. POWTARZAM. PIERWSZY ODDZIAŁ ZLIKWIDOWANY.

15 MINUT TEMU PIERWSZY ODDZIAŁ WSZEDŁ DO COLONIA ALEMANIA WSPÓLNIE Z CHILIJSKĄ GWARDIĄ NARODOWĄ. RAPORTOWALI, ŻE CAŁY TEREN JEST PUSTY. POWTARZAM. PIERWSZY ODDZIAŁ RAPORTOWAŁ, ŻE CAŁY TEREN JEST PUSTY.

WSTĘPNE BADANIE WYKAZAŁO WYSOKI POZIOM URANU I PLUTONU. ZANIM ZEBRANO DALSZE DANE, NA TERENIE POSIADŁOŚCI DOSZŁO DO WYBUCHU.

DETONACJA WYGLĄDAŁA NA NUKLEARNĄ. POWTARZAM. DETONACJA WYGLĄDAŁA NA NUKLEARNĄ.

CAŁY PIERWSZY ODDZIAŁ ZOSTAŁ STRACONY. POWTARZAM. CAŁY PIERWSZY ODDZIAŁ ZOSTAŁ STRACONY.

TRZEBA ZAKŁADAĆ, ŻE SZTURMOWCY SĄ OBECNIE W DRODZE DO PERU.

Race z przerażeniem podniósł wzrok znad tej wiadomości.

W chwili gdy zjawił się oddział BKA, Colonia Alemania była pusta. Założono ładunek-pułapkę, który miał wybuchnąć, kiedy ktoś zjawi się na terenie posiadłości.

Gdy znów popatrzył na ostatnią linijkę przekazu, po kręgosłupie spłynął mu lód.

TRZEBA ZAKŁADAĆ, ŻE SZTURMOWCY SĄ OBECNIE W DRODZE DO PERU.

Popatrzył na zegarek. Była 11.05.

- Ile zostało nam czasu? - spytał Nash Schroedera.

- Nie umiem powiedzieć. Nie wiadomo, kiedy wyruszyli. Mogli opuścić Colonia Alemania dwie godziny albo dwa dni temu. Tak czy owak, Chile nie jest daleko stąd. Musimy zakładać, że są bardzo blisko.

Nash zwrócił się do Scotta:

- Kapitanie, niech pan się dowie, kiedy dotrze tu ten cholerny oddział wspomagający. Potrzebujemy go natychmiast.

- Tak jest! - odparł Scott i skinął głową Doogiemu, który pobiegł w kierunku radia.

- Cochrane! - rzucił Nash. - Jak wygląda sytuacja z hueyem, który ocalał?

Buzz Cochrane pokręcił głową.

- Jest cały poobijany i postrzelany. Kiedy ten apache oszalał. Podczas ataku kotów, rozproszone pociski zniszczyły zarówno wirnik na ogonie, jak i zapłon.

- Ile czasu zajmie naprawa?

- Z narzędziami, które tutaj mamy, możemy naprawić zapłon, ale to potrwa. Jeśli

chodzi o wirnik ogonowy, to nie da się bez niego latać, a naprawa jest cholernie trudna. Podejrzewam, że moglibyśmy powymować to i owo z mniej ważnych układów, wykorzystać, ale przede wszystkim potrzebujemy nowych osi i przełączników obrotów, a tu ich nigdzie nie znajdziemy.

- Sierzancie, proszę przygotować hueya do lotu. Bez względu na wszystko.

- Tak jest, sir.

Cochrane odszedł, zabierając ze sobą Texa Reicharta. Zapadła długa cisza.

- A więc utknęliśmy... - stwierdziła w końcu Lauren.

- I zaraz będziemy mieć na karku grupę terrorystów... - dodała Gaby Lopez.

- Chyba że zdecydujemy się ruszyć piechotą - podsunął Race.

Kapitan Scott odwrócił się do Nasha.

- Jeżeli tu zostaniemy, zginiemy - powiedział.

- Ale jeśli odejdziemy, naziści zdobędą Idola - stwierdził Copeland.

- A już mają działającą Supernową - dodała Lauren.

- Nie mamy wyboru - zamknął sprawę Nash. - Jest tylko jedna rzecz, jaką możemy zrobić.

- To znaczy?

- Zdobyć Idola przed nimi.

Trzech żołnierzy szło ostrożnie prowadzącą w górę rzeki ścieżką. Waliła tropikalna ulewa.

Kapitan Scott i kapral Chucky Wilson prowadzili, cały czas kierując lufy swoich M-16 na gęste listowie po prawej stronie. Niemiecki spadochroniarz, Graf, również uzbrojony teraz w amerykański karabinek szturmowy M-16, siedł za nimi, osłaniając tyły.

Każdy z mężczyzn miał z boku hełmu zamocowaną małą światłowodową kamerę, która przekazywała obrazy do pozostałych członków grupy.

Po jakimś czasie doszli do pęknięcia w zboczu góry - przejścia do kamiennej wieży i Świątyni.

Scott skinął Wilsonowi głową i młody kapral wszedł do wąskiej skalnej szczeliny.

Race i pozostali ludzie w osadzie obserwowali na monitorze, jak Scott, Wilson i Graf idą przejściem. Obraz z każdej z trzech kamer był widoczny na ekranie w osobnym prostokącie.

Ich plan był prosty.

Graf, Scott i Wilson mieli wejść do Świątyni i zabrać Idola, a reszta amerykańskich komandosów i drugi niemiecki spadochroniarz - szeregowiec Molke - mieli w tym czasie naprawić toeya. Po odnalezieniu Idola wszyscy odlecą z Vilcafor jeszcze przed przybyciem szturmowców.

- Nie zapomnieliśmy o czymś? - spytał Race.

- O czym? - zdziwił się Nash.

- No, na przykład o kotach. To nie z ich powodu tkwimy po uszy w szambie?

Gdzie te wściekłe stwory są teraz?

- Zniknęły z osady z nastaniem świtu - powiedział za plecami Race'a jakiś głos gładkim, idealnie wyuczonym angielskim.

Race odwrócił się i ujrzał przed sobą czwartego i ostatniego Niemca.

Bardziej nie mógł się różnić od pozostałych trzech - Schroedera, Grafa i Molkego. Tamci byli młodzi, silni i sprawni fizycznie, natomiast ten był starszym mężczyzną - znacznie starszym od swoich towarzyszy, miał przynajmniej pięćdziesiątkę i długą, siwą brodę - i widać było, że jest mało sprawny fizycznie. Race od razu poczuł do brodatego Niemca antypatię. Zalaatywało od niego zadęciem i arogancją.

- O świcie koty odeszły w kierunku płaskowyżu - powiedział siwobrody mężczyzna. - Podejrzewam, że wróciły do swojego gniazda w Świątyni. - Uśmiechnął się z wyższością i dodał: - Ponieważ ostatnie pokolenia tego gatunku żyły przez prawie czterysta lat w kompletnej ciemności, przypuszczam, że niezbyt dobrze czują się w świetle dziennym. - Brodacz wyciągnął rękę i przedstawił się: - Jestem doktor Johann Krauss, zoolog i kryptozoolog z Uniwersytetu Hamburgskiego. Biorę udział w tej misji jako doradca... chodzi o zwierzęta, o których jest mowa w manuskrypcie.

- Kryptozoolog...? Co to takiego? - spytał Race.

- To dziedzina nauki, zajmująca się mitycznymi zwierzętami.

- Mitycznymi zwierzętami...

- Tak jest. Bigfootem, potworem z Loch Ness, yeti, wielkimi kotami z angielskich bagien, no i oczywiście... południowoamerykańskim rapa.

- Wiedział pan przedtem o istnieniu tych kotów?

- Tylko tyle, ile można się było dowiedzieć z niezwyfikowanych relacji naocznych świadków, miejscowych legend i piktogramów. Na tym już jednak polega uroda kryptozoologii, że bada zwierzęta, których nie da się badać, bo nikt nie jest w stanie dowieść, że istnieją.

- Uważa pan więc, że zostaliśmy zaatakowani przez mityczne zwierzęta? Dla mnie nie wyglądały zbyt mitycznie.

- Co jakies pięćdziesiąt lat w tej części amazońskiego lasu deszczowego ma miejsce kilkadziesiąt przypadków tajemniczych śmierci. Tutejsi ludzie, którzy wędrują w tym czasie nocą ze wsi do wsi, po prostu znikają. Niekiedy, choć bardzo rzadko, mieszkańcy wiosek znajdują ich ciała - a raczej ich resztki - z oderwanymi głowami i wyszarpanymi z tułowi kręgosłupami. Miejscowi ludzie mają specjalne określenie na bestie, które pojawiają się nocą i zabijają bez litości - określenie, które przekazuje się z pokolenia na pokolenie. Brzmi ono rapa. - Krauss popatrzył na

Race'a. - Musimy brać pod uwagę te folklorystyczne opowieści, ponieważ mogą nam pomóc poznać wroga.

- W jaki sposób?

- Mogą dać nam wskazówki na temat cech naszych kocich przeciwników.

- Na przykład?

- Po pierwsze, możemy już w zasadzie być pewni, że rapa to istota nocna. Resztki ciał tutejszych ludzi znajdowano jedynie rano. Te, które nas zaatakowały, również uciekły przed światłem dziennym. Ergo - są istotami nocnymi. Polują jedynie nocą, a w dzień się chowają.

- Jak mogłyby przeżyć, gdyby przez stulecia były zamknięte we wnętrzu tej Świątyni? - spytał Race. - Co by jadły?

- Nie wiem - odparł Krauss i zmarszczył czoło, jakby próbował rozwiązać trudne równanie matematyczne.

Race popatrzył na płaskowyż, na którym znajdowała się tajemnicza Świątynia. Jego wschodnią ścianę otaczał woal zacinającego skośnie deszczu.

- Więc co teraz robią? - spytał.

- Moim zdaniem śpią. W bezpiecznej kryjówce. Dlatego właśnie teraz jest najlepszy moment, by spróbować odnaleźć Idola.

Scott, Wilson i Graf wyszli z wąskiego przejścia i stanęli w płytkim jeziorku, rozlewającym się u podstawy wielkiego krateru.

W kraterze było bardzo ciemno. Dopływ światła blokowały gęste deszczowe chmury i zbity parasol gałęzi, zwisających z krawędzi krateru. Każde pęknięcie w ścianach krateru było ukryte w mroku.

Scott i Wilson szli przodem. Ciemność przecinały jedynie cienkie promienie światła latarek, zamocowanych pod lufami ich M-16.

- W porządku - powiedział Scott, wiedząc, że laryngofon przekaże jego słowa dalej.

- ...idziemy teraz ścieżką - rozległ się jego głos z głośników monitora.

Race w napięciu obserwował, jak trójka żołnierzy wychodzi z płytkiej wody i wstępuje na wąską ścieżkę, wyrąbaną w ścianie krateru.

- Musimy pamiętać, że naszymi przeciwnikami są koty - powiedział Johann Krauss. - Choć są niespotykanych rozmiarów, myślą jak koty i działają jak koty.

- To znaczy?

- To znaczy, że tylko jeden gatunek wielkich kotów - gepard - chwyta ofiarę, przedtem ją goniąc.

- A inne koty tego nie robią?

- Każdy gatunek ma inne metody. Indyjskie tygrysy leżą w ukryciu z liści

i czekają, czasami przez wiele godzin, aż pojawi się potencjalna ofiara. Kiedy podejdzie wystarczająco blisko, atakują. Afrykańskie lwy stosują dość skomplikowaną metodę polowania grupowego - lwica paraduje przed stadem gazeli, podczas gdy jej towarzysze podkradają się do nich od tyłu. Jest to dość pomysłowe i bardzo skuteczne. Równocześnie jednak dość niezwykle.

- Dlaczego?

- Ponieważ zakłada jakiś rodzaj komunikacji między lwami. Race popatrzył na monitor.

Trójka żołnierzy weszła kawałek spiralną ścieżką - komandosi znajdowali się jakieś trzy metry nad płaszczyzną wody, pokrywającej dno krateru.

Nagle na powierzchni wody pojawiły się zmarszczki. Musiało je spowodować coś, co znajdowało się tuż pod wodą.

- Co to było? - spytał Race.

- Co było co?

- Wilson - powiedział Race, pochylając się do mikrofonu. - Spójrz na chwilę w prawo, na wodę.

Graf i Scott też musieli usłyszeć słowa Race'a, bo ujęcia z wszystkich trzech kamer przesunęły się w prawo po powierzchni wody.

- Nic nie widzę... - odparł Scott.

- Tam, trochę dalej! - krzyknął Race, widząc kolejną zmarszczkę na wodzie. Wyglądała, jakby powstała od uderzenia zwierzęcego ogona. Ogon zwierzęcia, które przesuwało się w kierunku trzech żołnierzy.

- A to co do licha... - zaczął Scott, przyglądając się powierzchni wody.

Przez jezioro z ogromną prędkością mknęła mała falka. Pędziła prosto na nich.

Scott zmarszczył czoło. Ostrożnie zrobił krok do przodu - ku krawędzi ścieżki i trzymetrowej skalnej ścianie, schodzącej pionowo do powierzchni wody.

Wyrżał za krawędź.

Tuż pod nim po gładkiej skalnej ścianie wspinały się trzy czarne koty!

Ledwie zdążył unieść lufę swojego M-16, gdy z ciemnego pęknięcia w skale, znajdującego się dokładnie za nim, wystrzelił czarny cień i uderzył go w plecy, spychając za krawędź ścieżki, do wody w dole, gdzie w ułamku sekundy spadła na niego cała sfera kotów.

Race wpatrywał się w monitor z przerażeniem, tym większym, że widział wszystko z perspektywy Scotta. Chlasnęły ostre jak brzytwa zęby, zamachały ludzkie ramiona, a na wszystko to nakładały się stęknięcia i zduszone krzyki Scotta.

Po dwóch sekundach kamera zanurzyła się pod wodę, ekran pociemniał i zapadła cisza.

Ciszę w kraterze przerwał huk salwy z pistoletu maszynowego. To przerażony

niemiecki spadochroniarz pociągnął za spust M-16.

Ledwie jednak z lufy wystrzelił jęzor płomienia, Niemiec został zaatakowany z góry. Spadł na niego kot, który czyhał na skalnej ścianie wysoko nad nim.

Chucky Wilson natychmiast się odwrócił i zobaczył, że Graf szamocze się z wielkim kotem. Niemiecki spadochroniarz walczył jak szalony.

Nagle rozległo się głośnie, przeciągłe KRRHHH! - i głowa Niemca odpadła od ciała, które natychmiast zwiotczało.

Chucky zbladł.

- O żesz kur... - zaklął.

Kot, stojący nad ciałem Niemca, powoli podniósł łeb i popatrzył mu prosto w oczy.

Młody żołnierz zamarł.

Wielki stwór przeszedł nad nieruchomym ciałem Grafa i ruszył w jego kierunku.

Chucky gwałtownie się odwrócił i zobaczył, że na ścieżce po drugiej stronie stoi drugi potężny kot, odcinając mu drogę ucieczki.

Nie było dokąd uciec.

Nie było gdzie się schować.

Chucky odwrócił się ponownie do zwierzęcia, które zabiło Grafa. Wodząc wzrokiem po skalnej ścianie, widział w niej pęknięcia i zagłębienia i przez chwilę myślał, że może uda mu się jakoś na nią wspiąć i uciec. Zajrzał w jedno z większych, ciemnych zagłębien i...

...zobaczył wyszczerzony pysk trzeciego kota.

Po chwili wielkie kocie szczęki wyprysnęły w jego kierunku i po sekundzie wszystko zniknęło.

Wszyscy w milczeniu patrzyli na monitor.

- O mój Boże... - westchnęła Gaby Lopez.

- Cholera! - zaklęła Lauren.

Czwórka Zielonych Beretów bez słowa gapiła się w ekran. Race popatrzył na Kraussa.

- Żerują jedynie w nocy, tak?

- No cóż... - wymamrotał Niemiec. - Najwyraźniej ciemność u podstawy skały pozwala spędzać im tam dużą część dnia.

- Kennedy! - rzucił ostro Nash. - Co z oddziałem wsparcia?

- Ciągłe próbuję przebić się do Panamy, sir - odparł Doogie, siedzący nad radionadajnikiem. - Sygnał cały czas się gubi.

- Próbuj dalej!

Nash popatrzył na zegarek. Była 11.30.

- Cholera... - mruknął pod nosem.

Zastanawiał się, co się stało z Romano i jego oddziałem. Ostatnia informacja na ich temat mówiła, że poprzedniego wieczoru o godzinie 19.45 wystartowali z Cuzco. Powinni już tu być. Co się z nimi stało? Czy możliwe, żeby zestrzelili ich naziści? A może źle zinterpretowali totemy i zabłądzili?

Bez względu jednak na to, co się stało, jedno jest pewne: jeśli jeszcze żyją - prędzej czy później odnajdą Vilcafor.

A to oznaczało, że musieli się teraz spodziewać dwóch wrogich udziałów.

- Cholera! - powtórzył.

Podszedł do niego Doogie.

- Oddział wsparcia godzinę temu wystartował z Panamy w trzy helikoptery - dwa Comanche i jeden Black Hawk. Będą u nas późnym popołudniem, o siedemnastej zero zero. Ustawiłem wysyłanie sygnału UHF, żeby mogli nas znaleźć i wyciągnąć stąd.

Kiedy Race słuchał Doogiego, przemknęło mu przez głowę, że coś tu nie gra. Dlaczego wojsko nie wyciągnie nas, lecąc od Cuzco? - pomyślał. Dlaczego wysyłają helikoptery z Panamy?

Najłatwiejszym sposobem wydostania się stąd byłby chyba powrót tą samą drogą, którą przybyli.

W tym momencie przypomniał sobie zdanie z Manuskryptu Santiaga: „Złodziej nigdy nie używa tej samej drogi dwa razy”.

Nash zwrócił się do Van Lewena.

- Mamy dostęp do sieci SAT-SN? - zapytał. Wypowiedział ten skrót jak „sat-sun”.

- Tak jest, sir. Mamy.

- Wobec tego wejdź do niej. Nastaw schemat poszukiwawczy na środkowowschodnie Peru. Chcę dokładnie wiedzieć, gdzie są ci dranie. Cochrane!

- Tak jest, sir?

- Co to jest SAT-SN? - spytała Gaby Lopez.

- To skrót od Satellite Aerospace Tracking and Surveillance Network * - wyjaśnił jej Troy Copeland. - Powietrzny odpowiednik sieci SOSUS - systemu hydrofonów, które Marynarka Wojenna USA rozmieściła na północnym Atlantyku, by sygnalizowały obecność wrogich okrętów podwodnych.

* [Satelitarna Sieć Wyszukiwania i Nadzoru Powietrznego (przyp. tłum.)]

Mówiąc prościej, SAT-SN to układ pięćdziesięciu sześciu zawieszonych na niskiej orbicie satelitów geostacjonarnych, które monitorują przestrzeń powietrzną świata - samolot po samolocie.

- Jeżeli to ma być proste wyjaśnienie, to wolę nie słyszeć skomplikowanego - mruknął Race.

Copeland zignorował tę uwagę i mówił dalej:

- Każdy samolot można zarejestrować na siedem sposobów: jako obraz radarowy, obraz w podczerwieni, obraz widoczny gołym okiem, na podstawie spalin z silników oraz emisji fal akustycznych i elektromagnetycznych. Satelity SAT-SN wykorzystują to, rejestrując „podpis” i lokalizację każdego samolotu na świecie - zarówno wojskowego, jak i cywilnego. Pułkownik Nash zażyczył sobie właśnie fotkę środkowowschodniego Peru, by móc obejrzeć każdy znajdujący się tam teraz samolot - przede wszystkim jednak chodzi o te, które lecą poza standardowymi korytarzami dla lotnictwa pasażerskiego. Z uzyskanych zdjęć będziemy mogli odczytać, gdzie są nasi nazistowscy przyjaciele, i mam nadzieję, że uda nam się na tej podstawie obliczyć, kiedy się u nas zjawią.

Race popatrzył na Nasha.

Pułkownik zdawał się głęboko nad czymś dumać - ale przecież właśnie stracił trzech swoich ludzi.

- O czym pan myśli? - spytał Race.

- Musimy zdobyć tego Idola, i to szybko - odparł Nash. - Naziści będą tu lada chwila. Ale jak przejść przez te koty? Jak sobie z nimi poradzić?

- Ktoś to wiedział - odparł Race.

- Kto?

- Alberto Santiago.

- Słucham...?

- Pamięta pan kamień, wepchnięty w wejście do Świątyni?

- Jasne.

- Było na nim napisane: NIE WCHODZIĆ POD ŻADNYM POZOREM. W ŚRODKU CZYHA ŚMIERĆ. Ostrzeżenie podpisano inicjałami A.S. Nie przeczytałem całego manuskryptu, przypuszczam jednak, że Santiago i Renco mieli ten sam problem co my teraz - zanim przybyli do Vilcafor, ktoś otworzył Świątynię i wypuścił rapa. Santiago jakimś sposobem domyślił się, jak ściągnąć je z powrotem do Świątyni. Wrył ostrzeżenie w kamieniu, by nikt znów ich nie wypuścił. Wykorzystaliśmy manuskrypt do znalezienia Vilcafor i sądziliśmy, że nie nadaje się do niczego więcej, bo kopia, którą czytałem, była niekompletna. Jestem pewien, że w pozostałej części jest mowa o tym, jak przebić się Przez te koty.

- Ale nie mamy dalszej części manuskryptu - mruknął Nash.

- Jestem gotów się założyć, że oni mają. - Race wskazał głową w kierunku pozostałych Niemców.

Schroeder kiwnął głową.

- I założę się, że nie przetłumaczyliście go dalej niż do miejsca wyjaśniającego, jak dotrzeć do Vilcafor - powiedział Race.

- Nie - odparł Niemiec. - Nie przetłumaczyliśmy.
Na twarzy Nasha pojawił się wyraz zdecydowania. Odwrócił się do Schroedera.
- Przynieście waszą kopię - polecił. - Natychmiast!
Kilka minut później Schroeder dał Race'owi gruby plik kartek w podniszczonej kartonowej teczce. Był znacznie grubszy od kopii, którą udało się zdobyć Nashowi.
Kompletny manuskrypt...
- Zakładam, że nikt z was nie jest tłumaczem - powiedział Race.
Schroeder pokręcił głową.
- Nasz tłumacz zginął podczas ataku kotów na skalną wieżę. Nash popatrzył na Race'a.
- W takim razie wygląda na to, że pozostał tylko pan, profesorze. Jakie to szczęście, że uparłem się, by pana tu przywieźć...
Race poszedł do terenówki, by nikt mu nie przeszkadzał.
Kiedy znalazł się w ciszy opancerzonego kadłuba, otworzył teczkę. Pierwsza strona była kserokopią okładki.
Była to dziwna okładka - wyraźnie różniła się od przesadnie ozdobnej okładki kopii, z którą miał poprzednio do czynienia. Była jakby... rozmyślnie prosta.
Tytuł: Prawdziwa relacja mnicha z kraju Inków został napisany bardzo surowym pismem. Jedno było pewne: elegancja i wykwintność były ostatnimi rzeczami, o jakich myślał ten, kto to napisał.
Nagle do Race'a dotarło, co to oznacza.
Miał przed sobą fotokopię oryginału Manuskryptu Santiaga.
Przerzucił kilka kartek. Strona za stroną ukazywało mu się nieładne pismo Santiaga.
Przyjrzał się tekstowi i wkrótce odnalazł miejsce, w którym poprzednia kopia się urywała - kiedy Renco, Santiago i Bassario znaleźli się w Vilcafor, ujrzeni wokół siebie same ruiny i porzrzucone na głównej ulicy, skąpane we krwi trupy...

TRZECIE CZYTANIE

Poszliśmy główną ulicą Vilcafor.
Cisza wokół nas wypełniała moje serce rozpaczą. Jeszcze nigdy nie słyszałem, by deszczowy las był tak niemy.
Przeszedłem nad zakrwawionym ciałem. Głowa była odcięta równo z tułowiem.
Widziałem kolejne ciała, patrzyłem w otwarte, przerażone oczy pomordowanych ludzi. Z niektórych ciał powyrywane były ręce i nogi, wiele zwłok miało gardła porozszarpywane jakąś straszliwą siłą.
- Hernando? - szepnąłem do Renca.
- Niemożliwe - odparł mój młody towarzysz. - Nie mógł zjawić się tu przed nami.

Szliśmy dalej ulicą. Całą osadę otaczała wielka, sucha teraz fosa. Można było przez nią przejść po dwóch płaskich drewnianych mostach - zbudowanych z kilku ułożonych obok siebie pni drzew - umieszczonych naprzeciwko siebie, na obu krańcach osady. Wyglądało na to, że mosty te mogły być w każdej chwili podnoszone. Było oczywiste, że ktokolwiek zaatakował Vilcafor, zrobił to z zaskoczenia.

Doszliśmy do cytadeli. Był to wspaniały, dwupiętrowy kamienny budynek, piramidalny, ale nie prostokątny w podstawie, a okrągły.

Renco załomotał pięścią w wielkie kamienne wrota u podstawy cytadeli, wezwał Vilcafora i oznajmił, kim jest oraz że przybył dołem.

Po jakimś czasie od wewnątrz odsunięta została kamienna płyta. Pojawiło się kilku wojowników, a za nimi sam Vilcafor - starzec brodą i zapadniętymi oczami. Był ubrany w czerwoną pelerynę, wyglądał jednak tak samo królewsko jak żebrak na ulicach Madrytu.

- Renco! - zawołał na widok mojego towarzysza.

- Wuju...

W tym momencie Vilcafor zauważył mnie.

Spodziewałem się wyrazu zaskoczenia na widok Hiszpana, towarzyszącego jego bratankowi w heroicznej misji, ale Vilcafor odwrócił się tylko do Renca i spytał:

- Czy to jest ten zjadacz złota, o którym tyle mówili mi moi posłańcy? Ten, który pomógł ci uciec z więzienia i wyjechał z Cuzco u twego boku?

- To on, wuju.

Mówili w języku keczua, Renco poświęcił jednak sporo czasu, by poprawić moją znajomość tego osobliwego języka, byłem więc w stanie zrozumieć większość z tego, co mówili.

Vilcafor mruknął niezadowolony:

- Szlachetny zjadacz złota... hmmm... nie wiedziałem, że takie stwory istnieją. Jeśli jednak jest twoim przyjacielem, niech będzie naszym gościem.

Odwrócił się w drugą stronę i zobaczył Bassaria, który stał za plecami Renca. Natychmiast go rozpoznał. Spojrzał gniewnie na młodego księcia.

- Co on tu robi?

- Podróżuje ze mną, wuju. Z pewnego powodu - odparł Renco, a po chwili zapytał: - Co tu się stało, wuju? To byli Hisz...

- Nie, mój bratanku. To nie byli zjadacze złota. Pojawiło się zło tysiąc razy gorsze.

- Co się stało? Vilcafor pochylił głowę.

- Mój bratanku, to nie jest dobre miejsce na kryjówkę...

- Dlaczego?

- Nie jest... wcale nie jest tu bezpiecznie.

- Wuju, co zrobiłeś?

Stary wódz popatrzył na Renca, po czym jego wzrok powędrował w kierunku wielkiego szarego płaskowyzu, wznoszącego się nad osadą.

- Bratanku mój, wejdź szybko do cytadeli. Zaraz zapadni zmrok, a one wychodzą o zmroku. Chodź, będziesz bezpieczniejszy w środku fortecy.

- Wuju, co tu się dzieje?

- To moja wina, bratanku. To wszystko moja wina...

Ciężkie kamienne wrota cytadeli zasunęły się za nami z głośnym tąpnięciem.

Wnętrze dwupiętrowej piramidy było ciemne, oświetlało je tylko kilka pochodni. W ciemnościach przede mną kryło się kilkanaścioro przestraszonych ludzi - kobiet z dziećmi na rękach i rannych lub okaleczonych mężczyzn. Podejrzewałem, że wszyscy byli członkami rodziny Vilcafora - i mieli tyle szczęścia, że w chwili rozpoczęcia rzezi znajdowali się wewnątrz cytadeli.

W kamiennej podłodze zauważyłem prostokątny otwór - od czasu do czasu ktoś do niego wchodził albo z niego wychodził. Poniżej musiał być tunel.

- To quenko - szepnął mi do ucha Bassario.

- Co to takiego?

- Labirynt. Sieć tuneli wykutych w skale pod ziemią. Niedaleko Cuzco jest jeden z najświetniejszych quenko. Pierwotnie budowano je jako drogi ucieczki dla rządzącej elity - tylko mieszkający w danym mieście członkowie rodziny królewskiej znali kod, umożliwiający poruszanie się pozornie chaotyczną płataniną tuneli. Teraz używa się ich głównie do sportowych gier podczas festiwali. Dwóch wojowników wchodzi do tuneli razem z pięcioma dorosłymi jaguarami. Wygrywa ten z nich, który jako pierwszy wyjdzie z labiryntu. Bardzo popularne jest też obstawianie wyniku. Podejrzewam jednak, że tutaj quenko jest raczej wykorzystywane do pierwotnego celu - jako droga ucieczki dla członków królewskiej rodziny.

Vilcafor zaprowadził nas do płonącego w kącie pomieszczenia ogniska. Poprosił, abyśmy usiedli na sianie. Po chwili pojawili się służący i podali nam wodę.

- A więc, Renco... masz Idola? - spytał Vilcafor.

- Mam - odparł Renco i wyjął figurkę, wciąż zawiniętą w czerwony jedwab, ze skórzanej sakwy. Kiedy odsłonił połyskującą czarno-purpurową rzeźbę, z piersi zebranych wokół ludzi wyrwało się westchnienie.

Wydawało się, że w migotliwym pomarańczowym świetle ogniska wyszczerzony pysk kota nabrał jeszcze większej wrogości.

- Naprawdę jesteś Wybrańcem, mój bratanku - powiedział Vilcafor. -

Człowiekiem przeznaczonym do uratowania naszego Idola przed tymi, którzy mogliby nam go odebrać. Jestem z ciebie dumny.

- A ja z ciebie, wuju - powiedział Renco, choć z tonu jego głosu wnioskowałem,

że wcale tak nie jest. - Opowiedz, co tu się stało.

Vilcafor skinął głową.

- Słyszałem o tym, co wyczyniają zjadacze złota w naszym kraju. Pojawiali się we wsiach zarówno w górach, jak i na leśnych mokradłach. Jest jedynie sprawą czasu, by odkryli to tajne miejsce. Mając to na uwadze, dwa miesiące temu kazałem zbudować nową ścieżkę - prowadzącą głęboko w góry, daleko od tych żądnych złota barbarzyńców. Miała to być szczególna ścieżka - po użyciu można byłoby ją zniszczyć. Z powodu ukształtowania terenu w odległości dwudziestu dni marszu stąd nie byłoby wtedy innej drogi w góry. Każdy, kto próbowałby nas ścigać, straciłby wiele tygodni, a my w tym czasie byłibyśmy już daleko...

- Mów dalej.

- Moi inżynierowie znaleźli idealne miejsce na taką ścieżkę - niezwykle kanion niedaleko stąd. To szerokie, okrągłe zagłębienie z wystającym w środku olbrzymim skalnym paluchem. Jego ściany idealnie nadawały się do wykucia ścieżki i poleciłem, aby natychmiast zaczęto pracę. Wszystko szło dobrze, dopóki inżynierowie nie dotarli do górnej krawędzi kanionu. Kiedy tego dnia spojrzeli w dół, zobaczyli to...

- Co, wuju?

- Budowlę - wykonaną przez człowieka - na szczycie ogromnego kamiennego palucha.

Renco spojrział na mnie z niepokojem.

- Natychmiast kazałem zrobić most z lin, po czym osobiście - w towarzystwie moich inżynierów - przeszedłem przez most i zbadałem tę budowlę.

Renco słuchał w milczeniu.

- Cokolwiek to było, nie zostało zbudowane rękami Inków. Wyglądało jak jakaś budowla religijna - świątynia albo kaplica - podobna do innych znajdujących w tych lasach, wznoszonych przez budowniczych tajemniczego imperium, rządzącego tą krainą wiele lat przed nami. Ale w tej świątyni było coś dziwnego - została zamknięta wielkim głazem. Na głazie były wyrte liczne rysunki i napisy, których nie umieli odcyfrować nawet nasi najmądrzejsi ludzie.

- Co się stało potem, wuju? Vilcafor spuścił wzrok.

- Ktoś powiedział, że być może jest to legendarna Świątynia Solona i gdyby tak było, w środku znajdowałby się najwspanialszy skarb - składający się ze szmaragdów i jadeitu.

- Co zrobiłeś, wuju?

- Kazałem otworzyć świątynię - odparł Vilcafor i pochylił głowę. - I w ten sposób uwolniłem zło, jakiego nikt jeszcze nie widział. Uwolniłem rapa.

Kiedy zapadła noc, wyszliśmy razem z młodym księciem na dach cytadeli, aby popatrzeć z góry na osadę i spróbować zobaczyć zwierzęta, które nazywano rapa.

Bassario jak zwykle zaszył się w jakiś ciemny kąt i usiadł twarzą do ściany, by robić to, co zwykł robić od dłuższego czasu.

Popatrzyłem z góry na osadę.

Muszę powiedzieć, że podczas wędrówki przez las deszczowy przyzwyczałem się do odgłosów nocnego życia dżungli. Do rechotu żab, bzyczenia owadów i szumu wiatru w najwyższych gałęziach, po których skaczą małpy.

Tutaj jednak tych odgłosów nie było słychać.

Otoczający Vilcafor las był zupełnie cichy.

Nie słyszałem ani jednego zwierzęcia. Nie poruszało się nic żywego.

Popatrzyłem na leżące na dole, rozrzucone wszędzie ciała.

- Co tu się stało? - spytałem Renca.

Przez dłuższy czas nie odpowiadał, a potem rzekł:

- Uwolnione zostało wielkie zło, przyjacielu. Straszliwe zło.

- Co miał na myśli twój wuj, mówiąc, że świątynia, którą znalazł, mogła być Świątynią Solona? Kim albo czym był ten Solon?

- Wszystkie te ziemie należały niegdyś do potężnych imperiów. Niewiele o nich wiemy poza tym, czego dowiedzieliśmy się na podstawie pozostawionych przez nie budowli i opowieści przekazywanych przez najstarszych mieszkańców tych terenów. Jedna z najpowszechniej znanych tutejszych historii opowiada o dziwnym ludzie, który nazywał siebie Moxe albo Moche znakomitymi budowniczymi i czcili rapa. Niektórzy miejscowi twierdzą nawet, że je oswajali, ale nie ma co do tego pewności. W każdym razie najczęściej opowiadana o Moxe legenda mówi o Solonie. Był to niezwykle inteligentny człowiek, wielki myśliciel, który dzięki swej mądrości stał się głównym doradcą najwyższego imperatora Moxe. Kiedy się postarzał, w nagrodę za lata wiernej służby imperator obdarował go wielkimi skarbami i kazał zbudować na jego cześć świątynię. Miała ona powstać w miejscu, jakie Solon sobie wybierze, i wyglądać tak, jak sobie zażyczy. Bez względu na to, czego Solon zapragnie - najlepsi inżynierowie imperium to wybudują. Renco popatrzył w ciemność. Po chwili mówił dalej:

- Powiadają, że Solon zażyczył sobie postawienia świątyni w tajnym miejscu i umieścił tam wszystkie swoje skarby. Potem kazał najlepszym myśliwym imperium złapać kilka rapa i zamknąć je w środku, razem ze skarbami.

- Kazał uwięzić rapa w świątyni?

- Tak. Aby zrozumieć, dlaczego to zrobił, musisz wiedzieć, jaki miał w tym cel. Chciał, by świątynia stała się sprawdzianem ludzkiego zachowania.

- Co masz na myśli?

- Solon wiedział, że wieść o ukrytych w świątyni skarbach szybko się rozejdzie. Wiedział, że chciwość i skąpstwo ściągną awanturników, którzy zechcą

przywłaszczyć sobie jego majątek. Tak więc zrobił ze swojej świątyni sprawdzian. Sprawdzian wyboru między legendarnym bogactwem a pewną śmiercią. Sprawdzian, czy człowiek jest w stanie opanować chciwość.

Renco popatrzył na mnie i dodał:

- Człowiek, który pokona chciwość i nie otworzy drzwi świątyni - będzie żył.

Ten, kto jej ulegnie i otworzy drzwi w poszukiwaniu bogactwa - zginie, zabity przez rapa.

Przez chwilę obaj milczeliśmy.

- Ta świątynia, o której mówił Vilcafor, ta na szczycie skalnego palucha... - odezwałem się w końcu - myślisz, że to właśnie Świątynia Solona?

Renco westchnął.

- Jeśli tak jest, bardzo mnie to zasmuci - odparł.

- Dlaczego?

- Ponieważ oznaczałoby to, że przebyliśmy tak długą drogę tylko po to, aby umrzeć.

Siedzieliśmy przez jakiś czas razem na dachu. Wpatrywaliśmy się w deszcz.

Minęła godzina.

Z lasu nic nie wychodziło.

Minęła kolejna godzina. Nadal nic się nie działo.

W końcu Renco kazał mi wracać do cytadeli i przespać się trochę. Z radością posłuchałem tego polecenia, byłem bowiem bardzo zmęczony podróżą.

Wróciłem do wnętrza cytadeli i położyłem się na kupce suchej trawy. W rogach pomieszczenia płonęły małe ogniska.

Położyłem głowę na sianie, ledwie jednak zamknąłem oczy, poczułem na ramieniu lekkie, choć niecierpliwe szturchnięcia. Kiedy uniosłem powieki, ujrzałem przed sobą najobrzydliwszą twarz, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

Przede mną siedział w kucki jakiś starzec i uśmiechał się do mnie bezzębnymi ustami. Miał niesamowicie długie i skłębione siwe brwi, z uszu i z nosa również wystawały mu siwe, skręcone włosy.

- Witaj, zjadaczu złota - zaczął. - Słyszałem o tym, co zrobiłeś dla młodego księcia Renco, o tym, jak pomogłeś mu uciec, i chciałem ci wyrazić głęboką wdzięczność.

Rozejrzałem się wokół. Ognie pogasły, wszyscy pokładli się. Musiałem już jakiś czas spać, zanim ten stary człowiek mnie zbudził.

- Nie ma za co... - wydukałem.

Starzec skierował w moją pierś kościsty paluch i pokiwał głową.

- Zjadaczu złota, Renco nie jest jedynym, którego przeznaczeniem jest ochrona Idola.

- Nie rozumiem...

- Renco został strażnikiem Ducha Ludzi, bo taką rolę wyznaczyła mu wyrocznia w Pachacamac. - powiedział starzec i uśmiechnął się bezzębnie. - Ale to samo dotyczy ciebie.

Słyszałem o wyroczni w Pachacamac. Była nią owa stara kobieta, pilnująca znajdującej się tam świątyni-krypty, w której tradycja nakazywała przechowywać Ducha Ludzi.

- Jak to? Co wyrocznia powiedziała na mój temat?

- Kiedy zjawili się u nas zjadacze złota, wyrocznia oznajmiła, że nasze imperium zostanie zniszczone. Przepowiedziała jednak także, że dopóki Duch Ludzi nie dostanie się w ręce najeźdźców, nasza dusza będzie żyć dalej. Powiedziała, że Idola może uratować tylko jeden człowiek...

- Renco.

- Zgadza się. Ale cała przepowiednia brzmiała tak:

Czas nadejdzie, gdy zjawi się On, Mężczyzna-bohater, Znakiem Słońca naznaczony. Odważny tak, by walczyć z wielkimi jaszczurami, w ciele będzie miał znak jinga. Pomogą mu ludzie o sercach walecznych, gotowi za szlachetną sprawę oddać życie. By uratować naszego Ducha, spadnie z nieba. On będzie Wybrańcem.

- Wybrańcem?

- Właśnie.

Zacząłem się zastanawiać, czy pasuje do mnie określenie „człowiek o walecznym sercu”, który oddałby życie za Renca. Stwierdziłem, że nie.

Potem zastanowiłem się nad tym, co oznacza słowo jinga. Pamiętałem, że jest to cecha, która w kulturze Indian cieszy się wielkim uznaniem. Chodziło o połączenie opanowania, równowagi i prędkości w działaniu - umiejętności poruszania się jak kot.

Przypomniałem sobie naszą ucieczkę z Cuzco i Renca, skaczącego z dachu na dach, a potem zsuwającego się po linie na zad mojego konia. Czy poruszał się przy tym z gracją i zręcznością kota? Bez dwóch zdań.

- Co masz na myśli, mówiąc, że będzie miał odwagę walczyć z wielkimi jaszczurami? - spytałem siedzącego przy mnie starca.

- Kiedy Renco miał trzynaście lat, jego matka została przy nabieraniu wody z rzeki zaatakowana przez aligatora. Był z nią wtedy młody Renco i gdy zobaczył, że potwór ciągnie matkę pod wodę, zanurkował i walczył z nim, aż gad ją puścił. Niewielu ludzi wskoczyłoby do rzeki, by walczyć z aligatorem. A na pewno nie trzynastoletków.

Przełknąłem ślinę.

Nie wiedziałem o tym niezwykłym akcie odwagi, jakim wykazał się młody Renco. Oczywiście wiedziałem, że jest odważny, ale coś takiego? Ja nigdy bym

czegoś takiego nie zrobił.

Starzec musiał czytać w moich myślach, bo znów postukał mi długim, kościstym paluchem w pierś i powiedział:

- Nie lekceważ odwagi we własnym sercu, młody zjadaczu złota. Ty również wykazałeś się wielką odwagą, pomagając uciec naszemu księciu z hiszpańskiego więzienia. Niektórzy powiedzieliby nawet, że wykazałeś się największą odwagą - odwagą zrobienia tego, co należy.

Skłoniłem skromnie głowę. Starzec przysunął się bliżej mnie.

- Uważam, że takie akty odwagi nie powinny pozostać bez nagrody. W nagrodę chciałbym dać ci to...

Podniósł w górę pęcherz, pochodzący z pewnością z małego zwierzęcia. Był wypełniony jakimś płynem.

Wzięłem go. Z jednej strony był związany - tędy można było najwyraźniej wylać zawartość.

- Co to jest?

- Małpi mocz.

- Małpi mocz...?

- Ochroni cię przed rapa. Pamiętaj, że rapa to kot, a żaden kot nie lubi brudu i smrodu. Miejscowe plemiona wierzą, że jeśli rozsmaruje się na ciele płyn o brzydkim zapachu, odstraszy się je.

Uśmiechnąłem się niepewnie. Po raz pierwszy zdarzało mi się otrzymywać odchody zwierzęcia z dżungli w uznaniu zasług.

- Dziękuję - powiedziałem. - To... wspaniały dar... Starzec był wyraźnie zadowolony z mojej reakcji.

- Dam ci jeszcze coś - oświadczył.

Zamierzałem nie korzystać z jego szczodrości - zwłaszcza gdyby chciał dać mi jakiś produkt kolejnego zwierzęcia. Ale drugi dar nie był materialny.

- Chcę podzielić się z tobą sekretem.

- Jakim?

- Jeżeli kiedykolwiek będziesz musiał uciekać z tej osady, wejdź do quenko i skręć w trzeci tunel po prawej ręce. Potem skręcaj w każdy następny tunel - na zmianę w lewo i w prawo, ważne jest jednak, żebyś najpierw skręcił w lewy tunel. Quenko doprowadzi cię do wodospadu, wychodzącego na wielki, podmokły las. Jeżeli wiesz, jak zacząć iść, tajemnica labiryntu jest prosta. Zaufaj mi, młody zjadaczu złota i przyjmij oba dary. Mogą uratować ci życie.

Odświeżony drzemką, poszedłem znów na dach cytadeli.

Był tam Renco, który przez cały czas trzymał wartę. Musiał być bardzo zmęczony, nie okazywał jednak tego. Uważnie wpatrywał się w główną ulicę osady,

nie zwracając uwagi na welon deszczu, otaczający mu głowę. Stałem w milczeniu u jego boku i podążyłem za jego wzrokiem.

Poza kroplami deszczu nic się nie ruszało.

Nie słysząc było nawet najcichszego dźwięku.

W całej osadzie panowała upiorna cisza.

Nie odwracając się do mnie, Renco powiedział:

- Vilcafor mówił, że otworzył Świątynię za dnia. Posłał pięciu swoich najlepszych wojowników, by poszukali skarbu Solona. Nie wrócili. A potem, po zapadnięciu zmroku, ze Świątyni wyszły rapa...

- Są teraz na zewnątrz?

- Jeśli tak, nie widzę ich.

Popatrzyłem na Renca. Miał zaczerwienione białka i ciemne wstęgi pod oczami.

- Przyjacielu, teraz ty musisz się przespać - stwierdziłem. - Musisz odzyskać siły... zwłaszcza na wypadek, gdyby moi rodacy znaleźli to miejsce. Idź spać, a ja tu posiedzę i jeżeli coś zobaczę, obudzę cię.

Renco skinął głową.

- Masz rację, Alberto. Dziękuję.

Powiedziawszy to, wszedł do środka i zostałem sam na dachu cytadeli, samotny wśród nocy jak palec. W osadzie na dole nic nawet nie drgnęło.

Stało się to mniej więcej po kolejnej godzinie mojej warty.

Patrzyłem na drobne falki na rzece, pobłyskujące srebrzyście w świetle księżyca, gdy nagle zauważyłem tratwę. Na pokładzie maleńkiej jednostki dostrzegłem trzy sylwetki - trzy czarne cienie na tle czarnej nocy.

Krew zastygła mi w żyłach.

Ludzie Hernanda...

Właśnie zamierzałem biec do Renca, gdy tratwa dobiła do niewielkiego drewnianego nabrzeża, a jej pasażerowie weszli na brzeg i mogłem im się dokładnie przyjrzeć.

Odetchnąłem z ulgą.

Nie byli to konkwistadorzy.

Przybysze byli Inkami.

Pierwszy szedł mężczyzna - w tradycyjnym stroju inkaskich wojowników, obok niego kobieta - tak, kobieta z małym dzieckiem! - oboje w pelerynach z kapturami.

Szli powoli główną ulicą i z przerażeniem patrzyli na widoczne wszędzie wokół ślady rzezi.

W tym momencie zauważyłem go.

W pierwszej chwili sądziłem, że to jedynie cień gałęzi, padający na którąś ze stojących wzdłuż ulicy chat. Ale gałąź nagle się odsunęła i zobaczyłem inny cień.

Ujrzałem kontur wielkiego kota - wielki koci łeb, uniesiony do góry nos, końce spiczastych uszu. Ujrzałem też otwartą paszczę, gotową do zabijania.

Z początku nie byłem w stanie uwierzyć w to, co widzę. Istota, którą ujrzałem, była ogromna...

Nagle zwierzę zniknęło i znów widziałem tylko ścianę chaty, oświetloną światłem księżyca.

Troje Inków dzieliło od cytadeli jakieś dwadzieścia kroków.

Wyszeptałem do nich szybko po keczuańsku:

- Tutaj! Chodźcie szybko! Chodźcie szybko! Z początku nie zrozumieli, o co mi chodzi.

Pierwsze zwierzę powoli wyszło na główną ulicę za ich plecami.

- Biegnijcie! - krzyknąłem. - Są za wami! Mężczyzna odwrócił się i ujrzał stojącego w błocie gigantycznego kota.

Zwierzę wyglądało jak pantera. Potężna czarna pantera. Jego zimne żółte ślepia patrzyły nie mrugając, w charakterystyczny zimny, koci sposób.

Po chwili do pierwszego zwierzęcia dołączyło drugie. Para rapa wpatrywała się w ludzi przed sobą.

Nagle oba stwory opuściły łby i naprężyły ciała, szykując się do skoku.

- Biegnijcie! - krzyknąłem znowu. - Szybko!! Mężczyzna i kobieta rzucili się w moim kierunku. Wielkie koty ruszyły za nimi.

Pobiegłem do wnętrza cytadeli.

- Renco! Ratunku! Pomocy! Otwórzcie drzwi! Na zewnątrz są ludzie! - wrzeszczałem.

Pognałem z powrotem na dach i kiedy wychyliłem się przez krawędź, zobaczyłem, że kobieta właśnie dotarła do ściany cytadeli - z dzieckiem na ręku. Po chwili znalazł się obok niej mężczyzna.

Koty powoli sunęły ulicą.

Nikt nie otwierał drzwi.

Kobieta spojrzała na mnie pełnymi przerażenia oczami i przez ułamek sekundy wpatrywałem się w nią jak zahipnotyzowany. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek...

Podjąłem decyzję.

Zerwałem z siebie ubranie i trzymając je za jeden koniec, wyrzuciłem drugi za krawędź.

- Złap moje ubranie! - zawołałem. - Podciągnę cię! Mężczyzna chwycił je i podał kobiecie.

- Wchodź! - krzyknął. - Wchodź!

Kobieta uczepiła się materiału i zacząłem ciągnąć. Powoli, kawałek po kawałku -

z dzieckiem na rękę - zbliżała się do dachu cytadeli.

Ledwie jej nogi oderwały się od ziemi, inkaski wojownik, który z nią był, został zaatakowany przez kota. Wielki czarny stwór skoczył na niego, ciskając jego ciałem o ścianę cytadeli, i po chwili rozległ się przerażający chrzęst. Mężczyzna zaczął wrzeszczeć jak opętany - rapa pożerał go żywcem.

Ciągnąłem z całej siły, by kobieta i dziecko jak najszybciej znaleźli się w bezpiecznym miejscu.

Kiedy dotarli do krawędzi dachu, kobieta złapała wystający kamień, równocześnie próbując podać mi dziecko. Był to mały chłopiec z wielkimi, przestraszonymi brązowymi oczami.

Usiłowałem trzymać trzy rzeczy naraz: kobietę, dziecko i ubranie. Z przerażeniem dostrzegłem kątem oka, że do dwóch pierwszych kotów dołączyły kolejne.

Jedno ze zwierząt skoczyło w górę i spróbowało złapać kobietę za nogę. Na szczęście w ostatniej chwili uniosła stopę i szczęki kłapnęły powietrze.

- Pomóż mi... - błagała.

- Zaraz was wyciągnę - odparłem. Deszcz smagał mi twarz. Kot pod nami skoczył ponownie w górę, tym razem jednak nie łapał zębami, lecz machnął potężną łapą o pazurach jak kosy. Zaczepił nimi o skraj ubrania i ku swemu przerażeniu poczułem, że materiał napina się pod jego ciężarem.

- Nie! - wrzasnęła kobieta, czując, że kot próbuje ściągnąć ją w dół.

- O Boże... - jęknąłem.

W tym momencie kot szarpnął silniej i choć kobieta mocniej zacisnęła dłoń na mojej, nic to nie dało, bo zwierzę było za ciężkie, ciągnęło zbyt mocno.

Kobieta krzyknęła po raz ostatni i wyslizgnęła się z mojego uchwytu. Z dzieckiem na rękę spadła za krawędź i zniknęła mi z oczu.

Wtedy zrobiłem coś niewyobrażalnego.

Skoczyłem za nią.

Do dziś nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może powodem był sposób, w jaki chroniła dziecko, może strach na jej twarzy.

Może chodziło o to, że była taka piękna. Nie wiem.

Wylądowałem mało heroicznie w kałuży pod cytadelą. Kiedy plasnąłem w wodę, twarz opryskało mi brązowe błoto, oślepiając mnie.

Natychmiast starłem błoto z oczu.

Ujrzałem siedem rapa, stojących w ciasnym półkolu i wpatrujących się we mnie zimnymi, żółtymi ślepiami.

Serce waliło mi głośno. Nie miałem pojęcia, co robić.

Kobieta i dziecko stali tuż przy mnie. Wysunąłem się krok do przodu

i wrzasnąłem do potworów przed nami:

- Idźcie sobie, mówię! Idźcie sobie!!!

Z kołczanu na plecach wyjąłem strzałę i zacząłem nią machać przed nosami kotów.

Zwierzęta zdawały się nie zwracać na mnie najmniejszej uwagi.

Coraz bardziej zacieśniały krąg.

Muszę przyznać, że choć już z dachu wyglądały na duże, w rzeczywistości były znacznie większe. Były czarne, ogromne i silne.

Nagle najbliższy kot machnął przednią łapą i złamał strzałę w mojej dłoni. Potem opuścił łeb, zawarczał na mnie, sprężył się do skoku i w tym momencie...

...coś z głośnym pluskiem spadło w kałużę po mojej prawej ręce.

Obejrzałem się.

W błocie leżał Idol.

Idol Renca.

Zawirowało mi w głowie. Co tu robił ten posązek? Dlaczego ktoś akurat teraz rzucił go w tę kałużę?

Spojrzałem w górę i zobaczyłem wychylonego przez krawędź Renca. To on rzucił mi Idola!

Zaraz potem stało się coś dziwnego.

Zamarłem.

Takiego dźwięku nie słyszałem jeszcze nigdy w życiu.

Był cichy, ale przenikliwy. Przecinał powietrze jak nóż, zagłuszał plusk deszczu.

Przypominał dźwięk lekko trąconego dzwonu, wysokie buczenie.

MMMMMMMMMM...

Rapa też go usłyszały. Zwierzę, które jeszcze przed sekundą szykowało się do ataku, znieruchomiało nagle i patrzyło z ogłupiałym zdziwieniem na posązek, leżący w połowie pod wodą w kałuży tuż obok mojej nogi.

A po chwili wydarzyło się coś jeszcze dziwniejszego.

Sfora rapa zaczęła się cofać. Koty odsuwały się od Idola.

- Alberto... - powiedział cicho Renco. - Poruszaj się bardzo powoli. Bardzo powoli. Podnieś Idola i idź do drzwi. Zaraz ktoś wpuści cię do środka.

Wykonałem to polecenie co do joty.

Mając kobietę i dziecko u boku, podniosłem mokrego Idola i mocno przyciskając plecy do muru cytadeli, powoli zaczęłem przesuwając się ku wejściu.

Rapa szły za nami w pewnej odległości, zahipnotyzowane melodyjną pieśnią Idola.

Po chwili wielka kamienna płyta odsunęła się na bok i wśliznęliśmy się do środka cytadeli. Kiedy zamknięto wejście, padłem na podłogę. Nie mogłem oddychać, byłem

przemoknięty, drżałem na całym ciele i nie miałem pojęcia, jak to możliwe, że jeszcze żyję. Renco zbiegł do nas z dachu.

- Lena! - krzyknął, kiedy zobaczył kobietę. - Mani! - dodał, biorąc chłopca na ręce.

Leżałem wycieńczony na podłodze, obojętny na wszystko, co się wokół mnie działo.

Nie, jednak nie na wszystko...

Przyznaję to teraz ze wstydem, ale poczułem wtedy ukłucie zazdrości. Ta zachwycająco piękna kobieta była bez wątpienia żoną młodego księcia.

- Wujek Renco! - krzyknął malec, kiedy mój przyjaciel go podniósł.

Wujek...?

Moja głowa gwałtownie poderwała się do góry.

- Bracie Alberto - powiedział Renco, podchodząc do mnie. - Nie mam pojęcia, w jaki sposób chciałeś sobie poradzić z tymi wszystkimi rapa tam na dole, ale moi rodacy mówią: „Liczy się nie tyle dar, a zamiar, z jakim jest dawany”, dziękuję ci. Dziękuję ci za uratowanie życia mojej siostrze i jej synowi.

- Twojej siostrze... - Wbiłem wzrok w kobietę, zdejmującą przemoczony płaszcz, spod którego ukazała się krótka tunika.

To, co ujrzałem, sprawiło, że zaschło mi w gardle.

Była jeszcze piękniejsza, niż wydawało mi się na początku - jeśli to w ogóle możliwe. Miała może dwadzieścia lat, łagodne oczy, gładką oliwkową skórę i falujące ciemne włosy.

Miała też długie, szczupłe nogi, delikatnie umięśnione ramiona, a przez przemoczony materiał sukienki widać było kształtny biust i - ku memu wielkiemu zażenowaniu - sterczące sutki.

Kiedy Renco owinął ją suchym kocem, uśmiechnęła się do mnie, a ja poczułem, że miękną mi kolana.

- Bracie Alberto Santiago - powiedział z powagą Renco. - Oto moja siostra Lena, pierwsza księżniczka imperium Inków.

Lena podeszła i ujęła moje dłonie w swoje.

- Poznać ciebie to dla mnie wielki zaszczyt - powiedziała z uśmiechem. - Dziękuję ci za twój odważny czyn.

- Och... to nic wielkiego - odparłem, pąsowiejąc.

- Dziękuję także za uwolnienie mojego żądnego przygód brata z więziennej celi, mój bohaterze - dodała, a widząc moje zaskoczenie, wyjaśniła: - Wieść o twoim szlachetnym czynie rozeszła się po całym imperium.

Skromnie skłoniłem głowę. Spodobało mi się, że nazwała mnie „swoim bohaterem”. Nagle coś sobie przypomniałem i odwróciłem się do Renca.

- Skąd wiedziałeś, że Idol będzie miał taki wpływ na rapa - zapytałem.

Renco popatrzył na mnie.

- Jeśli mam powiedzieć prawdę, to nie wiedziałem.

- Co?!

Renco roześmiał się.

- Bracie Alberto, to nie ja skoczyłem z bezpiecznego dachu, aby ratować kobietę i dziecko, których nie znam. - Objął mnie ramieniem. - Ludzie powiadają, że Duch Ludzi ma zdolność uspokajania dzikich bestii. Nie widziałem tego nigdy na własne oczy, ale słyszałem, że zmoczony Idol uspokoi nawet najbardziej rozszalałe zwierzę. Kiedy obudziły mnie twoje krzyki i zobaczyłem was otoczonych przez rapa, uznałem, że to dobra chwila, aby sprawdzić, czy tak jest w istocie...

Pokręciłem ze zdziwieniem głową.

- Renco, muszę ci przeszkodzić, ale przybywam z ważną wiadomością - przerwała bratu Lena.

- Z jaką?

- Hiszpanie wzięli Royę, nie mogą jednak odczytać totemów. Po znalezieniu każdego następnego wysyłają tropicieli Chanka, by szukali waszych śladów. Ponieważ jestem jedną z niewielu osób, które znają kod totemów, kiedy zjadacze złota złupili Paxu i Tp wysłano mnie tutaj, żebym powiedziała ci o ich zbliżaniu. Dowiedziałam się, że spalili do szczytu Royę. Złapali twój trop, Renco. Idą tutaj.

- Ile mamy czasu? Twarz Leny zachmurzyła się.

- Idą szybko, bracie. Bardzo szybko. Moim zdaniem dotrą tu o świcie.

- Znalazł pan coś? - spytał nagle zza pleców Race'a Frank Nash.

Podniósł wzrok znad manuskryptu i ujrzał Nasha, Lauren, Gaby i Kraussa. Stali w drzwiach samochodu i patrzyli na niego wyczekująco. Było późne popołudnie i z powodu wiszących na niebie burzowych chmur zaczynało się już mocno ściemniać.

Race popatrzył na zegarek.

16.55.

Cholera.

Nie zdawał sobie sprawy, że czytał tak długo.

Wkrótce zapadnie zmrok, a wraz z ciemnością pojawią się rapa.

- No i? Znalazł pan coś? - powtórzył Nash.

- Eee... - zaczął Race. Manuskrypt tak go wciągnął, że niemal zapomniał, po co go czytał - aby znaleźć wskazówkę, jak można by pokonać rapa i zapędzić je z powrotem do świątyni.

- Więc? - naciskał Nash.

- Z manuskryptu wynika, że wychodzą jedynie w nocy albo wtedy, gdy jest dość ciemno...

- Co wyjaśnia, dlaczego były aktywne w kraterze - wtrącił Krauss. - Nawet w dzień jest tam tak ciemno, że...

- Wygląda też na to, że wiedzą, iż osada jest dobrym źródłem pożywienia - powiedział Race, przerywając Kraussowi, zamilkł. Niemiec znacznie usprawiedliwić swój poprzedni błąd, który kosztował życie trzech żołnierzy. W manuskrypcie są dwa opisy ich ataku na ludzi.

- Jest coś na temat tego, jak znalazły się w Świątyni?

- Tak. Zostały tam umieszczone przez pewnego myśliciela, który chciał uczynić ze Świątyni sprawdzian ludzkiego charakteru... chodziło o uleganie chciwości. - Race popatrzył na Nasha i dodał: - Chyba go nie zdaliśmy.

- Czy jest coś o tym, jak można je pokonać?

- Jest mowa nawet o dwóch rzeczach. Pierwsza to małpi mocz. Podobno wszystkie koty nienawidzą jego zapachu. Należy się nim nasmarować i rapa będą trzymać się z daleka.

- A druga? - spytała Lauren.

- Santiago opisał to jako dźwięk, przypominający dźwięk trąconego dzwonu... wydaje się, że działa on na tej samej zasadzie co psi gwizdek - przez drgania wysokiej częstotliwości, które wpływają na zwierzęta, a na ludzi nie. Inkowie prawdopodobnie o tym wiedzieli, bo manuskrypt wspomina, że wierzyli, iż zanurzony w wodzie Idol może uspokoić najgroźniejszą bestię.

Nash popatrzył pytająco na Lauren.

- Pewnie chodzi o rezonans - powiedziała. - Kontakt ze skoncentrowanymi cząsteczkami tlenu w wodzie może powodować, że tyr rezonuje - tak samo jak inne pierwiastki promieniotwórcze przy kontakcie z tlenem zawartym w powietrzu.

- Ale to by musiało się dziać w znacznie większej skali... - mruknął powątpiewająco Nash.

- Z tego właśnie powodu mnich słyszał buczenie. Ludzie nie słyszą rezonansu, powstającego na przykład przy kontakcie plutonu z tlenem, bo częstotliwość jest zbyt niska. Ponieważ jednak tyr jest o rząd wielkości gęstszy od plutonu, możliwe, że przy jego kontakcie z wodą rezonans jest znacznie mocniejszy i człowiek może go słyszeć.

- A jeżeli mnich go słyszał, to dla kotów ten dźwięk musiał być wielokrotnie głośniejszy - stwierdził Krauss. Wszyscy popatrzyli na niego.

- Pamiętajcie państwo, że koty mają słuch mniej więcej dziesięć razy wrażliwszy niż ludzie. Słyszą rzeczy, których my nie jesteśmy w stanie usłyszeć, i komunikują się ze sobą na częstotliwościach wykraczających poza nasze możliwości słyszenia.

- Koty komunikują się ze sobą? - zdziwiła się Lauren.

- Tak. Od dawna wiadomo, że wielkie koty porozumiewają się ze sobą za pomocą warknięć i gardłowych wibracji o częstotliwościach dla naszego ucha niedostępnych. Mówiąc krótko: to, co słyszał mnich, było prawdopodobnie tylko jedną dziesiątą tego, co słyszały koty. To buczenie musiało doprowadzać je do szału - dlatego nie atakowały.

- To jeszcze nie wszystko - wtrącił Race. - Koty nie tylko nie zaatakowały, ale po tym, jak mnich wyjął Idola z wody, zdawały się za nim podążać. Jakby je przyciągał czy może nawet zahipnotyzował.

- Czy manuskrypt mówi coś o tym, jak posążek znalazł się we wnętrzu Świątyni? - spytał Nash.

- Nie - odparł Race. - Przynajmniej jak na razie. Kto wie, może Renco i Santiago zmoczyli potem jeszcze raz Idola i użyli go do wprowadzenia kotów z powrotem do Świątyni? Cóż, niezależnie od tego, co zrobili, udało im się zwabić rapa do środka i równocześnie umieścić tam posążek... - Race przerwał, ale po chwili dodał: - To wcale nie jest pozbawione sensu. Umieszczając Idola w Świątyni, dorzucili kolejny element do sprawdzianu Solona, dotyczącego ludzkiej chciwości.

- Te koty... - powiedział z namysłem Nash - według manuskryptu są stworami nocnymi, tak?

- Lubią wszelkie rodzaje ciemności, nocną i inne. Chyba można powiedzieć, że są nocne.

- I jest tam napisane, że co noc wychodzą na żer?

- Tak.

Nash zmrużył oczy.

- Czyli możemy założyć, że co noc opuszczają krater, by zapolować?

- Sądząc z manuskryptu, jest to dość uzasadnione założenie.

- To doskonale.

- Dlaczego?

- Ponieważ kiedy wyjdą ze Świątyni dziś w nocy, wejdziemy tam po Idola.

Z minuty na minutę coraz bardziej się ściemniało. Wysoko w górze gromadziły się czarne burzowe a zimne popołudniowe powietrze powodowało powstawanie gęstej, szarej mgły. Padał drobny deszcz.

Race usiadł obok Lauren i patrzył, jak pakuje sprzęt, który zamierzała zabrać na nocną wyprawę do cytadeli.

- Jak ci służy życie w małżeństwie? - spytał po chwili.

- To zależy w którym.

- A było więcej niż jedno?

- Moje pierwsze małżeństwo nie bardzo wyszło. Okazało się, że on nie podzielał moich ambicji zawodowych. Rozwiędliśmy się jakieś pięć lat temu.

- O!

- Ale niedawno znów wyszłam za mąż. Jest wspaniale. Mój drugi mąż jest naprawdę miły. I bardzo podobny do ciebie. Ma też wielkie możliwości.

- Długo jesteście ze sobą?

- Niedługo minie półtora roku.

- To wspaniale - powiedział Race, myśląc jednocześnie o incydencie, którego świadkiem był nie tak dawno - kiedy Lauren i Troy Copeland tak namiętnie całowali się w hueyu. Pamiętał, że fizyk nie ma obrączki. Był kochankiem Lauren, czy mężem i tylko nie nosił obrączki?

- A ty się nie ożeniłeś, Will? - spytała Lauren, wrywając go z zamyślenia.

- Nie. Nie ożeniłem się.

- Właśnie przychodzi raport SAT-SN - powiedział Van Lewen, siedzący przy komputerze, zamontowanym na bocznej ścianie samochodu terenowego.

On, Cochrane, Reichart, Nash i Race siedzieli teraz razem z dwojgiem niemieckich agentów - Schroederem i Renee Becker - w środku ośmiokątowego pojazdu. Stał on teraz blisko łączki, niedaleko zachodniego mostu przerzuconego przez fosę i błotnistej ścieżki, prowadzącej do pęknięcia w skale, i czekał na rozpoczęcie ataku na Świątynię.

Lauren opuściła pojazd już jakiś czas temu - i szła w kierunku cytadeli razem z Johannem Kraussem.

Buzz Cochrane również wyszedł i wrócił do transportera z garścią śliskiej, jasnobrazowej brei. Jej smród w zamkniętej przestrzeni samochodu był niemal nie do wytrzymania.

- Nie ma tu ani jednej małpy, którą mógłbym złapać i wycisnąć z niej mocz - stwierdził. - Podejrzewam, że uciekają stąd przed zmrokiem. Ale udało mi się znaleźć to... - Podniósł wyżej dłoń z breją. - Małpie gówno. Pomyślałem, że będzie tak samo dobre.

Race jęknął.

- Co jest? - spytał Cochrane. - Nie chce się pan nasmarować gównem? - Popatrzył na Renee i uśmiechnął się złośliwie. - Chyba mamy szczęście, że to nie profesor wchodzi do środka, co?

Zaczął nakładać małpie odchody na swój mundur. Reichart i Van Lewen zrobili to samo. Wysmarowali także krawędzie wąskich jak strzelnice okienek transportera.

Kiedy Race czytał manuskrypt, Nash kazał cywilom założyć w cytadeli bazę operacyjną. Gdy to robili, Zielone Berety starały się naprawić hueya. Niestety udało im się coś zrobić jedynie z zapłonem. Naprawa wirnika na ogonie okazała się trudniejsza, w dodatku wyszły na jaw kolejne uszkodzenia i nie było szansy, by helikopter poleciał.

Nash uznał, że najważniejsze w tej chwili jest zdobycie Idola. Odwołał komandosów pracujących przy hueyu i wezwał ich do samochodu terenowego, gdzie Race streścił im fragment z manuskryptu, opisujący działanie mokrego posążka.

Gaby, Copelandowi, Doogiemu i młodemu Niemcowi - Molkemu - Nash kazał zostać w cytadeli.

Oznajmił, że aby jego plan się powiódł, w chwili gdy koty pojawią się w osadzie, większość grupy musi się znajdować w cytadeli - a on wraz z kilkoma komandosami będzie siedział w transporterze, zaparkowanym w pobliżu prowadzącej do Świątyni ścieżki nad rzeką.

Race miał dołączyć do ludzi w cytadeli.

- SAT-SN pobrany - powiedział Van Lewen. - Obraz satelitarny powinien nadejść lada chwila.

- Co z niego wynika? - spytał Nash.

- Niech pan sam popatrzy.

Nash wbił wzrok w ekran. Widniał na nim obraz północnej części Ameryki Południowej.

NARODOWE BIURO ZWIADU ZADANIE NR 040199-6754

WSTĘPNY OBRAZ SAT-SN WSPÓŁRZĘDNE: 82.00OW-30.00OW;
15.00OW-37.00OS DATA: 5 STYCZNIA 1999, 16.59:56 (CZAS LOKALNY-PERU)

- A to co, do jasnej... - wymamrotał pułkownik, marszcząc czoło.

- Przynajmniej najbliższy teren jest czysty - odparł Van Lewen.

- Co to wszystko znaczy? - spytał Race.

- Proste linie oznaczają pięć głównych korytarzy powietrznych w Ameryce Południowej - wyjaśnił Van Lewen. - Panama jest uważana za bramę do kontynentu, stąd odbywają się loty komercyjne do Limy i Rio de Janeiro, a stamtąd dalej na południe, do Buenos Aires. Szare prostokąty oznaczają znajdujące się w naszym kwadracie samoloty, lecące poza korytarzami.

Race popatrzył na ekran: w północno-zachodniej części kontynentu widać było trzy grupki szarych kwadracików.

- Co oznaczają te litery i liczby?

- Szare kółko nad Cuzco - opisane jako NI - to my. Oznacza „Nash Jeden” - nasz oddział tutaj, w tej osadzie. N2, N3 i N4 to nasze helikoptery wsparcia, lecące do Vilcafor z Panamy. Wygląda jednak na to, że mają jeszcze spory kawałek przed sobą.

- A pozostałe szare kwadraty?

- R1, R2 i R3 to helikoptery Romano - odparł Nash.

- Są zbyt daleko na północ - zauważył Van Lewen. - Jak mogli tak bardzo zejść z drogi?

- Zgubili się - odparł Nash. - Musieli źle odczytać totemy. Race znów o mało nie zapytał, kim jest ten Romano, ale ugryzł się w język.

- A te? - spytała Renee, wskazując na trzy kwadraciki nad oceanem, z lewej strony ekranu.

- NY1, NY2 i NY3 to oznakowania Marynarki Wojennej USA - powiedział Van Lewen. - Pewnie mają gdzieś w pobliżu tego miejsca lotniskowiec.

- Nie ma żadnego znaku szturmowców? - spytał Schroeder.

- Nie ma.

Była dopiero piąta, ale przetaczające się po niebie burzowe chmury sprawiły, że popołudniowe niebo stało się bardzo ciemne - jakby zapadła noc.

Nash odwrócił się do Van Lewena.

- Jak jesteśmy z wizją? - zapytał.

- Obrazowanie satelitarne pojawi się za mniej więcej sześćdziesiąt sekund.

- Opóźnione czy w czasie realnym?

- W czasie realnym, na podczerwieni.

- Świetnie. Powinniśmy mieć wyraźny obraz kotów, wychodzących z krateru i udających się do osady. Wszyscy gotowi?

Van Lewen wstał. Buzz Cochrane i Tex Reichart stanęli za nim, przyciskając do piersi swoje M-16.

- Tak jest, sir - odparł Cochrane i rzucił okiem w kierunku Renee. - Wymyć, gotowi jechać i dobrze komuś najebać.

Race aż się skulił.

Cochrane patrzył na drobną Niemkę z arogancką wyższością. Zachowywał się, jakby jego mundur i broń - zaopatrzona w celownik laserowy, miotacz granatów, wyrzutnię haka typu M-203 i latarkę - czyniły z niego Królewicza, Któremu Nie Można Się Oprzeć.

Race nienawidził takiej postawy.

- Schodzi obraz satelitarny - powiedział Van Lewen.

W tym momencie ożył kolejny zamontowany na ścianie monitor.

Obraz był czarno-biały i ziarnisty i z początku Race nie potrafił określić, co przedstawia.

Lewą stronę ekranu pokrywała czerń, a z prawej migotała szara kaszka, obok której znajdowało się coś przypominającego odwróconą spodem do góry podkowę. W środku podkowy widać było szereg kwadracików, a niedaleko jej wierzchołka duże kółko.

Na dole ekranu ciągnął się szeroki pas ciemnej szarości, na którym znajdował się nieduży, pudełkowaty obiekt. Od „pudełka” oddalały się dwie małe białe plamki - podążały w kierunku kółka w podkowie.

Nagle zrozumiał.

Patrzył na Vilcafor!

Podkowiastym kształtem była otaczająca osadę fosa, plamki w niej - chatami i cytadelą. Czernią z lewej strony był skalny płaskowyż ze Świątynią. Rozmazana szara kasza - lasem między płaskowyżem a osadą, natomiast pas ciemnej szarości na dole - rzeką.

Ciemne pudełeczko obok rzeki było transporterem, w którym właśnie siedział - zaparkowanym przy zachodnim moście.

Popatrzył na dwie plamki na środku ekranu, przesuwane się szybko od transportera w kierunku cytadeli. Odwrócił się, wyjrzał przez otwarte drzwi i zobaczył Lauren i Kraussa, biegnących truchtem w stronę cytadeli.

O mój Boże...

Ekran pokazywał - w czasie realnym - obraz Vilcafor, Przekazywany przez znajdującego się kilkaset kilometrów nad Ziemią satelitę. To, co widział na monitorze, działo się tu i teraz.

- Lauren, jesteśmy gotowi. Weszliście? - zapytał przez laryngofon Nash.

- Jeszcze sekundę - rozległ się głos Lauren z interkomu. Widoczne na ekranie dwie białe plamki - Lauren i Krauss - zniknęły w środku koła, oznaczającego cytadelę.

- W porządku. Jesteśmy wewnątrz cytadeli - zameldowała Lauren. - Wysyła nam pan Willa?

- W tej chwili - odparł Nash. - Profesorze, niech pan idzie do cytadeli, zanim zrobi się całkiem ciemno.

- Już idę - powiedział Race i podszedł do wyjścia.

- Sekundę... - zatrzymał go Van Lewen. Wszyscy popatrzyli na niego.

- Co jest? - spytał Nash.

- Mamy towarzystwo - odparł Van Lewen.

Race odwrócił się i ujrzał na ziarnistym obrazie coś nowego.

Z lewej strony podkowy, na szarości, oznaczającej las między osadą a płaskowyżem, pojawiły się białe maźnięcia.

Było ich... szesnaście.

Wszystkie zbliżały się od strony płaskowyżu.

Szesnaście groźnie wyglądających, niewidocznych dla ludzkiego oka białych plamek - każda zakończona kreską-ogonkiem - przesuwało się przez las w kierunku osady.

Rapa.

Grube stalowe drzwi samochodu terenowego przesunęły się w prowadnicach i zatrzasnęły z głośnym tąpnięciem.

- Są za wcześnie - stwierdził Nash.

- To z powodu burzowych chmur - odpowiedział mu głos Kraussa. - Nocne zwierzęta nie używają zegarów, panie Nash, biorą pod uwagę jedynie poziom jasności. Jeśli jest wystarczająco ciemno, wyłażą ze swoich nor...

- Nieważne - mruknął Nash. - Ważne, że wyszły ze Świątyni. - Odwrócił się do Race'a. - Przykro mi, profesorze. Wygląda na to, że zostaje pan z nami. Lauren, zamknij cytadelę.

Lauren i Copeland złapali krawędź wielkiej, trzymetrowej kamiennej płyty zamykającej cytadelę i zaczęli wsuwać ją w wykuty w podłodze rowek.

Kamień był mniej więcej prostokątny, jego dół był jednak zaokrąglony, co pozwalało bez większego trudu przesuwając go wzdłuż rowka. Osadzenie płyty wejściowej w rowku znajdującym się po wewnętrznej stronie murów sprawiało, że nikt z zewnątrz nie miał możliwości wyważenia drzwi i wdarcia się do środka.

Kamienna płyta wsunęła się na swoje miejsce, Lauren i Copeland zostawili jednak - specjalnie - niewielką szparę. Dla realizacji planu ważne było, aby koty odkryły, że w cytadeli są ludzie.

Mieli być przynętą.

Wszyscy w transporterze wpatrywali się uważnie w widoczny a ekranie monitora obraz z satelity.

Koty nadchodziły w dwóch „oddziałach”. Pierwszy zbliżał się bezpośrednio od strony płaskowyżu na zachodzie, drugi okrążał osadę, najwyraźniej zamierzając zająć ją od północy.

Obserwując zwierzęta - jarzące się biało na widzianym w podczerwieni obrazie - i ich powoli zwijające się i rozwijające ogony, Race czuł lodowate dreszcze.

To, na co patrzyli, mogło wytrącić z równowagi każdego człowieka. Sfora dzikich zwierząt działała w przerażająco skoordynowany sposób.

Koty przecinały fosę w różnych miejscach. Jedne przechodziły przez zachodni most, inne skakały miękko na przewrócone pnie drzew, zalegające dno fosy, a z nich bez trudu wskakiwały na przeciwległy brzeg.

Wkrótce były w osadzie.

Większość z nich ruszyła prosto na cytadelę, jakby zapach ludzi przyciągał je niczym magnes.

Nagle na ekranie tuż obok transportera pojawiła się samotna biała plamka.

Race natychmiast odwrócił głowę w prawo i ujrzał wielkie czarne wąsy jednego z kotów za wąziutkim jak otwór strzelniczy okienkiem.

Rapa musiał wyczuć smród małych odchodów, którymi posmarowali krawędź okienka, bo szybko odszedł, by dołączyć do swoich towarzyszy przy cytadeli.

- Doskonale - powiedział Nash. - Wygląda na to, że wszystkie koty idą na

cytadelę. Lauren, co u was?

- Są wszędzie. Chcą wejść do środka, ale dokładnie zamknęliśmy drzwi. Jak na razie jesteśmy bezpieczni. Może pan wysłać chłopaków.

Nash odwrócił się do trójki Zielonych Beretów.

- Jesteście gotowi?

Cała trójka skinęła głowami.

- No to do roboty.

Powiedziawszy to, Nash pchnął do góry włącznik, znajdujący się w tylnej części samochodu terenowego, i Cochrane, Van Lewen oraz Reichart - w hełmach i mundurach pomazanych cuchnącym małym kałkiem - wspięli się na górę i wyszli na zewnątrz. Nash szybko zamknął włącznik.

- Kennedy, jest coś w SAT-SN? - spytał.

- Nie ma niczego w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, sir - odpowiedział mu z cytadeli głos Doogiego.

Kiedy Nash i Doogie rozmawiali, Race uważnie wpatrywał się w przekazywany przez satelitę obraz osady.

Sfory kotów zbierała się wokół cytadeli. Widać było ich wijące się ogony i ostrożne, badawcze ruchy. Na dole ekranu - tuż obok transportera - pojawiły się trzy nowe plamki i zaczęły się szybko przesuwać na zachód. Po chwili przeszły przez zachodni most i powoli oddalały się od osady, kierując się w stronę ciemnego płaskowyżu.

Cochrane, Van Lewen i Reichart.

Szli po Idola.

Trójka Zielonych Beretów biegła przez mgłę, okrywającą nadrzeczną ścieżkę, kierując się do pęknięcia w skale. Każdy z żołnierzy miał na hełmie zamontowaną kamerę.

Po chwili dotarli do skalnego pęknięcia.

Także i ono było otoczone gęstą mgłą, komandosi nie zwolnili jednak i wpadli w szczelinę na pełnej szybkości.

W transporterze Nash, Schroeder i Renee uważnie obserwowali monitory, ukazujące obrazy przekazywane przez każdą z trzech kamer na hełmach komandosów.

Ściany skalnego pęknięcia przemykały na ekranach z ogromną prędkością. Z głośników dolatywało głośnie sapanie biegnących.

Race stał kilka kroków w tyle. Nie chciał nikomu wchodzić w drogę.

Zauważył, że zarówno Nash, jak i dwójka Niemców patrzy jedynie na obrazy przekazywane przez kamery na hełmach. Tak bardzo koncentrowali się na tym, co robią komandosi, że przestali zwracać uwagę na ekran pokazujący obraz osady,

przekazywany z satelity.

Race popatrzył na ten ekran i zmarszczył czoło.

- Hej, a to co? - spytał głośno.

Nash obojętnie odwrócił głowę, kiedy jednak jego wzrok zatrzymał się na monitorze, natychmiast zamarł.

- A co to do...

Prawą stronę ekranu - wschodnią część osady - wypełniała szara kasza, przedstawiająca las deszczowy, dochodzący do skraju niziny i dorzecza Amazonki.

Nikt nie zwracał przedtem uwagi na ten rejon, bo niczego tam nie było.

Teraz jednak coś się tam pojawiło.

Szara kaszka była nakrapiana białymi plamkami - przynajmniej trzydziestoma - które szybko przemieszczały się w kierunku osady.

Race poczuł, że krew zastyga mu w żyłach.

Każda plamka miała kształt małego ludzika i każda niosła coś, co musiało być karabinem.

Wychodzili z lasu deszczowego bezgłośnie, każdy mocno przyciskał kolbę pistoletu maszynowego do barku - byli gotowi do rozpoczęcia ognia.

Race i pozostali obserwowali ich w napięciu przez wąskie okienka transportera.

Każdy z intruzów miał na sobie czarny ceramiczny pancerz i taką samą maskę, a na głowie hełm.

Na widok nowego przeciwnika wszystkie otaczające cytadelę rapa odwróciły się jednocześnie. Zwierzęta sprężyły się do skoku, ale...

...z jakiegoś powodu nie zaatakowały.

Pozostały tam, gdzie były, i tylko wpatrywały się w przybyszy.

Jeden z intruzów otworzył do nich ogień z broni, która wyglądała, jakby pochodziła z Gwiezdných Wojen.

Z prostokątnej lufy karabinka szturmowego wyleciała chmara pocisków i trafiła w najbliższej stojącego kota. W ułamku sekundy jego łeb zamienił się w obrzydliwą fontannę rozpryskującego się mózgu, odłamków kości i krwi.

Gdy kolejne zwierzę zostało rozerwane na kawałki przez grad pocisków, pozostałe koty natychmiast zaczęły się wycofywać.

Race wyglądał przez okienko, próbując dokładniej przyjrzeć się broni w rękach napastników.

Karabinki były niezwykle, jakby... kosmiczne.

Kiedy się patrzyło z boku, przypominały wydłużone prostokąty, te miały zaznaczonej lufy. Musiała być ukryta w kanciastym korpusie.

Race widział kiedyś taką broń, tyle że nie w oryginale, a na zdjęciu.

Były to karabiny G-11 firmy Heckler & Koch.

Zdaniem brata Race'a, Marty'ego, G-11 był najnowocześniejszym istniejącym na świecie karabinkiem szturmowym.

Choć został zaprojektowany i skonstruowany w 1989 roku - dziesięć lat temu - nadal o dwadzieścia wyprzedzał obowiązującą technikę. Był świętym Graalem broni palnej.

Jako jedyna broń na świecie strzelała amunicją bezłuskową, posiadał też mikroprocesor - miał go zaś dlatego, że jako jedyna broń ręczna był na tyle skomplikowany, by go potrzebować.

Ponieważ strzelała amunicją bezłuskową, nie tylko mógł mieć niewyobrażalną szybkostrzelność teoretyczną - dwa tysiące trzysta pocisków na minutę - ale można było także załadować do jego obudowy około stu pięćdziesięciu naboju - pięć razy więcej, niż mieści się w magazynku zwykłego karabinka szturmowego, takiego jak na przykład M-16. A był od M-16 o połowę mniejszy!

Jedyną rzeczą, jaka limitowała szerokie rozpowszechnienie G-11, były pieniądze. Pod koniec 1989 roku względy polityczne zmusiły rząd zachodnioniemiecki do rewizji umowy z Hecklerem & Kochem, przewidującej wprowadzenie G-11 do użytku w Bundeswehrze.

Tak więc wyprodukowano jedynie czterysta sztuk G-11. Ale podczas audytu, prowadzonego w ramach przejmowania Hecklera & Kocha przez brytyjską Royal Ordnance, okazało się, że w magazynach znajduje się zaledwie dziesięć sztuk z tej partii.

Pozostałe trzysta dziewięćdziesiąt egzemplarzy zniknęło.

Chyba się właśnie odnalazły, pomyślał Race, patrząc jak rapa pierzchają przed wylewającą się z luf rzeką ołowiu.

- To szturmowcy - powiedział stojący z boku Schroeder.

Kanonada na zewnątrz trwała dalej.

Kiedy padły dwa kolejne koty, pozostałe schowały się w otaczającym osadę lesie.

Na głównej ulicy znajdowali się już tylko szturmowcy.

- Jak oni się tu, do cholery, dostali, niewidziani przez SAT-SN? - spytał Nash.

- I dlaczego koty ich nie zaatakowały? - dodał Race.

Do tej pory rapa zawsze rzucały się na ludzi, teraz jednak nie rzuciły się na nowo przybyłych.

W tym momencie do środka transportera wniknął przenikliwy odór amoniaku. Mocz. Małpi mocz. A więc naziści też czytali manuskrypt.

Nagle w głośnikach odezwał się głos Van Lewena:

- Dochodzimy do linowego mostu.

Race i Nash odwrócili się równocześnie, by spojrzeć na monitor przekazujący obrazy z kamer na hełmach żołnierzy. Widzieli wszystko to, co widział Van Lewen,

biegnąc przez linowy most, prowadzący do Świątyni.

- Cochrane! Van Lewen! Tempo! - rzucił Nash do mikrofonu. - Pojawiły się siły wro...

W tym momencie z głośników doleciał przenikliwy, wwiercający się w uszy pisk i radio Nasha zdechło.

- Użyli elektronicznych środków przeciwdziałania - stwierdził Schroeder.

- Co zrobili? - spytał Race.

- Zagłuszają nas - wyjaśnił Nash.

- I co teraz?

- Musimy zawiadomić Van Lewena, Reicharta i Cochrane'a, że nie mogą tu wracać. Muszą znaleźć Idola i uciekać stąd jak najdalej. Potem muszą jakimś sposobem nawiązać kontakt z oddziałem wsparcia powietrznego i powiedzieć im, by zabrali ich gdzieś z gór.

- A jak pan im to przekaże, skoro nasze radia są zagłuszane? - spytał Race.

- Ktoś z nas musi iść do Świątyni. Zapadła chwila ciszy.

- Ja pójdę - powiedział w końcu Schroeder.

Race pomyślał, że to chyba najlepsze rozwiązanie. Po Zielonych Beretach właśnie Schroeder był najbardziej „wojskową” postacią w ich grupie.

- Nie - sprzeciwił się Nash. - Umie się pan posługiwać bronią i zna pan nazistów znacznie lepiej od nas. Musi pan zostać tutaj. Tak więc pozostawali tylko: sam Nash, Renee i... Race.

O rany, pomyślał Race.

- Zrobię to - oświadczył bez wahania.

- Ale co z... - zaczął Schroeder.

- Byłem na uczelni najszybszy w drużynie futbolowej - przerwał mu Race. - Poradzę sobie.

- Ale co z rapa? - dokończyła pytanie Schroedera Renee.

- Poradzę sobie - powtórzył Race.

- W porządku, niech pan idzie - powiedział Nash i ruszył w stronę kłapy włazu w tyle transportera. - Proszę to wziąć ze sobą - powiedział, podając Race'owi M-16 z pełnym wyposażeniem. - Może dzięki temu nie zostanie pan kocią karmą. W drogę!

Race zrobił krok w kierunku włazu, powoli, głęboko wciągnął powietrze i ostatni raz popatrzył na Nasha, Schroedera i Renee. Potem wypuścił powietrze i pchnął klapę włazu.

Natychmiast znalazł się w zupełnie odmiennym świecie. Wokół dudniło echo kanonady z broni maszynowej, pociski waliły w drzewa, rozłupując pnie. Było znacznie głośniejsze, znacznie bardziej realnie niż wewnątrz transportera. Znacznie bardziej śmiercionośne.

Race słyszał w głowie głośnie bicie swojego serca. Co ja tu, do cholery, robię - do tego z bronią w ręku? - pomyślał zdumiony.

Próbujesz zostać bohaterem - to właśnie robisz, durniu patentowany!

Wziął kolejny głęboki wdech. No dobrze...

Zeskoczył z pojazdu na ziemię, przebiegł zachodni most i zaczął iść biegnącą za fosą ścieżką. Otaczała go nieprzenikniona szara mgła. Poskręcane gałęzie drzew wystawały z niej jak sztylety.

M-16 ciążył mu w rękach i Race, biegnąc, nieporadnie przyciskał broń do piersi. Za każdym krokiem wpadał w wodę. Nagle, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, z mgły po jego prawej ręce wysunął się rapa, sprężył się do skoku i... I BAM!

Łeb kota eksplodował, ogromne zwierzę upadło na ziemię i zaczęło dziko podrygiwać w błocie.

Race nie zatrzymał się - przeskoczył dygoczące w agonii cielsko. Kiedy pokonał tę przeszkodę, odwrócił się na ułamek sekundy i zobaczył wychylonego z transportera Schroedera - z M-16 przytkniętym do ramienia. Pobiegnął dalej.

Minutę później z mgły przed nim wychylnęło skalne pęknięcie. Niemal w tej samej chwili doleciały do niego niemieckie wrzaski:

- Achtung!

- Schnell! Schnell!

We mgle za swoimi plecami usłyszał krzyk Nasha:

- Race, spiesz się! Są za tobą! Kierują się na Świątynię!

Wbiegnął w skalne pęknięcie i pędził dalej.

Wilgotne skalne ściany przemykały do tyłu, rozmazując się w niewyraźne plamy.

Po chwili wypadł do krateru, w którym stała wielka jak drapacz chmur skalna wieża. Także i tutaj mgła była bardzo gęsta. Podstawę wieży spowijała upiorna szara wata.

Nie przejmował się tym. Kiedy tylko dostrzegł z lewej strony wznoszącą się spiralnie ścieżkę, wskoczył na nią i zaczął wchodzić w górę.

Siedząca w transporterze Renee Becker z niepokojem wyglądała przez wąskie okienka.

W osadzie było co najmniej trzydziestu nazistów. Każdy miał na sobie ceramiczny pancerz, lekki kevlarowy hełm taktyczny i czarną maskę, a wszyscy poruszali się jak doskonale przeszkolony i świetnie przygotowany oddział szturmowy.

Jeden z nazistów zatrzymał się na środku ulicy, zdjął hełm, ściągnął czarną maskę i rozejrzał się wokół.

Oczy Renee rozszerzyły się.

Choć z tysiąc razy widziała zdjęcie tego człowieka na różnego rodzaju listach gończych, jego widok w naturze, w tak niewielkiej odległości, sprawił, że dostała

gęziej skórki.

Natychmiast rozpoznała szesane na czoło włosy i podobne do szparek oczy. Dostrzegła także lewą dłoń z czterema palcami.

Patrzyła na Heinricha Anistaze.

Dowódca nazistów pokazał palcami znak V i wskazał transporter.

Kilkunastu uzbrojonych w G-11 ludzi minęło samochód, kierując się w stronę biegnącej wzdłuż rzeki ścieżki, prowadzącej do pęknięcia w skale.

Kolejnych sześciu zbliżyło się do transportera, pozostali zajmowali pozycje obronne w osadzie.

Dwóch żołnierzy stało nieco z boku, osłaniając aparaturę do zagłuszania komunikacji radiowej.

Był to niewielki plecak z urządzeniem zwanym generatorem pulsacyjnym, który zakłócał sygnały radiowe wroga emisją kontrolowanych impulsów elektromagnetycznych.

Urządzenie było dość wyjątkowe. W normalnym przypadku impuls elektromagnetyczny zaburza pracę wszystkiego, w czym jest mikroprocesor - komputerów, telewizorów, urządzeń komunikacyjnych. Tego typu impuls jest określany mianem „niekontrolowanego”. Kontrolowanie częstotliwości impulsu sprawia, że ustawione na pracę na wyższej częstotliwości urządzenia własne mogą działać bez przeszkód.

Dokładnie to właśnie robili w tej chwili naziści - zakłócali pracę urządzeń komunikacyjnych grupy Nasha, jednocześnie bez problemu porozumiewając się przez własne radio.

Sześciu szturmowców podeszło do transportera, w którym zatknano każdą najmniejszą szparkę i zaryglowano każdy właz.

Nash, Schroeder i Renee kulili się w środku pojazdu, każdy w swoim kącie, i wstrzymywali oddech.

Szturmowcy nie marnowali ani chwili.

Wpełzli pod pojazd i zaczęli przyczepiać do podwozia ładunki z materiałem wybuchowym.

Race wciąż biegł.

Wspinał się i wspinał, zataczał koło za kołem na spiralnej ścieżce, pokonywał kolejne metry. Z wysiłkiem zmuszał nogi do pracy. Serce waliło mu jak młotem.

Wreszcie dotarł do mostu linowego. Przebiegł przez niego i pognął w górę kamiennych schodów, prowadzących do Świątyni.

Wpadł pomiędzy gęstwiny paproci i nagle stwierdził, że stoi na polance przed Świątynią. Polana była kompletnie pusta.

Nie było widać na niej żywego ducha - ani człowieka, ani zwierzęcia.

Portal wejściowy był również otwarty - jak wielka, spowita mgłą paszcza.
Prowadzące na dół schody skrywał cień.

NIE WCHODZIĆ POD ŻADNYM POZOREM.

W ŚRODKU CZYHA ŚMIERĆ.

Race wysunął do przodu M-16, zapalił zamontowaną pod lufą latarkę i ostrożnie zrobił krok w kierunku portalu. Wokół miał przerażające rzeźby, przedstawiające rapa i wrzeszczących ludzi. Zrobił jeszcze jeden krok - i zajrzał w ciemność.

- Van Lewen... - zawołał cicho. - Van Lewen... jesteś tam?

Nie było odpowiedzi.

Zszedł krok w dół, trzymając broń przed sobą.

W tym momencie usłyszał przeciągły, basowy pomruk, dochodzący z głębi Świątyni.

Ojoj...

Mocniej ścisnął broń, wstrzymał oddech i zrobił następny krok w dół.

Po kolejnych dziesięciu krokach znalazł się w ciemnym korytarzu o kamiennych ścianach, który odchodził łagodnym skrzywieniem w prawo.

W ścianie zrobiona była nisza - skierował na nią promień latarki.

Ujrzał straszliwie pokiereszowany szkielet.

Czaszka była na potylicy wbita do środka, brakowało jednego ramienia, pozbawione tkanki usta rozwierały się w zamartwym krzyku. Klatkę piersiową okrywały resztki prastarej kamizelki.

Race z przerażeniem cofnął się dwa kroki do tyłu.

W tym momencie zauważył, że coś wisi na szyi szkieletu. Nie było widać dokładnie, co to takiego, bo wiszący na rzemieniu przedmiot zapadł się między kręgi szyjne. Race pochylił się do przodu, dotknął rzemienia i przesunął go wokół zmurszałych kości. Kilka sekund później ujrzał olśniewający zielony szmaragd. Miał wrażenie, jakby serce nagle przestało mu bić. Znał ten wisiorek - niedawno o nim czytał.

Był to naszyjnik Renca.

Naszyjnik, który dała mu arcykapłanka w Coricancha, kiedy przyszedł do Cuzco po Idola.

Race znów popatrzył na szkielet.

Renco...

Zdjął naszyjnik ze szkieletu i zważył go w dłoni.

Pomyślał o młodym księciu i przypomniał sobie zdanie, które nie tak dawno powiedział do Franka Nasha:

„Niezależnie od tego, jak to zrobili, udało im się zwabić rapa do środka i równocześnie umieścić tam Idola”.

Z trudem przełknął ślinę. Czy to Renco - niosąc mokrego Idola - wprowadził rapa z powrotem do Świątyni?

Jeszcze raz popatrzył na zmasakrowany szkielet.

A więc tylko to pozostało z Rence'a.

To właśnie dzieje się z bohaterami.

Zawiesił sobie szmaragd na szyi.

- Uważaj na siebie, Renco - powiedział głośno.

W tym momencie padło na niego jaskrawe światło i Race odwrócił się - z rozszerzonymi strachem oczami, jak złapany przez samochodowe reflektory królik. Stali przed nim Cochrane, Van Lewen i Reichart, którzy właśnie wyszli z ciemnych głębin Świątyni.

Reichart miał w ręku przedmiot owinięty w poszarpaną purpurową tkaninę.

Cochrane podszedł do Race'a i odsunął na bok lufę jego broni.

- Dlaczego nie odłoży pan tego cholerstwa? Może pan kogoś zabić.

Tex Reichart z uśmiechem uniósł do góry trzymany w dłoniach przedmiot.

- Mamy go - oświadczył.

Odwinął materiał i Race po raz pierwszy ujrział Idola.

Najwyższego boga Inków.

Ducha Ludzi.

Tak jak kamienne totemy, które niedawno widzieli w lesie, tak samo Duch Ludzi wyglądał w rzeczywistości znacznie groźniej niż w wyobrażeniach Race'a.

Miał mniej więcej trzydzieści centymetrów wysokości i był wielkości pudełka do butów. Prząd rzeźby był prostokątny, choć miał kształt łba rapa - najwścieklejszego rapa, jakiego Race do tej pory widział.

Szczerzył kły, szeroko rozwierając paszczę, a ostre szpice jego zębów były gotowe wbijać się w ciało ofiary i rozrywać je.

Najdziwniejsze było to, że rzeźba zdawała się żyć. Połączenie wspaniałego kunsztu z niezwykłością kamienia sprawiało, że rapa wyglądał, jak uwięziony wewnątrz błyszczącego czarno-purpurowego kamienia żywy stwór, który próbuje - szaleńczo, gwałtownie - wyrwać się z niego. Cienkie żyłki purpury, biegnące w dół pyska kota, potęgowały jeszcze grozę, emanującą z posążka.

Kamień z kosmosu, pomyślał Race.

Tyr.

Gdyby Inkowie zdawali sobie sprawę z tego, co rozpętają rzeźbiąc tę figurkę...

Reichart szybko zasłonił posążek materiałem i cała czwórka pobiegła do wyjścia ze Świątyni.

- Co tu, kurwa, robisz? - warknął Cochrane do Race'a, gdy tylko doszli do otwartego portalu.

- Nash mnie do was przysłał, żebym wam powiedział, że w osadzie są naziści. Zagłuszyli nasze radia, więc nie można było zawiadomić was z dołu. Ich ludzie idą tu na górę. Nash kazał wam przekazać, że macie nie wracać do osady. Musicie odejść stąd jakąś inną drogą, nawiązać kontakt z oddziałem wsparcia powietrznego i kazać im się zabrać gdzieś z gór.

W tym momencie o kamienne ściany nad ich głowami załomotał grad pocisków z broni automatycznej. Cała czwórka pochyliła się błyskawicznie, gdy framugę portalu przecięła linia pocisków, krusząc masywny kamień, jakby to był gips.

Race rozejrzał się szybko - między drzewami na skraju polany stało kilkunastu szturmowców i pluło ogniem ze wszystkich luf.

Cochrane odpowiadał im ogniem z głębi portalu. To samo robił Van Lewen. Ale trzask ich M-16 brzmiał niemal żałośnie na tle bezlitosnego dudnienia ultranowoczesnych G-11.

Race również próbował zacząć strzelać, kiedy jednak pociągnął za spust, nic się nie wydarzyło.

Cochrane popatrzył na niego, wyciągnął rękę i szarpnął dźwignię bezpiecznika.

- Jezu, człowieku, jesteś tu tak na miejscu jak ksiądz w burdelu... - jęknął.

Race znów pociągnął za spust i tym razem z lufy jego karabinka poleciał strumień kul, a kolba o mało nie wybiła mu ramienia.

- Co robimy?! - przekrzyczał odgłosy strzelaniny Reichart.

- Nie możemy tu zostać! - odkrzyknął Van Lewen. - Musimy dostać się do mostu lino...

W tym momencie nad ich głowami rozległo się głośnie, rezonujące WAWUMMM!

Race spojrział w górę - z mgły w górze wystrzelił czarny lekki helikopter szturmowy MD-500 Mosquito i przemknął z rykiem nad szczytem wieży.

Mosquito to mały, zwinnie helikopter atakujący - znacznie mniejszy niż apache czy comanche, ale to, czego brakuje mu w porównaniu do tych dwóch w zakresie siły ognia, nadrabia z nawiązką prędkością i możliwościami manewrowania. Przydomek maszyny wziął się z jej podobieństwa do przedstawicieli świata owadów. Kabina mieści się w przedzielonym w połowie pionową listwą szklanym bąblu, przypominającym oczy pszczoły, a dwie patykowate podpory do lądowania wyglądają jak nogi moskita.

Helikopter nad ich głowami puścił z obu zamontowanych pod kadłubem działek długie serie, które wyorały w ziemi przed Świątynią dwa głębokie, ciągłe zagłębienia.

- Robi się coraz gorzej! - wrzasnął Race.

Ładunki, zamontowane pod stojącym w wiosce transporterem, eksplodowały.

Spod ośmiokołowego pojazdu buchnęły kłęby dymu i wielki pojazd uniósł się na trzy metry w górę. Podczas lotu przekreślił się i spadł z hukiem na bok.

Świat w środku oszalał.

Kiedy Nash, Schroeder i Renee usłyszeli, że naziści zaczynają zakładać ładunki, przypinali się pasami do foteli i przygotowali na najgorsze.

Teraz wisieli na pasach, a cały świat przekreślił się o dziewięćdziesiąt stopni.

Najważniejsze jednak, że pojazd wytrzymał.

Przynajmniej na razie.

Doogie Kennedy wyjrzał ostrożnie przez dach cytadeli.

Choć wszystko w dole spowijała mgła, widział w szarej zupie kilkunastu stojących w regularnych odstępach szturmowców ze skierowaną na zewnątrz osady bronią.

Przed chwilą widział, jak transporter wylatuje w powietrze, i dziękował Bogu, że naziści nie domyślili się, iż w cytadeli również są członkowie oddziału Nasha. Jej ściany nie wytrzymałyby tak potężnego wybuchu.

Nagle doleciał do niego jakiś wrzask. Ktoś wykrzykiwał komendy po niemiecku.

Doogie nie znał niemieckiego, więc nic dla niego nie znaczyły. Wychwycił jednak słowo, które kiedyś słyszał: Sprengkommando

Rozejrzał się przerażony - na komendę zareagowało czterech komandosów. Biegli ku rzece.

Choć nigdy nie uczył się niemieckiego, kiedy wykonywał zadanie w bazie raketowej NATO pod Hamburgiem, zapamiętał trochę podstawowych niemieckich pojęć wojskowych.

Sprengkommando było jednym ze słów, które wtedy poznał. Oznaczało po niemiecku „oddział saperów”.

Schowany za osłoną portalu Van Lewen wystrzelił granat ze swojego miotacza M-203. Sekundę później z kępy drzew przy pozycjach nazistów buchnęła eksplozja, obsypując okolicę błotem i liśćmi.

- Sierżancie! - wrzasnął do niego Cochrane.

- Co jest?!

- Jeśli będziemy tu dalej tkwić, mamy przesrane! Mają za dużą siłę ognia!

Wystarczy, by poczekać w ukryciu, aż skończy się nam amunicja, i zamkną nas w tej pieprzonej Świątyni! Musimy zejść z tej cholernej skały!

- Jestem otwarty na wszelkie propozycje! - odkrzyknął Van Lewen.

- Ty jesteś sierżantem! - odkrzyknął Cochrane.

- No dobra... - Van Lewen zmarszczył czoło. - Jedyne wyjście to most linowy, tak?

- Tak jest! - odparł Reichart.
- Wobec tego musimy jakoś się do niego dostać, prawda?
- Zgadza się.

- Obejdziemy więc Świątynię i dotrzemy do skraju szczytu wieży - powiedział Van Lewen. - Stamtąd przebijemy się przez krzaki do mostu. Przejdziemy przez most i wrzucimy go, zamykając tych palantów na wieży.

- Brzmi jak plan! - zawył radośnie Reichart.
- No to do roboty - powiedział Van Lewen.

Zielone Berety przygotowały się do wyskoczenia z portalu. Race pomyślał, że za wszelką cenę musi się utrzymać tuż za nimi.

- W porządku... - stwierdził Van Lewen. - Teraz!

We czterech wyprysnęli z wejścia do Świątyni i pognali w deszcz, waląc ze wszystkich luf.

Naziści przycupnęli między drzewami i na chwilę przestali strzelać. Van Lewen i Reichart pierwsi skręcili za róg i skierowali się na tył Świątyni.

Po kilku sekundach skręcili za tylny róg - mieli teraz między sobą a nazistami Świątynię - i stwierdzili, że stoją na kamiennej ścieżce, przecinającej błotniste zbocze, ścieżce, w której Race widział przedtem niezwykle okrągły kamień.

Zbocze, całkowicie pokryte błotem, opadało stromo w dół przez jakieś piętnaście metrów i kończyło się małą skalną półką, będącą także krawędzią wieży, za którą zaczynała się stumetrowa przepaść. Z lewej strony półki rosła kępa gęsto zbitych drzew i krzewów, które ciągnęły się aż do linowego mostu.

Cochrane i Race wybiegli z za zakrętu jako drudzy. Natychmiast zobaczyli stromy błotnisty stok.

- Chyba będzie gorzej, niż myślałem - powiedział Cochrane do Van Lewena.

W tym momencie - niczym rekin z oceanu - spoza mgły, kłębiącej się za krawędzią szczytu wieży - wyprysnął mosquito, zawisł dokładnie przed uciekinierami i zaczął wypluwać grad kul z obu podkadłubowych działek.

Cała czwórka rozprysnęła się na boki w poszukiwaniu zasłony.

Tex Reichart okazał się jednak zbyt powolny. Trafiła go cała salwa - kule wbijały się w jego ciało jedna po drugiej, jedna po drugiej - utrzymując go w pionowej pozycji jeszcze długo po tym, gdy już nie żył. Każdy wbijający się w jego ciało pocisk wyrwał mu z pleców fontannę krwi, która rozpryskiwała się gwieździście na mokrym kamieniu za nim.

Buzz Cochrane dostał dwa razy w nogi i darł się wniebogłose. Race bardzo mocno uderzył o ziemię, ale nic mu się nie stało i leżał, zasłaniając uszy przed rykiem działek. Van Lewen nieustraszenie strzelał ze swojego M-16 do helikoptera, aż ten skręcił w bok i odleciał. Wtedy dopiero ciało Reicharta oklapło i padło z głośnym

pluskiem w błoto.

Niestety to Reichart niósł Idola.

Kiedy jego ciało uderzyło o ziemię, posążek wypadł z martwych rąk i zaczął ślizgiem zsuwać się w dół stromego zbocza - prosto ku krawędzi...

Pierwszy dostrzegł to Race.

- Nie! - zawył, zanurkował naprzód, wylądował na brzuchu i pomknął po błocie jak strzała.

- Profesorze! Niech pan... - wrzasnął za nim Van Lewen. Race mknął już jednak po błocie, z M-16 w rękach pędził w kierunku Idola.

Trzy metry.

Dwa metry.

Metr...

Nagle mosquito wrócił i o skały załomotała kolejna seria. Pociski wyrywały małe kraterki między Race'em a Idolem.

Race natychmiast odtoczył się kawałek na bok, zasłonił oczy przed pryskającym błotem i tak przesunął ciężar ciała, że choć nadal ześlizgiwał się w dół, oddalał się od linii strzału.

Widział błyskawicznie zbliżającą się krawędź i przepaść za nią, widział unoszący się nad nim helikopter, zjeżdżał jednak zbyt szybko i nagle, zanim zdążył pojąć, co się dzieje, wystrzelił poza krawędź skalnej wieży - prosto w powietrze, sto metrów nad ziemią.

W ostatnim ułamku sekundy wyciągnął rękę i złapał za krawędź.

Kiedy zawisł na jednej ręce nad stumetrową przepaścią, całe jego ciało dygotało.

Ryk helikoptera był ogłuszający, a tworzony przez niego ciąg powietrza uderzał go prosto w głowę. Wyrzucił drugą rękę w górę - cały czas trzymał w niej M-16 - chwycił krawędź i zaczął się podciągać.

Cokolwiek będziesz robił, Will - powiedział sobie - nie patrz w dół.

Popatrzył w dół.

Pionowa skalna ściana tonęła w ciemności. Deszcz leciał prosto w mrok, w nieprzeniknioną dla wzroku szarą mgłę.

Race stęknął z wysiłku i podciągnął się na tyle, by oprzeć o półkę łokcie. Kiedy się rozejrzał, Van Lewen właśnie zniknął między drzewami - z Cochrane'em na plecach.

Zobaczył także nazistów - dwunastu uzbrojonych w G-11 ludzi, wychodzących z obu stron zza Świątyni.

Natychmiast dostrzegł Idola - leżał na boku, w połowie długości błotnistego zbocza.

Szybko zrobili wachlarzyk i pozajmowali pozycje, a jeden z nich zaczął ostrożnie

schodzić po posążek.

Po chwili zatrzymał się przy Idolu i podniósł go.

Race najchętniej by zaklął, nie miał jednak takiej możliwości, bo w tym momencie jeden z nazistów go zobaczył - zwisającego z krawędzi i obserwującego wydarzenia rozszerzonymi strachem oczami.

Szturmowcy jak na rozkaz unieśli karabinki i wycelowali je w jego głowę. Kiedy sięgali do spustów, Race zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

Puścił się.

Spadał.

Bardzo szybko.

W dół skalnej ściany.

Nierówna powierzchnia przemykała przed jego oczami z nieprawdopodobną prędkością. Podniósł głowę i patrzył, jak krawędź coraz bardziej się oddala.

Kręciło mu się w głowie.

To nie do wiary! Tylko spokojnie, tylko spokojnie, zrobiłeś to, ponieważ wiesz, że uda ci się uratować.

Tak jest.

Przekręcił M-16 tak, by karabinek znajdował się przed nim.

Nie zginiesz.

Nie zginiesz.

Próbował przypomnieć sobie, jak Van Lewen wystrzeliwał hak. Jak to się robiło? Pociągnął za drugi spust umieszczony pod lufą M-16.

Dalej spadał.

Przyjrzał się broni, gorączkowo szukał drugiego...

Jest!

Natychmiast uniósł M-16 i wycelował w szybko oddalającą się krawędź skały w górze. Z całej siły wbił palec w język spustowy. Z granatnika z głośnym, przypominającym nakłucie balonu odgłosem wystrzelił hak i po chwili rozłożył się z kilkoma ostrymi trzaskami.

Race dalej spadał.

Hak pomknął w górę, nylonowa linka falowała w powietrzu. Race spadał.

Hak minął skraj półki.

Race wciąż jeszcze spadał.

Mocno trzymał M-16. Zamknął oczy i czekał - na szarpnięcie linki albo zderzenie z jeziorem, w zależności od tego, co będzie pierwsze.

Pierwsze było szarpnięcie.

Lina natychmiast się napięła i Race zatrzymał się gwałtownie.

Poczuł się tak, jakby ktoś chciał mu wyrwać ramiona z barków, udało mu się

jednak utrzymać M-16.

Otworzył oczy.

Stwierdził, że wisi jakieś trzydzieści metrów poniżej krawędzi.

Czekał jakieś pół minuty, ciężko oddychając. Zza krawędzi nie wychylił się żaden szturmowiec. Musieli sobie pójść, gdy zobaczyli, że spadł w przepaść.

Odetchnął z ulgą, a potem zaczął wciągać się na szczyt.

Na górze Van Lewen przebijał się przez gąszcz, używając noża bowie jako maczety.

Chwilę przedtem widział, jak naziści przejęli Idola, i rozpaczliwie próbował dotrzeć do mostu linowego przed nimi.

Musiał dojść do południowej części wieży. Powoli przesuwiał się w tę stronę z rannym Cochrane'em na plecach przez południowo-zachodnią flankę.

Naziści szli krótszą drogą, przez polaną i kamienne schody.

Van Lewen ściał ostatnią gałąź i ujrzał most linowy, spinający otchłań między skalną wieżą a ścieżką na wewnętrznej ścianie krateru.

Most był jakieś piętnaście metrów od nich, ale właśnie przechodziło przez niego kilkunastu szturmowców, którzy atakowali ich przy wejściu do Świątyni. Zbliżali się już do ścieżki po drugiej stronie.

- Cholera, pomyślał Van Lewen. Wyprzedzili nas! Wbił wzrok w jednego z nazistów, który właśnie stanął na pewnym gruncie za mostem. Niemiec trzymał coś pod pachą - coś okrytego poszarpaną purpurową materią.

Idol! Cholera!

A potem naziści zrobili to, czego Van Lewen najbardziej się obawiał - to samo, co on sam miał zamiar zrobić, gdyby dotarł do mostu pierwszy.

Odwiązali liny podtrzymujące od pali i pozwolili całej konstrukcji opaść w dół.

Plątanina lin zaczęła spadać w przepaść. Ponieważ jednak przymocowana była do pali po drugiej stronie, nie spadła całkiem, ale przykleiła się do skalnej ściany. Liny, którymi można było wciągnąć most z powrotem, zawisły daleko w dole, w nieprzeniknionej mgle.

Van Lewen wpatrywał się w bezradnej rozpacz w grupę oddalających się nazistów, niosących ze sobą rzeźbę.

Zdobyli Idola.

A on utknął na kamiennej wieży.

Heinrich Anistaze stał na środku Vilcafor z opartymi na biodrach rękami. Był bardzo zadowolony z przebiegu akcji.

Generator impulsów elektromagnetycznych zadziałał idealnie, przerywając całą

komunikację radiową wroga. Amerykanie w transporterze zostali bez trudu zneutralizowani. A teraz dowiedział się, że oddział szturmowy odebrał Idola Amerykanom na wieży.

Sprawy szły naprawdę dobrze.

Ktoś krzyknął i Anistaze odwrócił się. Zobaczył wracających z wieży ludzi - właśnie wychodzili ze skalnego pęknięcia.

Dowódca grupy natychmiast podszedł do niego i podał zawinięty mu w materiał posążek.

- Herr Obergruppenführer - powiedział słuźbiście. - Idol.

Anistaze uśmiechnął się.

Kiedy Race'owi udało się wspiąć po linie haka na skalną półkę, pobiegł przez pustą teraz polanę przed Świątynią, by sprawdzić, czy któryś z komandosów jeszcze żyje.

Znalazł Van Lewena i Cochrane'a przy palach, które jeszcze niedawno podtrzymywały most linowy.

- Skurwiele - syknął, kiedy zobaczył przed sobą ziejącą pustkę. - Odcieśli most...

- Nie ma jak się stąd wydostać - powiedział ponuro Van Lewen. - Utknęliśmy tu.

W tym momencie znów pojawił się mosquito i zaczął ich ostrzeliwać z obu działek. Naziści musieli kazać pilotowi dokończyć robotę.

Race i pozostała dwójka natychmiast zanurkowali w krzaki. Nad ich głowami zaczęły eksplodować liście, pnie roztrzaskiwały się na kawałki.

- Jasna cholera! - wrzasnął Cochrane, przekrzykując łoskot. Race popatrzył na unoszący się nad przepaścią helikopter, na długie jęzory ognia, wypluwane z bliźniaczych luf, i monstrualne „nogi” pod kadłubem.

Wsporniki...

W tym momencie poczuł, że ogarnia go jakiś rodzaj gorączkowej determinacji, której istnienia nigdy w sobie nie podejrzewał.

- Van Lewen! - krzyknął.

- Co jest?

- Zmusz ten helikopter, żeby podniósł się trochę wyżej, ale nie przełoń go.

- Co pan zamierza?

- Ściągnąć nas z tej skały!

To wystarczyło Van Lewenowi. Sekundę później wyskoczył zza krzaków i puścił serię w kierunku czarnej maszyny.

Mosquito wzniósł się nieco w górę i odpowiedział kolejną salwą. Race w pośpiechu odwijął linkę haka. Popatrzył na helikopter.

- Jeszcze wyżej! Jest za nisko! Przez chwilę oceniał dystans.

Maszyna znajdowała się za blisko, by mógł wystrzelić hak. Będzie musiał nim rzucić.

Odwinął jeszcze trochę linki i trzymał ją luźno, żeby w trakcie rzutu się nie poplątała.

- Cochrane! Możesz się huścić z tymi ranami?

- A jak sądzisz, Einsteinie?

- W takim razie na nic mi się nie przydasz. Zostajesz tutaj. Van Lewen! Oslaniaj mnie!

Kiedy Van Lewen puścił kolejną serię w kierunku helikoptera, Race wybiegł z krzaków z hakiem w rękę i płynnym ruchem rzucił nim spod dłoni w kierunku lewej płozy mosquito.

Już w chwili gdy hak opuszczał jego dłoń, czuł, że idealnie wyważył rzut.

Hak poszybował w powietrzu i osiągnął najwyższy punkt lotu tuż nad płozą helikoptera, po czym z głośnym, metalicznym szczęknięciem opadł, a linka dwa razy owinęła się wokół płozy.

- W porządku, Van Lewen. Ruszamy!

Van Lewen puścił ostatnią serię w helikopter, po czym dołączył do Race'a na skraju skały.

- Łap! - krzyknął Race i rzucił sierżantowi swój M-16. Van Lewen przyjrzał mu się uważnie.

- Jest pan odważniejszy, niż większość ludzi mogłaby sądzić - stwierdził.

- Dzięki.

Odepchnęli się mocno od krawędzi i wisząc na płozie szturmowego helikoptera, zaczęli przelatywać eleganckim łukiem nad szeroką, stumetrowej wysokości, przepaścią.

- A to skurwiel... - mruknął z podziwem Buzz Cochrane, patrząc, jak mkną w powietrzu.

Race i Van Lewen opadli na ścieżkę po drugiej stronie przepaści - na stopy. Race szybko odpiął linkę haka od swojego M-16 - dzięki temu mógł zatrzymać karabin.

Pilot helikoptera chyba nie zauważył, gdzie zniknęli - bo zaczął krążyć nad przepaścią, puszczając serie w różne strony.

Tymczasem Race i Van Lewen schodzili już ścieżką do osady.

Heinrich Anistaze przez chwilę trzymał w dłoniach zawinięty w materiał posążek, a potem powoli zaczął go rozwijać, mimo woli wstrzymując oddech.

- O, tak... - wymamrotał, gdy ukazał się błyszczący Idol. - O, tak...

Potem odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku wschodniego mostu.

- Saperzy! - krzyknął. - Ładunki chlorowe założone?

- Jeszcze trzy minuty, Herr Obergruppenführer - odkrzyknął mężczyzna, siedzący przy poobijanym amerykańskim transporterze.

- O trzy minuty za długo! Skończyć je zakładać i spotykamy się przy rzece!

- Tak jest, Obergruppenführer Anistaze wcisnął klawisz radia.

- Herr Oberstgruppenführer? Słyszysz mnie pan? - Rozmawiał ze swoim przełożonym.

- Słyszę - Mamy to.

- Przywieźć do mnie.

- Tak jest, Oberstgruppenführer! Natychmiast - odpowiedział Anistaze, po czym wyłączył radio, przeszedł przez wschodni most i zniknął między drzewami.

Race i Van Lewen biegli spiralną ścieżką w dół.

Wkrótce dotarli na dno krateru i wpadli w skalne pęknięcie. Przebiegli je szybko i popędzili ścieżką wzdłuż rzeki z gotowymi do strzału karabinami. Wszędzie była mgła. Nagle słuchawka w uchu Race'a ożyła:

- ...an Lewen, raport. Powtarzam. Cochrane, Reichart, Van Lewen - raportować.

To był Nash. Ich radia znów działały. Naziści musieli wyłączyć system zagłuszający albo odejść z nim gdzieś dalej. Van Lewen zaczął mówić, nie zwalniając biegu:

- Pułkowniku, tu Van Lewen. Straciliśmy Reicharta, Cochrane jest ranny. Naziści mają Idola. Powtarzam: naziści mają Idola. Jest ze mną profesor Race. Wracamy do osady.

- Straciliście Idola?

- Tak.

- Odzyskać go!

Race i Van Lewen dotarli do zachodniego mostu. Weszli na niego ostrożnie.

Osada była opuszczona, zanurzona we mgle. Nie było widać ani szturmowców, ani rapa.

Nagle ujrzeli przed sobą ciemny kontur przewróconego na bok transportera.

Van Lewen ruszył w kierunku samochodu.

- Pułkowniku...

Odpowiedziano mu ogniem z G-11. To strzelali saperzy, którzy zostali w osadzie, by założyć ładunki chlorowe.

Race zanurkował w lewo, Van Lewen w prawo. Obaj unieśli karabiny, ale i tak nie mogliby ich użyć, bo ściana mgły wszystko zasłaniała.

Race wstał i w tej samej chwili ujrzał wyskakującego zza transportera szturmowca.

Zza pleców Race'a rozległo się głośne BAM! - pojedynczy strzał - i głowa nazisty

odskoczyła do tyłu, trysnęła z niej krew i saper padł na ziemię jak wór.

- A to co ma... - zaczął Race, odwracając się w kierunku, skąd padł strzał.

Z mgły prosto na niego wyskoczył rapa. Wyszczrzył kły i skoczył na...

BAM!

Kot przekręcił się w locie, trafiony z boku w czaszkę. Zginął natychmiast.

Wielkie truchło rąbnęło w ziemię kilka centymetrów przed stopami Race'a.

Co tu się dzieje?!

- Profesorze! - przeciął mgłę głos Doogiego. - Tutaj! Szybko! Będę pana osłaniał!

Mrużąc oczy, Race wpatrywał się w mgłę. Dostrzegł kawałek dachu cytadeli i po chwili zobaczył na jego szczycie postać z przyciśniętym do ramienia karabinem snajperskim. Był to Doogie Kennedy.

Z dachu wielkiej kamiennej fortecy było widać całą osadę.

Przez lunetkę z termowizorem karabinu snajperskiego M-82A1A Doogie mógł widzieć wszystko jak przy najlepszej widoczności. Wszystko ukazywało się w jego lunecie jako kolorowe plamy - sylwetki Race'a, Van Lewena i obu pozostałych niemieckich saperów, trapezoidalny kształt nieemitującego promieniowania cieplnego transportera, kontury kotów.

Koty...

Po odejściu nazistów znów weszły do osady.

Wróciły i szukały nowych ofiar.

Race odwrócił się - Van Lewen stał przy przewróconym pojeździe terenowym.

- Profesorze, niech pan stąd ucieka! - krzyknął sierżant Zielonych Beretów. -

Doogie będzie pana osłaniał! Muszę postawić to na kołach!

Race'owi nie trzeba było mówić tego dwa razy. Natychmiast ruszył biegiem przed siebie przez mgłę. Słyszał za sobą ciche, szybkie plaśnięcia łap o błoto.

Wielkie koty zbliżały się, doganiały go.

BAM-PLASK-KLAP!

Doogie znów strzelił - BAM! - i trafił następnego niemieckiego sapera - PŁASK!
- który zwał się bez życia na ziemię - KLAP!

Przed Race'em pojawił się kolejny rapa. Gdy już miał skoczyć - BAM! - jego łeb eksplodował i ciało kota zaczęło konwulsyjnie drgać. Przez chwilę biło o ziemię - PLAP PLA PLAP PLAP - po czym znieruchomiało.

Race czuł się, jakby błądził w zamglonym labiryncie, prowadzony przez anioła stróża. Parł do przodu - a Doogie usuwał z jego drogi niewidoczne dla niego samego niebezpieczeństwa.

Znów zaplaskały za nim kocie łapy.

BAM.

PŁASK.

KLAP.

Doogie zaklął.

Skończyła mu się amunicja. Kucnął za parapetem i zaczął ładować karabin.

Van Lewen wisiał u podwozia przewróconego transportera i próbował go postawić, choć cały czas zdawał sobie sprawę z tego, że za jego plecami krążą rapa.

- Przenieście się do góry! - zawołał do Nasha i reszty. - Musimy go postawić na koła!

Przesunęli się natychmiast i pojazd zaczął się prostować.

Van Lewen szybko uskoczył. Po sekundzie potężny, czteroosiowy kadłub walnął kołami o ziemię i sierżant pognął ku jego drzwiom. Kiedy Race biegł, nagle zaślona mgły - jak odsłaniająca scenę kurtyna - rozdzieliła się przed nim i ujrzał cytadelę.

Równocześnie usłyszał za sobą trzask odbezpieczanego G-11. Odwrócił się powoli i ujrzał we mgle ostatniego sapera, celującego mu prosto w głowę.

Czekał na znajomy dźwięk wystrzału z karabinu Doogiego, ale nie usłyszał go.

Dlaczego on nie strzela?

W tym momencie usłyszał potworny ryk, który uznał za ryk kolejnego rapa.

Nie był to jednak głos zwierzęcia.

Ryczał silnik.

Z mgły wystrzelił transporter i huknął sapera prosto w plecy.

Szturmowiec upadł na ziemię, zgnieciony przez potężny pojazd. Race musiał uskoczyć, bo samochód jechał prosto na niego. Po chwili, zarzucając na boki, transporter zahamował przed wejściem do cytadeli - tak, że jego lewe przesuwane drzwi znalazły się dokładnie na wprost wejścia do fortecy.

Sekundę później otworzył się właz transportera i na zewnątrz wysunęła się głowa Van Lewena.

- Profesorze, idzie pan czy nie?

Race wskoczył na tył pojazdu i głową naprzód zanurkował we właz. Ledwie znalazł się w środku, sierżant z głośnym tąpnięciem zatrzasnął stalową klapę.

- Mają Idola - powiedział Van Lewen, siedząc na podłodze wolnej sali cytadeli. Otwarte drzwi transportera miał za plecami - między samochodem a zewnętrzną ścianą budowli nie było najmniejszej szpary.

- W dupę kopane... - zakląła Lauren. - Jeżeli wsadzą tyr do działającej Supernowej, to mamy przesrane...

- Co teraz zrobimy? - spytał Johann Krauss.

- Odbijemy Idola - oświadczył Nash.

- Ale jak? - spytał Troy Copeland.

- Musimy natychmiast zacząć ich ściągać - stwierdził Van Lewen. - Teraz są

najślabi. Przyszli tu po Idola i prawdopodobnie zaplanowali przewiezienie go stąd od razu tam, gdzie trzymają Supernową. Podczas akcji polegającej na porwaniu pożądanego obiektu oddział jest najłatwiejszy do zaatakowania, gdy przewozi obiekt w miejsce docelowe.

- Ale skąd wiadomo, gdzie mają bazę?

- Nie może być daleko stąd - oświadczył Race, zaskakując ich wszystkich, ze sobą samym włącznie. - To wynika ze sposobu, w jaki się tu dostali.

- A jak się tu dostali, profesorze? - spytał Copeland.

- Nie wiem tego na pewno, ale kilku rzeczy możemy się chyba domyślić. Po pierwsze, ich środek transportu nie został wykryty przez wasz super-hiper system SAT-SN, a więc nie lecieli. Po drugie, jest najlepszy sposób przetransportowania trzydziestu ludzi przez las deszczowy - pomijając samolot i przejście na piechotę?

- A niech mnie cholera, czemu na to nie wpadłam... - huknęła Lauren.

- Na co? - zdziwił się Copeland.

- Rzeki.

- Właśnie - powiedział Race. - Przypłynęli tu łodzią. A to oznacza, że ich baza operacyjna nie może być zbyt dale... - urwał nagle.

- No więc gdzie jest? - spytał niecierpliwie Nash. - Gdzie mają bazę operacyjną?

Race nie słyszał jednak tego pytania. Właśnie zapaliło mu się w głowie zielone światełko. Baza operacyjna... Gdzie on już słyszał to określenie?

- Profesorze...? - naciskał Nash.

Nie, moment! Już sobie przypomniał - wcale go nie słyszał.

Widział.

Nagle trybiki w jego głowie zaskoczyły.

- Lauren, mamy tu transkrypt rozmowy, w której jest mowa o żądaniu okupu, jaki chcą dostać naziści? Tej przejętej przez BKA rozmowy telefonicznej między Peru a Colonia Alemania?

Lauren natychmiast zaczęła grzebać w swoich rzeczach.

- Mam. - Podała mu kartkę.

Race popatrzył na transkrypt, który wcześniej czytał.

GŁOS 1:...iśmy... ażę operacji... reszta zos... nie... alni...

GŁOS 2:...urządzeniem?...gotowe?

GŁOS 1:...zastosowaliśmy układ klepsydrowy, oparty na amerykańskim... dwa zapalniki termojądrowe, zamontowane nad i pod komorą z tytanowego stopu. Próby wskazują, że... urządzenie...ałać. Teraz potrzebujemy...tyru.

GŁOS 2:...martw się. Anistaze się tym zajmie.

GŁOS 1: Co z komunikatem?

GŁOS 2:...nadany zaraz po tym, jak zdobędziemy Idola... każdego premiera

i prezydenta w Unii...denta Stanów Zjednoczonych przez międzynarodową gorącą linię... okup sto miliardów dolarów... albo zdetonujemy urządzenie...

Skoncentrował się na pierwszej linijce.

GŁOS 1:...iśmy...azę operacji... reszta zos... nie... alni...

- Zos... nie... alni - przeczytał głośno. - Zostanie...alni... w alni... w kopalni... - Popatrzył na Lauren. - Jak nazywała się ta porzucona kopalnia, którą widzieliśmy z hueya w drodze tutaj? Taka oświetlona jak choinka? Wcale nie wyglądała na porzuconą.

- Kopalnia złota Madre de Dios.

- Leży nad rzeką?

- Tak, nad Alto Purus. Niemal wszystkie kopalnie odkrywkowe w rejonie Amazonki leżą nad rzekami, ponieważ można się do nich dostać jedynie hydroplanami i łodziami.

- Jak daleko stąd się znajduje?

- Nie wiem. Sto, może sto dwadzieścia kilometrów. Race odwrócił się do Nasha.

- Tam jadą, pułkownik. Do kopalni złota Madre de Dios. Łodziami.

Heinrich Anistaze przebijał się przez krzaki i parł na wschód, wtedy odsunął ostatnią gałąź, ujrzał wspaniały widok. Las amazoński rozpościerał się przed nim jak bujny zielony dywan, rozciągnięty aż po horyzont.

Niemiec stał na skraju płaskowyżu - na szczycie pionowego, porośniętego krzakami klifu, wznoszącego się nad lasem deszczowym. Po jego prawej ręce spadał w dół wspaniały, mający przynajmniej sześćdziesiąt metrów wysokości wodospad, który stanowił zakończenie pełnej kajmanów rzeki, biegnącej wzdłuż Vilcafor.

Anistaze nie zwracał jednak uwagi na wodospad.

Znacznie ważniejsze było dla niego to, co znajdowało się w dole, na rozlewisku rzeki.

Uśmiechnął się na ten widok.

O, tak...

Trzymając Idola pod pachą, zaczął szybko schodzić po linach, Mieszających się w dół klifu. Spieszył się do rzeki.

- No dobrze - mruknął Copeland. - Ale jak ich złapiemy? Bo teraz mają kwadrans przewagi, a gdyby ktoś zapomniał, na zewnątrz krążą rapa.

- Jeżeli ich łodzie są tam, gdzie myślę, to chyba jest droga, która mogłaby nas do nich doprowadzić... - odparł Race. - Taka, która pozwoli nam ominąć koty.

- Jaka? - spytał Nash.

Race, zamiast odpowiedzieć, opadł na kolana i zaczął wodzić dłońmi po podłodze

cytadeli.

- Co pan robi?

- Szukam czegoś.

- Czego?

Race dokładnie obmacywał podłogę. Jeżeli manuskrypt mówił prawdę, musiało to gdzieś tu być. Pytanie tylko, czy Inkowie użyli tego samego znaku, by to zaznaczyć.

- Tego! - powiedział nagle, jeszcze raz przeciągnął dłonią po podłodze i odsłonił spod cienkiej warstwy piasku i błota kamienną płytę. W rogu płyty był symbol: kółko z wpisanym w nie podwójnym V. - Pomóżcie mi.

Van Lewen i Doogie podeszli do niego, złapali za kamień i zaczęli go podnosić.

Wysuwając się powoli ze swego gniazda, kamień chrobotał głośno. Po chwili ukazała się pod nim czarna dziura.

- To quenko - powiedział Race.

- Co? - spytał Nash.

- Czytałem o tym w manuskrypcie. W skale pod osadą jest wykuty labirynt. Droga ucieczki, system tuneli, prowadzących do dołu wodospadu, spadającego z klifu - jeżeli zna się klucz, który umożliwi poruszanie się nim.

- A pan go zna.

- Znam.

- Skąd? - mruknął drwiąco Troy Copeland.

- Z manuskryptu.

- Więc kto idzie? - spytała Lauren.

- Van Lewen i Kennedy - powiedział Nash. - I każdy, kto umie posługiwać się bronią - dodał, patrząc na niemieckich agentów BKA i spadochroniarza Molkego.

Renee, Schroeder i Molke skinęli głowami. Nash spojrzał na Copelanda.

- A ty, Troy?

- Raczej nie jestem w tym dobry.

- Trudno. Wygląda na to, że idziecie w piątkę...

- Ja umiem się posługiwać bronią - wtrącił Race.

- Że co? - zdziwiła się Lauren.

- Ty? - prychnął Copeland.

- No cóż... niektórymi rodzajami. Brat ciągle coś przynosił do domu. Nie jestem w tym zbyt dobry, ale...

- Sądząc po tym, co profesor zrobił na wieży, z pewnością dotrzyma nam kroku - oświadczył Van Lewen i wystąpił do przodu. Popatrzył na Race'a i podał mu zapasowego SiG-Sauera, a potem odwrócił się do Nasha. - W porządku, sir?

Pułkownik kiwnął głową.

- Róbcie, co musicie, pod warunkiem, że odzyskacie Idola. Nasze wsparcie

powietrzne powinno być tu lada chwila. Kiedy przylecą, pošlę ich za wami. Jeżeli uda wam się jakimś sposobem przejąc posążek i przez jakiś czas trzymać w szachu tych pieprzonych nazistów, oddział wsparcia powinien was niedługo stamtąd wyciągnąć. Jasne?

- Jasne - odparł Van Lewen i złapał mocno M-16. - Ruszamy!

Van Lewen prowadził, pozostali szli za nim wąskim tunelem, wyrąbanym w skale pod Vilcafor.

Sierżant przyciskał kolbę M-16 do ramienia, oświetlając ciasny tunel promieniem przymocowanej pod lufą latarki.

Race, Doogie, Molke i dwójka agentów BKA pospieszali za nim. Doogie i Niemcy też mieli M-16, a Race jedynie srebrnego SiG-Sauera.

Choć trudno było mu się do tego przyznać nawet przed samym sobą, nigdy nie bał się tak, jak w tej chwili - Sam jednak chciał się tu znaleźć - z Van Lewenem, Doogiem i Niemcami. Zamierzał odbić Idola, goniąc nazistów. Chciał coś zrobić.

Quenko nie stanowiło jednak uspokajającej scenerii.

Był to koszmarny podziemny labirynt o mokrej, śliskiej podłodze i tak wąskich korytarzach, że człowiek ciągle ocierał się o ściany.

Ze szpar wpełzały wielkie, włochate pająki, a obrzydliwie tłuste węże prześlizgiwały się pod powierzchnią nieruchomej wody, niemal przewracając raz za razem kogoś z maszerujących. Można było dostać klaustrofobii - każdy mijany korytarz miał nie więcej jak metr szerokości.

Van Lewen szedł bardzo szybko - niemal biegł.

- Skręć w trzeci tunel po prawej - wysapał biegnący za nim Race. - Potem zygzakiem, zaczynając od lewego tunelu.

Kiedy amerykańsko-niemiecka grupka biegła podziemnym labiryntem, Heinrich Anistaze dotarł do podstawy klifu.

Podszedł do brzegu i wsiadł do pontonu marki Zodiac, przeznaczonego do szybkiej jazdy.

Wcisnął klawisz radia.

- Saperzy - raport! Nie otrzymał odpowiedzi.

Wciąż biegli przez quenko.

Pędzili z całych sił, skręcali to w lewo, to w prawo, przebiegali przez pajęczyny, potykali się o dwunastometrowe węże, ślizgali się na omszałej podłodze tuneli upiornego podziemnego labiryntu, z trudem utrzymując równowagę.

- Hej, Van Lewen! - wydyszał Race na jednym z nielicznych dłuższych prostych odcinków.

- Tak?

- Co to jest Klub Osiemdziesiąt?
- Klub Osiemdziesiąt?
- Cochrane wspomniał o tym wczoraj wieczór, kiedy wyładowywaliście helikoptery, ale nie chciał wyjaśnić nic więcej. Chętnie się dowiem przed śmiercią, o co chodzi. Van Lewen zaśmiał się.
- Mogę panu powiedzieć, ale to dość... mało wyrafinowane.
- Spróbuj.
- Jak pan sobie życzy... chodzi o to, że aby zostać członkiem Klubu Osiemdziesiąt, trzeba się przespać z dziewczyną, która urodziła się po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku.
- O rany...
- Mówiłem, że to mało eleganckie.
Biegli dalej.
Biegli już jakieś siedem minut, gdy Van Lewen nagle skręcił za róg i walnął w skalną ścianę. Tyle że to wcale nie była ściana.
Miał przed sobą kamienne drzwi.
Niewiele różniły się od tych, jakie były w cytadeli - była to prostokątna płyta o zaokrąglonej podstawie, umieszczona w rowku w podłodze tak, że bez trudu można było przesunąć ją od środka, a od zewnątrz była nie do ruszenia. Race i Van Lewen odsunęli kamień... - i tunel wypełnił huk spadającego z góry wodospadu.
Ich twarze opryskała drobna wodna mgiełka - niecałe trzy metry przed sobą mieli ścianę wody.
Race rozejrzał się.
Stali na ścieżce - inkaskiej ścieżce - wykutej w skale za wodospadem.
Ryk spadającej wody był niesamowity. Zagłuszał wszystko. Van Lewen musiał się drzeć z całych sił, by reszta go usłyszała.
- Tędy! - wrzasnął i ruszył w lewo.
Skalna ścieżka była mokra i śliska, ale wszystkim udało się na niej utrzymać.
Pobiegli za Van Lewenem, ukryci za wodną kurtyną.
Choć poruszali się naprawdę szybko, dotarcie do jej skraju zajęło im minutę - wodospad był bardzo szeroki, a wyszli z quenko dokładnie pośrodku wodnej płachty.
Van Lewen pierwszy zahamował na błotnistym brzegu.
- Jasna cholera... - wysapał.
Zobaczył motorowy ponton Heinricha Anistaze, wypływający na szerokie rozlewisko, jakie utworzyła tu rzeka.
- Co jest? - spytał Race.
W tym momencie ujrzał to samo, co Van Lewen.
- A niech to jasna cholera... - zaklął.

Mieli przed sobą całą armadę.

Na szerokiej, brązowej rzece musiało być przynajmniej dwadzieścia jednostek pływających. Wokół krążyły łodzie wszelkich możliwych rozmiarów i kształtów.

Flotyllę ochraniało pięć długich, płytko zanurzonych łodzi szturmowych. Były to rigid raidery - smukłe, bezpokładowe aluminiowe jednostki, powszechnie używane do błyskawicznych ataków przez SAS.

W centrum armady, obok większych jednostek, pływały cztery łodzie patrolowe z epoki wietnamskiej, zwane pibberami. Były to superszybkie, dziesięciometrowe łodzie bojowe, opancerzone i wyposażone w zamontowane na wieżyczce działko dwadzieścia milimetrów oraz wyrzutnie torped. Ich przydomek wziął się od skrótu oznaczającego przeznaczenie łodzi - PBR *.

* PBR - Patrol Boat River (ang.) - rzeczna łódź patrolowa (przyp. tłum.)]

Pibbery były doskonale znane ze swoich wyczynów w Wietnamie, a dzięki filmowi Czas Apokalipsy stały się nieśmiertelne.

Wewnątrz kręgu łodzi znajdowały się trzy wielkie barki, służące jako lądowiska dla helikopterów. Na dwóch z nich stały lekkie helikoptery szturmowe Mosquito. Helikopter, który niedawno atakował Amerykanów na szczycie kamiennej wieży, lądował właśnie na trzeciej barce.

Za środkową barką kołysał się na wodzie poobijany mały jednopłat, mocno kontrastujący wyglądem z supernowoczesnymi mosquito. Był to Grumman JRF-5 Goose - kompaktowy, dwusilnikowy hydroplan, używany podczas drugiej wojny światowej.

Grumman Goose to bardzo charakterystyczny samolocik. Z profilu przypomina pysk labradora - krótki i płaski od góry, a zaokrąglony na linii wody. Utrzymuje się na wodzie, płynąc na brzuchu, a pod skrzydłami ma zawieszony pontony stabilizujące. Można do tej maszyny wchodzić na dwa sposoby: przez drzwiczki z boku albo podnoszony właz na nosie.

Ten egzemplarz był nieco „wzmocniony” - na jego lewym boku zamontowano dwulufowe działko pokładowe Gatlinga kaliber 20 mm.

Pośrodku nazistowskiej armady znajdował się cel Heinricha Anistaze - ogromny biały katamaran.

Jednostka dowodzenia.

Łódź wyglądała wspaniale, była niezwykle smukła i miała co najmniej pięćdziesiąt metrów długości. Dwa masywne kadłuby były pomalowane na biało, a ramy skośnych okien na czarno. Na górze kadłuba kręciły się czasy radarów. Na rufowym lądowisku stał biały helikopter Bell Jet Ranger.

Niedaleko helikoptera zacumowano do burty wielkiego katamarana

najobrzydliwszą motorówkę, jaką Race kiedykolwiek widział. Była pomalowana na biało, podobnie jak helikopter i łódź. Wystawała niewiele ponad wodę i miała długi kadłub, zbiegający się w jeden punkt na dziobie. Nad fotelem sternika wznosił się skosem wielki spojler - aby pędząca po powierzchni wody łódź nie uniosła się w powietrze. Z boku kadłuba namalowano nazwę: SCARAB.

Wokół tych wszystkich łodzi krążyło - zostawiając za sobą wąskie wstążki białej piany - sześć skuterów wodnych: małych, jednoosobowych pojazdów atakujących.

Były one jednak znacznie dłuższe od tradycyjnych skuterów wodnych - miały jakieś trzy metry długości. Miały też smuklejsze sylwetki, co oznaczało, że były szybsze. Siedziało się w nich na przypominających siodła miejscach, a w czasie jazdy tak wysoko unosiły zaokrąglone jak rewolwerowe naboje nosy, że muskały wodę jedynie tylną częścią kadłuba, śmigając między większymi łodziami.

Race i jego towarzysze patrzyli, jak zodiac Heinricha Anistaze dobija do jednostki dowodzenia i nazista wchodzi na pokład. Wielki biały katamaran natychmiast zaczął dodawać mocy silnikom. Równocześnie reszta floty zaczęła odpływać.

- Odpływają! - wrzasnął Doogie.

- Tam! - odrzyknął Van Lewen, który zauważył stojące na brzegu trzy porzucone skutery. Musiały należeć do trójki zabitych saperów. - Idziemy!

Cała szóstka ruszyła biegiem.

Powierzchnia wody pędziła do tyłu.

Trzy ukradzione skutery wodne wzbijały w górę fontanny wody, a siedząca na nich sześciuosobowa grupa pościgowa gnała za nazistowską armadą.

Race jechał z Van Lewenem. Race prowadził, komandos siedział za nim - jedną ręką obejmował go w pasie, drugą trzymał gotowy do strzału M-16.

Doogie Kennedy mknął po ich prawej ręce, razem z niemieckim spadochroniarzem Molkem, a Renee i Schroeder po lewej - Renee kierowała, Schroeder miał strzelać.

Nazistowska armada była jakieś trzysta metrów przed nimi i szybko przesuwała się po brązowej rzece. W tym szyku - z jednostką dowodzenia w środku, otoczoną rigid raiderami i pibberami - przypominała klasyczną formację z lotniskowcem.

Trzy barki z lądowiskami dla helikopterów zostały nieco za resztą i chroniły tyły, a małe skutery wodne kręciły się między większymi łodziami niczym muchy wokół kupy odpadków.

Race jechał najszybciej, jak umiał, wiatr i woda smagały go po twarzy. Kątem oka widział rosnące na brzegu drzewa, uciekające w tył i wyglądające jak rozmazana zielona zasłona. Nagle dostrzegł unoszącą się na powierzchni wody zabłąkaną kłodę.

Tylko nie wjedź na kłody, Will. Nie traf w kłody...

Po chwili aż zamrugął.

To nie były kłody.

To były kajmany.

Tylko nie wjedź na kajmany, Will. Nie traf w kajmany...

- Van Lewen! Jaki jest plan?!

- Prosty! Zajmujemy łódź dowództwa, bierzemy Idola i utrzymujemy się na łodzi, aż przyleci wsparcie!

- Zajmujemy łódź dowództwa...

- Jeśli ją zajmiemy, utrzymamy się na niej.

- Skoro tak mówisz...

Armada łodzi przed nimi zniknęła im z oczu za zakrętem. Rzeka Alto Purus wyglądała jak wijący się wąż, niekończąca się seria zawijasów i zakrętów.

- Wszyscy słuchać - powiedział Van Lewen, a laryngofon przekazał jego głos dalej. - Widzicie te drzewa przed nami? Tam jedziemy.

Race spojrział do przodu i stwierdził, że zakręt, za którym właśnie zniknęli naziści, tworzyła gęsta kępa drzew. Kiedy jednak dokładniej im się przyjrzał, zauważył coś dziwnego - u podstawy drzew nie było ziemi. Wyglądały, jakby wyrastały prosto z wody.

Po chwili domyślił się, jaka jest tego przyczyna. Była pora deszczowa, a wody dopływów Amazonki podnoszą się wtedy znacznie i ziemia znika pod wodą - także na obszarach leśnych. Oznaczało to, że komuś, kto porusza się po powierzchni wody na czymś tak małym jak skuter, może udać się przemknąć między drzewami i skrócić sobie znacznie drogę w stosunku do łodzi okrążającej zakręt.

Skuter Doogiego wjechał między drzewa jako pierwszy, tuż za nim wjechał tam Race, na końcu Renee.

Pnie drzew przemykały obok nich po obu stronach, rozmazując się w ciągłą płaszczyznę.

Trzy skutery pędziły przez labirynt ciemnych, grubych pni - skręcały w lewo, pochylały się w prawo, mknęły lekko po falach, a ich długie, płaskie kadłuby ledwie dotykały powierzchni wody. Z lewej strony widać było przez drzewa nazistowską armadę, okrążającą zakręt rzeki.

Race musiał się koncentrować z całych sił.

Poruszali się z ogromną prędkością.

Pnie uciekały do tyłu w zawrotnym tempie. Za skuterami tworzyły się drobne fale. Płynęli tak szybko - tak lekko muskali powierzchnię wody, że wystarczyło najlżejsze dotknięcie rączek kierownicy, a skuter zmieniał kierunek.

Nagle Race zobaczył, że pędzący przed nimi Doogie i Molke pochylają się gwałtownie. Zauważył przeszkodę w ostatniej chwili.

- Van Lewen! Na dół! - wrzasnął i ledwie się skulili, nad ich głowami śmignęła

nisko wisząca gałąź.

- Dzięki! - krzyknął Van Lewen.

- Nie ma za co!

Po chwili przez gęstą zastonę ciemnych pni i liści przebiło się dzieńne światło. Ciężkie, szare, przedwieczne światło.

- Wszyscy słuchać - powiedział Van Lewen. - Formacja w strzałę. Doogie i Molke, prowadzicie, agenci Schroeder i Becker po lewej, my z profesorem kryjemy prawą. W porządku? Gotowi? - zapytał potężny sierżant i uniósł jedną ręką M-16, drugą trzymając się Race'a.

Doogie i Molke w przodzie również unieśli broń.

- Gotów - doleciał ze słuchawek głos Doogiego. Potem po kolei zgłosili się Niemcy:

- Gotów... gotów... gotów.

- Profesorze...?

- Gotów, jak zwykle.

- No to zatańczmy.

Trzy skutery z amerykańsko-niemiecką załogą wyprysnęły spomiędzy drzew w perfekcyjnej formacji „w strzałę” na wysokości nazistowskiej armady i Race zobaczył nagle, że pędzi po wodzie między czterema skuterami szturmowców.

Na widok przybyszy naziści odwrócili się jak jeden mąż - w ich oczach widać było kompletne zaskoczenie. Szybko jednak otrząsnęli się i sięgnęli po broń.

- Doogie! Bierz lewą! - krzyknął Van Lewen i obaj równocześnie puścili serie ze swoich M-16 - w obie strony. Czwórka nazistów została w sekundę zdmuchnięta ze swoich skuterów, a trzy zdobyczne skutery z amerykańsko-niemiecką załogą pomknęły dalej.

Gdy mijali jednego z postrzelonych nazistów, Race ujrzał zbliżające się do unoszących się na wodzie ludzi sfalowane smugi. Kajmany...

W tym momencie wodę po obu stronach ich skutera poszarpały kule z dwudziestomilimetrowego działka i Race natychmiast: otrząsnął się z zamyślenia.

Odwrócił szybko głowę i zobaczył dwie jednostki szturmowe - rigid raidera i pibbera - które zataczały łuk, by znaleźć się za nimi. Działko kalibru 20 mm pibbera strzelało jak wściekłe.

Dodał mocno gazu i skuter wyprysnął do przodu. Siedzący za nim Van Lewen obrócił się na siodełku tak, że siedział teraz plecami do kierunku jazdy. Opuścił karabinek do poziomu i otworzył ogień.

Salwa z M-16 trafiła w obie łodzie - kule rozbiły przednią szybę kabiny pibbera i unieszkodliwiły trzech albo czterech ludzi na pokładzie rigid raidera.

Nagle cała flota skręciła w lewo, w kolejny zakręt na rzece.

- Wszyscy ostro w lewo! - krzyknął Van Lewen.

- W lewo? - zdziwił się Race.

- Znowu przez drzewa! Musimy dotrzeć do łodzi dowodzenia! Od tyłu zajęchały ich następne dwa nazistowskie skutery i znów zostali obsypani pociskami.

Kule latały wszędzie, śmigały Race'owi nad głową i nagle - PŁASK! - z lewego ramienia Doogiego wytrysnęła fontanna krwi. Młody żołnierz został trafiony.

- AAAGGRRR! - doleciał ze słuchawek jego wrzask, jakoś jednak udało mu się utrzymać prędkość skutera.

WUM! WUM! WUM! Trzy zdobyczne skutery wpadły między drzewa - Renee i Schroeder jako pierwsi, Doogie i Molke za nimi, Van Lewen i Race na końcu.

Sekundę później zaczęły ich ścigać dwa skutery szturmowców.

Kule waliły w pnie drzew nad samą głową Race'a. Tuż nad nimi śmigały nisko wiszące gałęzie. Za każdym razem gdy pojawiała się kolejna, Race wrzeszczał do Van Lewena, który cały czas siedział tyłem do kierunku ruchu, i kazał mu się schylać.

Sierżant puszczał długie serie do pędzących za nimi dwóch skuterów, nazistom udawało się jednak chować za drzewami i po kolejnej długiej serii Van Lewenowi skończyła się amunicja.

Widząc swoją szansę, naziści błyskawicznie podjechali do nich.

Jeden ze skuterów zrównał się z nimi i pędził po prawej ręce Race'a.

Szturmowiec wyjął z torby przy siodle glocka i wycelował. Van Lewen - nie mogąc zrobić nic innego - zamachnął się swoim M-16 jak kijem i trafił przeciwnika w rękę, wytrącając mu z niej pistolet. W tym samym momencie z okolicznych drzew, trafionych z G-11, poleciały potężne, odłupane kawały.

Van Lewen i Race natychmiast się skulili, ale zanim się zorientowali, co się dzieje, spomiędzy drzew po lewej stronie wyprysnął drugi nazistowski skuter i staranował ich.

Siła uderzenia o mało nie wyrzuciła Race'a z siodła, ale jakoś udało mu się utrzymać na skuterze. Nie zmniejszając prędkości, skręcił ostro w lewo, aby ominąć kolejny pień. Spojrzał w bok, by sprawdzić, co robi nazista z lewej, i... ..popatrzył prosto w otwór lufy superkarabinu G-11.

Kiedy uniósł nieco wyżej wzrok, ujrzał twarz celującego do niego mężczyzny, nazista uśmiechał się złośliwie, szczerząc z zadowoleniem zęby.

Nagle - TRZASK! - mężczyzna z G-11 wystrzelił z siodła skutera, który na pełnej prędkości huknął w sam środek grubego, czarnego pnia i eksplodował w wielkiej kuli ognia.

Race nawet nie zdążył się temu dobrze przyjrzeć. Wszystko stało się tak szybko... można było odnieść wrażenie, że drzewo przeleciało obok nich, zabierając po drodze

ich przeciwnika.

Drugi nazista - po ich prawej - również odwrócił głowę, by spojrzeć na wybuch. Van Lewen natychmiast wykorzystał to i jednym płynnym ruchem, z M-16 w ręku, przeskoczył na jego skuter i wylądował na siodełku za nim.

Szturmowiec obejrzał się, kompletnie zaskoczony. Van Lewen patrzył na rzekę w przodzie i nagle pochylił się szybko. Nazista odwrócił się do kierunku jazdy i został trafiony przez zbliżającą się z ogromną prędkością gałąź.

Drewno wbiło mu się w nasadę nosa, przeszło przez czaszkę i zabiło go w ułamku sekundy. Martwy szturmowiec przetoczył się po pochylonym Van Lewenie i plasnął o wodę.

Kilka sekund później Van Lewen i Race - na osobnych skuterach - dołączyli do Doogiego i Molkego. Renee i Schroeder nadal płynęli przed nimi.

- Doogie, co z tobą? - spytał Van Lewen.

- Nic mi nie będzie. Kula przeszła czysto na wylot. Podczas gdy Van Lewen sprawdzał stan Doogiego, Race rozglądał się za kolejnymi nazistami. Spomiędzy drzew za nimi nie przyjechali następni, ale przez migające w szaleńczym tempie pnie wdział pędzące równoległe do nich srebrne rigid raidery. Na okładach łodzi stali uzbrojeni naziści i wpatrywali się w zalany wodą las, czekając, aż wróg znów się pokaże. - Słuchać wszyscy - powiedział Van Lewen. - Doogie jest trafiony, ale może działać dalej. Chcemy zdobyć łódź dowodzenia, prawda? Zrobimy to tak: dwójka z BKA - skinął głową w kierunku Race i Schroedera - opanuje pibbera. Jeśli mamy zatrzymać katamaran, będziemy potrzebowali ciężkiego wsparcia ogniowego, to oznacza dwudziestomilimetrówkę na wieżycze pibbera. Poradzicie sobie?

- Możemy spróbować - odparł Schroeder. Świetnie. Doogie - ty, ja i Molke bierzemy się za robotę. Poradzisz sobie?

- Poradzą - odparł z grymasem bólu młody żołnierz.

- A co ze mną? - spytał Race.

- Dla pana mann zadanie specjalne, profesorze. Ponieważ nie został pan w tym przeszkolony, podejrzewam, że nie chciałby pan szturmować łodzi.

- Raczej nie na wiele bym się przydał.

- Chyba nie. Ale pomyślałem sobie, że mógłby pan zostać naszą przynętą.

- Przynętą?

- Chciałbym, żeby zasuwał pan jak najszybciej przed tymi draniami i ściągał na siebie ich ogień, podczas gdy my zabierzemy się za pibbera i rigid raidera. Kiedy przejmemy obie łodzie, przerzucimy pana na pokład łodzi dowodzenia.

Race przełknął ślinę.

- No dobrze...

Gdy to powiedział, spojrzął w lewo i spotkał się spojrzeniem ze wzrokiem Renee.

Niemka musiała dostrzec w jego twarzy wahanie, bo skinęła mu głową dla dodania otuchy.

- Nic ci się nie stanie - usłyszał w słuchawkach jej łagodny głos.

- Dzięki... - odparł Race.

Kiedy znów spojrzął do przodu, stwierdził, że ich osłonięty drzewami cypel kończy się jakieś sto metrów dalej kępą zanurzonych do połowy w wodzie drzew.

Za nimi widać było szare światło dnia i rzekę.

- Wszyscy przygotować się - powiedział Van Lewen. - Przyspieszyć i uważać na nazistów. Wiecie, co macie robić.

Race poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Nie umiał sobie wyobrazić, co czeka go za tymi drzewami.

Nie miał jednak czasu na rozważania, bo po kolejnych kilku sekundach cała szóstka minęła na pełnej prędkości linię drzew i wystrzeliła na rzekę.

Naziści czekali na nich.

Ledwie Race i pozostali wyjechali na otwartą przestrzeń, buchnął wokół nich grad eksplozji.

- Uważaj! - wrzasnął Doogie, ale Molke okazał się zbyt wolny. Nad głową Doogiego przeleciała fala ołowiu i załomotała o pierś młodego Niemca, rozrywając ją. Przez chwilę ciało Molkego rzucało się w gwałtownych konwulsjach, a potem siłą pędu rzuciła trupa z pędzącego skutera do rzeki.

Kiedy Race zobaczył, że kule rozrywają Molkego na strzępy, jego oczy zrobiły się wielkie jak talerzyki. A gdy ujrzał, co jest przed nim - jeszcze bardziej się powiększyły.

Dwa z trzech helikopterów, które jeszcze niedawno stały na barkach, unosiły się w powietrzu dokładnie przed ich skuterami, podczas gdy reszta nazistowskiej floty pędziła za nimi.

Cholera jasna!

Działka na helikopterach raz za razem wypluwały grad dwudziestomilimetrowych pocisków, szarpiąc gałęzie drzew za plecami Race'a i bombardując wodę wokół niego.

- Rozproszyc się! Rozproszyc się! - wrzasnął Van Lewen. Cztery amerykańsko-niemieckie skutery natychmiast pomknęły w dwie strony - dwa na lewo, dwa na prawo - i Race zobaczył, że pędzi obok Doogiego Kennedy'ego, który jechał sam, trzymając kierownicę zalaną krwią ręką.

Van Lewen, Renee i Schroeder pognali w drugą stronę i po chwili zniknęli za nazistowskimi jednostkami.

Race i Doogie wbili się między łodzie wroga, pochylali się, zakręcili jak szaleni. Jeden z mosquito kołował nad ich głowami i ostrzeliwał ich.

Usiłując mu umknąć, Race skręcił w lewo i pognął między dwoma barkami. Wystrzelona za nim seria załomotała o burtę bliższej z barek i po stalowej blasze przebiegła długa linia iskier.

Race gnał wąskim przesmykiem między dwoma wysokimi burtami, a kiedy wystrzelił na otwartą przestrzeń, gwałtownie skręcił w prawo i wyskoczył w powietrze, zamierzając przelecieć nad kilwaterem prawej barki.

Przed sobą miał skuter Doogiego, pędzący z taką samą prędkością - tyle że młody żołnierz miał dokładnie nad sobą helikopter, a z boku pibbera.

- Profesorze! Szybko! - wrzasnął Doogie i lewą, zakrwawioną ręką wyciągnął SiG-Sauera. - Niech mnie pan osłania! Wejść na tego pibbera!

- A co z realizacją planu?

- Plan się zawalił, kiedy wypłynęliśmy spomiędzy drzew! Szybciej!

- Już, już! - odrzyknął Race, wyciągnął swój pistolet i otworzył ogień do dwóch nazistów, stojących na skraju rufy pibbera.

Kiedy schylili się w poszukiwaniu osłony, Doogie zbliżył się do burty i wskoczył na podwyższony przedni pokład.

Race z podziwem patrzył, jak młody żołnierz natychmiast odzyskuje równowagę na przypominającym dwuspadzisty dach pokładzie, robi dwa długie kroki w kierunku rufy, wskakuje na dach sterówki, zeskakuje na pokład rufowy i strzałami ze swojego SiG-Sauera posyła obu nazistów na łono Abrahama.

- Profesorze! Niech pan podjedzie tutaj! Musi pan obsadzić tą broń! - Doogie dźgnął palcem działko pokładowe pibbera.

Race pomknął ku niemu.

Na pokładzie łodzi patrolowej Doogie wziął z rąk zabitego członka załogi G-11, przejął ster i nie zwalniając, zaczął strzelać do unoszącego się nad nim helikoptera.

Race dopłynął na wysokość pibbera, podjechał jak najbliżej do jego burty i rozpaczliwie próbował zapanować nad swoim pojazdem, podskakującym na fali, odchodzącej od większej jednostki. Wpatrywał się w znajdujący się metr od niego reling, zastanawiając się, jak go złapać.

Nagle tuż przed nim o burtę pibbera załomotała seria pocisków. Szarpnął głową w bok, by sprawdzić, co się dzieje.

W jego kierunku gnał drugi pibber - z pięcioma ludźmi na pokładzie.

Pędził prosto na niego.

Zamierzał staranować opanowaną przez Doogiego łódź, miażdżąc po drodze skuter wraz z jego kierowcą.

Race odwrócił się z powrotem do relingu i skupił na nim całą uwagę.

Zrób to! - wyło mu w głowie.

Odbił się od skutera i złapał stalową linkę relingu, ale jego stopy wlokły się po

wodzie. Podciągnął je szybkim ruchem i niemal równocześnie dziób atakującej łodzi patrolowej huknął w lewą burtę przejętego przez Doogiego pibbera.

Race przetoczył się po pokładzie, który wściekle pod nim zadygotał.

- Profesorze! Tutaj!

Race leżał na brzuchu, nie mając odwagi się poruszyć. Po chwili podniósł ostrożnie głowę i zobaczył stojącego w drzwiach sterówki Doogiego, ale zaraz o pokład przed jego oczami załomotały bojowe buty, zasłaniając mu Kennedy'ego.

W tym samym momencie, gdy buty zetknęły się z pokładem, rozległ się głośny huk wystrzału i właściciel butów upadł. Jego ciało załomotało o metal tuż obok Race'a i martwy nazista wbił w niego wybałuszone oczy, między którymi ział pojedynczy otwór.

Stojący w odległości kilku metrów Doogie trzymał w zdrowej ręce G-11, wyciągając go do przodu.

Drugi pibber gnał tuż obok nich. Czterech nazistów na jego pokładzie szykowało się do przeskoczenia na ich jednostkę.

Z drugiej strony zbliżała się wielka barka helikopterowa - odcinając im drogę ucieczki, zamykając pułapkę.

- Niedobrze... - mruknął pod nosem Race.

Doogie najwyraźniej myślał tak samo, bo nagle skręcił ostro w lewo, taranując nazistowskiego pibbera. Stojący na jego pokładzie nazistowscy komandosi stracili równowagę, co dało Kennedyemu czas na uniesienie broni i strzał.

Nie skierował jednak ognia na nich - ale wycelował w okolicę rufy ścigającej ich jednostki, gdzie nie było nikogo.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnął Race. G-11 Doogiego ryknął.

Seria była długa, w powietrze poleciało może dwadzieścia naboí. Wokół kotwicy pibbera wystrzeliła chmura iskier.

Nagle - BUM! - jeden z pocisków trafił w zatrask mocujący kotwicę do pokładu, stalowy ciężar został wypchnięty ze swojego leża i plusnął do wody. Nylonowa linka zaczęła się błyskawicznie rozwijać.

Naziści na pokładzie zignorowali to i odwrócili się do Amerykanów z uniesionymi do strzału G-11.

W tym momencie stało się.

Nie wiadomo, o co kotwica zahaczyła - może o korzeń, może o całe cholerne drzewo - w każdym razie chwyciła coś dużego.

Wyglądało to tak, jakby jakiś potwór szarpnął za kotwicę pędzącego pibbera, bo łódź, pędząca do tego momentu z prędkością stu kilometrów na godzinę, natychmiast się zatrzymała. Cała konstrukcja jakby załamała się w sobie i skoczyła jak koń, który chce wyrzucić jeźdźca z siodła, a dziób poszedł pod wodę.

Rufa wystrzeliła w górę i łódź wykonała półsalto, odwracając się kilem do góry, a potem spadła na wodę, z łoskotem uderzając w nią dachem sterówki.

Po chwili przewrócony nazistowski pibber zaczął znikać w tyle. Tonął.

Van Lewen wjeżdżał między nazistowskie łodzie i wyjeżdżał spomiędzy nich, to pojawiając się, to znikając za kolejnymi barkami, rigid raiderami i pibberami.

Próbował uciec rigid raiderowi i mosquito, które go ścigały. Wokół niego łomotał wściekły ogień karabinowy.

Na pokładzie goniącego go rigid raidera znajdował się tylko jeden nazista - Van Lewen ostrzelał przedtem tę łódź, zabijając całą załogę poza jednym człowiekiem.

Prawdę mówiąc, niezbyt przejmował się zarówno rigid raiderem, jak i helikopterem za swoimi plecami. Cała jego uwaga koncentrowała się na jednostce, płynącej pięćdziesiąt metrów przed nim.

Na białym katamaranie.

Na łodzi dowodzącej.

Dwadzieścia metrów za Van Lewenem samotny sternik rigid raidera strzelał wściekle do skutera z Amerykaninem. Ale pociski rozpryskiwały się na boki, bo łódź skakała jak wściekła na falach.

Nagle usłyszał gdzieś za plecami głośny łoskot. Gwałtownie odwrócił się do tyłu... i ujrzał pędzącą w jego twarz pięść Karla Schroedera.

Rence Becker również gnała z całą mocą silnika. Krople wody zmieniały się przy tej prędkości w igły i kłuły ją w twarz jakby jeżozwierz.

- Wiem! Wiem! Profesorze, szybko! Niech pan zejdzie na dół i sprawdzi, czy mają tam jakieś granaty albo coś innego!

Race jednym szarpnięciem otworzył klapę w przodzie sterówki i zbiegł do wnętrza łodzi.

Znalazł się w małym pomieszczeniu o niemalowanych, metalowych ścianach.

Na skośnych ścianach zamocowano siatki i skrzynki, pośrodku stało większe szare pudło. Miało mniej więcej metr wysokości i szerokości - jak stolik do gry w karty - i na pierwszy rzut oka wyglądało jak skrzynka na amunicję albo innego rodzaju pojemnik.

Nie była to jednak skrzynka. Kiedy Race przyjrzał się dokładniej, stwierdził, że szare pudło jest przymocowane do podłogi.

Po chwili zrozumiał, co to takiego - śluza dla nurków. W Wietnamie Siły Specjalne i oddziały SEAL ze wszystkich rzecznych łodzi patrolowych najchętniej używały pibberów, ponieważ tylko one miały tego typu urządzenia. Dzięki nim żołnierze mogli wchodzić do wody tak, by wróg się nie domyślił, kiedy to nastąpiło.

Race zaczął przeszukiwać półki.

Na początek znalazł niedużą skrzynkę angielskich granatów przeciwpiechotnych

L2A2, a potem kevlarowy pojemnik z angielskim napisem na boku.

WŁASNOŚĆ ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH NR Kz56-005zCz
DARPA ŁADUNKI M-22 6 SZT.

Otworzył pojemnik i zobaczył sześć fiolek z plastiku i chromowanej stali, umieszczonych pojedynczo w wyłożonych gąbką wgłębieniach. Fiolki nie były duże - miały rozmiary przeciętnej szminki - i wypełniał je połyskliwy, bursztynowy płyn.

Pokręcił głową, ale wziął pudełko i zaniósł je - razem ze zwykłymi granatami - swojemu towarzyszowi.

- Ojej, profesorze... - stęknął Doogie na widok kevlarowego pudełka. - Na pańskim miejscu nie rzucałbym tym o podłogę

- Dlaczego?

- Nie przeżylibyśmy tego.

- Że co?!

- To M-dwadzieścia dwa. Ładunki wytwarzające bardzo wysoką temperaturę. Widzi pan ten bursztynowy płyn? Izotopowy płynny chlor. Trzydzieści gramów tego syfa może sprawić, że w promieniu dwustu metrów wszystko wyparuje - z nami włącznie. To właśnie te nazistowskie palanty musiały kilka lat temu ukraść ładunek M-dwadzieścia dwa z ciężarówki w Baltimore.

- O!

- Ale aż takiej siły ognia nie będziemy potrzebować. - Doogie uśmiechnął się i wziął do ręki konwencjonalny granat L2A2. - To nam wystarczy.

Mosquito nad ich głowami zrobił kolejny nawrót, bombardując pibbera gradem ołowiu.

Kiedy przelatował nad nimi, Doogie wyciągnął zawleczkę i zdrową ręką rzucił granat jak bejsbolową piłkę. Granat pofrunął w powietrze i... ..zniknął w otwartych drzwiach helikoptera. Po chwili mosquito eksplodował od środka, zapikował w dół, i przekoziółkował, buchnął płomieniami i huknął nosem w pędzącą pod nim wodę.

- Ładny rzut - powiedział z uznaniem Race.

Van Lewen i Renee biegli przejściem wzdłuż prawej burty katamarana, przyciskając mocno M-16 do barków i wodząc lufami na boki. Po chwili nieoczekiwanie wybiegli na otwartą przestrzeń - lądowisko dla helikopterów na pokładzie rufowym.

Van Lewen natychmiast zauważył, że obok białego jet rangera stoi pilot.

On też ich dostrzegł i szybko sięgnął po broń. Van Lewen położył go jednym strzałem i obrócił się w prawo - z wnętrza katamarana wybiegało sześciu nazistów. Biegając, strzelali. O pokład załomotały kule, poszarpały drewnianą poręcz relingu. Van Lewen schylił się i kątem oka zauważył, że Renee nurkuje za róg, zza którego przed chwilą wyszli. On niestety był za daleko.

Jeszcze raz spojrzął na nacierających nazistów - znajdowali się nie więcej jak piętnaście metrów od niego, ich futurystyczne karabiny wypluwały falę ołowiu. Nie mając wyboru, Van Lewen zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Wyskoczył za burtę.

Karl Schroeder, stojący za sterem pędzącego tuż za łodzią dowodzenia rigid raidera, z przerażeniem patrzył, jak Van Lewen wylatuje za burtę wielkiego katamarana.

Nie miał jednak czasu na gapienie się.

Drogę zajęchały mu nagle dwa inne rigid raidery i zasypany został ogniem z G-11. O boki jego łodzi zadudniły pociski, a on sam musiał szukać schronienia.

Padł ciężko na metal pokładu, równocześnie rozglądając się gorączkowo w poszukiwaniu jakiejś broni, którą mógłby odeprzeć napastników.

Najpierw ujrzał na podłodze G-11, a obok kevlarowe pudło. Niezły początek.

Za karabinem ujrzał coś jeszcze. Zmarszczył ze zdziwieniem czoło.

Van Lewen leciał w powietrzu i czekał na uderzenie wody.

Nie nastąpiło.

Wylądował na czymś twardym - przypominającym plastik albo pleksiglas.

Rozejrzał się i stwierdził, że leży na pokładzie motorówki - „Scaraba” - przywiązanej do tylnego relingu katamarana.

Sekundę później trzech nazistowskich komandosów wysunęło lufy G-11 za reling i wycelowało mu je prosto w głowę. Kiedy Van Lewen spojrzął im w oczy, uświadomił sobie, że dla niego walka już się skończyła.

Naziści jednocześnie pociągnęli za spusty.

Z początku do Schroedera nie dotarło, co właściwie widzi.

Było to urządzenie przypominające nieco plecak - prostokątne, zaopatrzone w cyfrowe wskaźniki, oznakowane kHz, mHz i gHz.

Mierniki częstotliwości...

Coś zaczęło mu świtać.

Było to urządzenie do zagłuszania radia, którego naziści użyli w Vilcafor.

Z przodu naklejono pasek szarej taśmy izolacyjnej, na której po niemiecku napisano:

UWAGA! NIE NASTAWIAĆ IEM POWYŻEJ 1,2 gHz!

Na widok skrótu IEM oczy Schroedera rozszerzyły się. Boże...

IMPULSY ELEKTROMAGNETYCZNE. Naziści mieli generator impulsów elektromagnetycznych! Dlaczego limitowali go na 1,2 gigaherca? Nagle zrozumiał.

Podniósł z podłogi G-11 i przyjrzał się wyrytym na boku obudowy specyfikacjom.

HECKLER & KOCH, NIEMCY - 50 V.3,5 MV: 920 CPU: 1,25 gHz. W ułamku sekundy przypomniał sobie, co wie o impulsach elektromagnetycznych: IEM

unieruchamiały wszystko, co wykorzystywało mikroprocesory - komputery, radia, telewizory.

A więc także G-11, który był jedynym karabinem świata posiadającym mikroprocesor-jedynym na tyle skomplikowanym karabinem, że go potrzebował.

Naziści nie mogli pozwolić sobie na ustawienie zagłuszacza na zbyt wysoką częstotliwość, ponieważ wtedy przestałyby działać ich G-11.

Schroeder uśmiechnął się.

W chwili gdy Van Lewen popatrzył w trzy lufy G-11, Karl Schroeder wcisnął klawisz uruchamiający generator impulsów elektronicznych i przekręcił potencjometr na 1,3.

KLIK KLIK KLIK Wyraz rezygnacji na twarzy Van Lewena ustąpił miejsca zdziwieniu.

Naziści byli chyba jeszcze bardziej zdziwieni. Nie mieli pojęcia, co się stało.

Van Lewen nie marnował czasu.

Nie minęła sekunda, jak trzymał M-16 w jednym ręku, a SiG-Sauera w drugim. Pociągnął za oba spusty.

Cała trójka nazistów została trafiona niemal równocześnie, z trzech głów buchnęła krew i trzy trupy wypadły za reling.

Pociski odbiły się od relingu i poleciały we wszystkie strony. Jeden z nich przeciął linę, mocującą „Scaraba” do łodzi dowodzenia.

Motorówka natychmiast odskoczyła w bok, a stojący na wielkim katamaranie naziści mogli jedynie bezradnie się przyglądać, jak „Scarab” znika w kilwaterze za ich jednostką.

Po drugiej stronie rzeki Doogie Kennedy siedział na obrotowym krzeselku przedniej wieżyczki strzelniczej pibbera i siał spustoszenie, puszczając serie z dwulufowego działka.

Obrócił wieżyczkę i zasypał wroga gradem dwudziestomilimetrowych pocisków, zamieniając jeden z płynących po jego lewej ręce rigid raiderów w ser szwajcarski.

Potem zajął się barką helikopterową przed sobą - na której cały czas stał mosquito - i posiekał go, rozrywając mu zbiornik paliwa. Oba pojazdy buchnęły wspólną kulą ognia.

- Tak jest! Łykajcie to, nazistowskie skurwiele! - wrzeszczał.

Trzy metry za jego plecami, w sterówce, Race walczył ze sterami pibbera, jednocześnie rozglądając się uważnie. W tym momencie nadleciał trzeci - i ostatni - mosquito, waląc z obu działek. Race natychmiast się uchylił, a Doogie obrócił wieżyczkę i puścił serię w kierunku helikoptera, ale maszyna ostro położyła się na bok i czerwone smugi pocisków posiekały powietrze.

Od tyłu zajechał ich koleiny pibber.

Wyglądał dziwnie. Na pokładzie nie było ani jednego nazisty, jego działko nie strzelało.

Łódź płynęła spokojnie, trzymając się w bezpiecznej odległości za nimi - przynajmniej trzysta metrów.

Nagle ze zwisającego z burty kanciastego pojemnika wystrzelił snop dymu, a za nim na zewnątrz wyprysnęło coś długiego i białego i pacnęło o wodę.

- Czy to jest to, co myślę? - spytał Race. Kiedy to mówił, zajechał ich kolejny nazistowski rigid raider, wciskając się między ich i pibbera, który wystrzelił tajemniczy przedmiot. Na jego pokładzie stało czterech szturmowców i waliło do Doogiego i Race'a z pistoletów.

Po chwili - tak nieoczekiwanie, że aż Race podskoczył - rigid raider eksplodował. Bez żadnej przyczyny.

Długa łódź po prostu wystrzeliła w górę w gejzerze dymu i wody. Nie było ku temu przyczyny - z wyjątkiem podłużnego przedmiotu, który pibber nazistów przed paroma sekundami wystrzelił do wody.

Natychmiast domyślili się, co to takiego.

- Torpedy... - powiedzieli równocześnie, wymieniając się spojrzeniami.

W tym momencie z pojemnika na burcie ścigającego ich pibbera wystrzeliła następna chmura dymu i do przodu ruszyła kolejna długa, biała torpeda. Pomknęła błyskawicznie prosto na nich.

- O rany... - jęknął Doogie. Race gwałtownie pchnął przepustnicę.

Torpeda nadal pędziła w ich kierunku.

Race robił zakola w nadziei, że uda mu się umieścić między nimi i torpedą kolejną jednostkę wroga, było to jednak zadanie nie do wykonania.

Najbliżej nich były dwie pozostałe barki helikopterowe - jedna ciągnąca za sobą wodolot, Grummana JRF-5 Goose, była tuż po ich prawej stronie, druga po lewej, bardziej z przodu.

Oba lądowiska helikopterowe na barkach były puste.

Race jeszcze bardziej przyspieszył.

Ich pibber wyprysnął do przodu, uderzył w zabłąkaną falę i wyskoczył wysoko w powietrze. Po chwili opadł ciężko na wodę i zaczął bujać się na boki jak szalony.

Torpeda w dalszym ciągu mknęła na nich.

- Profesorze! - wrzasnął Doogie. - Zostało panu dziesięć sekund, by coś zrobić! Dziesięć sekund...

Cholera.

Popatrzył na lewą barcę, coś nagle przyszło mu do głowy i ostro skręcił.

Osiem sekund.

Pibber mknął trzydzieści metrów od szerokiej, płaskiej barki.

Race nie spuszczał z niej wzroku. Była to mała platforma do lądowania, przeznaczona dla helikopterów - kilkumetrowa płaszczyzna z niewielką oszkloną sterówką na dziobie, unosząca się jakiś metr nad wodą.

Sześć sekund.

Race gwałtownie szarpnął sterem w lewo i pibber ostro nawrócił. Pędząc ku barce, raz za razem podskakiwał na falach.

Pięć sekund.

Torpeda zbliżała się coraz bardziej.

Cztery sekundy.

- Co pan wyprawia?! - krzyknął Doogie. Trzy.

Race pchnął dźwignię przepustnicy do oporu.

Dwie.

Pibber mknął kursem kolizyjnym z prawą burtą barki.

Nagle uderzył w falę i wyprysnął wysoko w górę niczym samochód na pokazie kaskaderskim.

Pędząca łódź uniosła się cała nad wodę, śruby wirowały w powietrzu. Po chwili z tąpnięciem, od którego pasażerom omal nie wyleciały zęby, wylądowała na pustym lądowisku dla helikopterów.

Siła rozpędu pchała jednak pibbera dalej - i ze zgrzytaniem, piskiem i rozrywającym uszy chrobotem pomknął po pokładzie barki. Spod łodzi wylatywały iskry i pędziła, aż w końcu - WZUMMM! - wyprysnęła jak wystrzelona z armaty z lewej strony barki i plasnęła o wodę. Śruby natychmiast popchnęły kadłub mocno do przodu, a torpeda uderzyła w nieszczęsną barkę i eksplodowała.

Poszarpane kawały blachy, fragmenty kadłuba i tysiące okruchów szkła poleciały potężną chmurą na wszystkie strony.

- Juhhuuu! - wrzasnął Doogie. - Ale jazda!

Race spojrzął za siebie i skulił się, gdy deszcz odłamków zabębnił o dach ich sterówki.

- Juh...hu... - mruknął.

Renee Becker wsunęła się do środka przez uchylone boczne drzwi w kadłubie katamarana i ostrożnie ruszyła wąskim korytarzem.

Kiedy nagle otworzyły się drzwi w głębi, schowała się we wnęcie w ścianie. Minęło ją szybkim krokiem dwóch nazistów z pistoletami w dłoniach. Jeden z nich powiedział:

- Używają przeciwko nam naszej własnej broni! Przejęli generator impulsów!

Renee odczekała chwilę i ruszyła dalej. Wnętrze katamarana było niewiarygodnie luksusowe - białe ściany kontrastowały z ciemną boazerią i puszystą, błękitną wykładziną dywanową.

Nie interesowało jej to.

Obchodziła ją tylko jedna rzecz.

Idol.

Po krótkim locie w powietrzu i przejechaniu po lądowisku na barce pibber Race'a i Doogiego znów mknął po wodzie. Doogie strzelał z działka na wieżyczce do ostatniego mosquito, który buczał nad nimi jak wściekły trzmiel.

Mosquito był jednak za szybki i zbyt zwinny. Unikał ognia, aż w działku zabrakło amunicji.

- Cholera... - zaklął Doogie.

Błyskawicznie zsunął się z wieżyczki, złapał G-11 i dołączył do Race'a w sterówce.

- Musimy przyszpilić ten helikopter - oświadczył. - Jest w powietrzu, nie mamy szansy pokonać tych drani.

- Co proponujesz?

Doogie pokazał głową w kierunku drugiej barki helikopterowej, Hora płynęła jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Też, do której tyłu przywiązano grumman goose'a. T - Proponuję, byśmy teraz tym polatali.

Kilka sekund później pibber podpłynął z boku do barki.

Lodzie zetknęły się na chwilę burtami i Doogie skoczył na lądowisko. - Profesorze! Pana kolej!

Race skinął głową i odszedł od koła sterowego - i w tym momencie łódź zadygotała od potężnego uderzenia.

Race upadł na pokład, zdążył jednak zobaczyć, że jeden z dwóch pozostałych pibberów nazistów taranuje go od lewej strony. Doogie uniósł lufę G-11 i pociągnął za spust, ale nie wiadomo dlaczego karabin nie wystrzelił.

- Jasna cholera! - wrzasnął, widząc, że Race i pibber nazistów odpływają od niego.

Race znalazł się w piekle.

Wszędzie wokół niego dudniła strzelanina - naziści walili z pistoletów prosto w sterówkę, w której się schował. Jej przednia szyba rozprysnęła się i obsypała mu głowę deszczem ostrych okruchów.

Nagle cała łódź znów zadygotała - pibber nazistów ponownie taranował.

Race odwrócił głowę i ujrzał go tuż obok - na jego pokładzie było czterech komandosów z pistoletami w dłoniach i szykowało się do przeskoczenia na jego łódź.

Obejrzał się szybko i stwierdził, że od łodzi Doogiego dzieli go o najmniej dziesięć metrów. Skok był niemożliwy.

Był pozostawiony sam sobie.

Wyciągnął SiG-a.

Jakie masz możliwości, Will?

Zbyt wiele ich nie było.

Na jego pibber przeskoczył pierwszy szturmowiec.

Race zawirował na pięcie i rzucił się nurkiem przed siebie - z rozbitą przednią szybą sterówki, na podwyższony przedni pokład - dokładnie w momencie, gdy nazista zaczął strzelać. Pociski odbiły się z wizgiem od framugi okna tuż nad jego głową. Padł rozplaszczony jak żaba, ale - przynajmniej na chwilę - zszedł z linii ognia.

Rozległy się kolejne tapnięcia stóp lądujących na pokładzie jego łodzi szturmowców.

Cholera!

Popatrzył do tyłu i ujrzał cztery zbliżające się głowy. Odruchowo odtoczył się w bok i coś ostrego ukłuło go w plecy.

Spojrzał za siebie.

Kotwica.

Naziści zbliżali się do niego.

Zrób coś!

No dobrze...

Uniósł SiG-Sauera, wycelował w linkę kotwiczną i strzelił.

Pocisk przeciął ją tuż nad kotwicą i stalowy ciężar natychmiast spadł z łoskotem na pokład.

Race zerwał z głowy bejsbolówkę z logo Yankees i zacisnął zęby na daszku.

Do sterówki wszedł pierwszy nazista, podniósł pistolet i strzelił.

Race odtoczył się na bok, złapał linkę kotwiczną i przeturlał się po przednim pokładzie w kierunku dziobu.

Stalowy pokład wokół niego eksplodował od pocisków, ale żaden na szczęście nie trafił.

W tej samej chwili, kiedy czwórka nazistów pojawiła się w sterówce pibbera, William Race stoczył się z pokładu łodzi patrolowej i spadł do pędzącej w dół wody.

Uderzył w wodę plecami.

Podskakując wściekle na pędzącej powierzchni, wzbijał popie fontanny wody i rozpaczliwie próbował utrzymać linkę kotwiczną. Raz za razem mocniejsza fala wybijała jego ciało wyżej i walił od spodu w kadłub pibbera, który ciął wodę jak nóż.

Mocno zagryzał daszek czapki i ścisnął linkę w dłoniach.

Jazda była brutalna - obijało go, smagało, siniaczyło - wiedział jednak, że jeśli nie

zrobi jeszcze jednej rzeczy, zacznie mieć naprawdę poważne kłopoty.

Słyszał nad głową ciężkie tąpnięcia buciorów, walących o pokad. Jeżeli zauważą go, zginie. Natychmiast go zastrzelą. Rusz się, Will!

W porządku, pomyślał. Niech się dzieje...

Zebrał się w sobie i zacisnął mocno powieki, by uchronić oczy przed uderzeniem wody, jeszcze mocniej zacisnął dłonie na lince i napiął wszystkie mięśnie.

Potem pozwolił ciału opaść w wodę - prosto pod pędzący kadłub.

Najpierw zanurzyły się nogi.

Potem pas, brzuch, klatka piersiowa.

Po chwili pod wodę weszły ramiona, na koniec głowa.

Biorąc ostatni głęboki wdech, Race pozwolił zniknąć pod wodą głowie.

Świat nagle zrobił się bardzo cichy.

Nie było ryku zaburtowych silników, kłapania helikopterów, szczekotu broni maszynowej. Było tylko monotonne buczenie maszyn wewnątrz pibbera, odbijające się basowym echem od wodnej głębin.

Race widział jedynie stromą, szarą burzę pibbera. Na jej tle z prędkością miliona kilometrów na godzinę przemykały jakieś mikroorganizmy i znikały w mrocznej zielonej toni w tyle.

Powoli, ostrożnie, dłoń po dłoni, opuszczał się coraz niżej, równocześnie coraz bardziej zbliżając się do rufy pędzącej łodzi. Wstrzymywał oddech i przez cały czas ścisnął zębami daszek bejsbolówki.

Był mniej więcej w dwóch trzecich drogi, gdy w zieleni wokół niego zmaterializował się pierwszy gad.

Kajman.

Zanurkował wzdłuż burty, otworzył paszczę tuż obok skaczących na boki stóp Race'a i z prędkością, o jaką można by podejrzewać jedynie grzechotnika, zamierzył się na jego buty.

Race błyskawicznie podciągnął nogi i szczęki kajmana zamknęły się z chrzęstem, łapiąc jedynie wodę. Wielki gad, niezdolny utrzymać się za gnającym pibberem, zniknął bez łupu w zmaconej ciemności.

Race rozpaczliwie potrzebował powietrza. Jego płuca płonęły. Czuł, jak do gardła podpełza mu żółć.

Przyspieszył przesuwanie się po linie, aż w końcu znalazł to, czego szukał.

Śłużę dla nurków.

Tak jest!

Podniósł szybko rękę i pchnął pięścią dolną klapę, uchylając ją. Natychmiast się w nią wsunął.

Przebił głową powierzchnię wody w dolnej ładowni.

Wypluł bejsbolówkę i zaczął łapczywie wciągać powietrze.

Kiedy odzyskał oddech, wciągnął się przez służę do środka i padł jak kupka nieszczęścia na podłodze - poobijany, posiniaczony i zdyszany, ale szczęśliwy jak cholera, że żyje.

Doogie Kennedy biegł po pokładzie ostatniej barki helikopterowej. Goniła go linia iskier.

Kiedy zobaczył, że Race znika pod dziobem pibbera, otworzył ogień do czwórki nazistów w sterówce. Teraz oni odpowiadali ogniem, przeszkadzając mu dostać się do ciągniętego przez barkę wodolotu.

W końcu dotarł jednak do rufy. Odwiązał mocującą Dooge'a linę, skoczył na jego dziób i jednym szarpnięciem otworzył klapę wjazdu na nosie wodolotu. Zanurkował do środka głową naprzód, natychmiast wstał i zaczął się rozglądać.

Włączył zapłon i zamontowane na skrzydłach dwa silniki od razu zaskoczyły. Śmigła z początku obracały się powoli, ale po chwili gwałtownie przyspieszyły, zamieniając się w rozmazane koła.

Wodolot zaczął odpływać od barki, pociski z pistoletów nazistów wbijały się od jego kadłuba z coraz cichszym wizgiem. Doogie obrócił samolot tak, że dziób skierował się na łódź, którą przed chwilą opuścił. Wcisnął guzik na dźwiku.

Z działka Gatlinga, zamontowanego z boku samolotu, buchnęła ogłuszająca seria.

Trzech nazistów na pibberze upadło - dwudziestomilimetrowe pociski trafiły ich prosto w pierś.

Czwarty także padł, ale celowo - usuwając się z linii ognia.

- Jezu, jak ja lubię te dwudziestki... - mruknął Doogie.

Kiedy ogień Doogiego spadł na pibbera, Race stał tuż za metalowymi drzwiczkami, prowadzącymi do sterówki.

Gdy ostrzał się skończył. Race wyjrzał i stwierdził, że już tylko jeden szturmowiec żyje. Leżał na pokładzie i przeładowywał pistolet.

Race dostrzegł swoją szansę.

Potrzebował jednak paru sekund, by przygotować się psychicznie do tego, co zamierzał zrobić. Potem pchnął drzwiczki, wycelował w zaskoczonego komandosa i pociągnął za spust.

KLIK!

Zamek SiG-Sauera zatrzymał się w pozycji świadczącej o tym, że komora jest pusta.

Nie było naboju!

Race rzucił pistolet, a kiedy zobaczył, że nazista wsuwa do rękojeści następny magazynek, uczynił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

Zrobił trzy wielkie kroki i skoczył na przeciwnika.

Uderzył w niego z całej siły, przewrócił go i dwa splecione ciała zaczęły sunąć po pokładzie w kierunku rufy.

Obaj natychmiast wstali i nazista zamachnął się, ale Race uchylił się i atakująca go pięść przeleciała mu nad głową - a on wściekle skontrował, wyrzucając pięść w kierunku twarzy szturmowca. Cios dotarł do celu i nazistę odrzuciło do tyłu, jego głowa zabujała się jak bokserska gruszka.

Race znów uderzył, potem jeszcze raz i jeszcze raz, za każdym krokiem cofającego się nazisty wykrzykując:

- Wynocha! BAM!

- ...z... BAM!

- ...mojej... BAM!

- ...łodzi!

Po ostatnim ciosie nazista uderzył ciałem o reling rufowy, przeleciał przez niego i z pluskiem chlapnął w kilwater.

Race ciężko dyszał i krwawiły mu kostki dłoni. Popatrzył na pokonanego wroga za rufą i przełknął ślinę. Po kilku sekundach dostrzegł na wodzie zbliżające się do nazisty znajome zmarszczki i kiedy ten zaczął krzyczeć, odwrócił się.

Renee ostrożnie sunęła wąskim korytarzem, wyciągając przed siebie broń, gdy nagle usłyszała dolatujące z kajuty po prawej stronie głosy.

Zrobiła krok do przodu i zajrzała przez uchylone drzwi.

Natychmiast rozpoznała starszego mężczyznę, stojącego na środku supernowoczesnego laboratorium. Był ogromny, tęgi, miał tłuste karczysko i niesamowicie wielki brzuch - biała, niewymagająca prasowania koszula opinała go ciasno.

Renee wstrzymała oddech. Otto Ehrhardt, przywódca szturmowców.

Jeden z najokrutniejszych hitlerowców z czasów drugiej wojny światowej.

Musiał mieć - ile? - siedemdziesiąt pięć lat, nie wyglądał jednak na więcej jak pięćdziesiąt. Choć wiek zmiękczył mu rysy, „aryjskie” cechy jego twarzy w dalszym ciągu były widoczne, jasnobłond włosy przeredzały mu się na szczycie głowy, odganiając liczne obrzydliwe, brązowe znamiona na skórze. Kiedy wykrzykiwał rozkazy, jego oczy migotały, błyszczały szaleństwem.

- ...więc znajdźcie ten generator i wyłączcie go, imbecyle! - dał się do mikrofonu. Wskazał tłustym paluchem jednego ze swoich ludzi. - Ty! Dawaj mi tu natychmiast Anistazego! Laboratorium, w którym stał generał, było konglomeratem szkła i chromu. Pod ścianami stały superkomputery Cray YMP, na stołach roboczych próżniowe komory. Wszędzie kręcili się technicy w białych kitlach, a przez szklane drzwi, prowadzące na rufowe lądowisko helikopterów, wybiegali komandosi

z pistoletami w ręku.

Renee widziała jednak tylko to, co Ehrhardt trzymał w dłoniach. Przedmiot owinięty w purpurowy materiał. Idol.

Do środka wpadł Heinrich Anistaze i stanął na baczność przed swoim dowódcą.

- Przysłał pan po mnie.

- Co się dzieje?

- Są wszędzie, Herr Oberstgruppenführer. Muszą ich być dziesiątki, może nawet więcej. Najwyraźniej się podzielili i teraz likwidują poszczególne elementy floty.

- Więc schodzimy z pokładu. - Ehrhardt podał posążek Anistazemu i zaprowadził go do lądowiska helikopterów. - Szybko! Zabierzemy Idola helikopterem i dostarczymy go do kopalni drogą powietrzną. Jeżeli przywódcy rządów nie zareagują na czas, wsadzimy go do Supernowej i zdetonujemy.

Race obserwował pole bitwy ze sterówki odzyskanego pibbera.

Po rzece w dalszym ciągu pędziły łodzie, ale flota była już tylko cieniem tej z początku.

Pływały jeszcze trzy pibbery, tyle że teraz jeden był we władaniu Race'a. Jeden helikopterowiec i pięć rigid raiderów - czyli tyle, co na początku - ale jeden z nich przejął Schroeder.

Na czele floty pędził „Scarab” z Van Lewenem, no i pozostał jeszcze jeden mosquito, nieustannie ostrzeliwujący amerykańsko-niemiecką drużynę z powietrza.

Jakieś czterdzieści metrów za sobą Race zauważył pilotowanego przez Doogiego goose'a - wodolot właśnie wypływał zza barki. Doogie zmierzał na środek rzeki, aby mieć dość wolnego miejsca do wystartowania.

Race popatrzył przed siebie.

Trzydzieści metrów w przodzie, po lewej stronie, pędziła wielka łódź dowodzenia.

Na pokład rufowy wybiegło dwóch ludzi i pośpieszyło ku białemu helikopterowi.

Jednego rozpoznał natychmiast. Był to Anistaze.

Drugi był znacznie starszy - tłusty, z byczym karkiem i prawie zupełnie łysy. Race nie znał go, ale podejrzewał, że to o nim właśnie wspominał Schroeder - był to prawdopodobnie dowódca szturmowców, Otto Ehrhardt.

Anistaze i Ehrhardt wskoczyli do beli jet rangera i po chwili łopaty wirnika zaczęły się obracać. Race natychmiast pojął, co się dzieje. Ewakuowali się i zabierali ze sobą Idola...

Nagle kątem oka zauważył jakiś ruch. Prawym przejściem katamarana przesuwała się maleńka, ciemna postać. Wybałuszył oczy.

Renee... Biegła przejściem w kierunku rufy, do piersi przyciskała M-16.

Szła ratować Idola. Sama.

Race ze zdumieniem patrzył, jak Renee wychodzi zza ostatniego zakrętu i otwiera z M-16 ogień do helikoptera. Kilku stojących niedaleko maszyny nazistów zostało trafionych upadło na pokład, ale pozostali natychmiast odpowiedzieli ogniem kałasznikowów.

Renee schowała się za węglem, a naziści ruszyli za nią w pogoń. Niemka wycofała się prawym przejściem burtowym i zaczęła uciekać w kierunku dziobu.

Biegnać, nie przestawała strzelać. Przytrzymała nazistów przy rufowym końcu przejścia, aż udało jej się dotrzeć do dziobowej części.

W tym momencie Race go dostrzegł.

Jeden z komandosów szturmowców przesuwiał się powoli po dachu łodzi - prosto tam, gdzie schowała się Renee. Trzymał wysoko uniesioną broń i poruszał się wolnymi, przemyślanymi krokami. Był poza polem widzenia Renee, skradał się ku niej od góry.

Nie miała żadnej możliwości odkrycia jego obecności.

- Cholera... - jęknął Race, rozglądając się i zastanawiając gorączkowo, co by tu można zrobić.

Jego wzrok padł na wodolot z Doogiem za sterami, który szybko pomykał na falach szukając wolnego pasa wody, właśnie wpływał między pibbera Race'a a katamaran. Race natychmiast dostrzegł szansę. Wyprysnął przez rozbitą przednią szybę sterówki i wspinał się na jej dach, a kiedy goose Doogiego mijał pibbera, wskoczył na skrzydło wodolotu i pobiegł ku niemu.

Był to niesamowity widok. Wodolot pędził między katamaranem dowodzenia nazistów i pibberem, a małeńka figurka William, Race'a - w przemoczonych dżinsach i podkoszulku, z czapką New York Yankees na głowie - biegła po skrzydle, pochylając się i opierając wiatrowi.

Race biegł ile sił, jego stopy poruszały się szybko i pewnie. Skrzydła goose'a miały rozpiętość piętnastu metrów. Katamaran rósł w oczach Race'a, świat za nim rozmazywał się w poziome pasy. Widział Renee, trzymającą w szachu trójkę atakujących ją komandosów, widział zbliżającego się do niej coraz bardziej szturmowca na dachu.

Jak wyprzedzający rywala samochód wyścigowy, goose znalazł się dokładnie na wysokości katamarana. Race dotarł do skraju skrzydła, odbił się od skrzydła, odbił się i....poleciał w powietrzu...

...lądując po chwili miękko jak kot, obiema stopami, na dachu katamarana, tuż obok nazisty, skradającego się do Renee.

Nie zmarnował ani ułamka sekundy. Nie miał broni, mógł więc jedynie rzucić się na przeciwnika i zbodiczkować go. Uderzenie było tak silne, że obaj spadli z dachu.

Szczepieni ze sobą, wylądowali na przednim pokładzie, niedaleko Renee, kryjącej się w dziobowej części przejścia.

Race natychmiast odtoczył się na bok, ale kiedy - wciąż jeszcze nieco zdezorientowany - podniósł wzrok, z przerażeniem ujrzał, że nazista już wstał.

Zobaczył jego twarz. Była to bez wątpienia jedna z najpaskudniejszych gęb, jakie kiedykolwiek widział - długa, asymetryczna i posiekana głębokimi bliznami po ospie. Malowała się na niej wściekłość - czysta, głęboka furia.

Paskudna gęba zaraz jednak zniknęła, zastąpił ją widok kolby kałasznikowa szturmowca. Kolba pomknęła w kierunku twarzy Race'a i - BACH! - cały jego świat poczerwiał.

Renee odwróciła się w chwili, gdy głowa Race'a odskoczyła do tyłu od ciosu. Padł ciężko na pokład, z łomotem uderzając o metal.

- Został znokautowany. Został znokautowany.

Nazista z dziobatą twarzą przez chwilę stał nad nim, a Race podniósł głowę i popatrzył na Renee.

Uniósł broń i uśmiechnął się.

Wodolot wyprzedził katamaran. Znalazł się na wolnej przestrzeni wody, przed całą flotą.

Doogie mocno pchał dźwignię przepustnicy, próbując doprowadzić samolocik do prędkości, przy której mógłby oderwać go od wody, gdy nagle z lewej strony doleciał głośny huk. Maszyna gwałtownie zarzuciła i kiedy Doogie spojrzał w tamtym kierunku, stwierdził, że w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą był ponton stabilizujący, teraz ziele pustka.

Po sekundzie po obu jego stronach pojawiła się para nazistowskich rigid raiderów. Łodzie wyprzedziły wodolot i zaczęły go najeżdżać, a stojący na ich pokładach komandosi walili w przednią szybę samolotu z broni maszynowej.

Doogie ukucnął. Szyba kabiny popękała w tysiące pajęczyn.

Kiedy na ułamek sekundy spojrzał w górę, zobaczył, że jeden z nazistowskich komandosów na prawym rigid raiderze przystawia do ramienia przenośną wyrzutnię rakiet M-72A2 i kieruje ją prosto na jego samolot.

- O rany! - jęknął.

Nazista odpalił rakietę.

Z lufy wyrzutni wystrzelił snop dymu, a Doogie dokładnie w tym samym momencie szarpnął drążkiem sterowniczym w lewo. Goose dziko zakręcił - tak gwałtownie, że czubek pozbawionego pontonu skrzydła dotknął wody, wystrzeliwując wielką fontannę.

Rakieta przeleciała tuż pod uniesionym prawym skrzydłem, mijając je o centymetry, po czym walnęła w drzewa, robiąc z nich stertę drzazg.

Goose Doogiego mknął dalej po rzece - na brzuchu i pozostałym pontonie.

W tym momencie nie wiadomo skąd z rykiem wyskoczył ostatni helikopter nazistów i zaczął wściekle strzelać, siekąc pociskami wodę wokół maleńkiego wodolotu.

- Niech to jasna cholera! - wrzasnął Doogie i znów schował się pod deskę rozdzielczą. - Nie da się jeszcze tego pogorszyć?

W tym momencie usłyszał niecodzienny - choć dla niego znajomy - dźwięk.
PFFFUFFF!

Błyskawicznie okręcił się wokół własnej osi.

Zobaczył dwa pozostałe nazistowskie pibbery, zajeżdżające go od tyłu. Jeden z nich wyrzucił właśnie z pojemnika burtowego torpedę.

Torpeda plasnęła w wodę i pomknęła tuż pod powierzchnią w kierunku goose'a. Doogie przyspieszył.

Oba rigid raidery pędziły po bokach, coraz bardziej zbliżając się do końcówek skrzydeł wodolotu. Najwyraźniej zamierzały go zgnieść.

- Cholera! Jasna, jasna, jasna cholera! - zawył Doogie. Torpeda doganiała go. Pchnął przepustnicę jeszcze bardziej w przód.

Wodolocik mknął po wodzie, otoczony przez wroga z czterech stron - przez rigid raidery po bokach, pibbera sto metrów za rufą i mosquito z góry.

Doogie rozglądał się rozpaczliwie, szukając jakiegoś sposobu wymknięcia się z obławy. Choć samolocik mknął z ogromną prędkością, oba rigid raidery bez trudu dotrzymywały mu kroku. Ich podrasowane silniki ryczały, a załogi z wyraźną satysfakcją obserwowały wysiłki pilota goose'a.

- Nie cieszcie się zbyt wcześnie, faszystowskie dupki... - warknął Doogie - jeszcze nie koniec zabawy.

Torpeda była mniej więcej dwadzieścia metrów za nim. Pchnął przepustnicę do oporu.

Piętnaście metrów - samolocik rozwijał prędkość osiemdziesiąt węzłów.

Dziesięć - dziewięćdziesiąt.

Pięć - sto.

Doogie widział nazistów, śmiejących się z jego rozpaczliwych prób umknięcia przed torpedą.

Dwa metry - sto dziesięć węzłów. Prędkość maksymalna.

Torpeda zaczęła wsuwać się pod Goose'a.

- Nie! - wrzasnął Doogie. - Mały, zrób to dla mnie!

Goose pędził po wodzie.

Naziści śmiali się.

Doogie kłął.

Nagle maleńki samolocik zrobił to, czego nie spodziewał się po nim nikt poza Doogiem.

Uniósł się nad powierzchnię wody.

Uniósł się niewiele, może trzydzieści, czterdzieści centymetrów, ale to wystarczyło.

Straciwszy pierwotny cel, torpeda natychmiast zaczęła szukać następnego.

Wybrała rigid raidera po prawej ręce Doogiego.

Łódź nazistów wystrzeliła w górę, wypchnięta potężną detonacją.

Wodolot opadł na rzekę, wzbijając fontannę wody.

Kiedy pilot mosquito zobaczył, co się stało, wyprysnął przed wodolot, obrócił się po powietrzu o sto osiemdziesiąt stopni i lecąc tyłem tuż przed goose'em, zasypał go pociskami. Doogie znów zanurkował pod deskę.

- Cholerne helikoptery! No dobra, zobaczmy, jak to ci się spodoba!

Gwałtownie szarpnął drążkiem w lewo.

Goose ostro skręcił, czubek skrzydła bez pontonu znów dotknął wody i znalazł się tuż przed ostatnim rigid raiderelem, jaki pozostał nazistom. Jego sternik zareagował zbyt wolno.

Łódź wjechała na ustawione niczym skośna rampa skrzydła wodolotu i pomknęła po wzmacnianych skrzydłach. Aluminiowy kadłub przez chwilę z głośnym zgrzytem przesuwiał się w górę, a potem - ZZZSZSZSZUMMM - rigid raider wystrzelił za prawą krawędź skrzydeł prosto w powietrze i huknął w kadłub mosquito, unoszącego się tuż nad pochylonym mocno na bok wodolotem.

Helikopterem rzuciło w bok - zatoczył się jak trafiony w nos bokser - kabina rozprysnęła się na tysiące kawałków i maszyna eksplodowała w wielkiej kuli ognia.

Doogie obejrzał się i popatrzył na pobojowisko za swoimi plecami - na tonącą powoli, poczerniałą skorupę storpedowanego rigid raidera, zwęglone resztki mosquito i drugiego rigid raidera, zwalającego się na wodę z potężnym chlupotem.

- Przełknijcie to, dranie! - zawołał.

Otumaniony, zdezorientowany i czujący piekielny ból głowy William Race został wprowadzony pod broń na pokład rufowy katamarana.

Obok niego szła Renee, popychana przez nazistę z paskudną gębą, którego Race nazwał w myśli „Dziobatym”. Kiedy Dziobaty ich pokonał, krzyknął do kolegów z drugiego końca przejścia, żeby przerwali ogień. Potem poprowadził jeńców na rufowe lądowisko helikopterów, skąd właśnie miał startować biały jet ranger.

Anistaze natychmiast zauważył nadchodzącą trójkę i otworzył drzwiczki helikoptera.

- Dawaj mi ich tu! - krzyknął.

Van Lewen pędził przed flotą na „Scarabie”.

Siedział przy sterze i płynął z taką prędkością, że jedynie tylna część pojazdu dotykała wody. Łomot podwójnych silników, po czterysta pięćdziesiąt koni każdy, dudnił mu w uszach.

Odwrócił się w siodełku akurat w chwili, gdy biały beli jet ranger wzbijał się w powietrze.

- Cholera... - zaklął.

Schroeder miał kłopoty.

Jego rigid raider płynął z tyłu floty - między dwoma ostatnimi nazistowskimi pibberami, które strzelały do niego jak do kaczki.

Schroeder próbował robić uniki, ale przeciwnik był za blisko i poruszał się zbyt szybko.

Nagle - PLAK PLAK PLAK! - w burcie jego rigid raidera pojawiła się linia dziur, a trzy pociski z serii trafiły go w nogę, wyrwijąc w udzie trzy poszarpane rany.

Padł na podłogę i zacisnął zęby, hamując krzyk bólu.

Po chwili jakoś udało mu się uklęknąć i złapać za ster.

Popatrzył do przodu, by oszacować, jakie siły zostały na polu walki. Widział katamaran, „Scaraba”, wodolot i barkę helikopterową - wszystkie jednostki pędziły mniej więcej sto metrów przed nim.

Widział, jak z katamarana wystartował beli jet ranger. Przed startem wrzucono do jego kabiny Renee i Race'a...

Kolejna salwa trafiła jego łódź. Kule przeleciały Schroederowi po plecach, wbijając się w jego kamizelkę kuloodporną jak w masło. Agent zawył i padł na pokład.

Było jasne, że lada chwila czeka go śmierć.

Jego rany płonęły, końcówki nerwów wyły i był na granicy wstrząsu. Rozpaczliwie rozglądał się w poszukiwaniu czegoś, co by pomogło mu zabrać ze sobą jeszcze kilku nazistów.

Jego spojrzenie zatrzymało się na kevlarowym pudle, które widział już wcześniej. Dopiero teraz jednak zauważył na nim angielski napis.

Zaczął powoli czytać tekst.

Kiedy skończył, jego oczy rozszerzyły się.

Rigid raider Schroedera zostawał coraz bardziej w tyle za resztką floty, dwa pibbery zajeżdżały go coraz ciasniej.

Karl Schroeder leżał na plecach i wpatrywał się w zbierające się w górze burzowe chmury zaciemniające popołudniowe niebo, a życie powoli z niego wyciekało.

Nagle widok zasłoniła mu jakaś paskudna gęba i Schroeder pojął, że nazistowski pibber musiał przycumować do jego łodzi. Było mu to jednak obojętne.

Kiedy nazista przyłożył do ramienia kałasznikowa, Schroeder spokojnie popatrzył w lufę - zrezygnowany, poddany losowi. Nieoczekiwanie uśmiechnął się do siebie.

Szturmowiec zawahał się.

Popatrzył w bok - na leżące przy rannym kevlarowe pudło. Jego pokrywa była otwarta.

W środku było pięć plastikowo-chromowych fiolek, wypełnionych jasnobursztynowym płynem. Każda tkwiła w miękkim zagłębieniu z gąbki.

Nazista natychmiast zorientował się, co widzi. Ładunki izotopowe M-22.

Szóste miejsce w pudle było puste.

Szturmowiec drgnął i znowu spojrzął na Schroedera - agent trzymał szóstą fiolkę w zakrwawionej ręce. Gumowa osłona fiolki była już zerwana, a czerwona klapka, zabezpieczająca przycisk uruchamiający ładunek - podniesiona. Ranny kciukiem przyciskał dźwigienkę. Jego wzrok obojętnie patrzył w przestrzeń.

Nazista wybałuszył z przerażeniem oczy.

- O żesz kurrr...

Schroeder zamknął oczy. Teraz wszystko zależy od Renee i amerykańskiego profesora, pomyślał. Miał nadzieję, że im się uda. Miał też nadzieję, że płynący w przodzie Amerykanie są wystarczająco daleko od niego. Miał nadzieję... Westchnął, puścił przycisk i granat M-22 eksplodował.

Światem wstrząsnęło.

Rigid raidera otoczyła potężna kula oślepiająco białego ognia, która rozprysnęła się we wszystkie strony.

Długie białe słupy pomknęły między drzewa po obu stronach rzeki, w mgnieniu oka zmieniając je w kupki popiołu.

Równocześnie słup białego ognia runął pod powierzchnię wody, tworząc bulgoczącą, spienioną ścianę, która z prędkością komety zagarniała kolejne metry wody, natychmiast doprowadzając ją do wrzenia i zabijając wszystko po drodze.

Ogień wystrzelił także wysoko w niebo, oślepiająco niczym flesz - musiał być widoczny z kosmosu.

Rozszerzająca się fala białego ognia pomknęła po rzece, ścigając resztki floty.

„Scarab” Van Lewena i goose Doogiego pędziły na przodzie floty - uciekając przed gargantuiczną falą białego światła, połykającą rzekę za ich rufami.

Kiedy M-22 wybuchł, byli dobre trzysta metrów przed rigid raiderem Schroedera.

Pozostałe łodzie - ostatnia barka, dwa pibbery i katamaran - były znacznie bliżej centrum wybuchu. Rozszerzająca się błyskawicznie fala białego światła przez chwilę unosiła się nad nimi niczym jakiś mitologiczny potwór, a potem nagle, w ułamku sekundy, opadła na barkę i pibbery i wchłonęła je, po czym kontynuowała swój żarłoczny pęd naprzód.

Następnym celem była jednostka dowodzenia. Potężny katamaran robił, co mógł, aby oddalić się od ścigającej go ściany rozżarzonej energii, ale przypominało to wysiłki nosorożca, próbującego umknąć przed parowozem.

Fala światła była zbyt szybka.

Tak jak zrobiła to z barką i pibberami, wciągnęła katamaran do swego wnętrza i w ułamku sekundy unicestwiła go.

Potem tak samo szybko jak powstała, zaczęła maleć i niknąć. Bardzo szybko straciła cały impet i grozę.

Van Lewen patrzył na płonącą rzekę. Nad drzewami unosiła się gigantyczna chmura dymu, szybko jednak rozbił ją subtropikalny deszcz, który właśnie zaczął padać.

Sierżant rozejrzał się wokół i stwierdził, że jego „Scarab” i goose Doogiego są jedynymi jednostkami, które ocalały.

Coś jednak jeszcze pozostało po wścieklej pogoni, jaka się właśnie odbyła.

Biały, unoszący się wysoko na niebie beli jet ranger.

PIĄTA INTRYGA

WTOREK, 5 STYCZNIA, GODZINA 18.15

- Kim jesteście?! - krzyknął Otto Ehrhardt po niemiecku, uderzając Renee mocno w twarz.

- Mówiłam już! Nazywam się Renee Becker i jestem agentką Bundeskriminalamt!

Biały helikopter leciał nisko nad rzeką, kierując się na wschód, Race i Renee siedzieli w tylnej części kabiny, oboje byli skuci kajdankami. Przed nimi siedzieli Ehrhardt, Anistaze i Dziobaty.

Samotny pilot z przodu prowadził maszynę. Ehrhardt popatrzył na Race'a.

- A kim ty jesteś?

- Jest Amerykaninem... - powiedziała Renee. Ehrhardt znów ją uderzył. Mocno.

- Nie ciebie pytałem. - Odwrócił się do Race'a. - Więc? FBI czy może Marynarka Wojenna? A może SEAL? Cholera, musisz być z SEAL, jeśli tak załatwisz łódki...

- Jesteśmy z DARPA - odparł Race.

Dowódca nazistów zmarszczył czoło, ale po chwili zaczął cicho chichotać.

- Nie, nie jesteście. - Pochylił się do przodu i niemal dotknął tłustą gębą twarzy Race'a.

Race o mało nie zwymiotował.

Ehrhardt był obrzydliwy - był groteskowo tłusty, jego ciało śmierdziało, a pełna jak księżyc twarz była uosobieniem zła. Kiedy mówił, spomiędzy jego warg wylatywała cienka strużka śliny, a oddech cuchnął.

- Współpracuję z doktorem Frankiem Nashem - powiedział Race, rozpaczliwie próbując zachować zimną krew. - Jest pułkownikiem w stanie spoczynku i pracuje dla Agencji Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych, współdziałającej z Siłami Lądowymi Stanów Zjednoczonych.

- Z Frankiem Nashem, hę? - wycedził nazista, owiewając twarz Race'a paskudnym, gnijącym oddechem.

- Zgadza się.

- Więc kim ty jesteś, człowieczku udający bohatera? - warknął Ehrhardt i zerwał Race'owi z głowy bejsbolówkę.

- Nazywam się William Race - odparł Race, łapiąc czapkę skutymi rękami - i jestem profesorem języków starożytnych na Uniwersytecie Nowojorskim.

- Ach! Więc to ciebie wzięli do przetłumaczenia manuskryptu. Bardzo dobrze, znakomicie... Zanim cię zabiję, panie Williamie Race, profesorze języków starożytnych na Uniwersytecie Nowojorskim, sprostuję pewne nieporozumienie...

- To znaczy?

- Frank Nash nie pracuje dla DARPA.

- Słucham? - zdumiał się Race.

- I na pewno nie jest w stanie spoczynku. Wręcz przeciwnie - jest jak najbardziej aktywny. Pułkownik Francis K. Nash jest szefem Wydziału Projektów Specjalnych Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych.

- Co takiego?!

Race nic już nie rozumiał. Dlaczego Nash miałby mówić, że pracuje dla DARPA, jeśli nie pracował dla agencji?

- Aha! - Ehrhardt klasnął w dłoń. - Uwielbiam widzieć na twarzy człowieka tuż przed jego śmiercią minę, świadczącą o tym, iż zrozumiał, że go zdradzono!

Race był coraz bardziej zdezorientowany.

Zupełnie nie wiedział, co myśleć.

Nawet jeśli Nash nie pracował dla DARPA, jakie miało to znaczenie? Supernowa była projektem Sił Lądowych, a Nash pracował dla Projektów Specjalnych Sił Lądowych.

Chyba że...

Ehrhardt odwrócił się do Anistazego.

- No proszę! Mamy więc i armię amerykańską. Co na to powiesz?

- Musi być jeszcze jeden kret - odparł tamten, jakby był sam na sam z Ehrhardtem.

- W DARPA?

Anistaze skinął głową.

- Wiemy o kontakcie z amerykańskimi terrorystami, ale o tym nie wiedzieliśmy...

- Co tam! - Ehrhardt machnął ręką. - To i tak nie ma znaczenia, bo mamy Idola.

- Co chcecie dzięki temu osiągnąć? - spytała buntowniczo Renee. - Zamierzacie zniszczyć świat?

Ehrhardt uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie zamierzam niszczyć świata, Fraulein Becker. Daleki jestem od tego. Zamierzam go przebudować. Uporządkować na nowo - we właściwy sposób.

- Za pomocą czego? Stu miliardów dolarów? O to tylko chodzi? O pieniądze?

- Droga Fraulein Becker, czy pani horyzonty na tym się kończą? Pieniądze... nie chodzi o pieniądze. Chodzi o to, co pieniądze mogą sprawić. Sto miliardów dolarów - PUH! - to nic. To jedynie środek do celu.

- A jaki jest cel? Ehrhardt zmrużył oczy.

- Sto miliardów dolarów kupi mi nowy świat.

- Nowy świat?

- Fraulein Becker... do czego, pani zdaniem, dążę? Do zdobycia własnego państwa? Do osiągnięcia starego celu hitlerowców, czyli stworzenia aryjskiego narodu z rasą panów u władzy i rządzonymi przez nich podludźmi? Nic podobnego!

- Więc czego pan chce? Jak można kupić „nowy świat”? - Rzucając na światowe rynki finansowe akcje za sto miliardów dolarów po cencie sztuka.

- Co?!

- Amerykańska gospodarka jest w bardzo niepewnej sytuacji - najbardziej niestabilnej od pięćdziesięciu lat. Skumulowany dług zagraniczny zbliża się do poziomu ośmiuset trzydziestu miliardów dolarów, co roku powstaje nowy deficyt budżetowy.

Przyszłość Stanów Zjednoczonych zależy od stabilnej waluty, którą mogłyby zostać spłacone długi. Jeśli jednak wartość waluty drastycznie spadnie, powiedzmy do jednej czwartej obecnej siły nabywczej, Ameryka nie będzie mogła spłacić swoich długów i stanie się bankrutem. Za pomocą moich stu miliardów dolarów zamierzam zniszczyć amerykańską gospodarkę. - Oczywiście Ehrhardta błyszcząły. - Od drugiej wojny światowej ten świat był światem amerykańskim. Zmuszano go do przyjmowania amerykańskiej kultury, kazano mu znosić dominację amerykańskiego handlu. Zniszczę bezlitosną politykę niewolnictwa gospodarczego, prowadzoną i akceptowaną przez rząd amerykański. Z moich kalkulacji wynika, że rzucenie na rynki światowe stu miliardów dolarów wystarczy do osłabienia dolara amerykańskiego poza granicę jego wytrzymałości. Amerykańskie przedsiębiorstwa stracą wszelką wartość. Amerykanie nie będą w stanie niczego kupić, ponieważ ich waluta będzie mniej warta od papieru, na którym została wydrukowana. Zamienię Stany Zjednoczone w żebraka i świat zacznie się od nowa. To właśnie zrobię, Fraulein Becker. Zbuduję sobie nowy świat.

Race nie wierzył własnym uszom.

- Nie może pan mówić tego poważnie...

- Nie? Popatrzcie na George'a Sorosa. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku premier Malezji publicznie obwinił go o spowodowanie kryzysu ekonomicznego w Azji poprzez rzucanie na rynek dużych ilości azjatyckich walut. A to był tylko jeden człowiek - jeden człowiek! - i nie miał nawet jednej dziesiątej tego, czym ja będę dysponował! No ale ja zamierzam złowić znacznie większą rybę...

- A jeśli nie dadzą wam pieniędzy? - spytała Renee.

- Dadzą. Dadzą, bo jestem jedynym człowiekiem na świecie, posiadającym działającą Supernową.

- A jeśli mimo wszystko nie dadzą?

- Wtedy zdetonuję urządzenie.

Nazistowski generał obrócił się w fotelu i wyjrzał przez przednią szybę helikoptera. Race i Renee podążyli za jego wzrokiem.

Ujrzeli imponujący widok.

Przed nimi aż po horyzont rozciągał się amazoński las deszczowy - przeogromny

dywan niekończącej się zieleni.

W niezbyt wielkiej odległości od helikoptera w zielonej płaszczyźnie była jednak przerwa - wcinający się w ziemię olbrzymi brązowy, stożkowy krater.

Znajdował się tuż przy rzece i miał prawie kilometr średnicy. We wnętrzu krateru wiły się drogi dla ciężarówek, schodzące łagodnymi spiralami do samego dna. Na skraju tej wielkiej dziury w ziemi zainstalowano potężne reflektory, oświetlające wnętrze niczym stadion.

Pośrodku krateru, wysoko na sieci mocno naciągniętych lin, zawieszona była duża, biała, przypominająca sześcian struktura - prawdopodobnie coś w rodzaju pomieszczenia sterowania - z dużymi oknami z każdej strony.

Prowadziły do niej dwa wiszące mosty, spinające przeciwległe ściany krateru i biegnące w linii północ-południe. Każdy most miał przynajmniej czterysta metrów długości i zrobiono go z grubych, stalowych lin.

Była to kopalnia, kopalnia złota Madre de Dios.

Bell jet ranger wylądował na pontonowym lądowisku helikopterów, unoszącym się na rzece niedaleko skraju wielkiej kopalni odkrywkowej.

Kopalnia znajdowała się bezpośrednio przy południowym brzegu rzeki Alto Purus i była z nim połączona rozpadającymi się, starymi budynkami - trzema przypominającymi magazyny konstrukcjami, mocno nadszarpniętymi zębem czasu.

Największy z budynków stał na palach i był wysunięty nad rzekę. Wzdłuż długiego boku miał szereg wielkich drzwi, przypominających wjazdy do garaży, dzięki czemu można było przechowywać w nim łodzie i wodoloty. Race podejrzewał, że w minionych latach właśnie tutaj ładowano złoto na należące do kompanii pojazdy.

Dziś barak pełnił inne zadanie.

Pozwalał nazistom ukryć armadę łodzi, helikopterów i wodolotów przed wszędobylskimi oczami amerykańskich satelitów szpiegowskich.

Kiedy pilot postawił helikopter, wcisnął klawisz i zardzewiałe drzwi garażowe po lewej zaczęły się natychmiast otwierać, a jakiś podwodny mechanizm pociągnął ponton, na którym stał helikopter.

Race popatrzył w górę.

Po chwili niebo nad nimi zniknęło, a na jego miejscu pojawił się spód dachu baraku - skomplikowana koronka stalowych wsporników i ciemnych drewnianych rozpórek.

Race rozejrzał się po „magazynie”.

Był wielki - miał mniej więcej rozmiary lotniskowego hangaru - a wnętrze oświetlały stożkowe halogeny, zawieszane pod dachem.

„Podłoga” hali była niezwykła. Tworzyła ją woda rzeki. Od jednej ze ścian odchodził długi, wąski pomost, który rozgałęział się na kilkanaście mniejszych,

prostopadłych pomostów - miejsc do cumowania dla łodzi i samolotów, które przybywały po złoto.

Przez całą długość głównego pomostu - na jego wysokości - biegł taśmociąg. Potem opadał w dół i wychodził z hangaru przez dziurę w ścianie od strony lądu.

Race podejrzewał, że wychodząca z hangaru część taśmociągu schodzi daleko w głąb stożka krateru - przypuszczalnie do jakiejś półki ładunkowej, a może nawet na samo jego dno.

Najprawdopodobniej ładowano złoto na taśmociąg głęboko pod poziomem ziemi, potem biegnący tunelem taśmociąg wydobywał je na powierzchnię i dostarczał do hali, gdzie ładowano je na łódź albo samolot.

Powoli poruszający się ponton, na którym stał helikopter, zatrzymał się przy jednym z cumowisk. Zamierające łopaty wirnika zwisały nad taśmociągiem, połyskując w blasku halogenów.

Z oszklonego biura, graniczącego z halą od strony lądu, wyszło czterech mężczyzn.

Trzech było ubranych w białe laboratoryjne kitle - prawdopodobnie byli naukowcami. Czwarty miał na sobie mundur polowy i niósł G-11.

Jeden z mężczyzn w kitlach był znacznie niższy od pozostałych dwóch i znacznie starszy - był drobnusieńkim, przygiętym wiekiem staruszkim o długich siwych włosach i wielkich okrągłych oczach, powiększonych przez grube okulary. Race podejrzewał, że jest to doktor Fritz Weber - utalentowany niemiecki naukowiec, o którym mówili Schroeder i Nash.

Jeśli nie liczyć czwórki mężczyzn, cała hala była wyludniona.

Nie ma tu nikogo więcej, pomyślał Race.

Naziści musieli zabrać wszystkich swoich ludzi do Vilcafor, na akcję przejęcia Idola. Została im obecna tu czwórka oraz Anistaze, Ehrhardt, Dziobaty i pilot.

- Unterscharführer - powiedział Ehrhardt do Dziobatego, kiedy helikopter zatrzymał się z szarpnięciem. - Bądź tak miły i zabierz profesora Race'a i agentkę Becker do dołu na odpadki, zastrzel ich i zakop.

Race i Renee szli ścieżką przez las, na zachód od wielkiego magazynu.

Dziobaty i jeszcze jeden żołnierz - jedyny, jaki pozostał w kopalni - popychali ich swoimi G-11.

- Masz jakiś pomysł, jak się z tego wygrzebać? - spytał Race idącą obok niego spokojnie Renee.

- Żadnego - odparła.

- Sądziłem, że masz jakiś plan albo coś w tym stylu. No wiesz, asa w rękawie.

- Nie mam planu.

- Czy to znaczy, że zginiemy?

- Na to wygląda.

Wyszli z za zakrętu ścieżki i Race aż jęknął, gdy jego zmysł węchu zaatakował odór zgnilizny. Po chwili cała czwórka dotarła do końca ścieżki i ujrzeli przed sobą wielką stertę śmieci. Miała przynajmniej pięćdziesiąt metrów długości, a składały się na nią stare opony, gnijące resztki jedzenia i innych odpadków, pozgniatane kawały metalu i kilka zwierzęcych truchła.

„Dół” na odpadki.

- Na kolana, oboje! - warknął Dziobaty. Opadli na kolana.

- Ręce na kark! Spletli palce za głowami. KLIK KLIK.

Drugi żołnierz odbezpieczył karabin, zrobił dwa plaskające kroki przez błoto i przystawił Race'owi lufę do potylicy. To nie tak ma się odbywać! - krzyczał jakiś głos w głowie Race'a. To się dzieje za szybko! Nie powinni się bardziej grzebać?

Dać człowiekowi szansę... szansę na...

Patrzył przed siebie, by nie widzieć karabinu. Zagryzł wargi, zamknął oczy i poddał się beznadziejności sytuacji. Czekał na goniec.

Po chwili rozległ się strzał.

BANG!

Nic się nie stało.

Race w dalszym ciągu miał zamknięte oczy.

G-11 wystrzelił, ale z jakiegoś powodu - dziwnego powodu - głowa Race'a była w dalszym ciągu tam, gdzie przedtem.

Nagle - DUMP! - w błoto obok niego plasnęło martwe ciało.

Race otworzył oczy i spojrzał za siebie.

Za jego plecami stał Dziobaty i kierował lufę G-11 w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą była głowa jego kolegi-żołnierza.

Martwy nazista leżał teraz twarzą w błocie, a z dziury w jego potylicy wysączała się paskudna mieszanka krwi i mózgu.

- Uli! - powiedziała Renee i wstała. Podbiegła do Dziobatego i serdecznie go objęła.

Race'owi zakręciło się w głowie.

Uli?

Renee klepnęła wielkiego ospowatego nazistę w pierś.

- Czemu to tak długo trwało? O mało nie wyskoczyłam ze skóry.

- Przepraszam cię, Renee, ale musiałem odprowadzić was wystarczająco daleko od hangaru dla łodzi. Inaczej domyśliliby się, że coś jest nie tak.

Race popatrzył na człowieka o imieniu Uli.

- Jest pan z BKA, tak?

- Tak - odparł wielkolud z uśmiechem. - A pańskie dobre intencje uratowały panu

życie, profesorze Race z Uniwersytetu Nowojorskiego. Próbując ratować Renee na katamaranie, zaatakował pan odpowiedniego człowieka. Gdybym był prawdziwym nazistą, zastrzeliłbym pana na miejscu. Nazywam się Uli Pjec i i jestem agentem BKA, ale tutaj jestem Unterscharfuhrerem Ulim Kahrem.

Kawałki układanki zaczęły do siebie pasować.

- Manuskrypt... - powiedział Race. - To pan zdobył dla BKA kopię.

- Zgadza się - odparł Uli i popatrzył na Race'a z uznaniem.

Race przypomniał sobie, jak Karl Schroeder mówił Nashowi, że BKA planowało zdobyć Idola przed nazistami. Dokładnie pamiętał jego słowa: „Aby tego dokonać, zdobyliśmy kopię Manuskryptu Santiaga i użyliśmy go, by się tu dostać”.

Już wtedy powinien był się domyślić, że BKA ma swojego człowieka w organizacji szturmowców.

Egzemplarz posiadany przez BKA był odbitką kserograficzną oryginalnego Manuskryptu Santiaga, skradzionego przez szturmowców z opactwa San Sebastian w Pirenejach Francuskich, musiał więc pochodzić od kogoś znajdującego się w organizacji Ehrhardta. Od szpiega. Od Ulego.

- Chodźcie - powiedział Uli, przestępując nad ciałem zabitego nazisty. Zabrał trupowi broń, G-11 kilka granatów rzucił Renee, a kevlarową kamizelkę i pistolet Glock-20 Race'owi. - Szybko, musimy powstrzymać Ehrhardta, zanim uzbroi Supernową!

Heinrich Anistaze i Otto Ehrhardt stali w jednym z oszklonych pomieszczeń w hangarze na łodzie - otaczały ich szeregi radionadajników i innych urządzeń komunikacyjnych.

Przed nimi stał doktor Fritz Weber - były członek grupy fizyków, konstruujących dla Hitlera bombę atomową, hitlerowski naukowiec, który w czasie drugiej wojny światowej prowadził eksperymenty na ludziach i został za to skazany na śmierć. Choć miał osiemdziesiąt pięć lat, był zgarbiony i miał powykręcane reumatyzmem kończyny, jego umysł był bystry jak zwykle.

Trzymał w wyciągniętych rękach Idola.

- Jest piękny - stwierdził.

Weber był o dziesięć lat starszy od Ehrhardta i niższy od niego o ponad pół metra - wyglądał przy dowódcy szturmowców jak gnom. Miał twarde, zimne oczy i einsteinowską grzywę siwych, pływających do ramion włosów.

- Co mówią amerykańskie i europejskie rządy? - spytał go Ehrhardt.

- Niemcy i Amerykanie poprosili o więcej czasu na zebranie pieniędzy. Od innych nie ma nic. To sztuczka, zwykła opóźniająca taktyka negocjacyjna. Próbują zyskać na czasie, aż będą pewni, że ich oddziały nie zdobyły Idola.

- Więc pokażmy im, kto go ma - burknął Ehrhardt. Popatrzył na Anistazego. - Zróbcie cyfrowe zdjęcie Idola, opatrście je datą i poślijcie pocztą elektroniczną do Bonn i Waszyngtonu. Przekażcie prezydentom, że urządzenie zostało uzbrojone i ustawione na detonację za dokładnie trzydzieści minut. Zostanie rozbrojone jedynie w przypadku, gdy otrzymamy w tym czasie potwierdzenie przekazania stu miliardów dolarów na nasze konto w Zurychu.

- Tak jest! - odparł Anistaze, po czym podszedł do kamery i włączył ją.

- Doktorze Weber - powiedział Ehrhardt.

- Tak, Oberstgruppenführer! - Kiedy Obersgruppenführer skończy filmować, zabierz Idola do pomieszczenia sterowania i uzbrój Supernową. Ustaw zegar na pół godziny i natychmiast go uruchom.

- Tak jest, Oberstgruppenführer.

Race, Renee i Uli biegli ścieżką w kierunku hangaru z łodziami.

Uli i Renee mieli G-11, a Race małego glocka, którego Uli odebrał zabitemu przez siebie naziście.

Race zarzucił na podkoszulek czarną kevlarową kamizelkę ochronną nazisty. Do tej pory nie zwracał większej uwagi na używane przez wroga osłony, teraz jednak dokładniej przyjrzał się kamizelce.

Po pierwsze, była niezwykle lekka i absolutnie nie krępowała ruchów. Po drugie, na plecach znajdowało się dziwne, ukształtowane w literę A urządzenie, zakrywające łopatki. Przypominało nieco zamontowany z tyłu samochodu spojler i było tak wpasowane w kamizelkę, że nawet z bliska trudno je było zauważyć.

Jak zwykle - choć nieco gryzło się to z ultranowoczesną kamizelką kuloodporną - Race miał na głowie bejsbolówkę Yankees.

- Zdjęcie gotowe - powiedział Anistaze. - Wysyłani. Ehrhardt spojrzął na Webera.

- Uzbroić Supernową.

Weber chwycił Idola i szybko wyszedł z biura. Ehrhardt podążył za nim.

- Tam! - krzyknęła Renee, wskazując na długie wiszące mosty, łączące brzegi krateru ze znajdującym się w jego środku pomieszczeniem kontrolnym.

Race wyteżył wzrok i ujrzał dwie maleńkie figurki - tłustego wielkoluda i małego mężczyznę w kitlu laboratoryjnym - podskakujące na nowoczesnym moście linowym.

Mniejszy mężczyzna niósł coś pod pachą. Przedmiot zawinięty w purpurowy materiał. Idola.

Uli i Renee zeszli ze ścieżki, wbiegli między krzewy i ruszyli skrótem w kierunku krateru. Race podążył za nimi.

Kilkanaście sekund później cała trójka dotarła do krawędzi wielkiej kopalni i popatrzyła na most.

- To Ehrhardt i Weber - powiedział Uli. - Niosą Idola do Supernowej!
- I co teraz? - spytał Race.
- Supernowa znajduje się w pomieszczeniu sterowani, wiszącym nad kopalnią. Prowadzą do niego dwa mosty - jeden od północy, drugi od południa. Musimy się tam jakoś dostać i rozbroić urządzenie.
- Ale jak?
- Aby je rozbroić, trzeba znać kod.
- Jak on brzmi?
- Nie wiem. Nikt tego nie wie. Nikt poza Fritzem Weberem. To on skonstruował urządzenie i tylko on zna neutralizujący je kod.
- Wspaniale... - mruknął Race.
- Słuchajcie - powiedział Uli - jestem jedyną osobą, która może dostać się do pomieszczenia sterowania. Jeżeli zobaczą kogoś z was, natychmiast zrzucą mosty i odizolują się. A potem - jeśli nie dostaną pieniędzy - zdetonują Supernową. Spodziewają się mnie jednak z powrotem, sądzą, że was zabiłem. Pójdę tam, a jeśli uda mi się opanować pomieszczenie sterowania, spróbuję... przekonać... Webera, by ujawnił mi kod.
- A co my mamy robić?
- Jeśli mam mieć jakąkolwiek szansę, muszę być z Weberem sam na sam. Wy tymczasem zneutralizujcie Anistazego i pozostałych ludzi w hangarze z łodziami.

Dokładnie dwieście dziesięć metrów nad dnem krateru doktor Fritz Weber wciskał klawisze na konsolecie komputera. Po chwili stojące obok niego laserowe urządzenie do cięcia twardych materiałów zabrało się do umieszczonego w komorze próżniowej Idola.

Ehrhardt stał za Weberem, a za Ehrhardtem - dokładnie pośrodku - stało imponujące, dwumetrowe, srebrzyste chromowane urządzenie.

W szklanym cylindrze umieszczono dwie termonuklearne głowice bojowe - każda miała mniej więcej metr wysokości i miała kształt stożka. Głowice zostały ustawione w ten sposób, że szpic górnej był skierowany do dołu, a dolnej ku górze - dzięki czemu cała konstrukcja przypominała gigantyczną klepsydrę. Między głowicami - w wąskim gardle między ich wierzchołkami - znajdował się szkielet z tytanu, w którym należało umieścić subkrytyczną masę tyru. To właśnie była Supernowa.

Obok niej stały dwa wyłożone ołowiem pojemniki o wielkości standardowego kontenera na śmieci. Były to niezwykle wytrzymałe, odporne na promieniowanie kapsuły, używane do bezpiecznego transportu głowic atomowych.

Konwencjonalna broń jądrowa potrzebowała nieco ponad dwóch kilogramów plutonu. Z obliczeń Webera wynikało, że Supernowa będzie potrzebowała znacznie

mniej materiału rozszczepialnego - mniej więcej dziesięć dekagramów tyru. Z tego właśnie powodu - za pomocą dwóch superkomputerów Cray YMP i potężnej mocy lasera, który mógł ciąć obiekty z dokładnością tysięcznej milimetra - fizyk wycinał z Idola cylinder tym.

Od czasu gdy w latach czterdziestych J. Robert Oppenheimer kierował w Los Alamos pracami nad budową amerykańskiej bomby atomowej, fizyka jądrowa przeszła długą drogę.

Przy użyciu wielozadaniowych superkomputerów, takich jak Cray, można było w ciągu kilku minut określić wielkość, masę oraz inne parametry radioaktywnego rdzenia. Można go było też oczyścić za pomocą gazu obojętnego, wzbogacić w protony i nasilić jego promieniowanie alfa.

Wszystkie skomplikowane obliczenia matematyczne - najważniejsza część całego procesu, która zajęła Oppenheimerowi i jego posługującemu się prymitywnymi komputerami zespołowi superumysłów sześć lat - mogły zostać wykonane przez YMP w kilka sekund.

Tak naprawdę to najtrudniejsze było samo zbudowanie urządzenia. Nawet mając do pomocy superkomputery, Weber potrzebował na to ponad dwóch lat.

Podczas gdy laser ciął kamień zgodnie z ustalonym stosunkiem wagi do objętości, opartym na masie atomowej tyru, fizyk wprowadził do jednego z komputerów kilka skomplikowanych wzorów matematycznych.

Po chwili laser tnący głośno zapiszczał i przeszedł w tryb oczekiwania.

Zadanie zostało zakończone.

Weber podszedł i wyłączył urządzenie. Używając mechanicznego chwytaka - ludzka ręka byłaby za mało precyzyjna - wyjął niewielki cylinder z podstawy Idola.

Następnie umieścił wycięty z posążka element w komorze próżniowej i włączył urządzenie, które zaczęły bombardować go atomami uranu oraz promieniowaniem alfa, co zmieniło kawałeczek tyru w subkrytyczną masę najpotężniejszej substancji, jaka kiedykolwiek istniała na Ziemi.

Kilkadziesiąt sekund później mechaniczne ramię przeniosło komorę próżniową do Supernowej i wsunęło ją - razem z tyrem - do tytanowego szkieletu, umieszczonego między głowicami bojowymi.

Supernowa została skompletowana.

Subkrytyczna masa tyru wisiała teraz poziomo w próżniowym pojemniku i każdy, kto by zobaczył w tej chwili Supernową, z pewnością uznałby, że zaklęta w niej została boska moc.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że była to prawda. Przez stojące wokół ekrany przelatywały miriady danych. Po jednym z ekranów - oznakowanym **RADIOGRAFICZNE HYDRODYNAMICZNE URZĄDZENIE DWUBIEGUNOWE**

- sunął niekończący się ciąg zer i jedynek.

Weber patrzył jednak tylko na ekran przed sobą i zaczął pisać na zamocowanej przed Supernową klawiaturze. Na ekranie natychmiast pojawił się napis.

WPROWADZENIE KODU UZBRAJAJĄCEGO

Weber wprowadził go.

SUPERNOWA UZBROJONA

Weber wpisał: ROZPOCZĘCIE SEKWENCJI CZASOWEJ DETONACJI.

SEKWENCJA CZASOWA DETONACJI ROZPOCZĘTA. WPISAĆ CZAS SEKWENCJI.

Weber wpisał: 30.00

Ekran natychmiast się zmienił - pojawił się na nim napis:

MASZ 00:30.00 MINUT DO WPISANIA KODU ROZBRAJAJĄCEGO WPISZ KOD ROZBRAJAJĄCY TUTAJ

Weber popatrzył na ekran i wziął powoli głęboki wdech.

Potem stuknął palcem w klawisz ENTER.

00:29.59

00:29.58

00:29.57

- Gdzie jest Unterscharführer Kahr? - spytał Heinrich Anistaze w powietrze, wyglądając z biura w hangarze dla łodzi na gigantyczny krater. - Ty! - powiedział i rzucił radio jednemu z dwóch techników w białych kitlach, którzy stali nieopodal przy komputerze. - Idź do wysypiska śmieci i sprawdź, co zajmuje mu tak wiele czasu.

- Tak jest!

Renee i Race biegli tak szybko, że zatrzymali się na ścianie hangaru dla łodzi, waląc w nią z łomotem.

Chwilę przedtem Uli zostawił ich i ruszył w kierunku krateru i północnego mostu linowego.

Renee zajrzała do wnętrza hangaru zza skraju otwartych drzwi garażowych.

W środku było pusto - między oszklonymi biurami po ich prawej ręce a miejscami do cumowania po lewej nikogo nie było widać.

Nic się nie ruszało. Nie było żywej duszy.

Kiwnęła Race'owi głową.

- Gotów?

Race odpowiedział, mocniej ściskając glocka:

- Gotów.

Renee szybko wysunęła się zza węgła. Trzymała G-11 wysoko, kolbę mocno

przyciskała do ramienia.

Race właśnie zamierzał ruszyć za nią, gdy nagle tuż za nim otworzyły się drzwi i musiał paść na ziemię. Schował się za starą beczką po ropie.

Na zewnątrz wybiegł młody technik - był ubrany w biały kitel laboratoryjny i trzymał w ręku radionadajnik - i pospieszył ścieżką w kierunku śmietniska.

Race wstrzymał oddech.

Technik zamierzał iść na wysypisko śmieci - na którym znajdzie jedynie martwego nazistę.

Cholera... Uli...

Co zrobić? Iść za chłopakiem... i co? Zabić go z zimną krwią? Wbrew wszystkiemu, czego do tej pory dokonał, nie był pewien, czy potrafiłby to zrobić. Ale mógł ostrzec Ulego. Cóż, to z pewnością było lepsze wyjście - znacznie lepsze.

Tak więc zamiast iść za Renee do hangaru, ruszył wzdłuż jego ściany w kierunku krateru.

Uli doszedł do północnego mostu wiszącego.

Ciągnął się on daleko do przodu, zwisając łukiem nad mogącą spowodować zawroty głowy ponad dwustumetrową przepaścią, a jego poręcze ze stalowej liny zdawały się zbiegać w oddali jak szyny i kończyły się przy maleńkich drzwiach oddalonego o czterysta metrów pomieszczenia sterowania.

- Unterscharführer - powiedział nagle jakiś głos za jego plecami.

Uli odwrócił się gwałtownie. Stał przed nim Heinrich Anistaze. - Co robicie?

- Chciałem sprawdzić, czy Oberstgruppenführer i doktor Weber nie potrzebują pomocy - odparł Uli nieco za szybko.

- Wyeliminowaliście więźniów?

- Tak jest!

- Gdzie Dieter?

- Poszedł do toalety - skłamał Uli.

W tym samym momencie technik, którego Anistaze posłał na wysypisko, dotarł do celu.

Natychmiast zobaczył ciało Dietera - leżało twarzą do dołu w błocie, a krew i mózg sączyły się z dziury w jego potylicy.

Nie było Amerykanów. Nie było Ulego. Technik podniósł do ust nadajnik.

- Herr Obergruppenführer - odezwał się głos technika w słuchawce, tkwiącej w uchu Anistazego.

- Tak?

Anistaze w dalszym ciągu stał z Ulim na skraju północnego mostu. Słuchając przekazu, nazistowski komendant lekko stukał czterema palcami w udo.

- Dieter nie żyje. Powtarzam: Dieter nie żyje. Nigdzie nie widzę więźniów ani

Unterscharführera Kahra.

- Dziękuję - odparł Anistaze, patrząc na Ulego. - Bardzo dziękuję. - Jego wzrok wwiercił się w ospowatego Niemca. - Gdzie są więźniowie, Unterscharführer! - Słucham, Obergruppenführer! - Gdzie są więźniowie?! - wrzasnął Anistaze.

W tym momencie Uli zobaczył w jego prawej dłoni glocka.

Renee szła cicho przez hangar. Jej broń była gotowa do strzału.

Race nie poszedł za nią i dziwiła się, co się z nim mogło stać. Nie mogła jednak czekać - miała zadanie do wykonania.

W hangarze nic się nie poruszało. Taśmociąg po jej prawej, który wychodził z tunelu, stał nieruchomo. W biurze za nim nikogo nie było...

Nagle zawarczał silnik.

Renee odwróciła się gwałtownie.

Zobaczyła, że łopaty wirnika heli rangera zaczynają się powoli obracać.

W tym momencie zauważyła pilota - leżał na podłodze kokpitu, najwyraźniej nieświadomy jej obecności, i naprawiał coś w helikopterze.

Z nagłym wizgiem wirnik helikoptera przyspieszył obroty, łopaty śmignęły i halę wypełnił ogłuszający hałas. Renee omal nie wyskoczyła ze skóry.

Gdyby nie hałas, z pewnością usłyszałyby ciche kroki za sobą. Niestety łoskot topat zagłuszył je całkowicie.

W chwili gdy Renee ruszyła w kierunku helikoptera i pilota, coś ciężkiego trafiło ją w potylicę i pchnęło do przodu. Zwaliała się na podłogę hali jak wór.

- Herr Obergruppenführer... - powiedział Uli, podnosząc ręce. - Co też...

BŁAM!

Glock Anistaze wystrzelił i pojedynczy pocisk wbił się w brzuch dziobatego Niemca. Uli natychmiast zgiął się w pół i padł na ziemię. Anistaze wycedził:

- A więc, Unterscharführer... chyba dobrze zakładam, że to wy jesteście tą świnią z BKA?

Uli przewrócił się na plecy, zaciskając zęby z bólu.

- Brak odpowiedzi - stwierdził Anistaze. - Może powinienem zacząć po kolei odstrzeliwać ci palce prawej ręki, aż powiesz, dla kogo pracujesz? Kiedy skończę, zabiorę się do drugiej ręki.

- Hhrggghhh... - wycharczał Uli.

- Zła odpowiedź - oświadczył Anistaze, wycelował glocka w dłoń Ulego i pociągnął za spust.

Dokładnie w tym momencie zza najbliższego rogu wyskoczył William Race, wpadł na Anistazego jak rozpędzony hokeista i wytrącił mu pistolet z ręki.

Anistaze uderzył w jedną z przypór mostu, na której rozpięta była podtrzymująca go lina, a rozpędzony Race poleciał za nim. Prawa noga Anistazego ześlizgnęła się za

krawędź krateru i wyciągnął rękę, która złapała przedramię Race'a niczym imadło. Zanim Race zdążył się zorientować, co się dzieje, obaj lecieli w dół.

Zsuwali się po ścianie krateru.

Na szczęście ziemne ściany nie były pionowe, lecz nachylone pod kątem mniej więcej siedemdziesięciu pięciu stopni, dzięki czemu zsuwali się, a nie opadali pionowo w dół. Próbując zahamować, kopali jak wściekli, wzbijając potężne chmury pyłu. Przelecieli przynajmniej trzydzieści metrów, zanim ich ciała huknęły o kawałek płaskiej, twardej ziemi.

Renee także huknęła o ziemię i w oczach pokazały jej się gwiazdy.

Przetoczyła się na plecy...

...w tej samej chwili, gdy nazistowski technik miał walnąć ją w twarz kawałem żelaznej rury. Przekręciła ciało w bok i rura uderzyła o podłogę kilka centymetrów od jej głowy.

Błyskawicznie skoczyła na nogi i poszukała wzrokiem swojego G-11. Leżał półtora metra od niej, był poza jej zasięgiem.

Technik znów się zamachnął.

Renee pochyliła się błyskawicznie i kiedy rura śmignęła nad jej głową, natychmiast się wyprostowała i trzasnęła technika w twarz, posyłając go na pobliską ścianę.

Mężczyzna uderzył plecami we wbudowany w ścianę panel sterowania. Musiał przy tym coś wcisnąć, bo w tej samej chwili rozległ się metaliczny stukot jakiejś wbudowanej w ściany hangaru maszyny i wielki, biegnący przez całą jego długość taśmociąg ruszył.

Race'em i Anistazem mocno szarpnęło.

Obaj mężczyźni byli jeszcze oszołomieni po trzydziestometrowym zjeździe skośną ścianą krateru i ledwie udało im się stanąć, ziemia pod ich stopami gwałtownie drgnęła.

Race spojrzął pod nogi.

Wcale nie stali na twardym gruncie! Znajdowali się na taśmociągu - tym samym, który wychodził na powierzchnię ziemi w hangarze dla łodzi.

Taśmociąg przesunął się ku górze.

Race odwrócił się - dokładnie w momencie, gdy do jego twarzy dolatywała zwinięta w pięść czteropalcza dłoń Anistazego. Kiedy cios dosięgnął celu, Race zwałił się na taśmociąg jak wór kartofli.

Anistaze stanął nad nim i nagle świat poczerniał.

W pierwszej chwili Race nie mógł zrozumieć, co się stało. Po chwili jednak

uświadomił sobie, że wjechali na taśmociągu w długi, nieoświetlony tunel, prowadzący w górę, do hangaru dla łodzi.

Na górze, w hangarze, Renee walczyła z technikiem. Łoskot wirujących łopat helikoptera odbijał się ogłuszającym echem we i wnętrzu wielkiej hali.

Technik znów zamachnął się na Renee rurą, zdążyła jednak odskoczyć. Cofając się, zobaczyła, że pilot beli jet rangersa zauważył, co się dzieje przy taśmociągu, i patrzy prosto na nią.

Zaczął wstawać z podłogi helikoptera i w tym samym momencie w drzwiach hangaru pojawił się technik, którego Anistaze posłał na przespīgi na wysypisko śmieci.

Renee widziała ich obu naraz. Jednym płynnym ruchem, równocześnie robiąc unik przed kolejnym uderzeniem rurą, zerwała z pasa dwa granaty - te, które Uli zabrał na śmietniku zabitemu naziście. Wyrwała zawlecarki, obróciła się na pięcie i potoczyła oba granaty po podłodze.

Zaczęły sunąć, podskakując - w dwóch różnych kierunkach. Jeden pomknął w kierunku pontonowego lądowiska, na którym stał helikopter, drugi w stronę stojącego w wejściu technika.

Sto dwadzieścia jeden...

Sto dwadzieścia dwa...

Sto dwadzieścia trzy...

Technik zauważył lecący ku niemu granat o sekundę za późno. Próbował uciec, ale nie miał szansy zdążyć. Granat eksplodował. Technik też.

Drugi granat wtoczył się na platformę i zatrzymał pod smukłym beli jet rangerem. Kiedy wybuchł, rozbił w ułamku sekundy bąbel kabiny i zabił pilota. Podmuchał też podpory helikoptera i kadłub maszyny z łomotem opadł na platformę na pontonie. Łopaty wirnika cały czas się obracały, tworząc rozmazane koło.

Anistaze i Race walczyli, sunąc przez ciemność.

Race wściekle uderzał i część ciosów trafiała, a część nie. Anistaze był jednak znacznie lepszy od niego i wkrótce przygwoździł Race'a plecami do taśmociągu, a potem z pochwy na łydce wyciągnął nóż. Nawet w ciemnościach stromego tunelu Race widział zbliżające się ku jego twarzy błyszczące ostrze.

Złapał oburącz nadgarstek Anistazego i zatrzymał nóż, ale nazista miał lepszą dźwignię i po chwili ostry czubek znowu zaczął zbliżać się do oka Race'a.

Nagle oślepiło ich jaskrawe światło i stromo zjeżdżający taśmociąg gwałtownie przeszedł do poziomu. Wszystko zabujało się, Anistaze stracił na moment równowagę i Race'owi udało się odepchnąć jego nóż.

Rozejrzał się szybko.

Znów był w hangarze na łodzie.

Teraz jednak leżał na taśmociągu, unieruchomiony przez Anistazego, i przesuwiał się w poziomie.

Taśmociąg ciągnął ich obu w kierunku obracających się łopat wirnika helikoptera, które po opadnięciu maszyny na brzuch przecinały powietrze nie więcej jak metr nad taśmociągiem.

Łopaty wirnika były pięć metrów od nich. Kręciły się naprawdę szybko.

Cztery metry.

Anistaze również je zauważył.

Trzy metry.

Race zobaczył walczącą z technikiem Renee.

Ryk silnika helikoptera odbijał się echem od ścian.

Dwa metry.

Anistaze zdecydował się na nową taktykę. Złapał swojego przeciwnika za kłapy kamizelki, poderwał go ku górze i odsunął od siebie na długość ramion. Głowa Race'a znalazła się na wysokości wirujących, ostrych jak noże płatów metalu.

Półtora metra.

Renee wciąż walczyła z technikiem. Między kolejnymi uderzeniami widziała Race'a i Anistazego i zauważyła, jak nazista podnosi Race'a na kolana i odsuwa go od siebie.

Jej oczy rozszerzyło przerażenie.

Anistaze zamierzał obciąć Race'owi głowę śmigłem!

Metr dwadzieścia.

Jej wzrok padł na panel sterujący. W samym środku był przycisk uruchamiający i zatrzymujący taśmociąg...

Metr.

Race widział wirujące tuż za jego głową łopaty i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co zamierza Anistaze.

Trzy czwarte metra.

Próbował się poruszyć, walczyć, ale Anistaze był zbyt silny.

Race patrzył swojemu oprawcy w oczy i widział w nich jedynie nienawiść.

Pół metra.

Śmierć była niemal pewna. Race rozpaczliwie zacharczał.

Ćwierć metra.

Renee uchyliła się przed kolejnym ciosem, błyskawicznie przesunęła się za technika, złapała go brutalnie za włosy na potylicy i walnęła jego głową prosto w panel sterujący.

Taśmociąg zatrzymał się w miejscu.

Race również się zatrzymał - jego kark był dwa centymetry od wirujących ostrzy.

Anistaze zrobił zaskoczoną minę.

- Co się, do cholery...

Race wykorzystał okazję i z całej siły kopnął go w krocze.

Nazista zawył.

Race złapał go za kłapy.

- Uśmiechnij się, skurwielu... - syknął.

Padł na plecy i przetoczył się po taśmociągu kawałek do tyłu - prosto pod wirujące łopaty. Wykorzystując impet i dźwignię, szarpnął nazistę i pociągnął go w pędzące ostrza.

Łopaty wirnika weszły w szyję Anistazego jak piła łańcuchowa w masło, błyskawicznie odcinając mu głowę jednym gładkim, niemal chirurgicznym cięciem.

Race, trzymający nazistę za kłapy kurtki, poczuł, że tryska na niego fontanna krwi.

Jednym ruchem odrzucił bezgłowe ciało i stoczył się z taśmociągu.

Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą zrobił: obciął człowiekowi głowę.

Jezu...

Podniósł głowę i ujrzał przy panelu sterowania Renee - stała okrakiem nad nieprzytomnym nazistowskim technikiem. Uderzenie o panel znokautowało go.

Uśmiechnęła się do Race'a i uniosła kciuki.

Race opadł bez sił na ziemię.

Ledwie dotknął głową ziemi, już była przy nim Renee.

- Jeszcze nie teraz, profesorze - powiedziała, stawiając go na nogi. - Jeszcze nie czas na odpoczynek. Chodź, musimy powstrzymać Ehrhardta przed zdetonowaniem Supernowej.

W znajdującym się nad kopalnią pomieszczeniu sterowania zegar i ekranie podłączonego do Supernowej laptopa odliczał czas.

00:15.01

00:15.00

00:14.59

Ehrhardt wcisnął klawisz radia.

- Obergruppenführer! Nie było odpowiedzi.

- Anistaze, gdzie jesteś?! Dalej nic.

Ehrhardt odwrócił się do Fritza Webera.

- Coś jest nie tak. Anistaze nie odpowiada. Uruchom urządzenia zabezpieczające i odizoluj pomieszczenie sterowania.

- Tak jest!

Renee i Race wciągnęli Ulego do oszklonego biura, skąd widać było niemal całą kopalnię, i położyli go na podłodze.

Wielki cyfrowy zegar na ścianie odliczał czas.

00:14.55

00:14.54

00:14.53

- Cholera... - zaklął Race. - Zaczęli odliczanie! Renee zabrała się do opatrywania Ulego. Po chwili głośno zaterkotał stojący pod ścianą faks.

Race z G-11 w dłoniach - podszedł do niego. Ze środka Wychodziła kartka. Tekst na niej brzmiał następująco:

BIURO PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

ZABEZPIECZONY PRZEKAZ FAKSOWY

FAKS NADAWCY. 1-202-555-6122

FAKS ODBIORCY: 51-3-454-9775

DATA: 5 STY 1999 GODZ.: 18:55.45 (CZAS MIEJSCOWY)

KOD NADAWCY: 004 (DORADCA DS. BEZPIECZEŃSTWA)

TREŚĆ WIADOMOŚCI:

Po porozumieniu się ze swoimi doradcami i zgodnie z jego ogólnie znanymi poglądami na temat terroryzmu, Prezydent kazał mi Wam przekazać, że nie zamierza zapłacić ŻADNYCH PIENIĘDZY, aby powstrzymać Was przed zdetonowaniem jakiegokolwiek urządzenia, które możecie posiadać.

W. PHILIP LIPAWSKI

Doradca ds. bezpieczeństwa Prezydenta Stanów Zjednoczonych

- Jezus, Maria... - wymamrotał Race. - Nie zamierzają zapłacić.

Renee podeszła i popatrzyła na faks.

- Zobacz, jakie mocne słowa. Próbują zmusić Ehrhardta do odkrycia kart. Nie wierzą, że odpali Supernową.

- A odpali ją?

- Na pewno - powiedział z podłogi Uli przez zaciśnięte zęby. Renee i Race odwrócili się do niego jak na komendę. - Ciągłe o tym mówi. To psychol. Chce tylko jednego: nowego świata. Jeśli nie będzie mógł go mieć, zniszczy ten, który mamy teraz.

- Dlaczego? - spytał Race.

- Ponieważ taka jest waluta, jaką obraca. Zawsze handlował życiem i śmiercią. Ehrhardt jest stary i zły. Świat nie jest mu już do niczego potrzebny. Jeśli nie dostanie pieniędzy i nie będzie mógł stworzyć nowego porządku świata, zniszczy stary bez mrugnięcia okiem.

- Wspaniale... - mruknął Race. - A my jesteśmy jedynymi osobami, które mogą go

powstrzymać?

- Tak.

- Wiec jak to zrobimy? - zapytała Renee i popatrzyła na Ulego. - Jak zatrzymać odliczanie?

- Trzeba do komputera uzbrajającego wpisać kod rozbrajający. Ale jak już mówiłem, zna go tylko Weber.

- Wobec tego trzeba będzie go jakoś od niego wydębic - stwierdził Race.

Chwilę później biegł po krawędzi krateru, kierując się ku południowemu mostowi linowemu. Plan był prosty.

Race pobiegnie wokół krateru do mostu południowego, a Renee będzie czekać na początku mostu północnego. Gdy Race tam dotrze, oboje ruszą z dwóch stron w kierunku pomieszczenia sterowania.

Ponieważ oba mosty były bardzo długie i podtrzymujące je liny musiały być silnie napięte - po każdej stronie mocowały je cztery złączki ciśnieniowe i spuszczenie konstrukcji wymagało ich rozłączenia. Jeżeli Race i Renee pobiegną mostami równocześnie, któremuś z nich może uda się dobiec do sterowni, zanim Ehrhardt albo Weber zdąży odpiąć oba mosty.

Po sześciu i pół minutach biegu Race dotarł do południowego mostu. Prowadził nad sam środek kopalni i był niesamowicie długi - co jeszcze bardziej podkreślało, jak bardzo jest wąski. Przy szerokości, pozwalającej iść po moście tylko jednej osobie, od końca do końca rozciągał się na długość przynajmniej czterech boisk piłkarskich.

Boże drogi... - westchnął w duchu Race.

- Profesorze, jesteś gotowy? - odezwał się nagle w jego słuchawce głos Renee. Od tak dawna nie używał laryngofonu, że niemal zapomniał, iż go ma.

- Jak zawsze - odparł.

- Wobec tego ruszamy.

Race wszedł na most.

Na końcu widział prostopadłościan pomieszczenia sterowania, zawieszony wysoko nad kopalnią, oraz drzwi, wpuszczone w ścianę dokładnie w miejscu, gdzie kończył się most. Były zamknięte.

Za długimi, prostokątnymi oknami pomieszczenia kontrolnego nie widać było żadnego ruchu.

Sterownia unosiła się wysoko w powietrzu - dwieście trzydzieści metrów nad dnem krateru kopalni.

Race zaczął przechodzić na drugą stronę.

Renee szła szybko północnym mostem. Wpatrywała się w drzwi na końcu mostu, spodziewając się w każdej chwili, że nagle się otworzą. Nic takiego się jednak nie stało. Przynajmniej na razie.

Otto Ehrhardt wyglądał przez okno. Obserwował Renee. Przez przeciwległe okno, niczym w lustrzanym odbiciu, widział na południowym moście Race'a. Musiał dokonać wyboru. Zdecydował się na Race'a.

Dwie małe figurki szły po kołyszących się linowych mostach, zbliżając się powoli do pomieszczenia sterowania.

Renee szła nieco szybciej, niemal biegła z uniesioną do strzału bronią. Kiedy znalazła się w połowie mostu, drzwi pomieszczenia sterowniczego nagle się otworzyły i na most wyszedł Otto Ehrhardt.

Renee zamarła.

Nazista trzymał przed sobą wrywającego się Fritza Webera, zasłaniając się małym naukowcem jak tarczą. Zaciskał mu ramieniem gardło i równocześnie przystawiał mu do skroni glocka.

Nie rób tego... - błagała w myśli Renee, jakby możliwe było przekonanie w ten sposób Ehrhardta, że nie powinien zabijać jedyne go człowieka, znajomego kod dezaktywujący Supernową.

Najwyraźniej nie było to możliwe, bo Otto Ehrhardt uśmiechnął się do niej ponuro i pociągnął za spust.

Pistolet w dłoni Ehrhardta wystrzelił - strzał odbił się głośnym echem po kopalni.

Z głowy naukowca trysnęła fontanna krwi i jego mózg wyprysnął za poręcz, w dół przepaści.

Ciało Webera zwiotczało i Ehrhardt wypchnął je za poręcz. Renee patrzyła z przerażeniem, jak trup spada - leci, leci i leci - ponad dwieście metrów, po czym ze stłumionym tąpnięciem uderza w dno krateru.

Race również usłyszał wystrzał i zaraz potem ujrzał lecące w dół ciało Webera. Dobry Boże... Zaczął biec w kierunku sterowni.

Otto Ehrhardt wcale jeszcze nie skończył tego, co sobie zaplanował.

Zrzuciwszy ciało Webera z mostu, zaczął pospiesznie rozpinać przewody ciśnieniowe, łączące most ze sterownią.

- Neeee! - wrzasnęła Renee, łapiąc poręcze po obu stronach.

Jedno z połączeń ciśnieniowych puściło z głośnym sykiem i lina przy jej lewej ręce zwiotczała.

Renee szybko obliczyła, ile jej jeszcze czasu pozostało - nie było szansy, aby zdążyła dotrzeć do pomieszczenia sterowania, zanim Ehrhardt rozłączy trzy pozostałe złączki.

Odwróciła się i zaczęła biec z powrotem.

SSSSS-PYSSS!

Puściło kolejne łącze i drugi reling również zwiotczał.

Jeszcze dwa połączenia.

Renee biegła ile sił - po moście bez poręczy, dwieście trzydzieści metrów nad ziemią.

Kilka sekund później puściło trzecie połączenie i lewe krawędzie płyt pod jej nogami zaczęły opadać.

Szczerząc z uciechą zęby, Ehrhardt rozłączył czwarte złącze i potężny most linowy - zamocowany w dalszym ciągu do północnej krawędzi krateru, ale nie połączony już ze sterownią pośrodku - zaczął spadać w przepaść razem z Renee Becker.

Most się zawalił, gdy Renee brakowało jakieś piętnaście metrów do jego końca. Kiedy poczuła, że cała konstrukcja nurkuje, skoczyła przed siebie, zahaczyła palcami o krawędź jednej ze stalowych płyt, które jeszcze przed chwilą tworzyły „nawierzchnię” mostu, i zaczęła walczyć o życie.

Po chwili most opadł na pochyloną pod kątem siedemdziesięciu pięciu stopni ścianę krateru. Renee uderzyła o nią razem ze stalową konstrukcją i odbiła się od niej, ale jakimś sposobem udało jej się nie spaść.

Race doszedł do drzwi na końcu mostu, gdy w jego słuchawce rozległ się krzyk Renee.

- Profesorze, tu Renee. Mój most się zawalił. Wypadłam z równania. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Znakomicie, pomyślał Race. Właśnie to chciałem usłyszeć.

Wziął głęboki wdech i ujął mocniej karabin. Położył dłoń na klamce, nacisnął ją i pchnął drzwi lufą G-11...

...trącając drut.

BIP!

Zobaczył Ehrhardta, zanim dostrzegł źródło dziwnego dźwięku. Nazistowski generał stał po drugiej stronie sterowni, tuż przy północnych drzwiach, z glockiem u boku. Uśmiechał się do Race'a. Po lewej stronie Ehrhardta Race ujrzał Supernową - srebrne i szklane powierzchnie urządzenia błyszcząły, a cylinder tyru znajdował się w komorze próżniowej między dwoma termojądrowymi głowicami bojowymi.

Po obu stronach Supernowej były zainstalowane superkomputery Cray YMP. Obie kapsuły po głowicach bojowych stały na podłodze, a Idol - wydrążony w podstawie - leżał na pobliskim stole roboczym.

Na ekranie podłączonego do Supernowej laptopa - źródła dźwięku - migotały cyferki zegara:

00:05.00

00:04.59

00:04.58

Pod cyframi były słowa: SEKWENCJA ZAMIENNA DETONACJI
ROZPOCZĘTA.

Sekwencja zamienna detonacji?

- Wciąż próbujesz zostać bohaterem? Doskonale, mały człowieczku - zaśmiał się Ehrhardt. - Wchodząc do tego pomieszczenia, skazałeś się na śmierć.

Race zmarszczył czoło.

Zauważył, że oczy Ehrhardta skoczyły w lewo.

Podążył za jego wzrokiem i zobaczył pod wschodnią ścianą pomieszczenia osiem żółtych dwustulitrowych beczek. Napisy na ich bokach krzyczały:

UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO! PŁYNY HIPERGOLICZNE!

Na przodzie beczek umieszczono dodatkowe informacje:

HYDRAZYNA.

CZTEROTLENEK DWUAZOTU.

Były tam cztery beczki hydrazyny i cztery czterotlenku dwuazotu. Łączyła je skomplikowana sieć przewodów i rur.

Płyny hipergoliczne - przypomniał sobie Race z wykładów - chemii - to płyny, które wybuchają w wyniku zetknięcia się ze sobą.

Na jednej z beczek z hydrazyną stał zegar. Nieruchome cyferki! Wyznaczały czas: pięć sekund.

00:00.05

Po chwili Race zauważył, że wszystkie beczki są połączone grubym czarnym kablem z komputerem, który uzbrajał Supernową.

00:04.00 \ 00:03.59

00:03.58

- W jaki sposób? - spytał Race. - W jaki sposób, wchodząc do tego pomieszczenia, skazałem się na śmierć?

- Otwierając drzwi, uruchomiłeś mechanizm, który niezależnie od tego, co się stanie, zakończy twoje życie.

- W jaki, cholera jasna, sposób?!! Ehrhardt uśmiechnął się.

- W tym pomieszczeniu są dwa urządzenia zapalające, profesorze: Supernowa i płyny hipergoliczne. Jedno wysadzi całą planetę, drugie tylko to pomieszczenie. Wiem, że chcesz rozbroić Supernową - jeśli ci się to jednak uda, zapłacisz wysoką cenę.

- Jaką cenę?

- Życie... twoje życie za przetrwanie świata. Otwierając te drzwi profesorze, uruchomiłeś mechanizm, łączący komputer uzbrajający Supernowej z płynami hipergolicznymi. Jeżeli z jakiegoś powodu odliczanie Supernowej zostanie przerwane, ruszy zegar na beczkach. W ciągu pięciu sekund płyny połączą się, a kiedy

to nastąpi, wybuchną, unicestwiając tę sterownię i ciebie. Masz więc wybór, profesorze, szczególnie, niepowtarzalny wybór: możesz dokładnie za trzy i pół minuty zginąć razem z resztą planety albo możesz uratować świat. Robiąc to, musisz jednak oddać swoje życie...

Race nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

Niepowtarzalny wybór...

Możesz uratować świat...

Robiąc to, musisz jednak oddać swoje życie...

Stali po przeciwnych stronach sterowni - Race od południowej strony, z przyciśniętym do ramienia G-11, a Ehrhardt od północnej, z glockiem przy boku.

00:03.21

00:03.20

00:03.19

- Prezydent zgodził się zapłacić okup... - powiedział Race, łapiąc się ostatniej deski ratunku.

- Nieprawda, nie zgodził się - przerwał mu Ehrhardt, chwycił z ławki obok kartkę papieru i rzucił ją w jego kierunku.

Papier pofrunął na podłogę. Była to kopia tego samego faksu, który Race widział w biurze kopalni. Ehrhardt także i tu musiał mieć telefon z faksem.

- Nawet gdyby się zgodził zapłacić, nie mógłbym rozbroić urządzenia - niemal wypluł z siebie Ehrhardt. - Tylko Weber znał kombinację, a on nie żyje. Teraz kolej na ciebie. Cóż, bez względu na to, co się stanie, będę miał satysfakcję, że na pewno nie wyjdiesz stąd żywy.

- A co z panem? Pan też zginie!

- Jestem stary, profesorze. Stary i zniszczony. Śmierć nic dla mnie nie znaczy. Ale to, że zabiorę ze sobą resztę świata, znaczy dla mnie wszystko...

Nie kończąc zdania, szybko jak atakujący grzechotnik, Ehrhardt poderwał glocka, wycelował w Race'a i pociągnął za...

BAMMM!

Kiedy Race wystrzelił pojedynczy pocisk, kolba G-11 lekko szturchnęła go w ramię.

Bezluskowy pocisk wbił się w potężną pierś Ehrhardta, z której natychmiast wytrysnął gejzer krwi, a siła uderzenia pchnęła nazistę na ścianę za jego plecami.

Ehrhardt huknął plecami o ścianę i jego glock wystrzelił - pocisk poleciał w sufit, roztrzaskał czujnik pożarowy i nagle włączyły się zamocowane na suficie tryskacze, sikając strumieniami wody.

Stary nazista opadł na podłogę w deszczowej chmurze. Miał szeroko otwarte usta i wybałuszone oczy - wyglądał jak kupa paskudnych, ociekających wodą śmieci.

Race stał bez ruchu w pozycji strzeleckiej, woda zalewała mu twarz.

Jeszcze nigdy nie zastrzelił człowieka - nawet podczas niedawnej pogoni po rzece. Było mu niedobrze. Przełknął zbierającą mu się w gardle żołąć.

Popatrzył na zegar Supernowej.

00:03.00

00:02.59

00:02.58

Wyrwał się z odrętwienia i podbiegł do przywódcy nazistów.

Ehrhardt jeszcze żył, ale ledwo ledwo. Z jego ust ciekła krew, zmieszana z pęcherzykami powietrza, wydobywającymi się z klatki piersiowej.

Jego oczy jednak jeszcze błyszczały i wpatrywały się w Race'a z dziką satysfakcją - najwyraźniej Ehrhardta zachwycała sytuacja, w jakiej znalazł się jego przeciwnik: sam w obcym kraju, w jednym pomieszczeniu z umierającym nazistą, tykającą Supernową i ośmioma beczkami hipergolicznych płynów, które go zabiją - nawet jeśli uda mu się rozbroić główną bombę.

W porządku, Will. Spokojnie...

00:02.30

00:02.29

00:02.28

Dwie i pół minuty do końca świata. Spokojnie, do cholery!

Podpełził po podłodze do Supernowej i popatrzył na ekran komputera uzbrajającego.

MASZ 00:02.27 MINUT DO WPISANIA KODU ROZBRAJAJĄCEGO WPISZ KOD ROZBRAJAJĄCY TUTAJ

Z niedowierzaniem wpatrywał się w skaczące cyferki. Jego głowę zraszał deszcz.

Co teraz zrobisz, Will?

Nie wyglądało na to, że ma wielki wybór.

Mógł zginąć z resztą świata albo spróbować zatrzymać Supernową - i także zginąć.

Jasna cholera!

Nie był bohaterem.

Bohaterami byli tacy ludzie jak Renco czy Van Lewen. On byt nikim. Zwykłym chłopaczkiem. Profesorem uniwersyteckim, który zawsze spóźnia się do pracy, bo nigdy nie może zdążyć na odpowiedni pociąg. Jezu - miał do zapłacenia mandaty za nieprawidłowe parkowanie!

Nie był bohaterem.

I nie zamierzał zginąć jak bohater.

Po pierwsze, nie miał pojęcia, jak złamać kod rozbijający Supernową. Hakerem też przecież nie był. Fritz Weber nie żył, a był jedyną osobą, znającą kod.

00:02.01

00:02.00

00:01.59

Race zamknął oczy i westchnął.

Niech będzie - zginie jak bohater.

Usiadł przed Supernową, oczyścił umysł i spojrzał na ekran.

No dobrze, Will, oddychaj głęboko. Oddychaj...

Popatrzył na dwie ostatnie linijki.

WPISZ KOD ROZBRAJĄCY TUTAJ

No dobrze.

Osiem miejsc. Ośmiocyfrowy kod. Kto zna kod?

Weber.

Był jedyną osobą, która znała kod.

W tym momencie w uszach Race'a buchnął hałas, który sprawił, że o mało nie wyskoczył ze skóry.

- Profesorze... co się dzieje?! Była to Renee.

- Jezu... wystraszyłaś mnie na śmierć. Co się dzieje? Ehrhardt zastrzelił Webera, potem ja zastrzeliłem Ehrhardta, a teraz siedzę przed Supernową i próbuję wymyślić, jak ją rozbroić. Gdzie jesteś?

- W biurze z widokiem na krater. Ehrhardt odciął mi most.

- Masz jakiś pomysł, jak rozbroić to urządzenie?

- Nie. Weber był jedyną osobą...

- To wiem. Posłuchaj: mam osiem miejsc do wypełnienia i muszę to zrobić szybko.

- Niech się zastanowię...

00:01.09

00:01.08

00:01.07

- Minuta, Renee.

- Dobrze, myślę... W przejętej przez nas rozmowie telefonicznej powiedzieli, że Supernowa opiera się na modelu amerykańskim tak? To oznacza, że kod musi być numeryczny.

- Skąd wiesz?

- Bo amerykańska Supernowa taki miała. - Kiedy się nie odezwał, dodała: - Mamy naszych ludzi w waszych agencjach - O, świetnie... więc kod numeryczny. Osiem miejsc. Daje to nam mniej więcej bilion możliwości.

00:01.00

00:00.59

00:00.58

- Weber był jedyną osobą, która go znała, tak? Wobec tego kod musiał mieć z nim jakiś związek.

- Ale mogła to być też całkiem przypadkowa liczba.

- Mało prawdopodobne. Ludzie używający kodów numerycznych rzadko wybierają przypadkowe liczby. Decydują się na ważne dla nich liczby, żeby móc je łatwiej sobie przypomnieć, myśląc o znaczącej dla siebie dacie, wydarzeniu albo czymś w tym stylu. Co wiemy o Weberze?

Race już jej jednak nie słuchał.

Gdy Renee mówiła, w jego głowie coś zaskoczyło.

- No dobrze - kontynuowała Renee - był w czasie drugiej wojny światowej hitlerowcem, prowadził eksperymenty na ludziach...

Race myślał o czymś całkiem innym.

„Decydują się na ważne dla nich liczby, żeby móc je łatwiej sobie przypomnieć, myśląc o znaczącej dla siebie dacie, wydarzeniu...”.

Nagle uznał, że już wie.

Kiedy wczoraj rano jechał do pracy - gdzie czekali na niego ludzie z Sił Specjalnych - czytał artykuł w „New York Timesie”...

Pisano w nim, że złodziejom łatwo jest włamywać się do kont bankowych, ponieważ osiemdziesiąt pięć procent ludzi jako PIN-u używa daty urodzenia albo innej ważnej dla nich daty.

- Kiedy Weber się urodził? - zapytał.

- To akurat pamiętam - odparła Renee. - Widziałam w jego aktach. W tysiąc dziewięćset czternastym roku, tylko kiedy... Tak! Szóstego sierpnia. Szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku.

00:00.30

00:00.29

00:00.28

- Co o tym sądzisz? - spytał Race.

- Jest to jakaś możliwość.

Race zastanawiał się przez chwilę. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Popatrzył na Ehrhardta - nazista siedział oparty o ścianę, a z jego zakrwawionych ust wydobywał się cichy rechot.

- Nie - powiedział zdecydowanie. - To nie to.

- Słucham?

00:00.21

00:00.20

00:00.19

Myśli Race'a były teraz klarowne jak kryształ.

- To za proste. Jeżeli użył daty, to oczywiście ważnej, ale oznaczającej jakieś szczególne wydarzenie. Takie, które pokazało światu, kim to on nie jest. Nie użyłby czegoś tak „prostackiego” jak data urodzenia. Wzięłby coś, co ma...

- Profesorze, nie mamy wiele czasu. Co jeszcze zostało? Race próbował sobie przypomnieć jakieś fakty z życia Webera. Prowadził eksperymenty na żywych ludziach...

00:00.15

Sądzono go w Norymberdze.

00:00.14

I skazano na śmierć.

00:00.13

Wykonano na nim wyrok śmierci.

00:00.12

Wykonano wyrok śmierci...

Wyrok śmierci...

To jest to!

00:00.11

Tylko kiedy to było?

00:00.10

- Renee, szybko! Kiedy rzekomo wykonano na Weberze wyrok śmierci?

00:00.09

- Ee... dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

00:00.08

22 listopada 1945 roku.

00:00.07

ZRÓB TO!

00:00.06

Race pochylił się do przodu i zaczął wciskać klawisze.

WPISZ KOD ROZBRAJAJĄCY TUTAJ

22 111945

Natychmiast po wpisaniu kodu walnął palcem w klawisz ENTER. Deszcz z tryskaczy zalewał go, do zera na zegarze brakowało już bardzo niewiele.

BIP!

Chichot Ehrhardta zamarł w chwili, gdy rozległ się pisk.

Race uśmiechnął się szeroko.

O mój Boże, udało się...

Ekran Supernowej natychmiast się zmienił.

KOD ROZBRAJAJĄCY WPISANY ODLICZANIE DETONACJI
PRZERWANE NA 00:00.04 MINUT DO EKSPLOZJI AKTYWOWANA
SEKWENCJA ZAMIENNA DETONACJI

Sekwencja zamienna detonacji? O cholera...

Race spojrzął na kolejny zegar - stojący na becze z hydrazyną - który ustawiono na 00:00.05. Cyferki zmieniły się na 00:00.04. Oczy Ehrhardta rozszerzyły się. - O rany... - jęknął Race.

Dokładnie cztery sekundy później płyny hipergoliczne zmieszały się i ściany sterowni eksplodowały z potworną siłą.

Wszystkie okna wystrzeliły na zewnątrz, rozpryskując się na miliony fragmentów i zaraz potem buchnęły ryczące, kłębiące się, oszalałe kule ognia.

We wszystkie strony pomknęły poszarpane kawałki - drzwi, fragmenty Supernowej, połamane kawałki stołów roboczych, podłogi - wyrzucone z tak potężną siłą, że część tych śmieci poleciała za krawędź krateru i wylądowała w gęstych zaroślach, otaczających gigantyczną kopalnię. Zniszczone elementy obu głowic bojowych, które wchodziły w skład Supernowej, wylądowały nieszkodliwie na dnie krateru - wybuch hipergoliczny był zbyt prymitywny, aby rozbić znajdujące się w ich wnętrzu atomy.

Ze sterowni pozostał jedynie poczerniały szkielet, wiszący bez oparcia nad kopalnią. Ściany zniknęły, okna również, zniknęła także podłoga i sufit.

Zniknął także William Race.

SZÓSTA INTRYGA

WTOREK, 5 STYCZNIA, GODZINA 19.10

Obie jednostki płynęły powoli po rzece w kierunku porzuconej kopalni.

Z przodu płynęła smukła wyścigowa motorówka, a za nią mały poobijany wodolot, z tylko jednym pontonem - pod prawym skrzydłem.

Świat był cichy, rzeka spokojna.

Leonardo Van Lewen i Doogie Kennedy wyglądali ze swoich kokpitów, obserwowali opuszczoną kopalnię. Powoli skierowali swoje jednostki do brzegu, wpłynęli na płytką wodę i zatrzymali się.

Słyszeli wybuch hipergoliczny, a teraz ujrzeli kopalnię - gigantyczny ziemny krater - oraz potężną chmurę dymu, wznoszącą się nad wiszącym pośrodku zwęglonym szkieletem. Nie było widać nikogo. Nic nawet nie drgnęło.

Niezależnie od tego, co tu się wydarzyło, już się skończyło. Obaj komandosi wyskoczyli ze swoich pojazdów i zaczęli ostrożnie, z bronią w rękę, podchodzić do budynków, przypominających stare magazyny.

Nagle z jednego z nich wyszła Renee. Natychmiast dostrzegła przybyszy, podeszła do nich i przez chwilę cała trójka stała w milczeniu na skraju krateru, przyglądając się poczerniałym resztkom sterowni.

- Co tu się stało? - spytał Van Lewen.

- Ehrhardt użył Idola do uzbrojenia Supernowej, a potem Uruchomił program detonujący. Profesorowi Race'owi udało się Zatrzymać sekwencję, ale ledwie zneutralizował Supernową, całe pomieszczenie wybuchło.

Van Lewen odwrócił się, by popatrzeć na zniszczoną sterownię - ostatnie miejsce, gdzie widziano żywego Williama Race'a.

- Urządzenie było tam w środku? - spytał.

- Tak - odparła Renee. - Nie uwierzylibyście. Zatrzymał odliczanie. Był niesamowity.

- A co z Idolem?

- Podejrzewam, że został unicestwiony w wybuchu - razem z Supernową i profesorem Race'em.

Z prawej strony rozległ się jakiś szelest.

Van Lewen i Doogie błyskawicznie się odwrócili, celując w miejsce dźwięku ze swojej broni.

Nie ujrzeli jednak nic poza drzewami i liśćmi.

Nagle z drzewa obok coś spadło - coś w rodzaju kapsuły, przypominający bęben obiekt o wielkości standardowego pojemnika na śmieci - i odbiło się łagodnie od ziemi jakieś dwadzieścia metrów od nich.

Cała trójka ostrożnie podeszła do dziwnego przedmiotu.

W chwili wybuchu musiał znajdować się wewnątrz sterowni i został wyrzucony daleko w las.

Po bliższym przyjrzeniu się stwierdzili, że jest to pojemnik do przewożenia głowic atomowych.

Kapsuła znieruchomiła, ale po chwili zaczęła kiwać się w tył i w przód, jakby w środku ktoś siedział i próbował wydostać się na zewnątrz...

Nagle klapa zamykająca odskoczyła i na zewnątrz wytoczył się Race. Wylądował brzuchem na błocie i rozpląszczył się jak żaba.

Renee rozpromieniła się i cała trójka podbiegła do leżącego na ściółce profesora.

Race zdążył się już przewrócić na plecy. Był przemoczony do suchej nitki i niewyobrażalnie zmęczony. Miał na głowie swoją bejsbolówkę, a jego tułów chroniła kevlarowa kamizelka.

Popatrzył na trójkę zbliżających się do niego towarzyszy i uśmiechnął się do nich słabo.

Potem wyciągnął rękę zza pleców i postawił coś na ziemi. Na przedmiocie migotały krople wody, ale nie mogły ukryć wściekle wyszczerzonego pyska rapa, wykutego w pożyłkowanym czerwono czarnym kamieniu.

Mieli Idola.

Goose unosił się wysoko w powietrzu, lecąc eleganckim łukiem nad amazońskim lasem deszczowym.

Kierował się na zachód, ku wczesnej ciemności nocy. Wracali w góry, do Vilcafor.

Z przodu kokpitu siedział Doogie i pilotował, a Van Lewen, Race, Renee i ranny Uli siedzieli z tyłu. Race rozmyślał nad swoją ucieczką ze sterowni. Przez pięć sekund, jakie pozostały mu od rozbrojenia Supernowej do zmieszania się płynów hipergolicznych, rozpaczliwie szukał sposobu ratunku.

W pewnym momencie jego wzrok padł na kapsuły transportowe - ponieważ miały chronić głowice atomowe, mogły wytrzymać ciśnienie do siedmiuset kilogramów na centymetr kwadratowy. Kiedy to sobie uświadomił, natychmiast skoczył w kierunku jednej z nich, złapał stojącego na stole roboczym Idola i w chwili, gdy mijała ostatnia z pięciu sekund, zatrzasnął za sobą pokrywę. Płyny zmieszały się i sterownia wybuchła, a kapsuła z Race'em w środku została wyrzucona w niebo. Na szczęście wylądowała dość miękko w drzewach rosnących wokół kopalni. Żył. I tylko to się liczyło.

Siedząc w głębi kabiny wodolotu, trzymał w ręku podniszczoną, oprawną w skórę książkę, którą znalazł tuż przed opuszczeniem kopalni w hangarze na łodzie. Leżała

na półce w biurze. Właśnie jej kazał szukać swoim towarzyszom, zanim wrócą do Vilcafor.

Manuskrypt Santiaga. Oryginalny manuskrypt - napisany przez Alberta Santiaga w szesnastym wieku, skradziony z opactwa San Sebastian przez Heinricha Anistazego w dwudziestym wieku i skopiowany przez agenta Ulego Piecka z Bundeskriminalamt.

Race siedział i wpatrywał się w manuskrypt z podziwem.

Już przedtem widział pismo Alberta Santiaga, teraz jednak zobaczył je na papierze o wspaniałej teksturze - oryginał niewiele przypominał chropawą, surową fotokopię, z którą wcześniej miał do czynienia.

Najchętniej od razu zaczęłby czytać, ale to musiało poczekać. Najpierw musieli zająć się innymi sprawami.

- Van Lewen... - zaczął.

- Tak?

- Opowiedz mi o Franku Nashu.

- Słucham?

- Prosiłem, żebyś mi opowiedział o Franku Nashu.

- Co chce pan wiedzieć?

- Pracowałeś z nim już kiedyś?

- Nie, to był pierwszy raz. Do udziału w tej misji ściągnięto moją jednostkę z Bragg.

- Czy wiesz, że Nash jest pułkownikiem w Wydziale Projektów Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych?

- Oczywiście.

- Wiedziałeś więc wczoraj w moim gabinecie, że oszukuje, pokazując mi legitymację DARPA, i kłamie, mówiąc, że jest emerytowanym pułkownikiem, pracującym obecnie dla Agencji Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych?

- Nie wiedziałem, że coś takiego mówił.

- Nie wiedziałeś?

Van Lewen popatrzył Race'owi w oczy.

- Profesorze, jestem jedynie pionkiem. Powiedziano mi, że naszym zadaniem jest ochrona, i kazano mi chronić pana. Robię to, jak umiem. Jeżeli pułkownik Nash pana okłamał, to przykro mi, ale nic o tym nie wiedziałem.

Race zacisnął zęby. Był wkurzony jak cholera. Podstępnie zmuszono go do udziału w tej aferze.

Poza tym, że był wściekły, był także zdecydowany dowiedzieć się całej prawdy, bo jeśli Nash nie pracował dla DARPA, pojawiała się mnóstwo nowych pytań. Na przykład co z Lauren i Copelandem? Też pracowali dla Projektów Specjalnych?

Jeszcze ważniejsze pytanie brzmiało, dlaczego stał się członkiem misji? Nash twierdził, że wskazał mu go jego brat Marty, tyle tylko, że Race nie widział Marty'ego od dobrych dziesięciu lat.

W dzieciństwie byli sobie bliscy. Choć Marty był od Williama starszy o trzy lata, zawsze bawili się razem - grali w futbol, bejsbol, ganiali po okolicy. Will, mimo że młodszy, zawsze był lepszy w sporcie.

Marty był za to sprytniejszy. W szkole osiągał znakomite wyniki i miał z tego powodu problemy z kolegami. Nie był ładnym dzieckiem i już jako dziewięciolatek bardzo przypominał wyglądem ojca - garbił się, miał gęste brwi i ponurą minę, która upodabniała go do Richarda Nixona.

Młodszy Race odziedziczył po matce spokojną, nierzucającą się w oczy urodę - jasnobrązowe włosy i błękitne jak niebo oczy.

Kiedy byli nastolatkami, Will wychodził na miasto z kumplami, a Marty zostawał w domu z komputerami i swoją cenną kolekcją płyt Elvisa. Do dziewiętnastego roku życia nie miał dziewczyny. Gorzej: jedyna, która mu się podobała - ładna cheerleaderka Jennifer Michaels - bujała się w Willu. Załamało to Marty'ego.

Zaczęli chodzić do szkoły średniej, a potem, podczas gdy ci, co dręczyli go na szkolnym podwórzu, zostali kasjerami w banku albo agentami sprzedaży nieruchomości, Marty trafił prosto do laboratoriów komputerowych w MIT - za co płacił ojciec, inżynier komputerowy.

Młodszy Race - z pewnością inteligentny, choć znacznie mniej zainteresowany karierą naukową - poszedł do USC z pięćdziesięcioprocentowym stypendium sportowym. Spotkał tam, zdobył i stracił Lauren O'Connor, a w wolnym czasie studiował języki.

Wtedy rozwiedli się ich rodzice.

Stało się to dość niespodziewanie. Pewnego dnia ojciec Race'a wrócił z pracy i powiedział matce, że ją opuszcza. Okazało się, że od prawie roku miał romans ze swoją sekretarką.

Rodzina pękła na pół.

Marty, który miał wtedy dwadzieścia trzy lata, w dalszym ciągu regularnie widywał się z ojcem - w końcu zawsze był synkiem tatusia, zarówno z wyglądu, jak i charakteru.

Will jednak nigdy nie wybaczył ojcu. Kiedy stary zmarł w 1992 roku na zawał, najmłodszy Race nawet nie poszedł na pogrzeb.

Byli klasyczną amerykańską rodziną - rozsadzoną od wewnątrz.

Race otrząsnął się z zamyślenia, powrócił do rzeczywistości i znów znalazł się w samolocie lecącym nad peruwiańską dżunglą.

- A co z Lauren i Copelandem? - spytał Van Lewena. - Też pracują dla Projektów

Specjalnych?

- Tak.

O żesz w mordę...

- No dobrze - mruknął Race. - A co wiesz o projekcie Supernowa?

- Zupełnie nic, przysięgam - odparł Van Lewen. Race zagryzł wargę. Odwrócił się do Renee.

- A co ty wiesz o amerykańskiej Supernowej?

- Co nieco wiem...

Race wyczekująco uniósł brwi. Renee westchnęła.

- Projekt został zatwierdzony przez Komitet Zbrojeń Kongresu na zamkniętym posiedzeniu w styczniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Budżet w wysokości miliarda ośmiuset milionów dolarów zatwierdził Komitet Asygnacyjny Senatu w marcu tego samego roku. Projekt miał być prowadzony przy współpracy Agencji Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych z Marynarką Wojenną Stanów Zjednoczonych. Kierownik projektu nazywa się...

- Zaraz, zaraz! - przerwał jej Race. - Supernowa to projekt marynarki?

- Zgadza się.

A więc Frank Nash skłamał mu nie tylko raz, aby nakłonić go do uczestnictwa w misji. Supernowa nawet nie była projektem Sił Lądowych.

Była projektem marynarki.

Nagle Race przypomniał sobie coś, co usłyszał poprzedniego wieczoru, kiedy został uwięziony w hunwee - zanim koty zaatakowały oddział BKA.

Usłyszał wtedy kobiecy głos - może Renee - który powiedział coś po niemiecku: zdanie, które wtedy wydało mu się pozbawione sensu, i dlatego nie przetłumaczył go Nashowi i reszcie.

Was ist mit ciem anderen amerikanischen Team? Wo sind diejetzt." „Co jest z drugim oddziałem amerykańskim? Gdzie oni teraz są?” Drugi oddział amerykański...

- Przepraszam, Renee - powiedział. - Kto jest kierownikiem projektu Supernowa?

- Nazywa się Romano. Doktor Julius Michael Romano.

Był w domu.

Wreszcie tajemniczy Romano został rozszyfrowany.

Dowodził drugim oddziałem. Oddziałem marynarki...

Jezu...

- Popraw mnie, jeśli źle zrozumiałem - powiedział po chwili. - Projekt Supernowa to zadanie Marynarki Wojennej i kieruje nim niejaki Julius Romano, tak?

- Zgadza się - odparła Renee.

- I ten Romano jest w tej chwili ze swoim oddziałem w Peru i szuka tyrowego

posążka?

- Zgadza się.

- Ale Frank Nash ma tu oddział Sił Lądowych i też szuka Idola.

- To też się zgadza.

- Dlaczego? Dlaczego oddział dowodzony przez pułkownika z Projektów Specjalnych Sił Lądowych próbuje pokonać oddział marynarki w poszukiwaniach posążka, który jest kluczem do broni, znajdującej się w posiadaniu marynarki?

- Odpowiedź na to pytanie jest trochę bardziej skomplikowana, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka, profesorze Race.

- Sprawdź, czy ją zrozumiem.

- No dobrze... - Renee wzięła głęboki wdech. - Przez minione sześć lat wywiad niemiecki po cichu przyglądał się, jak trzy gałęzie sił zbrojnych USA - Siły Lądowe, Marynarka Wojenna i Siły Powietrzne - wikłają się w gorzką, ale bardzo tajną walkę o władzę. Każda z nich walczyła o przetrwanie, próbowała udowodnić, że jest najważniejszym elementem sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych - aby w roku dwa tysiące dziesiątym, kiedy Kongres ostatecznie zlikwiduje jeden z trzech składników wojska - to nie ona dostała kulkę.

- Kongres zamierza w dwa tysiące dziesiątym roku usunąć jedną ze służb wojskowych?

- W tajnym protokole Departamentu Obrony z szóstego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, podpisanym przez sekretarza stanu i prezydenta, Departament Obrony zaleca prezydentowi, aby do roku dwa tysiące dziesiątego jedna z gałęzi amerykańskich sił zbrojnych została uznana za zbędną.

- No dobrze... a skąd ty o tym wiesz? - spytał z wahaniem Race.

Renee uśmiechnęła się krzywo.

- Profesorze... Marynarka Wojenna USA nie jest jedyną instytucją, która podsłuchuje rozmowy, przekazywane kablami podmorskimi innych krajów.

- O!

- Podstawą decyzji Departamentu było przekonanie, że zmienił się sposób prowadzenia wojen. Tradycyjny podział wojska na lądowe, morskie i powietrzne nie przystaje do dzisiejszego świata. Jest anachronizmem, odziedziczonym po dwóch wojnach światowych i tysiącu lat walki wręcz. Problem polega głównie na ustaleniu, która służba ma zniknąć. Od tamtej chwili każda gałąź sił zbrojnych próbuje wykazać swoje znaczenie - kosztem obu pozostałych.

- Na przykład?

- Na przykład Siły Powietrzne twierdzą, że mają niewidzialny bombowiec stealth i nieosiągalną dla innych sił możliwość zdobycia przewagi w powietrzu. Marynarka odpowiada na to, że ma Lotniskowcowe Grupy Bojowe, których myśliwce

i bombowce nie tylko są tak samo niewykrywalne jak B-3, ale jeszcze na dodatek dysponują przenośnymi lotniskami. Marynarka uważa, że jeśli Ameryka posiada dwanaście Lotniskowcowych Grup Bojowych, to komu potrzebne są Siły Powietrzne? Siły Lądowe twierdzą, że mają wyspecjalizowane oddziały lądowe i piechotę zmechanizowaną. Marynarka i lotnictwo kontruja to jednak wspólnie, odpowiadając, iż nowoczesna wojna odbywa się nie na lądzie, a w powietrzu i na oceanach - aby się o tym przekonać, wystarczy przeanalizować wojnę w Zatoce i konflikt w Kosowie: wszystkie większe starcia miały tam miejsce nie na ziemi, a w powietrzu.

Istotne są tu także powiązania marynarki z Korpusem Piechoty Morskiej. Jego przetrwanie gwarantuje konstytucja Stanów Zjednoczonych, więc Piechota Morska jest wyłączona z rozważań o likwidacji. A ponieważ Korpus posiada zarówno oddziały lądowe, jak i jednostki piechoty zmechanizowanej, jest to kolejny element, zmuszający Siły Lądowe do uzasadnienia swego istnienia. Do tego dochodzi jeszcze sprawa międzykontynentalnych rakiet balistycznych: wszystkie trzy gałęzie sił zbrojnych utrzymują ich wyrzutnie. Marynarka ma systemy wystrzeliwania rakiet z okrętów podwodnych, Siły Powietrzne systemy odpalania rakiet z ziemi i z samolotów, a Siły Lądowe stacjonarne systemy naziemne i urządzenia przewoźne. Czy jakiś kraj naprawdę potrzebuje trzech systemów broni atomowej, jeśli tak naprawdę wystarczą dwa, a może nawet jeden?

- Kto wygląda najbardziej na przegranego? - spytał Race.

- Siły Lądowe. Bez najmniejszej wątpliwości. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę konstytucyjną gwarancję istnienia Piechoty Morskiej. W każdej analizie, jaką dotychczas widziałam, zajmowali trzecie miejsce.

- Więc muszą wykazać swoją wartość.

- Rozpaczliwie potrzebują dowodu na to. Albo muszą obniżyć znaczenie którejs z pozostałych służb.

- Co to ma znaczyć?

- Profesorze, wiedział pan o tym, że w zeszłym roku dokonano włamania do Bazy Sił Powietrznych Vanderberg?

- Nie.

- Ukradziono supertajne plany nowej głowicy atomowej W-88. Jest to miniaturowa głowica najwyższej klasy. Przy włamaniu zabito sześciu strażników, a oficjalne śledztwo stwierdziło - tak samo pisała potem prasa - że było to dzieło agentów chińskich. Nieoficjalny raport mówi jednak, że z analizy techniki wejścia i eliminowania przeciwników wynika, iż tylko jedna jednostka mogła dokonać tego włamania. Oddział Specjalny Sił Lądowych. Zielone Berety.

Race popatrzył na Van Lewena, ale sierżant jedynie wzruszył ramionami. Najwyraźniej nic nie wiedział o tej sprawie.

- Siły Lądowe włamały się do bazy Sił Powietrznych?
- Profesorze, Siły Lądowe pracują nad własnymi zminiaturyzowanymi głowicami
- wyjaśniła Renee. - Zakończenie sukcesem prac nad W-88 poważnie zagroziłoby ich projektowi i stanowiło jeden powód mniej, aby pozwolić im istnieć po dwa tysiące dziesiątym roku. Race zmarszczył czoło.
- Jaki to wszystko ma związek z Supernową?
- Supernowa to broń ostateczna. Ten, kto będzie nią dysponował, ma pewność przetrwania poza rok dwa tysiące dziesiąty. Supernowa jest projektem marynarki, ale Siły Lądowe szpiegowały ich prace, aby zbudować własne urządzenie - najprawdopodobniej z wykorzystaniem informacji od swojej wtyczki w marynarce.
- Nikt jednak nie ma tyru.
- Dlatego wszyscy go tak wściekle szukają.
- Momencik, ustalmy wszystko po kolei... Choć Supernowa jest oficjalnie projektem marynarki, Siły Lądowe potajemnie konstruowały własne urządzenie tego samego typu. Kiedy odkryły, że w Peru można znaleźć tyr, wysłały Franka Nasha i jego oddział, aby odszukał Idola przed marynarką...
- Tak to wygląda.
- Jasna cholera... jak wysoko to może sięgać? Przypomniał mu się przejazd na zielonej fali przez Nowy Jork. Ktoś, kto jest w stanie coś takiego zarządzić, musi zajmować naprawdę wysokie stanowisko.
- Do samej góry - odparła Renee. - Do najwyższych rangą oficerów w hierarchii Armii USA. Właśnie to mnie najbardziej przeraża. Jeszcze nigdy nie widziałam tak rozpaczliwych działań Sił Lądowych. Wystarczy przyjrzeć się tej misji. Stawka jest najwyższa, chodzi o to, kto strzeli bramkę w ostatnich minutach meczu. Jeżeli Siły Lądowe będą miały ten kamień - wskazała podbródkiem na leżącego na fotelu obok Race'a Idola - zagwarantują sobie przetrwanie. A to oznacza, że Frank Nash zrobi wszystko, aby go zdobyć. Wszystko.
- Race wziął posążek do ręki. Błyszczał, a łeb rapa wściekle szczyrzył kły.
- Popatrzył na niego ze smutkiem, obejrzał wydrążone miejsce w podstawie.
- Więc chyba powstał jeden mały problem - powiedział w końcu.
- Jaki?
- Ten Idol.
- Co z nim jest?
- No cóż... w tym problem, że nie jest zrobiony z tyru. Ten posążek to fałszerstwo.
- Że co?! - jęknęła Renee.
- To fałszerstwo? - powtórzył Van Lewen.
- Oczywiście - odparł Race. - Przyjrzyj mu się. - Rzucił figurkę Van Lewenowi. - Co widzisz?

Sierżant wzruszył ramionami.

- Widzę inkaskiego Idola, po którego tu przybyliśmy.

- Naprawdę? - Race pochylił się i chwycił manierkę, wiszącą u pasa Van Lewena.

- Mogę pożyczyć?

Szybko odkręcił manierkę i wylał z niej wodę na figurkę. Woda zaczęła spływać po łbie Idola, skapując na podłogę wodolotu.

- No i...? - spytał Van Lewen - Według manuskryptu Idol po zmoczeniu wytwarza cichy, buczący dźwięk. Ten milczy.

- Więc co?

- Więc nie jest zrobiony z tyru To nie jest prawdziwy Idol.

- Jak pan się tego dowiedział? - spytała Renee.

- Kiedy zabierałem tę figurkę ze stołu roboczego tuż przed wybuchem w sterowni, tryskacze zalewały całe pomieszczenie wodą. Idol był cały mokry, ale nie buczał - Czy to znaczy, że Supemowa nazistów wcale nie zniszczyłaby świata? - spytał Van Lewen.

- Nie. Wybuch atomowy na pewno zniszczyłby kilkaset hektarów lasu deszczowego, ale świat by przetrwał.

- Skoro ten posążek nie jest zrobiony z tyru, to z czego? - spytał Van Lewen.

- Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że ze skały wulkanicznej.

- Jeśli to fałszerstwo - Renee wzięła Idola z rąk Van Lewena - to kto go wyrzeźbił? Przecież został znaleziony w świątyni, w której od czterystu lat nie było człowieka.

- Chyba się domyślam - odparł Race.

- Czyżby? Race skinął głową.

- Kto? - równocześnie spytali Renee i Van Lewen. Race uniósł oprawny w skórę tom - oryginalny Manuskrypt Santiaga.

- Odpowiedź na to pytanie znajduje się tutaj.

Oddalił się w najdalszy kąt wodolociku.

Wkrótce mieli dolecieć do Vilcafor, przedtem jednak chciał dokończyć czytanie. Poznać całą historię do końca.

Potrzebował tak wielu odpowiedzi. Na przykład kiedy Renco zastąpił prawdziwego Idola kopią albo jak zwabił rapa z powrotem do świątyni.

Przede wszystkim jednak chciał wiedzieć rzecz najważniejszą: gdzie znajduje się prawdziwy Idol.

Usiadł i właśnie otwierał księgę, gdy przypomniał sobie o szmaragdowym naszyjniku, który miał na szyi - wisiorku Renca. Ujął go w dłoń i przeciągnął palcami po błyszczących zielonych krawędziach. Znowu ujrzał przed sobą szkielet, z którego szyi zdjął naszyjnik - połamany szkielet, który znalazł w Świątyni.

Renco...

Potrząsnął głową, by pozbyć się tej wizji. Puścił szmaragd i odnalazł miejsce, w którym poprzednio skończył.

Alberto Santiago właśnie uratował życie siostrze Renca, Lenie, a ona powiedziała bratu, że Hiszpanie zjawią się w Vilcafor o świcie...

CZWARTE CZYTANIE

Renco wpatrywał się w Lenę przez długą chwilę.

- O świcie... - powtórzył cicho.

Na zewnątrz ciągle jeszcze było ciemno, ale świt był już sprawą tylko kilku godzin.

- Zgadza się - powiedziała Lena.

Mimo półmroku w cytadeli, oświetlanej jedynie przez ogniska, widziałem, jak po twarzy Renca przebiegają różne emocje - najwyraźniej był w konflikcie między celem swojej misji, czyli ratowaniem Idola, a pragnieniem ocalenia mieszkańców Vilcafor. Rozejrzał się po sali.

- Bassario!

Ja również poszukałem go wzrokiem - siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, w zaciemnionym kącie cytadeli, jak zwykle odwrócony twarzą do ściany.

- Tak, mój dobry książę? - powiedział, nie podnosząc głowy znad tego, co robił.

- Jakie zrobiłeś postępy?

- Prawie skończyłem.

Renco podszedł do niego. Ruszyłem za moim młodym przyjacielem.

Kiedy książę stanął przy Bassariu, złoczyńca odwrócił się. Na podłodze obok niego stał Idol, którego mieliśmy chronić. Bassario pokazał coś Rencowi. Kiedy ujrzałem, co to takiego, stanąłem jak wryty.

Musiałem dwa razy zamrunąć i jeszcze raz popatrzeć, aby się upewnić, że nie żartują sobie ze mnie. Nie żartowali.

Na pewno nie.

W dłoniach przed moimi oczami!

Oczywiście Renco zaplanował wszystko od samego początku. Przypomniałem sobie krótki postój w kamieniołomach Colco i przyniesiony przez Renca worek pełen kanciastych przedmiotów. Stałem i dziwiłem się cały czas. Przez cały czas. Teraz zrozumiałem.

Renco znalazł kilka odłamków skały, która dobrze imitowała Idola, czerwono czarny kamień, z którego go wyrzeźbiono. Dał kamienie Bassariowi, aby ten wykonał kopię figurki - prawdopodobnie chciał się nią posłużyć, aby omamić Hernanda. Pomysł był doskonały.

Rzeźbił przez cały czas po kątach, albo przy ogniskach - odwrócony do wszystkich plecami. Rzeźbił kopię Idola. Trzeba przyznać iż naśladownictwo było doskonałe. Szczęki kota szczyrzyły się tak samo, kły tak samo ostre...

Sam kamień również do złudzenia przypominał tworzywo, w którym wyrzeźbiono oryginał: był tak samo czarny, błyszczący i czerwono pożyłkowany.

Przez długą chwilę byłem w stanie jedynie wpatrywać się w fałszywego Idola i podziwiać mistrzowską robotę Bassaria.

- Ile ci jeszcze zostało do końca? - spytał Renco - widać było, że replika wymaga jeszcze kilku poprawek wokół szczęki.

- Niedługo. Do świtu zdążę. Niewiele czasu - oświadczył Renco i odwrócił się do grupki ludzi, którym udało się skryć w cytadeli.

Przed nim stał wódz Vilcafor - stary, wyniszczony, oraz siedmiu wojowników, którzy mieli tyle szczęścia, że w chwili ataku nie znajdowali się we wnętrzu cytadeli. Poza wojownikami w twierdzy schronili się wystraszeni starcy, kobiety i dzieci.

- Renco... - szepnąłem. - Co zrobimy? Mój odważny towarzysz wydał wargi.

- Zakończymy to cierpienie. Raz na zawsze.

Bassario zabrał się do gorączkowej pracy, by dokończyć kopię Idola, a Renco zwołał wszystkich ocalałych mieszkańców Vilcafor.

- Słuchajcie mnie! - zaczął, gdy zebrali się wokół niego w ciasnym kręgu. - Zjadacze złota zjawią się tu wraz ze wschodem słońca. Daje to nam niecałe dwie godziny na przygotowania. Kobiety, dzieci i starcy wejdą do quenko, pójdą nim z moją siostrą i odejdą jak najdalej od osady. A wy, wojownicy - popatrzcie na siedmiu pozostałych dorosłych mężczyzn - pójdziecie ze mną do świątyni, o której mówił wasz wódz. Jeżeli rapa stamtąd wyszły, musimy sprowadzić je tam z powrotem. Zwabimy je do środka pieśnią mokrego Idola i zamkniemy. A teraz idźcie poszukać wszelkiej możliwej broni. Wojownicy rozeszli się.

- Leno...

- Tak, bracie? - Jego cudna siostra podeszła do niego. Zbliżając się, uśmiechała się do mnie, jej oczy błyszczały.

- Będę potrzebował największego pęcherza, jaki uda się znaleźć. Napełnij go deszczówką.

- Dobrze - odparła Lena i oddaliła się pośpiesznie.

- A co z Hernandem? - spytałem. - Co będzie, jeśli zjawi się i tutaj, kiedy będziemy zajęci sprowadzaniem rapa do ich legowiska?

- Jeżeli śledzi nas, tak jak mówi moja siostra, z pomocą tropicieli Chanka, natychmiast po przybyciu tu będzie wiedział, w którą stronę się udaliśmy. A jeśli znajdzie mnie, znajdzie przy mnie Idola - i dam mu go.

- Hernando to zimny, bezduszny człowiek, zły i bezwzględny. Nie możesz

spodziewać się po nim honorowego zachowania. Kiedy dasz mu Idola, na pewno cię zabije.

- Wiem.

- Więc dlaczego...

- Przyjacielu, czy lepiej byłoby, żebym ja przeżył, a Hernando zabrał Ducha Ludzi - powiedział spokojnie Renco - czy żebym zginął, a on odszedł stąd z nic niewartą kopią? - Uśmiechnął się. - Oczywiście, że wolałbym żyć, ale obawiam się, że gra idzie o znacznie większą stawkę.

Obecni w cytadeli ludzie zaczęli gorączkowo przygotowywać się do tego, co ich czekało, i w całym pomieszczeniu zagotowało się jak w ulu.

Renco poszedł udzielić bliższych instrukcji wojownikom, a ja wykorzystałem okazję, by dołączyć na chwilę do Bassaria i popatrzeć, jak rzeźbi. Prawdę mówiąc - niech Bóg mi wybaczy - miałem pewien ukryty cel i musiałem z nim porozmawiać.

- Bassario... - zacząłem szeptem. - Czy Lena ma... męża? Odpowiedział ironicznym uśmiechem i spytał głośno:

- Dlaczego o to pytasz, mnichu, ty stary łajdaku?! Poprosiłem ściszym głosem, aby nie mówił tak donośnie, ale - jak należało się spodziewać - rozbawiło go to jeszcze bardziej.

- Kiedyś miała męża - powiedział w końcu - ale ten związek skończył się wiele księżyców temu, jeszcze przed przybyciem zjadaczy złota. Mąż Leny miał na imię Huarca i był dobrze zapowiadającym się młodym wojownikiem, a ich małżeństwo - o ile zaaranżowane małżeństwo może takie być - uważano za bardzo udane. Mało kto wie, że Huarca często miewał napady szału i wkrótce po przyjściu na świat ich syna zaczął bić Lenę. Mówi się, że znosiła to, aby uchronić dziecko przed furją ojca. Najwyraźniej jej się to udało, bo Huarca ani razu go nie zbił.

- Dlaczego od niego nie odeszła? - spytałem. - Przecież jest księżniczką...

- Huarca zagroził, że jeśli powie komukolwiek o biciu, zamorduje chłopca.

Boże drogi...

- Co się potem stało?

- Sprawa została odkryta przez przypadek. Pewnego dnia Renco nieoczekiwanie zjawił się u siostry i zobaczył, że kuli się w kącie z synem na rękę. Miała łzy w oczach i zakrwawioną, posiniaczoną twarz. Natychmiast pojmano Huarcę i skazano na śmierć. Wrzucono go do dołu z dwoma wygłodniałymi dzikimi kotami. Rozszarpały go żywcem. - Bassario pokręcił głową. - Mnichu, ten, kto bije swoją żonę, jest najgorszym gatunkiem człowieka - najpodlejszym. Moim zdaniem spotkał go odpowiedni los.

Zostawiłem Bassaria przy jego pracy i skryłem się w kącie, aby również przygotować się do nadchodzących wydarzeń.

Wkrótce dołączył do mnie Renco. Ciągle miał na sobie hiszpański strój, który zabrał przed wieloma tygodniami więziennemu strażnikowi - brązową skórzaną kurtkę, białe pantalony i buty do kolan. Przyznał któregoś dnia, że dodatkowe ubranie bardzo mu się przydało podczas naszej żmudnej przeprawy przez las deszczowy.

Zarzucił na ramię kołczan, po czym zaczął zapinać pas z rapierem.

- Renco...

- Tak?

- Za co Bassario siedział w więzieniu?

- Ach, Bassario... - westchnął ze smutkiem mój młody przyjaciel.

Czekałem na wyjaśnienia.

- Uwierz mi albo nie, ale Bassario był kiedyś księciem. Jego ojciec był Królewskim Kamieniarzem, wspaniałym budowniczym i rzeźbiarzem, jednym z najbardziej szanowanych inżynierów imperium. Bassario był nie tylko jego synem, ale także uczniem i wkrótce stał się znakomitym kamieniarzem. Mając szesnaście lat, prześcignął ojca w umiejętnościach - choć jego ojciec był Królewskim Kamieniarzem, człowiekiem, który budował dla Sapa Inki cytadele! Osiągał także sukcesy jako sportowiec - w strzelaniu z łuku nie miał sobie równych - niestety jak wielu innych młodych ludzi, miał skłonność do picia, hazardu i lubił zabawiać się z dziewczętami z mniej szacownych dzielnic Cuzco. Powodzenie, jakim cieszył się u kobiet, znacznie przewyższało jego szczęście w domach gry. Narobił długów i kiedy przyszedł czas płacić, wierzyciele zażądali, aby oddał im to, co jest winien, nie w pieniądzu, ale w umiejętnościach, jakie posiada.

- To znaczy?

- Wymogli na nim, aby zwrócił długi, wykonując falsyfikaty sławnych rzeźb i bezcennych skarbów. Szmaragd czy złoto, srebro czy jadeit - Bassario umiał skopiować wszystko i w każdym materiale. Kiedy skopiował cenną rzeźbę, jego nikczemni koleżkowie włamywali się do domu jej właściciela i podkładali kopię, kradnąc oryginał. Wszystko udawało się niemal przez rok i przestępcy zarabiali na swoim procederze znaczne sumy, aż pewnego dnia „przyjaciele” Bassaria zostali złapani w domu kuzyna Sapa Inki na zamienianiu oryginalnej figurki bożka na fałszywą. Wkrótce odkryto rolę Bassaria w tych działaniach. Skazano go na więzienie, a całą rodzinę okryła hańba. Jego ojciec stracił stanowisko i odebrano mu wszystkie honorowe tytuły. Mój brat, Sapa Inka, wydał polecenie, aby przenieść rodzinę Bassaria z domu w dzielnicy królewskiej do jednego z najgorszych miejsc w Cuzco.

Słuchałem w milczeniu.

- Moim zdaniem kara była zbyt surowa i powiedziałem o tym bratu, chciał jednak dać odstraszący przykład i zignorował moje prośby. - Renco popatrzył na Bassaria, pracującego w kacie. - Ten człowiek był kiedyś bardzo szlachetnym młodzieńcem.

Z pewnością nie bez skazy, ale szlachetnym. Dlatego, kiedy otrzymałem polecenie wywiezienia Idola z Coricancha, postanowiłem wykorzystać jego umiejętności. Uznałem, że jeżeli przestępcom z Cuzco udało się zatrudnić go do realizacji swoich celów, z pewnością uda mi się nakłonić go do pomocy w ratowaniu ducha mojego ludu.

Wkrótce Bassario skończył kopię Idola i przyszedł z obydwoma rzeźbami do Renca.

Renco wziął obie głowy rapa w dłonie, wyciągnął je przed siebie na długość ramion i przyjrzał im się dokładnie. Zerknąłem mu przez ramię i musiałem przyznać, że umiejętności Bassaria były takie, iż nie byłem w stanie określić, która rzeźba jest prawdziwa, a która nie.

Bassario wrócił do kąta i zaczął zbierać swoje rzeczy – szabla, kołczan, łuk.

- Dokądś się wybierasz? - spytał Renco.

- Znikam stąd.

- Potrzebuję twojej pomocy. Vilcafor mówił, że kiedy odsuwano wielki kamień sprzed wejścia do Świątyni, ledwie sobie z tym poradziło dziesięciu ludzi. Jeżeli mam go wtoczyć z powrotem na miejsce, będę potrzebował każdego silnego mężczyzny. Nie możesz teraz odejść!

- Zrobiłem dla ciebie więcej, niż powinienem, szlachetny książę. Uciekłem z Cuzco, przeszedłem przez góry, przedarłem się przez niebezpieczne lasy. I przez cały czas robiłem dla ciebie kopię Idola. Nie - zrobiłem swoje i odchodzę.

- Nie masz poczucia lojalności wobec swoich ziomków?

- Moi ziomkowie wsadzili mnie do więzienia, Renco. Ukarali całą moją rodzinę za to, co tylko ja zrobiłem. Moja siostra była w tej dzielnicy nędzy napastowana, a ojca i matkę pobito i obrabowano. Mojemu ojcu połamano palce, żeby nigdy więcej nie mógł kuć w kamieniu. Zmuszono go do żebrania - proszenia o odpadki - żeby mógł wykarmić rodzinę. Nie mam żalu o to, że i mnie ukarano, ale nie czuję jakiegokolwiek lojalności wobec społeczeństwa, które za moje przestępstwo ukarało także moją rodzinę.

- Przykro mi - powiedział Renco. - Nie wiedziałem o tym. Ale... Bassario... Idol... Duch Ludzi...

- To twoja sprawa, Renco, nie moja. Dość dla ciebie zrobiłem - nawet więcej, niż trzeba. Zapracowałem chyba na wolność. Idź za swoim przeznaczeniem i pozwól mi iść za moim.

Powiedziawszy to, Bassario zarzucił na ramię łuk, zszedł do quenko i zniknął w ciemności.

Renco nie próbował go zatrzymać, ale kiedy patrzył za nim, na jego twarzy malował się smutek.

Wkrótce wszyscy byli przygotowani na spotkanie z rapa. Pozostawało do zrobienia jeszcze tylko jedno.

Wziąłem mały pęcherz z małpią uryną, który dostałem od bezzębnego starca, i otworzyłem go.

Moje nozdrza zaatakował okropny odór. Aż jęknąłem i z rozpaczą pomyślałem o perspektywie oblania się tym paskudztwem.

Mimo wszystko zrobiłem to. Mój Boże, jak to cuchnęło! Nic dziwnego, że rapa przed tym uciekały.

Na widok mojej miny Renco zachichotał. Wziął ode mnie pęcherz i zaczął skrapiać się śmierdzącym, żółtym płynem. Potem pęcherz powędrował do wojowników, którzy mieli iść z nami w góry - wszyscy musieli wysmarować się małpim moczem.

Kiedy skończyliśmy, wróciła Lena - ze znacznie większym pęcherzem, prawdopodobnie z lamy - wypełnionym bezbarwnym płynem.

- Woda, o którą prosisz - powiedziała do brata.

- Doskonale - odparł i wziął od niej pęcherz. - No to jesteśmy gotowi.

Renco polał prawdziwego Idola cienkim strumyczkiem wody.

Natychmiast zabuczał - zaśpiewał swą melodyjną pieśń.

Wnętrze cytadeli było puste. Lena wysłała już kobiety, dzieci i starców do quenko, przez które mieli dotrzeć do wodospadu na skraju płaskowyżu. Sama została w cytadeli, by zamknąć za nami kamienne drzwi.

- Gotowi? - spytał Renco. Skinął głową dwóm wojownikom, stojącym przy kamiennych drzwiach. - Teraz!

Wojownicy odsunęli wielką kamienną płytę na bok, ukazując nocne niebo na zewnątrz.

Rapa były tuż za wyjściem!

Czekały na nas.

Zebrały się szerokim półkolem tuż za drzwiami.

Naliczyłem dwanaście kotów - wielkich, czarnych kotów o demonicznych żółtych ślepiach, spiczastych uszach i potężnych barkach.

Renco wyciągnął przed siebie śpiewającego Idola i zwierzęta wbiły w niego wzrok jak zahipnotyzowane.

Nagle Idol przestał śpiewać. Rapa natychmiast wybiły się z transu i zaczęły cicho warczeć.

Młody książę szybko polał posążek wodą i ponownie rozległa się pieśń Idola, a rapa znów odrętwiały.

Renco, z Idolem w dłoniach i małą grupką za plecami, wyszedł z cytadeli w ciemną, zimną noc.

Przestało padać i chmury nieco się rozpierzchły, ukazując gwiaździstą noc i piękny, pełny księżyc.

Trzymając wysoko nad głowami pochodnie, przeszliśmy przez osadę, po czym weszliśmy na wąską ścieżkę, która biegła wzdłuż rzeki.

Rapa były wszędzie wokół nas. Poruszały się powolnymi, pełnymi namysłu ruchami, szły na mocno przygiętych nogach, niemal szurając brzuchami po ziemi, i przez cały czas wpatrywały się w posążek w dłoniach Renca.

Bardzo się bałem. Muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem.

Byliśmy otoczeni przez zgraję ogromnych, bezlitosnych stworów, które zabijały bez najmniejszego wahania... było w tym coś niesamowitego.

Jakże one były wielkie! W migoczącym świetle pochodni mięśnie na ich barkach i bokach falowały pomarańczowym światłem. Słyszałem ich głośnie oddechy - podobnie jak konie, wydawały rżący dźwięk, dochodzący gdzieś z głębi piersi.

Obejrzałem się za siebie i ujrzałem stojącą na skraju osady Lenę z pochodnią w ręku. Uważnie nas obserwowała.

Po kilku chwilach zniknęła jednak - prawdopodobnie postanowiła wrócić do cytadeli, by zrobić tam to, co do niej należało.

Kontynuowaliśmy marsz do tajemniczej Świątyni.

Szliśmy ścieżką. Dziewięciu mężczyzn - Renco, ja i siedmiu wojowników - otoczonych przez sforę rapa.

Doszliśmy do góry - w skalnej ścianie była tu wykuta wąska ścieżka. Jeden z Inków powiedział Rencowi, że Świątynia znajduje się przy drugim końcu ścieżki.

Młody książę znów zmoczył Idola, który natychmiast głośno zaśpiewał - wysoki, przenikliwy dźwięk przecinał wczesnoporanne niebo. Gdy Renco wszedł w skalne przejście - koty podążyły za nim niczym dzieci za nauczycielem.

Kiedy szliśmy wąskim przesmykiem w skałach, oświetlając sobie drogę pochodniami, któryś z wojowników wpadł na głupi pomysł dźgnięcia jednego z pogażonych w odrętwieniu rapa ostrzem dzidy - ale w chwili gdy zamierzał wbić szpic broni między kocie żebra, zwierzę popatrzyło na niego i wściekle warknęło, zatrzymując go w pół ruchu. Potem wielki kot odwrócił łeb i kontynuował hipnotyczny spacer za śpiewającym Idolem.

Wojownik wymienił spojrzenia z jednym ze swoich towarzyszy. Rapa były może w transie, ale wcale nie stały się przez to bezbronne.

Wyszliśmy z przejścia w skałach do okrągłego kanionu. Tak jak mówił Vilcafor, w środku wznosił się niesamowity skalny palec, strzelający wysoko w niebo.

W ścianie kanionu wycięto ścieżkę - była to droga ucieczki, którą swoim ludziom kazał zrobić Vilcafor. Biegła ona po obwodzie cylindrycznego kanionu, wznosząc się spiralą wokół kamiennego palucha pośrodku.

Renco wszedł na ścieżkę i powoli zaczął się nią pisać w górę. Mokrego Idola trzymał cały czas w dłoniach - a koty szły za nim. Inkascy wojownicy - i ja - szliśmy w pewnej odległości za kotami.

Wspinaliśmy się i wspinaliśmy. Dookoła, cały czas podążając za krzywizną ścieżki.

Wkrótce dotarliśmy do mostu linowego, przerzuconego przez kanion i łączącego zewnętrzną ścieżkę z kamiennym paluchem pośrodku.

Popatrzyłem przez przepaść na kamienną wieżę. Na jej szczycie - otoczona nisko przyciętą roślinnością - stała wspaniała piramida schodkowa, podobna do tych, jakie spotykano w krajach Azteków. Na szczycie piramidy znajdowało i się tabernakulum.

Renco przeszedł przez most pierwszy. Koty podążyły za nim - pojedynczo pokonywały długi, zwieszający się łukiem nad przepaścią most pewnymi, długimi krokami. Wojownicy poszli jako następni, ja przeszedłem ostatni.

Po drugiej stronie mostu zaczynały się szerokie kamienne schody, które wychodziły na polanę. Na końcu polany znajdowało się wejście do Świątyni.

Było szerokie, ciemne i groźne - zionęło pustką, jakby rzucało światu wyzwanie, nawoływało, by odważył się wkroczyć do jej wnętrza.

Renco podszedł do niego - cały czas z mokrym Idolem i w dłoniach.

- Wojownicy! - zawołał. - Przygotujcie się do zasunięcia kamienia.

Siódemka Inków i moja skromna osoba podbiegliśmy do głazu, stojącego obok zionącego grozą wejścia do Świątyni.

Renco wszedł na próg. Znowu polał Idola wodą, by nie przestawał śpiewać.

Koty zatrzymały się przed wejściem, wpatrując się w rzeźbę.

Renco zrobił krok do środka.

Zwierzęta podążyły za nim.

Renco zrobił kolejny krok i pierwszy kot wszedł do środka.

Jeszcze jeden krok.

Drugi kot wszedł do wewnątrz, potem trzeci i czwarty.

Renco wylał całą wodę z pęcherza, ostatni raz popatrzył na najcenniejszą rzecz swojego ludu i rzucił posążek w głąb Świątyni.

Koty skoczyły za Idolem. Wszystkie dwanaście.

- Szybko, kamień! - zawołał Renco, wyskakując na zewnątrz. - Zasuńcie wejście!

Zaczeliśmy pchać.

Głaz zgrzytał o próg.

Pchałem z całej siły, walcząc z wielkim ciężarem. Obok mnie stanął Renco i pomagał pchać.

Kamień powoli wsuwał się w portal. Zostało jeszcze kilka kroków...

Byliśmy niemal u celu...

Zostały jeszcze dwa kroki...

- Renco! - zawołał nagle gdzieś z bliska kobiecy głos.

Odwróciliśmy się równocześnie.

Na skraju polany stała Lena.

- Lena? - spytał zdziwiony Renco. - Co tu robisz? Prosiłem cię chyba, żebyś...

W tym momencie Lena została brutalnie odsunięta na bok i rzucona na ziemię, a na kamiennych schodach za nią stanął mężczyzna. W jednej chwili krew w moich żyłach zamieniła się w lód.

Patrzyłem na Hernanda Pizarra.

Spomiędzy krzewów za Leną wyszło przynajmniej dwudziestu konkwistadorów. Rozproszyli się po polanie - wszyscy mieli podniesione muszkiety i celowali z nich prosto w nas. Światła ich pochodni rozświetlały całą polanę.

Było z nimi trzech tubylców o oliwkowej skórze - każdy miał powbijane w policzki ostre, cienkie odłamki kości. Byli to Chankowie. Zwiadowcy, których Hernando zatrudnił, aby szli naszym tropem do Vilcafor.

Na końcu ukazał się - jego pojawienie się było naprawdę złowróżbne - smagły mężczyzna. Był wyższy od pozostałych i miał czarne, sięgające do ramion włosy. Także i jego lewy policzek przebijała kość.

Był to Castino. Zezwierzęcony Chanka, który siedział na tym samym więziennym statku co Renco i podsłuchiwał naszą rozmowę, dowiadując się z niej, że Idol znajduje się w Coricancha w Cuzco.

Konkwistadorzy i ludzie z plemienia Chanka utworzyli wokół nas szerokie półkole.

Wtedy zobaczyłem, jacy są brudni. Wszystkich Hiszpanów oklejało błoto i brud. Byli wyniszczeni i znużeni poza granice możliwości.

Musieli być wszystkim, co pozostało ze stuosobowego legionu Hernanda. Podczas marszu przez góry i lasy żołnierze umierali z powodu chorób, głodu i wycieńczenia.

Tylu tylko zostało z całego legionu - dwudziestu ludzi.

Hernando wyszedł naprzód, szarpnięciem stawiając Lenę na nogi. Ciągnąc ją za sobą, doszedł do Świątyni, stanął przed młodym księciem i popatrzył na niego władczo. Był o głowę wyższy od Renca i dwa razy szerszy w barach. Pchnął Lenę w ramiona brata.

Nerwowo spoglądałem na wejście do Świątyni.

W dalszym ciągu nie zostało do końca zamknięte, a przejście między wielkim głazem i otworem było wystarczające, by zmieścić się tam rapa.

Bardzo mnie to niepokoiło.

Kiedy woda spłynie z figurki i Idol skończy swą pieśń, rapa wyrwą się spod

działania zaklęcia i...

- Wreszcie się spotkaliśmy - powiedział Hernando do Renca po hiszpańsku. - Zbyt długo mnie unikałeś, młody książę. Będziesz umierał powoli.

Renco nie odpowiedział.

- A ty, mnichu, jesteś zdrajcą swego kraju i swego Boga. Będziesz umierał jeszcze wolniej.

Przełknąłem strach.

Hernando znów popatrzył na Renca.

- Daj mi posążek.

Renco nie zawahał się. Sięgnął do sakwy i wyjął fałszywego Idola.

Na widok rzeźby oczy Hernanda zabłyśły. Mógłbym przysiąc, że zaczął się ślinić.

- Daj mi go!

Renco zrobił krok do przodu.

- Na kolana!

Choć było to upokarzające, Renco przykląkł na jedno kolano i podał figurkę stojącemu przed nim Hiszpanowi.

Hernando wziął ją od Renca - na widok tak długo poszukiwanej nagrody jego oczy zaświeciły z chciwości.

Po kilku chwilach podniósł wzrok i zwrócił się do jednego ze swoich ludzi:

- Sierzancie!

- Tak?

- Zabić ich.

Związano mi ręce kawałem sznura. To samo zrobiono z moim młodym przyjacielem.

Dwóch hiszpańskich żołnierzy oderwało od niego Lenę i obaj zaczęli wymieniać obrzydliwe uwagi na temat tego, co z nią zrobią, kiedy zabiją mnie i Renca - uwagi, których nie śmiem tu powtarzać.

Kazano mnie i Rencowi uklęknąć przed długim prostokątnym kamieniem, leżącym na środku polany - kamieniem, który wyglądał jak niski ołtarz ofiarny.

Hiszpański sierżant stanął nade mną z obnażoną szablą.

- Ty, Chanka! - powiedział Hernando i rzucił szablę Castinowi. Od chwili pojawienia się na polanie nikczemny Chanka wbijał w Renca pełen nienawiści wzrok. - Możesz zabić księcia.

- Zrobię to z radością - odparł Castino po hiszpańsku. Złapał szablę i podszedł szybko do kamienia.

- Najpierw obetnij im ręce - rozkazał Hernando. - Chcę posłuchać, jak krzyczą przed śmiercią.

Nasi oprawcy kiwnęli głowami, a dwaj inni konkwistadorzy szarpnęli za nasze

więzy tak, że musieliśmy wyciągnąć ręce daleko przed siebie. Nadgarstki mieliśmy odsłonięte, dłonie przygotowane do odcięcia.

- Alberto... - odezwał się cicho Renco.

- Tak?

- Przyjacielu, zanim umrzemy, chciałbym, abyś wiedział, że poznanie ciebie było dla mnie przyjemnością i zaszczytem. To, co zrobiłeś dla mojego narodu, będzie pamiętane przez pokolenia. Dziękuję ci za to.

- Mój odważny przyjacielu - odparłem - gdyby okoliczności miały się powtórzyć, wszystko zrobiłbym tak samo. Niech Bóg ma cię w niebie w opiece.

- Ciebie też. Ciebie też.

- Panowie... - powiedział Hernando do naszych katów. - Obetnijcie im dłonie.

Sierżant i Chanka równocześnie unieśli błyszczące ostrza, wznosząc je wysoko nad głowy.

- Zaczekajcie! - zawołał ktoś nagle.

Do ołtarza podbiegł jeden z konkwistadorów. Był starszy od pozostałych i wyglądał na szczwanego, sprytnego lisa. Podszedł do Renca.

Zauważył zawieszony na szyi mojego przyjaciela szmaragdowy naszyjnik.

Szybko zdjął go Rencowi przez głowę, pożądliwie się przy tym uśmiechając.

- Dziękuję, dzikusie - prychnął, po czym założył sobie naszyjnik i wrócił na swoją pozycję przy wejściu do Świątyni.

Nasi kaci spojrzeli na Hernanda, czekając na jego znak. Hernando nie patrzył jednak na nich.

Jego wzrok był skierowany gdzieś bardziej w prawo - spoglądał na wejście do Świątyni - i szeroko rozdziawiał usta. Odwróciłem się w tamtym kierunku.

- O mój Boże... - westchnąłem.

W półotwartym wejściu stał rapa i z ciekawością wpatrywał się w ludzkie zgromadzenie.

Był ogromny - rozstawił potężne przednie łapy, napiął muskularne łopatki - ale jego pojawienie się miało w sobie coś komicznego, bo zwierzę trzymało coś w pysku.

Idola.

Prawdziwego Idola.

Wielki czarny kot - przedtem tak przerażający i groźny - wyglądał teraz jak łagodny piesek, przynoszący swojemu właścicielowi patyk. Trzymał Idola w pysku, jakby czekał, aż ktoś znów go zmoczy i sprawi, że zaśpiewa.

Hernando wpatrywał się bez ruchu w zwierzę - czy może raczej w posązek, który rapa trzymał w paszczy. Po chwili jego wzrok przeniósł się na posązek, który miał w rękach, a potem na Renca i na mnie.

Zrozumiał, że został wywiedziony w pole.

Jego twarz poczerwieniała z furii.

- Zabić ich! - ryknął. - Zabić ich natychmiast!!!

W tym momencie wydarzyło się tysiąc rzeczy jednocześnie.

Nasi oprawcy znów unieśli broń, ponownie wycelowali ostrza w nasze karki i właśnie zaczęli spuszczać stalowe klingi zamaszystymi łukami - gdy nagle powietrze nad moją głową przeciął ostry, świszczący dźwięk.

W sekundę potem w nos mojego kata z głośnym trzaśnięciem wbiła się strzała. Z jego twarzy natychmiast wystrzeliła fontanna jaskrawoczerwonej krwi i ścięło go z nóg.

Rapa stojący w portalu - czując kolejny smaczny posiłek - wypuścił Idola z pyska i błyskawicznie skoczył na najbliższego Hiszpana. Po chwili ze Świątyni wyprysnęło jedenaście pozostałych kotów - jeden za drugim, jeden za drugim - i zaatakowało konkwistadorów.

Kiedy Castino ujrzał, że stojący tuż obok niego Hiszpan pada trafiony strzałą, zatrzymał swoją rozpędzającą się szablę, a wyraz jego twarzy świadczył o kompletnej dezorientacji.

Wiedziałem, o czym myśli.

„Kto strzelił? Skąd strzelano?”.

Po chwili jednak najwyraźniej uznał, że odpowie sobie na te pytania, kiedy już zabije Renca - bo szybko ponownie wznosił ostrze, zaczął je opuszczać...

...i wtedy kolejna strzała trafiła w rękojeść jego szabli, wytrącając mu ją z dłoni.

Zaraz potem gdzieś z góry nadleciała ze świstem trzecia strzała i przecięła sznur, którym związano ręce Renca.

Młody książę natychmiast skoczył na nogi, ale w tym samym momencie Castino - pozbawiony szabli - zamachnął się na niego potężną pięścią. Renco błyskawicznie złapał konkwistadora, który jeszcze przed chwilą przyciskał jego nadgarstki do kamiennego ołtarza, i zasłonił się nim. Potężna łapa Castina trafiła Hiszpana prosto w twarz, zmiażdżyła mu nos i wbiła go w głąb czaszki, zabijając żołnierza jednym uderzeniem.

Kolejny z konkwistadorów wycelował w młodego księcia z muszkietu i wypalił, ale Renco zawirował w miejscu, obracając się razem z martwym Hiszpanem, którego używał jak tarczy - i pocisk wyszarpał wielką czerwoną dziurę na środku piersi trupa.

Kiedy Renco skoczył w wir walki, żołdak, który przytrzymał moje nadgarstki, wyciągnął szablę i popatrzył na mnie z nienawiścią.

Wtedy jednak znów rozległ się świst, coś śmignęło - szybciej niż ludzka myśl - i pośrodku jego gęby wyrosła strzała. Konkwistador padł na ołtarz tuż przede mną - z jego potylicy wystawał spiczasty grot.

Popatrzyłem w ciemność, próbując się zorientować, skąd nadlatują strzały.

Natychmiast go dostrzegłem.

Na krawędzi kanionu stał mężczyzna.

Jego sylwetkę wyraźnie było widać na tle księżyca - klęczał na jednym kolanie, łuk miał napięty i gotów do strzału, lotki strzały trzymał tuż przy uchu.

Bassario!

Machnąłem mu w podzięce ręką, po czym zabrałem się do rozplątywania swoich więzów.

Trudno opisać, co działo się wokół mnie. Świat oszalał. Polana przed Świątynią zamieniła się w pole bitwy - zażartej, krwawej bitwy.

Wszędzie walczone - Inkowie z konkwistadorami, koty z ludźmi.

Przy Świątyni rapa zabiły już przynajmniej pięciu Hiszpanów i atakowały kolejnych. Nie oszczędzały też przewodników Chanka.

Inkascy wojownicy - omijani przez wielkie koty z powodu odoru małego moczu, jaki wydzielają ich ciała - walczyli z pozostałymi Hiszpanami. Kilku z nich padło, kiedy konkwistadorzy wystrzelili z muszkietów, ale pozostali wciąż atakowali, używając kamieni i wszelkiej broni, jaką udało im się dostać w ręce. Choć podczas moich wędrówek przez Nową Hiszpanię wiele widziałem, ta walka była czymś najbardziej brutalnym i pierwotnym ze wszystkiego, czego kiedykolwiek byłem świadkiem.

Renco i Castino podnieśli szable i młócili nimi jak szaleni.

Castino - wyższy od mojego odważnego przyjaciela przynajmniej o dwie głowy - trzymał broń oburącz i grzmocił nią w młodego księcia z całej siły.

Renco jednak dobrze parował - jedną ręką, tak jak go uczyłem - tańcząc w błocie jak doświadczony hiszpański fechtmistrz i nie tracąc równowagi przy cofaniu się w kierunku zarośli.

Kiedy wreszcie uwolniłem lewą rękę z więzów i wstałem, w pełni doceniłem, jak pilnie Renco korzystał z mej wiedzy.

Było jasne, że uczeń przerósł mistrza.

Za każdym potężnym uderzeniem przeciwnika Renco błyskawicznie unosił szablę i parował - akurat na czas.

Klingi szczękały z niezwykłą gwałtownością.

Castino uderzał, Renco parował. Castino rzucał się, Renco tańczył.

Nagle Castino uderzył w tak diabelski sposób i tak mocno, że każdy zwykły człowiek na pewno by w tym momencie zginął.

Nie Renco.

Był za szybki. Błyskawicznie pochylił się i zaraz potem skoczył na niską skałę, z której niemal wzniosł się w powietrze, niwelując różnicę wzrostu między sobą

i przeciwnikiem, jego szabla śmignęła w powietrzu i zanim zdążyłem się zorientować, już tkwiła poziomo w pniu drzewa za karkiem Castina.

Castino stał z szeroko otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. Po chwili szabla wypadła mu z dłoni, a cały korpus odpadł od głowy.

Renco obciął mu ją na wysokości ramion.

Niemal krzyknąłem w triumfie.

Należałoby może raczej powiedzieć, że krzyknąłbym, gdybym nie miał innych kłopotów na głowie.

Odwróciłem się, by rozejrzeć się po polu walki.

Wszędzie na polanie trwały jeszcze potyczki, ale jedynymi prawdziwymi zwycięzcami były tylko rapa.

Nagle zobaczyłem Idola.

Prawdziwego Idola.

Leżał na progu portalu, przewrócony na bok, w tym samym miejscu, gdzie upadł, gdy wielki kot wypuścił go z pyska.

Choć wokół prawego nadgarstka nadal jeszcze miałem omotany sznur, którego koniec zwisał luźno, podniosłem z ziemi szablę i pochodnię i ruszyłem w stronę Świątyni przez szcęk stali i wrzaski mordowanych konkwistadorów.

Szybko dobiegłem do portalu, padłem na ziemię, złapałem Idola...

...i w tej samej sekundzie jeden z hiszpańskich żołnierzy wpadł na mnie od tyłu i obaj wtoczyliśmy się do środka Świątyni.

Zaczęliśmy turlać się w dół szerokich schodów, w ciemność - splątany kłęb rąk i nóg oraz Idol i pochodnia.

Kiedy huknęliśmy o platformę na dole schodów, rozdzieliliśmy się. Znajdowaliśmy się w ciemnym tunelu o kamiennych ścianach.

Mój przeciwnik pierwszy stanął na nogi i stał oparty plecami o ścianę, tuż obok niewielkiej wnęki. Ja wciąż jeszcze leżałem rozplaszczony na podłodze, na plecach - a Idol leżał na moim brzuchu.

Kiedy popatrzyłem na Hiszpana, zauważyłem na jego szyi szmaragdowy naszyjnik i natychmiast rozpoznałem tego człowieka. Był to stary, szczywany żołnierz, który tak niedawno zabrał Rencowi jego bezcenny skarb.

Konkwistador wyciągnął szablę i uniósł ją wysoko. Byłem bezbronny i całkowicie odslonięty.

W tym momencie coś wypadło spoza moich pleców z głośnym rykiem, przeskoczyło przeze mnie i błyskawicznie wbiło się w Hiszpana.

Rapa.

Kot uderzył w konkwistadora z tak wielką siłą, że wepchnął go do wnęki w murze. Głowa żołnierza uderzyła o kamienie z przyprawiającym o mdłości

dźwiękiem i rozpekła się niczym jajko, rozpryskując wokół kaskadę krwi.

Hiszpański żołdak padł na ziemię - z pewnością nie żył, zanim jej dotknął.

Kot zaczął go natychmiast pożerać, machając przy tym ogonem, jakby świetnie się bawił.

Wykorzystałem okazję, złapałem Idola i pobiegłem w górę schodów.

Wyprysnąłem w noc, wdzięczny Opatrzności, że po raz kolejny udało mi się umknąć śmierci.

Ledwie jednak znalazłem się na polanie, tuż za moimi plecami rozległ się ostry trzask i chrapliwy głos wrzasnął:

- Mnichu!

Odwróciłem się.

Przedemną stał Hernando Pizarro z pistoletem w ręku i celował mi z niego prosto w pierś.

Zanim zdążyłem się poruszyć, z lufy wystrzelił ogień, huknął głośny strzał i poczułem silne uderzenie, które mnie pchnęło do tyłu.

Upadłem na ziemię i widziałem już tylko chmury - ciemne, burzowe chmury, toczące się nad moją głową po nocnym niebie. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że właśnie zostałem postrzelony.

Leżałem na plecach, zaciskałem zęby i wznosiłem wzrok ku pełnemu chmur niebu, czując w piersi wielki ból.

Hernando pochylił się nade mną i wyjął mi Idola z omdlałej dłoni. Potem klepnął mnie mocno w twarz, powiedział:

- Umieraj powoli, mnichu - i odszedł.

Leżałem na kamiennych stopniach przed Świątynią i czekałem, aż życie ze mnie ucieknie, aż ból stanie się nie do zniesienia.

Z jakiegoś jednak powodu, którego nie pojmowałem, zaczęły mi wracać siły.

Pałący ból w piersi osłabł i szybko usiadłem, po czym ostrożnie dotknąłem miejsca, gdzie kula wyrwała mi dziurę w ubraniu.

Wymacałem coś grubego i prostokątnego. Wyjąłem ten przedmiot zza pazuchy.

Była to moja Biblia.

Trzystustronicowa, pisana ręcznie, oprawiona w skórę Biblia.

Pośrodku okładki ziała poszarpana dziura, która wyglądała, jakby księgę nadżarły robaki. Z boku dziury tkwiła poskręcana gruda matowego, szarego ołowiu.

Moja Biblia zatrzymała kulę!

Błogosławione niech będzie Słowo Pana!

Skoczyłem na nogi, radosny jak nigdy. Poszukałem wzrokiem mej szabli, nigdzie jej jednak nie było. Kiedy się rozejrzałem, zobaczyłem Renca - walczył na dwie szable z dwoma Hiszpanami.

Obok dwóch inkaskich wojowników ścierało się z dwoma innymi konkwistadorami - wyglądało na to, że są to jedyni pozostali na skalnym paluchu ludzie.

Nagle jednak dostrzegłem jeszcze kogoś - Hernanda. Uciekał z Idolem między krzewy, zbiegał kamiennymi schodami. Biegł do mostu linowego.

Przerażenie odebrało mi oddech.

Gdyby Hernando tam dotarł, niemal pewne było, że przeciąłby most i zostawił nas na skale na pastwę rapa.

Pospieszyłem za nim. Pobiegłem przez polanę, przeskoczyłem rapa, który leżał na trawie i pożerał martwego hiszpańskiego konkwistadora.

Pognałem w dół schodów, przeskakując po dwa stopnie. Serce mi waliło, nogi pulsowały, ale musiałem gonić Hernanda. Kiedy wybiegłem zza zakrętu schodów, zobaczyłem go mniej więcej dziesięć kroków przed sobą, wbiegającego na most.

Hernando był potężnym mężczyzną i poruszał się nieco ociężale. Ja byłem znacznie mniejszy, zwinniejszy i szybszy. Zacząłem się do niego zbliżać i po chwili znalazłem się na moście. Nie mając innego wyjścia, nie mając broni - skoczyłem mu na plecy.

Zderzyłem się z nim mocno i upadliśmy na deski zawieszzonego wysoko nad kanionem mostu. Ciężar nasz był jednak zbyt wielki i deski pod nami pękły jak gałązki chrustu. Przelecieliśmy przez most i zaczęliśmy spadać w przepaść.

Nasze spadanie nie było długie.

Zatrzymaliśmy się z nagłym szarpnięciem. Hernando w ostatniej chwili wyciągnął rękę w poszukiwaniu czegoś, czego mógłby się złapać, i chwycił sznur, którego drugi koniec przez cały czas przywiązany był do mojego nadgarstka. Kiedy most się pod nami załamał, sznur owinął się wokół deski, która wytrzymała nasz upadek, i teraz zwisaliśmy po obu jego stronach - każdy na innym końcu.

Wisielśmy jak przerzucone przez bloczek przeciwwagi - a wokół nas dyndały fragmenty uszkodzonego mostu.

Los - w moim przypadku był to zły los - chciał, żebym zawisł pod Hiszpanem, z głową w okolicy jego kolan. Hernando wisiał tuż pod deskami mostu.

W lewym ręku ścisnął Idola, prawą trzymał mój sznur. Próbował wrzucić posązek na ocalałe deski mostu, by uwolnić lewą dłoń i złapać się nią za most.

Było oczywiste, że gdyby mu się to udało, natychmiast by mnie puścił.

Musiałem coś wymyślić, i to szybko.

- Dlaczego to robisz, mnichu?! - ryknął Hernando. - Po co ci ten posązek? Ja jestem gotów za niego zabijać!

Zobaczyłem niedaleko siebie cienką linkę, która jeszcze niedawno podtrzymywała poręcz. Gdybym...

- Jesteś gotów za niego zabijać? - spytałem, próbując odwrócić jego uwagę od tego, że odwiązuję od swego nadgarstka sznur, który mnie z nim łączył. - Dla mnie to nic nie znaczy!

- Nie?! - odkrzyknął.

Ścigaliśmy się, ścigaliśmy się o to, kto pierwszy osiągnie swój cel - czy on złapie deskę mostu, czy ja odwiążę sznur z nadgarstka.

- Nie! - zawołałem w chwili, gdy udało mi się uwolnić od sznura.

- Dlaczego, mnichu?

- Ponieważ ja jestem gotów za niego umrzeć! Sięgnąłem po cienką linkę, zwisającą z mostu nad moją głową, i złapałem się jej - równocześnie puszczając sznur, łączący mnie z Hiszpanem.

Bez przeciwwagi na drugim końcu sznura Hernando natychmiast zaczął spadać, zamieniając się w rozmazaną, rozkrzyczaną smugę. Kiedy mnie mijał, wyciągnąłem rękę i zabrałem mu Idola.

- Niiieeeeeee!!! - darł się, spadając.

Wisiałem nad przepaścią na jednej ręce, drugą trzymając figurkę bożka, i patrzyłem na spadającego Hernanda, na którego twarzy malował się wyraz krańcowego przerażenia. Po chwili zniknął w ciemności w dole i słychać było już tylko jego krzyk.

Zaraz potem cicho plusnęło i zapadła cisza.

Kiedy wróciłem na polanę z Idolem w rękę, ujrzałem obraz rodem z zaświatów.

W migoczącym świetle rozrzuconych na polanie pochodni widać było rozwalone przy martwych konkwistadorach koty, żrące świeże ludzkie mięso. Wszędzie leżały spiczaste srebrne hełmy, migoczące w drgającym świetle płomieni.

Przy portalu stali Renco, Lena i trzech inkaskich wojowników, którzy przeżyli bitwę dzięki umiejętności walki oraz małpiej urynie. Za czymś się rozglądali - bez wątplenia za Idolem.

- Renco! - zawołałem. - Lena!

Natychmiast tego pożałowałem.

Jeden z rapa podniósł łeb znad posiłku, w którym przeszkodziłem mu swoim okrzykiem.

Potężna bestia wstała i wbiła we mnie wzrok.

To samo zrobił następny kot.

Potem jeszcze jeden i jeszcze jeden.

Sfora zaczęła się ustawiać wokół mnie szerokim półkolem. Zwierzęta nisko spuściły łby, położyły uszy po sobie.

Renco odwrócił się i dostrzegł moje położenie. Niestety był za daleko, aby mi jakoś pomóc.

Czyżby małpi mocz na tyle ze mnie wyparował, że nie stanowił już bariery ochronnej? A może stał się w czasie walki z konkwistadorem, może wchłonęła go ziemia, na której leżałem, gdy postrzelił mnie Hernando?

Bez względu jednak na przyczynę - był to koniec.

Pierwszy rapa sprężył ciało i przygotował się do skoku. W tym momencie...

...z głośnym pluskiem spadła mi na głowę pierwsza kropla deszczu. Po pierwszej kropli spadła druga, potem trzecia i czwarta.

Po chwili niebo rozstało się i lunął deszcz.

Och, jakże mocno padało! Z góry waliły nasączające wszystko wodą fale grubych kropel, uderzających z wielką siłą w skalną wieżę, oblewających moją głowę i smagających posążek, który trzymałem w ręku.

Idol zaczął śpiewać.

Jego pieśń natychmiast uspokoiła koty.

Wbiły wzrok w mokrą figurkę w moich dłoniach, przechylając łby na bok.

Renco, Lena i wojownicy podeszli do mnie. Osłaniali pochodnie od deszczu i ostrożnie przemykali się obok zamartwych w bezruchu zwierząt.

Renco trzymał w dłoniach zrobioną przez Bassaria kopię Idola.

- Dziękuję ci, Alberto - powiedział i wziął ode mnie oryginalny posążek bożka. - Chyba teraz ja powinienem się nim zaopiekować.

Lena uśmiechnęła się do mnie. Jej oliwkowa skóra lśniła w blasku pochodni.

- Pokonałeś najgroźniejszego zjadacza złota, aby uratować Idola - oświadczyła. - Czy istnieje coś, czego nie jesteś w stanie dokonać, mój mały bohaterze?

Powiedziawszy to, pochyliła się do przodu i pocałowała mnie delikatnie w usta. Gdy jej wargi dotknęły moich, moje serce na chwilę stanęło i zmiękły mi kolana - i omal się nie przewróciłem. Dotyk jej ust był cudowny.

Kiedy siostra Renca mnie całowała, zza moich pleców odezwał się ironiczny głos:

- Sądziłem, że dla takich jak ty jest to zakazane. Odwróciłem się - na stopniach wiodących do Świątyni stał Bassario. Łuk miał zarzucony na ramię, a na twarzy szeroki uśmiech.

- Pozostawiamy sobie prawo do wyjątków - odparłem. Bassario roześmiał się.

Renco popatrzył na niego.

- Dziękuję ci, że wróciłeś, aby nam pomóc. Twoje strzały uratowały nam życie. Dlaczego wróciłeś?

Bassario wzruszył ramionami.

- Kiedy doszedłem do wodospadu na końcu quenko, zobaczyłem nadchodzących zza rzeki zjadaczy złota. Uznałem, że jeśli jakimś cudem przeżyjecie, ludzie będą o was śpiewać pieśni, i postanowiłem też zostać tematem tych pieśni. Żeby pamiętano o mnie nie tylko z powodu zhańbienia nazwiska mojej rodziny i żeby temu nazwisku

przywrócić szacunek.

- Myślę, że ci się to udało - oświadczył Renco. - Chciałbym jednak jeszcze raz wykorzystać twoje dobre serce i poprosić cię o ostatnią przysługę...

Powiedziawszy to, zaczął się od nas oddalać, trzymając w jednym ręku pochodnię, a w drugiej oba posążki. Szedł w kierunku wejścia do Świątyni. Po drodze podniósł pęcherz lamy, który leżał na ziemi, i zaczął go napełniać wodą płynącą z nieba.

Koty natychmiast ruszyły za nim - a raczej za śpiewającym Idolem.

- Kiedy wejść do Świątyni, zamknijcie za mną kamień - polecił Renco.

Popatrzyłem na niego i na trzech pozostałych wojowników.

- Co zamierzasz?

- Chcę zadbać o to, aby już nikt nigdy nie dostał w swoje ręce Idola. Zwabię nim koty do środka, a kiedy wszystkie za mną wejdą, zasuńcie kamień.

- Ale...

- Zaufaj mi, Alberto - powiedział spokojnym głosem, wciąż idąc. Rapa sunęły za nim. - Jeszcze się zobaczymy. Obiecuję Ci to.

Po chwili wszedł do Świątyni, a koty zebrały się wokół niego. Lena, Bassario, ja i wojownicy - wszyscy podbiegliśmy do kamienia.

Renco zatrzymał się i popatrzył na mnie po raz ostatni. Uśmiechnął się smutno.

- Dbaj o siebie, przyjacielu - powiedział.

Potem odszedł, zniknął w ciemności między portalem a wielkim głazem.

Koty podążyły za nim jeden po drugim.

Kiedy ostatnie zwierzę było w środku, Bassario zawołał:

- Pchamy!

W sześcioro oparliśmy się o kamień i zaczęliśmy z całych sił przec.

Głaz zadudnił o podłogę. Na szczęście nie musieliśmy przepychać go daleko - jedynie dwa kroki - inaczej byłoby to zadanie nie do wykonania przy tak małej liczbie ludzi.

Bassario i Inkowie byli silnymi mężczyznami. Ja z Leną również dawaliśmy z siebie wszystko i powoli, bardzo powoli głaz zaczął zasłaniać portal.

Przez cały czas słyszeliśmy dolatującą ze środka pieśń. Z każdą chwilą cichła coraz bardziej.

W końcu głaz wypełnił portal i pieśń Idola przestała być słyszalna. Ogarnął mnie wielki smutek, wiedziałem bowiem, że już nigdy nie zobaczę mojego przyjaciela Renco.

Przed zejściem ze skalnego palucha musiałem wykonać jeszcze ostatnie zadanie.

Jednemu z poległych konkwistadorów zabrałem rapier i w wielkim kamieniu wyryłem ostrzeżenie dla wszystkich tych, którzy kiedyś zechcieliby otworzyć

Świątynię.

No entrare absoluto Muerte asomarse dentro.

A.S.

Nie wchodzić pod żadnym pozorem. W środku czyha śmierć.

Od wydarzeń, które opisałem, minęło wiele lat.

Jestem teraz starym człowiekiem, zwiędłym i kruchym. Siedzę za stołem w klasztorze, pisząc te słowa przy świetle świecy. Wokół mnie wszędzie są ośnieżone góry - Pireneje.

Kiedy Renco wszedł do Świątyni z dwoma posążkami i rapa, wróciliśmy do Vilcafor.

Wkrótce po całym imperium rozeszła się wieść o tym, co się wydarzyło - o śmierci Hernanda i o ukryciu Idola w tajemniczej Świątyni, gdzie ma go chronić sfera rapa.

Hiszpański rząd kolonialny rozpowszechnił oczywiście kłamliwą opowieść o śmierci brata Gubernatora. Według niej zginął on z rąk jakiegoś tubylczego plemienia, płynąc nieznaną rzeką w dżungli. Gdyby moi rodacy znali prawdę...

Wiem, że Inkowie śpiewali pieśni o naszej przygodzie - o tak, wspomina się w nich również o Bassariu - które przetrwały wiele lat po podbiciu przez Hiszpanię ich kraju.

Inkowie mówią, że Hiszpanie mogą zabrać im ziemię, spalić ich domy, torturować ich i mordować, ale nie mogą odebrać im ducha.

Do dziś nie wiem, co Renco zrobił w Świątyni z dwoma posążkami.

Mogę jedynie przypuszczać, że przewidział pogłoski, jakie rozejdą się po naszym zwycięstwie nad Hernandem. Wiedział, że jeśli ludzie dowiedzą się, iż Idol jest w Świątyni, spróbują do niej wejść.

Wyobrażam sobie, że umieścił fałszywego Idola w pobliżu wejścia, aby awanturnik, któremu uda się dostać do środka, natknął się najpierw na niego.

Ale to tylko przypuszczenia. Prawdy nie znam.

Nigdy więcej nie ujrzałem Renca.

Nie mogłem dłużej znieść życia w Nowej Hiszpanii. Postanowiłem wrócić do Europy.

Po pożegnaniu się z piękną Leną i szlachetnym Bassariem, z pomocą inkaskich przewodników wyruszyłem na północ przez góry Nowej Hiszpanii.

Szedłem i szedłem - przez dżungle, góry i pustynie - aż dotarłem do kraju Azteków, który Cortez zajął kilka lat wcześniej.

Udało mi się tam za pomocą łapówki dostać na pokład statku handlowego - załadowanego kradzionym złotem - który płynął do Europy.

Kilka miesięcy później przybyłem do Barcelony i stamtąd udałem się do klasztoru

w Pirenejach, oddalonego od świata Idola i jego żądnych krwi konkwistadorów, i tu się postarzałem, myśląc co noc o moich przygodach w Nowej Hiszpanii i marząc o tym, by móc spędzić jeszcze jeden dzień z moim przyjacielem Renkiem.

Race przewrócił kartkę.

To było wszystko. Manuskrypt się skończył.

Popatrzył przed siebie, w kierunku kokpitu goose'a. Za przednią szybą wodolociku widać było wznoszące się wysoko ostre szczyty Andów.

Wkrótce dotrą do Vilcafor.

Race westchnął. Historia, którą właśnie przeczytał, mocno go zasmucała. Myślał o odwadze Alberta Santiaga, o poświęceniu Renca i o przyjaźni, jaka między nimi powstała. Myślał także o znajdujących się w Świątyni dwóch posążkach.

Przez chwilę zastanawiał się.

Coś w tym było nie tak.

Coś było nie tak w sposobie, w jaki manuskrypt się kończył - tak nagle, tak nieoczekiwanie - a kiedy Race głębiej się nad tym wszystkim zastanowił, doszedł do wniosku, że coś jest nie tak z czymś, co widział wczoraj. Chodziło o badanie za pomocą rezonansu jądrowego, mającego określić miejsce, gdzie znajduje się Idol z tyru. Coś się nie zgadzało w wynikach tego badania...

W ogóle to wszystko, czego dowiedział się o Lauren i ekspedycji Franka Nasha, spowodowało, że w jego głowie pojawił się szereg całkiem nowych pytań.

Związane były one z tym, że Nash nie pracuje dla DARPA. Z tym, że dowodzi jednostką Sił Lądowych, próbującą przegonić właściwy oddział do spraw Supernowej - oddział marynarki - W wyścigu po Idola. Z tym, w jaki sposób zmusił go do uczestnictwa w wyprawie.

Otrząsnął się z zadumy.

Powinien się zastanowić, jak rozegrać sprawę z Nashem po przybyciu do Vilcafor - czy doprowadzić do konfrontacji, czy milczeć, by nie zdradzić, ile wie?

Musiał szybko podjąć decyzję, bo samolot lekko opuścił nos.

Zaczynali schodzić na ziemię.

Wracali do Vilcafor.

Agent specjalny John-Paul Demonaco szedł powoli przez wielką salę i badał miejsce przestępstwa.

Kiedy kapitan marynarki, Aaronson, odszedł, by dać sygnał do ataku na miejsce, gdzie mieli się kryć Bojownicy Wolności, drugi inspektor z marynarki, komandor Tom Mitchell, spytał, czy Demonaco nie rzuciłby okiem na miejsce przestępstwa. Może udałoby mu się dostrzec coś, czego oni nie zauważyli.

- Aaronson się myli, prawda? - powiedział Mitchell, gdy szli przez

pomieszczenie.

- Co pan ma na myśli? - spytał Demonaco, równocześnie rozglądając się po pełnym najróżniejszych zabezpieczeń laboratorium. Mogło naprawdę zrobić na człowieku wrażenie - i było jednym z najnowocześniejszych laboratoriów, jakie widział w życiu.

- Nie zrobili tego Bojownicy Wolności.

- Nie... nie zrobili.

- Więc kto jest za to odpowiedzialny? Demonaco przez chwilę milczał.

Kiedy się wreszcie odezwał, nie była to odpowiedź na postawione mu pytanie.

- Proszę powiedzieć mi coś więcej o urządzeniu, które tu konstruowano. O tej Supernowej.

Mitchell wziął głęboki wdech.

- Powiem panu wszystko, co wiem. Supernowa to broń termonuklearna czwartej generacji. Nie rozbija atomów ziemskich pierwiastków radioaktywnych, takich jak uran czy pluton, ale tworzy megaeksplozję, rozszczepiając subkrytyczną masę pierwiastka pozaziemskiego zwanego tyrem. Wybuch wywołany rozszczepieniem atomu tyru byłby tak potężny, że mógłby wyrwać niemal jedną trzecią masy Ziemi. Innymi słowy, Supernowa jest pierwszym skonstruowanym przez człowieka urządzeniem, zdolnym zniszczyć planetę, na której żyjemy...

- Powiedział pan, że ten pierwiastek, tyr, jest pochodzenia pozaziemskiego - wtrącił Demonaco. - Jeżeli nie pochodzi z Ziemi, to skąd się wziął?

- Ze zderzeń z asteroidami, uderzeń meteorytów o powierzchnię Ziemi. Są to kawałki skał, które przetrwały podróż przez atmosferę ziemską. O ile się jednak orientuję, do tej pory jeszcze nikt nie znalazł próbki tyru.

- Chyba tym razem znalazł... I chyba wiem kto to taki.

Po chwili milczenia Demonaco powiedział:

- Komandorze, od pół roku do mojej jednostki w Biurze docierają plotki o walce, jaką toczą Bojownicy Wolności z Oklahomy z inną grupą terrorystów, zwaną Republikańską Armią Teksasu.

- Czy to nie oni obdarli ze skóry strażników leśnych w Montanie?

- Są głównymi podejrzanymi. Powiedzieliśmy mediom, że strażnicy natknęli się przypadkiem na kłusujących miejscowych wieśniaków, ale tak naprawdę uważamy, że chodziło o coś znacznie gorszego. Naszym zdaniem strażnicy natknęli się niechcący na tajny obóz szkoleniowy teksańczyków.

- Obóz szkoleniowy...?

- Właśnie. Ci teksańczycy to grupa znacznie większa od Bojowników Wolności i są znacznie lepszymi od nich żołnierzami - tak naprawdę nie można do nich wstąpić, jeśli nie służy się aktualnie w wojsku. Są też wyśmienicie zorganizowani - nie jak

weekendowy klub myśliwski, ale jak elitarna jednostka wojskowa. Mają ściśle określoną hierarchię dowodzenia i surowe kary dla każdego, kto ją złamie. System ten został przyjęty z inicjatywy ich przywódcy, Earla Bittikera, byłego komandosa Navy SEAL, zwolnionego karnie ze służby w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku z powodu napaści seksualnej na porucznika-kobietę. Wydała rozkaz, który mu się nie spodobał, i zgwałcił ją - waginalnie i oralnie.

Mitchell jęknął.

- Bittiker był podobno jednym z najlepszych ludzi SEAL - bezlitośnie zabijającą maszyną - jednak jak to często bywa w przypadku tego rodzaju osobników, brakowało mu wielu cywilizowanych umiejętności. Podobno trzy lata przed incydentem, który spowodował jego wydalenie z wojska - w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku - zdiagnozowano u niego psychozę, ale marynarka pozwoliła mu służyć dalej. Dopóki jego agresja była skierowana na przeciwnika, uważano, że nie ma to większego znaczenia. Dość osobliwa logika. Po dokonaniu gwałtu Bittikera wyrzucono z wojska i skazano na osiem lat w Leavenworth. Kiedy wyszedł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, założył Republikańską Armię Teksasu - wraz z kilkoma innymi zwolnionymi karnie ze służby wojskowej osobnikami, których poznał w więzieniu. Ćwiczą bez przerwy - na pustyni, na pustkowiach Teksasu i Montany, czasami w górach Oregonu. Chcą być przygotowani do walki w każdym terenie, gdy nadejdzie czas na rozpoczęcie wojny z rządem amerykańskim - albo z rządem i ONZ. Sprawę pogarsza fakt, że mają pieniądze. Kiedy rząd uniemożliwił teksaskiemu magnatowi naftowemu Stantordowi Cole pewien biznes, dał on Bittikerowi i jego ludziom coś koło dwóch milionów i list, który brzmiał: „Dajcie im popalić”. Bittikera i jego koleśki widywano potem dość często na czarnorynkowych bazarach na Bliskim Wschodzie i w Afryce, gdzie handluje się bronią. W zeszłym roku kupili od rządu Australii osiem helikopterów typu Black Hawk.

- Jezu...

- Od czasu do czasu także kradną sprzęt. Na przykład - choć nie jesteśmy tego w stanie udowodnić - uważamy, że to właśnie teksańczycy są odpowiedzialni za kradzież czołgu typu Abrams M1-A1, który...

- Ukradli czołg?

- Z naczepy siodłowej ciężarówki, która wiozła go z fabryki Chryslera w Detroit do firmy Tank and Automotive Command w Warren w stanie Michigan.

- Czemu akurat ich pan podejrzewa?

- Ponieważ dwa lata temu kupili w Iranie starego Antonowa An-22 To cholernie wielki samolot - rosyjski odpowiednik naszych największych maszyn transportowych, takich jak C-5 Galaxy czy C-17 Globemaster. Jeśli potrzebuje się samolotu

transportowego, kupuje się mniejszy: An-12 albo C-130 Herculesa, ale nie An-22. An-22 jest potrzebny tylko i wyłącznie wtedy, kiedy chce się przewieźć coś naprawdę dużego. Naprawdę wielkiego. Coś takiego jak sześćdziesięciosiedmotonowy czołg. - Demonaco przerwał i pokręcił głową. - Teraz to jednak nasz najmniejszy kłopot.

- Dlaczego?

- Ponieważ ostatnio pojawiły się dość niepokojące plotki o teksańczykach. Wygląda na to, że w japońskiej sekcji Aum Shinrikyo, która w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku wpuściła do tokijskiego metra sarin, znaleźli bratnią duszę. Po ataku w Tokio część członków grupy przyjechała do Ameryki i zinfiltrowała wiele grup milicji obywatelskiej. Mamy powód podejrzewać, że wielu członków Aum Shinrikyo dołączyło do teksańczyków.

- Co to dla nas oznacza?

- To, że mamy bardzo poważny problem.

- Jaki?

- Aum Shinrikyo to kult Dnia Sądu Ostatecznego. Jedynym ich celem - jedynym powodem, dla którego istnieją - jest spowodowanie końca świata. Dowiedzieliśmy się o incydencie z tokijskiego metra tylko dlatego, że sieci telewizyjne dostały od nich film. Wiedział pan, że na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku Aum Shinrikyo udało się opanować znajdującą się gdzieś na końcu świata chińską wyrzutnię raketową? Mało brakowało, a wystrzeliliby stamtąd na Stany Zjednoczone trzydzieści taktycznych rakiet z głowicami atomowymi.

- Nie wiedziałem o tym - odparł Mitchell.

- Komandorze, w Stanach Zjednoczonych nigdy nie mieliśmy prawdziwego kultu Dnia Sądu Ostatecznego. Mieliśmy agresywne grupy antyrządowe, przeciwników Narodów Zjednoczonych, wrogów przerywania ciąży, grupy antysemitki i zwalczające czarnych, nigdy jednak nie mieliśmy organizacji, której jedyną ambicją byłoby spowodowanie zniszczenia życia na tej planecie. Jeżeli Earl Bittiker i teksańczyki postanowili zrealizować swój cel, stawia nas to przed poważnym problemem. Byliby wtedy jedną z najniebezpieczniejszych paramilitarnych grup w Ameryce.

- Jaki to ma związek z kradzieżą w tym laboratorium?

- Prosty. Grupa, która jej dokonała, była doskonale wyszkolonym oddziałem szturmowym. Taktyka, jakiej użyli, jest typowa dla Sił Specjalnych - przede wszystkim SEAL - co wskazywałoby raczej na organizację typu Republikańska Armia Teksasu niż Bojowników Wolności.

- Chyba tak.

- Niezależnie jednak od tego, kto to zrobił, zostawił nam pocisk z tungstenowym rdzeniem - aby wskazać palcem na Bojowników Wolności. Jeżeli akcję naprawdę

przeprowadzili teksańczycy, czy nie uważa pan, że wyjaśniałoby to, dlaczego chcą zmylić trop, rzucając oskarżenie na swoich wrogów - Bojowników Wolności z Oklahomy?

- No cóż...

- Najbardziej jednak przeraża mnie myśl o tym, czego szukali. Jeśli bowiem Republikańska Armia Teksasu naprawdę również zaczęła skłaniać się ku kultowi Dnia Sądu Ostatecznego, to ta wasza Supernowa jest dokładnie tym, czego potrzebują.

- Przede wszystkim powinniśmy zastanowić się nad tym, jak dostali się do środka - oświadczył Demonaco. - Musieli mieć kogoś wewnątrz, kogoś znającego kody i mogącego zdobyć karty otwierające zamki. Ma pan spis ludzi pracujących nad projektem?

Mitchell wyjął z kieszonki na piersi kartkę papieru i podał ją agentowi.

- To lista wszystkich, którzy pracowali nad Supernową - zarówno ze strony marynarki, jak i DARPA.

Demonaco przyjrzał się liście.

NAZWA PROJEKTU: N23-657-K2 (SUPERNOWA)

KLASYFIKACJA: CZERWONY (CAŁKOWICIE TAJNY)

AGENCJE ODPOWIEDZIALNE: MARYNARKA z DARPA

PERSONEL UCZESTNICZĄCY:

NAZWISKO	STANOWISKO	AGENCJA	NR
AUTORYZACJI			
ROMANO, Jullus M.	Fizyk jądrowy	MARYNARKA	Nz1005-A2
KIEROWNIK PROJEKTU:			
FISK, Howard K.	Fizyk teoretyczny	OARPA	Dz1S46-
77A			
KIEROWNIK PROJEKTU DARPA:			
BOYLE, Jessica D.	Fizyk jądrowy	DARPA	Dz1788-
82B			
LABOWSKI, John A.	Inżynier systemów nośnych	MARYNARKA	Nz7659-C7
MAHER, Karen B.	Systemy wtórne	DARPA	Dz6201-
22C NORTON, Henry J.	Wsparcie techniczne	MARYNARKA	Nz7632-C1
RACE, Martin E.	Inżynier, projektant	DARPA	Dz3279-
97A			
	systemów zapłonowych		
SMITH, Martin W.	Elektronika broni	DARPA	Dz5900-
35B			

PERSONEL DODATKOWY:

KAYSON, Simon F. Bezpieczeństwo projektu MARYNARKA Nz1009-A2

DEVEREUX, Edward G. Językoznawca HARVARD NzA

- Sprawdziliśmy wszystkich - powiedział Mitchell. - Są czyści, nawet Henry Norton, którego karty kodowej i PIN-ów użyto do wejścia.

- Gdzie był w noc włamania?

- W kostnicy w Arlington. Raport medyczny potwierdza, że o godzinie piątej trzydzieści sześć rano w noc włamania - dokładnie piętnaście minut przed wtargnięciem złodziei do tego budynku - Henry'ego Nortona i jego żonę Sarah znaleziono w ich domu w Arlington. Zostali zastrzeleni.

- Piąta trzydzieści sześć... szybko tu dotarli po zabiciu Nortona. Wiedzieli, że w szpitalu jego nazwisko zwróci uwagę.

Jak Demonaco i Mitchell doskonale wiedzieli, wysoko postawieni pracownicy rządu byli zakodowani w bazach danych - na wypadek nagłego przyjęcia do szpitala. Gdy nazwisko zostaje wprowadzone do szpitalnego komputera, pojawia się okienko, informujące o konieczności zawiadomienia odpowiedniej agencji rządowej.

- Miał jakieś powiązania z grupami milicji?

- Żadnych. Przez całe życie służył w marynarce. Jako specjalista systemów technicznych - komputerów, systemów komunikacyjnych, komputerów nawigacyjnych. Ma wyjątkowy zapis służby... facet był idealistą. Ostatni, który by zdradził swój kraj.

- A co z pozostałymi?

- Nic. Nikt nie ma powiązań z ugrupowaniami paramilitarnymi. Każdy członek zespołu przeszedł gruntowny sprawdzian pod kątem spełniania wymogów bezpieczeństwa. Wszyscy są czyści. Nikt z nich nawet nie znał żadnego członka milicji.

- Ktoś jednak musiał mieć takie znajomości. Ustalcie, kto najściślej współpracował z Nortonom, kto mógł podejrzeć jego PIN-y. A ja zadzwonię do paru osób i spróbuję się dowiedzieć, co ostatnio porabiali Earl Bittiker i teksańczycy.

Dotykając powierzchni rzeki Alto Purus niedaleko podstawy wodospadu spływającego z krawędzi płaskowyżu, wodolot wzniosł w górę fontannę wody.

Zapała noc i ponieważ zdawali sobie sprawę z obecności rapa w osadzie, postanowili wylądować poniżej wodospadu i wejść do Vilcafor przez quenko.

Doogie zacumował goose'a pod gęstymi drzewami przy brzegu i wysiedli. Zostawili nieprzytomnego Ulego w samolocie - nieprzytomnego i naszpikowanego metadonem, który znaleźli w znajdującej się z tyłu maszyny apteczce.

Zanim ruszyli w kierunku ścieżki za wodospadem, Race kazał im jeszcze coś zrobić.

Z dwóch drewnianych skrzynek, które znaleźli w wodolocie, i kilku batonów energetycznych, należących do wyposażenia Zielonych Beretów, sporządzili prymitywne pułapki. Miały one pomóc złapać małpy, skaczące po gałęziach drzew.

Dziesięć minut później w każdej ze skrzynek miotała się jedna rozwścieczona małpa. Kiedy Doogie i Van Lewen nieśli pułapki w kierunku quenko, zwierzęta darły się jak zarzynane.

Po następnych dziesięciu minutach Race dotarł do cytadeli.

Nash, Lauren, Copeland, Gaby Lopez i Johann Krauss zebrali się w kącie i patrzyli na Lauren, która próbowała nawiązać kontakt radiowy z Van Lewenem albo Doogiem.

Kiedy Race wyszedł z quenko z fałszywym Idolem w ręku, wszyscy odwrócili się jak jeden mąż.

Renee, Van Lewen i Doogie zjawili się w cytadeli zaraz za nim. Wszyscy byli pokryci od stóp do głów błotem i brudem, a Race ciągle jeszcze miał na twarzy krople krwi Heinricha Anistazego.

Nash natychmiast dostrzegł Idola w jego rękach.

- Ma pan go! - wykrzyknął, po czym podbiegł do Race'a i niemal wyrwał mu figurkę z rąk.

Popatrzył na nią z zachwytem.

Race przez chwilę przyglądał się zimno pułkownikowi i doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli nie zdradzi mu, co o nim wie. Lepiej będzie zaczekać i obserwować, co Nash robi. Mogli jeszcze znaleźć prawdziwego Idola - może nawet im w tym pomoże - ale uznał, że powinien zrobić wszystko, aby posążek nie został w rękach pułkownika.

- Jest piękny... - stwierdził Nash.

- To fałszywka.

- Co?

- Fałszerstwo. Nie jest zrobiony z tyru. Jeżeli znów włączycie wasz przyrząd do obrazowania za pomocą rezonansu jądrowego, pokaże wam, że w okolicy ciągle jeszcze jest źródło tyru. Ta rzeźba jednak na pewno nie jest z tyru.

- Ale... jak to możliwe?

- W trakcie ucieczki z Cuzco Renco Capac nakłonił niejakiego Bassaria do sporządzenia repliki Ducha Ludzi. Zamierzał oddać Hernandowi fałszywego Idola. Wiedział, że Hiszpan go zabije, ale wiedział też, że jeżeli Hernando dostanie Idola, nie będzie podejrzewał, że ma kopię. Stało się jednak inaczej: Hernando zginął, Inkowie pokonali jego ludzi, a Renco - tak przynajmniej mówi manuskrypt - ukrył oba

posążki w Świątyni.

Nash zaczął obracać Idola w dłoniach i zauważył wycięty w podstawie cylinder.

Popatrzył na Race'a.

- A więc prawdziwy Idol jest gdzieś w Świątyni?

- Tak twierdzi Santiago.

- Ale...?

- Ale ja mu nie wierzę.

- Nie wierzy mu pan? Dlaczego?

- Czy wasza maszyna do obrazowania jeszcze działa? - spytał Race Lauren.

- Działa.

- Włącz ją, to pokażę wam, co mam na myśli.

Poszli na górę cytadeli i Lauren zaczęła nastawiać urządzenie.

Gdy to robiła, Race rozejrzał się po osadzie. Było jeszcze ciemno, padał drobny deszcz. Dostrzegł cień wielkiego kota, spoglądającego ku niemu zza jednego z budyneczków.

Po kilkudziesięciu sekundach Lauren przygotowała maszynę. Przerzuciła przełącznik i zamontowana na górze konsoly srebrna antena zaczęła się powoli obracać.

Po niecałej minucie rozległo się ostre BIP! - i antena się zatrzymała. Nie wskazywała na Idola w dłoniach Nasha. Jej czubek był skierowany w stronę gór.

- Mam odczyt - powiedziała Lauren. - Bardzo silny sygnał, rezonans bardzo wysokiej częstotliwości.

- Jakie współrzędne? - spytał Race.

- Namiar dwieście siedemdziesiąt stopni. Kąt pionowy dwadzieścia dziewięć stopni, pięćdziesiąt osiem minut. Odległość siedemset dziewięćdziesiąt trzy metry. Jeśli dobrze pamiętam, tak samo było poprzednim razem.

- Dobrze pamiętasz. Z pewnością pamiętasz także, że uznaliśmy wtedy, iż chodzi o wnętrze Świątyni.

- Pamiętam...

Race uważnie przyjrzał się Lauren. Uważniej niż zwykle. Po chwili zastanowienia uznał, że prawdopodobnie ona także jest elementem programu dezinformacyjnego Nasha.

- A pamiętasz, dlaczego uznaliśmy, że chodzi o miejsce wewnątrz Świątyni?

Lauren zmarszczyła czoło.

- Pamiętam, że weszliśmy w górę krateru i ujrzeliśmy Świątynię. Doszliśmy do wniosku, że musi znajdować się w miejscu, pasującym do pomiaru. Ergo - że Idol jest w środku.

- Właśnie - potwierdził Race. - I to był nasz błąd.

Wrócili wszyscy do cytadeli.

Race wziął długopis i kawałek kartki z transportera, który stał tuż przy wejściu.

- Copeland - zwrócił się do fizyka - czy wśród tych wszystkich technicznych gadżetów, jakie tu macie, dałoby się znaleźć zwykły kalkulator?

Copeland znalazł kalkulator w jednym z amerykańskich kontenerów i podał go Race'owi.

- Doskonale - powiedział Race i czekał, aż wszyscy zbiorą się wokół niego.

Narysował na kartce szkic.

- To jest Vilcafor i płaskowyż na zachodzie, widziane z boku - wyjaśnił.

- Jasne - potwierdziła Lauren. Race dorysował na szkicu kilka kresek.

- To wydedukowaliśmy wczoraj na podstawie odczytu urządzenia obrazującego: siedemset dziewięćdziesiąt trzy metry do Idola. Kąt wznoszenia dwadzieścia dziewięć stopni i pięćdziesiąt osiem minut - dla uproszczenia użyję trzydziestu stopni. Chodzi w każdym razie o to, że kiedy weszliśmy na górę krateru i zobaczyliśmy Świątynię, natychmiast uznaliśmy, że pasuje ona do danych z pomiaru. Zgadza się?

- Nno... tak - przyznał Nash.

- Tyle tylko, że się pomyliliśmy. Pamięta pan, jak wspinaliśmy się w górę, a Lauren podawała odczyty kompasu?

- Nie bardzo - odparł pułkownik.

- Ale ja pamiętam. Kiedy znaleźliśmy się na poziomie szczytu kamiennej wieży i stanęliśmy przy moście linowym, Lauren stwierdziła, że przeszliśmy - w poziomie - dopiero sześćset trzydzieści dwa metry od osady.

Race dorysował kolejną kreskę i zmienił „793 m” przy przeciwprostokątnej - najdłuższym boku trójkąta - na „x m”.

- Chyba wszyscy pamiętają ze szkoły nieco trygonometrii - powiedział. Fizycy wokół niego popatrzyli po sobie niepewnie. - To wprawdzie nie fizyka jądrowa, ale czasami się przydaje.

- O rany... - mruknął nagle stojący z tyłu grupy Doogie. Najwyraźniej dostrzegł coś, czego nie widzieli inni.

- Używając prostej trygonometrii - mówił dalej Race - i znając jeden kąt trójkąta prostokątnego oraz długość jednego boku, można obliczyć długość pozostałych dwóch boków. Pamiętacie? Sinus kąta równa się długości boku przeciwległego do kąta, podzielonej przez długość przeciwprostokątnej. Kosinus równa się długości boku sąsiadującego z kątem, podzielonej przez przeciwprostokątną. W naszym przypadku, aby określić x - odległość między nami a Świątynią - użyjemy kosinusa trzydziestu stopni.

$\cos 30^\circ = 632: x$ - Tak więc...

$x = 632: \cos 30^\circ$

Napisał kilka liczb na kalkulatorze.

- Jeśli to urządzenie się nie myli, kosinus trzydziestu stopni wynosi osiemset sześćdziesiąt sześć tysięcznych, więc x równa się sześćset trzydzieści dwa podzielone przez osiemset sześćdziesiąt sześć tysięcznych, a to jest... siedemset dwadzieścia dziewięć!

Zaczął uzupełniać rysunek. Lauren obserwowała go ze zdziwieniem, Renee z dumą.

- Ktoś czegoś nie rozumie? - spytał po chwili Race.

Odpowiedziało mu milczenie.

Race wrócił do swojego rysunku i ukoronował go zamasztywanym podpisem.

- Popelniliśmy błąd. Założyliśmy, że z powodu wysokości skalnej kolumny Świątynia znajduje się siedemset dziewięćdziesiąt trzy metry od wsi, a więc Idol jest w jej wnętrzu. Błąd. Idola wcale tam nie ma. Jest dalej, gdzieś na płaskowyżu.

- Gdzie? - spytał Nash.

- Podejrzewam, że w wiosce tubylczego plemienia, które zbudowało prowadzący do Świątyni most linowy na górze skalnego palucha i zaatakowało naszych niemieckich przyjaciół, gdy zamierzali otworzyć Świątynię.

- Ale to się nie zgadza z manuskrytem - zauważył Nash. - Według niego oba posązki mają być w Świątyni.

- Manuskrypt nie mówi wszystkiego - odparł Race. - Należy przypuszczać, że Alberto Santiago tak sformułował koniec, aby żaden czytelnik manuskryptu nie dowiedział się, gdzie jest prawdziwy Idol. - Uniósł kartkę papieru z rysunkiem. - Idol jest tam. Tak twierdzi urządzenie obrazujące, a potwierdza to matematyka.

Nash wyjął wargi. Zastanawiał się przez chwilę.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Idźmy po niego.

Małpy, które złapali nad rzeką, dostarczyły im - nie wiadomo, ze złośliwą radością, czy z wściekłością - odpowiednią ilość moczu. Wrzeszczące zwierzaki obficie oblały nim plastik, którym Race wyłożył pudła.

Mocz małp cuchnął straszliwie. Ostry smród wypełnił każdy zakątek cytadeli. Kiedy ekipa smarowała się ciepłym, śmierdzącym płynem, nikt się nie dziwił, że rapa gardzą wszystkim, co nim zmoczono.

Gdy skończyli, Van Lewen rozdał broń. Ponieważ on i Doogie byli jedynymi pozostałymi komandosami Zielonych Beretów (należało przypuszczać, że Buzz Cochrane wciąż tkwi na szczycie skalnej wieży), wzięli dwa G-11. Nash, Race i Renee dostali po jednym M-16, każdy zaopatrzone w wystrzeliwane haki.

Race, ciągle ubrany w czarną kevlarową kamizelkę i niebieską bejsbolówkę, miał u pasa hak.

Copeland i Lauren dostali po SiG-Sauerze P228 a Krauss i Lopez - naukowcy,

którzy nigdy nie mieli do czynienia z bronią - pozostali nieuzbrojeni.

Kiedy wszyscy byli gotowi, Van Lewen wszedł przez drzwi cytadeli do transportera i po chwili otworzył wąż klapy na tyle pojazdu.

Najpierw pojawił się jego G-11.

Zaraz potem Van Lewen ostrożnie wysunął głowę i rozejrzał się po okolicy. Jego oczy się rozszerzyły.

Wielki pojazd ze wszystkich stron otaczały rapa. Wszędzie zwijały się i prostowały kocie ogony. Żółte ślepia ogromnych stworów wwierały się w sierżanta - twarde i zimne. Van Lewen naliczył dwanaście zwierząt. Wszystkie po prostu stały i obserwowały go.

Nagle najbliższy kot prychnął - musiał poczuć mocz - i natychmiast odsunął się od transportera.

Inne koty również zaczęły się odsuwać - odchodziły jeden po drugim, ustawiając się dużym kręgiem w pewnej odległości od pojazdu.

Van Lewen zszedł na ulicę z karabinem gotowym do strzału. Za mm z transportera wyszli po kolei pozostali członkowie grupy.

Tak samo jak wszyscy, Race poruszał się bardzo powoli i ostrożnie, nie spuszczać oczu z kotów i nie zdejmując palca ze spustu karabinka.

Było to przedziwne doświadczenie, przypominało walkę na spojrzenia. Ludzie byli uzbrojeni w wysokiej klasy broń palną, a koty w potężne kły i pazury, Race był jednak pewien, że gdyby któryś z ludzi odważył się choć raz wystrzelić, rapa natychmiast by się na nich rzuciły i bez trudu ich pokonały.

Zwierzęta nie atakowały jednak.

Ludzi chroniła niewidzialna ściana, której rapa nie zamierzały przekraczać. Szły w pewnej odległości za nimi, przesuając się w kierunku nadrzecznej ścieżki niczym cienie.

Jezu, ależ one są wielkie! - pomyślał Race.

Ostatni raz widział je z bliska przez grube szklane szyby humvee, teraz jednak - kiedy były wszędzie wokół, nieoddzielone ani szybami, ani jakimikolwiek drzwiami - wydawały się dwa razy większe. Słyszał, jak oddychają. Alberto Santiago miał rację - wydawały z głębi klatki piersiowej basowy, wibrujący dźwięk, przypominający końskie rzenie.

- Może je po prostu zastrzelimy? - zaproponował szeptem Copeland.

- Nie spieszyłbym się z tym - odparł Van Lewen. - Teraz ich odraza do smrodu małpiego moczu przeważa, podejrzewam jednak, że gdybyśmy otworzyli ogień, ich instynkt przeżycia okazałby się silniejszy.

Ósemka ludzi dotarła ścieżką nad rzeką do wąskiego pęknięcia w skale. Weszli w nie, a rapa za nimi.

Wkrótce wynurzyli się ze skalnego przesmyku i ujrzeli przed sobą płytkie jezioro, z którego wysoko w niebo strzelała skalna wieża, oraz wążiuteńki i niezwykle wysoki wodospad, tryskający z południowo-zachodniej krawędzi krateru.

Nagle przestało padać i zaświecił księżyc, oblewając ściany krateru mistycznym, błękitnym światłem.

Prowadzeni przez Van Lewena, zaczęli wspinać się spiralną ścieżką ku nocnemu niebu.

Rapa wciąż szły za nimi. Ich wielkie czarne łby i wysoko sterczące spiczaste uszy sprawiały, że wyglądały jak demony z piekła rodem, gotowe w każdej chwili, po pierwszym fałszywym kroku, ściągnąć idących z przodu ludzi w otchłań. Zachowywały jednak dystans, odpychane smrodem małpiego moczu.

W końcu grupa dotarła do przyczółków, które jeszcze niedawno podtrzymywały most.

Sam most był przyklejony do skalnej ściany po drugiej stronie przepaści - tam gdzie pozostawili go naziści.

Race rozejrzał się. Nigdzie nie było widać Buzza Cochrane'a.

Ponieważ nie mogli dostać się na skalny paluch, Van Lewen poprowadził ich jeszcze wyżej ścieżką - ku skrajowi krateru.

Ścieżka wchodziła za wodospad, po czym ostro wznosiła się i dochodziła do krawędzi krateru.

Race wszedł na samą górę i popatrzył na zachód - na majestatyczne szczyty Andów, wielkie trójkątne cienie, odcinające się wyraźnie od nocnego nieba. Z lewej strony widział rzeczkę, której woda tworzyła wodospad - wzdłuż niej ciągnął się gęsty las.

Od miejsca, w którym stał, odchodziła wąska błotnista ścieżka, znikająca w lesie.

Jego uwagę przyciągnęło jednak coś innego. W błoto obok ścieżki były wbite dwa długie drągi.

Na szczycie każdego z nich zatknięto czaszkę.

Czując, jak przechodzi go dreszcz, Race skierował w górę promień zamocowanej pod lufą M-16 latarki, by oświetlić jedną z czaszek.

Widok był przerażający. Zatknięty na drągu czerep pokryty był zaschniętą krwią i zwisały z niego kawały gnijącego mięsa. Miał niezwykle kształt - z pewnością nie była to czaszka ludzka. Druga czaszka również nie była ludzka. Obie były wydłużone, miały spiczaste zwierzęce zęby, trójkątne nozdrza i płytkie, szerokie oczodoły.

Race przełknął ślinę.

Były to czaszki kotów.

Czaszki rapa.

- Prymitywny, ale wyraźny znak: NIE WCHODZIĆ - stwierdził Krauss, patrząc

na wbite na drągi czaszki.

- Nie sądzę, by te czaszki miały powstrzymywać ludzi - powiedziała Gaby Lopez, pociągając nosem. - Polano je małpim moczem. Mają odstraszać koty.

Van Lewen minął drągi i wszedł między drzewa. Pozostali podążyli za nim, oświetlając sobie drogę promieniami latarek.

Jakieś trzydzieści metrów za czaszkami natknęli się na szeroką fosę, podobną do tej, która otaczała Vilcafor.

Różniła się ona jednak od fosy wokół osady: po pierwsze, wypełniała ją woda, której powierzchnia znajdowała się mniej więcej pięć metrów poniżej krawędzi wykopu - po drugie, pływały w niej ogromne kajmany.

- Wspaniale... - mruknął Race na widok krążących w fosie gadów. - Znów kajmany.

- Kolejny środek ochronny? - spytała Renee.

- Kajmany są w tej okolicy jedynymi zwierzętami, które mają jakiegokolwiek szansę w walce z rapa - oświadczył Krauss. - Prymitywne plemiona nie mają strzelb ani nie mogą zaminować terenu wokół swoich siedzib, muszą więc w inny sposób trzymać z dala groźne dla nich koty.

Za fosą - całkowicie przez nią otoczona - była duża kępa niskich zarośli. Za krzewami zobaczyli kilka prymitywnych, krytych strzechą chat, stojących pod osłoną wysokich drzew.

Tu i ówdzie paliły się przymocowane do wysokich drągów pochodnie, spowijając domostwa upiorną pomarańczową poświatą. Jeśli nie brać pod uwagę pochodni, wioska wyglądała na opuszczoną.

Nagle trzasnęła jakaś gałązka.

Race odwrócił się gwałtownie i ujrzał stojącą dziesięć metrów za nimi sforę rapa. Jakimś sposobem przeszły za oblane moczem czaszki i zatrzymały się kawałek za grupką przybyszy. Obserwowały ich i czekały.

Po drugiej stronie fosy, dokładnie naprzeciwko amerykańsko-niemieckiej grupy, leżał na ziemi drewniany mostek. Do jego końca przywiązana była lina - podobnie jak zrobiono to w przypadku mostu linowego na szczycie skalnej wieży. Lina biegła nad fosą i była przymocowana do palika na jej drugim brzegu.

Van Lewen i Doogie złapali za linę i po chwili ustawili mostek tak, aby dało się przejść.

Cała ósemka pokonała fosę i weszła w zarośla wokół wioski. Van Lewen i Doogie szybko przeciągnęli mostek na brzeg od strony wioski, aby rapa nie mogły pójść za nimi.

Wyszli z zarośli na rozległą polanę, przypominającą miejski rynek, i zaczęli świecić latarkami po chałupach i drzewach nad nimi.

Na północnym skraju placu stała bambusowa klatka, a za nią - w błotnistym boku fosy - wykopana była duża dziura. Miała jakieś dziesięć metrów szerokości i wysokości i około pięciu metrów głębokości. Z przodu dziurę zamykała bambusowa krata.

Ale najbardziej intrygujące było to, co znajdowało się na środku placu.

Było to coś w rodzaju kapliczki, wyrzeźbionej z najgrubszego w okolicy drzewa.

W wyżłobionych w pniu niszach umieszczono różne przedmioty. Na pierwszy rzut oka widać było, że ich kolekcja jest dość niezwykła - była tam złota korona, wysadzana szafirami, srebrne i złote figurki inkaskich wojowników i dziewcząt, kamienne figurki bożków oraz ogromny rubin wielkości pięści mężczyzny.

Nawet w półmroku od kaplicy bił blask, bo księżycowe światło odbijało się w złotych precjozach. Rosnące po bokach kaplicy drzewa zwieszały nad nią gałęzie, co wyglądało, jakby zbiór kosztowności ukazał się po rozsunięciu do połowy teatralnej kurtyny.

W centralnym miejscu kaplicy znajdowało się największe zagłębienie. Było zasłonięte kawałkiem materiału i choć należało się domyślać, że właśnie tu kryje się przedmiot kultu, nie było go widać.

Nash podszedł do kapliczki, wpatrzony w jej środek. Race domyślał się, co spodziewał się tam znaleźć. Po chwili pułkownik jednym szarpnięciem odsunął zasłonkę.

Kiedy wszyscy zobaczyli, co znajduje się w centralnej niszy, rozległy się głośne westchnienia.

W niszy stał Idol.

Prawdziwy Idol.

Duch Ludzi.

Widok ten odebrał Race'owi oddech. Natychmiast pomyślał, że choć Bassario wykonał wspaniałą robotę i kopia była idealna, nie udało mu się jednak odtworzyć aury dostojności, otaczającej prawdziwy posążek bożka.

Wściekłość, z jaką szczyrzył się kot, przerażała, a blask pożyłkowanego na purpurowo czarnego kamienia zachwycał.

Nash wyciągnął rękę i nagle tuż obok jego głowy pojawiło się zaostrzone kamienne ostrze.

Ostrze było elementem strzały na napiętym łuku wyraźnie rozwścieczonego tubylca, który wyszedł pomiędzy drzew otaczających kaplicę.

Van Lewen podniósł G-11, ale w tym samym momencie otaczające ich zarośla zaszeleściły i wyszło z nich co najmniej pięćdziesięciu tubylców.

Wszyscy trzymali napięte łuki i celowali z nich do intruzów.

Sierzant trzymał karabin uniesiony do strzału, ale Doogie nie zdążył podnieść

swojego. Stał dwa metry dalej, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

Był to niemal klasyczny pat. Van Lewen - z karabinem, którym mógłby zabić jedną serią co najmniej dwudziestu ludzi - stał naprzeciwko pięćdziesięciu tubylców, uzbrojonych w gotowe do strzału łuki.

Jest ich zbyt wielu, pomyślał Race. Nawet gdyby Van Lewenowi udało się oddać kilka strzałów, tubylcy zdążyliby ich pozabijać.

- Van Lewen - powiedział. - Nie...

- Sierzancie Van Lewen - przerwał mu w tym momencie Nash, stojący ze strzałą przy samej głowie. - Opuśćcie karabin.

Van Lewen zrobił, co mu kazano. Tubylcy natychmiast ruszyli do przodu i pozabierali przybyszom broń.

Przed ich szereg wyszedł stary mężczyzna z długą siwą brodą, o pomarszczonej oliwkowej skórze. Nie miał broni. Najwyraźniej był wodzem plemienia.

Po chwili do wodza podszedł drugi mężczyzna i na jego widok Race aż zamrugał.

Nie był tubylcem, ale krępy Latynosem. Był mocno opalony i ubrany na modłę indiańską, jednak nawet obrzędowe malunki na jego twarzy i piersi nie były w stanie ukryć jego zdecydowanie miejskich rysów i zachowania.

Wódz przez chwilę wpatrywał się w Nasha, który stał przed kaplicą jak złodziej, przyłapany na wsadzaniu ręki do kasy, Po czym powiedział coś w swoim narzeczu.

Latynos wysłuchał go uważnie i coś mu odpowiedział.

- Hmph - mruknął wódz.

Race stał tuż obok Renee, otaczało ich pięciu uzbrojonych w łuki Indian.

Nagle jeden z tej piątki zrobił dwa kroki naprzód i z zaciekawieniem dotknął policzka Race'a - jakby chciał sprawdzić, czy jego biała skóra jest prawdziwa.

Race szarpnął głową, odsuwając się od dłoni tubylca.

Indianin wydał z siebie tak głośny okrzyk zdumienia, że wszyscy się ku niemu odwrócili, a potem podbiegł do wodza, krzycząc:

- Rumaya! Rumaya!

Wódz natychmiast podszedł do Race'a, razem ze swoim doradcą z miasta. Stanął przed nim i zaczął mu się przyglądać. Indianin, który dotknął twarzy Race'a, wciąż wskazywał na jego lewe oko i powtarzał: „Rumaya... rumaya...”.

Wódz nagłym ruchem złapał Race'a pod brodę i energicznie szarpnął jego głowę w prawo.

Race nie opierał się.

Stary Indianin przez chwilę w milczeniu badał jego twarz, uważnie oglądał trójkątne brązowe znamię pod okiem. Potem polizał palec i zaczął je trzeć, jakby chciał sprawdzić, czy zejdzie. Nie zeszło.

- Rumaya... - wymamrotał w końcu.

Odwrócił się do swojego latynoskiego doradcy i powiedział coś po keczuańsku. Tamten odszepnął coś po cichu, z wyraźnym szacunkiem, ale stary wódz pokręcił głową i wskazał na prostokątną dziurę, wykopaną w ścianie fosy.

Potem odwrócił się i warknął do swoich ludzi jakiś rozkaz.

Indianie natychmiast zapędzili całą grupę - oprócz Race'a - do bambusowej klatki między drzewami.

Race'a poprowadzono w kierunku błotnistej dziury przy fosie.

Latynoski doradca ruszył za nim.

- Cześć! - powiedział po angielsku, całkowicie zaskakując Race'a.

- Witam - odparł Race. - Powie mi pan, co tu się dzieje?

- Ci ludzie są bezpośrednimi potomkami żyjącego z dala od cywilizacji indiańskiego plemienia. Zauważyli, że ma pan Znak Słońca - znamię pod lewym okiem. Sądzą, że może być pan drugim wcieleniem ich Zbawiciela, człowieka, którego nazywają Wybrańcem. Ale zamierzają to sprawdzić.

- W jaki sposób?

- Wsadzą pana do dziury w ścianie fosy i otworzą kratę, pozwalając wpłynąć do środka jednemu z kajmanów. Chcą zobaczyć, kto przeżyje starcie, bo przepowiednia mówi, że...

- Wiem. Czytałem ją. Wybrańiec ze Znakiem Słońca ma walczyć z wielkimi jaszczurami i uratować ich ducha.

Latynos z ciekawością przyjrzał się Race'owi.

- Jest pan antropologiem? - spytał.

- Nie, językoznawcą. Czytałem Manuskrypt Santiago. Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Szuka pan Ducha Ludzi?

- Ja nie. Oni. - Race wskazał ruchem głowy na Nasha i pozostałych, których właśnie wpychano do klatki.

- Ale po co? Z handlowego punktu widzenia jest bez wartości.

- Wyrzeźbiono go z meteorytu, a niedawno odkryto, że ten meteoryt ma niezwykle skład.

- O!

- A pan kim jest? - spytał Race.

- No tak, przepraszam bardzo, zapomniałem się przedstawić... Nazywam się Miguel Moros Marquez. Jestem antropologiem z Uniwersytetu Peru i mieszkam tu od dziewięciu lat.

Minutę później Race'a sprowadzono wąską stromą ścieżką, schodzącą prosto w błoto.

Po obu stronach ścieżka miała wysokie nasypy i kończyła się bambusową kratą, zamykającą dół wygrzebany w ziemi. Kiedy Race przed nią stanął, odsunęła się - odciągnięta przez dwóch stojących obok niej Indian - i Race z wahaniem wszedł do dziury w brzegu pełnej kajmanów fosy.

Jama była naprawdę wielka - miała jakieś dziesięć na dziesięć metrów.

Z trzech stron zamykały ją nagie, błotniste ściany. Czwarty bok był zagrodzony drugą, znacznie większą kratą z bambusowych prętów, przez które Race widział ciemną, sfalowaną wodę w fosie.

Dno dołu również pokrywała warstwa czarnej wody, wpływającej swobodnie z zewnątrz przez bambusowe pręty. W miejscu, gdzie stał Race, było jej mniej więcej po kolana. Głębokości innych miejsc wykopu nie dało się określić.

No cóż. Will, znów coś nowego, pomyślał. Jak się w to, do diabła, wpakowałeś?

W tym momencie część wielkiej bambusowej kraty podjechała do góry - musieli ją podciągnąć stojący na skraju fosy Indianie - i w jej środku zrobił się duży otwór.

Race z przerażeniem patrzył, jak segment kraty unosi się coraz wyżej i wyżej, powiększając coraz bardziej otwór. Po kilku sekundach fragment kraty zatrzymał się w najwyższym punkcie.

Mieszkańcy wioski stali gęstym szeregiem wzdłuż krawędzi fosy i z ciekawością zaglądali do dołu, w którym stał Race. Czekali na wpłynięcie pierwszego kajmana.

Race pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu jakiejś broni. W dalszym ciągu miał na sobie dzinsy, bawełniany podkoszulek i kevlarową kamizelkę, którą Uli zabral zabitemu w kopalni naziście - no i oczywiście miał na nosie okulary oraz bejsbolówkę Yankees na głowie.

Poza wiszącym u pasa hakiem nie miał nic, czego mógłby użyć jako broni.

Wziął go do ręki. Do metalowego oczka na końcu przywiązany był kawałek linki, a sam hak był złożony - jego cztery srebrne pazury leżały wzdłuż rączki jak pręty złożonej parasolki.

Race przyjrzał się hakowi i pomyślał, że może udałoby mu się go użyć, aby wydostać się...

W tym momencie do dziury wpłynęło coś wielkiego.

Race zamarł.

Choć trzy czwarte korpusu kajmana musiało znajdować się pod wodą, to, co było widoczne, było przerażająco wielkie.

Nad powierzchnią sunęły nozdrza, oczy i opancerzony grzbiet. Długi, pokryty płytkami ogon poruszał się leniwie na boki, popychając zwierzę do przodu.

Kajman był ogromny.

Miał dobrze ponad pięć metrów długości.

Kiedy potężny gad znalazł się cały w dziurze, opuszczono bambusową kratę

i zamknięto ją.

Zostali sami - Race i kajman.

Dobry Boże...

Race odsunął się od wielkiej bestii. Gdy cofał się w głąb ziemnego lochu, zmacona woda głośno chlupotała.

Kajman nawet nie drgnął - zdawał się nie zauważać małego człowieczka.

Race słyszał w głowie głośne dudnienie własnego serca.

BUBUM BUBUM BUBUM

Kajman w dalszym ciągu leżał w wodzie.

Race stał nieruchomo.

Nagle, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, kajman się poruszył. Nie był to szybki ruch. Zwierzę nie wyprysnęło do przodu, nie skoczyło na Race'a ani nie rzuciło się na niego. Po prostu opuściło się - powoli i spokojnie - pod powierzchnię mętnej wody.

Oczy Race'a zrobiły się wielkie jak talerzyki.

Jasna cholera...

Kajman zanurkował! I natychmiast stał się niewidoczny. W słabym, niebieskawym świetle księżycy i migotliwych, pomarańczowych światełkach indiańskich pochodni widać było jedynie drobne falki na powierzchni wody.

Wokół panowała cisza, tylko woda chlapała o ściany wykopu.

Całe ciało Race'a było napięte jak struna - czekał, aż gad znowu się pojawi. Złapał stalowy hak jak pałkę.

Powierzchnia wody była tak równomiernie sfalowana, jakby kajmana wcale pod nią nie było.

Żaden dźwięk nie mącił ciszy.

Race czuł, jak narasta w nim strach.

Cholera-cholera-cholera-cholera-cholera-cholera-cholera-cholera!

Ciekawe, jak długo ten stwór może pozostawać pod wodą...

Atak nastąpił od lewej strony, akurat w chwili, gdy Race patrzył w prawo.

Kajman z głośnym rykiem wystrzelił z wody prosto na niego - z szeroko otwartą paszczą, obracając w locie całe cielsko.

Race natychmiast odwrócił głowę w jego kierunku i odruchowo skoczył w tył, zanurzając się z chlupotem w wodzie. Wielki gad śmignął obok niego i uderzył w powierzchnię wody.

Pokryty mułem Race wstał, obejrzał się szybko, po czym z powrotem zanurkował, bo gad znów błyskawicznie zaatakował i kłapnął mu zębami tuż przed nosem z głośnym CMAK!

Race ponownie wstał tuż przy ziemnej ścianie wykopu i odwrócił się - w tym samym momencie paszcza kajmana wystrzeliła w kierunku jego głowy.

Skulił się - a właściwie pozwolił ciału opaść siłą ciężkości w wodę - i gad przeleciał nad nim i huknął nosem w ścianę dołu. Gdy Race się wynurzył, stojący na skraju fosy Indianie przywitali go głośnymi okrzykami. Ruszył przez wodę w prawo i stwierdził, że robi się tu głębiej. Zaczął odwijać linkę, owiniętą wokół haka.

Spojrzał w górę, ku skrajowi fosy.

Niedaleko. Jakies pięć metrów.

Stał teraz po pas w wodzie. Poszukał wzrokiem kajmana.

Nie było go nigdzie widać.

Znów musiał zanurkować, pomyślał Race i ze strachem rozejrzał się po wodzie wokół siebie.

A niech to jasna cholera...

W tym momencie coś bardzo szybko poruszającego się uderzyło go w nogę i poczuł w kostce przeszywający ból. Potężne szarpnięcie zaczęło go wciągać pod wodę.

Kiedy otworzył oczy, dostrzegł przez zmaconą wodę, że kajman trzyma w paszczy jego lewą stopę.

Zwierzę nie złapało jednak zbyt dobrze i na chwilę otworzyło pysk, aby poprawić chwyt.

Race więcej nie potrzebował. Ledwie wielki gad puścił jego nogę, Race wyrwał kończynę i szczęki kajmana zacisnęły się bez łupu.

Wypląnął na powierzchnię, łapczywie chwytając powietrze. Za nim ciągnęła się linka haka.

Kajman również wynurzył się z wody i zaczął kłapać szczękami. Złapał linkę i natychmiast ją przeciął. Race stracił równowagę i przewrócił się - na szczęście w płytszą wodę, oddalając się od gada.

Odwrócił się błyskawicznie i w tym momencie zwierzę znów zaatakowało - z szeroko otwartą paszczą. Nie mając wielkiego wyboru, Race wsadził hak - razem z całym prawym ramieniem - prosto w szeroko rozwarty pysk.

Potężne szczęki zaczęły się zamykać i już miały zmiażdżyć tkwiące w paszczy ramię...

...ale Race wcisnął przycisk otwierający pazury.

Na ułamek sekundy przed zaciśnięciem się ostrych jak noże zębów na prawym bicepsie Race'a spiczaste pazury haka wyprysnęły na boki.

Łeb kajmana eksplodował.

Dwa stalowe szpice przeszły przez mózg i wbiły się w oczodoły - obie gałki zostały wypchnięte od środka, jakby je wystrzelono, a na ich miejscu pojawiły się stalowe ostrza.

Pozostałe dwa pazury wyskoczyły przez szyję, bez trudu przecinając miększą

w tym miejscu skórę.

Górne metalowe ostrza musiały zabić zwierzę w mgnieniu oka, sprawiając, że jego szczęki znieruchomiały w pół ruchu.

Race siedział na dnie dziury z pięciometrowym kajmanem, „przymocowanym” do jego prawego ramienia. Ostre zęby gada dzieliły od jego skóry trzy milimetry, a potężne ciało zdawało się wypełniać cały zalany wodą wykop.

Tłumek tubylców stał znieruchomiały.

Potem zaczęto klaskać.

Kiedy Race wyszedł z dołu, Indianie byli zachwyceni. Klepali go po plecach i uśmiechali się do niego, pokazując krzywe, pożółkłe zęby.

Natychmiast otwarto klatkę z pozostałymi więźniami i po chwili dołączyli do Race'a, stojącego na środku wioski.

Van Lewen pokręcił głową.

- Co pan zrobił? - spytał. - Z tej klatki nic nie widzieliśmy.

- Zabiłem wielkiego jaszczura - odparł Race. Podszedł do nich Marquez i uśmiechnął się.

- Świetna robota, sir! Doskonała robota! Jak się pan nazywa?

- William Race.

- Cóż, panie Race... Właśnie został pan bogiem.

Zadzwonił telefon komórkowy Johna-Paula Demonaco.

Zarówno on, jak i inspektor marynarki, Mitchell, wciąż jeszcze byli w kwaterze głównej DARPA w Wirginii. Mitchell również odebrał telefon.

- Od Bittikera?! - krzyknął do słuchawki Demonaco. Jego twarz poszarzała. - Dzwonście natychmiast na policję w Baltimore i każcie im tam wysłać saperów! Już do was jadę!

Kiedy agent się rozłączył, Mitchell podszedł do niego.

- Dzwonił Aaronson - powiedział. - Właśnie wkroczyli do obozu Bojowników Wolności. W środku nie było nikogo.

- To już nieważne - burknął Demonaco i ruszył ku drzwiom.

- Co się stało? - spytał Mitchell, pospieszając za nim.

- Przed chwilą miałem telefon od mojego człowieka z Baltimore. Jest w mieszkaniu jednego z naszych teksaskich informatorów. Mówi, że ma coś dużego.

Półtorej godziny później Demonaco i Mitchell dotarli do rozpadającego się starego magazynu w przemysłowej dzielnicy Baltimore.

Przed budynkiem stały już trzy radiowozy policyjne, dwa nieoznakowane beżowe buicki - z FBI - i wielka granatowa furgonetka z napisem SAPERZY na boku.

Demonaco i Mitchell weszli do magazynu i poszli schodami w górę.

- To mieszkanie należy do niejakiego Wilbura Francisa Jamesa, znanego jako Bluey - wyjaśnił agent. - Był kiedyś radiooperatorem w armii, ale został wyrzucony za kradzież sprzętu - skanerów częstotliwości, broni. Teraz jest drobnym kanciarzem, działającym na linii między teksańczykami i elementami kryminalnymi, zaopatrującymi ich w broń i informacje wywiadowcze. Kilka miesięcy temu złapaliśmy go z trzema skradzionymi kanistrami z gazem paralizującym VX, postanowiliśmy jednak nie wysuwać przeciwko niemu zarzutów, jeżeli będzie nam dostarczał informacji. Jak na razie, okazał się bardzo rzetelny.

Doszli do maleńkiego mieszkanca na najwyższym piętrze. Przed drzwiami stało dwóch policjantów. Demonaco i Mitchell weszli do środka. Była to paskudna klatka z wilgotnymi podłogami i odłączającymi tapetami.

Do Demonaco podeszli młody czarny agent o nazwisku Hanson i dowódca oddziału saperów policji Baltimore - niewysoki, przysadzisty mężczyzna o nazwisku Barker.

Bluey James siedział w kącie ze splecionymi na piersi ramionami i nerwowo ssał cygaro. Był nieogolony, miał pozwijane w dredy włosy, a na grzbiecie brudną hawajską koszulę. Na nogach miał sandały - i skarpetki.

- Co macie? - spytał Hansona Demonaco.

- Z początku niczego nie mogliśmy znaleźć - odparł czarny agent, patrząc z odrazą na siedzącego w kącie cherlawego mężczyznę. - A potem trafiliśmy na to...

Podał Demonaco paczkę wielkości małej książki. Była owinięta brązowym papierem i wyglądało na to, że nikt jej nie otwierał. Razem z książką Hanson podał agentowi FBI białą kopertę - otwieraną.

- Schował to za zdejmowanym kawałkiem boazerii - wyjaśnił.

Demonaco odwrócił się do Blueya.

- Pomysłowe. Z wiekiem stajesz się coraz mądrzejszy.

- Wal się.

- Rentgen? - spytał Demonaco Barkera.

- Czyste - odparł saper. - Sądząc po zdjęciu, w środku jest chyba tylko płyta kompaktowa.

Bluey James prychnął.

- Nie słyszałem, żeby kupowanie w tym kraju płyty CD było przestępstwem. Choć to gówno, którego ty słuchasz, Demonaco, powinno zostać zakazane.

- Nie podoba ci się Achy Breaky Heartl - zapytał agent FBI. Popatrzył na kopertę i wyjął z niej kartkę papieru.

**KIEDY ZDOBĘDZIEMY TYR, SKONTAKTUJĘ SIĘ Z TOBĄ
BEZPOŚREDNIO. PO MOIM TELEFONIE PRZEKAŻ E-MAILEM ZAWARTOŚĆ**

PŁYTY DO WSZYSTKICH TYCH MIEJSC.

BITTIKER Po tym następowała lista kilkunastu nazw i adresów. Wszystkie były związane z sieciami albo kanałami telewizyjnymi: CNN, ABC, NBC, CBS, FOX.

Demonaco obrócił szarą paczkę w dłoniach. Cóż takiego Earl Bittiker mógłby chcieć przekazać największym stacjom telewizyjnym?

Rozerwał paczkę.

W środku była srebrna płyta kompaktowa.

Od razu zorientował się, że nie jest to zwykła płyta.

Była to płyta V-CD - do zapisu obrazu.

- Bluey, co to ma być?

- Największe przeboje Billy'ego Raya Cyrusa. Specjalnie dla ciebie, frajerze.

- Demonaco, popatrz - powiedział Mitchell, wskazując ruchem głowy luksusowy telewizor i stojący obok odtwarzacz płyt V-CD. Obok telewizora stał czarny komputer IBM. Cały ten sprzęt kompletnie nie pasował do mieszkania.

Demonaco wsunął płytę w czytnik i wcisnął klawisz PLAY.

Na ekranie natychmiast pojawiła się twarz Earla Bittikera.

Była to paskudna gęba - pocięta bliznami i wykrzywiona nienawiścią. Bittiker miał twarz wychudzonego sangwinika, strąkowate jasne włosy i zimne szare oczy, ukazujące kotłujący się w jego mózgu świat szaleństwa. Za nim stała Supernowa.

Terrorysta mówił prosto w kamerę:

- Mieszkańcy świata! Nazywam się Earl Bittiker i jestem Antychrystem. Jeżeli oglądacie ten komunikat, to znaczy, że zaraz zginiecie. Dokładnie o dwunastej w południe, standardowego czasu wschodniego, zostaniecie wszyscy zabici przez broń, która powstała z waszych podatków. Broń, która za parę godzin pośle cały ten obrzydliwy świat tam, gdzie jego miejsce. Ludzie, nie mam nic przeciwko wam osobiście. Nienawidzę jedynie świata, który zamieszkujecie, świata, który nie zasługuje na to, aby dalej istnieć. Jest wściekłym psem i musi zostać unicestwiony. To rządy tego świata należy obwiniać o istniejący stan rzeczy. Komuniści, kapitaliści i faszyci - wszyscy się tuczycie, podczas gdy inni głodowali. Wszyscy się bogaciliście, podczas gdy ludzie biednieli, mieszkaliście w luksusowych posiadłościach, a ludzie w gettach. W naturze ludzkiej jest dążenie do panowania nad innymi. Dążenie to występuje pod wieloma płaszczykami, pod licznymi postaciami - od dyskryminacyjnej polityki biurowej po czystki etniczne - i dotyczy nas wszystkich: od zwykłego majstra po ludzi zarządzających Stanami Zjednoczonymi. Jego charakter jest jednak zawsze taki sam - chodzi o władzę i rządzenie. To rak, zżerający ten świat, i należy go zniszczyć. Stacje telewizyjne, których pracownicy obejrzą ten przekaz, wzywam do skontaktowania się z Marynarką Wojenną albo Agencją Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych - niech wam powiedzą, co się

stało z ich Supernową. Zapytajcie, co to jest i czemu ma służyć. Zapytajcie ich o siedemnastu ochroniarzy, którzy zginęli, kiedy moi ludzie wtargnęli do kwatery głównej DARPA w Wirginii. Jestem pewien, że nikt nie poinformował was o tym incydencie, bo rząd właśnie tak działa. Kiedy to zrobicie, spytajcie wasz rząd, czy to właśnie tego - wskazał palcem za siebie - szuka.

Bittiker wciąż wpatrywał się w obiektyw.

- Ludzie tego świata! Niczego nie żądam. Nie chodzi mi o okup. Nie chcę, aby pozwaliano więźniów politycznych. Nie ma sposobu powstrzymania mnie przed zdetonowaniem Supernowej. O dwunastej w południe wszyscy pójdziemy do piekła.

Ekran zamienił się w kaszę.

Zapadła długa cisza - wszyscy przetrawiali słowa Bittikera. Wstrząsnęły nawet Blueyem.

- O żesz kurwa go mać... - wymamrotał.

- Sprytne - stwierdził Demonaco. - Określił wyłącznie godzinę. Dwunasta w południe. Teraz musi jedynie znaleźć tyr, nawiązać kontakt z Blueyem i gotowe. - Popatrzył na Mitchella. - Chyba właśnie znaleźliśmy pańską Supernową, komandorze. - Odwrócił się do Blueya. - Zakładam, że Bittiker jeszcze do ciebie nie dzwonił.

- A jak myślisz, pojebie?

- Ile o tym wszystkim wiesz, Bluey? - spytał Demonaco, zmieniając ton głosu.

- Tyle co zawsze. Gówno.

- Jeżeli natychmiast nie powiesz mi czegoś konkretnego, oskarżę cię o współudział w zamordowaniu siedemnastu strażników, zatrudnionych w federalnym...

- Hej, człowieku, nie słuchałeś? Świat zaraz się skończy. Kogo teraz interesuje jakiś współudział czy pomaganie komukolwiek w czymkolwiek?

- To zależy od tego, kto wygra ten wyścig - Bittiker czy my.

- Bittiker.

- Więc spędzisz ostatnie godziny życia w więzieniu - oświadczył Demonaco i skinął głową policjantom przy drzwiach. - Zabierzcie tego szczura.

Policjanci złapali Blueya pod rękę.

- Hej, chwileczkę...

- Przykro mi, Bluey.

- Dobrze, człowieku, już dobrze! Nie mam nic wspólnego z żadnymi morderstwami, okej?! Tylko pośredniczę. Pomagam Bittikerowi. Jak prawnik. Co wcale nie było takie łatwe, odkąd ostatnio puściły mu nerwy.

- Puściły mu nerwy? - Demonaco machnął na policjantów, żeby odeszli.

- A jak? Gdzie ty byłeś, facet? Najpierw pozwolił przyłączyć się do teksańczyków bandzie pojebanych skośnookich. Japsom! Powinieneś ich zobaczyć. Pojebani

kamikadze. Z jakiejś posranej japońskiej sekty. Chcą rozwalić cały świat. Earl stwierdził, że podoba mu się to, co gadają, i wpuścił ich do ruchu. A potem - kurwa mać! - zrobił najgorszą rzecz. Poszedł do pieprzonych Bojowników Wolności i połączył się z nimi!

- Co?!

- Chciał przejąć ich wiedzę techniczną. Jeśli o mnie chodzi, to ci Bojownicy Wolności są jedną wielką bandą frajerów, ale na technice się znają. Przekazy na V-CD, kurwa mać... myślisz, że to ja poszedłem do sklepu po ten sprzęt?

- Tekszańscy połączyli się z Bojownikami Wolności... - wymamrotał Demonaco.
- A niech mnie jasna cholera...

Bluey w dalszym ciągu nawijał:

- Wszystkiemu winne te żółtki. Kiedy się zjawili, przekonali Earla, że jeśli chce rozjechać świat, będzie potrzebował poważnego sprzętu. Nie karabinów i tego typu syfa, ale bomb i innego syfa. Atomówek. A gdy dowiedzieli się o tej Supernowej...

Demonaco już go jednak nie słuchał. Odwrócił się do Mitchella.

- Tekszańscy wchłonęli Bojowników Wolności. Dlatego twój szef nie znalazł nikogo w ich obozie. Przestali istnieć. Mój Boże... to dlatego używali tungstenowych naboí. Kupili sobie trochę czasu, wrabiając kogoś, kto już nie istnieje. Tekszańscy i Bojownicy Wolności nie walczyli o podział terenu - łączyli się.

- O czym pan mówi?

- O tym, że właśnie dowiedzieliśmy się o zjednoczeniu się trzech najniebezpieczniejszych organizacji terrorystycznych na świecie. Pierwsza to doskonale zorganizowana jednostka bojowa, druga to prawdopodobnie technologicznie najbardziej zaawansowane ugrupowanie paramilitarne w Stanach Zjednoczonych, a trzecia - kult Dnia Sądu Ostatecznego z Japonii. Zsumujmy to, a będziemy mieli problem jak cholera, ponieważ to oni ukradli Supernową - i sądząc po tym, co przed chwilą oglądaliśmy, wyruszyli na poszukiwanie tyru.

W słabym świetle przedświtów szykowano bankiet.

Po pokonaniu kajmana Race odprawił grzecznie oblegających go Indian i poprosił o wskazanie mu jakiegoś miejsca, w którym mógłby trochę odpocząć. Natychmiast głęboko zasnął - bardzo tego potrzebował, ostatni raz spał niemal trzydzieści sześć godzin temu - i obudził się tuż przed świtem.

Zawartość tacy, którą przed nim postawiono, była godna króla. Były na niej „owoce dżungli”, ułożone na wielkich zielonych liściach. Larwy, jagody, jakieś ziarna, nawet kawałek surowego mięsa kajmana. Mżył deszczyk, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Siedzieli dużym kręgiem na polanie, przed kaplicą z pnia drzewa - pod czujnym

okiem Idola, rozpartego dumnie w bogato zdobionej wnęce.

Choć tubylcy oddali im broń, w powietrzu ciągle unosiła się aura lekkiej podejrzliwości. Za kręgiem biesiadników stało kilkunastu indiańskich wojowników z łukami i - tak jak przez całą ubiegłą noc - uważnie obserwowali Nasha i jego ludzi.

Race siedział z wodzem i antropologiem, Miguelem Morosem Marquezem.

- Wódz Roa chciałby wyrazić panu najwyższą wdzięczność za przybycie do nas - powiedział Marquez, tłumacząc słowa starego Indianina.

Race uśmiechnął się.

- Zamieniliśmy się z nocnych złodziei w honorowych gości.

- Gdyby nie przeżył pan spotkania z kajmanem, pańscy przyjaciele zostaliby złożeni w ofierze rapa - odparł Marquez. - A teraz pławią się w pańskiej chwale.

- Tak naprawdę to wcale nie są moi przyjaciele.

Gaby Lopez siedziała naprzeciwko antropologa i wyraźnie było widać, jak bardzo podnieca ją fakt, że rozmawia z człowiekiem-legendą. Jak powiedziała Race'owi pierwszego dnia w Peru, Marquez przed dziewięcioma laty wyruszył do dżungli, aby badać prymitywne plemiona amazońskie - i nie wrócił.

- Doktorze Marquez, niech pan opowie nam o tym plemienu - poprosiła. - Pańskie doświadczenia muszą być fascynujące.

Antropolog uśmiechnął się.

- O, tak... ci Indianie to naprawdę zadziwiający ludzie, jedno z nietkniętych cywilizacją plemion w Ameryce Południowej. Choć twierdzą, że mieszkają w tej wsi od stuleci, są nomadami, jak większość innych plemion z tego regionu. Często wszyscy mieszkańcy po prostu się pakują i przenoszą w inne miejsce - w poszukiwaniu jedzenia albo cieplejszego klimatu - na pół roku albo i na cały rok. Zawsze tu jednak wracają. Mówią, że są związani z tym miejscem - ze Świątynią w kraterze i żyjącymi w niej kocimi bogami.

- Jak weszli w posiadanie Ducha Ludzi? - spytał Race.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem...

- Z Manuskryptu Santiaga wynika, że Renco Capac użył Idola do zwabienia rapa do Świątyni. Potem zamknął się z nimi w środku. Czy ci Indianie weszli potem do Świątyni, by wynieść z niej Idola?

Marquez szybko przetłumaczył wodzowi Roi, co Race powiedział. Wódz pokręcił głową i powiedział coś szybko w keczua.

- Wódz Roa mówi, że księżę Renco był bardzo mądry i odważny - tak jak należy się tego spodziewać po Wybrańcu. Mówi, że członkowie plemienia są dumni, że są jego bezpośrednimi potomkami.

- Jego bezpośrednimi potomkami... - powtórzył Race. - To by znaczyło, że wydostał się ze Świątyni.

- Oczywiście - odparł Marquez, tłumacząc słowa wodza.

- Ale jak? Jak mu się to udało?

Wódz powiedział coś rozkazującym tonem do jednego z wojowników. Indianin oddalił się pospiesznie i zniknął w jednej z chat. Po chwili wrócił, trzymając coś w rękach.

Kiedy stanął u boku wodza, Race zobaczył, co wojownik przyniósł: cienki, oprawny w skórę notes. Wyglądał dość wiekowo, ale jego stronice nie były zniszczone, nawet nie pogniecione.

Wódz zaczął mówić, a Marquez tłumaczył:

- Panie Race, Roa mówi, że odpowiedź na pańskie pytanie kryje się w konstrukcji Świątyni. Po sławnej bitwie z Hernandem Pizarrem Renco wszedł do jej wnętrza z Idolem. Udało mu się jednak z niej wyjść - także z Idolem. Pełną opowieść o tym, co się stało po wejściu księcia Renco do Świątyni, zawierają te zapiski.

Race przyjrzał się notesowi w dłoniach wodza. Bardzo chciałby się dowiedzieć, co w nim jest. Wódz podał mu go.

- Roa daje panu ten notes w prezencie - powiedział Marquez. - W końcu jest pan w tej wiosce pierwszą osobą od czterystu lat, która potrafi przeczytać, co w nim napisano.

Race natychmiast otworzył notes i przerzucił kilkanaście kremowych kartek, wypełnionych pismem Alberta Santiaga. Przez chwilę w zamyśleniu wpatrywał się w tekst. Miał przed sobą prawdziwe zakończenie opowieści Santiaga.

- Mam pytanie - odezwał się nieoczekiwanie Johann Krauss, przechylając się do przodu. - W jaki sposób udało się rapa przeżyć tak długo w środku Świątyni?

Po krótkiej konsultacji z wodzem Marquez powiedział:

- Roa mówi, że odpowiedź na to znajduje się w notesie.

- Ale... - naciskał Krauss.

Wódz przerwał mu ostrym warknięciem.

- Roa mówi, że odpowiedź na to znajduje się w notesie - powtórzył Marquez, spoglądając na Niemca z niechęcią. Najwyraźniej gościnność, jaką wódz okazywał Race'owi, nie dotyczyła jego towarzyszy.

Zaczęło mocniej padać. Po kilku minutach za horyzontem przetoczył się łoskot dalekiego grzmotu. Race popatrzył w tym kierunku. Także Doogie i Van Lewen odwrócili się w tamtą stronę.

- Nadchodzi burza - stwierdził Race. Grzmot narastał.

Doogie pokręcił głową.

- To nie burza - powiedział i złapał leżący w błocie G11 - O czym ty mówisz?

- To nie grzmot, profesorze.

- A co?

Zanim Doogie zdążył odpowiedzieć, nad ich głowami z rykiem przeleciał helikopter.

Za pierwszym super stallionem przeleciał drugi i po chwili obie maszyny zawróciły nisko nad wioską. Łopaty ich wirników głośno łomotały, wstrząsając drzewa wzbudzonym ciągiem powietrza.

Race, Doogie i Van Lewen skoczyli na nogi, a wszyscy Indianie sięgnęli po łuki.

Ryk unoszących się nad małą osadą helikopterów był ogłuszający. Z każdej maszyny wyrzucono po osiem linek i po sekundzie zaczęło się po nich spuszczać szesnastu ludzi w pełnym bojowym rynsztunku, z gotową do strzału bronią w rękach. Szesnaście groźnych cieni na blednącym przed świtem niebie.

Z luf karabinów spuszcających się po linach żołnierzy bluznęły kule.

Ludzie na ziemi rozbiegli się. Indianie złapali swoje łuki i strzały i skoczyli między drzewa. Kiedy błoto wokół amerykańsko-niemieckiej grupki zorały pierwsze pociski, Van Lewen i Doogie otworzyli ogień.

Race okręcił się w miejscu i zobaczył, jak Doogie dostaje dwa postrzały w lewą nogę - a kiedy odwrócił się w drugą stronę, ujrzał, że niemiecki zoolog, Krauss, zaczyna konwulsyjnie drgać, a jego twarz, ramiona i pierś, rozerwane setkami pocisków z najbardziej niszczycielskiej broni maszynowej, zamieniają się w krwawą breję.

Oba helikoptery zawisły mniej więcej sześć metrów nad wioską i zrównywały ją z ziemią ogniem z działek pokładowych. Race ujrzał na ich bokach napis: NAVY.

Marynarka Wojenna.

To był oddział Romano.

Wreszcie przybył.

W tym momencie - kiedy Race biegł, starając się ukryć przed dwoma potężnymi helikopterami, unoszącymi się jak demony zniszczenia w powietrzu - przyszła mu do głowy dziwna myśl.

Czy Romano nie powinien przylecieć trzema super stallionami?

Nagle ziemię wokół niego obsypał grad kul i Race czmychnął między drzewa. Gdy odwrócił głowę, zobaczył Franka Nasha, wbiegającego w krzewy rosnące za kaplicą. Tuż za nim biegli Lauren i Copeland.

Race skierował wzrok na kaplicę. Idol ciągle jeszcze w niej był - nadal stał w niszy.

Czyżby?

Pokonując rozrywaną pociskami polanę, Race podbiegł do wielkiego pnia, złapał posążek i odwrócił go spodem do góry. W podstawie brakowało cylindrycznego fragmentu. Miał w ręku kopię.

- O, nie... - jęknął.

Z helikopterów nad jego głową waliły serie z działek pokładowych. Huraganowy wiatr, tworzony przez obracające się łopaty wirników, szalał wokół jak tornado.

Race ruszył za Nashem i pozostałą dwójką.

- Dokąd biegniesz?! - krzyknęła kryjąca się za pobliskim drzewem Renee.

- Nash ma Idola! Prawdziwego!

W tym momencie jeden z helikopterów nagle eksplodował w powietrzu. Wybuch wstrząsnął wszystkim w otoczeniu kilkunastu metrów. Był tym bardziej niesamowity, że całkowicie niespodziewany.

Race natychmiast uniósł głowę - wielki helikopter spadał prosto na zwisających z niego ludzi.

Żołnierze - komandosi SEAL - dotknęli ziemi pierwsi, a ułamek sekundy później potężna maszyna zmiażdżyła ich, uderzając w ziemię z ogłuszającym tąpnięciem.

Race popatrzył na płonący wrak super stalliona i zobaczył rozchodzącą się w powietrzu nad nim poziomą smugę dymu.

Był to ślad po przelocie rakiety typu powietrze-powietrze. Race obrócił głowę w poszukiwaniu miejsca, skąd ją wystrzelono.

Ujrzał kolejny helikopter.

Nie była to maszyna do transportu oddziałów jak super stallion, lecz dwuosobowy helikopter szturmowy - smukły, z kokpitem w kształcie pryzmatu i obudowanym tylnym śmigłem. Wyglądał jak mechaniczna modliszka.

Był to AH-66 Comanche - helikopter szturmowy amerykańskich Sił Lądowych nowej generacji.

Wsparcie lotnicze Nasha.

Ono też wreszcie przybyło.

Za pierwszym comanche'em w porannym powietrzu zmaterializował się następny i otworzył ogień do drugiego uzbrojonego w dwulufowe działko super stalliona.

Zaatakowana maszyna odpowiedziała ogniem, osłaniając wiszących pod nią ośmiu komandosów.

Pierwszy komandos SEAL dotknął ziemi... i w tym samym momencie prosto w czoło trafiła go strzała, powalając natychmiast na ziemię.

Siedmiu komandosów dalej się opuszczało. Dwóch następnych zostało trafionych przez strzały, a pozostali zaczęli biec, gdy tylko dotknęli ziemi.

Helikopter nad ich głowami miał poważne kłopoty. Aby znaleźć się naprzeciwko obu strzelających do niego comanche'ów, zaczął się obracać w poziomie.

Z jednego z zamontowanych z boku jego kadłuba pojemników wystrzeliła z głośnym posykiem rakietą typu Sidewinder. Ciągnąc za sobą idealnie poziomą kreskę dymu, z ogromną prędkością uderzyła w kadłub jednego z comanche'ów i zdmuchnęła go z nieba w gwałtownej eksplozji.

Było to jednak tylko chwilowe zwycięstwo. Tak naprawdę wystrzelenie sidewindera tylko przypięczętowało los super stalliona. Ledwie pierwszy comanche został trafiony, drugi obrócił się błyskawicznie i wystrzelił rakietę typu Hellfire.

Hellfire pomknął z nieprawdopodobną prędkością, kierując się na super stalliona. Odnalazł cel w kilka sekund i wbił się w bok ogromnego helikoptera marynarki.

Boki super stalliona rozpęły się, a kawały płonącego metalu rozprysły się we wszystkie strony, obsypując ziemię. To, co zostało z maszyny, spadło na drzewa nad wioską - buchający płomieniami kłęb żelastwa.

Renee i Race ścigali Franka Nasha przez gęste zarośla, paprocie smagały ich po twarzach.

Minęli Van Lewena, stojącego za jedną z chat i strzelającego z G-11 do trzech z pięciu komandosów SEAL z drugiego super stalliona, którzy przeżyli.

Celował nisko - aby zranić, nie zabić. W końcu byli jego rodakami, a po tym, czego się dowiedział od Renee o Franku Nashu i jego planach podjęcia skrzydeł marynarce przy użyciu żołnierzy Sił Lądowych, zaczął powątpiewać w sens lojalności wobec swoich zwierzchników. Nie chciał zabijać podobnych do siebie ludzi - mięsa armatniego, mającego za zadanie wypełniać rozkazy - dopóki naprawdę nie musiał.

Trójka komandosów SEAL schowała się za drzewami, tuż obok kaplicy, a ich MP-5 nie ustępowały G-11 Van Lewena. Nagle jednak przerwali ogień, zaatakowani od tyłu przez hordę uzbrojonych w siekiery, łuki i pałki Indian. Van Lewen jęknął.

- Gdzie biegniecie? - zawołał, kiedy zobaczył Race'a i Renee.

- Gonimy Nasha! Ukradł Idola!

- Co?

Race i Renee zniknęli już jednak między drzewami. Van Lewen ruszył w ich ślady.

Gaby Lopez też biegła - ale był to bieg o życie.

Gdy pojawiły się super stallony marynarki, schowała się za najbliższym drzewem. Niestety zaczęła uciekać w złym kierunku. Wszyscy pobiegli na południe, a ona na północ - i biegła teraz sama przez sięgającą jej do pasa trawę i zarośla, rozpaczliwie usiłując uchylać się przed pociskami, uderzającymi raz za razem w gałęzie nad jej głową.

Dwóch pozostałych komandosów SEAL biegło dość daleko za nią, ostrzeliwując ją ze swoich MP-5.

Gaby wciąż oglądała się przez ramię, próbując zlokalizować swoich prześladowców. Kiedy odwróciła się po raz kolejny, poczuła nagle, że ziemia pod jej stopami gwałtownie się obniża.

Poleciała w dół jak kamień.

Po sekundzie plasnęła o wodę, która rozprysnęła się na wszystkie strony. Kiedy

opadła, Gaby otworzyła oczy i stwierdziła, że siedzi na tyłku w fosie, otaczającej górną część wioski. Natychmiast skoczyła na nogi - stała w wodzie po kostki.

Nagle przeszła ją przerażająca myśl: KAJMANY!

Rozejrzała się ze strachem dookoła. Kawałek w przodzie i tak samo kawałek z tyłu fosa zataczała krąg, znikając za zakrętami jak wijąca się droga. Nagie ziemne ściany wznosiły się wysoko po obu stronach wody, ich krawędzie były przynajmniej trzy metry nad głową Gaby.

Nagle wodę wokół zasypały pociski z broni maszynowej i Gaby skoczyła do przodu. Kule przeleciały tuż nad jej głową i wbiły się w ściany fosy.

W tym samym momencie odezwała się inna broń maszynowa - G-11 - i karabiny, z których strzelano do Gaby, natychmiast zamilkły. Zapadła cisza. Gaby leżała na brzuchu w płytkiej wodzie. W końcu odważyła się podnieść głowę.

Spojrzała prosto w uśmiechniętą paszczę kajmana.

Zamarła.

Wielki gad stał w błocie przed nią i obserwował ją, poruszając leniwie ogonem na boki. Miał ją na talerzu.

Po chwili zwierzę otworło szeroko paszczę i rzuciło się do przodu na pozbawioną możliwości obrony Gaby...

PŁASK!

Coś skoczyło kajmanowi prosto na grzbiet. Nie dało się określić, co to jest - wyglądało jak jakieś zwierzę. Kajman, usiłując uwolnić się od napastnika, zaczął przetaczać się po błotnistej wodzie, rozpryskując ją wokół wielkimi fontannami.

Po chwili Gaby udało się zobaczyć, co to za „zwierzę”.

Był to człowiek. Człowiek w mundurze komandosa. Zeskoczył z krawędzi fosy i zaatakował kajmana dokładnie w tym samym momencie, gdy gad rzucił się na Gaby Lopez.

Kajman i człowiek kotłowali się w fosie - zwierzę wierzgało i kłapało zębami, a człowiek spazmatycznie łapał powietrze.

W końcu Gaby poznała, kto to jest.

Doogie Kennedy.

Człowiek i kajman walczyli, przetaczali się i przepychali. Kajman wściekle kłapał na człowieka zębami, a Doogie mocował się z paszczą zwierzęcia, próbując trzymać ją zamkniętą, jak robili to poskramiacze krokodyli, których w dzieciństwie oglądał w telewizji.

Miał przy sobie G-11, ale broń przestała być użyteczna, bo zabrakło w niej naboju. Ostatnie pociski wykorzystał - bardzo niechętnie - na unieruchomienie obu komandosów SEAL, którzy ostrzeliwali Gaby. Kiedy zobaczył, że rzuca się na nią kajman, zrobił jedyną rzecz, jaka mu w tym momencie przyszła do głowy - skoczył

mu na grzbiet.

Nagle gadowi udało się wyrwać pysk z objęć człowieka, otworzył paszczę i skierował ją ku głowie przeciwnika. Doogie przyciągnął do siebie G-11 i nie zastanawiając się, wepchnął zwierzęciu karabin w pysk, blokując go w półotwarciu.

Kajman stęknął zaskoczony.

Przypominał teraz nieco samochód z otwartą maską. Zamknięcie pyska było niemożliwe.

Doogie błyskawicznie wyciągnął z pochwy komandoski nóż.

Kajman stał przed człowiekiem z rozwartą karabinem paszczą.

Doogie zamierzał obejść gada i zająć go od tyłu, aby wbić mu nóż w nasadę czaszki, ale kiedy zrobił pierwszy krok, zwierzę skoczyło szybko w bok, staranowało go i zważyło z nóg, posyłając z pluskiem w mulistą wodę.

Gdy Doogie upadł, kajman natychmiast stanął łapami na jego nogach, wypychając je w muł.

- Aaaaaaa! - zawył Doogie, kiedy ciężar potężnego zwierzęcia przycisnął mu podudzia. Wielki gad zrobił kolejny krok do przodu, stając na zranionym lewym udzie Doogiego. Komandos ryknął z bólu, jego nogi jeszcze głębiej zapadły się w muł.

Rozwarta paszcza kajmana ziała tuż przed jego nosem.

Niech to jasna cholera, pomyślał Doogie. Rzucił tułowiem naprzód, wsadził rękę głęboko w paszczę zwierzęcia, za karabin, i postawił kajmanowi na języku nóż - ostrzem do góry, tak że stalowy szpic dotykał podniebienia.

- Zjedz to! - wrzasnął i wyszarpnął rękę bokiem wielkiej paszczy, po drodze wyciągając G-11.

Szczęki kajmana zamknęły się w ułamku sekundy - górna szczęka opadła całym ciężarem na tkwiący w głębi nóż, który wbił się prosto w mózg.

Zakrwawione ostrze wystrzeliło z potężnego łba, a ciało kajmana natychmiast zwiotczało.

Doogie przez chwilę patrzył na ogromnego gada, nie do końca pojmując, co właśnie zrobił. Kajman wciąż jeszcze na nim stał i porykiwał w ostatnich, przedśmiertnych odruchach, wypuszczając z płuc niepotrzebne mu już powietrze.

- Rany... - westchnął Doogie.

Pokręcił głową, wyciągnął nogi spod łap zwierzęcia i podpełzł do leżącej w błocie Gaby, którą jego wyczyn kompletnie zamurował.

- Chodź - powiedział i ujął ją za rękę. - Zmywajmy się stąd.

Frank Nash przedzierał się przez gęste zarośla między górną wioską a kraterem, trzymając Idola pod pachą jak piłkę futbolową.

Lauren i Copeland biegli za nim z wyciągniętymi pistoletami.

Podczas zamieszania, jakie spowodował atak super stallionów, szybko przerzucili

nad fosą most z bali, przeszli przez fosę i uciekli w las.

- Tu Nash! Tu Nash! - krzyczał pułkownik, wiedząc, że laryngofon przekaże jego słowa dalej. - Oddział powietrzny, zgłoś się!

Spojrzał w niebo za swoimi plecami i dostrzegł wiszącego nad dymiącymi resztkami wioski comanche'a. Za maszyną marynarki unosiła się inna - znacznie większa i bardziej pękata: black hawk II, trzeci helikopter Sił Lądowych.

- Pułkowniku Nash... kapitan Hank Thompson... słyszę pana... - powiedział w jego słuchawkach zniekształcany trzaskami głos. - Przepraszam... tak długo trwało. Straciliśmy pana sygnał... całą noc burzę elektryczną...

- Thompson, mamy Idola. Powtarzam: mamy Idola. Jestem mniej więcej pięćdziesiąt metrów na wschód od wioski, kieruję się dalej na wschód, do krateru. Potrzebuję natychmiast transportu.

- Nic z tego, pułkowniku... nie ma gdzie lądować... za dużo... drzew.

- Wiec spotkajmy się na dole, w osadzie z cytadelą! Lećcie na wschód, prosto nad kraterem, i patrzcie w dół. Nie można jej nie zauważyć. Jest tam mnóstwo miejsca do lądowania.

- Zrozumiałem. Widzę pana.

Dwa helikoptery Sił Lądowych natychmiast zakreśliły i pomknęły nad głową Nasha w kierunku Vilcafor.

Po paru minutach Nash, Lauren i Copeland dotarli do krateru i zaczęli schodzić spiralną ścieżką.

Race, Renee i Van Lewen biegli przez gęste zarośla między górną wioską a kraterem, ścigając Nasha.

Nigdzie nie było widać rapa.

Z nadejściem świtu koty musiały wycofać się w głąb krateru. Race miał nadzieję, że smród małego moczu, którym się wysmarowali, jeszcze nie wywietrzył.

Zaczęli zbiegać ścieżką.

Kiedy Race, Renee i Van Lewen dotarli do szczytu krateru, Nash, Lauren i Copeland dochodzili do jego podstawy.

Po chwili byli przy skalnym pęknięciu i pobiegli nim, przy każdym kroku rozchlapując wodę. Nie zauważyli ciemnych kocich łbów, leniwie podnoszących się z płytkiego jeziora.

Cała trójka wyprysnęła na ścieżkę przy rzece, prosto w poranną mgłę, nie zatrzymali się jednak. Nie ustawiali w biegu, kierując się na Vilcafor i basowe dudnienie łopat wirników helikopterów.

Po kolejnych dwóch minutach dotarli do fosy na zachodnim krańcu osady.

Stanęli jak wryci.

Przed sobą - pośrodku Vilcafor - zobaczyli kilkunastoosobową grupkę mężczyzn

i kobiet z pozaplatanymi na karkach dłońmi. Wszyscy stali nieruchomo, nie zwracając uwagi na wypełniające poranne powietrze głośnie DUMP DUMP DUMP łopat wirników helikopterów.

Wśród nich znajdowało się dwóch komandosów SEAL - byli w pełnym rynsztunku bojowym, nie mieli jednak broni. Inni mieli na sobie granatowe mundury marynarki, a jeszcze inni cywilne ubrania - byli to naukowcy DARPA.

Nash zauważył w tym momencie helikopter. Stał za grupką ludzi.

Samotny super stallion.

Trzeci helikopter marynarki.

Stał pośrodku osady - milczący, nieruchomy, z zamarłymi łopatami wirnika. Na boku kadłuba miał wielki napis: NAVY.

Nash spojrział w górę w poszukiwaniu źródła hałasu, który wypełniał powietrze.

Były to dwa helikoptery Sił Lądowych - comanche i black hawk II - które wysłał na dół z górnej wioski. Unosiły się nad Vilcafor, kierując podwójne lufy karabinów maszynowych Gatlinga i pojemniki z rakietami prosto w grupę na ziemi - w rozbrojonych żołnierzy marynarki i ludzi z DARPA.

Race, Van Lewen i Renee zjawili się dwie minuty później.

Kiedy dotarli do głównej ulicy Vilcafor, oba helikoptery Sił Lądowych stały już na ziemi. Nash, napuszony jak paw, przechadzał się przed żołnierzami marynarki, trzymając w jednym ręku połyskującego Idola, a w drugim - srebrnego SiG-Sauera.

Załogi helikopterów - w sumie sześciu ludzi, dwóch z comanche'a i czterech z black hawka - celowały w zbitą ciasno grupę ludzi ze swoich M-16.

- Ach, profesorze Race... jak to miło, że pan do nas dołącza - powiedział pułkownik, kiedy Race, Renee i Van Lewen weszli na główny plac, ze zdziwieniem patrząc na żołnierzy marynarki i cywilów, stojących z rękami na karkach.

Race nie odpowiedział. Szukał wzrokiem kogoś między ludźmi z marynarki.

Jeżeli to członkowie oddziału Romano, prawdziwy oddział poszukujący Supernowej, to może...

Nagle zamarł.

Dostrzegł go.

Zobaczył stojącego między żołnierzami człowieka, ubranego w strój do chodzenia po górach i sportowe buty. Choć nie widział go od dziewięciu lat, od razu rozpoznał ciemne brwi i zgarbione ramiona.

Patrzył na swojego brata.

- Marty... - jęknął z rozpaczą i zrobił krok do przodu.

- Profesorze Race! - rzucił ostrzegawczo Nash.

Race zignorował to i szedł dalej w kierunku brata. Stanął przed nim, ale żaden z nich nie zrobił kroku ku drugiemu, nie objął go. Dwaj bracia, a całkiem inni ludzie.

William Race był pokryty warstwą błota i śmierdział małym moczem, a Marty miał na sobie idealnie czyste ubranie. Patrzył wytrzeszczonymi oczami na swojego młodszego brata - na jego cuchnące ciuchy i poszarpaną czapkę - jak na Stwora z Czarnej Laguny.

Marty był znacznie niższy od Williama, niemal krępy. Młodszy Race miał otwartą i pogodną twarz, natomiast twarz starszego zawsze była pocięta śmiertelnie poważnymi zmarszczkami.

- Will... - zaczął Marty.

- Przepraszam, nie wiedziałem. Omamili mnie - powiedział młodszy Race. - Mówili, że są z DARPA, znają cię i... - Will Race urwał nagle.

Ujrzał kolejnego znanego mu członka ekipy marynarki.

Zmarszczył czoło.

Ed Devereux.

Był to niski Murzyn w okularach. Choć miał dopiero czterdzieści jeden lat, był jednym z najbardziej szanowanych profesorów Harvardu, specjalizujących się w językach starożytnych. Niektórzy uważali, że jest najlepszym znawcą łaciny na świecie. Stał teraz w milczeniu między ludźmi z marynarki i DARPA, trzymając pod pachą wielki, oprawny w skórę tom. Race podejrzewał, że jest to należąca do marynarki kopia Manuskryptu Santiaga.

W tym momencie przypomniał sobie, że przedwczoraj, kiedy cała ta historia rozpoczęła się w jego gabinecie, zaproponował Nashowi, żeby zamiast niego zabrał na tę misję Devereux, bo jest znacznie lepszym fachowcem z zakresu średniowiecznej łaciny.

Teraz jednak zrozumiał, dlaczego Nash wołał zamiast profesora Harvardu wziąć jego.

Devereux już był zaangażowany. Przez prawdziwy oddział DARPA.

- Nigdy nie ujdiesz z tego z życiem, Nash - powiedział jeden ze starszych członków oddziału Marynarka-DARPA. Był zupełnie łysy. Doktor Julius Romano.

- Dlaczego tak uważasz?

- Komitet sił zbrojnych dowie się o tym. Supernowa to projekt marynarki. Nic nie uzasadnia twojej obecności tutaj.

- Supernowa przestała być projektem marynarki, kiedy przedwczoraj została skradziona z DARPA - odparł Nash. - A to oznacza, że w tej chwili jedyną formacją w Stanach Zjednoczonych, która jest w posiadaniu Supernowej, są Siły Lądowe.

- Ty skurwy...

Romano nie dokończył, bo jego głowa nagle eksplodowała, rozprysnęła się jak pomidor, wyrzucając we wszystkie strony fontanny krwi. Zaraz potem ciało upadło na ziemię.

Race odwrócił się gwałtownie. Nash stał w pozycji strzeleckiej, z wyciągniętym do przodu SiG-Sauerem. Po chwili zrobił krok w bok i przystawił lufę pistoletu do głowy następnemu człowiekowi, stojącemu w szeregu.

BAM!

Pistolet wystrzelił i na ziemię upadło kolejne ciało.

- Co pan wyprawia?! - wrzasnął Race.

- Pułkowniku! - krzyknął z niedowierzaniem Van Lewen i zaczął podnosić G-11.

Natychmiast przystawiono mu do głowy lufę pistoletu. Trzymał go Troy Copeland.

- Rzuć broń, sierżancie - powiedział naukowiec.

Van Lewen zacisnął zęby, rzucił broń i wbił wzrok w Copelanda.

Lauren w taki sam sposób rozbroiła Renee.

Kompletnie zdezorientowany William Race odwrócił się w kierunku brata, ale Martin stał spokojnie w szeregu i patrzył przed siebie - jedynie w chwilach strzałów nerwowo mrugał.

- Pułkowniku, to morderstwo - oświadczył Van Lewen. Nash podszedł do kolejnego żołnierza marynarki i wycelował. BAM!

- Nie - odparł, kiedy ciało żołnierza upadło na ziemię. - To jedynie proces doboru naturalnego. Przeżyją najsilniejsi.

Dotarł do Eda Devereux.

Niski profesor stał przed pułkownikiem i dygotał. Mimo okularów widać było jego przerażone oczy. Nash skierował lufę w jego głowę.

- Nie! - krzyknął Devereux. BAM!

Devereux zwinął się na ziemi.

Race nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Amerykanie zabijali Amerykanów. To jakiś potworny koszmar. Na widok padającego na ziemię ciała kolegi po fachu jęknął.

Popatrzył na oprawny w skórę tom, który Devereux trzymał przedtem w ręku. Leżał teraz w błocie, otwarty, ukazując kruche, stare stronice, pokryte ozdobnymi średniowiecznymi miniaturami i kaligraficznym pismem.

Manuskrypt Santiago.

Nie - poprawił się w myśli Race - niedokończona kopia manuskryptu, sporządzona przez innego mnicha w 1599 roku, trzydzieści lat po śmierci Alberta Santiaga.

- Pułkowniku, co pan, do cholery, wyprawia? - zapytał.

- Eliminuję konkurencję, profesorze Race - odparł Nash. Powoli szedł wzdłuż szeregu mężczyzn i kobiet i strzelał do kolejnych ludzi z najbliższej odległości. Jego oczy były twarde, zimne, pozbawione jakichkolwiek emocji. Z kliniczną

beznamiętnością mordował wrogów - swoich rodaków, Amerykanów - jednego po drugim.

Kiedy przystawiał ludziom broń do głowy, niektórzy zaczęli się modlić, inni - zwłaszcza cywile - zaczęli pochlipywać. Race widział, jak na widok tych przerażających egzekucji w oczach Renee zbierają się łzy.

Wreszcie w szeregu pozostała tylko jedna osoba.

Marty.

Race patrzył, jak Nash staje przed jego bratem. Czuł całkowitą bezradność, bezsilność.

Nieoczekiwanie Nash opuścił pistolet, odwrócił się i powiedział:

- Lauren, mogłabyś przynieść z transportera mój laptop? Co to miało...

Lauren natychmiast poszła do pojazdu, który przez cały czas stał przed cytadelą. Po paru minutach wróciła z komputerem pułkownika - tym samym, którego używał na początku misji. Podała go Nashowi, który nie wiadomo dlaczego podał go Race'owi.

- Włącz go - polecił. Race zrobił, co mu kazano.

- Kliknij na: SIEĆ WEWNĘTRZNA SIŁ LĄDOWYCH USA. Kiedy Race to zrobił, na ekranie pojawiła się strona tytułowa.

WEWNĘTRZNA SIEĆ INFORMACYJNA SIŁ LĄDOWYCH USA. Po chwili ekran się zmienił, ukazując listę e-maili, przekazanych na bezpiecznym kanale.

- Powinna tam być wiadomość z pańskim nazwiskiem w czołówce. Proszę poszukać: RACE - powiedział pułkownik.

Race wpisał swoje nazwisko i wcisnął: SZUKAJ. Nie miał pojęcia, do czego Nash zmierza.

Komputer zapiszczał i pojawił się napis: ZNALEZIONO 2 WIADOMOŚCI.

Lista skróciła się do dwóch pozycji.

DATA	CZAS	TEMAT
------	------	-------

3.1.99.	18.01	MISJA SUPERNOWA
---------	-------	-----------------

4.1.99.	16.35	SPRAWA WILLIAMA RACE'A
---------	-------	------------------------

- Widzi pan wiadomość ze swoim nazwiskiem?

Race kliknął tytuł drugiej wiadomości. Pojawił się dłuższy tekst.

4 STY 1999,16.35, SIEĆ WEWN. SIŁ LĄDOWYCH USA 617 5544 895-16-07

NR 187

Od: Kierownik Wydziału Projektów Specjalnych

Do: Nash, Frank

Temat: SPRAWA WILLIAMA RACE'A Nie zostawiać Race'a w Cuzco.

Powtarzam: nie zostawiać Racea w Cuzco. Zabrać go ze sobą do dżungli. Po zdobyciu Idola zlikwidować Racea i pozbyć się ciała.

GENERAŁ ARTHUR H. LANCASTER

Kierownik Wydziału Projektów Specjalnych Sił Lądowych USA

- Chciałem tylko, aby pan wiedział, że już dawno nie powinien pan żyć, profesorze - oświadczył Nash.

Race patrzył na ekran i krew tężała mu w żyłach.

Był to wyrok śmierci. Pismo podpisane przez generała, dowodzącego Wydziałem Projektów Specjalnych Sił Lądowych USA, nakazujące, by go zamordowano.

Jezus, Maria...

Próbował zachować spokój.

Popatrzył na datę depeszy.

4 stycznia, godzina 16.35.

Po południu tego samego dnia, kiedy wylatywał z Nowego Jorku.

Wiadomość musiała dotrzeć do adresata, gdy leciał samolotem transportowym do Peru.

Lot do Peru...

Boże, wydawało mu się, że od tego czasu minęły lata.

Nagle uświadomił sobie, w którym momencie podczas lotu brzęknął komputer Nasha, informując, że nadeszła nowa wiadomość. Przypomniał to sobie ze szczegółami - było to w chwili, gdy skończył tłumaczyć kopię manuskryptu, którą mu dał Nash.

Wtedy dotarła do niego prawda.

Nash zabrał go do Vilcafor, choć na początku misji obiecał, że jeśli przetłumaczy manuskrypt przed lądowaniem, nawet nie będzie musiał wysiadać z samolotu. Wziął go jednak ze sobą - dlaczego?

Ponieważ nie mógł pozostawić żadnego świadka.

Ponieważ misja była tajna - oddział Sił Lądowych próbował przeszkodzić w wykonaniu zadania oddziałowi marynarki - i pułkownik nie mógł ryzykować, że jakkolwiek świadek tej akcji przeżyje.

- Zamierzałem zabić pana przedwczoraj, zaraz po otwarciu Świątyni - oświadczył Nash. - Niestety zjawili się Niemcy z BKA i pokrzyżowali mi szyki. Otworzyli Świątynię i... no cóż, kto mógł się spodziewać, co znajdą w środku? Ale potem, kiedy zdobyliśmy kopię całego manuskryptu, byłem zadowolony, że pana nie zabiłem.

- Cieszę się, że był pan zadowolony - burknął Race.

Z czystej ciekawości, mając cały czas komputer przed sobą, dwa razy kliknął tytuł drugiej wiadomości, związanej z jego nazwiskiem: MISJA SUPERNOWA.

Na ekranie pojawił się pełny tekst.

Uświadomił sobie, że już raz widział tę wiadomość - na samym początku misji,

kiedy kawalkadą samochodów jechali przez Nowy Jork.

3 STY 1999, 22.01, SIEĆ WEWN SIŁ LĄDOWYCH USA 617 5544 88211-05
NR 139

Od: Nash, Frank Do: wszyscy członkowie Zespołu Cuzco

Temat: MISJA SUPERNOWA Kontakt z Raceem zostanie nawiązany cito. Jego udział ma zasadnicze znaczenie dla sukcesu misji. Oczekuję przybycia pakunku jutro, 4 stycznia, w Newark, godz. 09.45. Wszyscy członkowie mają mieć sprzęt załadowany godz. 09.00.

Race zmarszczył czoło.

„Kontakt z Race'em zostanie nawiązany cito.

Jego udział ma zasadnicze znaczenie dla sukcesu misji”.

Kiedy po raz pierwszy czytał tę wiadomość, nie zwrócił na nią specjalnej uwagi. Uznał, że dotyczy jego osoby.

A może Siły Lądowe chciały się skontaktować z kimś innym? Z innym Race'em?

Oznaczałoby to, że chciano się skontaktować z...

Martym.

Z przerażeniem podniósł wzrok znad komputera - i zobaczył, że jego brat wystąpił spośród otaczających go martwych ciał ludzi z marynarki i DARPA i ścisnął dłoń Frankowi Nashowi.

- Co słyhać, Marty? - spytał Nash przyjacielsko.

- Wszystko gra, Frank. Cieszę się, że wreszcie cię znalazłem. Race'owi młodszemu zakręciło się w głowie.

Patrzył to na Nasha, to na Marty'ego, to na martwe ciała leżące na zabłoconej ulicy, a potem spojrział na...

...leżącą obok ciała Eda Devereux otwartą kopię manuskryptu.

Nagle wszystko ułożyło mu się w całość.

Wyraźnie widział średniowieczne miniatury i kaligraficzne pismo. Strony wyglądały identycznie jak karty kserokopii Manuskryptu Santiago, z której robił w drodze do Peru tłumaczenie dla Nasha.

O, nie...

- Marty, chyba nie...

- Przykro mi, że zostałeś w to wszystko wmieszany, Will - powiedział Marty.

- Musieliśmy w jakiś sposób zdobyć manuskrypt - oświadczył Nash. - Jezu, kiedy ci naziści zaatakowali francuski klasztor i zrabowali oryginał manuskryptu, rozpoczęła się pogoń, jakiej świat nie widział. Nagle wszyscy, którzy mieli Supernową, dowiedzieli się o możliwości zdobycia tyru. To była okazja jedna na całe życie. Kiedy z przejętego przekazu DARPA dowiedzieliśmy się, że istnieje drugi egzemplarz manuskryptu, zadbaliliśmy o to, aby ktoś stamtąd zrobił dla nas kopię.

Marty.

Jak to możliwe? - zastanawiał się Race. Marty pracował dla DARPA, nie dla Sił Lądowych. Gdzie było połączenie? W jaki sposób Marty był związany z Nashem i Wydziałem Projektów Specjalnych Sił Lądowych?

W tym momencie do Marty'ego podeszła Lauren i pocałowała go lekko w policzek.

Co to ma...

Nagle dostrzegł na lewym palcu brata obrączkę.

Popatrzył na Lauren.

O, nie...

W jego głowie znów rozbrzmiał głos Lauren: „Moje pierwsze małżeństwo nie bardzo wyszło. Ale niedawno znów wyszłam za mąż”.

- Znasz moją żonę, prawda, Will? - powiedział Marty, podchodząc do niego z Lauren. - Nie mówiłem ci, że się ożeniłem?

- Marty...

- Will, pamiętasz, jak byliśmy nastolatkami? Ty byłeś zawsze lubiany i popularny, a ja byłem samotnikiem. Dziwakiem z krzaczastymi brwiami i zgarbionymi plecami, który w soboty wieczór zostawał w domu, podczas gdy ty wychodziłeś z dziewczynami. To jedyna dziewczyna, której nie dostałeś, prawda?

Race milczał.

- Wygląda na to, że ja ją dostałem - oświadczył po chwili Marty.

Race nie mógł w to uwierzyć. Czyżby jego brat był aż tak zgorzkniały z powodu swojego dzieciństwa, że związał się z Lauren tylko po to, aby wyrównać rachunki z młodszym bratem?

Nie. To niemożliwe, pomyślał.

Taka teoria pomijała Lauren. Nie wyszłaby za mąż za nikogo, za kogo nie chciałyby wyjść - co w praktyce oznaczało, że nie wyszłaby za nikogo, kto nie byłby przydatny w jej karierze.

Przypomniał sobie coś jeszcze. Incydent sprzed dwóch dni.

Lauren i Troya Copelanda, całujących się jak para nastolatków.

Lauren miała romans z Copelandem.

- Marty - powiedział szybko. - Posłuchaj, ona zamierza cię zdradzić...

- Zamknij się, Will.

- Ale...

- Powiedziałem: zamknij się!

Race zamilkł, po chwili jednak zapytał cicho:

- Ile wojsko ci dało, żebyś sprzedał DARPA?

- Wcale nie tak dużo. Po prostu żona poprosiła mnie o przysługę, a jej szef,

obecny tutaj pułkownik Nash, zaproponował mi kierownicze stanowisko w projekcie Supernowa Sił Łądowych. Will, jestem projektantem. Tworzę systemy komputerowe, które sterują tymi urządzeniami, ale w DARPA nic z tego nie miałem. Całe życie, Will - całe życie! - chciałem jedynie uznania. W domu, w szkole, w pracy. Uznania dla moich umiejętności. Teraz wreszcie będę je miał.

- Marty, posłuchaj mnie. Przedwczoraj widziałem Lauren z...

- Daj spokój, Will. Przedstawienie skończone. Naprawdę przykro mi, że to się tak odbyło, ale nic na to nie poradzę. Do widzenia.

Przez młodszym Race'em stanął Frank Nash, zasłaniając Marty'ego - zamiast brata Will widział teraz lufę SiG-Sauera.

- Miło było pana poznać, profesorze. Naprawdę - powiedział Nash i zaczął ciągnąć za spust.

- Nie! - krzyknął nagle Van Lewen i stanął między Race'em a lufą pistoletu. - Pułkowniku, nie mogę panu na to pozwolić.

- Zejdźcie z drogi, sierżancie.

- Nie, pułkowniku. Nie zejść.

- Złaź, kurwa, z drogi! Van Lewen wyprężył się.

- Pułkowniku, moje rozkazy są jednoznaczne. Wydał mi je pan osobiście. Mam za wszelką cenę chronić profesora Race'a.

- Rozkazy właśnie zostały zmienione.

- Nie, pułkowniku. Nie zostały. Jeżeli chce pan zabić profesora Race'a, najpierw musi pan zabić mnie.

Nash wydał wargi.

Po chwili - było to tym bardziej przerażające, że całkowicie niespodziewane - SiG w jego dłoni szarpnął i głowa Van Lewena eksplodowała, obryzgując Race'a krwią.

Potężny komandos zwał się bezwładnie na ziemię, jak marionetka, której nagle przecięto wszystkie sznurki. Race wbił wzrok w ciało.

Ten człowiek poświęcił za niego życie, zamiast niego spojrział śmierci w oczy. Race miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

- Ty skurwysynu... - wysyczał, patrząc z nienawiścią na Nasha.

Pułkownik wycelował mu w głowę.

- Ta misja przerasta każdego człowieka, profesorze. Przerosła Van Lewena, przerasta mnie, a już na pewno przerasta pana.

Powiedziawszy to, pociągnął za spust.

W tym momencie Race dostrzegł śmignięcie czegoś brązowego i usłyszał wizg.

Zanim Nash zdążył dociągnąć spust do końca, z jego przedramienia wytrysnęła strużka krwi - przeszła je prymitywna drewniana strzała.

Ręka pułkownika została odrzucona w bok, a pocisk przeleciał tuż obok twarzy

Race'a. Nash ryknął z bólu i wypuścił pistolet z ręki. W tej samej chwili spadło na nich ponad dwadzieścia strzał, zabijając dwóch ludzi z Sił Lądowych.

Za falą strzał nadleciał mrozący krew w żyłach krzyk bojowy, który przeciął poranne powietrze jak nóż.

Race odwrócił się gwałtownie w kierunku tego krzyku i widok, jaki ujrzał, sprawił, że znieruchomiał.

Tubylcy z górnej wioski - co najmniej pięćdziesiąt osób - wypadali spomiędzy drzew. Biegając, dziko wyli i machali łukami, dzidami, siekierami, pałkami - a ich twarze wykrzywiała wściekłość.

Atak tubylców był przerażający.

Ich furia była straszliwa, złość niemal namacalna. Frank Nash ukradł im Idola i zamierzali go odzyskać.

Nagle tuż zza pleców Race'a zaterkotały M-16 - to dwóch pilotów helikopterów otworzyło ogień do Indian. Niemal od razu czterech ludzi, biegnących na czele hordy, zostało trafionych. Potknęli się i padli twarzami w błoto.

Pozostali atakowali jednak dalej.

Nash - z przedramieniem przeszytym na wylot strzałą, z której zwisał kawał krwawiącego mięsa - natychmiast się odwrócił i razem ze swoimi ludźmi zaczął uciekać w kierunku helikopterów.

Race nawet nie zdążył się poruszyć. Stał na środku ulicy jak przymurowany i niemo obserwował atakujących tubylców.

Nagle ktoś szarpnął go mocno za ramię.

Renee.

- Profesorze, idziemy! - krzyknęła i pociągnęła go w kierunku pustego super stalliona, który stał po drugiej stronie wsi.

Ludzie Sił Lądowych dotarli do swoich helikopterów.

Nash, Lauren, Marty i Copeland znaleźli się w tylnym przedziale black hawk'a II w tej samej chwili, co obaj piloci w swoich fotelach.

Łopaty wirników natychmiast zaczęły się obracać.

Nash wyrzwał przez okienko - i zobaczył Race'a i Renee, biegnących do super stalliona.

- Zdjąć tę maszynę! - ryknął do strzelca obsługującego działko.

Kiedy łopaty wirników przeskoczyły na najwyższą prędkość i potężna maszyna zaczęła się powoli unosić, strzelec wcisnął przycisk i z działka marki Vulcan buchnęła salwa.

Grad pocisków miał tak wielką siłę, że trafionym helikopterem wstrząsnęło. Opancerzone boki pokryły tysiące dziur, z których każda miała wielkość pięści mężczyzny.

Gdy Race i Renee zbliżali się do celu, super stallion eksplodował nagle w wielkiej kuli ognia.

Rzucili się oboje na ziemię, a nad ich głowami pomknęło tornado rozpalonych do czerwoności, pędzących we wszystkie strony kawałów metalu. Dwa fragmenty trafiły Renee w ramię, skwiercząc w zetknięciu ze skórą. Dziewczyna zawyła z bólu.

- Ich też zdjąć! - ryknął Nash, wskazując na Race'a i ranną Renee.

Black hawk II był jakieś pięć metrów nad ziemią, i szybko się wznosił. Strzelec pokładowy błyskawicznie obrócił działko i wycelował w Race'a.

BAM!

W tym momencie głową strzelca gwałtownie szarpnęło - został trafiony prosto między oczy.

Nash rozejrzał się ze zdziwieniem i zaczął szukać tego, kto zabił mu członka załogi.

Po chwili go zobaczył.

Był to Doogie.

Kłęczał na jednym kolanie, przyciskał do ramienia zdobycznego MP-5 i celował w helikopter. Za nim stała Gaby Lopez. Po chwili Doogie znów strzelił i pocisk z wizgiem zrykoszetował o metal sufitu, tuż nad głową Nasha.

- Zwijamy się stąd! - wrzasnął Nash do pilota. Podtrzymując Renee, Race pokuśtykał w kierunku transportera.

Tłumek tubylców wrzeszczał wściekle na dwa odlatujące helikoptery Sił Lądowych, machał na nie pałkami, strzelał z łuków do opancerzonych latających bestii.

Race wskoczył na tył pojazdu, jednym szarpnięciem otworzył okrągły właz i pomógł Renee wspiąć się do środka.

Kiedy zamierzał wejść za nią do transportera, ujrzał biegnących główną ulicą Doogiego i Gaby. Machali gwałtownie rękami, dziewczyna podtrzymywała kuśtykającego Doogiego. Dotarli do transportera i wskoczyli na pancierz - Co tu się dzieje? - spytał Doogie, ciężko dysząc. Jego lewa noga mocno krwawiła, na udzie miał zawiązaną prowizoryczną opaskę uciskową. - Kiedy nadbiegliśmy, pułkownik właśnie strzelił Leo prosto w głowę! - Na twarzy młodego żołnierza malowała się wściekłość i bezradna dezorientacja - Pułkownik ma inne priorytety - stwierdził gorzko Race. - Nas one nie obejmują.

- Co robimy?

Race zagryzł wargę..

- Wchodźcie do środka. To wcale się jeszcze nie skończyło.

Oba helikoptery Sił Lądowych - comanche i back hawk - unosiły się nad główną ulicą Vilcafor.

Nash popatrzył przez otwarte boczne drzwi, na tłum rozjuszonych tubylców wyjących na helikopter i machających na niego pięściami - parsknął śmiechem, odwrócił się i wyjrzał przez przednią szybę.

Kiedy wylecieli nad czubki drzew, uśmiech zniknął z twarzy Nasha.

Helikopterów było osiem - były to black hawki I, podobne do tego, w jakim siedział, choć starszej konstrukcji. Siły Lądowe już kilka lat wcześniej wymieniły je na black hawki II. Wszystkie maszyny były pomalowane na czarno, nie miały żadnych oznaczeń i wisiały nieruchomo szerokim, pięćsetmetrowym kręgiem wokół Vilcafor, niczym sfora głodnych szakali, czekających z boku pola bitwy na moment, kiedy można będzie zacząć uctowanie.

Nagle z któregoś z nieoznakowanych helikopterów wystrzeliła chmurka dymu i spod jednego z krótkich skrzydełek, wystających z boków kadłuba, wystrzeliła rakietka.

Długi palec dymu pomknął przed atakującym helikopterem - coraz bardziej przyspieszająca rakietka kierowała się na comanche'a Sił Lądowych. Po chwili comanche eksplodował i wrak ciężko zwałił się na drzewa, a stamtąd na jedną z kamiennych chat. Ze zwęglonego, poskręcane kadłuba natychmiast rozprysnęły się wokół jęzory długich płomieni.

Kiedy helikopter wybuchł, Race i pozostała trójka byli już w cytadeli i właśnie zamierzali wejść do quenko.

Wrócili szybko do transportera i wyjrżeli przez wąskie okienka, by sprawdzić, co się stało.

Płonący wrak comanche'a leżał na boku na jednej z chat, a black hawk II Nasha zamarł w powietrzu, nie ważąc się poruszyć.

Wirniki black hawka Sił Lądowych rytmicznie dudniły, utrzymując maszynę pośrodku kręgu tajemniczych czarnych helikopterów.

Nagle dwa z nieoznakowanych helikopterów oderwały się od reszty i ruszyły w kierunku Vilcafor.

Siedzący w nich ubrani na czarno komandosi otworzyli ogień do stojących na dole Indian i tubylcy natychmiast się rozproszyli, przebiegli przez mosty i zaczęli chować się w gęstym lesie.

Z głośnika jednego z czarnych helikopterów rozległ się głos mówiącego po angielsku mężczyzny:

- Do black hawka Sił Lądowych: w waszą maszynę wycelowana jest rakietka. Natychmiast lądujcie. Powtarzam: rozkazuję wam natychmiast lądować i przygotować się do przekazania Idola. W razie niewykonania polecenia zostaniecie zestrzeleni i weźmiemy sobie Idola z wraka.

Nash i Marty wymienili spojrzenia. Lauren i Copeland zrobili to samo.

- Nie kłamią w sprawie tej rakiety, pułkownika - powiedział pilot.

- Ląduj - rozkazał Nash.

Mając po bokach dwa nieoznakowane black hawki, maszyna Nasha powoli opadała ku ziemi.

Trzy czarne helikoptery dotknęły jej równocześnie z nią i po chwili znów odezwał się głos z głośników:

- Wyjść z maszyny z rękami do góry.

Nash, Lauren, Copeland i Marty zrobili, co im kazano. Za nimi wysiadł pilot.

Race i pozostała trójka ze zdumieniem obserwowali to wszystko z bezpiecznego wnętrza transportera.

Race miał wrażenie, jakby obserwował film o dużej rybie, zjadającej małą rybkę i po chwili pożeranej przez jeszcze większą rybę.

Wyglądało na to, że Franka Nasha dopadła naprawdę duża ryba.

- Co to za ludzie? - spytał Doogie.

- Stawiałabym na to, że to ich należałoby obciążyć odpowiedzialnością za przedwczorajsze włamanie do kwatery głównej DARPA i kradzież Supernowej - powiedziała Renee, mocno przyciskając do barku płat gazy.

Agent specjalny John-Paul Demonaco i komandor Tom Mitchell siedzieli w obskurnym baltimorskim mieszkaniu Blueya Jamesa i czekali na telefon z sygnałem dla Blueya, że ma wysłać nagraną na V-CD wiadomość Bittikera do stacji telewizyjnych. Aparat Blueya został oczywiście podłączony do urządzeń FBI, namierzających miejsce, skąd się dzwoni.

Zapukano do drzwi.

Mitchell otworzył. Przed drzwiami stało dwoje agentów Krajowego Oddziału Antyterrorystycznego - mężczyzna i kobieta, para krótko ostrzyżonych trzydziestolatków.

- Co macie? - spytał Demonaco.

- Sprawdziliśmy Henry'ego Nortona - powiedziała agentka. - Faceta, którego kart i kodów użyto do włamania. Nie miał kontaktów z żadnymi organizacjami paramilitarnymi.

- Więc z kim pracował? Kto mógł podejrzeć jego kody i komuś je przekazać?

- Wygląda na to, że współpracował z niejakim Martinem Race'em - Martinem Erikiem Race'em, który brał udział w projekcie z ramienia DARPA, jako ekspert od systemów zapłonowych. Też go sprawdziliśmy, jest czysty. Żadnych powiązań z milicją, żadnych kontaktów z ekstremistami w przeszłości. Jego żona jest wysokiej rangi naukowcem wojskowym - to Lauren O'Connor. Nie ma co prawda doświadczenia polowego, ale przyznano jej stopień majora. To stopień honorowy.

Race i O'Connor wzięli ślub pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Nie mają dzieci. Nic nie wiadomo o jakichkolwiek kłótniach. Jest tylko jedno „ale”...

- To znaczy?

- Dokładnie trzy tygodnie temu przy jej aktach w FBI zapaliło się czerwone światełko, kiedy zauważono, jak wychodzi z motelu w Gainsville z tym człowiekiem... - Agentka podała Demonaco czarno-białe zdjęcie formatu dwadzieścia na dwadzieścia cztery centymetry, ukazujące mężczyznę, wychodzącego z pokoju motelowego. - Troy Copeland. Major w Jednostce Projektów Specjalnych Sił Lądowych. Wygląda na to, że pani O'Connor ma od miesiąca romans z panem Copelandem.

- I co z tego?

- Copeland był od roku obserwowany, bo podejrzewano go o przekazywanie kodów zabezpieczających Sił Lądowych pewnym grupom milicji, w tym także Republikańskiej Armii Teksasu. Ponieważ jednak jego romans z Lauren O'Connor trwa dopiero od miesiąca, prawdopodobnie DARPA nie prowadziła systematycznej inwigilacji.

Demonaco westchnął.

- Siły Lądowe i marynarka nie są najlepszymi kochankami... od lat wyciągają sobie poduszkę spod głowy - stwierdził. - Komandorze Mitchell?

- Tak?

- Czy Siły Lądowe mają Supernową?

- Nie powinny mieć.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Sądzymy, że nad nią pracują.

- Czy jest możliwe, że ta O'Connor nakłoniła męża do zdradzenia jej tajnych kodów DARPA i przekazywała je swojemu kochankowi Copelandowi, nie wiedząc, że ten człowiek daje je teksańczykom?

- Owszem - odparła agentka.

- Niech to cholera!

Frank Nash wysiadł z helikoptera z Duchem Ludzi w rękach. Za nim wysiedli Lauren, Marty, Copeland i pilot.

Nieoznakowane black hawki, które wylądowały po obu stronach helikoptera Sił Lądowych, utrzymywały wolne obroty łopat wirników.

- Odejść od helikopterów! - zażądał głos przez głośniki.

Nash i pozostali zrobili, co im kazano.

Sekundę później z nieba spadł z ogromną prędkością następny palec dymu - z kolejnego unoszącego się nad wioską helikoptera. Rakieta wbiła się w maszynę

Nasha, posyłając ją w niebyt.

Pułkownik jęknął.

Zapadła cisza. Jedynym odgłosem było głośnie DUMP DUMP DUMP łopat, obracających się nad kadłubami dwóch czarnych helikopterów.

Po długiej minucie z bliższej maszyny wysiadł mężczyzna w pełnym stroju bojowym - miał na sobie kombinezon, pas bojowy i buty komandosa - a w lewej dłoni trzymał dziwnie wyglądający pistolet.

Broń była czarna i znacznie większa niż sławny IMI Desert Eagle - największy produkowany na świecie pistolet samopowtarzalny. Pistolet miał masywną rękojeść i niezwykle długi zamek, wybiegający daleko do tyłu, za korpus broni.

Nash natychmiast rozpoznał ten model.

Nie był to pistolet samopowtarzalny. Był to bardzo rzadki - i bardzo drogi - pistolet firmy Calico, jedyny na świecie pistolet automatyczny. Kiedy pociągnię się za spust, z lufy wylatuje strumień pocisków. Podobnie jak M-16, calico można nastawić na pojedyncze strzały, na serie trzypociskowe albo na ogień ciągły. Niezależnie jednak od tego, co się wybrało, wynik był zawsze taki sam: strzelając do kogoś z tego pistoletu, robiło mu się poważną krzywdę.

Uzbrojony w calico mężczyzna podszedł do Nasha. Żołnierze ze stojącego za pułkownikiem nieoznakowanego helikoptera celowali ze swoich M-16 do jego ludzi.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Poproszę o Idola.

Nash przyglądał mu się przez chwilę. Mężczyzna był w średnim wieku, chudy, miał żylaste przedramiona. Jego zapadniętą, sangwiniczną twarz znaczyły dzioby ospy, a zmierzwiłone, rzędzące blond włosy opadały mu na czoło, niemal zasłaniając błękitne, przepełnione nienawiścią oczy.

Pułkownik nie oddał mu Idola.

Mężczyzna spokojnie podniósł pistolet, wycelował w głowę pilota Nasha i rozwalił mu ją trzypociskową serią.

- Poproszę o Idola - powtórzył. Nash podał mu go z wahaniem.

- Dziękuję, pułkowniku.

- Kim pan jest?

Mężczyzna lekko przechylił głowę na bok. Kącik jego ust wykrzywił się w przebiegłym, pełnym wyższości uśmiechu.

- Nazywam się Earl Bittiker.

- A kto to jest?

Mężczyzna znów skrzywił usta w tym samym wyniosłym uśmiechu.

- Jestem człowiekiem, który zniszczy świat.

Race, Renee, Gaby i Doogie wyglądali przez szczeliny obserwacyjne, ze

zdumieniem obserwując rozgrywający się na zewnątrz dramat.

- Skąd wiedzieli, jak się tu dostać? - spytała Renee. - Chyba nie mieli kolejnej kopii manuskryptu...

- Raczej nie - odparł Race. - Ale domyślam się, jak tu dotarli. Zaczął się rozglądać po wnętrzu transportera - czegoś szukał.

Po kilku sekundach znalazł: laptop oddziału BKA. Włączył go - po chwili miał przed oczami znajomy ekran z niemieckim tekstem.

TRANSMISJA SATELITARNA LOG 44-76zBKA32

NR	DATA	GODZ.	ZRODŁO	STRESZCZ.
14.	1.99	19.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
24.	1.99	19.50	ŹR. ZEWN.	SYGNAŁ UHF
34.	1.99	22.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
45.	1.99	01.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
55.	1.99	04.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
65.	1.99	07.16	TEREN (CHILE)	PRZYLOT SANTIAGO, WYLOT COLONIA ALEMANIA
75.	1.99	07.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
85.	1.99	09.58	TEREN (CHILE)	PRZYLOT COLONIA ALEMANIA, ROZPOCZĘCIE OBSERWACJI
95.	1.99	10.30	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT STANU
105.	1.99	10.37	TEREN (CHILE)ODDZ.CHILE	PILNY SYGNAŁ ODDZ. CHILE PILNY SYGNAŁ
115.	1.99	10.51	KG BKA ODDZ. PERU	RAPORT NATYCHMIAST

Widział ten ekran wczoraj, przed przybyciem nazistów. Była to lista wszystkich sygnałów, odebranych przez peruwiański oddział BKA.

Natychmiast znalazł to, czego szukał. Chodziło o drugą linijkę.

2 4.1.99 19.50 ŹR. ZEWN. SYGNAŁ UHF - Doogie, mówiłeś wczoraj coś o sygnale UHF - powiedział. - O co dokładnie chodziło?

- To standardowy sygnał naprowadzający. Wysłałem go wczoraj do naszego oddziału wsparcia powietrznego, żeby wiedzieli, skąd nas zabrać.

Renee wskazała na ekran.

- Ale ten sygnał został wysłany przedwczoraj - czwartego stycznia o dziewiętnastej pięćdziesiąt. Na długo przed przybyciem mojego oddziału - oświadczyła.

- Zgadza się - odparł Race. - Chodzi właśnie o moment, w którym go wysłano.

- Jak to? - spytał Doogie.

- Dokładnie za kwadrans ósma wieczorem Lauren dokonała badania terenu za pomocą rezonansu jądrowego i ustaliła, że w bezpośredniej bliskości tej osady jest tyr. Ten sygnał UHF został wysłany pięć minut później. Co wtedy robiliśmy?

- Rozładowywaliśmy helikoptery. Przygotowywaliśmy sprzęt.

- Właśnie. Doskonała okazja dla kogoś, by wysłać sygnał. Wszyscy byli zajęci, nikt nie patrzył i przyjaciele mogli zostać bezpiecznie zawiadomieni o potwierdzeniu znaleziska.

- Ale kto to zrobił? - spytała Gaby. Race skinął głową w kierunku placu.

- Chyba zaraz się tego dowiemy.

Earl Bittiker wyjął z kabury drugi pistolet calico i rzucił go Troyowi Copelandowi.

- Hej, Troy!

- Miło, że do nas dołączyłeś - powiedział Copeland i przeładował broń.

Lauren popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Troy...?

Copeland uśmiechnął się do niej. Był to okrutny, nieprzyjemny uśmiech.

- Powinnaś uważać, z kim się zadajesz, Lauren, bo ten i ów może cię wydymać.

Choć nie sądzę, żeby to cię często dymano.

Twarz Lauren pociemniała, a Marty zbladł.

- Lauren...

Copeland zaczął chichotać.

- Marty, Marty... mały pieprzony Marty, który sprzedał DARPA, żeby kupić sobie odrobinę szacunku... ty też powinieneś z nieco większą ostrożnością dobierać tych, którym przekazujesz informacje. No cóż, ale w końcu nie wiedziałeś, że twoja żona pieprzy się z innym facetem...

Race obserwował rozgrywającą się przed nim scenę. Cały był spięty.

Poniżające jego brata słowa Copelanda były doskonale słyszalne.

- Podobało jej się to - mówił Copeland. - Muszę przyznać, że niewiele rzeczy na tym świecie sprawiało mi większą frajdę od krzyków twojej żony podczas orgazmu.

Marty poczerwieniał ze złości i upokorzenia.

- Zabiję cię... - wywarczał.

- Mało prawdopodobne - odparł Copeland i pociągnął za spust, posyłając w brzuch Marty'ego serię z calico.

Młodszy Race skulił się.

Trzyprociskowa seria rozerwała Marty'emu koszulę i zamieniła jego brzuch w czerwoną miazgę. Upadł ciężko na ziemię.

- Marty... - wymamrotał William Race.

Copeland wycelował broń w Lauren, a Bittiker w Nasha.

- Prawo niezamierzonych konsekwencji: terroryści położyli łapy na Supernowej - powiedział fizyk. - Tak to nazywasz, prawda? Dla ciebie ta broń była tylko zabawką do blefowania, czymś, czego nigdy nie odważyłbyś się użyć. Nie bierz się do czegoś, czego nie zamierzasz doprowadzić do końca.

Copeland i Bittiker strzelili w tym samym momencie.

Nash i Lauren upadli, plaskając o błoto. Lauren zginęła na miejscu, od strzału w serce, ale Nash dostał postrzał w brzuch i żył jeszcze. Po chwili przekręcił się na bok z jękiem bólu.

Bittiker i Copeland ruszyli biegiem do nieoznakowanego czarnego helikoptera i wskoczyli na jego pokład.

Ledwie znaleźli się w środku, black hawkki wystartowały. Po wzniesieniu się nad szczyty drzew położyły się ostro na bok i pognały na wschód.

Kiedy helikoptery teksańczyków odleciały, Race wypchnął klapę wjazdu i wybiegł na główną ulicę. Dobiegł do brata i opadł obok niego na kolana.

Marty próbował wepchnąć z powrotem do brzucha jelita. Z jego ust wypływała z bulgotem krew, w oczach miał przerożenie.

- Och, Will... Will... - wymamrotał i złapał zakrwawioną ręką ramię młodszego brata.

- Marty, dlaczego?! Dlaczego to zrobiłeś?

- Will... zapłon...

- Co? Co chcesz mi powiedzieć?

- Przepraszam... cię... zapłon... układ zapłonowy... proszę... powstrzymaj ich...

Powoli oczy Marty'ego zaszkliły się i znieruchomiały, jakby zapatrzone w jakiś odległy punkt, a jego zakrwawione ciało zwiotczało w ramionach brata.

Will Race usłyszał za swoimi plecami cichy, bulgoczący dźwięk.

Odwrócił się - dwa metry dalej leżał Frank Nash. Jego brzuch również był poszarpany kulami. Pluł krwią, dusił się nią.

Nagle Race dostrzegł za Nashem jakiś ruch.

To pierwszy zaciekawiony tubylec wyszedł powoli spomiędzy drzew.

- Profesorze! - zawołał cicho Doogie, stojący we wjazdzie transportera. - Eee... chyba dobrze by było stąd wiać.

Z lasu wychodzili kolejni tubylcy. Byli uzbrojeni w pałki, dzidy i siekiery -

i wyglądali na rozwścieczonych.

Race powoli opuścił ciało Marty'ego na ziemię, po czym wstał i powoli - bardzo powoli - zaczął iść w kierunku transportera.

Tubylcy nie zwracali na niego uwagi.

Interesował ich tylko człowiek, leżący na środku ulicy i dławiący się własną krwią - Nash.

Po chwili z dzikim wrzaskiem skoczyli w jego kierunku i opadli go jak stado piranii. Nash natychmiast zniknął obserwatorom z oczu - widać było jedynie kłębiących się wokół pułkownika-mordercy oliwkowoskórych tubylców, walących go z całej siły pałkami, dzidami i siekierami - i nagle przez tumult przebił się straszliwy wrzask - pełen tak panicznego strachu, że mógł wydobyć się z gardła tylko jednego człowieka.

To krzyczał Frank Nash.

Race zatrzasnął za sobą klapę wjazdu i popatrzył na trzy twarze przed sobą.

- No cóż, wygląda na to, że musimy jeszcze raz zabrać się do roboty - oświadczył.
- Musimy zatrzymać tych frajerów, zanim dowiozą Idola do Supernowej.

- Ale jak? - spytał Doogie.

- Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, dokąd go wiozą.

Pędzili wąskimi tunelami quenko z taką prędkością, jakby ich poranione ciała nagle nauczyły się fruwać.

Mieli jedynie dwa pistolety SiG-Sauer i karabinek MP-5, który Doogie znalazł w górnej wsi. Do tego dochodził mundur bojowy Doogiego i kamizelka, którą miał Race. To było wszystko.

Liczyło się jednak tylko to, by dotrzeć do pierwszego celu.

Do wodospadu.

Tam stał ukryty przy brzegu goose.

Po dziesięciu minutach biegu dotarli do wodospadu na końcu quenko. Kolejne cztery minuty i byli przy wodolocie - w miejscu, gdzie zostawili go Race, Doogie i Van Lewen: pod zwisającymi gałęziami rosnących nad samym brzegiem drzew. Race z ulgą stwierdził, że Uli jest w środku i ciągle śpi.

Po kolejnych czterech minutach maleńki samolocik był znów na wodzie i pędził po brązowej powierzchni rzeki. Kiedy przyspieszył do prędkości startowej, uniósł się nad wodę i pomknął w niebo.

Doogie natychmiast skręcił na południe - w kierunku, w którym oddaliły się teksaskie black hawki.

Po mniej więcej dziesięciu minutach lotu dostrzegli je - osiem ciemnych plamek na horyzoncie. Odbijały w prawo, na południowy zachód, by przelecieć nad górami.

- Lecą do Cuzco - powiedział Doogie.
- Nie zgub ich.

Godzinę później osiem helikopterów wylądowało na prywatnym lotnisku tuż pod Cuzco.

Na zakurzonym ziemnym pasie czekał na nich ogromny transportowiec An-22.

Dzięki czterem potężnym silnikom ze śmigłami i szerokiej rampie załadunkowej z tyłu Antonow An-22 od dawna był jednym z najbardziej niezawodnych środków transportu czołgów w byłym Związku Radzieckim. Był także cennym towarem eksportowym i sprzedawano go do krajów, których nie było stać na amerykańskie samoloty transportowe - albo którym nie wolno było ich sprzedawać.

Po zakończeniu zimnej wojny i załamaniu się rosyjskiej gospodarki wiele An-22 trafiło na czarny rynek. Podczas gdy gwiazdy kina i zawodowi golfiści kupowali lear jety po trzydzieści milionów dolarów, organizacje paramilitarne mogły kupić używanego antonowa za niewiele ponad dwanaście milionów.

Earl Bittiker i Troy Copeland wyskoczyli z helikoptera i podeszli do rampy załadunkowej transportowca.

Kiedy tam dotarli, Bittiker zajął do gigantycznej ładowni i popatrzył na stojący w nim pojazd.

Ciężki czołg M-1A1 Abrams.

Budził respekt - emanowała z niego brutalna, niepojęta siła. Pomalowane na czarno, kompozytowe opancerzenie połyskiwało światło, monstrualnie szerokie gąsienice zajmowały ogromną przestrzeń.

Terrorysta przez chwilę przyglądał się imponującej, trapezoidalnej wieżycze. Długa lufa stopięćmilimetrowej armaty była skierowana do przodu - uniesiona pod kątem trzydziestu stopni, wyglądała bardzo groźnie i zdecydowanie.

Bittiker patrzył na abramsa z chłodną satysfakcją. Idealnie nadawał się do ukrycia i przewozu Supernowej. Twierdza nie do zdobycia.

Podał Idola jednemu z techników i niski człowieczek wszedł do wnętrza samolotu, a potem pospieszył w kierunku czołgu.

- Panowie - powiedział Bittiker do mikrofonu, by mogli go usłyszeć ludzie w pozostałych helikopterach - dziękuję za wierną służbę. Do zobaczenia w następnym życiu.

Odłożył mikrofon i wyjął telefon komórkowy. Wystukał numer Blueya Jamesa.

Kiedy telefon w mieszkaniu Jamesa zadzwonił, urządzenie do śledzenia rozmów, zamontowane przez FBI, rozświetliło się jak bożonarodzeniowa choinka.

Demonaco założył słuchawki i skinął Blueyowi głową.

Bluey podniósł słuchawkę.

- He?
- Bluey, tu Bittiker. Mamy tyr. Wysyłaj wiadomość.
- Załatwione, Earl.

Bittiker rozłączył się i ruszył rampą do wnętrza transportowca. Copeland szedł za nim. Była godzina 11.13

- Jezu, wystartowali! - wykrzyknął Doogie, wskazując na wielki transportowiec, unoszący się nad ziemię.

- Popatrz, jakie to ma gabaryty... - mruknęła z podziwem Renee.

- Chyba właśnie się dowiedzieliśmy, gdzie trzymają swoją Supernową - powiedział Race.

Antonow wznosił się w niebo, jego rozpostarte szeroko skrzydła błyszczały w porannym słońcu.

We wnętrzu przypominającego grobowiec czołgu pracowali dwaj technicy Bojowników Wolności. Pochyleni nad próżniową komorą roboczą, wycinali laserem w podstawie tyrowego Idola niewielki cylinder.

Za technikami stała Supernowa, zajmując niemal całą przestrzeń wewnątrz czołgu - Supernowa, która jeszcze przedwczoraj znajdowała się w szczelnym jak skarbiec laboratorium w kwaterze głównej DARPA.

Kiedy technicy skończyli wycinać cylindryczny fragment tyru, posługując się dwoma superkomputerami IBM, stojącymi w ładowni samolotu, poddali go działaniu fal alfa, oczyścili za pomocą gazu obojętnego i wzbogacili w protony, zamieniając wycięty kawałek w masę subkrytyczną.

- Ile to jeszcze potrwa? - spytał nagle ktoś za ich plecami. Technicy podnieśli głowy i ujrzeni Earla Bittikera, zaglądnącego do wnętrza czołgu przez górny właz.

- Jeszcze piętnaście minut.

Bittiker popatrzył na zegarek.

Była 11.28

- Zadzwońcie natychmiast, jak skończycie.

Race przyglądał się wielkiemu samolotowi transportowemu nad ich głowami.

- Doogie, jak otwiera się w czymś takim rampę załadunkową?

Młody żołnierz zmarszczył czoło.

- Są dwa sposoby. Albo wciska się klawisz na konsolce wewnątrz przedziału bagażowego, albo używa się konsoly zewnętrznej.

- Co to jest?

- Kilka przycisków, schowanych na ścianie przedziału bagażowego albo na zewnątrz kadłuba. Panele są zazwyczaj umieszczone - patrząc w kierunku dziobu -

z lewej strony kadłuba i osłonięte przykrywką od wiatru.

- Czy potrzebny jest jakiś kod, żeby otworzyć taką zewnętrzną przykrywkę?

- Nie. Przecież nikt nie będzie korzystał z panelu w powietrzu, prawda? - Doogie odwrócił się do Race'a i nagle jego oczy szeroko się otworzyły. - O, nie... pan żartuje.

- Musimy zdobyć Idola, zanim wsadzą go do Supernowej. Proste.

- Ale jak?

- Zaleć ich od tyłu i trzymaj się tuż pod nimi, żeby nas nie zauważyli. Potem delikatnie się podniesiesz.

- Co pan planuje?

Race popatrzył na grupkę wymęczonych ludzi, siedzących w samolocie. Doogie - dwa postrzały, jeden w nogę, drugi w ramię; Renee - rana barku; Gaby - jeszcze w szoku po ostatnich wydarzeniach; Uli - w ogóle poza konkursem.

- Co planuję? Zamierzam uratować świat - odparł z prychnięciem. Wstał i wziął MP-5, jedyny pistolet maszynowy, jakim dysponowali. - No dobra. Do góry!

Dwa samoloty cięły poranne powietrze.

Antonow leciał na wysokości mniej więcej trzech tysięcy trzystu metrów, z niewielką jak na niego prędkością około trzystu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, i stale się wznosił.

Był tak wielki, że jego piloci nie byli w stanie zauważyć zbliżającej się do niego od spodu małej maszyny.

Kiedy maleńki goose osiągnął maksymalną prędkość czterystu kilometrów na godzinę, jego płaty zaczęły trząść się gwałtownie. Doogie musiał trzymać drążek z całej siły, by utrzymać równy lot.

Nie wyglądało to dobrze. Maksymalny pułap goose'a wynosił sześć tysięcy pięćset metrów i gdyby An-22 dalej się wznosił, wkrótce stałby się nieosiągalny dla wodolociku.

Goose zbliżał się powoli do potężnego kadłuba, dwie maszyny tworzyły przedziwny napowietrzny balet - można by mu nadać tytuł wróbel ścigający albatrosa. Powoli - bardzo powoli - mały samolocik wleciał za antonowa i umieścił dziób za jego zadem.

Zaraz potem kłapa włazu na nosie goose'a się otworzyła i pojawiła się w nim górna połowa małej ludzkiej postaci.

Uderzenie wiatru, który zaatakował Race'a, gdy wystawił głowę z włazu, było potężne.

Wiatr walił w niego z siłą lokomotywy, szarpał całym jego ciałem. Gdyby Race nie miał na sobie kevlarowej kamizelki, natychmiast straciłby oddech.

Tył kadłuba antonowa wznosił się stromo wysoko nad jego głową. Transportowiec był oddalony od goose'a o jakieś pięć metrów.

Jezu, ale wielki... - pomyślał Race.

Patrzył na ogon największego ptaka na świecie.

Nieopatrznie spojrział w stronę ziemi.

O żesz w mordę...

Ziemia była bardzo daleko - bardzo. W dole pod Race'em przewijała się mozaika sfalowanych wzgórz i pól, a dalej na wschód - przed obydwoma samolotami - zaczynało się nieskończone morze lasu.

Nie myśl o spadaniu! - krzyknął w nim jakiś głos. Skoncentruj się na tym, co masz zrobić!

Oczywiście.

Musiał zrobić to szybko - póki miał czym oddychać i zanim samoloty wzniosą się na tyle, że rozrzedzone powietrze i zimno (dodatkowo zwiększane wiatrem) sprawia, że zamarznie na śmierć.

Pomachał Doogiemu, by jeszcze trochę zbliżył się do wielkiego transportowca.

Goose przesunął się do przodu.

Dwa i pół metra.

Earl Bittiker i Troy Copeland siedzieli w kokpicie antonowa, nieświadomi tego, co dzieje się pod kadłubem ich samolotu. Zahuczał telefon, wiszący na ścianie obok Bittikera.

- Słucham?

- Generale - powiedział głos jednego z techników uzbrajających Supernową. - Umieściliśmy tyr w urządzeniu. Wszystko gotowe.

- Dobrze. Już schodzę.

Goose był półtora metra od antonowa - pięć tysięcy metrów nad ziemią, ale ciągle jeszcze się wznosili.

Race stał w otwartym włazie, wystawał mu z niego cały tułów. Rampę załadunkową miał tuż przed sobą. Była zamknięta, a to, że w ogóle istnieje, zdradzały jedynie cienkie linie, zakreślające prostokąt pod ogonem maszyny.

Race wypatrzył po lewej stronie mały panel, wpuszczony płasko w kadłub.

Machnął Doogiemu, by jeszcze bardziej przybliżył samolot do kadłuba antonowa.

Bittiker przed zejściem z mieszczącego się na górze przedziału pasażerskiego rozejrzał się po ładowni z małego metalowego pomostu. W dole widział gargantuiczny czołg, którego potężna lufa wskazywała prosto na niego.

Spojrzał na zegarek.

Była 11.48. Wideodysk został rozpowszechniony dobre pół godziny temu. Świat

musiał panikować. Dzień Sądu Ostatecznego wreszcie nadszedł.

Zsunął się po drabince z poręczami na wieżyczkę czołgu.

Wszedł do wnętrza abramska i popatrzył na Supernową - dwie głowice termojądrowe znajdowały się na swoich miejscach, cylinder tyru wisiał w umieszczonej pomiędzy nimi komorze próżniowej.

Bittiker skinął głową z zadowoleniem.

- Rozpocząć sekwencję detonacji - powiedział.

- Tak jest, generale - odparł jeden z techników i skoczył do leżącego przed Supernową laptopa.

- Ustaw na dwanaście minut.

Technik zrobił, co mu kazano, i po kilku sekundach pojawił się ekran informujący o odliczaniu.

MASZ 00:12.00 MINUT DO WPISANIA KODU ROZBRAJAJĄCEGO WPISZ KOD ROZBRAJAJĄCY TUTAJ

Technik wcisnął klawisz ENTER i zegar zaczął odliczać sekundy. Bittiker wyjął telefon komórkowy i ponownie zadzwonił do Blueya Jamesa.

Urządzenie do śledzenia rozmów w mieszkaniu Blueya znów rozbłysło jak choinka bożonarodzeniowa. Bluey podniósł słuchawkę.

- He?

- Wiadomość wyszła?

- Wyszła, Earl - skłamał Bluey, patrząc w oczy Demonaco.

- Na ulicach wybuchła panika?

- Nie uwierzyłybyś, jaka.

Goose przysunął się do tyłu antonowa. Oba samoloty oddziaływało teraz nieco ponad pół metra.

Race walczył z szarpiącym nim, smagającym go wiatrem - jedną ręką trzymał klapkę wjazdu, a drugą wyciągał w kierunku panelu.

Był jeszcze za daleko. Doogie znowu trochę przysunął samolot, najbliżej jak tylko mógł, i...

...Race złapał za panel. Otworzył zasłaniającą go klapkę. W środku były dwa przyciski - czerwony i zielony. Nie zastanawiając się, Race wałnął pięścią w zielony.

Rampa zaczęła się opuszczać z przeraźliwym warkotem - prosto na dziób goose'a.

Reagując szybko jak kot, Doogie natychmiast odbił od kadłuba antonowa - o mało nie wyrzucając przy tym Race'a na zewnątrz. Na szczęście Race mocno się trzymał i stał dalej w otwartym wlocie, podczas gdy Doogie odsuwał samolocik od otwierającej się jak wielka paszcza ładowni.

Samoloty leciały nadal razem, jakby były połączone niewidoczną linią - niecały metr od siebie. Właśnie doszli do pułapu sześciu tysięcy metrów.

Kiedy rampa całkiem się otworzyła, mała ludzka postać - nie zwracając uwagi na wysokość, na jakiej się znajdowali - wyszła na dziób goose'a, po czym skoczyła do przodu, prosto do otwartego przedziału ładunkowego.

Race wylądował jak żaba na stalowej podłodze, waląc w nią twarzą.

Wbił się w nią palcami, by pęd powietrza nie wyssał go na zewnątrz, i centymetr po centymetrze, leżąc płasko na brzuchu, pełzył, walcząc z ryczącym wichrem.

Gdzie też człowieka może w życiu zanieść...

Kiedy nieco uniósł głowę, ujrzał czołg, stojący dumnie pośrodku wielkiej ładowni. Wicher porywał wszystko, co nie było przykręcone, a wszędzie wokół migały czerwone lampy i histerycznie wyl alarm. Bez wątpienia wszyscy na pokładzie już wiedzieli, że ktoś niepowołany otworzył rampę załadunkową.

Earl Bittiker usłyszał szum wdzierającego się do ładowni wiatru, gdy rampa otworzyła się na dwadzieścia centymetrów. Zaraz potem zawyły syreny alarmowe.

Przywódca terrorystów odwrócił się na pięcie - ciągle jeszcze z telefonem komórkowym przy uchu.

- Co to, kurwa, ma być?! - wrzasnął.

Natychmiast zaczął wspinać się po drabince, prowadzącej na zewnątrz.

Race wstał, zdjął z ramienia MP-5 i zaczął iść wąskim przejściem między czołgiem a ścianą ładowni.

Nagle po jego lewej stronie z wieżyczki czołgu wychynęła czyjaś głowa.

- Nie ruszaj się! - krzyknął i skierował na nią broń. Mężczyzna zamarł.

Race od razu go rozpoznał.

Miał przed sobą człowieka, który w Vilcafor zabrał Frankowi Nashowi Idola - przywódcę terrorystów.

Mężczyzna trzymał przy uchu telefon komórkowy.

- Zejdź stamtąd! - zawołał Race.

Ale Bittiker nadal stał nieruchomo, wbijając w Race'a wzrok. Ze zdumieniem wpatrywał się w okularnika w dzinsach i brudnym podkoszulku, zniszczonej bejsbolówce na głowie i kevlarowej kamizelce, trzymającego w rękach MP-5 i wydającego mu rozkazy.

Popatrzył na otwartą rampę załadunkową za plecami Race'a i zobaczył unoszącego się jakieś dwadzieścia metrów za antonowem goose'a, próbującego dotrzymać kroku wznoszącemu się coraz wyżej transportowcowi.

Powoli zszedł z wieżyczki i stanął przed Race'em.

- Dawaj ten cholerny telefon! - krzyknął Race i wyrwał aparat z rąk terrorysty. -

Z kim rozmawiasz? - Przytknął aparat do ucha. - Z kim mówię? - spytał.

- Z kim gadasz...? - odpowiedział mu jakiś obrzydliwy głos. - Lepszym pytaniem będzie, z kim ja, kurwa, gadam!

- Nazywam się William Race i jestem amerykańskim obywatelem. Zawieziono mnie do Peru, bym pomógł oddziałowi Sił Lądowych w poszukiwaniach posążka z tyru... jego fragment właśnie umieszczono w Supernowej.

Na drugim końcu linii zrobiło się zamieszanie.

- Panie Race - powiedział jakiś inny głos. - Nazywam się Demonaco i jestem agentem specjalnym FBI. Prowadzę dochodzenie w sprawie kradzieży Supernowej z laboratorium DAR...

- Nie zatrzymasz tego - powiedział Bittiker z ciężkim teksaskim akcentem. Zabrzmiało to jak „nie zatrzymasz tego...”.

- Dlaczego nie? - spytał Race.

- Bo nawet ja nie wiem, jak rozbroić to urządzenie. Moi ludzie też wiedzieli jedynie, jak je uzbroić. Dzięki temu po włączeniu odliczania nikt nie może go wyłączyć.

- Nikt nie zna kodu rozbijającego?

- Nikt... może poza pewnym pierdolonym naukowcem z Princeton, który robił dla DARPA, ale on chyba nie pomoże nam w tej chwili, prawda?

Race zagryzł ze złości wargę.

Syreny ciągle wyły. W każdej chwili mogą pojawić się następni teksańczycy, by sprawdzić...

RA TA TAT TAT!

Nie wiadomo skąd poleciały kule i załomotały w pokład wokół Race'a, wznosząc snopy iskier. Race zanurkował w bok, przetoczył się po pokładzie, obracając się, wsadził telefon do tylnej kieszeni i podniósł głowę.

Na pomoście, biegnącym wzdłuż ściany ładowni na tyle wysoko, że całą ją było stamtąd widać, stał Troy Copeland z dwoma teksańczykami. Cała trójka waliła do Race'a z pistoletów calico.

Bittiker dostrzegł swoją szansę i kucnął za czołgiem, znikając Race'owi z oczu.

Race przycisnął plecy do bocznej ściany wielkiego czołgu, przynajmniej na chwilę schodząc z linii ognia.

Ciężko oddychał, serce głośno waliło mu w głowie.

I co teraz zrobisz, Will?

Nagle usłyszał swoje nazwisko.

- To pan, profesorze Race? - zawołał Copeland. - Jezu, ale z pana uparty skurwiel!

- To lepsze, niż być kompletnym dupkiem - mruknął Race pod nosem, wystawił

karabin nad osłonę czołgu i puścił krótką serię do Copelanda i stojących obok niego terrorystów. Pociski minęły ich o kilometry.

Cholera jasna. Co teraz? Nie przewidział takiej sytuacji.

Supernowa - powiedział w jego głowie jakiś głos.

Rozbrój ją! Na tym polega twoje zadanie!

No cóż, w końcu jedną już rozbroił.

Skoczył na nogi, pociągnął za spust i puścił wściekłą serię w kierunku pomostu. Zaraz potem zaczął się wspinać na czołg. Po chwili był na wieżycy i wskoczył do brzucha wielkiej stalowej bestii.

Patrzyli na niego dwaj kompletnie zaskoczeni technicy.

- Wynocha! Natychmiast! - wrzasnął, celując do nich z MP-5.

Technicy wspięli się po drabinie z prędkością małp, wyskoczyli na zewnątrz i zatrzasnęli za sobą właz. Race zarygłował go.

Był sam w przedziale dowodzenia.

Sam z Supernową.

Wyglądało to na jakieś koszmarne deja vu.

Poczuł w tylnej kieszeni ucisk telefonu i szybko wyciągnął aparat.

- Człowieku z FBI, jesteś tam? - zapytał.

John-Paul Demonaco natychmiast skoczył do mikrofonu.

- Jestem, panie Race.

- Chwileczkę... mówił pan, że jak się nazywa?

- Zaraz będziemy mieć określenie miejsca pochodzenia rozmowy - powiedział jeden z techników. - Co to ma, do cholery... z danych wynika, że są gdzieś w Peru... ponad sześć kilometrów nad ziemią...

- Nazywam się Demonaco. Agent specjalny John-Paul Demonaco. Proszę mnie uważnie posłuchać, panie Race. Gdziekolwiek pan się znajduje, musi pan stamtąd uciekać. Ludzie, wśród których się pan znalazł, są bardzo niebezpieczni.

Bez jaj, Sherlock...

- Uhu... - odpowiedział agentowi głos Race'a.

- Obawiam się, że nie mam żadnej możliwości ucieczki - powiedział Race do telefonu.

Mówiąc to, patrzył na zegar Supernowej.

00.02:01

00.02:00

00.01:59

- Chyba sobie żarty ze mnie stroicie... - jęknął. - To nie fair...

- PROFESORZE RACE, NIECH PAN NATYCHMIAST WYJDZIE Z CZOŁGU! - zadudnił z głośników w ładowni głos Copelanda.

Race wyjrzał przez wizjer strzelca pokładowego. Fizyk stał na pomoście, w przedniej części wielkiego pomieszczenia, i mówił do mikrofonu.

Wokół w dalszym ciągu szalał wicher. Rampa załadunkowa nadal była otwarta.

Race rozejrzał się po wnętrzu ogromnego czołgu.

Supernowa zajmowała cały środek przedziału dowodzenia. Nad głową miał klapę wjazdu wieżyczki, z przodu kontrolki odpalania stuściomilimetrowego działa, poniżej - jakby zagłębione w podłodze, na samym środku przedniej części czołgu - znajdowało się obite skórą siedzenie, a obok niego drążek sterowniczy.

W położeniu kontrolek sterowania ruchem czołgu było jednak coś dziwnego, a oparcie siedzenia kierowcy niemal dotykało sufitu.

Nagle Race zrozumiał.

W takim czołgu jak ten kierowca jechał, wystawiając głowę na zewnątrz.

Race poczuł lód na kręgosłupie.

Z przodu musiał być jeszcze jeden wjazd!

Zanurkował na fotel kierowcy i podniósł głowę. Nie mylił się - na górze było drugie wejście. Otwarte.

Przy wjeździe stał Earl Bittiker i celował z calico prosto w głowę Race'a.

- Kim ty, do jasnej cholery, jesteś? - spytał.

- Nazywam się William Race - odparł Race, patrząc na terrorystę. Myśli kłębiły mu się w głowie, rozpaczliwie szukał jakiejś możliwości ucieczki.

Chwileczkę, jest chyba pewna możliwość...

- Jestem profesorem, wykładowcą języków starożytnych na Uniwersytecie Nowojorskim - dodał szybko, próbując zająć czymś Bittikera.

- Profesorem? - Bittiker splunął. - Niech mnie jasna cholera... Race miał nadzieję, że z miejsca, w którym terrorysta stoi, nie można dostrzec jego rąk i nie widać, jak nerwowo macają pod konsolę.

- Powiedz mi, cwaniaczku, co zamierzałeś osiągnąć, zjawiając się tutaj?

- Sądziłem, że uda mi się rozbroić Supernową - odparł Race. - No wie pan... chciałem uratować świat.

Przez cały czas macał pod konsolę. Cholera jasna, to musi gdzieś tu być...

- Naprawdę myślałeś, że uda ci się rozbroić bombę?

- Jes!!

Popatrzył twardo na Bittikera.

- Będę próbował rozbroić tę bombę - nawet jeśli zostanie mi jeszcze tylko sekunda.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Ponieważ już raz to zrobiłem.

W tym momencie mocno nacisnął kciukiem otoczony gumą przycisk, który znalazł pod konsoleą - przycisk, znajdujący się w każdym amerykańskim pojeździe bojowym.

WRRRUMMM

Potężny silnik abramsa marki Avco-Lyoming natychmiast ożył, łoskot odbił się głośnym echem po całej ładowni.

Gwałtowne drgnięcie czołgu wytrąciło Bittikera z równowagi. Stojący wysoko na pomoście Copeland popatrzył zaskoczony w dół.

Race szukał czegoś, co pozwoliłoby mu...

Nagle jego wzrok padł na drążek kierowniczy. Był on wyposażony w przycisk z napisem ARMATA.

O, tak. To będzie idealne.

Złapał drążek i pomodlił się, by w armacie był pocisk.

Był.

Huk eksplozji stuściomilimetrowej armaty we wnętrzu ładowni antonowa był prawdopodobnie najgłośniejszym odgłosem, jaki Race słyszał w życiu.

Cały transportowiec zadrżał.

Wielki pocisk przeleciał przez samolot jak meteor. Najpierw - z niemal chirurgiczną precyzją - ściał głowę Troyowi Copelandowi. Odbyło się to tak szybko, że pozbawione głowy ciało stało jeszcze przez sekundę w pionie.

Pocisk leciał dalej.

Przemknął przez stalową ścianę za plecami Copelanda, wpadł do przedziału pasażerskiego, przeleciał prosto przez klatkę piersiową pilota i wyprysnął przez przednią szybę samolotu, rozpryskując na niebie chmurę okruchów szkła.

Straciwszy pilota, An-22 zaczął zmieniać kierunek lotu, opuszczając jednocześnie dziób do nurkowania.

W ładowni wszystko gwałtownie się przechyliło. Race natychmiast zrozumiał, co za chwilę stanie się z samolotem.

„Będę próbował rozbrajać tę bombę - nawet jeśli zostanie mi jeszcze tylko sekunda”.

Bittiker stał na korpusie czołgu, wciąż trzymając pistolet w ręku, ale impet strzału sprawił, że o mało się nie przewrócił.

Race zaczął przerzucać biegi, aż znalazł pozycję, której szukał.

Wbił stopę w pedał gazu.

Czołg od razu zareagował - gąsienice natychmiast zaczęły się przesuwac - i stalowa bestia skoczyła jak samochód wyścigowy. Nie do przodu jednak - ale wstecz. Abrams w sekundę dotarł do rampy, przechylił się za jej krawędź i zaczął spadać.

Potężny czołg leciał w dół.

Szybko. Naprawdę szybko.

Ledwie oddzielił się od transportowca, samolot zwałił się dziobem w dół i eksplodował w gigantycznej, drgającej kuli ognia.

Abrams spadał tyłem, przecinając powietrze niczym kowadło - sześćdziesięciosiedmiotonne kowadło.

Race miał poważne kłopoty.

Wszystko było obrócone o dziewięćdziesiąt stopni, a tarcie powietrza o kadłub czołgu powodowało, że maszyna gwałtownie dygotała.

Race leżał rozkraczony pośrodku przedziału dowodzenia - tam gdzie rzuciło go w chwili, gdy ruszył czołgiem do tyłu. Obok niego leżała Supernowa, wbita między podłogę a sufit.

Jej zegar nadal odliczał.

00.00:21

00.00:20

00.00:19

Dziewiętnaście sekund.

Mniej więcej tyle samo czasu zostało Race'owi do uderzenia w ziemię.

Kurwa mać!

Albo Supernowa wybuchnie i zginie wraz z resztą świata, albo ją rozbroi i zginie sam, kiedy czołg uderzy o ziemię.

Innymi słowy, mógł poświęcić własne życie, aby uratować świat.

Znowu!

Pieprzyć to! Jak coś takiego może się komuś zdarzyć dwa razy w ciągu dwóch dni?!

Popatrzył na ekran komputera.

MASZ 00:00.16 MINUT DO WPISANIA KODU ROZBRAJAJĄCEGO WPISZ KOD ROZBRAJAJĄCY TUTAJ

Szesnaście sekund...

Czołg mknął z rykiem w dół.

Race z rozpaczą popatrzył na nieubłagany zegar.

Nagle, kątem oka, ujrzał jakiś ruch. Poderwał głowę w górę - przez właz gramolił się do środka Earl Bittiker, z calico w dłoni.

O żesz...

00.00:15

Zapomnij o nim!

Myśl!

Myśleć? Jezu, jak można myśleć w pędzącym w kierunku ziemi

z nieprawdopodobną szybkością czołgu, do którego na dodatek chce wleźć gość z pistoletem?!

00.00:14

Spróbował oczyścić umysł.

No dobra - poprzednim razem wiedział, że kod rozbrajający ustalił Weber. Tym razem nie wiedział, kto go ułożył, ponieważ nie miał pojęcia, kto zaprojektował układ zapłonowy urządzenia.

00.00:13

„Układ zapłonowy...”.

Tak brzmiały ostatnie słowa Marty’ego, które wypowiedział, leżąc w ramionach brata.

00.00:12

Abrams osiągnął taką prędkość, że powietrze wokół niego zaczęło wyc.

Bittiker wleź już do połowy do środka i strzelił do Race’a.

Race uskokczył w bok, schował się za Supernową i wyciągnął telefon z kieszeni.

Wokół niego załomotały kule.

- Demonaco! - wrzasnął do mikrofonu.

- Co jest, profesorze?

- Kto zaprojektował układ zapłonowy Supernowej marynarki?

W odległości pięciu tysięcy kilometrów od Race’a John-Paul Demonaco złapał leżącą obok niego kartkę papieru. Była to lista RACE, Martin E. Inżynier, projektant DARPA Dz3279-97A systemów zapłonowych członków zespołu Marynarka-DARPA, pracującego nad Supernową.

Skoncentrował wzrok na jednej linijce.

- Niejaki Race. Martin Race! - wrzasnął do telefonu.

Marty...

00.00:11

Marty zaprojektował układ zapłonowy. To właśnie próbował powiedzieć mu przed śmiercią.

A więc to Marty ustalił kod rozbrajający.

00.00:10

Ośmiocyfrowy kod liczbowy.

Bittiker był już wewnątrz czołgu.

Jakiego kodu Marty mógł użyć?

00.00:09

Czołg dalej spadał, pokonując na sekundę trzysta metrów.

Bittiker znowu podniósł pistolet.

Jakiego kodu Marty zawsze używał?

00.00:08

Daty urodzin? Innej ważnej daty?

Nie. Nie Marty.

Jeśli miał coś, co wymagało kodu numerycznego - kartę bankomatową albo kod PIN - zawsze używał tego samego numeru.

Seryjnego numeru wojskowego Elvisa Presleya.

00.00:07

Bittiker wycelował.

Jezu, jak on brzmiał?!

Miał go na końcu języka...

00.00:06

Race schował się za Supernową - Bittiker nie odważyłby się w nią strzelić - i stanął przed urządzeniem uzbrajającym.

Jezu, jak brzmiał ten numer?

533...

Myśl, Will, myśl!

00.00:05

5331.....07.....61... 53310761! Tak jest!

Race zaczął wciskać klawisze, wpisał 53310761, po czym wbił palec w ENTER. Ekran zapiszczał.

KOD ROZBRAJAJĄCY WPISANY ODLICZANIE DETONACJI
PRZERWANE NA 00:00.04 MINUT DO EKSPLOZJI

Race nie miał jednak czasu na to patrzeć.

Odpełził szybko od Bittikera - zasłonięty rozbrojoną Supernową - i dotarł do krótkiej drabinki, prowadzącej do wjazdu wieżyczki.

Nie miał pojęcia, czym to się skończy. Kierował nim irracjonalny odruch: może jeśli w chwili zderzenia się czołgu z ziemią znajdzie się na zewnątrz, będzie miał większą szansę je przeżyć.

Na pewno nie zostało do niego zbyt wiele czasu.

Pełznąąc po poziomej teraz drabince, zobaczył Idola i wsadził go pod pachę.

Dotarł do kłapy wjazdu i pchnął go. Wiatr z takim impetem uderzył go w twarz, że niemal oślepl.

Trzymając się kadłuba abramska, kopnął za sobą klapę, zamykając Bittikera w środku - dokładnie w chwili, gdy o metal wjazdu załomotały pociski.

Spojrzał w dół.

Zielona ściana lasu pędziła na niego z nieprawdopodobną prędkością.

Czołg spadał, wyjąc.

Dwie sekundy do uderzenia w ziemię, która była tuż pod nim.

Jedna sekunda.

William Race zamknął oczy i pomyślał o Bogu.

W tym momencie stało się. Czołg grzmotnął o ziemię.

Siła uderzenia wielkiej maszyny o ziemię była niewyobrażalna - mogło się wydawać, że cały świat zadrżał w posadach. Ogromny Abrams w milisekundę spłaszczył się i wybuchł, a fragmenty grubych blach pomknęły we wszystkie strony.

W chwili zderzenia Earl Bittiker znajdował się w środku czołgu. Gdy stalowa sześćdziesięciotonowa masa wbiła się w ziemię, ściany błyskawicznie zamknęły się wokół niego, jego ciało zostało przeszyte tysiącem poszarpanych kawałów metalu i natychmiast potem zmiżdżone. Umierając, Earl Bittiker wyrzaskiwał z siebie płuca.

Kiedy czołg uderzył w ziemię, Williama Race'a w nim nie było.

Na sekundę przed uderzeniem Abramsa o ziemię - jakieś trzydzieści metrów nad nią - Race poczuł, że dzieje się z nim coś przedziwnego.

Usłyszał tuż za swoimi plecami odgłos, przypominający nieco huk, towarzyszący przekraczaniu przez samolot bariery dźwięku, po czym jakaś potężna siła szarpnęła go nagle w górę.

Szarpięcie nie było brutalne - choć silne, było gładkie, jakby pociągnęła go ku niebu niewidzialna elastyczna taśma.

Kiedy czołg - wraz z Bittikerem - zderzył się z ziemią, zamieniając się w wielką kulę ognia, Race unosił się ponad dziesięć metrów nad nim - cały i zdrow.

Spojrzał przez ramię i zrozumiał, co się stało.

Z dolnych rogów trójkąta, jaki tworzyło wybrzuszenie z tyłu jego niezwyklej kevlarowej kamizelki, wystrzeliwały dwa strumienie białego gazu.

Nie mógł wiedzieć, że kamizelka, którą dostał od Ulego, była w rzeczywistości plecakiem odrzutowym J-7, rewolucyjną konstrukcją, zaprojektowaną przez DARPA we współpracy z Siłami Lądowymi Stanów Zjednoczonych i 82. Dywizją Powietrzno-Desantową.

W odróżnieniu od dotychczas stosowanych spadochronów typu MC1-1B, przy których użyciu zrzucający żołnierz był przynajmniej przez kilka minut widoczny dla wroga, plecaki odrzutowe włączały się dopiero na wysokości trzydziestu metrów nad ziemią, zatrzymując wyposażoną w niego osobę w miejscu i pozwalając jej powoli opaść.

Podobnie jak spadochrony, J-7 były wyposażone w automatyczne wyzwalacze wysokościowe - urządzenia gwarantujące samoczynne włączenie się, gdyby właściciel zapomniał je uruchomić. Tak jak Race.

Race nie mógł wiedzieć, że kiedy dwudziestego piątego grudnia 1997 roku z jadącej Baltimore Beltway ciężarówce DARPA żołnierze szturmowców zrabowali

czterdzieści osiem granatów chlorowych, skradli także szesnaście plecaków J-7.

Powoli, łagodnie plecak opuszczał się na ziemię.

Kiedy Race przelatywał przez gęste listowie drzew, pozwolił ciału rozluźnić się.

Kilka sekund później jego stopy dotknęły ziemi i padł na kolana.

Rozejrzał się wokół, zastanawiając się, jak się stąd wydostać.

Po chwili uznał, że nie powinien się czymkolwiek martwić. Właśnie rozbroił Supernową, spadając z wysokości ponad sześciu tysięcy metrów w sześćdziesięciosiedmotonowym czołgu.

Nie - nie będzie się niczym przejmował.

Rozwiązanie jego problemu pojawiło się bardzo szybko - w postaci samolociku, lecącego nisko nad drzewami. Z okna pilota pomachała mu radośnie czyjaś ręka.

Doogie i goose.

Wspaniale.

Pół godziny później, dzięki znajdującemu się niedaleko pasowi wolnej przestrzeni, Race był już na pokładzie goose'a i wraz z pozostałymi towarzyszami niedoli pędził wysoko nad lasem deszczowym.

Oparł głowę o szybę kokpitu i wyglądał na zewnątrz niewidzącym wzrokiem. Był zupełnie wykończony.

- Wie pan, co myślę, profesorze? - odezwał się siedzący obok niego Doogie. - Chyba czas spadać z tego przeklętego kraju. Co pan o tym sądzi?

Race odwrócił się do niego.

- Nie, Doogie, jeszcze nie czas. Zanim odlecimy, musimy zrobić jeszcze jedną rzecz.

SIÓDMA INTRYGA

ŚRODA, 6 STYCZNIA, GODZINA 17.30

Goose dotknął wody rzeki na wysokości Vilcafor tuż przed zachodem słońca, szóstego stycznia 1999 roku.

Po nasmarowaniu się małpim moczem Race i Renee ruszyli do górnej wioski. Zostawili nieprzytomnego Niemca i Doogiego wraz z Gaby Lopez w samolocie, by mogła opatrzyć liczne rany młodego żołnierza.

Kiedy szli przez Vilcafor, Race zauważył, że na ulicach nie ma ciał.

Choć przed niewiloma godzinami zginęło tu kilkunastu komandosów i naukowców DARPA - a wśród nich Marty, Lauren, Nash i Van Lewen - teraz nie było po nich ani śladu.

Race rozglądał się ze smutkiem. Domyślał się, co mogło stać się ze zwłokami.

Weszli do górnej wioski w chwili, gdy u podstawy And zapadał zmrok.

Wódz tubylców i antropolog Marquez czekali na nich przy fosie.

- To chyba należy do was - powiedział Race, pokazując Idola wodzowi.

Roa uśmiechnął się do niego.

- Naprawdę jesteś Wybrańcem. Moi ludzie będą o tym dniu śpiewać pieśni.

Dziękuję ci, dziękuję za oddanie Ducha.

Race pochylił głowę. Nie uważał się za wybranego pod jakimkolwiek względem.

Po prostu robił to, co uważał za słuszne.

- Proszę tylko obiecać mi jedno - powiedział do wodza. - Proszę mi obiecać, że kiedy odejdę, opuścicie tę wioskę i znikniecie w lasach. Przyjdą tu nowi ludzie, którzy będą szukać Idola. Zabierzcie bożka daleko stąd - tam gdzie nikt go nigdy nie znajdzie.

Roa skinął głową.

- Tak zrobimy, Wybrańcze. Tak zrobimy. Race przez cały czas trzymał bożka w rękach.

- Jeżeli mi pozwolisz, wodzu, muszę tu jeszcze coś zrobić, a potrzebuję do tego Idola.

Tubylcy zebrali się na spiralnej ścieżce, biegnącej wokół skalnej wieży.

Zapadła już noc, więc wszyscy posmarowali się małpim moczem.

Zdaniem Marqueza rapa, nie mogąc wrócić do swego siedliska w Świątyni, spędziły dzień w mrocznym cieniu u podstawy krateru.

Race stał na ścieżce i patrzył przez przepaść, którą jeszcze niedawno spinał most linowy.

Most wisiał tam, gdzie zostawili go naziści dwadzieścia cztery godziny temu - na palach przyczółkowych po stronie wieży.

Jeden z najlepszych wspinaczy tubylczego plemienia - polany szczególnie obficie małpim moczem - został wysłany na dno krateru, skąd miał się wspiać po pionowej ścianie wieży na jej górę.

Wkrótce dotarł do długiej liny, zwisającej z mostu. Przywiązał ją do liny, trzymanej przez ludzi stojących na spiralnej ścieżce.

Szybko podciągnięto most i zamocowano go.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - spytała Renee.

- Ta Świątynia ma inne wyjście. Renco je znalazł, więc ja też je znajdę - odparł Race.

Z Idolem w jednym ręku, pochodnią w drugim i przewieszoną przez ramię skórzaną sakwą, przeszedł jako pierwszy przez wiszący most.

Za nim ruszyli najlepsi wojownicy - każdy z własną pochodnią.

Kiedy przeszli most, Race poprowadził ich na polanę przed Świątynią. Wyjął z sakwy pęcherz z wodą i polał nią Idola.

Bożek natychmiast zahuczał. Wydawał z siebie hipnotyzujący dźwięk, rozplywający się w wieczornym powietrzu.

Po kilku minutach na polanie pojawił się pierwszy rapa.

Za nim przyszedł drugi kot, potem trzeci.

Potężne zwierzęta zbierały się na obrzeżach polany, formując wokół Race'a szeroki krąg.

Było ich dwanaście.

Race znów polał Idola, który zahuczał głośniejsz, z nową energią.

Race zrobił krok i wszedł do Świątyni.

Zszedł dziesięć stopni i ogarnęła go nieprzenikniona ciemność.

Rapa - wielkie, czarne i groźne - weszły za nim, zasłaniając swoimi ciałami niebieskawe światło księżyca, wpadające z zewnątrz.

Kiedy wszystkie koty znalazły się w Świątyni, indiańscy wojownicy zaczęli pchać głaz - tak jak Race im kazał.

Przesuwany kamień cicho chrobotał.

Race obserwował jego ruch od środka. Po chwili światło księżyca zasłonił cień kamienia, który znieruchomiał ze złowrogim tąpnięciem.

Głaz całkowicie wypełniał portal, zamykając go szczelnie - wraz z Williamem Race'em i sforą rapa.

Ciemność.

Jeśli nie liczyć pomarańczowego blasku pochodni, wokół panowała całkowita ciemność.

Ściany schodzącego w dół korytarza błyszczały od wilgoci. Gdzieś z głębin Świątyni dolatywało ciche KAP KAP KAP.

Było to przerażające miejsce, ale Race się nie bał. Przekroczył już granicę strachu.

Dwanaście rapa - w migotliwym świetle pochodni wyglądających jak piekielne demony - patrzyło na buczonego Idola.

Trzymając pochodnię wysoko nad głową, Race wszedł do zaczynającego się u podstawy schodów tunelu, schodzącego w dół i skręcającego w prawo. W ścianach raz za razem pojawiały się niewielkie nisze.

Race minął niszę, przy której zatrzymał się podczas poprzedniej bytności w Świątyni - tej z połamanym kościotrupem ze zgniecioną czaszką. Myślał wtedy, że to szkielet Renca, okazało się jednak, że należy do konkwistadora, który ukraść młodemu księciu szmaragdowy naszyjnik.

Dotarł do końca spiralnego przejścia i stanął przed długim, prostym tunelem. Tu właśnie zginął von Dirksen i jego ludzie.

Zza zakrętu wyszły rapa, prawie bezgłośnie sunąc na miękkich łapach.

Na końcu tunelu w podłodze była wielka dziura. Miała mniej więcej pięć na pięć metrów i zajmowała całą szerokość tunelu.

Dolatywał z niej obrzydliwy smród.

Kiedy Race zajrzał do dziury, straszliwy fetor jeszcze mocniej uderzył go w nozdrza - aż musiał wstrzymać oddech.

Za dziurą była naga ściana, a w dziurze tylko atramentowa ciemność.

Po chwili jednak dostrzegł wykute w ścianie po prawej stronie zagłębienia, mogące dać oparcie dla rąk i nóg. Tworzyły coś w rodzaju schodków, po których można było zejść w głąb dziury.

Po kolejnym polaniu Idola wodą Race wziął pochodnię w zęby i zaczął powoli schodzić do śmierdzącego dołu po stopniach w ścianie.

Rapa podążyły za nim, nie potrzebowały jednak schodków. Używając przypominających małe kosy pazurów, po prostu ześlizgiwały się po pionowej ścianie w dół.

Po mniej więcej piętnastu metrach Race stanął na solidnym gruncie.

Smród był tu znacznie intensywniejszy, niemal odbierał przytomność. Śmierdziało tak straszliwie, jakby gdzieś w pobliżu znajdowało się mnóstwo gnijącego mięsa.

Race wyjął pochodnię z zębów i odwrócił się od ściany, po której właśnie zszedł.

To, co ujrzał, zaparło mu dech w piersiach.

Stał pośrodku ogromnej jaskini o kamiennych ścianach.

Przypominała wnętrze wielkiej kamiennej katedry.

Wysoko sklepiony sufit wznosił się przynajmniej piętnaście metrów nad podłogą i nikał w ciemności. Wspierały go kamienne kolumny, wykute w skale. W dal

odchodziła doskonale płaska podłoga, której końca także nie było widać.

Najbardziej zadziwiające były jednak ściany.

Pokryto je prymitywnymi płaskorzeźbami - piktogramami podobnymi do tych, jakie zdobiły portal wejściowy.

Były tam wizerunki rapa i ludzi, obrazy przedstawiające zabijanych przez rapa ludzi. Na niektórych płaskorzeźbach krzyczący ludzie, pożerani żywcem przez koty, kurczowo trzymali jakieś drogocenne łupy.

Chciwość nawet w chwili śmierci.

Między płaskorzeźbami były w ścianach nisze, mające kształt łba rapa.

Zasłaniały je grube pajęczyny, co sprawiało wrażenie, jakby patrzyło się na nie przez szare zasłony, zarzucone na pyski kotów.

Race podszedł do jednej z nisz i przeciął pajęczyny.

W otwartej paszczy rapa wykuto niedużą półkę. Stała na niej błyszcząca złota figurka, przedstawiająca grubego mężczyznę z wielkim wzwodem.

- Dobry Boże... - wymamrotał Race.

Rozejrzał się wokół. W całej jaskini musiało być ze czterdzieści takich nisz. Jeśli w każdej znajdował się podobny przedmiot, kryły się tu niewyobrażalne bogactwa...

Skarb Solona.

Popatrzył na niszę przed sobą, naśladującą wyszczerzoną paszczę rapa.

Wyglądało to tak, jakby budowniczo wie tej świątyni kusili chciwego awanturnika, aby sięgnął do paszczy po skarb.

Ale Race nie chciał żadnego skarbu.

Chciał znaleźć się w domu.

Odsunął się od groźnie wyglądającej niszy i trzymając wysoko pochodnię, ruszył na środek katedry.

W tym momencie ujrzał źródło przenikliwego smrodu.

- O Boże... - jęknął.

W głębi katedry leżała sterta - wielka sterta.

Była to góra trupów - wysoka, paskudna góra.

Kopiec z ludzkich ciał.

Musiało ich być przynajmniej sto, a znajdowały się w najróżniejszych fazach rozkładu. Ściany wokół pokrywała zaschnięta krew - tak grubą warstwą, że mogło się zdawać, iż je nią pomalowano.

Niektóre ciała były nagie, inne częściowo ubrane. Jedne były bez głów, inne bez rąk, jeszcze inne miały przegryzione na pół tułowia. Wokół leżały pokrwawione kości, na których trzymały się jeszcze kawałki mięsa.

Race z przerażeniem rozpoznał wiele ciał.

Kapitan Scott, Chucky Wilson, Tex Reichart, niemiecki generał Kolb. Leżało tu

też brzuchem do dołu ciało Buzza Cochrane'a. Cała dolna część korpusu została odgryziona.

Ku swemu zdziwieniu Race zobaczył, że było tu też sporo trupów o oliwkowej skórze.

Tubylcy.

Nagle jego uwagę zwróciła niewielka dziura w ścianie, znajdująca się za ponurą stertą.

Była okrągła i miała średnicę jakichś osiemdziesięciu centymetrów - tak że mógł się w niej zmieścić nawet bardzo szeroki w ramionach mężczyzna.

Race natychmiast sobie przypomniał podobnie ukształtowany kamień na powierzchni - na ścieżce za Świątynią - okrągły kamień wśród prostokątnych, kamień, który wyglądał, jakby zamykał jakiś otwór, jakieś wejście.

Ale to, co miał przed sobą, wcale nie było wejściem.

To był zsyp!

Zsyp, który zaczynał się na górze, a kończył tutaj, w ogromnej kamiennej jaskini.

Nagle miał odpowiedź na pytanie, w jaki sposób rapa przetrwały czterysta lat we wnętrzu Świątyni.

Przypomniał sobie słowa Miguela Marqueza: „Gdyby nie przeżył pan spotkania z kajmanem, pańscy przyjaciele zostaliby złożeni w ofierze rapa”.

Złożeni w ofierze.

Z przerażeniem wpatrywał się w otwór w ścianie.

Studnia ofiarna...

Studnia, do której mieszkańcy górnej wioski wrzucali ofiary dla rapa.

Ofiary z ludzi.

Tubylcy wrzucali tu także swoich własnych ludzi.

By zaspokoić głód kotów, wrzucali do studni zarówno swoich zmarłych, jak i zabitych przez siebie wrogów.

W okresach „biedy” koty prawdopodobnie zjadały się nawzajem.

W tym momencie dostrzegł jeszcze pięć kolejnych kotów. Leżały na kamiennej podłodze za stertą zwłok, tuż obok niezbyt wielkiego prostokątnego otworu.

Patrzyły na niego, zahipnotyzowane buczeniem Idola.

Przed nim stało dziesięć znacznie mniejszych kotów - kociąt - wielkości młodych tygrysów. Również się w niego wpatrywały. Wyglądało to tak, jakby przerwały w połowie zabawę, usłyszawszy buczenie Idola.

Boże, tu na dole jest całe społeczeństwo... - pomyślał Race. Społeczeństwo rapa.

Rusz się, Will. Zrób, co masz do zrobienia.

Oczywiście...

Wyjął z sakwy fałszywego Idola.

Postawił go na podłodze u podstawy wielkiej kwadratowej dziury, którą zszedł do katedry, aby każdy, kto tu dotrze, natychmiast go dostrzegł.

Nie był tego pewien, ale wyobrażał sobie, że to samo zrobił czterysta lat wcześniej Renco.

W porządku, czas stąd wychodzić.

Popatrzył na małą dziurę obok pięciu samic rapa i uznał, że nie ma zbyt wielkiego wyboru - poza wspięciem się na górę ofiarnym zsysem i liczeniem na to, że ktoś go dla niego otworzy - musi dalej kierować się w dół.

Trzymając w rękach wciąż buczonego prawdziwego Idola, ostrożnie okrążył pięć samic z małymi i podszedł do otworu w podłodze.

Zajrzał w głąb.

Tunel miał jakieś półtora na dwa metry i zniknął pionowo w skalnej podłodze. W jego ścianach, tak samo jak w ścianie wielkiej dziury, którą Race schodził poprzednio, wycięto podpory dla rąk i nóg.

A co mi tam... - pomyślał.

Schodził powoli na dół. Pochodnię znów trzymał w zębach, buczonego Idola schował do sakwy.

Po jakiejś minucie stracił z oczu otwór tunelu. Od tej chwili - jeśli nie brać pod uwagę krążka pomarańczowego światła pochodni - otaczała go nieprzenikniona ciemność.

Szły za nim dwa rapa - wisiały pionowo nad jego głową w miejscu, gdzie kończyło się światło pochodni, wpatrując się w niego zimnymi, żółtymi ślepiami.

Nie atakowały jednak.

Race schodził coraz niżej. Miał wrażenie, że pokonuje całe kilometry, ale tak naprawdę musiało to być jedynie kilkadziesiąt metrów.

Wreszcie jego stopy dotknęły twardego gruntu.

Wziął pochodnię w dłoń i stwierdził, że znajduje się w grocie, otoczonej ze wszystkich stron masywnymi skalnymi ścianami.

Dno groty wypełniała woda.

Basen nie sprawiał wrażenia przypadkowej konstrukcji - z trzech stron woda stykała się bezpośrednio z pionowymi ścianami, a czwarty bok tworzyła pozioma półka, na której stał Race.

Podszedł i pochylił się, by dotknąć wody - musiał sprawdzić, czy jest realna. Dwa koty powoli zeszły na brzeg i stanęły obok niego.

Race włożył dłoń do wody.

Coś poczuł.

Woda delikatnie szarpnęła jego dłoń.

Zmarszczył czoło.

Woda płynęła.

Przyjrzał się jej powierzchni - przesuwały się po niej drobne falki.

Zrozumiał, gdzie jest.

Był na samym dole skalnej wieży, wokół której rozlewało się płytkie jezioro.

Jakimś sposobem woda wpływała również do groty, w której stał.

Idol wciąż buczał w jego sakwie.

Dwa koty obserwowały go uważnie.

Ze zdecydowaniem, które nie wiadomo skąd się wzięło, Race odrzucił pochodnię, wszedł do wody - z sakwą, w ubraniu - i zanurkował.

Pół minuty później, po przepłynięciu długiego podwodnego tunelu, wynurzył się w płytkim jeziorze na dnie krateru i zaczął łapczywie chwytać powietrze.

Westchnął z wdzięcznością.

Był znowu na zewnątrz.

Zanim wrócił do górnej wioski, przeszedł jeszcze raz przez most na szczycie skalnej wieży i zatrzymał się przy wejściu do Świątyni. Wojownicy, którzy zasunęli kamień, już sobie poszli i Race stał sam przed złowróżbną budowlą.

Po kilku chwilach znalazł na ziemi ostry kamień, podniósł go i podszedł do głazu, tkwiącego w portalu. Pod napisem zrobionym przez Alberta Santiaga dodał własny, po angielsku:

Nie wchodzić pod żadnym pozorem. W środku czyha śmierć.

William Race, 1999

Kiedy dotarł do górnej wioski, przy fosie czekała na niego Renee - razem z Miguelem Marquezem i wodzem Roą. Race podał wodzowi Idola.

- Rapa są z powrotem w Świątyni. Czas, byśmy wracali do domu.

- Moi ludzie dziękują ci za wszystko, co dla nich zrobiłeś, Wybrańcze - powiedział Roa. - Gdyby tylko było na świecie więcej takich jak ty...

Race skromnie pochylił głowę, a Renee wzięła go pod ramię.

- Jak się czujesz, bohaterze?

- Chyba musiałem w którymś momencie dostać za mocno w głowę - odparł. - Bo jak inaczej wyjaśnić te wszystkie moje wyczyny? Musiała napędzać mnie adrenalina.

Renee pokręciła głową i popatrzyła mu w oczy.

- Nie. Nie sądzę, by to była sprawka adrenaliny - odparła i pocałowała go - delikatnie, ale mocno przyciskając usta do jego warg. Kiedy się odsunęła, powiedziała z uśmiechem: - Chodź, mój bohaterze. Czas wracać do domu.

Odchodzili żegnani przyjacielskimi okrzykami tubylców.

Kiedy szli w dół krateru, usłyszeli za plecami stłumiony krzyk.

Dochodził z bambusowej klatki, opartej na czterech pniach.

Leżał w niej Frank Nash. Był zakneblowany i wił się z potwornego bólu - oprócz

ran brzucha miał obcięte obie ręce.

Tubylcy nie zabili go. Odrąbali mu zbrodnicze dłonie i przynieśli go na górę - by potraktować tak, jak na to według nich zasługiwał.

Godzinę później rozpoczęła się ostatnia procesja Indian do Świątyni Solona. Na ceremonialnych noszach leżały ciała, które przeniesiono przez wiszący most.

Na jednych z nich leżał dogorywający Nash, na pozostałych niesiono zwłoki Van Lewena, Marty'ego, Lauren, Romano i ciała członków oddziału Marynarka-DARPA. Nieważne, żywe czy martwe - kocich bogów zaspokoi każde ludzkie mięso.

Wszyscy mieszkańcy wioski zebrali się z tyłu Świątyni. Zaczęto śpiewać, a dwóch silnych wojowników podniosło okrągły kamień, otwierając ofiarny zsyp.

Najpierw zrzucono martwe ciała - Van Lewena, Marty'ego, Lauren, komandosów marynarki.

Frank Nash został przyniesiony jako ostatni. Widział, co się stało z ciałami zabitych, i kiedy zrozumiał, że taki sam los ma spotkać także jego, oczy o mało nie wyszły mu z orbit.

Gdy Indianie wiązali mu nogi, próbował krzyknąć przez knebel. Kiedy niesiono go do zsypu, wił się i szarpał.

Wsunięto go do otworu nogami naprzód i gdy Frank Nash po raz ostatni ujrzał niebo, jego twarz wykrzywiło szaleństwo.

Wojownicy puścili go.

Wył przez całą drogę na dół.

Włożono okrągły kamień na miejsce i tubylcy opuścili szczyt skalnej wieży. Byli tu po raz ostatni. Natychmiast po powrocie do wioski zaczęli się szykować do długiej podróży - w głąb deszczowego lasu, gdzie nikt ich nigdy nie znajdzie.

Goose sunął nad Andami w kierunku Limy. Doogie siedział z przodu i pilotował, mocno obandażowany, ale w dobrej formie. Race, Renee, Gaby i Uli siedzieli z tyłu. Po mniej więcej godzinie Gaby Lopez przyszła do Doogiego.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć - odparł Doogie, gdy zobaczył, kto przyszedł. Przełknął nerwowo ślinę. Gaby była taka ładna... I tak wspaniale go opatrzyła, miała bardzo delikatne ręce. Kiedy to robiła, bez przerwy się jej przyglądał. W dalszym ciągu jednak uważał, że nie ma u niej szansy.

- Dzięki za pomoc z tym kajmanem w fosie. Byłeś wspaniały - oświadczyła.

- O... - Doogie zaczerwienił się. - To nie było nic wielkiego.

- W każdym razie dziękuję.

- Żaden problem. Zapadła niezręczna cisza.

- Wiesz, zastanawiałam się... - zaczęła nerwowo Gaby - no wiesz... jeśli się z nikim nie spotykasz, to może... może miałbyś ochotę wpaść do mnie na kolację...

Serce Doogiego na chwilę stanęło. A potem uśmiechnął się szeroko.

- Byłoby świetnie...

Trzy metry za nimi, w przedziale pasażerskim, Renee leżała wtulona w ramię Race'a i spała.

Race rozmawiał przez telefon komórkowy Earla Bittikera z Johnem-Paulem Demonaco. Szybko streścił mu wydarzenia w Vilcafor. Opowiedział o BKA, nazistach, marynarce i Siłach Lądowych i na koniec o teksańczykach.

- Chwileczkę... - przerwał mu w pewnym momencie Demonaco. - Ma pan jakieś doświadczenie wojskowe?

- Żadnego.

- Jezu... Kim pan więc jest - anonimowym bohaterem?

- Coś w tym rodzaju.

Gdy kończyli rozmowę, agent dał Race'owi numer telefonu i adres ambasady amerykańskiej w Limie i nazwisko tamtejszego oficera łącznikowego FBI. Obiecał, że agencja zajmie się ich powrotem do Stanów.

Kiedy się rozłączyli, Race wyjrzał przez okno na przesuające się w dole góry. Swoją poszarpaną bejsbolówkę przycisnął do szyby, palcami wodził po szmaragdowym naszyjniku, który miał na szyi.

Po chwili otrząsnął się z zamyślenia i wyjął coś z kieszeni.

Cienki, oprawny w skórę notes, który dostał od wodza Indian z górnej wioski.

Przerzucił kartki. Nie było ich wiele.

Pismo było znajome.

Wrócił do pierwszej strony i zaczął czytać.

PIĄTE CZYTANIE

Do czcigodnego poszukiwacza przygód, który znajdzie ten notes.

Piszę do ciebie przy świetle pochodni u stóp wspaniałych gór, wznoszących się nad Nową Hiszpanią.

Według mojej oceny musi być teraz Rok Pański 1560, a więc minęło już niemal dwadzieścia pięć lat od mojego przybycia do tych obcych brzegów.

Dla wielu, którzy przeczytają te słowa, mogą one nic nie znaczyć, ale piszę je z zamiarem uzupełnienia mojego wcześniejszego sprawozdania z niezwykłych przygód, jakie przeżyłem w Nowej Hiszpanii - choć być może nigdy go nie napiszę.

Jeśli je jednak napiszę, a ty, odważny poszukiwaczu przygód, który dostałeś ten notes od pewnych bardzo szlachetnych tubylców, przeczytałeś go, moje dalsze słowa na pewno będą miały dla ciebie znaczenie.

Niebawem minie dwadzieścia pięć lat od moich niewiarygodnych przygód z księciem Renkiem. Wszyscy moi przyjaciele już nie żyją.

Bassario, Lena, Renco.

Nie bój się jednak, drogi Czytelniku - nie zginęli w wyniku nieszczęścia albo złego losu. Zmarli wszyscy we śnie, pokonało ich coś, przed czym nikt nie ucieknie - czas.

Ja jestem ostatnim, który żyje.

Niestety nie zostało w tych górach nic, co byłoby warte dalszego życia tutaj, postanowiłem więc wrócić do Europy i zakończyć życie w jakimś odległym od siedzib ludzkich klasztorze, gdzie - jeśli Bóg pozwoli - dokładnie opiszę całą moją niesamowitą historię.

Zostawiam ten notes w rękach moich inkaskich przyjaciół, aby przekazali go swoim dzieciom - a ich dzieci swoim dzieciom - i oddali go najlepszemu z poszukiwaczy przygód, człowiekowi dorównującemu odwagą mojemu przyjacielowi Rencowi.

Temu, kto będzie czytał te kartki, winien jestem sprostowanie niektórych niezgodnych z prawdą informacji, które zamierzam umieścić w dłuższej wersji moich przygód.

Po śmierci Hernanda Renco wszedł do Świątyni z dwoma posążkami i wkrótce potem wyszedł z niej przez podwodne przejście u podstawy wieży - cały i zdrów.

Mieszkańcy Vilcafor opuścili osadę i przenieśli się wyżej - do nowego miejsca nad kraterem, w którym znajduje się Świątynia.

Żyłem wśród nich przez dwadzieścia pięć lat, ciesząc się towarzystwem mojego przyjaciela Renca. Moim wiernym towarzyszem stał się także Bassario, który wykazał swą wartość podczas ostatecznej konfrontacji z Hernandem i jego ludźmi.

Och, jakże cieszyłem się dniami, jakie mi było dane spędzić z księciem Renkiem! Nigdy przedtem nie miałem tak dobrego i lojalnego przyjaciela. Miałem wielkie szczęście, że mogłem być jego towarzyszem przez większą część życia.

Chcę ci powiedzieć coś jeszcze, szlachetny czytelniku - błagam jednak, byś nie zdradził tej tajemnicy moim świętym braciom zakonnym.

Po jakimś czasie ożeniłem się.

Zapytasz może: z kim? Z piękną Leną.

Podziwiałem siostrę mojego przyjaciela od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem, nie wiedząc, że żywi ona podobne uczucia w stosunku do mnie. Uważała mnie za odważnego i szlachetnego mężczyznę - a kimże byłem, by wyprowadzać ją z błędu?

Razem z jej synem Manim - poza którym Renco świata nie widział, nie różniąc się niczym od większości wujów tego świata - stanowiliśmy wspaniałą rodzinę i wkrótce powiększyliśmy ją o dwie śliczne córki, które - co muszę z dumą przyznać -

były dokładnym odbiciem swojej matki.

Byliśmy z Leną małżeństwem przez dwadzieścia cztery lata, najwspanialsze dwadzieścia cztery lata mojego życia. Skończyły się one kilka tygodni temu, kiedy zasnęła u mojego boku, by już nigdy się nie obudzić.

Tęsknię za nią każdego dnia.

Przewodnicy szykują się właśnie do przeprowadzenia mnie do kraju Azteków, a ja wspominam moje przygody, Lenę i Rencę.

Myślę o proroctwie, które nas połączyło, i zastanawiam się, czy naprawdę jestem tym, o którym ono mówi.

Czas nadejdzie, gdy zjawi się On, mężczyzna, bohater, Znakiem Słońca naznaczony, odważny tak, by walczyć z wielkimi jaszczurami.

W ciele będzie miał jinga.

Pomogą mu ludzie o sercach walecznych, gotowi za szlachetną sprawę oddać życie.

By uratować naszego Ducha, spadnie z nieba, On będzie Wybrańcem.

Zadaję sobie pytanie, czy naprawdę jestem „człowiekiem o walecznym sercu”?

To może dziwne, ale po wszystkim, co przeszedłem, uważam, że tak.

Szacowny poszukiwaczu przygód, moja historia dobiegła końca. Życzę ci, abyś słowa te czytał, będąc w dobrym zdrowiu, i życzę ci wszelkiej szczęśliwości w życiu i miłości. Żegnaj.

A.S.

Race oparł głowę o ściankę kabiny i wpatrywał się w ostatnią stronę notesu Alberta Santiaga.

Cieszył się, że mnich o łagodnym sercu odnalazł po swoich przygodach szczęście. Zasłużył sobie na nie.

Przyjrzał się jeszcze raz przepowiedni i pomyślał o Rencu, a potem nie wiadomo dlaczego zaczął się zastanawiać nad podobieństwami między młodym inkaskim księciem i sobą samym.

Obaj mieli Znak Słońca.

Obaj walczyli z kajmanami i obaj umieli poruszać się jak koty.

Obu pomagali ludzie o walecznych sercach, gotowi oddać za szlachetną sprawę życie.

No i w końcu - obaj spadli z...

Zaraz, zaraz!

Renco nigdy nie spadł z nieba...